

MILCZĄCE PSY

Waldemar Łysiak





Waldemar Łysiak

MILCZACE

PSD

Cave tibi a cane muto!
— *strzeż się milczącego psa!*

(łacińskie)

Od Wydawcy

W wydanej przez krakowską KAW w roku 1987 książce Waldemara Łysiaka „Wyspy bezludne”, autor (na str. 206) anonsował pisaną przez siebie powieść pt. „Milczące psy”. Miała to być trylogia „o purpurowym srebrze”. Łysiak pracował nad tą powieścią od 1980 roku i przerwał jej pisanie w początkach roku 1983, zabierając się do ukończenia „Wysp bezludnych” (które pisał już od 1978 roku). Do „Milczących psów” miał powrócić później. Nie uczynił tego, a gdy w roku 1988 zapytaliśmy, co się dzieje z ową trylogią, odrzekł, iż nie będzie jej kończył — nie ma zamiaru do niej powracać. Próby nakłonienia autora do kontynuacji „Milczących psów” były bezowocne.

Ponieważ do momentu, kiedy autor przerwał pracę nad „Milczącymi psami” (1983), gotowych już było kilkaset stron (cały tom I oraz wstęp i dwa pierwsze rozdziały tomu II), pomyśleliśmy, iż warto się temu przyjrzeć. Po przyjrzeniu się podjęliśmy decyzję, by wydrukować to, co już zostało zrobione, plus lapidarny skrót (w punktach) zamierzonego niegdyś dalszego ciągu (dokończenie tomu II i cały tom III), aby czytelnik mógł przynajmniej w takiej formie poznać losy bohaterów aż do finału.

Zamieszczamy na końcu tej edycji jeszcze coś. Okazało się, że autor ma dwie grube teczki nie wykorzystanych materiałów do tomów II i III „Milczących psów”, w tym — obok notatek historycznych, wszelakiego rodzaju zapisków etc. — także gotowe fragmenty dialogów, szkice całych scen fabularnych i opisów. Postanowiliśmy częściowo je zaprezentować (tylko te, które się odnoszą do głównych postaci i wątków powieści). Drukujemy je pod tytułem: „Okruczy szkiców”. Uznaliśmy, że może to być interesujące nie tylko dlatego, iż dzięki przedstawieniu owych szkiców niektóre wątki „Milczących psów” znajdą pełniejsze wyjaśnienie lub zakończenie, lecz i dlatego, że projekcja tych „okruczów” z archiwum przygotowawczego pisarza ukazuje jego kram z pomysłami Wyprzedzający pisanie wersji ostatecznej, a więc jego warsztat. Te szkice to sekrety autorskich zamysłów, półprodukty do oszlifowania. Szkoda, że autor zaniechał ich ostatecznej obróbki, porzucając zamiar ukończenia trylogii.

Tom pierwszy

WJLK I KRUK

„Wszystko, co się ma zdarzyć na świecie, dzieje się najpierw w sercu człowieka i w nim należy szukać, gdyż tam rodzi się Historia (...) To wszystko, co można dostrzec w głębi ludzkiej fizjologii, a także w ludzkiej psychice, wpisze się pewnego dnia w Historię. Taka jest zasada ewolucji człowieka, a więc także intuicyjnego poszukiwania”.

(Denis de Rougemont, „Przyszłość jest naszą sprawą”,
tłum. Mirosława Goszczyńska).

Wstęp

(Krótki rys dziejów purpurowego srebra, pozwalający Czytelnikowi zaznajomić się z obiektem poszukiwań, które prowadzili ongiś bohaterowie tej książki i których opis wypełni karty jej rozdziałów).

So you see... that the world is governed by very different personages to what is imagined by those who are not behind the scenes — Widzisz więc... świat jest rządzony przez całkiem inne osoby niż sobie wyobrażają ci, którzy nie znają kulis.

(Isaac Disraeli, ojciec Beniamina).

Ci, którzy nie znają kulis, wyobrażają sobie, iż najpotężniejszym z metali jest złoto. Mylą się. Złoto jest niczym w porównaniu z pewnym gatunkiem srebra, najbardziej złowrogim, a najmniej opisanym. W książce tej, która stanowi pierwszą monografię owego metalu, zostanie o nim powiedziane wszystko, co można powiedzieć na obecnym etapie badań. Zapewne w przyszłości historycy, którym lekarze oznajmiają, że są chorzy na raka i że zostały im jeszcze dwa lata życia, dopiszą dalszy ciąg tej opowieści, a pisarze i poeci o umysłach zamieszanych palcem demona odwagi przełożą te prace naukowe na język literackiej magii. I być może wówczas ktoś będzie się starał przekonać was, że to są zmyślenia. Zróbcie wtedy dwie rzeczy. Najpierw przypomnijcie sobie, co napisał John Barth w swoim dziele „Chimera”: „Niektóre zmyślenia są o tyle cenniejsze od faktów, że są prawdziwe. Jedyнным Bagdadem jest Bagdad z «1001 Nocy», gdzie dywany latają i z magicznych słów wyłaniają się dżinny”. Potem wyrzucicie z domu człowieka, który usiłował zasiać w was zwątpienie, bo tym samym zdemaskował albo swą głupotę, albo swą przynależność do klanu „milczących psów”, a oba te grzechy ubliżają każdemu przyzwoitemu domowi; „milczące psy” dlatego, że karmią się srebrem przeklętym przez Boga.

Istnieje dziewięć rodzajów srebra:

1. Srebro czyste — pierwiastek chemiczny (o liczbie atomowej 47, masie atomowej 107,87, ciężarze właściwym 10,492) będący srebrzystobiałym metalem, bardzo ciągliwym i topniejącym w temperaturze 960,5 stopnia C.

2. Srebro twarde — stop czystego srebra z żelazem (3,3), kobaltem (1,9) i niklem (0,5).

3. Srebro miedziane — stop czystego srebra z miedzią (20-50%), najpowszechniej używany, głównie do wyrobu monet i przedmiotów ozdobnych.

4. Srebro miedziano-kadmowe — stop czystego srebra (80-93,5%) z miedzią i kadmem, stosowany głównie do wyrobów artystycznych tłoczonych z blach.

5. Srebro miedziano-cynkowe — stop czystego srebra z miedzią (19,5-41 %) i cynkiem (3-53,3%), na luty srebrne do lutowania i spawania stopów srebra z miedzią.

6. Srebro miedziano-niklowe (tiers-argent) — stop czystego srebra z miedzią i niklem, używany do wyrobu ozdobnych naczyń stołowych.

7. Srebro kadmowo-magnezowe — stop czystego srebra z kadmem i dodatkiem magnezu (do 10%), używany w przemyśle jubilerskim.

8. Srebro tzw. standardowe — stop zawierający 0,959 czystego srebra.

9. Srebro purpurowe (tzw. „Srebro Judasza”) — stop czystego srebra z domieszką nieznaną substancji (do 29%), nadającej metalowi różowawy połysk. Służy ono do wyrobu monet i przedmiotów rytualnych (krzyżyki, gwiazdy i in.), potrzebnych na przekupstwo wyższego rządu — na korupcję duszy.

Purpurowe srebro, które jest przedmiotem naszego zainteresowania, zyskało w otchłani dziejów jeszcze inne nazwy: „szatańskie srebro” (vel „srebro szatana”), „srebro cyrografowe”, „srebro różane”, „srebro milczących psów”, „srebro Uburtisa” i „srebro czerwonego komtura” (tylko te nazwy zdołałem ustalić; być może były i inne).

Nazwa „srebro cyrografowe” wzięła się zapewne stąd, że w przeciwieństwie do złota, za pomocą którego można kupić człowieka i skłonić go tym do jakiejś zdrady — za pomocą purpurowego srebra można kupić jego duszę, to jest sprawić, iż stanie się on niezawodnym sługą, a sprzedając własną ojczyznę będzie przekonany, że czyn ten jest słuszny i moralny, zgodny z prawami Boga, natury i ludzi. Człowiek, którego wola została skorumpowana purpurowym srebrem, nie zna konfliktu sumienia z niegodziwością, albowiem sumienie jego wyświęca podłość na słusność czy dobroczynność, pozostawiając go spokojnym; Apoloniusz z Tiany, w liście będącym suplementem do jego „Księgi przepowiedni”, pisał:

„I będą bezgrzeszni w mniemaniu ich, którzy wzięli różane argentum od strażników ziemi swojej, szkaradniejsi od tych, co się za złoto oddali, przekupnie swoje w nienawiści mając. Panie wybacz im (tym drugim — przyp. W. Ł.), albowiem wiedzą, co czynią i samych siebie w pogardzie oglądają. Owych zaś (tych pierwszych — przyp. W. Ł.) strąć w czeluść Belbaala, jako ku naprawie dusz swoich niesposobni są. Azaliż nie wierzą sercem swoim, że czynią dobro, kiedy zło czynią? Przeklęte niechaj będą one truciele plemion ziemi, i potomstwo ich, i potomstwo potomstwa ich aż po ostatnią matkę, albowiem wszelaka niewola ich jest dziełem”.

Zacytowane wyżej słowa poganina Apoloniusza (który wszakże czcił i starał się poznać jedyne Boga, stwórcę wszechświata) są pierwszym z dwóch najstarszych przekazów historycznych dotyczących purpurowego srebra, jakie udało mi się odnaleźć — pochodzą z drugiej połowy pierwszego stulecia naszej ery. Ten drugi przekaz to teoria czarownika z Samarii, osławionego Szymona Maga (Simona Magusa), o którym wspominają z przekąsem „Dzieje Apostolskie”. Zaprezentował ją w III wieku Hipolit (*Refutatio omnium haeresium*). Według tej teorii, głoszonej przez Szymona, który purpurowego srebra szukał (od jego imienia bierze się „symonia” — osiągnięcie stanowisk przekupstwem) — w metalu owym istnieje nieograniczona siła (*dynamis*); posiada ona dwoistą naturę, tajną i jawną, tajna jednakowoż wywodzi swoje istnienie z jawnej i „ma świadomość oraz udział w myśleniu”.

W tym samym czasie funkcjonowało już przekonanie, że purpurowe srebro powstało dzięki zmieszaniu krwi Judasza ze srebrnikami. Zgodnie z niezatytułowanym apokryfem, uważanym przez długi czas błędnie za jedno z pism Orygenesusa (III wiek), ale pochodzącym niewątpliwie z kręgu kierowanej przezeń aleksyndryjskiej szkoły

katechetycznej — kapłani cisnęli odniesione im przez Judasza srebrniki na pawiment pod jego wiszącym ciałem, a kiedy rano przybyli słudzy, by go zdjąć, ujrzeni, że ze źrenic trupa skapują krwawe łzy i że srebrniki zabarwiły się tym rodzajem purpury, jaki wówczas uzyskiwano z soku pewnego gatunku ślimaków morskich. Srebrniki próbowano umyć. Bezskutecznie, wciąż pozostawały intensywnie purpurowe. Kupiono za nie rolę garnarczową, nazwaną Halcedama — Rola Krwi (co potwierdza św. Mateusz), płacąc 27 sztuk. Trzy wrzucono do skarbca świątyni jako osobliwość. Następnego dnia okazało się, że nie można ich rozpoznać, gdyż owe trzy zakaziły barwą inne monety skarbcza. Oddając swą purpurę wielu siostrom przybladły i teraz wszystkie srebrniki lśniły jednakowym odcieniem różu. Srebro to wywieźli Rzymianie, lecz koło wyspy Rodos statek ich został napadnięty przez trzy tajemnicze jednostki (uratowała się tylko nałożnica prokonsula, wyniesiona na brzeg przez fale) i purpurowy ładunek zniknął na pewien czas z historii.

Tyle legenda zawarta we wspomnianym apokryfie, w którym jest jeszcze wytłumaczenie terminu „srebro milczących psów”. Autor tego tekstu napisał:

„Oni, co je biorą, nie krzyczą za sprawę tych, którzy ich dusze pokupili, i ze zdradą swoją się nie obnoszą i nie pokazują myśli swoje, jako to głupiec zwykł był czynić myśląc, że ludzi do onej zdrady przekona. Milcząc zaś, pocałunkiem serdecznym na niewolę braci swoich wiodą, jako Judasz Iskariota Zbawiciela ucałował, mękę mu przynosząc i śmierć (...) Mówię wam: strzeżcie się milczących psów, którzy krew z ziemi waszej wypiją bezgłośnie, w poddaństwo was prowadząc jako barany na rzeź, i mówię wam: strzeżcie się, i mówię jeszcze: strzeżcie się po trzykroć, bo stoją obok i śmieją się z przyjaźnią bezlitosną a fałszywą!...”

Tekst ów zdaje się poddawać w wątpliwość przekonanie, iż „milczące psy” uważają się za bezgrzesznych w swym postępowaniu — sugeruje, iż są tylko nader sprytni, bo wiedzą kiedy i co mówić, a kiedy i o czym milczeć. Kwestii tej nie da się chyba ostatecznie rozstrzygnąć; być może istniały dwa rodzaje takich zdrajców i zależało to od głębi ich skorumpowania (od liczby wypłaconych im purpurowych srebrników?). Ale to tylko spekulacja.

W mozaice historii purpurowego srebra brakuje wielu kamieni i jeden Bóg, a może Lucyfer, wie, czy kiedyś uda się większość z nich odnaleźć. Kolejnym z tych, do których dotarłem, jest tzw. II Aneks do kabalistycznej księgi „Zohar” (jej autorstwo przypisywane jest Mojżeszowi z Leonu). Źródło to, wraz z pewnym średnio-wiecznym manuskrytem, zachowanym w prywatnej kolekcji w RFN, pozwala prześledzić losy purpurowego skarbu w wiekach X-XIII, a nadto nieco inaczej niż w podręcznikach i encyklopediach wyjaśnić przyczyny pojawienia się Krzyżaków nad Bałtykiem.

W schyłkowych latach pierwszego tysiąclecia naszej ery pośród sekt islamu zwalczających się z różnych przyczyn politycznych i religijnych poważne znaczenie uzyskała ismailicka (szyicka) sekta Abdallaha. Rosła w siłę w zawrotnym tempie za sprawą purpurowego srebra, do którego dotarła torturując strażnika tajemnicy, libańskiego astrologa mieniącego się ostatnim kapłanem chaldejskim. Misje sekty, zwane „dais”, rozprzestrzeniły się po całym Wschodzie (głównie w Persji, Syrii i Libanie), kupując nowych zwolenników. Na czele stał Dai al-Doat (Wielki Mistrz).

W roku 1090 kolejny Wielki Mistrz, Pers z pochodzenia, Hasan-ibn-Sabbah-el-Homairi, przekupił purpurowym srebrem garnizon skalnej fortecy Alamut (Gniazdo Sępów) na górze Rudpar w perskim masywie Elburs i uczynił z tej warowni swą stolicę.

Od tej chwili zwano każdego Wielkiego Mistrza Księciem Gór lub Starcem z Gór, i każdego bano się w całym ówczesnym świecie. Hasan bowiem przekształcił sektę w zakon morderców, pragnąc utworzyć ismailickie imperium sposobem różnym od tego, jakim posługiwali się wszyscy inni zdobywcy w dziejach. Nie za pomocą armii, lecz siłą purpurowego srebra i grozą skrytobójstwa. Pierwsze było skuteczne wobec poddanych różnego szczebla, lecz bezradne wobec fanatyków wierności i wobec monarchów, gdyż nie sprzedaje się lojalności fanatycznej i najwyższego po Bogu stopnia w hierarchii. Nieprzekupnych i koronowanych miał złamać krwawy terror szerzony przez Asasynów (tak zwano sektę; od tej nazwy, w języku francuskim „assassin”, a we włoskim „assassino” znaczy: zabójca, morderca).

Specjalnie szkoleni „komandosi” Starca z Gór (fedawici) odznaczali się największą pogardą śmierci, jaką znała historia, ponieważ nie tylko obiecywano im, tak jak wszystkim wyznawcom Allaha — raj po zgonie („Koran: Nagrodą będzie Warn Raj obiecany przez Proroka, a w nim hurysy bajecznie piękne, o ustach słodkich jak daktyle i oczach czarnych i błyszczących jak prawdziwe perły”), lecz dawano im skosztować tego Edenu. W jednej ze swoich posiadłości Starzec z Gór utrzymywał wspaniałe ogrody, pełne wszelakich bogactw i podniet Wschodu. Z komnaty wodza przenoszono tam odurzonego haszyszem fedawitę. Budził się w objęciach „niebiańskich hurys”, które szeptały mu, że znajduje się w rajach obiecanych przez proroka. Gdy już nasycił swe żądze, odurzano go ponownie haszyszem i budzono w komnacie Księcia Gór zapewniając, że przez cały czas nie ruszał się z miejsca i że jego władca przeniósł go tylko chwilowo do rajów, by poznać rozkosz, która czeka wiernych po śmierci. Odtąd już żadne niebezpieczeństwo nie mogło powstrzymać fedawity marzącego o powrocie do rajów na zawsze.

Kroniki wypraw krzyżowych pełne są budzących grozę opisów działalności Asasynów. Dzięki purpurowemu srebru wślizgiwali się w krąg najbliższego otoczenia rządzących, do namiotów wodzów plemiennych i pałaców monarchów w całej Azji, Europie i Arabii. Żaden władca nie mógł być pewien swego życia, mówiono, że „powietrze jest pełne sztyletów Starca z Gór”. Strach, który paraliżował najpierw szejków, wezyrów i emirów, począł udzielać się kalifom i sułtanom, wreszcie królom europejskim i cesarzom Azji. Jak mogło być inaczej, jeśli dla zabicia jednego z sułtanów, strzeżonego dniem i nocą przez specjalne straże, wysłano z Gniazda Sępów kolejno 124. (sic!) fedawitów i sto dwudziesty czwarty dopiął celu.

Zaczęli od Wschodu — Hasan posłał islamskim władcom żądania haraczu i uległości. Odpowiedzią był szyderczy śmiech — potężni suwereni i ich wasale śmiali się, że ismailickim sekciarzom zamarzyło się panowanie nad światem islamu. Wkrótce przestano się śmiać. Od sztyletu wysłanego z Alamut fedawity pierwszy padł wezyr Nizam-al-Mulk. Jeszcze większe wrażenie zrobiła śmierć mocarnego władcy Seldżuków, Malek Szacha. Potem nastąpiła seria gwałtownych zgonów emirów syryjskich i od Afganistanu po Kair przestano spokojnie sypiać. Orient zrozumiał, że należy się bronić. Na czele kontrakcji stanął kalif Sindgiar (Sandżar), lecz gdy pewnego ranka *znalazł* pod poduszką sztylet wraz z listem: „Można było utopić w twym sercu to, co znalazłeś pod swoją głową. Hasan”, ukorzył się przed Starcem z Gór, rozpętując reakcję łańcuchową. W jego ślady, obok licznych pomniejszych kacyków, poszedł nawet najślawniejszy z władców muzułmańskich, wielki pogromca krzyżowców, sułtan Egiptu i Syrii, Saladyn!

W drugiej połowie XII wieku kuratela Starca z Gór rozciągała się już nad wielu terytoriami spojonymi w jedno mocarstwo purpurową zdradą i strachem. Monarchowie mieszkający o tysiące kilometrów od Alamut uznawali swą podległość Hasanowi i jego następcom. Ci, którzy mieli inne zdanie, mieli krótki żywot.

Dzisiaj brzmi to jak bajka o żelaznym wilku, ale Szajch-al-Dżabal (Książę Gór) odbierał daniny nawet od królów Węgier i Francji oraz od cesarza Niemiec! Filip II August, zagrożony przez fedawitę, utworzył oddział wyselekcjonowanych zabijaków, który nie odstępował go na krok. Próbowali złamać Asasynów krzyżowcy francuscy i zapłacili za to krwawą cenę. Pierwszy padł pod sztyletem człowieka z Alamut Rajmund I hrabia Trypolisu ze sławnej rodziny tuluzańskich hrabiów, która podczas pierwszej krucjaty zawładnęła Trypolitanią. Jednakże solą w oku Starca z Gór był władca Królestwa Jerozolimy, utworzonego przez krzyżowców trzeciej wyprawy na podbitych terenach muzułmańskich — legendarny „błędny rycerz”, Konrad z Montferrat. Dwaj fedawici, którym purpurowe srebro otworzyło furtę do wnętrza dworu Konrada, przez sześć miesięcy czekali na okazję. Gdy wreszcie się nadarzyła (w roku 1192) — skłuli go sztyletami i uciekli. Jeden z nich schronił się w kościele, o czym nie wiedziano i dlatego przeniesiono do owego kościoła rannego króla Jerozolimy. Wówczas ismailita przedarł się przez zaskoczony tłum i dobił ofiarę kilkoma uderzeniami. Obu morderców schwytano — skonali w męczarniach nie wydając jęku, gdyż przybliżał się do nich raj. Inni fedawici w momencie aresztowania zabijali się sami. Francuzi widząc, iż nie ma szans na obronę przed tym, przestali się stawiać i później Ludwik Święty wysyłał dary Starcowi z Gór.

Ale właśnie wtedy, gdy zastraszone francuskie krzyżowców, na arenie pojawił się inny europejski przeciwnik, Niemcy. W roku 1190 w Palestynie, pod murami oblężonej Akki, stawili się członkowie niemieckiego bractwa, które w roku następnym założyło w Akce szpital i przyjęło regułę Joanitów. W szpitalu tym zmarł w roku 1195 tajemniczy rycerz niewiadomego pochodzenia. W obliczu śmierci przekazał szpitalnikom pięć srebrnych monet o intensywnie purpurowym odcieniu oraz sekret ich korupcyjnego przeznaczenia. Człowiek ten jednak nie wiedział, że posiadane przez niego srebrniki mają moc przekazywania zwykłym srebrnikom swej siły, dlatego bracia zakonni — miast użyć ich do rozmnożenia cudownego instrumentu — posłużyli się nimi wprost, dla przekupstwa. Dwie z tych monet zużyte zostały na zjednanie u niemieckich książąt poparcia dla idei przekształcenia bractwa w zakon rycerski. Stało się to w roku 1198, a w 1199 papież Innocenty III zatwierdził powstanie trzeciego, najmłodszego z zakonów rycerskich utworzonych podczas krucjat w Ziemi Świętej: Order der Ritter des Hospitals Sankt Marien des Deutschen Hauses (Zakon Rycerski Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego).

Przez pierwszych kilkanaście lat rycerze w białych płaszczach z dwoma czarnymi krzyżami odgrywali niewielką rolę na orientalnej scenie, przygotowując się do ataku. Aż w roku 1210 Grosskomtur, czterdziestoletni Hermann von Salza, pełniący praktycznie funkcję Wielkiego Mistrza Zakonu, wyruszył z grupą braci i oddziałem knechtów do Alamut. Dotarli pod mury warowni w gorące popołudnie, którego nie orzeźwiał wiatr wydostający się zza górskich przełęczy. Długo stali pod zamkniętą bramą, patrząc jak zachodzące słońce obmywa szkarłatem jej podwoje. Wokół panowała głucha cisza. Wieczorem bramę otwarto i powitał ich szef straży, a po nim ukochany syn Starca z Gór, Hasan. Sądzone, że przybyli złożyć hołd, jak wielu innych, lecz ze względu na późną porę

odłożono posłuchanie do następnego dnia. Hermann i Hasan odbyli wstępną rozmowę i życzyli sobie dobrej nocy.

Nazajutrz Starzec z Gór, Mohammed II, przyjął Hermanna von Salza i rycerzy na dziedzińcu zamkowym, prosząc ich do stołu. Spożywali śniadanie w milczeniu, wymieniając grzeczne uśmiechy. Gdy skończyli, służba przyniosła pięć czar z ulubionym migdałowym napojem króla królów i nektar ten rozlano w puchary. Mohammed II wypił kilka łyków, przymykając oczy z lubością, następnie otarł jedwabną chustą wargi i rzekł pospołu do Grosskomtura i do tłumacza:

— Jaki zakon reprezentujesz, przybyszu?

— Deutscher Orden — odparł krótko von Salza.

— Z czym przybywasz, z prośbą o pomoc?... Jeśli masz nieprzyjaciela, powiedz mi, a przestanę ci się uprzykrzać.

— Sami usuwamy naszych nieprzyjaciół — odpowiedział Grosskomtur. Mohammed II uśmiechnął się i uśmiechnął się Hermann von Salza, Znowu zapadło milczenie. Starzec z Gór jeszcze raz napił się nektaru i zapytał:

— Komu służycie?

— Bogu wszechmogącemu jednemu w Trójcy Świętej i Jego Matce.

— Wszechmocny jest Allah, Jezus zaś był tylko prorokiem, lecz nie o to zapytałem.

Komu służycie?

Von Salza zmrużył oczy rażone słońcem, które wyjrzało nagle zza blank wieńczących ścianę dziedzińca i powiedział, dzieląc sylaby:

— Sobie samym.

— Aż tak nie jesteście potrzebni nikomu, że szukacie mojej protekcji, czy też strach przede mną przywiódł was w moje progi?

— Aż tak nie potrzebujemy nikogo.

Starzec otworzył zdumione oczy i rozplótł palce, które trzymał jak przy świątobliwej medytacji.

— Nie przybywasz z hołdem? — spytał głosem ostrzejszym o jeden ton.

— Nie.

— Więc czego chcesz? Po coś tu przybył?

— Po różane srebro.

Mohammed II wybuchnął głośnym śmiechem, po czym skinął ręką w kierunku krenelażu i dwóch strażników natychmiast skoczyło z wierzchołka najwyższej baszty, roztrzaskując się obok siedzących rycerzy.

— Mam siedemdziesiąt tysięcy takich jak oni, gotowych oddać się śmierci na jedno moje skinienie. Kim więc chcesz mi odebrać mój skarb, giaurze, garstką swych pachółków? Nawet wśród tych, z którymi przyjechałeś, są trzej kupieni przeze mnie.

Von Salza odwrócił oczy od pogruchootanych ciał fedawitów i na ustach przeleciał mu grymas zniecierpliwienia.

— Byli — wyjaśnił, — Znajdziesz ich ciała w komnacie, w której spałem. Rysy starego człowieka stężały.

— Kto ci ich wskazał?!

— Opatrzność.

— Giaurze, spoczniesz obok nich zanim słońce wejdzie w środek nieba!

Grosskomtur uśmiechnął się złowieszczo i wycedził:

— Nie strasz mnie, głupcze. Kiedy tu wjeżdżałem, twój rab pogroził mi, mówiąc: „Kimkolwiek jesteś, drzyj, stanąwszy przed obliczem tego, który trzyma w swym ręku życie i śmierć królów!” Teraz ja trzymam w ręku twój los, ale nie ma w nim już życia, tylko sama śmierć, którą odmierza czas. Słońce oto dosięga zenitu, lecz ty już nie dożyjesz tej chwili. Módl się do swego boga, klepsydra się przesyła.

Mówiąc to, wziął do ręki stojący przed nim puchar i wylał złocistą zawartość na ziemię. Starzec z Gór spojrzał na swój wypity do połowy i poczuł przyspieszony puls serca. Zrozumiał i zapytał:

— Kto?...

Krzyżak spojrzał na milczącego Hasana, a wzrok króla królów powędrował za jego wzrokiem i spoczął na twarzy syna.

— Psie! — wyszeptał ze straszliwą nienawiścią.

Hasan milczał i wpatrywał się przed siebie oczami, w których nie lśniło żadne wzruszenie. Mohammed odwrócił twarz do przybysza, czując, że ciało poczyną oblewać mu zimny pot.

— Jak... jak tego dokonałeś?!

— Przy pomocy purpurowego srebrnika z pierwszych trzydziestu, za które żydowscy kapłani kupili Rolę Krwi. Każdy z nich jest silniejszy od całego różanego skarbcza, który ukradłeś.

Przez głowę Mohammeda przebiegła ostatnia myśl: „Ten sprytny giaur jest jednak głupi, bo nie wie, że faryzeusze zapłacili za Halcedamę tylko dwadzieścia siedem monet i że posiada srebrniki przekazujące swą moc zwykłym. Gdyby o tym wiedział, nie musiałby ryzykować wyprawy do Alamut, sam by sobie wyprodukował różany skarbiec. Hasan też o tym nie wie, on również drogo swą zdradę opłaci!”. Dusza starca zaśmiała się... Złożył do Allaha milczącą prośbę, by kiedyś ta niewiedza zemściła się na tych, którzy go zabili. Resztką sił wycharczał:

— Bądź przeklęty, szatanie!

— Rozśmieszasz mnie, barbarzyńco — westchnął Hermann von Salza, znużony już przedłużającym się oczekiwaniem. — Przekłęci to pokonani, nie ma mnie pośród nich. Winieś mi dziękować, gdyż wybrałem ci łagodną śmierć od trucizny, która usypia bez bólu...

W tym momencie przerwał, spostrzegł bowiem, że mówi do trupa. Tego samego dnia Krzyżacy opuścili Gniazdo Sępów, wywożąc cały zapas purpurowego srebra. Kilka miesięcy później, 15 lutego 1211 roku, Hermann von Salza w uznaniu wielkości tego, czego dokonał, został zatwierdzony jako Wielki Mistrz Zakonu. W encyklopediach można przeczytać, że Salza „położył podwaliny pod potęgę Zakonu przez uzyskanie dla niego wielkich nadań ziemskich” (encyklopedia Gutenberga). Dla biednego, pozbawionego wpływów zgromadzenia rycerzy, było to praktycznie niemożliwe, toteż nagłe, nieomal z dnia na dzień, przeistoczenie się chudopachołka w europejskiego mocarza graniczyło z cudem dla tych, którzy nie znali tajemnicy purpurowego srebra. „Zakon, początkowo nie mający większego znaczenia, uzyskał w początkach XIII wieku liczne nadania w Europie, głównie w południowych i środkowych Niemczech oraz we Włoszech, Austrii, Alzacji, Lotaryngii, Czechach i na Węgrzech (encyklopedia PWN).

W tych encyklopediach i opracowaniach specjalistycznych można przeczytać także o zadziwiającej metamorfozie, jaką przeszli Asasyni pod panowaniem Hasana III, syna

zamordowanego przezeń Mohammeda. Przekupiony „srebrnikiem Judasza” Hasan spacyfiko-wał sektę tak, iż przestała być ona groźną dla chrześcijan:

„Otruł Mohammeda II własny syn i następca, Hasan III, zwany Reformatorem lub Nowym Muzułmaninem, a to dlatego, że narzucił sekcje nadrzędność zasad religii (...), księgi zaś asasyńskie, zawierające skrytobójcze prawa, kazał spalić. Jako polityczne stowarzyszenie morderców Asasyni przestali właściwie istnieć, zamieniając się w sektę o charakterze czysto religijnym. Ten dziwny Starzec z Gór, który prowadził życie podobne do setek innych muzułmańskich szejków, rządził w latach 1210-1221” („Kontynenty” 2-1976).

Placówka Krzyżaków w Palestynie funkcjonowała do roku 1291, lecz gros rycerzy Zakonu od dawna już rezydowało w Europie, szukając miejsca na założenie niezależnego państwa. Wybrali początkowo Węgry (Siedmiogród), by szybko dojść do wniosku, że tereny przylegające do południowo-wschodnich wybrzeży Bałtyku są o wiele bardziej podniecające — dają większe perspektywy. Najpierw, w roku 1226, otrzymali od polskiego księcia, Konrada Mazowieckiego, skrawek ziemi chełmińskiej za cenę pobicia wrogów Mazowsza, Prusów. Potem puścili w ruch purpurowe srebro i w Europie rozpoczął się kontredans bezprawia: każda władza świecka i kościelna (z papieżem włącznie), do jakiej się zwrócili, uznawała ich prawo do coraz większych obszarów Prus na podstawie ewidentnie sfałszowanych dokumentów (zwłaszcza tzw. Kruszwickiego przywileju Konrada). W ten sposób podbili Prusy z formalnoprawnego punktu widzenia, trzeba je było wszakże podbić również mieczem, łamiąc opór zamieszkujących te ziemie pogan. Dokonali tego w latach 30-tych, przy pomocy inflanckiego Zakonu Kawalerów Mieczowych.

W roku 1237 Krzyżacy wchłonęli siłą purpurowego srebra zakon rycerzy inflanckich i wówczas nadbałtyckie państwo czarnego krzyża rozciągnęło się od Pomorza Gdańskiego aż po Zatokę Fińską, z jedną białą plamą pośrodku. Między Prusami a Inflantami pozostawała dzika, trudno dostępna, nie zdobyta Żmudź...

Żmudź (litewskie Žemaitis, łacińskie Samogitia) aż do końca XIX wieku była najbardziej tajemniczą krainą Europy. Gdyby nie istniała naprawdę, trudno byłoby w nią uwierzyć, bo nawet legendy mają jakieś granice wiarygodności. Tyle rzeczy i zjawisk wydawało się tu mieć miarę niezwykłą. Były tu budowle rodem z prastarych klechd, kurhany tak ponure, jak osierocone matki i krzyże tak samotne, jak obłąkani pustelnicy. Była to kraina niezmiernych puszczy, bezdennych jezior i nietkniętych nogą człowieka bagien, pełna widm i upiorów, mieszanina terenów odpychająco nieprzyjaznych i bajkowo uwodzicielskich. Na rozległych połaciach tego mini kontynentu między Niemnem, Wilią, Niewiażą i wybrzeżem Bałtyku, którego drgający horyzont stanowił nie wytyczoną granicę, tubylcze plemiona przez całe wieki żyły marzeniami zakotwiczonymi w mitologicznej przeszłości, jakby kolejne stulecia stanowiły nieprzemijającą całość.

Dla Krzyżaków Żmudź była wyzwaniem, siedziała na ich pysze niczym bolesny wrzód i czynili wszystko, by ją opanować. W latach 40-tych XIII wieku pierwsze ich wyprawy sondażowe ginęły w żmudzkiej czeluści niczym łódź rybaka zepchnięta przez Neptuna w morski otmęt — ani jeden knecht nie wracał. Lecz kiedy krzyżacka ekspansja ku wschodowi została zahamowana przez Aleksandra Newskiego w krwawej bitwie na lodach jeziora Pejpus, Zakon zrezygnował z podboju Rusi i całą swą potęgę obrócił przeciwko Żmudzinom.

Pierwsza wielka kampania żmudzka miała miejsce w latach 1252-54 i przyniosła mizerne efekty. Żmudzczy książęta, rozumiejąc, iż sami nie poradzą sobie, sprzymierzyli się z Mendogiem, władcą Litwy, uznali jego zwierzchnictwo, po czym wspólnie rozgromili korpus inflanckiego odłamu Krzyżaków nad jeziorem Durbe (1260). Wieść o tej klęsce ciemiężycieli poderwała do buntu Prusów i tak prawie wszystkie nadbałtyckie posiadłości Deutscher Orden stanęły w ogniu. Nowo pobudowane zamki krzyżackie zaczęły padać jeden po drugim, białe płaszcze z czarnymi krzyżami pokryły wiele zboczonych krwią pól, powstańcy triumfowali wszędzie i Zakon stanął w obliczu katastrofy. Ale wówczas Wielki Mistrz Anno von Sangerhausen otworzył sekretne skarbiec Zakonu w Wenecji, wyjął zeń skrzynię złota i garść purpurowego srebra, i znowu wydarzył się „cud”. Z całej Europy napłynęło do Prus rycerstwo chrześcijańskie, natchnione pobożnym zapalem bicia słabszego w imię Chrystusa, a że na dodatek wśród buntowników pojawiły się „milczące psy” — powstanie stłumiono jak chluśnięciem wodą na płonąca żagiew.

Wobec tego generalnego sukcesu drobiazgiem, prawie niegodnym uwagi, było wystawienie Mendogowi rachunku za Durbe przy pomocy kilku różanych srebrników — król Litwy został zamordowany w roku 1263 przez pobratymców, książąt litewskich, na których wpłynął litewski „milczący pies”.

Przez cały XIV wiek Krzyżacy powiększali swoje posiadłości mieczem (począwszy od podstępnego opanowania Gdańska w roku 1308 i zawładnięcia Pomorzem Gdańskim) oraz purpurowym srebrem (dzięki niemu wygrywali jeden po drugim procesy z Polską przed sądem papieskim, kupili sobie współpracę Czechów za panowania Jana Luksemburskiego etc.). Szczególnie zaciekle nastawali dalej na Żmudź, którą władał od roku 1341 trocki książę Kiejstut, syn Gedymina, współrządca Litwy wraz z bratem Olgierdem. Zorganizował on przeciw Krzyżakom 42 wyprawy odwetowe. Droga powrotna z którejś z tych ekspedycji (około roku 1347) wiodła przez jedyny port Żmudzi i święte miejsce kultowe Żmudzinów, Połagę...

W Poładze (Polandze) znajdowała się świątynia głównego bóstwa żmudzkich plemion, Praużime (Praamżimas, Prokorimos, Pramżu, Praurme). Bóstwo to było żeńską odmianą fatalistycznego bóstwa przeznaczenia i konieczności, zwanego Lajma, gdy było złem, i Lakkimas, gdy oznaczało dobro. Kult ten zakładał, że wszystko, co istnieje, bogowie, ludzie, zwierzęta i cały kosmos, rządzone jest mocą nieubłaganego prawa konieczności i ostatecznego przeznaczenia, od którego nie ma odwołania ni ucieczki, a jego materialną projekcją był święty ogień. Tak zwane znicze ofiarne stanowiące ołtarze płonęły w wielu miejscach na Żmudzi; ich popioły miały pono cudowną moc leczniczą, z ich płomieni wróżono i dzięki nim dochodzono prawdy, ich zgaśnięcie wieszczyło klęskę lub kataklizm — winnych zagaśnięcia znicza palono na stosie. Najważniejsze ze świętych ognisk płonęło na przybrzeżnej górze w Poładze, podtrzymywane nieustannie przez żmudzkie wajdelotki, kapłanki zobowiązujące się zachować czystość pod karą spalenia, zakopania żywcem bądź utopienia w rzece. Kiejstut ujrzał w Poładze najpiękniejszą z wajdelotek, córkę możnego Żmudzina, Widymunda, słynną Birutę. O jej urodzie krążyły równie fascynujące legendy jak o wykształceniu Kiejstuta (władał kilkoma językami), o jego odwadze, prawości i szczęściu. Znakomity historyk, Julian Klaczko, pisze w „Unii Polski z Litwą”:

„Kiejstut kochał się w walkach dla nich samych, dla wrażeń, jakich dostarczały, dla przymiotów, jakie odstaniały. Niejednokrotnie był wzięty w niewolę wskutek unoszącego zapachu, który go wpędzał w najniebezpieczniejszy wir bitwy, ale i tylekrotnie bywał uwalniany, bo umiał pozyskiwać stróżów i dozorców więzień. W jednej z takich przygód, po ośmiu miesiącach niewoli teutońskiej, zdołał pewnego dnia umknąć w sukni zakonu (stawny płaszcz biały z czarnym krzyżem) na koniu samego wielkiego mistrza; zaraz od granicy odesłał rumaka wraz z przeprosinami”.

Postać Kiejstuta Klaczkó ujmuje w zdaniach, w których aż roi się od słowa honor i pochodnych: *„Serce jego było proste, a dusza szlachetna (...) W epoce niezbyt oddalonej od mężów takich jak Ryszard Lwie Serce, wierzył w honor (...) był uosobieniem skończonego — z wyjątkiem wiary — chrześcijańskiego rycerza, przejęty miłością do ludzi, zapaleni wojennym i uczuciami honoru (...) Tak wróg, jak przyjaciel, wiedzieli, że świętym jest słowo Kiejstuta, że nad odwagę wyżej cenił tylko honor”.* Najciekawsze jest to, że Klaczkó zaczerpnął ową charakterystykę z kronik... niemieckich! Nawet mnisi germańscy, spisujący kroniki Zakonu, którego Kiejstut śmiertelnym był wrogiem, przyznawali, iż *„przede wszystkim kochał prawdę i sławę”.*

Trzecią kochanką była Biruta. Pan na Żmudzi, Trokach, Podlasiu i Polesiu zakochał się i zgwałcił święte prawa swego narodu, porywając dziewicę od ołtarza.

Pierwszą noc spędzili na postoju w głębi kniei. Kiedy książe zbliżył się do jej szałasu, stanęła w otworze wejściowym z nożem w dłoni. Gdy zrobił jeszcze jeden krok do przodu, przyłożyła kraniec ostrza do swej szyi. Stali tak naprzeciw siebie, milcząc i patrząc sobie w oczy, otoczeni struchlałymi wojami, z których jeden musiał wcześniej podsunąć nóż wajdelotce, by uchroniła siebie i Kiejstuta od zemsty Prauzime. Potem on coś powiedział szeptem, którego nikt nie dosłyszał, a jej ręka opadła i Biruta cofnęła się w głąb szałasu. Kiejstut wszedł za nią. Gdy rano dosiedli koni, ona nie była już wajdelotką, on zaś nie był dzikusiem. Oboje byli zakochani.

Biruta urodziła Kiejstutowi kilku synów (w tym głośnego Witolda) i kilka córek. Lud kochał ją, bo chcąc przebłagać Prauzime stała się żarliwą opiekunką starego obrządku i swą wiarą zaraziła męża. Lud tedy pokochał i Kiejstuta, gdyż stał on mocno przy wierze ojców, podczas gdy coraz więcej litewskich książąt mniej lub bardziej widocznie oglądało się na chrystianizm. Pozwalał żonie często odwiedzać Połagę, gdzie przyjmowano ją z szacunkiem należnym królowej, wierząc, iż Prauzime przebaczyła Birucie odkąd wajdelotką została najstarsza z jej córek, Miłłowska. Pewnego dnia w roku 1381 księżna wróciła do męża z wiadomością, że przy wybrzeżach Połagi zatonał krzyżacki statek...

Przez niespełna sto lat od roku 1290 purpurowe srebro spoczywało w tajnym skarbcu weneckim, przywiezione tam przez Krzyżaków wycofujących się z Ziemi Świętej (Wenecja była stolicą Zakonu od roku 1291). Z owego skarbcza czerpano purpurowe srebrniki, korumpujące z niesłychaną siłą, czego dowodem jest choćby fakt, iż w XIV wieku udało się Krzyżakom przekupić ludzi na dworach litewskich książąt walczących z Zakonem i tak zwaśnić Litwinów, że czarny krzyż nie musiał się obawiać ich miecza (najbardziej pożyteczne okazało się skłócenie Władysława Jagiełły z jego stryjcem Kiejstutem i stryjecznym bratem Witoldem). Książęta litewscy, omotani radami „milczących psów” ze swego otoczenia, poczęli na wyścigi wchodzić w alianse ze śmiertelnym wrogiem Litwy, ślepi na samobójczość tej polityki.

W roku 1309 stolica Zakonu została przeniesiona do Malborka, gdzie już istniał wybudowany przez Krzyżaków tzw. Zamek Wysoki, ale teren nadbałtycki był jeszcze zbyt niespokojny i niepewny, by można było zaryzykować umieszczenie tam srebrnego skarbu. Dopiero gdy powstał Zamek Średni i potężne fortyfikacje zewnętrzne, zaś Litwa poniosła kilka ciężkich porażek i wydawała się niegroźną — w roku 1380 Wielki Mistrz Winrich von Kniprode podjął decyzję. Purpurowe srebro załadowano na statek chroniony przez dwie inne jednostki i konwój ten wyruszył drogą przez Gibraltary, Kanał La Manche i cieśniny duńskie na Bałtyk. Nie zaryzykowano drogi lądowej, gdyż Europa była niespokojna, kotłowały się w niej wojny wszelakiego kalibru. Lecz gdy konwój dosięgnął Zatoki Gdańskiej (1381), Bałtyk okazał się równie niespokojny. Potworna burza rozproszyła statki i zniosła ten ze skarbem daleko na północny - wschód. W nocy kapitan dostrzegł światło i zrozumiał, że jest blisko brzegu. Próbował trzymać się od niego z daleka, lecz to na nic się zdało. Statek rozbił się o wpadające do morza zbocze góry zwieńczonej świętym zniczem i utknął na skale. Rano poładzcy Żmudzini wymordowali większość rozbitków i zawładnęli purpurowym srebrem, które Kiejstut dobrze schował, wiedząc już od torturowanego skarbnika Zakonu jaką właściwością charakteryzuje się ten łup.

W roku 1382 Jagiełło, sprzymierzony z Krzyżakami, uwięził stryja na zamku w Krewie i kazał go zamordować. Mówiono, że olbrzymią rolę odegrała tu intryga Marii, żony powieszonoego przez Kiejstuta Wojdyłły — mściwa kobieta miała działać przez Bilgena, brata komendanta krewskiego zamku. Ale mówiono także, iż zadecydowało purpurowe srebro, którym Krzyżacy przekupili Bilgena i Marię, w efekcie czego podsyciła ona nienawiść Jagiełły do księcia Żmudzi.

Nigdy zapewne nie dowiedzielibyśmy się jak przebiegał sam mord, gdyby nie wizyta w Polsce (na dworze króla Stefana Batorego) jednego z najbardziej niezwykłych przedstawicieli gatunku „homo sapiens”, Anglika Johna Dee. Sprawa ta ma kluczowe znaczenie dla wyjaśnienia historii purpurowego srebra w okresie poprzedzającym wydarzenia, które opowiem na beletrystycznych kartach tej książki. Dlatego poświęcę jej większą uwagę; posłużę się przy tym m.in. znakomitą pracą Romana Bugaja („Nauki tajemne w Polsce w dobie odrodzenia”) oraz pewnym rękopisem.

Bugaj, zapoznawszy się z całą (bardzo bogatą) literaturą na temat Johna Dee, przedstawił sławnego maga i okultystę tak:

„Doktor John Dee był znakomitym uczonym i filozofem, a jego zasługi cenione są również obecnie. Napisał szereg traktatów naukowych z zakresu astronomii, matematyki, kalendarologii i geografii. Najbardziej jednak zasłynął ze swych eksperymentów magicznych - krystalomantycznych (...). W wyniku wytrwałych studiów w dziedzinie optyki skonstruował specjalne zwierciadło, mające ponoć właściwość ukazywania wizji. Zwierciadło to stało się głośne w całej Europie. Oto jak sam Dee opisuje ten przedmiot w przedmowie do angielskiego przekładu «Euklidesa» (1570): «Zapewne to dziwne do słyszenia, ale rzeczywiście jest to jeszcze bardziej cudowne, niż słowa me to mogą oznajmić. I niemniej przez optyczny wkład można wyjaśnić porządek i przyczynę tego zjawiska: można wszystko tak wyłożyć, że wynik musi nastąpić» (...). W kaplicy, niedostępnej dla nie wtajemniczonych, przeprowadzał Dee w obecności swego medium seanse z duchami, czyli tzw. «akcje». Jako medium służył mu aptekarz-alkemik Edward Kelley...”.

O podobnych zwierciadłach pisał jako ekspert Ignacy Matuszewski: „Zwierciadła takie odgrywały niemałą rolę w magii, służyły bowiem, razem z kryształami (...) do wywoływania pewnego rodzaju duchów (...). Mag, wpatrujący się przez dłuższy czas w błyszczącą powierzchnię, dostrzegał w niej obrazy miejscowości oraz osób (...). Przynajmniej opowiadania o doświadczeniach tej kategorii robionych dawniej w Europie (John Dee) brzmią bardzo podobnie” („Czarnoksiężstwo i mediumizm. Studium historyczno - porównawcze”).

Inny polski uczyony, Ryszard Gansiniec:

„Sukcesy w dziedzinie optyki, gdzie Dee drogą eksperymentalną zdołał wywołać zjawy, niepojęte dla laika, mogły go skłonić do zajęcia się krystalomancją, której proces przecież także, naukowo biorąc, należał do zakresu optyki” („Krystalomancja”).

Obok magicznego zwierciadła Dee posiadał także magiczny kryształ. „Kryształ ten, o kształcie pomarańczy (...), polecił mag ustawić na złotej podstawie i przez całe życie posługiwał się nim z największą czcią (...). Jego medium, Kelley, wierzył niezachwianie w realność zjaw pokazujących mu się w kryształach (...). Dysponując tak cudownym źródłem informacji Dee stał się prorokiem” (Bugaj).

Człowiekiem, który spowodował przybycie Johna Dee do Polski, był wojewoda sieradzki Olbracht Łaski. Wyjechał on do Anglii w roku 1583 i odwiedził Johna Dee w Mortlake, gdzie 2 lipca znajoma czarownika, Madini, ostrzegła ich, że grozi im skrytobójcze morderstwo (te i inne szczegóły czerpię m.in. z M. Casaubon, „A true and faithful Relation...”, London 1659). Jaką więc wagę musiały mieć rozmowy Polaka z Anglikiem, jeśli już na tamtym etapie, wstępnym zaledwie dla zaangażowania Batorego w próbę zdobycia purpurowego srebra, próbowano uniemożliwić rzecz całą skrytobójstwem? „Ponadto Dee wspomina w swym diariuszu o jakimś szpiegu, który potajemnie obserwował go i śledził w Mortlake. W tej napiętej i pełnej niepokoju sytuacji Łaski oraz Dee i Kelley podjęli nagłą decyzję opuszczenia wraz z rodzinami Anglii i wyjazdu do Polski” (Bugaj).

23 maja 1585 roku polsko - angielska trójka stanęła przed królem Stefanem Batorym w zamku niepołomickim. Batory, dzielny Węgier osadzony na polskim tronie, interesował się naukami tajemnymi („Wjeżdżając do Polski radził się astrologów, a także termin swego ślubu z Anną Jagiellonką ustalił w oparciu o wskazówki astrologów”). Interesował się również zachłannością wschodniego sąsiada, Iwana Groźnego, toteż w latach 1579, 1580 i 1581 przedsięwziął trzy zwycięskie wyprawy wojenne przeciw Rosji, które na pewien czas pohamowały imperialistyczne ciągoty Iwana, przynajmniej w sferze militarnej. W roku 1578, gdy podjął decyzję o pierwszej z tych ekspedycji, próbował mu ją odradzić „dla dobra kraju” zaufany doradca, nadworny czarnoksiężnik Wawrzyniec Gradowski, lecz monarcha nie przychylił ucha do tej rady. Wówczas „Gradowski (...) usiłował w 1578 roku otruć króla, za co został wtrącony do więzienia w Rawie. Sprawa wydała się na skutek oskarżenia Gradowskiego przez jakąś «starą czarownicę»”, (Bugaj).

W więzieniu w Rawie zamachowca położono nago na „łożu sprawiedliwości”, obuwając na domiar „hiszpańskimi butami”. Kiedy miał już powyrywane wszystkie stawy i zmiżdżone wszystkie palce u rąk i nóg, posypano je solą, a wówczas wyznał ostatnią prawdę i tak król Batory po raz pierwszy usłyszał o purpurowym srebrze. Podczas kolejnych kampanii wojennych przeciw Iwanowi starał się dowiedzieć czegoś więcej, przypalając nad ogniem nogi jeńców, nieszczęśnicy ci wszakże nie mieli pojęcia o co

chodzi, przez co umierali w stanie niezupełnie surowym, a król począł wątpić w prawdomówność Gradowskiego. Dopiero od schwytanego rosyjskiego bojara, który okazał się człowiekiem nader wykształconym i do tego przełożonym carskich szpiegów, Batory dowiedział się, że carowi purpurowe srebro służy do tego, by zaufanych ludzi wrogów Moskwy przemieniać w zaufanych ludzi Moskwy, czyli w „milczące psy”. Na pytanie, dlaczego tak się nazywa tych zdrajców, jeniec odparł: „Bo purpurowe srebro wyrywa języki ich sumieniom i knebluje ich pamięć o ojczyźnie”. Na pytanie, gdzie jest skarbiec z tym srebrem, kniaź wykrztusił: „Gdzieś na Żmudzi”. Na pytanie, gdzie konkretnie, jęknął: „Nie wiem!” i oddał ducha Bogu, zmęczony gorącą manierą prowadzenia z nim dyskusji.

Przemierzając Litwę Stefan Batory wypytywał kogo mógł w interesującej go sprawie, usłyszał jednak wyłącznie legendę o „srebrze Uburtisa” (którą później przytoczę), a wysłany na Żmudź z oddziałem żołnierzy rotmistrz Sandor Kiss wrócił z niczym. Dlatego wkrótce po ostatniej wyprawie (1582) monarcha wysłał Łaskiego do Anglii (1583), by sprowadził mu jasnowiedza Johna Dee.



Jon Dee (rys. Andriolli)

Na miejsce spotkania króla z Anglikiem wybrano ustronny zamek w Niepołomicach i otoczono go specjalnym oddziałem wojska składającym się w przeważającej mierze z Węgrów Kissa. O skali zagrożenia świadczy fakt, że przed spotkaniem z magiem Batory spisał swój testament.

Znane są dwa seanse „spirytystyczne” duetu Dee-Kelley przed Batorym (w dniach 27 i 28 maja 1585 roku) — głównie z wydanej w roku 1659 w Londynie 23-tomowej pracy M. Casaubona

o równie wielkim tytule, którego tylko fragment zacytuje: „Prawdziwa i wiarygodna



Edward Kelley (rys. Andriolli)

relacja o tym, co działo się przez wiele lat między dr. Johnem Dee (...) a pewnymi duchami (...). Jego prywatne konferencje ze (...) Stefanem królem Polski...”. Casaubon przedrukował duże partie diariusza prowadzonego przez doktora Dee w dniach 22 grudnia 1581 — 23 maja 1588. Dlaczego nie przedrukował wszystkiego, tego już się dzisiaj nie dowiemy, chociaż możemy się domyślać. W dwieście lat później inny Brytyjczyk, Hallivell, przedrukowując diariusz Johna Dee, również nie opublikował wszystkiego, czym dysponował (J. O. Hallivell, „The Private Diary of Dr. John Dee...”, London 1842). Potomek Hallivella, do którego dotarłem, nie potrafił mi tego wyjaśnić i dopiero kiedy mu powiedziałem jakim tropem idę, przełamał swoje wątpliwości i udostępnił mi rodzinne papiery z odręcznymi zapiskami Johna Dee. Jeden z nich

pozwoił mi zrozumieć ową zadziwiającą lukę między 23 maja 1585 roku (pierwsze spotkanie duetu Dee—Kelley z Batorym) a 27 maja (pierwszy znany z drukowanych

relacji seans okultystyczny dla króla) — lukę, na którą dotychczasowi badacze nie zwrócili uwagi. A powinni byli to zrobić, bo czyż nie jest dziwne, wręcz nonsensowne, że Dee i Kelley zaprezentowali swoje nadnaturalne umiejętności dopiero w piątym dniu od momentu powitania ich przez króla? Co robili przez cały ten czas w niepołomickim zamku?! Czyż nie jest po dwakroć dziwne, że oba znane z druku seanse to stek banalnych frazesów natchnionej zjawy, mówiącej o miłosierdziu bożym, o konieczności nawracania się z drogi grzechu, etc., etc.? Po to było potrzebne otaczanie zamku kordonem z najlepszych ludzi Kissa i pisanie przez króla testamentu? I wreszcie po raz trzeci: czyż nie jest dziwne wobec wspomnianej banalności kontaktów Batorego z dwoma Anglikami (zakładając, że były one tak bzdurne, jak to znamy z relacji drukowanych), iż następca Iwana Groźnego, car Fiodor, robił wszystko, by do tych seansów nie dopuścić? Echo tych starań, bez wątpienia za pomocą purpurowego srebra, znajdujemy na stronie 129 książki Bugaja: „W czasie pobytu w Polsce otrzymał Dee lukratywną propozycję od cara Fiodora, który pragnął go ściągnąć do Moskwy, ofiarowując mu kolosalną pensję roczną”.

Dokument znajdujący się w rękach potomka Hallivella ma stokroć większe znaczenie od wszystkich przekazów drukowanych. Jest to opis dubeltowego seansu z dnia 24 maja 1585 roku. W komnacie królewskiej znajdowało się pięciu ludzi: król Stefan Batory, wojewoda Olbracht Łaski, rotmistrz Sandor Kiss, doktor John Dee i medium Edward Kelley (tłumacz nie był potrzebny, król bowiem znał wybornie kilka języków, w tym łacinę i niemiecki). Batory zażądał od maga ujawnienia mu tajemnicy purpurowego srebra. Dee skłonił się, poprosił o coś, co mogłoby go „naprowadzić” (król wręczył mu srebrnik znaleziony u Gradowskiego) i przystąpił wraz z Kelleyem do pracy, używając lustra i kryształu. Wprowadzony w trans Kelley ujrział ciemną, murowaną izbę na zamku malborskim. Przy stole siedział siwobrody mąż, który przypominałby starożytnych proroków, gdyby jego twarz nie świeciła złowrogo, a spojrzenie nie było ostre niby żelazny pręt zahartowany w piekielnym ogniu. Odziany był w biały habit z czarnym krzyżem na lewym ramieniu. Naprzeciwko niego stał przy stole rycerz, którego zbroję częściowo zakrywała opończa z wielkim krzyżem biegnącym przez pierś od szyi do pasa. Palce to zaciskał kurczowo, to rozprostowywał, wyrzucając z siebie słowa ochryłym szeptem, jak w gorączce. Pod wysokim gotyckim sklepieniem każde słowo, nawet najcichsze, eksplodowało i odbijało się mocnym echem ku wiszącym na ścianie krucyfikowi, klepsydrze oraz tarczy bojowej z mieczami i potężnym rogiem, które blask świec dobywał z półmroku wyraźnie jak na strzelnicy.

— Boże mój, broń mnie przede mną! — rzekł rycerz.

— Amen — odparł spokojnie siedzący. — Niech cię Bóg strzeże przed twoją słabością.

Rycerz oderwał wzrok od krucyfiksu i spojrzał na swego rozmówcę.



Król Stefan Batory (portret pędzla M. Bacciarellego), gospodarz magicznego seansu wykonanego przez duet Dee-Kelley

— Bracie, zali nie pomnisz, iż ten człowiek nieraz uwalniał braci zakonnych wziętych w niewolę, że oszczędził komtura Othona i jego załogę we wziętym Johannisburgu, że zawsze chronił...

— Właśnie prosiłem Boga, aleś pewnie nie dosłyszał, żeby cię z a w s z e c h r o n i ł przed słabością w walce ze złem, słabością bowiem jest litowanie się i wspomnianie łzawe, które białogłowom przystoi. To, co wspominasz, dawno było, odmieniły się czasy. Nasze zaś powinności nie odmieniły się i wypełniać je trzeba.

W oczach rycerza zabłysnął rozpaczliwy sprzeciw.

— Ja, brat Wielkiego Mistrza Zakonu Marii Panny... ja, rycerz pasowany... ja mam być katem?!... I to w taki sposób, nawet nie sztyletem lub mieczem!... Bracie!!...

— Masz być ramieniem sprawiedliwości, a przedtem odzyskać to, co nasze. Wiesz jak. Ruszaj!

Rycerz osunął się na kolana.

— Bracie, błagam cię... Każ mi walczyć samemu przeciw stu, pójdę!... Każ mi odbierać życie wrogom, ale w walce, na polu, nie tak!...

— I tak trzeba dla chwały Pana.

— Co?!... Piąte nie zabijaj, powiedział Zbawiciel!... Niech to zrobi ktoś inny!

— Mylisz się. Piąte n i e m o r d u j, powiedział Pan. Swoich rąk nie ubrudzisz, zrobią to twoi knechci, ty dopilnujesz. Zabójstwo poganina nie jest grzechem, nawet zabójstwo takim sposobem, nie przeczę, że barbarzyńskim. Tak chce Jagiełło i na jego to pójdzie sumienie, a że zlecił to nam, to tylko nasze szczęście, bo będziemy mogli odzyskać różane srebro. Zresztą... zabójstwo naczelnika



Decydująca rozmowa między Ulrichem (z prawej) i Winrichem von Kniprode (rys. Walerego Eliasza)

pogan, który z wiarą Chrystusową walczy dla drewnianych bałwanów, co się pienią po ich lasach, jest uczynkiem miłym Trójcy Przenajświętszej! In morte pagani gloryfikatur Christus*... Bracie, pojmiij wreszcie! Bez tego srebra, choćbyśmy mieli najostrzejsze miecze na Ziemi, najtwardsze tarcze i najmężniejsze serca, nie utrzymamy się tu, zmiotą nas prędzej czy później!

— Bóg nam pomoże!

* — Śmiercią poganina sławi się Chrystusa.

Siedzący spojrział na klęczącego pobłażliwie i w oczach zamigotał mu cień zdumienia naiwnością ludzką.



Wielki Mistrz Zakonu Krzyżackiego, Winrich von Kniprode (odwrócony tyłem) i jego brat, komtur Ulrich von Kniprode (obraz A. Popiela).

— Ja zaś mam prawo rozgrzeszyć każdego, kto pracuje dla chwały Zakonu! Ego te absolve in nomine...^{**}

— Bracie — przerwał mu rycerz, zaglądając bratu w oczy — wierzysz w zbawienie?... Na rany Chrystusa, powiedz mi prawdę!

Starzec pocałował go czule i rzekł:

— Una salus servire Deo, caetera fraudes... Intelligis?... Prudenter agę et fiat voluntas Dei... Sine mora!^{***}

W tym momencie Kelley roześmiał się całym gardłem, rycząc: ha! ha! ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!, i ocknął się. Według zapisu doktora Dee: to szatan roześmiał się przy ostatnich

— Zaiste... pomoże nam, jeśli pomożemy sobie sami!... Mówisz: kto inny... Kto?! To jest najważniejsza ze wszystkich rzeczy, nasze być albo nie być! Sekret zna tylko pięciu członków Zakonu: Hochmaister, Grosskomtur, Oberster Marschall, Oberster Spittler i Tressler*. Teraz ty jesteś szósty. Uczyniłem cię szóstym bez zgody Wielkiej Rady, która mnie obwinia o utratę skarbu. Wtajemniczając cię złamałem prawo, ale musiałem to uczynić, bo sam jestem za stary, żeby tam jechać, a poza sobą tylko do ciebie mam zaufanie, bracie!

Schylił się i unióśł rycerza z kolan, by go przytulić do piersi.

— Jeśli tego nie zrobisz, wydasz wyrok na mnie i na siebie! Von Rothenstein tylko czeka, żeby nas usunąć. Śmierć Kiejstuta i purpurowe srebro zamkną mu pysk, a ty obejmiesz po mnie przywództwo Zakonu! Lecz Wielka Rada wyrazi na to zgodę jedynie wówczas, gdy dokonasz tak wielkiego dzieła.

Głowa rycerza drżała w ramionach starca, którego głos stał się nagle łagodny i miękki niczym ciało węża:

— Zrobisz to, bracie, dla nas dwóch, dla Zakonu i dla Chrystusa, prawda?...

— Zrobię... — wyszeptał rycerz.

— Niech Duch Święty wspiera twój rozum i twoją dłoń. Spiesz się, Jagiełło może się rozmyślić, albo sam dowie się o purpurowym srebrze i okradnie nas... Boję się tego pogańskiego psa...

— Ja boję się Boga...

Głos Wielkiego Mistrza zabrzmiał dzwonem:

* — Wielki Mistrz, Wielki Komtur, Naczelny Marszałek, Wielki Szpitalnik i Skarbnik Zakonu.

** — Rozgrzeszam cię w imię...

*** — Jedyna droga zbawienia w służbie Bożej, reszta marność... Rozumiesz?... Czyn mądrze i niech się dzieje wola Boża... Bez zwłoki!

słowach, a medium bezwiednie przekazało tę reakcję, tak jak przedtem dialog Wielkiego Mistrza Winricha von Kniprode z jego młodszym bratem Ulrichem.

Drugi seans miał miejsce wieczorem tego samego dnia. Tym razem Kelley ujrzał ciemny korytarz zamku w Krewie. We wnęce oświetlonej luczycem stało czterech ludzi: komendant zamku, Prora, jego brat, milczący pies Krzyżaków, Bilgen*, przybyły z Bilgenem wysłannik Jagiełły, Zybentej, i bezimienny oprawca, krewianin, człowiek Prory**. Daleko, na drugim krańcu korytarza, rozległy się twarde uderzenia o posadzkę, wędrujące echem wzdłuż ścian, tak iż wydawało się, że zamek drży w posadach. Czterej czekający ujrzeli w czeluści półmroku małe, powiększające się sylwetki — był to Kniprode ze swymi przybocznymi knechtami i prowadzący ich zastępca Prory. Bilgen nachylił się do ucha brata:

— Idą.

— Słyszę!... Tylko...

— Tylko co?

— Tylko wciąż mi trudno pojąć, dlaczego Jagiełło chce, żeby to zrobił ten krzyżacki wilk?

Bilgen wykrzywił twarz w uśmiechu.

— Książę jest mądry, chce mieć czyste ręce, by potem, gdyby rzecz się wydała, nikt nie szczekał, że zamordował własnego stryja.

— Powiadasz — mądry? A ja myślę...

Bilgen położył mu dłoń na ustach, wskazując znaczącym spojrzeniem Zybenteja, po czym spytał:

— Ty będziesz rozmawiał z Krzyżakiem, czy ja?

— Wszystko mi jedno. Kto to jest?

— Kniprode, brat Wielkiego Mistrza... Dobrze wybrali, to najodważniejszy z Zakonu. Mówią, że ma serce twardsze od pancerza swej zbroi.

— Zobaczymy... Najtwardszym mdlały łapy, gdy stawali przed Kiejstutem. Żmudzini twierdzą, że potrafi zabijać Krzyżaków wzrokiem.

Bilgen zachichotał rozbawiony:

— Może książę chciał sprawdzić, czy to prawda, ha, ha, ha, ha!... Nie pleć, ten człowiek stawał w stu bitwach i chciałbym mieć tyle groszy, ilu naszych ubił.

— Tfu! — splunął Prora.

Zamilkli. Po chwili Krzyżak, trzymając swój hełm w lewej dłoni, a prawą na rękojeści krótkiego korda, wsadzonego za pas w miejscu, z którego zwisały łańcuszki dźwigające pochwę miecza, stanął przed nimi.

— Który z was jest przełożonym zamku? — spytał.

— Jam jest — odpowiedział Prora, wynurzając się z cienia. Komtur odwrócił się w jego stronę i wycodził ze złością:

— Więc dlaczego brat Wielkiego Mistrza Zakonu witany jest w bramie przez pachółka?!

* — Ignacy Chodźko napisał o nim w swych „Obrazach litewskich”: „*duszą i ciałem oddany Krzyżakom*”.

** — Według Chodźki człowiek ten nazywał się Kuczuk, według innych źródeł: Kuczik lub Kuczyk. Różne źródła podają odmiany nazwisk: Prora (Proksza, Proxa) i Zybentej (Zibentij, Zybentiej, Lisica zibentiej). Mieli im pomagać dwaj mieszczanie z Krewy: Gedko (Gałko) i Mosłew (Mostew). Według niektórych przekazów Mostew (Mostów) był bratem Bilgena, więc albo Chodźko myli się czyniąc Prorę bratem Bilgena, albo Bilgen miał dwóch braci, albo wreszcie Mostew i Prora to jedna i ta sama osoba.

Prora zatrzęsło. Wyszczerył zęby i chciał odwarknąć, lecz znowu poczuł rękę swego brata, tym razem na ramieniu. Bilgen wysunął się przed niego i rzekł słodko:

— Wybaczcie, szlachetny komturze, ale spodziewaliśmy się was trochę później. Mój brat darzy Zakon równym szacunkiem, jak my wszyscy, czego dowodem jest wieczerza, którą przygotował dla was...

— Nie będę jadł!... — przerwał Kniprode, z ledwością powstrzymując się od dodania: z wami! — przystąpmy do rzeczy. Gdzie jest więzień?

Bilgen wyjął z ręki brata ciężki klucz i pokazał go Krzyżakowi, mówiąc:

— W lochu.

Kniprode oddał hełm jednemu z knechtów, spojrział na klucz, jakby miał przed sobą dziwadło, i zapytał:

— Którędy?

Ruszyli schodami do piwnic, krocząc bez jednego słowa. Na dole Krzyżak zwrócił się do Prory:

— Jest sam?

— Nie, jest z nim służący, Ostafi Omulicz.

— Będzie mi przeszkadzał.

— Nie będzie — odrzekł głucho Prora.

Zatrzymali się przed dębowymi drzwiami. Bilgen włożył klucz w zamek, przekręcił dwukrotnie i szarpnął oburącz za klamę. Drzwi skrzypnęły złowrogo i otwały się na oścież. W ich świetle ukazała się przygarbiona sylwetka człowieka sprężonego do walki.

— Wyjdź! — rozkazał Bilgen.

Człowiek ani drgnął. W bladej aurze pochodni jarzyły się białka jego oczu. Bilgen ustąpił na bok i w tej samej chwili sługa Prory nacisnął spust kuszy. Bełt zgasił jedno oko tamtego, przebijając czaszkę na wylot i rzucając Omulicza na wznak. Wywleczono go za nogi do korytarza, a Krzyżak ruszył ku drzwiom, dając znak knechtom, by zaczekali. Dосkoczył do niego Bilgen.

— Panie! Sam?...

— Tak.

— Szlachetny panie, na Boga!

— Czego się boisz? Przecież mam broń, a on nie.

— On gołymi rękami dawał radę zbrojnym!

— Kiepscy musieli to być rycerze. Zejdź mi z drogi.

— Panie! — Bilgen nie ustępował — ale jego nie można mieczem... no... księżę Jagiełło żądał, by nie było krwi... księżę chciał...

Litwin położył dłonie na szyi i wykrzywił upiornie twarz, naśladowując grymas duszonego. Kniprode wzdrygnął się.

— Wiem. Wasz k s i ą ż ę chce, żeby wyglądało to na samobójstwo przez powieszenie. Nie podjąłbym się tego, gdyby nie to, że... Nie twoja sprawa! Ustąp.

Bilgen przepuścił go. Komtur wkroczył do wysokiej komnaty z okratowanym otworem u góry i zatrzasnął za sobą drzwi. Przez chwilę szukał wzrokiem, przyzwyczajając oczy do jeszcze większej ciemności niż w korytarzu, gdyż celę oświetlał jedynie wąty kaganek...

W kącie, na kamiennej ławie, siedział 85-letni mężczyzna, owinięty w ferezję wiążaną na srebrny sznur pod szyją i wyglądający na młodszego. Miał twarz zwróconą ku Krzyżakowi, ale ten nie widział oczu pod dwoma czapami krzaczastych brwi —

wydawało się, że Kiejstut zapadł w sen. Komtur stał nieruchomo, z ciałem naładowanym dygotaniem nerwów. Spojrzał w bok — ściany milczały tą samą ciszą. Nagle w tej ciszy rozległy się słowa wymówione tak doskonałą niemczyzną, iż Kniprode poczuł zapach ceglanych wnętrz Marienburga:

— Zabiłeś niewinnego. Czy twój Bóg, twoja wiara, pozwalają na to?



Kiejstut (XIX wieczy sztych)

Poczuł ulgę; głos tamtego przywrócił mu pewność siebie, przywracając realność sytuacji.

— Zabicie poganina nie jest grzechem! — odrzekł twardo.

— Zatem zabicie dwóch pogan też nie jest grzechem. Czym zaś jest zabicie bezbronnego przez rycerza, który otrzymał pas przysięgając na kodeks rycerski?

Komtur postąpił krok do przodu.

— Ty to mówisz? Ty, który spaliłeś żywcem tylu braci zakonnych wziętych w niewolę?

— Nie ja, lecz nasi kapłani, kriwe-kriwejty, i tylko wówczas, gdy mnie przy tym nie było. Nie pozwalałem męczyć brańców, a często uwalniałem. Zapomnieliście już o komturze Johannisburga i o jego ludziach?... I o tym, że to nie my wyciągnęliśmy rękę po własność Zakonu, lecz Zakon po ziemię naszych ojców?!

Kniprode spuścił oczy, niczym przyłapany na kłamstwie żak, lecz zaraz poderwał je z wściekłością.

— Szkoda słów, nie będziemy o tym gadać!

— A o czym? Widać chcesz o czymś gadać nim zabijesz, inaczej nie wlazłbyś tu sam.

— O srebrze ze statku, które ukradłeś Zakonowi. Gdzie ono jest? Litwin prychnął pogardliwie.

— G d z i e o n o j e s t?! — powtórzył Kniprode głośnie.

— W ziemi.

— Gdzie?!... Gadaj!

— Zmuś mnie.

Mówiąc to Kiejstut wyciągnął dłoń ku górze i przytrzymał ją nad płomieniem kaganka, aż po celi rozszedł się wstrętny swąd palonego ciała.

— Zapomnij o torturach, bo to nic nie da.

Kniprode poczuł, że znowu ogarnia go to dziwne uczucie, mieszanina bezradności i strachu przed człowiekiem, którego miał w rękę, a który z niego kpił, ponieważ bał się nie ten, który miał się bać. I nagle z ust wyszły mu słowa, których nie chciał powiedzieć, lub raczej które chciał powiedzieć w inny sposób, bardziej nie-złomnie, lecz nie zdołał powstrzymać tego drugiego, który szamotał się w nim od chwili rozmowy z bratem. W jego głosie zabrzmiała mimowolnie nuta prośby:

— Muszę... muszę się dowiedzieć...

W tym momencie Kiejstut wstał. Nie był olbrzymem, lecz kąć padania światła dał złudzenie, że przerasta Krzyżaka o głowę — zdawało się, iż wypełnia swym ciałem całą przestrzeń, od ściany do ściany. Podszedł do komtura i powiedział miękko:

— Wiem, że musisz... Powiem ci. Kniprode otworzył szeroko oczy.

— Powiesz?

— Tak. Pomogę ci, jeśli ty mi pomożesz.

Krzyżak zachnął się:

— Nie mogę dać ci uciec, twojej śmierci chce Jagiełło, a on jest sojusznikiem Zakonu.

— Ja też jej chcę, jestem zmęczony... Nie o tym myślałem. Powiem ci za inne życie.

— Czyje?

— Kobiety.

— Kobiety?!... Aaaa, myślisz o tej, która podjudziła twego bra-tankę, o żonie Wojdyły. Nie zabijam kobiet.

— Toteż ja nie chcę, byś zabił, lecz uratował. I nie myślę o żonie tego kreta, lecz o kobiecie, na którą nie starczyłoby tysiąca Marii... Taką kobietę, dumną i piękną jak wiosna, bogowie posyłają światu raz na pokolenie, tylko dla jednego. Ja nim byłem i wiem, że wszyscy możecie mi zazdrościć!... Posłuchaj, Krzyżaku! Niczego już nie pragnę od życia, chcę tylko, żeby przeżyła ona, żeby Jagiełło zabrał od niej swoje brudne łapy!... Obiecuj, że uratujesz Birutę, a powiem ci.

Komtur poczuł, że przy tym człowieku robi się jeszcze mniejszy i nawet nie zauważył, jak serce drgnęło mu po raz pierwszy nie ze strachu.

— Wiem, że Jagiełło uwięził twoją żonę, ale nie wiem gdzie.

— W Brześciu, nad granicą mazowiecką.

— Co chcesz, bym zrobił?



Biruta (XIX wieczy sztych)

— Uwolnij ją lub pomóż ją uwolnić memu synowi, Witoldowi.

— Tego mi nie wolno. Taką decyzję może podjąć tylko mój brat, Wielki Mistrz Zakonu, za zgodą Wielkiej Rady i w porozumieniu z Jagiełłą.

— Porwij ją!

— Tego mi tym bardziej nie wolno bez zgody brata.

— Więc wymuś to na swoim bracie!

— Wątpię, czy się zgodzi. Zakon nie chce teraz wojny z Jagiełłą.

— To poszukajcie waszego srebra sami!

Kniprode zamilkł, czując na swej twarzy palący wzrok Kiejstuta. Wysoko zza okna dochodziło pokrzykiwanie straży. Uniósł głowę. Między kratami widniały gwiazdy rozrzucone na granatowym obrusie nieba. Ocknął się, słysząc głos Litwina:

— Ile razy w życiu zrobiłeś coś, czego ci nie było wolno, a co jest dobre? Jeśli nie zrobiłeś ani razu, to staniesz przed swym Bogiem z pustymi rękami, kiedy cię wezwie na rachunek.

— Dobrze... — szepnął Krzyżak — ... skontaktuję się z twoim synem i spróbujemy wykraść ją z Brześcia.

— Jeszcze jedno. Najpierw zrobisz to, a dopiero potem pojedziesz po srebro. Ono ci nie ucieknie, a Jagiełło może ją zabić lada dzień. Musisz się spieszyć.

— Masz mnie za głupca?!... O nie, najpierw sprawdzę, czy mnie nie okłamałeś!

Kiejstut wzruszył ramionami.

— Iście głupio mówisz. Gdybym chciał cię oszukać, mógłbym to zrobić bezkarnie. I tak dzisiaj umrę, bo przecież nie możecie powiedzieć Jagiełłę, że zanim zostanę ubity musicie sprawdzić, czy wskazałem prawdziwe miejsce... Ja mam mniej powodów, by ci ufać, a jednak ufam... Przysięgam na Prauzime i na moją miłość do Biruty, że cię nie okłamię!

Otworzyły się drzwi i zrobiło się jaśniej, gdyż Bilgen poświecił łuczywem.

— Czego?! — warknął Kniprode.

— Wybacz, szlachetny komturze, ale baliśmy się... bo... tak długo...

— Precz!

Drzwi zatrzasnęły się. Znowu zostali sami, patrząc na siebie wzrokiem spiskowców.

— Nie mam już czasu — rzekł komtur — ... więc gdzie?

— W Połędzie. Zgłoś się do przełożonej wajdelotek świątyni Prauzime i powiedz: Sventkalnis, Sventupis, Sventkalniadauba, a ona wskaże ci miejsce, na zboczu góry, obok starego dębu praojców. Sam go też znajdziesz, ale wówczas musiałbyś kopać długo dookoła. Ona pokaże ci, w którym miejscu wbić żelazo.

— Co znaczą te słowa?

— To hasło. Po żmudzku: Święta góra, Święta rzeka i Święty parów. Zapamiętaj: Sventkalnis, Sventupis, Sventkalniadauba. Powtórz.

Kniprode powtórzył kilka razy, poprawiany przez Kiejstuta. Ten, gdy skończyli naukę, spojrzął na pierś komtura i ujrzał maleńki krucyfik, zwisający z łańcuszka u szyi między blachy pancerza.

— To twój Bóg?

— Tak.

— Słyszałem o nim. Nazywa się Kristusis — wymówił z powagą — i każe wybaczać... Czy to prawda?

— Prawda... — odparł Krzyżak przez zaciśnięte gardło.

— Kochasz go?

— Jak nikogo.

— Więc połóż rękę na nim i przysięgnij, że najpierw uratujesz Birutę, a dopiero potem pojedziesz po srebro.

Kniprode wziął krzyż w dłoń, zacisnął palce i poczuł drobne ciało Jezusa wbijające mu się w skórę.

— Przysięgam.

— Teraz zabij.

Krzyżak stał, jakby nie dosłyszał.

— Na co czekasz? Nie masz siły, daj kord, zrobię to sam.

— Jagiełło nie chce krwi...

— Więc tak?... Sądzi, że oszuka lud. Jest głupszy niż myślałem... Dobrze, niech tak będzie. Idź po swoich ludzi.

Komtur nie poruszył się i nie wypuszczał krzyża z ręki.

— Żegnaj — powiedział Kiejstut i odwrócił się w kierunku ławy.

Krzyżak, jak zahipnotyzowany, zrobił krok do tyłu, potem drugi i jeszcze jeden, aż oparł się plecami o drewniane bale. Wówczas puścił krzyż, złapał za klamę i szarpnąwszy, wybiegł na korytarz. Szczęknął zamek zakluczony przez Bilgena. On, Zybentej i komendant zamku spojrzeli pytająco na komtura. Kniprode otarł pot z czoła i poprosił:

— Pić!

Prora skinął ręką i sługa pobiegł po wodę. Tymczasem komtur zrzucił płaszcz i począł rozpinać sprzączki pancerza. Cisnął blachy na ziemię, a wraz z nimi pas i połączany miecz. Milczał, a oni patrzyli zdumieni, nie pojmując, co robi. Gdy został w kaftanie, podszedł do dwóch knechtów, wyjął im miecze z pochew i przymierzył do siebie — były identyczne. Prora pierwszy zrozumiał i wydymając wargi, zadrwił w stronę Bilgena:

— Dobrześ rzekł, iż to najodważniejszy z Zakonu, jenoś nie dodał, że to człek półrozumny, bo dać Kiejstutowi miecz, a dziesięciu Kniprodów będzie mało!

Wrócił sługa z wodą. Krzyżak wychylił metalowy kub, oblewając sobie brodę, rzucił naczynie za siebie i rzekł do Bilgena:

— Odmykaj!

Bilgen pokręcił przecząco głową, wsadził klucz za pas i stanął przed komturem na rozkraczonych nogach. Z twarzy znikła mu służalczość, cedził sylaby ostro, jakby tłukł kamieniem o kamień:

— Inne były rozkazy! Ty, Kniprode, masz rozkaz od twojego brata i od starszych swego Zakonu, on (wskazał Zybenteja) ma rozkaz Jagiełły, ja mam moje rozkazy, a oni (wskazał pachołków) rozkazy od nas. Niech każdy robi, co jego! Ty masz zadławić Kiejstuta!

— Milcz, podły! — krzyknął komtur, lecz Bilgen dalej tarasował drogę swoim ciałem i swymi słowy:

— Rycerstwa mu się zachciało, psia mać!... Nie wejdiesz tam z mieczami i nie będziesz się pasował ze staruchem, nie turniej to! Ubiłby ciebie, a potem ni podejść, chyba że z kuszą, na gniew księcia się wystawiając! Weź knechtów i sznur, albowi dacie radę rękami, wasza sprawa, jeno...

Nie zdążył dokończyć. Kniprode błyskawicznym ruchem wraził mu ostrze miecza pod brodę i syknął:

— Za dużo ujadasz, kundlu. Zrób jeden ruch, a przewiercę ci gardło. Hans!

Najbliżej stojący z knechtów podskoczył, wyrwał znieruchomiałemu Bilgenowi klucz zza pasa i na znak komtura odemknął drzwi.

— Poświeć!

Knecht zdjął łuczywo ze ściany i włożył w ciemność celi. Nagle krzyknął i cofnął się ze zbielełą twarzą. Wbiegli do środka tłocząc się w drzwiach i stanęli jak wryci. Pod oknem wisiał na przymocowanym do kraty srebrnym sznurze od ferezi majestatyczny zewłok księcia Żmudzi. Głowę miał zwieszoną na piersi, dłonie zaciśnięte w kułaki tak mocno, że wydawało się, iż słyszać trzeszczenie stawów. Po chwili ciszę rozsadzaną ciężkim oddechem Krzyżaka skaleczył Zybentej, mruczac coś po litewsku. Kniprode zrozumiał z tego jedno słowo: Biruta, i odwrócił się do Bilgena z pytaniem. Ten zaś, uprzejmy, jakby przed chwilą nic między nimi nie zaszło, wyjaśnił:

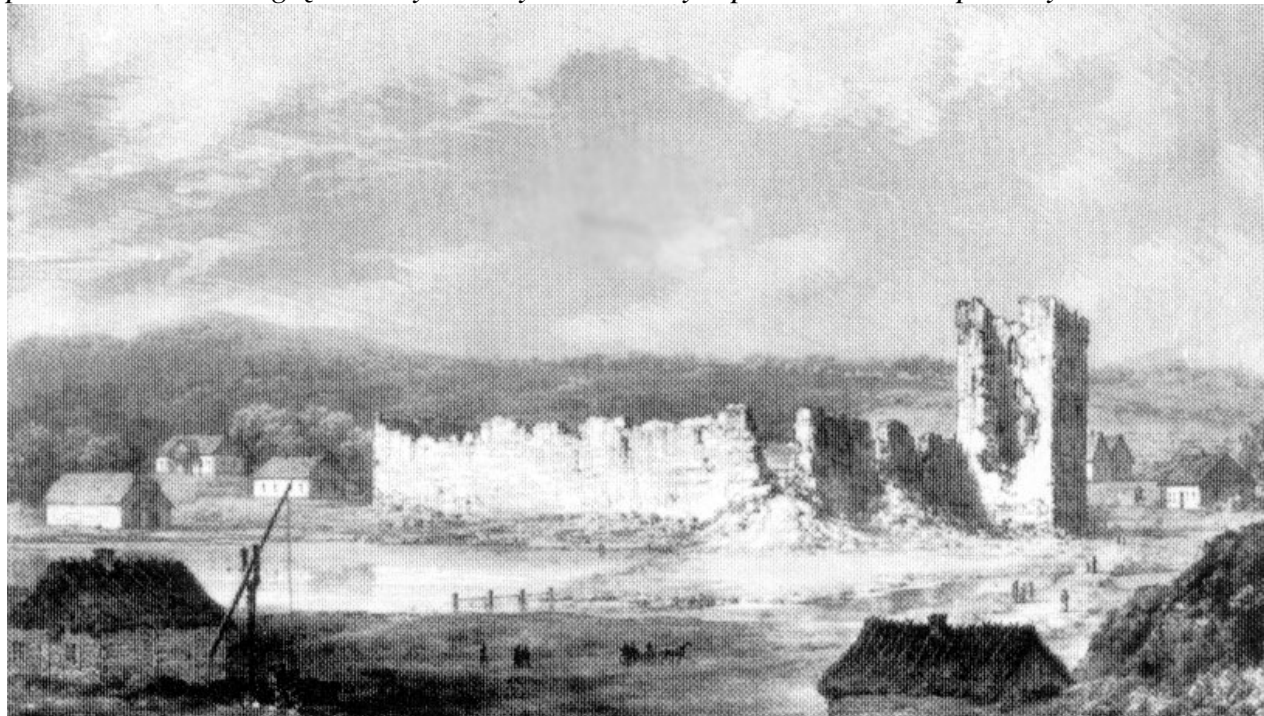
— O Kiejstucie rzekł, że zdechł jak jego dziewczka, która złamała prawa Praużime.

— Coś powiedział?!

— Nie wiedzieliście, panie? Zybentej, nim tu przybył, utopił ją w Brześciu jak szczenię, z rozkazu księcia, będzie pięć dni temu.

Twarz komtura poczęła sinieć i wtedy Kelley zemdłał, osuwając się na dywan. Była dokładnie północ.

Tyle dowiedziałem się z notatek doktora Dee, które odnalazłem w Anglii. Czy jest to zapis wiarygodny? Grafologicznie rzecz biorąc wyszedł niewątpliwie spod ręki maga. A jak z wiarygodnością tego ostatniego? Skrupulatny i chłodno - racjonalny naukowiec, Roman Bugaj, przestudiowawszy jego życie napisał: „*Dee, mistyk i zwolennik magii, pozostał zawsze w głębi duszy uczonym i uczciwym poszukiwaczem prawdy*”.



Ruiny zamku w Krewie (litografia według rysunku z natury Napoleona Ordy).

Wróćmy jeszcze raz do Ulricha von Kniprode. Z Krewy udał się on do Połagi, a jego ludzie mówili po drodze, że dowódca choruje na dziwną przypadłość, która go nagle postarzyła, i dlatego milczy jak zakłęty. W Poładze Krzyżacy wpadli w zasadzkę przygotowaną przez Żmudzinów. Większość knechtów wycięto w walce, kilku zdołało zbiec. Żaden z nich nie wiedział, iż komtur mógłby nie dopuścić do bitwy i tym samym uratować wszystkich, gdyby podał Żmudzinom hasło otrzymane od Kiejstuta. Lecz brat Wielkiego Mistrza Zakonu nie uczynił tego.

Tak dla atakujących, jak i dla broniących się, niepojęte było to, że komtur nawet nie dobył miecza. Siedział na wierzchowcu w bitewnym kłębie i czekał. Mogło się здаwać, że obserwuje martwym wzrokiem rzeź swoich ludzi, lecz on widział tylko bezbrzeżną pustkę świata rozciągającą się od Połagi aż po najdalszy widnokres dzieła Stwórcy i był zupełnie sam.

Dał się wziąć bez oporu. W głębi Żmudzi, między rozległymi jeziorami w okolicach Worń, postawiono siedzącego na koniu i przywiązanego do siodła, w pełnej zbroi, na szczycie ofiarnego pagórka, koniowi wkopano nogi w ziemię, obłożono drewnem i chrustem, po czym podpalono Znicz, a stłoczony wokół lud śpiewał pogardliwie w swoim dziwnym narzeczu:

*„Ant kalnelio, prie upelio
Dieną naktį ugnele smelk,
smelk, smelk.
Ten Žvaginis su Ruginiu
Oželi dievui at garbes smaug,
smaug, smaug.
Tu, oželi žilbardzdeli auk,
auk, auk.
Dievuks musų tavęs lauk,
lauk, lauk”**

Zakuty w stal „koziół” zdawał się rzeczywiście rosnać w miarę jak płomień ogarniał stos, i unosić ku niebu w oparach dymu wraz z przeraźliwie kwiczącym koniem. Jego białe płaszcz, zdobiony czarnym krzyżem, wzdał się i spłonął w ułamku chwili niczym suchy liść, a zbroja rozżarzała się powoli, przybierając kolor intensywnego szkarłatu.

Tak więc w roku 1382 gwałtowną śmierć ponieśli: książę Żmudzi Kiejstut, jego żona Biruta i komtur Ulrich von Kniprode, który nie odzyskał dla zakonu purpurowego srebra. To zaś spowodowało czwarty zgon — w tym samym roku, otrzymawszy wieść o śmierci brata, zmarł na atak serca (oficjalnie, bo wielce prawdopodobnym jest, że mu rozwścieczeni towarzysze z Rady Zakonu ten atak „przyspieszyli”) Wielki Mistrz Winrich von

* — *„Tam na górze, przy strumieniu,
Dniem i nocą ogień pali się,
pali, pali.
Tam Žvaginis z Ruginem
Kozły na chwałę bogu dławią,
dławią, dławią.
Ty koźle siwobrody rośnij,
rośnij, rośnij.
Bóg nasz ciebie czeka,
czeka, czeka”*.

Kniprode, po którym rządy objął zacięty wróg Kniprodów, Konrad Zölner von Rothenstein. Ale Zakon nie odnalazł już purpurowego skarbu i nie mógł więcej mnożyć milczących psów w innych narodach ani skłócać swych przeciwników. Dlatego — gdy po niespełna trzydziestu latach stare milczące psy Zakonu wymarły — w roku 1410 na polach Grunwaldu stanęły przeciw Zakonowi solidarnie nacje, które przez całe minione stulecie skakały sobie do gardeł: Polacy Jagiełły, od roku 1385 króla Polski, Litwini księcia Witolda, a także Rusini, Czesi, Morawianie, Mołdawianie i Tatarzy. Armia Zakonu została zmiażdżona i „*Deutscher Orden*” nigdy już nie odzyskał dawnej potęgi, chyląc się stopniowo ku upadkowi.

O wiele dłużej niż potęga Zakonu trwał kult Biruty, którą lud żmudzki czcił nawet po przyjęciu chrześcijaństwa. Jeszcze w XX wieku poeta litewski Maironis (zmarły w 1932) pisał, używając czasu teraźniejszego: „*Po wsiach krążą pieśni o świętej Birucie*”. Wierzchołek nadmorskiej góry w Połędzie okupowała wtedy kaplica wzniesiona ze składek Żmudzinów i zwana „*Bakstis szwietas Birutas*” (grobem świętej Biruty). Wątpię czy przetrwała do dzisiaj, ale Góra Biruty stoi na pewno, niczym pomnik owych czasów, które minęły wraz z ludźmi równie nieszczęśliwymi jak my.



Wybrzeże Połęgi i grób Biruty z poświęconą jej kaplicą (litografia według rysunku z natury Napoleona Ordy).

Tak spełniło się przekleństwo Starca z Gór. Albowiem Krzyżacy posiadali jeszcze dwa srebrniki z dwudziestu siedmiu, za które żydowscy kapłani kupili Rolę Krwi — trzymał je zawsze w specjalnym puzdrze Wielki Mistrz Zakonu, dlatego nie wysłano ich statkiem. Za ich pomocą mogli stworzyć drugi różany skarb, ale nie wiedzieli o tym, a wydawać je na

przekupienie dwóch ludzi było bezsensowne. Przekazywali je z pokolenia na pokolenie, czekając na takich dwóch, dzięki którym mogliby odzyskać cały purpurowy Sezam. W ten sposób, po latach, owe dwa srebrniki dostały się w ręce pruskich królów, lecz to już inna historia (opowiem ją we wstępie do tomu II).

W czyje ręce wpadło purpurowe srebro bezpośrednio po zabiciu Ulricha von Kniprode — tego nie doszedłem. Jedno jest pewne: pozostało na Żmudzi, być może w Poładze, na zboczu góry (tam je zakopał Kiejstut), którą już za chrześcijaństwa nazwano górą świętej Biruty (należy ona geologicznie do gór Telszewskich).

Za czasów Batorego purpurowym skarbem dysponowali już Rusini. Król o tym wiedział. Notatka doktora Dee o drugim, wieczornym seansie z dnia 24 maja 1585 roku kończy się stwierdzeniem, iż monarcha był znowu rozczarowany i że kolejny seans odbędzie się następnego dnia, to jest 25 maja. Lecz zapis tego seansu nie zachował się (lub też nie został nigdy ujawniony) — możliwe, że spłonął w roku 1666 podczas wielkiego pożaru Londynu, kiedy to ogień strawił część notatek Johna Dee. Ale możliwe są i inne ewentualności.

Podczas trzeciego seansu Kelley musiał zobaczyć coś, co stało się niezwykle groźne dla posiadaczy purpurowych srebrników — zapewne topografię miejsca, w którym trzymano skarb. Sprawa była o tyle istotna, że król szykował się właśnie do wielkiej, decydującej wyprawy przeciw Rosjanom, mając poparcie papieża i państw zachodnich. Sandor Kiss został natychmiast wysłany z grupą „komandosów” na Żmudź po purpurowe srebro. Ale wszystko to wzięło w łeb, ponieważ Batory nagle, jak za dotknięciem różdżki czarnoksiężnika, zmarł — w Grodnie, w roku 1586 (niektórzy historycy sugerują, iż otruli go nadworni lekarze). Purpurowe srebro miało dar czynienia bardzo „niespodziewanymi” zejść niektórych śmiertelników z tego padołu. Jeśli chodzi o Kissa, to on i jego ludzie przepadli w głębi Żmudzi — nigdy nie powrócili i nigdy nie znaleziono ich ciał.

Po zniknięciu ze sceny Batorego i Kissa (i to już w rok po seansach niepołomickich!), strażnicy purpurowych srebrników przy-pomnieli sobie, iż żyje jeszcze człowiek, który w każdej chwili może naprowadzić kogoś innego na trop, gdyż ma dar jasnowidza — Edward Kelley. Od tego momentu Kelley był już żywym trupem, śmierć zaczęła go szukać. Dokonywano nań licznych zamachów, z których wychodził cały dzięki swym nadnaturalnym predyspozycjom. Ale ta zabawa nie mogła trwać w nieskończoność — w roku 1595 Edward Kelley „zginął w burzliwych okolicznościach w Pradze” (Bugaj).

Należy wyjaśnić jeszcze jedną rzecz. Wspomniałem, że Batory, rozpytując na Litwie o purpurowe srebro, usłyszał legendę o „srebrze Uburtisa”. Treść tej legendy jest znana, gdyż swego czasu zapisał ją ksiądz Ludwik Adam Jucewicz we „Wspomnieniach Żmudzi”. Mówi owa klechda o niemieckim rycerzu, co się przemienił w diabła dusiciela, kiedy go Żmudzini spalili żywcem (a więc chyba o Ulrichu von Kniprode?) i o ruskim wieśniaku Uburtisie, który przywędrował na Żmudź i diabła zwyciężył, zdobywając jego skarbiec schowany w górze Dżuga (Jucewicz dał temu tytuł: „Mądry Uburtis i diabeł”). Bardzo interesujące jest przypuszczalne źródło legendy o Uburtisie. Otóż jeden z sotników pułku smoleńskiego, wspomagającego armię polsko-litewską w bitwie pod Grunwaldem, nazywał się Uburtianiec vel Uburtinow (w źródłach niemieckich: Uburtinus). Ta właśnie sotnia Rusinów w drodze powrotnej do ojczyzny odłączyła się od rodzimych wojsk i powędrowała określną drogą przez Żmudź!

Cała dalsza część historii purpurowego srebra zawiera się w kilkuwiekowym pojedynku między Wielkim Księstwem Moskiewskim, przeistoczonym z biegiem lat w Imperium Rosyjskie, a Polską — pojedynku, w którym Polska, nie wiedząc o tym, skazana była na porażkę i zagładę. Ktoś, kto od powyższego zdania zacząłby czytać „Milczące psy”, spytałby od razu: dlaczego to Polska, w wiekach XVI i XVII gigantyczne mocarstwo, rozciągające się między morzami Bałtyckim i Czarnym na północy i południu oraz Odrą i Dnieprem na zachodzie i wschodzie, skazana była z góry na porażkę i zagładę? Odpowiedź nie zawiera się tylko w purpurowym srebrze, chociaż purpurowe srebro było nader pomocnym, a w końcu decydującym instrumentem owej klęski.

Zacznijmy od tego, że w Rosji imperialistyczną krwiożerczość władców wspierał ogólnospołeczny kult tychże władców, podczas gdy w Polsce z pokolenia na pokolenie klasy uprzywilejowane, magnateria i szlachta, siłą obniżały rangę i zakres władzy monarchów, doprowadzając je w końcu do poziomu komicznego. Polska stała się curiosalnym krajem Europy — jako jedyna nie miała silnej regularnej armii (zastępowało ją pospolite ruszenie szlacheckie, które stawało pod broń jeśli chciało, a jeśli nie chciało, to nie stawało) i nie znała silnej, absolutystycznej władzy królewskiej, zdolnej prowadzić sensowną politykę wewnętrzną i zagraniczną. Brak ten był nie tylko efektem nędzy moralnej i głupoty błękitnokrwistych, lecz także ich sprzedajności; „milczące psy” rozkładały naród i jego rząd od wewnątrz z cichą, nieubłaganą cierpliwością, tak jak bakterie rozkładają chore ciało. Działać tą samą bronią wobec przeciwnika nie było można ze względu na drugi istotny brak — brak w Polsce purpurowego srebra, którego Rosja strzegła jak oka w głowie i rozumnie go używała.

Batory był silny i „milczące psy” nie mogły go skutecznie pohamować inaczej, jak sprowadzając nań „niespodziewany” zgon. Rosyjski historyk Karamzin pisał: „Król ten, jeden z największych monarchów świata i najstraszniejszy nieprzyjaciół Rosji, zgonem swym sprawił wiele radości Moskwie”. Potem była jeszcze jedna szansa, ostatnia już tak wielka, w XVII wieku:

Oto w roku 1610 naczelny dowódca wojsk polskich, hetman Stanisław Żółkiewski, rozniósł na strzępy armię rosyjską w bitwie pod Kłuszynem, zajął Moskwę, nakłonił bojarów rosyjskich do obrania carem polskiego królewicza, Władysława IV, i zaczął przygotowywać unię polsko-rosyjską. Wszystko było na najlepszej drodze, arystokracja rosyjska w przeważającej części popierała Polaka. I gdyby rzecz się udała, Polska sięgałaby dziś po Kamczatkę, rozmawiając z USA jak równy z równym, a może nawet jako równiejszy. Nie udała się dlatego, że tatuś, polski król Zygmunt III, zrobił wszystko, by... odsunąć syna od carskiego stolca! Bojar-strażnik skarbu, człowiek, którego nazwiska nie znamy, a który działał w porozumieniu z dwulicowym (pozornie sprzyjającym Polsce) patriarchą moskiewskim Filaretem — otworzył na Żmudzi skarbiec ze srebrnikami i nowo narodzone „milczące psy” z otoczenia Zygmunta podjudziły ojca przeciwko synowi. Zygmunt III zażądał carskiego tronu dla siebie, a od Rosjan, by hurtem przeszli na katolicyzm, co było nonsensem i co oczywiście wzburzyło prawosławny naród. W rezultacie tej polskiej kłótni carem został... syn Filareta, Michał, rozpoczynając dynastię Romanowów. Świat niewiele zna przypadków tak idiotycznego wypuszczenia z rąk tak wielkiej szansy.

Przenikliwie dostrzegł następstwa niezgody, za sprawą purpurowego srebra rozszarpującej Polaków od wewnątrz, nadworny kaznodzieja Zygmunta III, Piotr Skarga. W kazaniu „O niezgodzie domowej” wyprorokował upadek i niewolę Polski z kilkusetletnim wyprzedzeniem i ze straszliwą precyzją:

„Nastąpi postronny nieprzyjaciel jąwszy się za waszą niezgodę i mówić będzie: «Rozdzieliło się serce ich, teraz poginą», i czasu tak dobrego do waszego złego, a na swoje tyraństwo pogodnego, nie omieszka. Czeka na to ten, co wam złe życzy, a będzie mówił: «Euge, euge, teraz je pożerajmy, teraz pośliznęła się noga ich, odjąć się nam nie mogą». I ta niezgoda przywiedzie na was niewolę, w której wolności wasze utoną i w śmiech się obróca; i będzie, jako mówił Prorok: «sługa równo z panem, niewolnica równo z panią swoją i kapłan z ludem, i bogaty z ubogim, i ten, co kupił imienie, równy z tym, co sprzedał». Bo wszyscy z domy i zdrowiem swoim w nieprzyjacielskiej ręce stękać będą, Poddani tym, którzy ich nienawidzą. Ziemie i księstwa wielkie, które się z Koroną zjednoczyły i w jedno ciało zrosły, odpadną i rozerwać się dla waszej niezgody muszą (...). I będziecie jako wdowa osierociała, wy, coście drugie narody rządili. I będziecie ku pośmiechu i urąganiu nieprzyjaciołom swoim (...). Będziecie nieprzyjaciołom waszym służyli jako Pismo św. przegraża: «w głodzie, w pragnieniu, w obnażeniu i we wszystkim niedostatku. I włożą jarzmo żelazne na szyje wasze»...”

Autor owych jasnowidzących słów zmarł w tym samym 1612 roku, w którym Polacy zaprzepaścili szansę połączenia w jedno ciało Korony, Litwy i Rusi pod polskim berłem. Od tej chwili datuje się równia pochyła. Polska się kurczy i mizernieje, obok zaś wyrasta potężna, nowoczesna Rosja.

Tę nową Rosję począł budować car Piotr Wielki, a skarbem jego skarbu w „procesie gwałtownego wdzierania się wpływów rosyjskich w organizm Rzeczypospolitej, zmierzającym do ubezwładnienia jej sił państwowych” (Józef Feldman) było ukryte na Żmudzi „srebro Uburtisa”. Jak inaczej można byłoby wytłumaczyć, że w Polsce od XVII wieku pokolenie za pokoleniem magnatów i całe generacje szlachty dawały skorumpować swe dusze Petersburgowi, i mając na ustach „miłość ojczyzny”, czyniły wszystko, by tę ojczyznę osłabić i poddać w niewolę. Dopóki „milczące psy” rekrutowały się z pionków, rzecz nie była arcygroźna. Odkąd stali się nimi książęta decydujący o losach kraju — rzecz była przesądzona. Już za króla Augusta II „Car Piotr podkopywał jego tron przy pomocy swoich popleczników, do których należeli obecnie najpoważniejsi dygnitarze Rzeczypospolitej” (Feldman). Mickiewicz tak mówił o tym: „Piotr Wielki zorganizował ogromną machinę niszczycielską, wszczynając przeciw Polsce tę wojnę wicherzeń i przekupstw, która stanowiła przygrywkę do gwałtów jego następców (...). Jedno jest pewne, że gabinet rosyjski zawsze szedł tą drogą”.

Decydujące uderzenie Rosji nastąpiło w chwili śmierci Augusta III. Wówczas to caryca Katarzyna II Wielka posadziła na polskim tronie swego byłego kochanka, Stanisława Augusta Poniatowskiego (1764). Jednocześnie Petersburg wzniecił gigantyczną ofensywę korupcji, przekupując polską szlachtę (głównie posłów na sejm) i magnaterię złotem, najważniejszych zaś dostojników, tych, którzy mieli decydujący wpływ na króla i losy narodu — purpurowym srebrem.

W sto lat później, w roku 1866, wielki polski malarz, Jan Matejko, przedstawił XVIII-wieczną tragedię Polski symbolicznym obrazem „Rejtan”, portretując na tym płótnie sejm i czołowych zdrajców. Wzbudziło to gniew wnuków owych „milczących psów”. Jeden z

arystokratów, pozujący zgodnie ze wszelkimi regułami postępowania tych srebrnych zwierząt na zgorszonego patriotę, warknął:

— Posłać to do Petersburga, tam kupią!

Matejko zmrużył swoje poczciwe oczy i wycodził pogardliwie:

— Kupili żywych, mogliby kupić i malowanych!

Teraz ja ich namaluję i sprzedam. Rozwinę przed wami sagę o zdradzie i o walce ze zdradą, walce, której szczytowym w mojej opowieści momentem będzie największa z wypraw, jakie kiedykolwiek zdesperowani samobójcy podjęli w celu odnalezienia i zniszczenia skarbcza z purpurowym srebrem. Przygotowywałem się do tego przez wiele lat, zbierając materiały i tropiąc ślady tych wątków, które nie były jasne. Początkowo jasne było dla mnie tylko jedno: że muszę to napisać, dla siebie i dla Was, bo doszedłem do tego samego wniosku, który sformułował amerykański pisarz E. L. Doctorow w wywiadzie dla „Sunday Review”:

„Doszedłem do wniosku, że jeśli jest coś, co nas wszystkich łączy, to jest to nasza własna historia (...) i jest to sprawa zbyt poważna, aby można ją było pozostawić politykom czy historykom”.

Przestrzegam przed odłożeniem tej książki wszystkim, którzy nie lubią historii i nurzają się wyłącznie we współczesności. „Gdy mówimy historia, instynktownie myślimy o przeszłości i jest to błąd, gdyż historia stanowi pomost łączący przeszłość z terażniejszością, a jednocześnie określa kierunek wymierzony w przyszłość”. Powyższe zdanie, wyjęte z pracy znakomitego historyka Allana Nevinsa „Gateway to History”, pasuje jak ulał do „Milczących psów”. I jeszcze R. G. Collingwood, który napisał w „The Idea of History”:

„Wszelka historia jest historią współczesną: nie w potocznym znaczeniu tego słowa, gdy historia współczesna oznacza dzieje stosunkowo niedawnej przeszłości, lecz w sensie ścisłym — świadomości naszych czynów w trakcie ich dokonywania. Historia jest tedy samowiedzą żywego umysłu”.

Właśnie o tę świadomość i o tę samowiedzę chodzi, albowiem „człowiek pozbawiony pamięci historii nie jest przygotowany do trudów dzisiejszego życia” (Czyngis Ajmatow).

Głównymi bohaterami tej opowieści będą osobnicy narodowości polskiej i rosyjskiej oraz przedstawiciele węgierskiej rodziny Kissów, potomkowie rotmistrza Sandora Kissa, owego królewskiego „desperado” do specjalnych poruczeń, którego Batory przywiózł z Węgier nad Wisłę i którego familia już tutaj została. Wszyscy męscy przedstawiciele rodu Kissów obciążeni byli zadaniem, które polecił im wykonać rotmistrz Sandor, lecz mijały pokolenia, a zadanie wciąż pozostawało niewykonane. Gdy w roku 1765 zmarł 68-letni Ferenc Kiss, na placu boju znajdowali się jeszcze: jego syn, 35-letni Imre Kiss, awanturnik szukający szczęścia aż w dalekiej Azji, oraz wnuk, 15-letni Zoltan Kiss, sierota od urodzenia, gdyż matka zmarła w połogu. Ferenc Kiss na łożu śmierci przekazał synowi informacje zdobyte przez poprzednie pokolenia Kissów i wziął odeń przysięgę, po czym zasnął w spokoju. Od tej chwili Imre Kiss musiał sam zająć się swoim synem, gdyż zostali na świecie zupełnie sami — ostatni z Kissów.

Pewnego letniego poranka, spieniężywszy rodzinną wieś w Małopolsce i wszystko, co tylko można było spieniężyć, wyruszyli w trójkę do Warszawy: Imre, Zoltan i służący Stańko. Stańko miał w głowie radość, bo mógł się wreszcie wymknąć ciężarnej Marynie, córce kowala. Zoltan miał w tym samym miejscu to samo, bo mógł wreszcie zobaczyć coś

poza folwarkiem dziadka. Zaś Imre Kiss miał w sobie gorączkę purpurowego srebra, do odszukania którego zobowiązywały go trzy rzeczy: tradycja rodzinna, przysięga i upodobanie rzeczy niemożliwych.

Rozdział 1

„A LA MORT”

„Na blankach wieży chodząc, fundamenty
 W dole oglądam, czy nisko zaczęty
 Jak czarny palec pień drzewa przy ziemi.
 I póki starczy mi dziennych promieni
 Wysyłam naprzód wyobraźnię w pogoń.
 Krucho obrazy, wspomnienia zwołuję,
 Ruiny, drzewa stare konsultuję,
 Żeby pomogły i żebym coś pojął”

(William Butler Yeats, „Wieża”.
 tłum. Czesław Miłosz).

Wszystko, co teraz opowiem, zobaczyłem z Wieży Ptaków, która stoi opodal miasta niczym zapomniany strażnik zrujnowanego pałacu. Jej wysmukła sylwetka z czarnych, posiwiałych kamieni, góruje od północy nad horyzontem, a wiatr wiejący nieustannie od wschodu, omiata cichym szelestem dywany traw i wdziera się do nozdrzy, przynosząc zapach dalekich przestrzeni i jakiś niepokój szarpiący duszę. Jesienią zdejmuje liście z drzew i zostawia posępne szkielety. Pustkowie, które rozciąga się między wieżą a miastem, przybiera wówczas wygląd spalonej ziemi. Wyjałowiony ugór i brunatne niebo, jak we śnie.

Przedemną na wieży mieszkał bezimienny staruch, o którym dobrze mówiły tylko ptaki, bo je karmił i umiał z nimi rozmawiać. Był już ostatnim eremita rozumiejącym zwierzęta w cywilizacji, która trwa do dzisiaj i w której pierwszym odruchem człowieka, gdy zbliża się doń zwierzę, jest schwytać lub uderzyć. Człowiek zawsze pozostawał głuchy na przyjaźń sygnalizowaną przez inne stworzenia, ignorował wszelkie znaki porozumiewawcze i sygnały dyskretnych zaproszeń, aż nieżyczliwość ta stworzyła między nim a zwierzętami dystans nie do pokonania. Zostało współzycie z wszami, gnidami, pluskwami i karaluchami oraz tradycyjne alibi w postaci uwięzionych ptaków, batożonych koni, bydła i domowych psów, lecz już wtedy, w pierwszych latach doby Stanisławowskiej, poczęły wchodzić w modę coraz mniej inteligentne odmiany psów, jak gdyby chciano uwolnić się od kompleksów, które rodzą się wówczas, kiedy właściciel jest zawstydzająco głupszy od swego czworonoga.

Każde pojawienie się starca na szczycie wieży wywoływało ogromne poruszenie wśród ptaków. Zlatywały się zewsząd rozwrzeszczanymi gromadami i obsiadały go półkolem, patrząc z zazdrością na faworytów, którym wolno było siadać na rękawach i ramionach, a nawet we włosach. Ptasznik szeptał do nich w jakimś dziwnym języku, niektóre nazywał po imieniu, a wszystkie łajał kiedy się tłoczyły i przepychały między sobą. Największą przyjaźnią darzył uciekinierów z miejskich klatek. Dostawały tam (w mieście) pełne utrzymanie, za co jednak nie można kupić ich serca, a kiedy już udało się im zbiec, dzięki gapiostwu służącej lub nieposłuszeństwu dziecka, stawały się od razu bardzo dzikie, nieufne i niespokojne. Takie ptaki wiedziały, że do człowieka nie wolno się zbliżać pod karą śmierci. Ale ptasznik był czarownikiem i umiał je sobie zjednywać.

Gdy kończył przemowę i wysłuchał, co one mają do powiedzenia, kruszył chleb, gniewając się na widok bójek o kąski — rozkazywał, by pasły się kolejno, po jednym. Potem one odlatywały i starzec zatapiał się w ciszy, spoglądając na niebo pełne Boga. Czuł, że od tego spoglądania jest lepszy i mądrzejszy i wie o wiele więcej niż w dniu, którego obraz nigdy nie przestał go prześladować. Był wtedy młody i zgwałcił dziewczynę, łamiąc brutalnie jej opór, a kiedy skończył, ona przytuliła do niego swój załzawiony policzek. Zostawił ją i nigdy sobie tego nie daruje. Widziałem go, jak siedział na wieży i patrzył w skupieniu w gasnący płomień swego życia, które zmarnował jak każdy, chociaż mógł stać się wyjątkiem i oszukać diabła. Pożegnałem go w rozpaczliwym wyciu tysięcy ptaków, gdy wybierał śmierć.

Wokół wieży rozwija się wielka fantastyka nocy z jej gwiazdami, a dalekie głosy psów wyjących do księżyca nawołują kochanków i przygrywiają tajemnym miłościom o zmroku. Potem nadchodzi dzień, słońce się wypala w swej wędrówce i kiedy skrwawione żegna świat, ja się pojawiam. Wdycham otaczające mnie powietrze wraz z powoli ciemniejącym wieczorem o smaku lepkiego, odurzającego napoju, ciężkie aromaty krzewów, wydzieliny czerwieniejących pni drzew i zapachy idące w podmuchach od strony rzeki Wisły. Widzę stąd, ze szczytu, wszystko, jakbym był Kelleyem wpatrzonym w magiczne zwierciadła i z nich czerpiącym całą prawdę. Nie jest łatwo to robić, ale każdy może wejść do Wieży Ptaków, wspiąć się krętymi schodkami na najwyższą kondygnację, na wypłukaną deszczem platformę, którą okalają zęby krenelażu, i spróbować. Wystarczy mieć powołanie do czarnoksięstwa, do wywoływania duchów z pierścieni Maurów i z pocieranych lamp Żydów, a także moc zaklęcia rzeczywistości dwudziestoma czterema zygzakami alfabetu. Wszystko staje wtedy otworem, po najdalsze granice świata i kraju, o którym chcę Warn opowiedzieć.

Widzę to bardzo wyraźnie: wszystko wyglądało inaczej. Korona i Litwa, złączone od wieków w jedno państwo, były wówczas o wiele większe, nie znano bowiem motoru. Niebo i rzeki były czystsze, ziemia pełna lasów, noce bardziej romantyczne, a i gwiazd było więcej, lecz tyle ich spadło od tamtej pory. Bezkresnymi drogami płynęły wozy Cyganów, kolorowe jak baśnie. Ryby miały więcej swobody, zwierzęta czuły się bezpieczniej, tylko ludzie byli tacy sami - okrutni i ślepi. Z pewnością życie było identycznie wredne i pełne uroków, a za marzenia płaciło się tę samą cenę, jednakże zegary tykały wolniej i zostawiały czas na dotkliwszą tęsknotę; Z powietrza wdzierały się do płuc pyłki niezwykłych koszmarów, ulepione z cieni wskrzeszonego przez Winckelmanna antyku i z agonii Świętej Inkwizycji, trochę Homera i Torquemady, saskiej porcelany i pornografii francuskich mistrzów rokoka, gwaru karnawałów skąpanych w

ulewie sztucznych ogni i blasku koronacji w przepychu rodem ze złotych galeonów. Świat zastygł u schyłku wielkiego dnia minionych stuleci i oczekiwał na nowy dzień rewolucji, maszyn i fabrycznego smaru. Jeśli chciało się wchłonąć ostatnią kroplę średniowiecza, szczyptę renesansu, garść kontrreformacji, łut witalności baroku i naręcze zwodniczej iluzji oświecenia — był na to idealny czas.

Ze szczytu wieży widać każdą wieś, każdy dwór i każde miasto, a najdokładniej Warszawę w całej okazałości, z pozoru zupełnie podobną do innych miast-stolic, w których co krok mija się piękne kobiety, każdą tylko jeden raz, jak jedyną okazję, ale każdą posiada się mijając i to stanowi czar owego wielkopańskiego świata. Wczesnym rankiem kamienice i pałace starzeją się niepostrzeżenie, a życie wlecze się tak ospale, że nawet święci w głębokich niszach przycmentarnego kościoła marzą o czymś, choćby złym i nieświętym, co mogłoby rozedrzeć to zszarzałe prześcieradło. Dopiero w południe gród budzi się niczym skacowana oblubienica, przeciąga się i zaczyna pracować na budowaną od czasu koronacji Stanisława Augusta renomę domu zajezdnego całej Polski i Europy. W miarę upływu godzin ku schyłkowi dnia rozkręca się karuzela redut, pikników, obiadów prozonych, szlichtad, balów, assambłów, „wieczorów”, teatrów, szulerni, tańców, koncertów, flirtów i cudownych intryg. Świat przypomina huczne wesele, na którym wszyscy korzystają z zepsucia oddającej się gościom panny młodej.

Prawda — w żadnym innym mieście tamtej doby, może poza Neapolem i Petersburgiem, nie sąsiadowały ze sobą równie bezpośrednio jak tutaj najwyszukańszy przepych i najokropniejsza nędza (zwłoki ubogich leżały na ulicach, tak długo, póki nie uzbierała się z jałmużny przechodniów najniższa taksa Pogrzebowa), lecz nędza jest czymś zbyt mało atrakcyjnym, byśmy mieli zajmować się nią w tej książce. Wróćmy do rzeczy zabawniejszych.

Cudzoziemcom przyjeżdżającym do Warszawy w połowie lat 60-tych XVIII wieku imponowała zachwycająca swoboda gospodarzy, pełna poufałego lekkiego tonu, jakże różniącego się od niemieckiej sztywności, włoskiego skąpstwa, francuskiej pustoty i angielskiej grandezzy, przepojona sarmackim temperamentem w zabawie i zwadzie, znawstwem napojów, bogactwem stołów uginających się pod najobfitszą zastawą, zręcznością tancerzy i miłosną wprawą wytwornych dam, nie krępowanych żadnymi ubocznymi względami przy przekraczaniu granic zalotności. Dość powiedzieć, że w sezonie warszawskim nie istniało życie rodzinne; mąż i żona żyli oddzielnie, nie wiedzieli o sobie nawzajem, spotykali się przypadkowo na balach lub w teatrze, zaś karnawał stanowił prawdziwe moratorium obyczajnego życia, był odroczeniem aż do postu wszelkich zakazów, wyjąwszy gwałt i morderstwo. Paryż wariował z zazdrości.

Dzisiaj już można patrzeć spokojnie na owe czasy i wówczas daje się dostrzec w epoce upadku polskiego społeczeństwa niejedną przyjemną stronę. Byłby to prawdziwy raj, gdyby nie nadmierne rozmnożenie się chorób wenerycznych, zwanych „warszawskimi”, których skrupulatną statystykę prowadził głośny ówczesny lekarz, doktor Fontaine, lecz czyż miasto ich pozbawione mogłoby utrzymać europejski prymat? „Stosunek syfilisu ma się do pozostałych chorób jak 6:10 — tak bardzo rozpowszechnione jest to ogólnie panujące zło. Nie ma stanu ani wieku, który by nie był objęty tą chorobą. Na stu rekrutów w Warszawie przypada osiemdziesięciu chorych wenerycznie” — pisze wizytujący sarmacką stolicę J. J. Kausch („Nachrichten über Polen”).

Warszawa stanisławowska słynęła też z rekordowej liczby pięciu kategorii prostytutek, poczynając od drogich kokot-utrzymanek (Włoszek, Francuzek i Niemek, rzadziej Polek), o których szwedzki podróżnik pisał z nostalgią, iż „umrzyka zgoła potrafiłyby przysposobić do męskości usta swemi”. Widywało się je w pysznych powozach na mieście lub na redutach w Pałacu Radziwiłłowskim, gdzie sensacjami dnia były wyczyny polegające na odbijaniu utrzymankom kawalerów przez panie z towarzystwa. Dalej szły dziewczki posiadające własne mieszkania i udające mężatki lub wdowy dla zwiększenia tą podniętą ceny. Potem kobiety upadłe wynajmujące stancyjki w mieszczańskich domach. I tak dalej, aż po rynsztok. Trudno w to doprawdy uwierzyć, ale nigdzie indziej nie mieszkało tylu beznosych, zaś panowie publicznie afiszowali się lekarstwami. Aż do roku 1793, to jest do katastrofy bankowej i politycznej, ten ściek wszelakich zdrożności niesłychanie nęcił europejskich pasożytów obojga płci (podejrzanych hrabiów, baronów i baronesy, artystów, magików, szulerów, alchemików, uzdrowiaczy i masonów, śpiewaczki, subretki *et consortes*), gnających do Warszawy i wtapiających się w nadwiślańskie *apres nous la deluge* (po nas choćby potop). Jako jeden z pierwszych uczynił to w roku 1765 przesławny Giacomo Casanova, wielki znawca kobiet, który nigdy nie dzielił ich na dziwki i damy, zresztą autor ponadczasowej maksymy: „W na-szych szczęśliwych czasach nie potrzeba wcale sprzedajnych dziewczyn, skoro spotyka się tyle uległości u przyzwoitych kobiet”.

Czego szukał w Warszawie ten „Człowiek Europy”, zwący sam siebie kawalerem de Seingalt, wolny mularz, *bon-viveur*, erudyta, filozof, szuler, poeta, historyk, tłumacz, pamiętnikarz, matematyk, alchemik, szpieg, dyplomata, przedsiębiorca i uciekinier z „ołowianych komór” weneckiego Pałacu Dożów? Rozrywek? To być może, Paryż bowiem już mu się przejadł, Wenecja pełna była szpiegów inkwizycji, Londyn purytanów, Rzym wierzyieli, a Berlin stanowił „pruskie koszary” nie do wytrzymania. Nęcił go Wiedeń, lecz i nad Dunajem trudno było wytrzymać, odkąd cesarzowa Maria Teresa zaprowadziła w swym państwie tak zwane „Komisje czystości” wykluczające godziwa zabawę we dwoje. Doszła ona do przekonania, że najgorszym z występków jest pozamałżeńska miłość zmysłowa, co wynikało z głębokich przemyśleń owej monarchini na temat wielu grzechów. Sądziła, że pychę trudno odróżnić od chwalebnej godności, skąpstwo jest wprawdzie brzydką wadą, ale próba wykorzenia go zadałaby cios oszczędności, obżarstwo samo się karze niestrawnością, tak jak lenistwo nudą, zawiści natomiast nie sposób przyłapać na gorącym uczynku. Pozostawała nieszczęsna zmysłowość i tę należało wyplenić. W tej sytuacji Giacomo, mistrz kontynentu w uwodzeniu zakonnic, musiał rozejrzeć się za jakąś inną metropolią. Że wybrał Warszawę, w tym nic dziwnego; ciekawsze jest to, że dotarł do niej via Petersburg, gdzie rozmawiał z emisariuszem szefa niemieckich Różokrzyżowców, doktora medycyny Schleissa von Löwenfeld.

Casanowa twierdził później, iż marzeniem jego było zostać sekretarzem polskiego króla i że czynił wszystko, by sięgnąć po tę godność dla samego splendoru, jaki ona przynosi. Kłamał. Czynił to w prawie każdym zdaniu swoich pamiętników, także i w tym, w którym czytamy, że „uniknął miłostek i kart, pracując dla króla z nadzieją zostania jego tajnym sekretarzem”. Ale po trzech miesiącach był otoczony wierzyicielami jak dzik sforą psów, trafił bowiem do kraju, w którym hazard był nie tylko obłędem, lecz i zawodem.

Już za poprzedniego panowania epidemia gry szerzyła spustoszenie („W grach karcianych topniały najteższe fortuny magnackie, przegrywano po pół miliona złotych

jednej nocy” — pisał Kazimierz Konarski w „Warszawie w czasach saskich”), ale dopiero za Stanisława Augusta Warszawa zobaczyła co to prawdziwy hazard. Opinia podróżującego wówczas po Polsce Anglika N. W. Wraxalla nie pozostawia wątpliwości: „W żadnym kraju Europy namiętność do karcianych gier nie sięga tak zgubnych szczytów, ani też nie doprowadza do tak fatalnych konsekwencji”. Ówczesny kronikarz, Jędrzej Kitowicz, podaje: „Wielkich panów opanował jakiś szalony honor przegrywać w karty po kilka i kilkanaście tysięcy czerwonych złotych. Kto nie znał kart, kto się nie mógł pochwalić, że podczas publiki w Warszawie nie przegrał lub nie wygrał w karty jednego i drugiego tysiąca, a miał po temu fortunę, tego poczytywano za sknerę i grubianina”.

Casanova był biegły w szulerce, nie przewidział jednak, iż nad Wisłą trafi na lepszych od siebie. Kitowicz wspominał w swym dziele o tym, że „podskarbi wielki koronny, Adam Poniński, szuler z profesji, stał na czele kongregacji oszustów i bandom szulerskim przewodził”. Ale to było później, na skraju lat 70-tych. W chwili, kiedy Giacomo Casanova zawitał do Warszawy, wodzem tej sekretnej kongregacji był jego rodak, dwudziestosiedmioletni szuler z Mediolanu, Karol Aleksander Thomatis (Tomatis), którego król w pierwszym roku swego panowania (1764) powołał na „zwierzchnika spektaklów”, czyli dyrektora pierwszego w Warszawie teatru publicznego, w drugim zaś (1765) uczynił go swoim szambelanem i dał tytuł hrabiego de Valery. Wzajemna zażyłość króla i hochsztaplera (można to rozumieć wspak, Thomatis był bowiem królem karciarzy, Poniatowski zaś szulerem politycznym) zrodziła się w Petersburgu, gdzie obaj dostali podniętę do swej działalności. Nowo upieczony hrabia otworzył swój teatr w starym budynku teatralnym przy ulicy Królewskiej (w Ogrodzie Saskim) w roku 1765, traktując go jako źródło dochodów, a mało dbając o repertuar. Największe wszakże dochody czerpał z szulerki rozwiniętej na skalę przemysłową. „Dopasował do niej umiejętnie cały swój tryb życia. Całe noce grywał w karty...” (Wacław Tokarz).

Z tym właśnie człowiekiem, który odegra ważną rolę w dramacie purpurowego srebra, stał się w Warszawie kawaler de Seingalt. Najpierw został ograny w „Quindici” i w „Makao”. Spłukany, skorzystał z pierwszej okazji, by zwrócić się o zapomogę do króla (był z nim w dobrych stosunkach dzięki listom polecającym, które przywiózł do Polski ze sobą). Okazja nadarzyła się podczas obiadu u królewskiej metresy, pani Schmidt. W pewnej chwili kawaler wykorzystał swoją znajomość reguł eleganckiego zebrania i wygłosił „filozoficzną” sentencję z Horacego:

— Ubogi, który nie nagabuje monarchy, otrzyma więcej niż natrętnie proszący.

Dzień później, podczas mszy, otrzymał dyskretnie rulon z dwie-ma setkami dukatów („Podziękuj tylko Horacemu” rzekł Ponia-towski) i dał koncert gry w „Lancknechta”, grę przezywaną piekielnym mianem „Diabła” i ściganą karnie we Francji już za czasów Ludwika XIII. Nie domyślił się, że ludzie Thomatisa pozwolili mu wygrać, gdyż taki otrzymali rozkaz; Thomatis i ci, którzy jemu wydawali rozkazy, liczyli na to, że Casanova zdobywszy kartami majątek wyniesie się z Polski. Ale tak się nie stało — Casanova nie przyjechał tylko po złoto i dlatego nie zamierzał powiedzieć: pas.

Stał się w tym momencie trudnym orzechem do zgryzienia, gdyż nie można go było po prostu zamordować. Chroniła go nie tyle protekcja królewska, na którą machnięto by ręką, ile międzynarodowa sława i fakt, że już w Hadze występował jako poseł francuskiego ministra wojny i marynarki, księcia de Choiseul, mógł więc i teraz być agentem mocarnego sternika zachodniej Europy. Początkowo sądzono nawet, że ma to związek z

próbami Poniatowskiego nawiązania współpracy z Francją, lecz szybko okazało się, iż Casanova gra inną, bardziej niebezpieczną grę. Zadanie wyeliminowania go z owej gry wciąż spoczywało na Thomatisie, tego zaś bronią były karty.

W ostatnim dniu stycznia roku 1766 obaj panowie spotkali się na balu karnawałowym w Pałacu Kossowskich. Był to wspaniały dom, zawsze pełen służby, muzykantów i gości, pomiędzy którymi zawodowych karciarzy liczono legion. Tego dnia śmietanka towarzyska Warszawy, z udziałem wszystkich posłów zagranicznych, ich metres, a także samego króla, bawiła się tam wybornie do białego świtu, nie tylko tańcami. Ale właśnie podczas tańców nastąpił mały incydent, dostrzeżony przez nielicznych, dla nas wszakże tak istotny, że nie możemy go przeoczyć. Gdy zakończono menueta, Thomatis szepnął kilka słów nadwornemu kasjerowi, Henrykowi Bastyanowi, który zaniósł te słowa w ucho przyjaciela monarchy, Ksawerego Branickiego. Ten natychmiast odszukał Casanovę i rzekł wyzywająco:

— Kawalerze, śmiałeś się, gdy tańczyłem!

Zaskoczony Giacomo spojrział nań ze zdziwieniem i odrzekł:

— Panie generale, śmieję się tak często, że gdybyś chciał tańczyć tylko wtedy, kiedy ja się nie śmieję, tańczyłbyś wyłącznie podczas pogrzebów moich przyjaciół.

— Mój panie, albo mnie zaraz przeprosisz, albo jutro zatańczę na twoim pogrzebie! — ostrzegł go Branicki. — Jeżeli nawet źle tańczę, to biję się dobrze!

— Wobec tego bij się zawsze, ale nigdy nie tańcz! — poradził mu rozsierdzony Casanova.

W tym momencie podszedł do nich król i przerwał sprzeczkę:

— Panowie, zabraniam wam kłótni! Przysięgam, że za pojedynek wsadzę obu do wieży marszałkowskiej na chleb i wodę do końca karnawału!

Na tym skończyła się owa krótka wymiana zdań między dwoma galantami, z których żaden nie ustępował drugiemu w sztuce ciętych ripost, będącej wtedy jedną z obowiązujących mód; brak wykształcenia, gotówki i urody mniej hańbił niż brak polotu w szermierce słownej i tylko impotencja oraz wierność małżeńska uchodziły za okropniejszą przywarę. Złota broszka tej mody, popularna wówczas zabawa towarzyska „Un bureau d' esprit” (biuro dowcipu), stanowiła prawdziwą szkołę ostrego języka. Można było nie znać się na kartach — nie można było wejść do towarzystwa omijając „biuro dowcipu”.

Poza królem starcie zauważył jeszcze jeden człowiek, arcymistrz we wspomnianej sztuce ranienia językiem, ulubiony paż króla, Turkuł, który od początku balu nie spuszczał oka z Thomatisa. I tylko on jeden dobrze tę scenę zapamiętał.

O trzeciej w nocy towarzystwo postanowiło zagrać w „wyrocznie apollińskie” i monarcha odesłał Turkuła, by przebrał się za Apollina, a tymczasem, nagabywany przez biesiadników, opowiedział o ostatnim figlu tego „młodzieńca udatnej postaci, żywego jak iskra elektryczna, a swawolnego nad wszystkimi”. Śmiano się do rozpuku, było z czego:

Turkuł, prześliczny chłopak o zwariowanej wyobraźni, odznaczał się nieposkromionym talentem do żartów, które czyniły na dworze wiele zamieszania. Zniecierpliwiony król ciągle obiecywał mu karę, do której nie dochodziło, aż, pewnego wieczoru w gabinecie królewskim zatkał się przewód kominka i dym począł wypełniać komnatę. Stanisław August poderwał się z fotela, mrużąc:

— Que deviendrais-tu dans cette fumée?!

— Jambon, Sire!** — zażartował paź i czmychnął za drzwi, widząc zagniewane oczy króla.

Wkrótce potem Stanisław August wezwał swego adiutanta, generała Czapskiego, polecił mu odwieźć Turkułła dworską kareta do domu wariatów i zostawić go tam za karę pod kluczem kilka dni. Generał wykonał rozkaz. Wsadził paż do karety, nie mówiąc mu w jakim celu, a kiedy zajechali pod klasztor Bonifratrów, w którym mieścił się zakład umysłowo chorych, kazał prosić superiora zakonu. Wówczas paż pojął, co mu grozi i szukając gorączkowo swej szansy, przypomniał sobie, że królewski adiutant cierpi na rodzaj spazmu karkowego, objawiającego się konwulsjami głowy w chwili silnego zdenerwowania. Kiedy więc w bramie stanął ksiądz przeor, żartowniś uprzedził Czapskiego i nim ten zdążył otworzyć usta, wygłosił z powagą:

— Z woli Jego Królewskiej Mości oświadczam, iż obecny generał, jako cierpiący na umyśle, ma tu być trzymany przez krótki czas dla pozyskania zdrowia!

Słyszając to Czapski ryknął wściekle, z czego od razu chwycił go spazm, co widząc księża wykręcili mu ręce i zaprowadzili do klasztoru. Turkułł stawił się przed królem następnego dnia. Stanisław August nie wierzył własnym oczom.

— Ty tutaj?... Widziałeś się z generałem Czapskim?

— Widziałem się, Najjaśniejszy Panie, i odwiózłszy do Bonifratrów, zostawiłem go tam na kurację.

Monarcha wybuchnął śmiechem, posłał natychmiast po adiutanta, a Turkułłowi wybaczył, i teraz, w pierwszych godzinach lutego Anno Domini 1766, opowiedział rzecz całą rozbawionemu towarzystwu na balu w Pałacu Kossowskich. Nie wiedział tylko jednego: że paż nie wybaczył jemu, i to nie próby zamknięcia w klasztorze. My jednak musimy o tym wiedzieć, byśmy mogli zrozumieć dalsze fazy dramatu, który dopiero zaczynam rozwijać niczym trubadur tkaninę z rysunkami potrzebującymi objaśnienia i akompaniamentu na jarmarkach przed gapiącym się tłumem. Niech was nie razi chwilowy chaos tych obrazków; z czasem ułożą się nam w jedną całość i poprowadzą do sedna.

W istocie paż wrócił na Zamek wprost spod klasztoru. Wbiegł do gabinetu królewskiego i nie zastał monarchy. Przebiegł korytarz i znalazł się w antyszambrze sali przyjęć, lecz tam również ziało pustką, jakby wszyscy w pałacu wymarli. Ze ścian sączyła się grobowa cisza i serce Turkułła ścisnęła irracjonalny strach. Skreślił do sypialni królewskiej. W ciemnym korytarzu oślepiły go bursztynowe promienie słońca, cedzone przez szpary okiennych kotar. Kiedy otworzył oczy, ujrzał przed sobą swego zwierzchnika, oberhofmistrza paziów Jego Królewskiej Mości, Piotra de Koenigsfelsa. Upudrowany manekin w peruce tarasował mu przejście i patrzył nań dziwnie speszony.

— Gdzie król? — spytał paż.

— Na co ci król?

— Chcę mu się pokłonić.

— Pokłonisz się później, teraz odejdz. Król drzemie.

Turkułł spojrzał nad ramieniem oberhofmistrza w kierunku drzwi do sypialni i uśmiechnął się znacząco:

* — Co zrobi ze mnie ten dym?!

** — Szynek, Najjaśniejszy Panie!

— Z którą? Z Rożańską czy ze Schmidtową?

— Nie twoja rzecz! Najlepiej będzie, jak się wyniesiesz do wieczora. Daję ci wolny dzień.

— Wolny dzień?... I tak mam wolny dzień, dzisiaj nie moja służba. Ale król chciał mnie zamknąć u Bonifratrów, za karę...

— Za karę!... Głupiec. Zmykaj stąd!

Turkułowi zakręciło się w głowie od podejrzenia. Zrobił bezwiednie krok do przodu, chcąc Koenigsfelsa wyminąć, lecz manekin przesunął się w tę samą stronę i nie puszczął. Paź odskoczył i zaczął biec korytarzem w kierunku, z którego przyszedł. U wrót do jadalni wpadł na kamerdynera Bruneta. Karcił się jeszcze rozpaczliwą nadzieją, lecz rozumiał, że niczego się nie dowie, jeśli okaże choć cień ignorancji.

— Kto ją nastreczył królowi? — zaszczował.

Brunet spuścił wzrok i poczerwieniał jak kuchcik przyłapany na kradzieży. Turkuł porwał go za klapy surduta.

— Łajdaku! Więc to prawda, co mi powiedziano, ty ją zrajfurzyłeś!

Brunet zatrząsł się z przerażenia.

— Mon Dieu!... To nie ja!... Przysięgam! To nie ja! Nigdy bym tego nie zrobił!

— Łżesz, robiłeś!

— Ale nie z takimi jak ona! To była przyzwoita dziewczyna, przyjaźniła się z moją córką! Panie, ja...

— Kto to zrobił?!

Pokojowiec oddychał ciężko, nic nie mówiąc, jakby odebrało mu głos. Paź docisnął go do ściany, aż zatrzeszczały żebra.

— Mów dobry tatusiu, bo zrobię z twojej córki sierotę!

— Thomatis!

— Jak?! Czym ją nakłonił?

— Panie, czy do królewskiego łóżka trzeba nakłaniać?

— Ją tak! Więc czym?!

— Nie wiem, podobno obiecał jej, że dostanie rolę na teatrum...

Paź rozluźnił uścisk i został sam. Z plafonu wiszącego mu nad głową chichotały złośliwe amorki, a ściany zdawały się kołysać w rytm przyspieszonego pulsu. Zareagowała pamięć. Przypomniał sobie jak kiedyś Thomatis zaczepił go w kawiarni:

— Czy to prawda, że w pewnym domu, w którym raczono przypisać mi nieco dowcipu, pan powiedziałeś, że nie mam go wcale?

Odparł wówczas:

— Panie Thomatis, zaręczam, że nie ma w tym ani słowa prawdy. Nigdy nie byłem w żadnym domu, w którym by panu przyznano odrobinę dowcipu.

Włoch uśmiechnął się i rzekł:

— Więc bywasz pan tylko u siebie? Nic nie szkodzi. Tam również zmienisz zdanie.

— Jesteś tego pewien, łaskawco?

— Tak. Cierpliwości.

Stał długo w pustym korytarzu i nie mógł ruszyć się z miejsca. Ale każda upływająca minuta zmywała zeń wzburzenie jak deszcz zmywający kurz z drzwiczek karety; otwierała się brama zimnego spokoju, który był straszniejszy. W końcu ogarnęło go uczucie nieokreślonego znużenia, w którym wszystkie sprawy, poza nienawiścią, tracą swą

ważność i usypiają. Każdy, kto wówczas przeszedłby obok, mógł być tym pierwszym, który ujrzałby arcyosobliwość: łyzy rozlane na policzkach wiecznego wesołka dworu Jego Królewskiej Mości. Ale nie przeszedł nikt.

Tak narodził się nowy Turkuł, w którym więcej było przysłowiowej złości niż czerwonych ciałek krwi. Przysłowia są pono mądrością narodów, ale narody składają się z ludzi, więc przysłowia tyczą i jednostek. Żadne z nich nie pasowało w tej chwili lepiej do tego człowieka obłąkanego pragnieniem odwetu niż stare porzekadło: „Ktoś, kto cię ugryzł, przypomni ci, że i ty posiadasz zęby”. Biedny człowiek, prawda? Lecz nie tylko dlatego, że go skrzywdzono.

Człowiek, który nienawidzi, mniej cierpi. Nawet, jeśli poprzez tę nienawiść nadbiega przeszłość — mniej cierpi. Cierpieć będzie później, gdy zaspokoi pragnienie zemsty i spostrzeże jak niewiele to dało, jak nie naprawiło niczego i jak bardzo było niepotrzebne. Turkuł miał się o tym przekonać jeszcze tej samej doby, podczas pierwszego z trzech swoich odwetów.

Młodzieniec ten jest ważną *dramatis personae* tej części mojego opowiadania, wypada więc, bym przedstawił go bliżej XVIII-wieczny kronikarz warszawski, Antoni Magier, wspomniawszy o nim w swojej „Estetyce miasta stołecznego Warszawy”: „Pomiędzy pa-ziami króla najweselszym był przystojny Turkuł, młodzian zacnej rodziny z dawnej Galicji, uczony w językach i w rysunku, przy tym dowcipny w swoich żartach”. Na królewski dwór dostał się z chwilą śmierci rodziców poległych od moru, dzięki stosunkom wpływowego przyjaciela rodziny, i stał się namiastką królewskiego błazna; budził swymi złośliwościami wesołość jednych, a wrogość liczniejszych. Kobiety rozrywały go: przeszedł przez wiele świetnych łóżek Warszawy i dał się pochłonać wirowi intryg pałacowych, które w ówczesnej Europie, rządzonej przez płec piękną (od madame Pompadour na zachodzie po Katarzynę II na wschodzie), kłuły się w fałdach pościeli. Uważano go za cynicznego, gdyż wygłaszał przewrotne zasady o miłości, ale w gruncie rzeczy był uczciwy — udawał, że jest łotrem, by nie zrażać kobiet.

Zmienił się całkowicie w początkach roku 1765, gdy wrócił z rodzinnych stron, gdzie załatwiał sprawy spadkowe. Dalej należał do tych, którzy lepiej znoszą własne wady niż cudze, i kpił po dawnemu ze wszystkiego, lecz wyłączył się z interesów dworskich koterii, a co bardziej rażące, zaprzestał miłostek, czym wzbudził ciekawość Stanisława Augusta:

— Jesteś chory, przestały ci smakować kobiety, czy też masz w głowie powołanie do celibatu?

— Sire — odparł melancholijnie paż — mam w głowie kobietę, jakich mało, która mnie chroni od kobiet, jakich wiele.

— Alleluja! Miałem rację, żeś skapcaniał i żeś chory z miłości. Nic ci nie pozostaje, jak żenić się i płodzić turkullatka. Tandem!...^{*} Dobrze się składa, bo już dawno nie było wesela na dworze. Ja płacę.!

— Dziękuję, Najjaśniejszy Panie, nie chcę się żenić.

— A to czemu, tandem?

— Z obawy, żebym nie miał syna podobnego do mnie, który musiałby kłamać, pochlebiać i pełzać.

^{*} — Tandem — łacińskie: ostatecznie, w końcu, wreszcie. Ulubione słówko Stanisława Augusta.

— Ty pochlebca?! Inaczej cię sądzą z twych docinków. Zdaje się, że masz o sobie gorsze mniemanie niż o innych i niż oni o tobie...

— Jeśli mogę sądzić po mnie, Sire, człowiek to jest bydlę, które dostaje mdłości tylko na widok innych, nigdy przed lustrem, i nie zauważa, jak zwierciadłu zbiera się na wymioty.

Mdłości, o czym powszechnie wiadomo, można najprędzej dostać znając sekrety kuchni. Turkuł mieszkał na Zamku, gdzie pitraszono wzory ówczesnych mód i stylów życia, i gdzie uczciwi ludzie stanowili rzadką odmianę swego gatunku. W rzeczy samej było to rozkoszne miejsce, w którym nadwrażliwy albinos jego pokroju mógł zrobić tylko trzy rzeczy ratujące przed schizofrenią: albo zastosować się do wstrętnej rady Chamforta („Trzeba połknąć co rano ropuchę, aby nie czuć obrzydzenia przez resztę doby, kiedy ma się ją spędzić wśród ludzi”), albo pozbyć się sumienia, szlusuując do większości, albo wreszcie znaleźć sobie urlopowy azyl od tego bagna. Dla pazia taką odtrutką stała się koronczarka, którą przywiózł z Galicji, ulokował w mieszkaniu na Starym Mieście i zaprotegował jako dostawczynię koronek dla dworu. Miała dziewiętnaście lat i ciało z rodzaju tych, które są przyczyną, że mnisi wieszają się na sznurach dzwonnicy. Od innych kobiet, które poznał, różniła ją coś bardzo istotnego: rumieniła się zawsze gasząc świecę przed wejściem do łóżka.

Z Zamku Turkuł wyszedł stąpając jak niewidomy, z szeroko otwartymi oczami i rękoma szukającymi dotyku ścian. Furtką zwaną Zawrat przekroczył mury obronne i znalazł się na Podwalu. Przechodnie, których potraçał, obrzucali go gniewnymi spojrzeniami lub przekleństwem. W końcu wylądował w winiarni na Miodowej i zaczął bez opamiętania pić. Z kimś rozmawiał, kłócił się, wznosił toasty i wyśpiewywał kuplety, aż wszystko się zamazało i zgasło.

Ocknął się krzycząc przeraźliwie. Nad nim była noc, pusta aż po gwiazdy, które dawały oparcie oczom. Leżał w jakichś ruinach, pozbawiony wierzchniego odzienia i sakiewki. Poczul przejmujące zimno i tępy ból w głowie. Czyjs chrapliwy głos zaskrzypiał obok:

— Lepiej ci?

Ujrzał brodatą twarz pół-człeka, pół-zwierza, z białkami jarzącymi się w ciemności.

— Kim jesteś? — wyszeptał.

— A ty kim jesteś?

— Paziem króla.

— Tośmy sjamczyki, bom i ja paź króla.

— Jakiego króla?... Król jest jeden...

— Mało wiesz. Jest król Cyganów, król karciarzy, król żebraków i twój królik, nad którym stoi król przysłany przez carycę.

— Repnin? To ambasador Rosji...

— Nie, to prawdziwy król. Twój jest sługa.

— A twój?

— Mój miał tylko Boga nad sobą.

— Miał? Jak to...

— Bóg umarł, nie wiesz o tym? Rozejrzyj się dookoła... Strasznie głupi jesteś, całkiem jak twój przemądrzały królik. Nie ma dokuczliwszych głupców niż inteligentni głupcy.

Paź podniósł się, usiadł i przyjrzał się lepiej postaci w łachma-nach.

— Kim ty jesteś? — zapytał znowu.

— Człowiekiem wolnym, żebrakiem.

— Czy to ty mnie...

— Skąd! Odarli cię jacyś zbóje, ciesz się, że nie z żywota.

— „Basior”!

— Ho, ho, ho! Trzeba było od razu mówić, żeś wielmoża obwieszony złotem, bo z gęby nie poznałem. „Basior” i jego banda ucapują tylko takich... Nie pleć lepiej, albo to brakuje łązików? W łeb ci dali i tyła. Śpiąc darłeś się jak zarzynany. Usłyszałem i znalazłem cię tu. Śniło ci się coś... Zimno ci?

— Zimno.

— To się napij. Masz.

Żebrek podał mu glinianą flaszkę z wódką, a kiedy paż upił kilka łyków, odebrał ją i rzekł:

— Teraz możesz powiedzieć.

— Co?

— Sen.

— Dlaczego?

— Lżej ci będzie. Taki sen jest jak ciężki kamień, który leży na sercu i człowiek, który nosi ten ciężar, chce go zrzucić. Jeśli opowiesz mi o tym, może on spadnie. Ale musu nie ma... No, kto ci się śnił?

— Dlaczego nie spytasz, co mi się śniło? Skąd wiesz, że śnił mi się ktoś?

— Bo tylko ludzie sprawiają prawdziwy ból. Wiem o tym. No?

— Śniła mi się kobieta, którą kocham...

— Opowiedz mi.

Turkuł zawahał się. Nagle, jak ukłuty, otworzył usta:

— Szukałem jej. Chodziłem po mieście i szukałem domu, w którym mieszka... Znalazłem ten dom, chodziłem po nim... było tam z tysiąc komnat, wszystkie puste, tak jak ulice...

— Więc to był pałac?

— Tak, to był pałac... Wszędzie było pełno wiatru, który porywał liście...

— W pałacu?

— Tak, w pałacu też. To cię dziwi?

— Nie. Mów dalej, o tym jak ją znajdujesz.

— A skąd...

— Wiem, inaczej byś się przez sen nie darł. Opowiedz mi, twój kamień już się zmniejszył.

— Tak, znalazłem ją. Leżała naga na sofie, broniła się... Na niej leżał mężczyzna. Był silny... chciał ją osiąść... Wtedy podbiegłem, chwyciłem go za włosy i zacząłem ciągnąć. Ale ona... ona wbiła mi palce w oczodoły... To strasznie bolało. Puściłem jego włosy i dotknąłem moich oczu, a ona wysunęła spod niego nogę i odepchnęła mnie, tak jak się odpycha natręta!

— I co było dalej?

— Dalej?... Szydzili ze mnie, a ja chciałem uciec, ale w tej komnacie nie było drzwi ani okna i nie mogłem z niej wyjść. Musiałem patrzeć jak oni to robią... Byli bezwstydni... Ona leżała na nim, a potem... kiedy leżała pod nim i patrzyła na mnie, powiedziała coś,

czego nie rozumiałem i znowu się śmieli. Oparłem się o ścianę... ściana zaczęła drżeć, pękać, rozstąpiła się...

— To dlatego, że szarpałem cię za ramiona, kiedy krzyczałeś.

Turkuł schował twarz w dłoniach i zamilkł. Po chwili uniósł głowę i spytał:

— A ty... czy miałaś kiedyś taki sen?

— Mam go często. Każdy go ma, albo będzie miał.

— Kto sprawia ci ból w twoim śnie?

— Człowiek, któremu oddałem cały majątek ojca, żeby mógł zrobić karierę. Sam najałem się na statek i wyjechałem. Wróciłem bez nogi, a on nie wpuścił mnie do swego pałacu. Śni mi się, że szczuje mnie psami. To wszystko.

— Kochałeś tego człowieka?

— Tak, to był mój brat.

— Czy już komuś opowiedziałeś ten sen?

— Tak.

— I twój kamień spadł z twojej piersi?

— Nie.

Turkuł chwycił się muru i podźwignął.

— Pójdę już... Gdzie jesteśmy? Żebrak wyciągnął rękę.

— Tu jest Barbakan, widzisz?... Znajdziesz drogę. Jeśli kiedyś będziesz chciał pomocy, przyjdź pod kościół Świętego Jacka. Tam od rana siaduję.

— Ty pomóc mi nie możesz, za wysoko toczy się gra, u dworu.

— Chłopcze! Może być, że znam sekrety i ludzi twego króla lepiej niż ty. Nie odrzucaj mojej ręki pochopnie, byś nie został sam.

— Znasz Thomatisa?

Oczy żebraka zapaliły się jak dwie krople fosforu i zaraz zgasły, a w głosie nie zabrzmiał nawet cień podniecenia:

— Znam dobrze.

— Znasz go dobrze?!... Może i dobrze o nim myślisz...

— Myślę, że to człowiek, który spaliłby cudzy dom, żeby sobie ugotować jajko. Jak widzisz myślimy podobnie... Czy to jego chcesz zabić?

— Zabić? Nie! Zabijając okazałbym litość, a we mnie nie ma litości. Chcę go unieszczęśliwić, chcę, żeby cierpiał do końca życia, żeby się zameczył swym cierpieniem!

— I co wymyśliłeś?

— Jeszcze nic, ale znajdę sposób!

— Ze mną znajdziesz prędzej, boja nie myślę o nim rozpaloną głową i lepiej znam życie.

— Kto ty jesteś? — zapytał po raz trzeci paż.

— Ten, który pomoże ci się zemścić. Wiesz co... Bóg nie żyje, ale widocznie żyje jego Syn, jeśli stał się ten cud, że natrafiłeś na mnie, a ja na ciebie. Nawet nie przypuszczasz, jak wiele możemy sobie pomóc. Czekałem na ciebie prawie dwa lata!

— Czekałeś na mnie?... Nie rozumiem...

— Przyjdzie czas, zrozumiesz.

— W czym ja ci mogę pomóc? Chcesz złota?

— Srebra, ale nie takiego, jakie mógłbyś mi dać, nie mówmy o tym. Każdy ma kogoś, kogo chce dostać, tak jak każdy ma swój sen. Ty chcesz Thomatisa, a ja...

Rozejrzał się dookoła, nasłuchując, i dokończył szeptem:

— ...Repnina!

— Cóż masz do niego? - zapytał tym samym szeptem Turkuł.

— Że chce zrobić z Polską to samo, co Thomatis z twoją dziewczką. Już to robi, a Thomatis mu pomaga.

— Coś rzekł?!

— To, coś usłyszał. Thomatis należy do niego! Nie myśl, że cię zwodzę. Siedzisz pod fotelem króla i masz uszy, wykorzystaj je. Sprawdź, czy cię nie ołgałem. A potem wróć, pogadamy.

Paź przyjrzał mu się jeszcze raz, ale w ciemności mało było widać prócz jarzących się oczu.

— Może wrócę. Jak ci?

— Zwą mnie Rybak.

— A mnie Turkuł. Pójdę.

Zaczął stąpać ostrożnie po gruzach w kierunku sterczących w świetle księżyca blank Barbakanu. Nocne podmuchy wiatru uderzały go w plecy, czuł dotyk niewidzialnych rąk, które pchały go ku jej domowi. Kiedy przed nim stanął, sięgnął do kamizelki i nama-cał klucz.

Po raz drugi tej doby ocknął się na granicy dnia. Świt jeszcze nie nadszedł, ale nadchodził już. Spojrzawszy w bok Turkuł zauważył, że dziewczyna ma otwarte oczy pełne łez. Też nie spała.

— Nie śpisz?

— Nie... — odpowiedziała cicho i po chwili dodała jeszcze ciszej: — ...kochany.

Ale jej twarz nie drgnęła, nie odwróciła oczu w jego stronę, nie zrobiła żadnego gestu, jakby ją sparaliżowało łagodne światło wdzierające się przez okna. Leżeli milcząc obok siebie, ze swoimi myślami, które wędrowały jedna przy drugiej, niczym dwie rzeki narastającego strachu. Nagle poczuł jej dłoń i usłyszał:

— Powiedz mi...

Zamknął oczy. Cóż mógłby jej powiedzieć? Była już tylko obcym, niepotrzebnym ciałem, bez odrobiny boskości; dalej byłaby jak intruz w jego rozpoczynających się porachunkach z życiem. Chciał ją wziąć jak brutal i rzucić demonstracyjnie na stół kilka miedziaków; wziął, ale w gorączce nie pamiętał, że odarto go ze wszystkich pieniędzy. Teraz przypomniał sobie o tym. Ubrawszy się wyjął z kieszonki klucz, położył go na komodzie i wyszedł szybko, nie mówiąc żadnego ze złych słów, które sobie przygotował. Miał w sercu poczucie klęski i jeszcze większą niż uprzednio nienawiść do tamtych; nienawiść, która może nieść człowieka długo niby statek Latającego Holendra, być powietrzem i strawą, nocą i dniem, miłością i wyrzeczeniem, zastąpić ramiona kobiety i własny kąt; nienawiść, w której każdy sen-odpoczynek jest tylko chwilowym zawieszeniem broni. Takich właśnie jak on szukał Imre Kiss i za tego udręczonego pazia zapłaciłby worek złota. Będzie go miał za darmo, ale jeszcze nie teraz, na razie bowiem mamy noc 1 lutego 1766 roku i bal w Pałacu Kossowskich.

Turkuł przebierał się za syna Zeusa i Latony w buduarze pani domu, gdzie już leżały przygotowane greckie szaty. Pomagała mu znana tancerka, Włoszka Catai, metresa „zwierzchnika spektakłów”. Nie prosił jej o to, ale ucieszył się, bo miała teatralną wprawę. Włożyła białą tunikę na jego nagi tors, udrapowała, a kiedy skończyła — musnęła zębami

jego szyję i koniuszkiem języka poczęła rysować owalną linię wokół jego brody, podczas gdy jej ręce sięgnęły niżej, pod tunikę i ostre paznokcie zagłębiły mu się w ciało. Oddychała coraz szybciej, szukając wargami jego ust. Patrzył na nią zaskoczony. Miała twarz jeszcze młodą, ale już blisko zmierzchu i widać było, że natura wkrótce zabierze to, z czego uplotła jej wdzięk, a pozostawi samą lubieżność. Natrętne palce tancerki rozpałały członki pazia i chociaż nie pragnął jej, zaświtało mu w głowie, że oto zrzędzeniem przypadku odpłaca Thomatisowi za „dowcip”, którym tamten zniszczył jego azyl.

Catai, stojąca twarzą do drzwi, nagle zbladła i poczęła udawać, że usiłuje poprawić oporną tunikę na ciele Apollina. Turkuł odwrócił się i ujrzał w drzwiach zniechęconą gębę. Thomatis miał zacisnięte pięści i rysy wykrzywione z gniewu. Podszedł do nich, szarpnął tancerkę, odrzucając ją w tył, i chciał wyprowadzić, lecz paż zastąpił mu drogę i parsknął:

— Ach, quella rabbia detta gelosia!*

A nie doczekawszy się odpowiedzi, kontynuował zuchwale:

— Pan zazdrosny, signore Thomatis? No wie pan, że to jest niesłychana pretensja! Za wiele pan sobie robi zaszczytu! Wy tłumaczę to panu. Nie byle kto zostaje rogaszem. Czy pan wie, że aby nim zostać, trzeba być człowiekiem uprzejmym, towarzyskim, miłym, a nadto mającym trochę oleju w głowie? Niech pan najpierw nabędzie tych przymiotów, a potem dystyngowani ludzie zobaczą, co mogą zrobić dla pana. Takim jak pan dziś jesteś, któż mógłby przyprowadzić rogi? Jakiś ciura. Kiedy będzie czas się niepokoić, ja pierwszy złożę panu gratulacje.

Thomatisowi żyły wyszły na skroniach.

— Poczekaj, pajacu, zajmę się jeszcze tobą! Na razie zrobiłem początek, po którym całe miasto może ci gratulować. Teraz mam ważniejsze sprawy na głowie, ale przyjdzie czas, że wystawię ci kolejny weksel do zapłacenia!

— Też fałszywy? Nie trudź się. Ja za ten pierwszy zapłacę ci tyle, że nie udzwigniesz. Masz moje słowo.

Twarz Włocha odmieniła się, wybuchnął śmiechem, najwyraźniej zachwycony:

— Straszysz? Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!... Poverino, jesteś goły jak bożek wróżb, którego udajesz, idź i wywróż sobie sam. Jeśli trafisz, osiwiejesz z trwogi.

— Nie znasz Homera, rajfurze — odparował paż. — Idź i przeczytaj „Iliadę”, tam Apollo jest bogiem nagłej śmierci. O to zresztą mniejsza, gorzej, że jako antreprenier królewskiego teatru nie znasz Goldoniego, który rzekł: *La gelosia e passione ordinaria e troppo antica.***

Wygrał ów pojedynek, ale ta retoryczna zemsta była dlań tylko przystawką przed obiadem.

Na sali czekano w zniecierpliwieniu, Apolla powitały brawa. Zasiadł na tronie trzymając w dłoni gałązkę oliwną i otrzymał pierwsze pytanie od dam; pytanie dotyczyło miłości, czegoż innego mogło dotyczyć? Przy spotkaniach we dwoje uprawiano miłość, przy spotkaniach w gronie większym zajmowano się teoriami miłości. Rozbierano wówczas wszelkie odcienie porywów ludzkiego serca, małżeństwo wykpiwając (należało to do dobrego tonu; uchodził za dziwaka, kto w małżeństwie szukał uczuć), romans

* — Ach, ta wściekłość zwana zazdrością!

** — Zazdrość jest uczuciem prostackim i przestarzałym.

gloryfikując, lecz zarazem wynosząc na piedestał miłość platoniczną! Rzecz jasna, mało kto praktykował szczerze zasady tego ideału, sprzecznego z naturą ludzką i całym porządkiem świata, ale nawet pijana murwa (jak elegancko mawiali nasi dziadowie, jeśli znajdowali się w gronie mieszanym) nie ośmieliłaby się przeciwstawić w biały dzień modzie na frazeologię o wyższości czystego serca nad dążeniem do zaspokojenia zmysłów. Pytanie skierowane do Apollina brzmiało:

— Jakiego męża należy szukać, by być zadowoloną?

Pomyślał przez chwilę i rzekł, przybierając olimpijski ton:

— Młody — niestały; w średnich latach — zazdrosny; stary — niezdara; przystojny — dobry dla drugich; brzydki — odrażający; mądry — zarozumiały; głupi — niemożliwy w pożyciu; bogaty — skąpy; ubogi — wygłodzony; popędliwy — tyran. Chcąc mieć szczęście w domu należy wybrać niewidomego niemowę, moje panie.

Nagrodził go huragan oklasków.

— Powiedz nam, wobec tego, boski Apollinie, jaką, tandem, należy brać żonę? — zapytał król.

— Młoda — kapryśna; stara — kula u nogi; piękna — niebezpieczna; nieforemna — utrapienie; bogata — zbyt kosztowna; uboga — zachłanna; głupia — nieszczęście; uczona — chce przewodzić.

— Cóż więc nam poradzisz, tandem, jaka żona najlepsza?

— Martwa.

Sala zatrzęsa się od śmiechu. Król pokręcił głową i nie ustąpił:

— To wiadomo, ale nie umkniesz nam tak łatwo! Jaka żona do miłości najsposobniejsza?

— Cudza.

— To powiedz nam jeszcze — spytał król, odczekawszy aż umilknie wrzawa — co w miłości, tandem, ważniejsze, sprawność ciał czy tkliwość serc?

Apollo milczał; ostatnia odpowiedź szarpnęła w nim chorą strunę. Poczul w ustkach smak nienawiści i zapragnął wypluć swego pana jak wypluwa się śluz z kataru. Poniatowski zdziwił się:

— Cóż to, Turkuł... och, pardon, boski Apollinie, cóż to, nie masz nam nic do powiedzenia o miłości? Ty, tak biegły w ars amandi, tandem!?!...

Zapanowała cisza, pełna wyczekiwania, którą przerwał stojący obok Thomatisa kawaler de Seingalt; uczynił to głosem spokojnym i rozstrzygającym, jakby chciał wybawić pazia z opresji:

— Sztuka kochania wymaga czegoś więcej niż tylko dobrej techniki, ale mówić można tylko o technice, a zatem nie tam, gdzie są damy, Sire.

— Oto zdanie mistrza! — wykrzyknął król. — Apollinie, zwalniamy cię od odpowiedzi, wyrokuj co innego!

Pazia zasypano gradem kolejnych pytań. Tymczasem Thomatis nachylił się do Casanovy:

— A propos techniki i mistrzostwa, kawalerze de Seingalt... Powiedziano mi, żeś niezrównany maestro w kartach...

— I co, uwierzyłeś, hrabio?

— Uwierzę wówczas, kiedy pokonasz mnie. Jak dotąd nie miałem okazji uwierzyć komukolwiek, cieszę się opinią pierwszego gracza w tym kraju.

— To ładnie, panie Thomatis, ale znam takich, którzy przyjęliby każdy zakład stawiając na piątego w Paryżu przeciw pierwszemu na prowincji.

— Ja zaś znam tych spośród nich, panie Seingalt, którzy to uczynili. Teraz nie mają butów na powrót do Paryża. Więc jak?

— Nigdy nie odmawiam. W co i kiedy?

— W co zechcesz, kawalerze, wszystko mi jedno. Może być Vingt-et-un, Faraon, Lancknecht, w którym odniosłeś tak świetny triumf nad kilkoma patałachami, albo coś podobnego, jeśli już tak lubisz gry dziecięce...

Casanova spąsował.

— Więc proponujesz mi, panie...

— Otóż to!... Czyżbyś się przestraszył, kawalerze de Seingalt? Nie będę się upierał, powiedziałem, przyjmę każdą grę.

— Nigdy bym sobie nie darował przyjmując każdą grę zamiast tej. Z rozkoszą amputuję twoją pychę, panie Thomatis.

— Benissimo! A więc za tydzień u mnie, w teatrze, po śniadaniu. Gra w czterech, proszę wziąć kogoś ze sobą.

Gra, którą Karol Aleksander de Valery Thomatis zaproponował Giacomo Casanovie, kawalerowi de Seingalt, była najstraszliwszą z ówczesnych gier. Tylko bardzo bogaci i bardzo odważni, a pewni weny ludzie ośmielali się zasiąść do niej. Była to odmiana „Lancknechta”, lecz o ile „Lancknechta” zwano „Diabłem”, tę grę nazywano „Arcydiabłem” lub „Szatanem”. Jej oficjalna nazwa brzmiała A la mort (Na śmierć), co było w pełni usprawiedliwione. Rzadko nie kończyła się czymś samobójstwem lub ostatnią nędzą. Mówiono o niej, że „książąt zamienia w żebraków”.

Do „Na śmierć” używano dowolnej liczby dużych talii liczących 52 karty każda, z reguły po jednej talii na grającego. Ze stosu potasowanych talii każdy gracz otrzymywał jedną kartę, po czym wszyscy kolejno ciągnęli następne. Ten, który natrafił na identyczną kartę jak pierwsza przezeń otrzymana, zabierał stawkę. Żadnemu z partnerów nie wolno było wycofać się w trakcie gry, aż do wyczerpania własnych zasobów pieniężnych lub wszystkich kart, zaś ustalona regułami matematyczna progresja stawki początkowej z każdą rundą zawiązała ją do rzeczywiście śmiertelnych rozmiarów. Jeżeli przykładowo stawka inicjująca wynosiła czerwonego złotego, to za piątym razem było to już 16 złotych, za dziesiątym wygrywający brał ze stołu stawkę w wysokości 512 złotych, a za piętnastym 16 384 złote. Tak więc jeśli gra kończyła się w piętnastej rundzie, gracz, który miałby szczęście wygrać wszystkie rundy, zabrałby do domu 32 767 złotych! Powyżej dwudziestu rund grać mogło nie więcej niż tuzin ludzi w mocarstwie, a przegrywający magnaci strzelali sobie w łeb.

Wyznaczonego dnia Giacomo pojawił się na kwadrans przed południem w teatrze. Towarzyszył mu przyjaciel poznany niegdyś w Wiedniu, messer Campioni, u którego kawaler de Seingalt zatrzymał się po przybyciu nad Wisłę. Był to młody jeszcze, dobrze zbudowany szafaputa, który fenomenalnie tańczył (prowadził w Warszawie szkołę tańca nie pozwalającą mu umrzeć z głodu) i nieszczęśliwie grał w karty (to jest był kiepskim szulerem, chociaż wyszedł ze szkoły samego Afflisia, króla europejskich szulerów), przez co miał tylko dwa ubrania. Był jednym z tych zjawisk, które co jakiś czas rodzi natura, ażeby dać wyobrażenie o cnotach i błędach dziwacznie zespolonych w pięknym ciele.

Trudno powiedzieć, która z jego licznych namiętności stała się dlań w końcu najfatalniejszą, kobiety, taniec, astrologia, wino, niestałość uczuć czy hazard, przez który nie mógł powrócić nad ukochany Tybr, zostawszy nad Wisłą półnędzarzem (o nim to właśnie mówił Thomatis, wspominając o ludziach bez butów). Umarł najnaturalniej, niczym 90-letni starzec, w niewiele lat po opisywanych wydarzeniach i w kwiecie wieku, żalowany głównie przez swych wierzących. Powiadano, że uczynił to w przypiływie złego humoru.

Dom Campioniego był prawie nie umeblowany. Tu i ówdzie stała jakaś kanapa lub kilka taboretów przerywało pustkę. Właściciel nawet zimą nie rozpalał ognia w kominku i siedział okryty płaszczem, nogi trzymając w „chauf-feretce” napełnionej żarzącymi węglami, ręce w zarękawku, a głowę w ciepłej kapucy. Gdy Casanova zjechał do niego, kazał z wielkiej przyjaźni wydzielić mu chudy zapas szczapek do kominka i dał pokój najodleglejszy od swojego twierdząc, że gorąco źle wpłynęłoby na jego (Campioniego) zdrowie.

Campioni nie posiadał się z radości usłyszawszy, że będzie mógł zagrać przeciw sprawcom swego ubóstwa i to za pieniądze „pożyczone” od przyjaciela. Cały tydzień żył wyłącznie tym, żonglując kartami, ustalając z Casanovą systemy porozumiewawcze i doglądając sługę czyszczącego wciąż od nowa jego wyjściowy strój. Aż wreszcie doczekał się święta.

Wprowadzono ich do gabinetu „zwierzchnika spektakłów”. Jedyne najwięksi z graczy mieli honor siadać przy karcianym stole, stanowiącym główny mebel tego osobliwego wnętrza, o którym cuda wygadywano. Casanova, zwiedziwszy całą Europę i doszedłszy do przekonania, że nic go już nie może zadziwić, wybałuszył wzrok na to panopticum przeładowane pospolitością, złoceniami i srebrzeniami w najszeptniejszej formie, emanujące gust tak podły, że wzbudzały tęsknotę za całą wybieloną wapnem. Świece sączyły leniwie oliwkowe światło na środek pokoju, którego ściany — obrosłe szczelnie dywanami i malowidłami, jakby w nagich murach siedziało coś, czego nie wolno dotykać — zdawały się być zakneblowane i to wytwarzało atmosferę pełną nieokreślonych podejrzeń. Nie można było czuć się bezpiecznie we wnętrzu tej komnaty. Czasem odbywały się tu, z udziałem jednej damy i ekskluzywnego grona kompanów Thomatisa, dzikie orgie, o których mówiono rzeczy tak niestworzone, iż nikt w nie wierzyć nie chciał. Nawet służącym nie wolno było tam wchodzić w trakcie, a uczestnikom podawano kolację z przedpokoju przez małe okienko w drzwiach; nawet Stanisław August, kiedy mu doniesiono o szczegółach tych zabaw, pobladł z gniewu i począł się boczyć na Thomatisa. Wówczas ten sprawił, że króla poinformowano o terminie kolejnej i kiedy monarcha przybył sprawdzić, zastał Thomatisa czytającego poezję Metastasia.

Kobiety, które przeszły przez ten pokój, umierały ze wstydu i z podniecenia na wspomnienie obitego zielonym płótnem stołu do gry w gabinecie dyrektora teatru Jego Królewskiej Mości, ale żadna nie przybyła tu drugi raz, do tej klatki bez wyjścia zanim nie dokona się niemożliwość w rodzaju zmieszczenia sześciu flazoletów w jednym futerale. Thomatis nie wiedział, że we framudze drzwi istnieją dwa małe otwory wywiercone przez lokaja i pozwalające penetrować wnętrza wzrokiem i słuchem. Nie wiedział o tym żaden z czterech graczy.

Czwartym partnerem był znany nam już ze wstępu i ze scenki na balu w Pałacu Kossowskich przyjaciel króla i brat jednej z królewskich kochanek, Franciszek Ksawery

Branicki, 35-letni warchoł, niezrównany pijak i hulaka, istne wcielenie sarmatyzmu. Książę Adam Czartoryski pisał o nim: „Żywy «specimen» dawnej polakerii, Branicki, na przemian popełniał wszystkie grzechy ojców”. Książę dodał jeszcze kilka słów o „rzutkim dowcipie” Branickiego, pełnym „polskiej soli i akcentu”, co nam potwierdza, że ów „specimen” świetnie się wdroić potrafił do ówczesnej mody na ciętość języka. Lecz przy stole Thomatisa tą bronią niewiele można było zdziałać.

Obecność Branickiego również zdumiała Casanovę. Wiedział on, że Branicki próbuje zdobyć względy jednej z kochanek Thomatisa, o którą ten jest chorobliwie zazdrosny. Wytłumaczył to sobie ciekawością Polaka i jego nałogiem gry — każdy z karcianych magnatów marzył o wejściu do tego gabinetu, o co było sto razy trudniej niż o audiencję u króla, i o zmierzeniu się z Thomatisem, co też było zaszczytem nie lada. Lecz jedno było dla Casanovy niepojęte: miał uprzednio pewność, że Thomatis weźmie sobie do pomocy kogoś ze swoich szulerów, tak jak on wziął Campionie'go, a Thomatis wziął człowieka, z którym się wadził! Giacomo przestał cokolwiek rozumieć i pomyślał, że albo Thomatis jest przesadnie zadufany w swej wirtuozerii, albo zwariował i zbyt wierzy w swoje szczęście. W „Na śmierć” bowiem szulerkę prowadzić mógł tylko ten z partnerów, który akurat trzymał bank, oznaczał wysokość stawki i rozdawał, a bankierem mógł być kolejno każdy gracz (wygrywający bankierował aż do przegrania swojej stawki). Thomatis miał więc jedną szansę na cztery.

Grę rozpoczęli kwadrans po dwunastej, wymieniwszy uprzednio rytualne grzeczności. O trzeciej po południu Branicki podpisał drżącą ręką weksel i wstał od stołu, błąd jak ściana. Zostało mu ubranie, przyjaźń króla zdeponowana między piersiami oraz udami siostry i wściekłość uderzająca obuchem w skroń: przegrał włości rodzinne, pałac, srebra, zaprzęgi i obrazy, słowem wszystko, co posiadał.

Zostali w trójkę. Przed czwartą Thomatis, aktualny właściciel banku, wygrał w dwunastej rundzie siódmego rozdania 2048 cekinów i zażądał kolejnej stawki wynikającej z progresji - 4096 cekinów. Ale Casanova miał już tylko kilkadziesiąt monet i nie mógł dalej grać. Oszołomiony porażką nie potrafił skupić myśli i nie próbował nawet zastanawiać się, jak do tego doszło. Siedział zmarmurzały w fotelu i wpatrywał się tępo w płomień świecy. Nagle dotarły doń słowa Thomatisa:

— Z amputowania mojej pychy chwilowo nic nie wyszło, panie de Seingalt, ale może innym razem. Zawsze chętnie służę.

— Nie będzie następnego razu — odparł ponuro Casanova.

— Proszę nie upadać na duchu, przyjacielu, nie do twarzy z tym człowiekowi tak ambitnemu. Jak mi opowiedziano, wyjeżdżałeś pan z Petersburga pewien swych sukcesów w Warszawie. Powtórzono mi nawet twoje słowa, wielce mnie zafrapowały.

Giacomo spojrzał na niego przytomniej.

— Jakie słowa?

— Te, które wygłosiłeś podczas pijatyki u księżnej Dołgorukow: „W Warszawie uklękną przede mną, bo mam mózg pełen pomysłów i wielkie prącie!”

Casanova zadrżał.

— Nie powiedziałem tego u Dołgorukowych!

— Więc powiedziałeś gdzie indziej, przyznajesz. Jak dotychczas nikt przed tobą nie bije czołem, widocznie kiepskie były te pomysły. Ale jeśli nie skłamałeś, to masz jeszcze drugi oręż, by zmusić nas do klęknienia...

— Dość! — krzyknął Giacomo, wstając. — Czego chcesz, bić się?!

— Zgadłeś, panie de Seingalt. Tylko że ja biję się wyłącznie kartami.

— Nie mam już za co grać!

— Lecz masz pono „wielkie prącie”. Postawię wszystko, co wygrałem tutaj, od ciebie, od twego przyjaciela i od Branickiego, jako stawkę przeciwko twemu zobowiązaniu, że jeśli przegrasz w tej rundzie, to w ciągu miesiąca wystawisz swój ósmy cud świata publicznie, w obecności przynajmniej trzydziestu osób, w tym króla, na przeciąg nie mniej niż jedej minuty!

— Oszalałeś chyba, Thomatis! To... to jest.... ohydne, bezczelne i... i niesłychane! — wykrztusił Casanova, któremu pobyt w diabelskim gabinecie odebrał resztki zimnej krwi.

Thomatis potrząsnął głową niby nauczyciel przeczący żakowi uwikłanemu w błędne rozumowanie.

— Nie może być ohydny czymś, co ma królewskie rozmiary i wzbudza szacunek zmuszający do ugięcia kolan. Nie jest bezczelną propozycja, która daje możliwość wygrania jedną kartą fortuny w zamian za ryzyko lekkiego negliżu na oczach zachwyconych pań. Wreszcie nie jest wcale niesłychana piccola nudita* wielkiego człowieka. Świat zna precedensy usprawiedliwiające taki wybryk, choćby don Alfonsa przechadzającego się nago, ulicami Ferrary w końcu XV wieku, to jest w porze znacznie mniej liberalnej niżli dzisiejsza... Nie licz też na to, panie Seingalt, że król znowu da ci wsparcie ze swej szkatuły. W kwestii takich ekspensów Jego Królewska Mość wyznaje zasadę: do jednego razu sztuka. Winienesz tedy przyjąć moją propozycję, tak wielkoduszną, iż sam siebie nie podejrzewałem o tyle serca. Ryzykujesz mało, wygrać możesz krocie.

— Ryzykuję, że król nakaże mi wynieść się z Warszawy w ciągu dwudziestu czterech godzin!

— Zapewne — perorował z niezmaconym humorem Thomatis — ale czyż sam nie powiedziałeś, że to prowincja, w której pierwszy nie wart piątego w Paryżu? Ryzykujesz tylko wyjazd z prowincji, ja zaś ryzykuję utratę majątku, jaki rzadko zdobywa się przy kartach. Obaj puszczaemy się na głęboką wodę, a ja, żebyś nie miał wątpliwości, iż zadecyduje ślepy los, oddaję bank panu Campioni, i więcej, zgadzam się, byś podjął decyzję dopiero po ujrzeniu własnej karty!

Ta propozycja była rzeczywiście wielkoduszną, Casanova nie mógł temu zaprzeczyć. Otrzymał treflową damę, Thomatis dziewiątkę kier. W ułamku sekundy Giacomo przypomniał sobie, że do tej pory wyleciała z gry zaledwie jedna dama tego koloru, a w stosie leżało już tylko kilka kart, więc trzecia treflowa pani będąca wśród nich znajdowała się tuż tuż. Nie wiedział jak wygląda sytuacja z dziewiątkami i rzucił ukradkowe spojrzenie na twarz przyjaciela. Ten wykonał ledwo dostrzegalny ruch powieką, który oznaczał: wszystko w porządku, graj!

— Zgadzam się — powiedział.

— Benissimo... Ale przedtem jedna drobna rzecz. Muszę mieć pisemną gwarancję, że wypełnisz swoje zobowiązanie, kawalerze.

— Moje słowo nie wystarczy?

— Nie. Słowo to nie prącie, amico mio, nie można go chwycić, ulatuje jak wolny ptak.

* — mała nagość

— Jakiej gwarancji pan chcesz?

— Mocnej. Takiej, byś nie mógł się wycofać. Napiszesz pod moje dyktando kilka obraźliwych słów pod adresem króla, które albo spalimy zaraz, jeśli wygrasz, albo oddam ci je po wypełnieniu twego zobowiązania, jeśli fortuna nie pobłogosławi twojej karty, albo pokażę królowi, gdy uchybisz swemu słowu...

— Nigdy czegoś takiego nie napiszę.

— Więc nigdy nie będziesz człowiekiem zamożnym, nie umiesz starać się o gotówkę. Szczęście nie lubi podchodzić do tych, którzy nie dają mu szansy. Żał mi ciebie.

Casanova zamknął powieki, oddychając ciężko. Wszystko to było koszmarnie, jak zły sen. Ale Campioni chyba wie, co robi — gdyby groziła im przegrana, nie dawałby znaku: graj!

Powiedział bezwiednie:

— Jeśli przegram, a ty, hrabio, złamiesz umowę, to jest pokażesz ten paszkwil królowi przed upływem miesiąca, zabiję cię! Własnoręcznie lub przez najemnych zbójów, choćbym miał ich przysłać z Wenecji, ale przysięgam, że to zrobię, tak mi dopomóż Bóg!

— Va bene. Proszę się nie obawiać, poczekam miesiąc, życie mi miłe... Oto moje pieniądze i weksel pana Branickiego... A tu papier i pióro.

Thomatis dyktował, a Casanova pisał drżącą ręką obelgi na majestat człowieka, którego lubił i od którego zaznał łask. Wzdrażał się przed tymi słowami, ale było oczywiste, że Thomatis musi mieć silną gwarancję stawiając olbrzymie sumy przeciw kawałkowi papieru, tak, by potem przeciwnik nie mógł go oszukać. W momencie porażki sygnatariusza treść paszkwilu uzyskiwała siłę katapulty wyrzucającej Casanovę z tego kraju, i to tylko wówczas, gdyby król przeczytawszy zrezygnował z umieszczenia zuchwalca w lochu. Tak, lecz w razie wygranej kawaler de Seingalt stawał się Krezusem, zaś hańbiący papier ulegał bezzwłocznemu spaleni. A kartami, które miały zadecydować, rządził messer Campioni! Giacomo znowu oddychał spokojnie.

Thomatis również nie wyglądał na człowieka w nerwach. Rozlał wino do kielichów i wznosił toast:

— Za szczęśliwszego!

Na powierzchni trunku w kieliszku Casanovy pływał biały paproszek, wirując wzdłuż szklanych ścian, coraz wolniej, aż stanął. W Burguhdii, podczas winobrania, taki okruc korka, kwiatu lub pyłek z powietrza uważano za oznakę szczęścia i przetykając wyrażano w duchu najskrytsze życzenie. Giacomo pomyślał: „Chciałbym pić rozpuszczone perły w agatowym kubku wysadzonym szmaragdami i mieć wszystko to, co Epikur mógłby otrzymać od Mammona!”. Nie pamiętał, którego z poetów jest to zdanie, ale teraz nie miało to żadnego znaczenia. Odstawili kielichy i spojrzeli wyczekująco na Campioniego.

Wszystko, co stało się od tego momentu do końca gry, nie trwało dziesięciu sekund. Kawaler de Seingalt pierwszy otrzymał kartę ze stosu — był nią winny tuz. Thomatis dostał dziewiątkę kier! Świece zawirowały niczym gwiazdy nad głową pijanego. Chwilę później Casanova chciał porwać papier ze stołu i zjeść. Za późno — Thomatis składał go już starannie i zamykał na klucz w sekretarzyku stojącym za kotarą. Campioni, który zebrał wzrokiem o przebaczenie, zdażył tylko jęknąć błagalnym szeptem, tak cicho, iż Giacomo ledwo dosłyszał:

— Przysięgam, nie wiem... jak to się stało... pomyliłem się... Thomatis wrócił, kręcąc na palcu klucze od szuflad.

— A więc w miesiąc, kawalerze... Może wina? A może przynieść panu orszady? Wygląda pan na zmęczonego...

Casanova wstał, przewracając fotel, rzucił jeszcze jedno wściekle spojrzenie przyjacielowi i wybiegł bez słowa pożegnania.

Thomatis napełnił dwa kieliszki i podniósł swój do ust. Pił powoli, wpatrując się Campioniemu w twarz. Potem przesunął połowę leżącej na stole góry cekinów i dukatów w stronę tamtego i rzekł:

— Proszę pozdrowić ode mnie Mediolan, a szczególnie serdecznie mego drogiego przyjaciela, Giuseppe Afflisia, któremu wciąż jestem winien jakiś numer w tym samym stylu, w jakim dziś porachowałem się z kawalerem de Seingalt. Kiedy pan wyjeżdża?

— Jeszcze nie wiem — odpowiedział messer Campioni, zgarniając złoto — wyjeżdżając od razu wzbudziłbym podejrzenia. Muszę poczekać, aż on wyjedzie. Myślę, że nie będę długo czekał. On ucieknie, chyba że pan mu to uniemożliwi, *signore Thomatis*.

Dyrektor królewskiego teatru uśmiechnął się.

— O niczym tak nie marzę, jak o tym, żeby się wyniósł do diabła! Niech pan za te pieniądze wyświadczy mi jeszcze jedną drobną przysługę, panie Campioni. Proszę mu poradzić, żeby zwinął manatki i nigdy już tu nie wracał.

Campioni wyświadczył tę przysługę Thomatisowi. Ale kawaler de Seingalt nie posłuchał. Mając miesiąc czasu, wzmógł wysiłek prowadzący do wypełnienia misji, którą zlecił mu emisariusz doktora von Löwenfelda. Rezultaty, jakie osiągnął, nie zasługują na uwagę. Lepiej poszło mu ze zdobyciem gotówki pozwalającej jeść i pić każdego dnia. Sprzedał mianowicie kilku arystokratom (każdemu z osobna) recepturę na produkowanie sztucznego złota czyli trans-mutację srebra w złoto alchemiczne. Przytaczam ją, aby Czytelnicy, którzy czują się zawiedzeni, mogli zrekompensować sobie wydatek poniesiony na tę książkę:

„Trzeba wziąć 4 uncje dobrego srebra, opłukać je w wodzie, osadzić je blaszką miedzianą, dobrzeje potem ciepłą wodą obmyć, aby oddzielić wszystkie kwasy, i osuszyć. Osuszone dostatecznie zmieszać z połową uncji soli amoniakalnej i włożyć do retorty. Retorta zmienia się na *recipient* (waza do wlewania płynu — przyp. W.Ł.). Po tej operacji wziąć funt ałunu, funt kryształu węgierskiego, 4 uncje grünszpanu, 4 uncje cynobru i 2 uncje siarki. Potrzeba utrzyć i dobrze zmieszać wszystkie to ingrediencje razem i włożyć do części wewnętrznej alembiku, w taki sposób, aby była tylko do połowy napełniona. Postawić trzeba na piecu o czterech miechach, gdyż ogień musi być podniecony do czwartego stopnia. Trzeba zacząć wolnym ogniem, który ma tylko odciągnąć flegmy czyli części wodniste. Gdy gaz zacznie się pokazywać, potrzeba poddać jego działaniu *recipient*, w którym znajduje się srebro i podczas kiedy gaz przechodzi, uregulować ogień do trzeciego stopnia, a gdy się zobaczy, że sublimacja się zaczyna, potrzeba śmiało otworzyć czwarty miech, lecz trzeba się mieć na ostrożności, by sublimat nie przeszedł do retorty, gdzie się znajduje srebro. Potem zaczekać, aż wszystko ostygnie, zatkać dziób retorty pęcherzem potrójnie złożonym i postawić ją do pieca ruchomego, zwróciwszy dziobem do góry. Ogień cyrkulacyjny utrzymuje się przez dwadzieścia cztery godziny, zdejmuje się potem pęcherz, zwracając retortę ku środkowi, by mogła destylować. Trzeba powiększać ogień, by wyparować gazy, jakie mogą być w masie, aż do zupełnego osuszenia. Po trzykrotnym powtórzeniu tej operacji ujrzy się złoto w retorcie. Wyjąwszy, trzeba stopić je z dodatkiem ciał doskonałych, to jest z dwiema uncjami złota, a znajdzie

się 4 uncje złota zdolnego wytrzymać wszelkie próby, doskonale w ciężkości, rozplaszczalne lecz blade”.

Teraz schodzę na dół, by odpocząć, jutro wrócę do pisania. Jestem głodny i czuję się nieswojo. Godzinę temu spostrzegłem, że kilkadziesiąt metrów od wieży, na skraju zbocza, wśród martwych krzewów stoi jakiś człowiek. Jego sylwetka, w prochowym płaszczu z wysoko postawionym kołnierzem i w kapeluszu z opadającym rondem, majaczyła w mglistym powietrzu na tle brudnego nieba, lekko falując — to zapewne niewidoczny wiatr, który przewalał się między nami, ruszał powietrzem. Z tej odległości widziałem na twarzy mężczyzny tylko dwie czarne plamy w miejscu gdzie człowiek ma oczy — były to głęboko zapadnięte ślepie inkwizytora lub ciemne okulary, chociaż słońce zniknęło za zwalami chmur i żaden promień nie docierał na ziemię. Nagle on, jakby się domyślając mego spojrzenia, wykonał przedziwny skręt całym ciałem, wyrzucił rękę do przodu — ostrzegając, grożąc, a może składając się do strzału — i zniknął, a ja poczułem skurcz w piersi.

Kim był ten nieznajomy? Prestidigitatorem, hipnotyzerem, sztukmistrzem zastygłym przez moment w tanecznym pas, czy wojownikiem, którego nagły gest, pełen niewysłowionej gracji i dynamiki, naciągnął cięciwę, by przestrzelić moje serce ziarnami lęku?

Pogoda jest bardzo zła, nie nadaje się do obserwacji. Jak rozpoznać cokolwiek w tej masie burych mgieł przewalających się nad milczącymi ławicami traw? Nie widać horyzontu, z dala przebija tylko słaby odbłask lustra rzeki i zarys karłowatych krzewów o drapieźnych kształtach. Krajobraz zamazany, jakby otulony watą, żadnego ruchu. Gdzieś tam za tą mgłą jest miasto, lecz z mojego punktu widzenia nic nie wskazuje, aby były w nim ślady życia. Jest to wrażenie fałszywe, ale ja opowiadam dzięki oczom, więc na razie dajcie mi spokój.

Rozdział 2

DOKTRYNA I SIDŁA

„Wy, coście własny kraj zaprzędali,
Coście Polaka zguby szukali,
Wspomnijcie sobie na wasze czyny,
Popierające myśl Katarzyny”

(początek anonimowego wiersza
„Do zdrajców...”, XVIII wiek).

Znowu pracuję na wieży, zaglądając w okna domów i w ludzkie dusze, bywa czyste, bywa podłe, wahające się, ogłupiałe lub napełnione bólem, a wszystkie przypisane do Warszawy, bo wciąż moją sprawą jest Warszawa w epoce stanisławowskiej. Każda epoka ma swą powszechnie uznawaną zasadę, która pozostaje wprawdzie w najzupełniejszej sprzeczności z etyką, moralnością i przykazaniami z góry Synaj, ale mimo to nikogo nie gorszy, a nawet staje się niewzruszonym prawem. W Warszawie lat 60-tych XVIII wieku zasadą było wywieść w pole drugiego, a poniżeniem dać się wywieść. Co prawda ludzie bałamuca się zawsze, ale nie zawsze ma to wykwinny styl, jaki wówczas posiadało, i nie zawsze ukrytą patronką tej zabawy jest podskórna woda, która wsysa strumyki poszczególnych ludzkich nikczemności, by stopiły się w wielką wodę gruntową mającą zamienić cały kraj w grząskie bagno.

Tylko pozornie dwóch ludzi, Polak i Włoch, zostało doszczętnie ogranych pewnego zimowego wieczoru przez Thomatisa dla samej leżącej na stole mamony. Tylko pozornie. W istocie chodziło o sprawy wielkie. Jednego trzeba było wypędzić, drugiego zaś wpędzić do klatki. Gdyby było inaczej — czyż ośmieliłbym się zawracać Wam głowę tą historią?

Po kilku cieplejszych dniach wrócił przymrozek, ale dopóki nie ma wiatru, można wytrzymać na platformie wieży. Powietrze jest czyste, widoczność doskonała. Lód na gzymsach kamienic odbija refleksy słoneczne. Przez plac Zamkowy człapie mała psina, jest pusto, nieliczni przechodnie idą powoli, wydaje się, że nawet powozy ogarnęło łagodne znużenie. Ci ludzie podtrzymują życie miasta. Ich kroki tłumi odległość i rzadki śnieg. Co tłumi ich złość? Brak w nich jakiegokolwiek podniecenia. Ja muszę mówić za nich.

„Otwórz swoje usta w obronie niemego i w sprawie wszystkich, którzy są opuszczeni” — czytamy w przypowieściach Salomona. Rada ta jest tak prosta, że nie sposób ją odrzucić i ja jej nie odrzucam, ale nigdy nie będę pewien, czy postępuję słusznie. Po co

robię to, co czytacie? Obejść się można bez wszystkiego. Do XVII wieku ludzie żyli bez masła, do XVIII wieku bez mydła, do XIX bez elektryczności i gumy do żucia, do XX bez filmu i pigułki antykoncepcyjnej, a do następnych bez wolności, równości, sprawiedliwości i braterstwa. A przecież żyli...

Podstawowe ludzkie problemy są wieczne. Za tysiąc lat brzydkiej-biednej-dobrej dziewczynie będzie o wiele trudniej znaleźć męża niż ładnej-złej lub szpetnej-posażnej, identycznie jak wczoraj i dziś. Człowiek będzie cierpiał na brak miłości i umierał z braku chleba, będzie kradł, zabijał i krzywdził drugich w rozmaity sposób, będzie robił to wszystko, co Konrad Lorenz nazwał „niewiarygodną głupotą zbiorową gatunku ludzkiego” i co jest niewiarygodną głupotą indywidualną każdego z nas. Zmieni się tylko jedno. Za lat tysiąc na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Senatorskiej nie będzie już kupczył ten staro-zakonny hultaj, którego słyszę z Wieży Ptaków jak namiętym skrzekiem zachwala gęsie pióra „dobre na kuplet i na poemat i na list do lubej, a najlepsze to une są na donos, kupujcie szlachetne panowie!” Za tysiąc lat postelektroniczne i postlaserowe generacje rozwoju techniki sprawią, że zadenuncjuje cię własna wątroba, śledziona lub najprzebieglejsze z żeber.

Nasi kultywujący tradycję potomkowie szczególnie muszą uważać na wątrobę, skórą do zemsty za katowanie jej alkoholem. W XVIII stuleciu ten problem jeszcze nie istniał, i już istniał. Nie istniał, bo wątroby nie były jeszcze zdolne do donosów, a istniał, bo były zdolne do przyjmowania alkoholu tak często i w takiej ilości, że czapkę z głowy trzeba zdjąć. Pito wonczas na umór, a Warszawa i w tej materii stała się pierwszą damą Europy. Kilka luźnych zapisków ze wspomnień hrabiego Jakuba Henryka Flemminga, którego córka, panna Flemming, pojawi się na kartach tej książki w rozdziale 3:

„Urznąłem się z Poniatowskim”, „Nie zastałem w domu hetmana Sieniawskiego, gdyż upił się jak dziura”, „Biskup warmiński (Teodor Potocki) podpisał sobie sielnie”, „Nie można ruszyć z miejsca sprawy komendy, gdyż obaj hetmani litewscy spili się jak bele”, „Urznąła się Pocijowa”, „Poniatowski schlał się do nieprzytomności”, etc., etc.

Ksawery Branicki zrobił to samo po powrocie do domu z gabinet-tu Thomatisa, lecz Branicki miał straszny łeb, więc zanim alkohol podciął mu nogi, zdążył uczepić się szalonej myśli i nad ranem wysłał do Thomatisa watahę swoich brytanów, którymi dowodził były ekonom folwarczny, zawzięty Czech Bizak.

Służba dyrektora (z nożami na gardłach) wprowadziła „gości” do wnętrza domu. Otworzyli drzwi do alkowy. Ku zaskoczeniu Bizaka Thomatis nie spał. Siedział w fotelu obok stolika dźwigającego świecznik. Czytał. Gdy weszli, podniósł głowę i przez twarz przeleciał mu cień jadowitego uśmiechu. Bizak warknął bez wstępów:

— Dawaj papier!

Thomatis przywdział minę zaskoczonego:

— Jaki papier? Co to ma znaczyć!? Rozbój?... Wiesz kim jestem?!... Czech potrząsnął trzymaną w rękę króciwą:

— Wiem. Weksel Branickiego, szybko, albo!...

— Weksel pana Branickiego?... — Thomatis wytrzeszczył oczy. — Nie mam go już!

— Po co ty kłamiesz, Thomatis? Noc jeszcze nie minęła, nie zdążyłeś zanieść do Żydów. Dawaj, albo poprzestawiam ci flaki!

Thomatis odłożył książkę i wstał, przybierając nową maskę, złości:

— A to już nie mnie, bo ja nie mam tego weksla! Spóźniłeś się, durniu. Przewidziałem, że pan Branicki zwariuje, raptus jest, ho, ho! Nie dziwię się, też bym oszalał tracąc w godzinę rodowy majątek. Po grze byłem w Zamku, nawinał się dobry kupiec, odprzedałem papierek. Wiesz komu? Księciu Repninowi. Idź i przestaw mu flaki... No?...

Bizaka zatkało. Thomatis wziął się pod bok i wydał pogardliwie usta.

— Powodzenia, rzeźniku! Przystawiając bebech ambasadorowi Jej Cesarskiej Mości przejdiesz do historii z kopytami. A teraz wyjdź stąd, bo nie mogę na ciebie patrzeć.

— Jeśli skłamałeś, żeby nas okpić... — mruknął wytrącony z konceptu Bizak.

— To ty mnie jeszcze odnajdziesz, tak, tak, znam to, oszczędź mi tego pieprzenia, bo umrę ze strachu i będziesz mnie miał na sumieniu nie zaszlachtowanego, a to nie jest twój styl. Dokumencik ma książkę ambasador. Idź, jego postrasza.

Takim człowiekiem był Thomatis. Gdy wyszli, ów człowiek zatarł ręce z radości i pomyślał, że czas się zdrzemnąć po tak wspaniale wykorzystanej dobie.

Branicki nie mógł spać. Wiadomość przyniesiona przez Bizaka sprawiła, że wytrzeźwiał. Kazał wszystkim wynieść się do stu diabłów i został sam ze sobą. Siedział schowany głęboko w fotelu, z przymkniętymi oczami i czuł się jak pielgrzym, który przybył do Mekki o jedną chwilę za późno i zastał tylko martwe kamienie po katastrofie.

Nie jest prawdą, że człowiekowi całe życie staje przed oczami, kiedy tonie w rzece, jeziorze lub morzu — nie ma wtedy na to czasu, wśród rozpaczliwego machania rękami by złapać jeszcze jeden haust powietrza. Ów czas przychodzi w takim momencie, jaki Franciszek Ksawery Branicki miał teraz. W ciągu trzydziestu pięciu lat swego życia ten półmagnat herbu Korczak zrobił olśniewającą karierę cywilną i wojskową. Z jednej strony starosta halicki (1763) i przemyski (1764) oraz podstoli koronny (1764), z drugiej żołnierz mający za sobą służbę w oddziałach austriackich, francuskich i rosyjskich, w roku 1757 pułkownik chorągwi pancерnej, zaś w dobie, w której rozgrywają się opisywane wydarzenia, generał-porucznik armii koronnej i generał artylerii litewskiej, a także posiadacz Orderu Orła Białego, najwyższego ze wszystkich polskich odznaczeń. Wymienione tytuły i order były jedynymi rzeczami, których w karty nie przegrał, co stanowiło nader słabą pociechę dla kompletnego golca.

Uczucie bezradności ogarnia każdego, ale nie w każdym wywołuje jednakową depresję. Im większa buta, tym większy ból. Bezradność człowieka, o którym historyk Stanisław Wasylewski pisał jako o „najszałeńszym z warchołów, co często głowę miał zapitą (...). Gdy nieprzytomny wpadnie na zamek i zaklnie po hajdamacku, bledną wszystkie fircyki...”; bezradność komandosa, o którym kolega Wasylewskiego, Stanisław Cat-Mackiewicz, mówi: „Branicki tym się różnił od swego przyjaciela króla, że był zabijaką szukającym niebezpieczeństwa grożącego życiu. Kiedyś tak się zaawanturował na polowaniu, że łapa rozjuszonego niedźwiedzia znalazła się na jego głowie” — taka bezradność ma królewskie rozmiary. Magnacka bezradność tego, który z carycą Katarzyną grywał w lombra, co było rzadkim zaszczytem; któremu w „rogatej sarmackiej duszy” grało nieokiełznane rozpasanie; przed którego napadami furii drżał sam król, bo mu przyjaciel nie raz publicznie „nakrzyczy grubiaństw ostatnich” i tylko ambasador Rosji „radził sobie lepiej, kładąc zawsze na czas rozmowy z Branickim nabite pistolety na stole” (Wasylewski). Szalone antyrosyjskie pomysły Branickiego — chęć wysadzenia Kronsztadu w powietrze, zamówienie w Holandii fałszywych rubli, żeby zniszczyć skarb imperium, itp. — były warte śmiechu i gniewu zarazem. Repnin najchętniej wzięłby za

morde to nieokrzesane bydlę i przepuścił przez dwa szeregi Dońców z wyciorami, lecz nie o to carycy szło, a jego ambasadorską religią było to, o co jej szło. Nie zamierzał czekać na okazję — stworzył ją sam rękami Thomatisa.

Bezradność człowieka, który zawsze dawał „folgę chwilowym szałom i zachciankom”, mając „rozkoszną świadomość, że wszystko jego kaprysu usłucha” (Wasylewski), jest instrumentem, na którym diabeł może zagrać każdą skomponowaną przez siebie symfonię. Branicki był niczym pusty balon, z którego wypuszczono powietrze i tak się czuł. Ostatni kaprys, na jaki mógł sobie pozwolić — samobójstwo — jeszcze nie przyszedł mu do głowy, na to było za wcześnie. Za późno było przeklinać się o grę z piekielnym Włochem. Za późno było w brodę sobie pluć, że od razu nie wysłał Bizaka po weksel. Za późno było wreszcie żałować złościwości wymierzanych na dworze w Repnina i tych kilku antyrosyjskich demonstracji, na które sobie pozwolił, sądzić zaś, iż Repnin to zapomniał, mógłby tylko skończony głupiec. Branicki głupcem nie był i rozumiał, że kupując jego weksel ambasador zawiązał mu pętlę na szyi. „Łapa rozjuszonego niedźwiedzia znalazła się na jego głowie”. Szarpnięciem rozerwał kołnierzyk i odetchnął głęboko. Koszulę można było wyżywać.

Gdy począł się zastanawiać nad sposobami ratunku, pierwszą myślą, jaka mu przyszła do głowy, było: „Elżbieta, siostra w końcu, grzeje królewskie łóżko, niech wybląga wsparcie u majestatu!”. Lecz pani Sapieżyna wyjechała akurat do Grodna. Pozostawało tylko jedno: iść z rozpaczliwą prośbą do przyjaciela, któremu oddał w przeszłości kilka usług na wagę od złota cięższą, choćby tę w Petersburgu, gdy jeszcze dopiero stolnik litewski Stanisław August Poniatowski stolnikował w łóżku jeszcze dopiero wielkiej księżnej Katarzyny i rzecz wyszła na jaw (Branicki zasłonił wówczas gruchającą parę, biorąc na siebie pierwszą wściekłość męża, następcy tronu, wielkiego księcia Piotra III). Czyż nie przeżyli wtedy dzięki niemu, co pozwoliło później Katarzynie przywdziać koronę, zamordować małżonka, a kochanka uczynić królem Polski?

Zjawił się na Zamku przed południem. Wszystko, co mijał i co doskonale znał, sufity, ściany, okna, schody, dębowe posadzki nie do zdarcia i dziesiątki mebli stylowych lub w tak nieokreślonym stylu, iż mogły być przekazywane ze stulecia na stulecie nie wychodząc z mody i nie starzejąc się — wszystko to wydawało mu się teraz obce i odpychające, wrogie wobec niego i nietościwe. W drzwiach do królewskiego antyszambru zawahał się. Z pokoju obok dobiegł go szmer rozmowy. Zajrzał tam i ujrzał młodego kamerjunkra, trochę speszzonego, jakby go zaskoczył na niecnym uczynku. Chłopak skłonił mu się nisko.

— Myślałem, że słyszę głos króla... — powiedział Branicki, rozglądając się wokół.

— Nie, wasza wielmożność, Jego Królewska Mość jest w swoim gabinecie.

— Więc z kim rozmawiałeś?

— Z nikim, wasza wielmożność. Ja... powtarzałem sobie słowa przysięgi szambelańskiej.

— A to dobre! Za młodyś, najmarniej kilka lat poczekasz na awans. Prowadź do króla.

— Kiedy u niego jest ekscelencja prince...

Trzasnęły drzwi w antyszambrze i Branicki cofnął się w tamtym kierunku. Omal nie wpadł na człowieka, który wychodził z królewskiego gabinetu. Zbladł. Stał przed ambasadorem Imperium Rosyjskiego w Polsce, księciem Repninem.

Generał-major Mikołaj Wasiliewicz książę Repnin był piękny jak posąg zła. Aleksander Kraushar, którego przywołam często, napisał o nim w swym dziele („Książę Repnin i Polska w pierwszym czteroleciu panowania Stanisława Augusta”), opartym na bogatej dokumentacji z archiwów rosyjskich:

„Jako potomek zasłużonego w swej ojczyźnie rodu, pochodzącego od książąt czernihowskich, jednoczył Mikołaj Wasiliewicz cechy zapamiętałej odwagi i przedsiębiorczości ze zręcznością dyplomaty, nabytą w stosunkowo długiej, jak na wiek jego młodzieńczy, praktyce na dworze pruskim. Przed objęciem kariery dyplomatycznej w Berlinie pozostawał Repnin, w charakterze ochotnika, w szeregach wojsk francuskich, podczas wojny siedmioletniej, gdzie zdobył sobie sławę walecznego żołnierza, a następnie na salonach pani de Pompadour — renomę układnego kawalera. Pomagały mu w stosunkach towarzyskich w Paryżu, Berlinie i Petersburgu warunki przyjemnej powierzchowności, rzutkość, dowcip i znajomość języków nowoczesnych”.

Polska i Polacy wkroczyli w jego życie szybko:

„Zbyt wczesnie rozluźniwszy węzły małżeńskie, należał książę Repnin, podczas krótkich swych wizyt w Petersburgu, do grona złotej młodzieży, wśród której i młody stolnik litewski, Stanisław Poniatowski, wybitnie zajmował miejsce, korzystając z łask przyszłej Imperatorowej, wielkiej księżnej Katarzyny”. Repnin zbliżył się do Poniatowskiego, gdy usłyszał od Panina, że „ten kutas jest tak głupi, iż mógłby nawet panować nad Wisłą”. Potem przekonał się, że minister przez głupotę Poniatowskiego rozumiał jego słabość. Obcując ze stolnikiem Repnin „z wrodzoną przenikliwością mógł sobie wyrobić niezbyt pochlebne wyobrażenie o nim, które go utwierdzało w przekonaniu, że słabą, wrażliwą, histeryczną niemal naturą przyszłego «wybrańca narodu» łatwo będzie owładnąć i uczynić z niej podatne dla potrzeb polityki rosyjskiej narzędzie” (Kraushar).

Decydującym dniem dla Repnina, Panina, Poniatowskiego oraz dla wszystkich Polaków był 17 października roku 1763. Rankiem owego dnia przybył z Warszawy do Petersburga umyślny kurier z wiadomością o zgonie króla Polski, Augusta III Sasa. Bezwłocznie w apartamentach i pod prezydencją Imperatorowej zebrała się w trybie nagłym rada ministrów. Uczestniczyli w niej senatorowie: hrabia Panin, hrabia Bestużew-Riumin, Neplujew, hrabia Orłów, książę Golicyn i hrabia Czernyszew. Zadecydowano o podjęciu wszechstronnych działań, korupcją, naciskiem dyplomatycznym, a w razie potrzeby siłą wojskową (Czernyszew otrzymał rozkaz natychmiastowego skoncentrowania potrzebnych wojsk na granicy Polski), w celu osadzenia na warszawskim tronie po raz pierwszy w historii człowieka, który jako swego rodzaju agent Rosji byłby „od niej zależny i w zupełności jej interesom oddany” (cytat z dokumentu rosyjskiego, przedrukowanego w petersburskim „Sborniku” Cesarskiego Towarzystwa Historycznego, w tomie LI). Dla omamienia Polaków miano wzniecić propagandę o arcypatriotycznym „wyborze króla Piasta”. Chodziło o Poniatowskiego, w którego żyłach istotnie płynęła krew pierwszych królów polskich, tak jak w każdym z nas płynie krew Adama i Ewy.

Wynikiem owej narady było mianowanie grafa Nikity Iwanowicza Panina szefem kancelarii dyplomatycznej dworu rosyjskiego, zaś Repnin został desygnowany na placówkę do Warszawy. W ten sposób najwyższej wagi i tajności rosyjską grę polityczną miało prowadzić pod okiem carycy dwóch sukinsynów spowinowaconych ze sobą (Repnin ożenił się z siostrzenicą Panina), co dawało gwarancję zachowania sekretu. Ci dwaj, ona i

kilku jeszcze ludzi zbudowali fundament genialnie lapidarnego *bon motu*: „Z kim sąsiaduje Rosja? Z kim chce. A z kim chce? Z nikim”.

Późnym wieczorem 17 października duet Panin-Repnin zameldował się w gabinecie Katarzyny. Liczący sobie zaledwie 29 lat Repnin miał zostać tej nocy dopuszczony do największej tajemnicy Imperium; do całej prawdy o purpurowym srebrze. Wyjaśniono mu, że do kupowania ludzi wystarczającym środkiem jest złoto i on to zrozumiał. Wyjaśniono mu, że „srebro Uburtisa” służy wyłącznie do korumpowania duszy najważniejszych i że najlepiej czynić to tak, by pozostawiać owych zdrajców w nieświadomości środków użytych do tego, na przykład przez odlaną z purpurowego srebra biżuterię, do której noszenia należy „milczącego psa” zobowiązać. To również zrozumiał. Wyjaśniono mu wreszcie, że „milczący pies” winien być wzorem patriotyzmu. Nie musi czekać na Rosję, gdyż wszelka ostentacja jest głupia, wystarczy, że w rozmowach prywatnych, w żartach, złośliwostkach, okaże swój niechętny lub nieufny do niej stosunek, zdobywając tym zaufanie rodaków autentycznie Rosji wrogich. Obowiązkiem „milczącego psa” jest pracować dla Rosji w zupełnym milczeniu o istocie tej pracy...

Ona mówiła, Repnin słuchał, a Panin stał pokornie obok tak zapomniany, że nieomal lekceważony, jakby go nie było. Gdyby mógł klepać i tę carycę po nagich pośladkach, tak jak niegdyś Elżbietę, mógłby inaczej się przy niej zachowywać. Ale był już za stary na to, by przez jeszcze jedną turę panowania pełnić rolę męskiej Mnie Pompadour. Nawet gdyby dała mu tę szansę, a mogła to uczynić choćby przez ciekawość, dla sprawdzenia, czy jej poprzedniczce było z nim dobrze w łóżku, zabrakłoby mu sił, aby przedrzeć się przez krzyżowy ogień „probierszczy”, specjalnie dobranych młodych dam dworu, których zadaniem było poddać każdego kandydata do imperatorskiej alkowy wszechstronnemu egzaminowi z witalności i seksualnej fantazji. Marzył, że ona poślakami się na Repnina, którym on będzie sterował, lecz wybrała prostaka Orłowa i to napawało go lękiem. Jedyną nadzieję pokładał w zmienności jej uczuć, która mogła w jedną noc uczynić z Orłowa zero, nigdy natomiast nie łudził się, że jest jej niezbędny w polityce zagranicznej. Nie potrzebowała tu niczyjego doświadczenia, sama była geniuszem. W codziennej robocie politycznej zdawała się na ministrów, by nie okradać się z czasu na przyjemności, lecz obok zasady: „Nie ma innej woli nad moją!”, wyznawała jeszcze i tę, że poza nią nie ma ludzi niezastąpionych. Panin wiedział, że jeśli Repnin nie sprawdzi się w Polsce, utoną obaj.

Katarzyna II, w której żyłach płynęła niemiecka krew Anhalt-Zerbst i (po matce) Holstein-Gottorp, była kobietą inteligentną niezwykle. Nie na darmo wielbił ją patriarcha inteligentów epoki, Voltaire, nazywając: „Notce - Dame de Petersbourg”. Germański rodowód i rosyjska dusza, którą szybko sobie przyswoiła nad Newą, stworzyły koktajl złowieszczy dla Polaków. Mimo wszystko żaden inteligentny Polak nie mógłby się wyprzeć fascynacji tą heroiną XVIII wieku. Nie można jej nazwać demoniczną w sensie goethowskim, był w niej raczej element gnomiczny w stylu Heideggera: posiadała czarodziejską moc, jak karzeł wyrastający nagle we wnętrzu góry, w chaotycznej płataninie korzeni, w zdradzieckiej pokrywie przypominającej wyglądem mech, a okazującej się trzęsawiskiem. Fałsz, podstępność, niewierność i każde inne zło podobnego rodzaju, tak charakterystyczne dla kobiet — oprawione w muskulaturę siły, mają takie magiczne oddziaływanie.

Wbrew temu, co sądził Panin, Katarzyna nie powierzyła Repninowi polskiej misji tylko dlatego, że był spowinowacony z ministrem. W dziedzinie wybierania właściwych ludzi do właściwych zadań posiadała ona coś, co Niemcy nazywają *Fingerspitzengefühl* — wycucie w koniuszkach palców. Obserwując tego młodzieńca dostrzegła w nim walor głębszy aniżeli spryt owych kreatur, które z zawodu uprawiają mądrość. Zachwyił ją jego instynkt języka; w jego ustach najbłahsze zdania zyskiwały walor kuszącej poezji, bardziej może przez tembr głosu niżli zawartość znaczeniową, która również sięgała wyżyn celności. Słowa były u niego rdzeniem, elementem pierwotnym, zdolnością, która zastępowała umiejętność filozofowania, i tak skutecznym, iż żadna filozofia nie mogłaby stawić im czoła. Tego właśnie brakowało poprzednikowi Repnina w Warszawie, staremu Kajserlingowi — gdyby Kajserling kusił Ewę, do dziś żylibyśmy w raju. Repnin był czarodziejem słów. W arbitralnej operacji na ziemiach polskich mógł się okazać niezastąpionym instrumentem, wzięwszy pod uwagę, że nic tak nie oddziałuje na Polaków jak zręczna demagogia. Nie wiem, czy już wówczas to słowo istniało, ale ta sztuka tak się nazywa. Naród, który jest niewolnikiem słów, jest najlepszym materiałem na niewolnictwo.

Mówiła do Repnina po niemiecku. Rosyjskim lubiła się popisywać, wkładając duży i bezskuteczny wysiłek w poprawność akcentu, ale mogła to robić tylko na krótką metę, pojedynczymi zdaniami, dalej się męczyła.

Zaczęła od tego, że jej ambasador ma być apostołem pokoju, albowiem symbolika pokoju jest największą uwodzicielką dla społeczeństw poturbowanych przez historię. Panin wtrącił się wówczas łacińską maksymą: *Servitum pacem apellant*^{*}, i został przez nią skarcony:

— Schweig endlich!^{**}

Zapadła nieprzyjemna cisza. Panin przybrał minę jeszcze większej pokory, a caryca odwróciła się ponownie do ucznia:

— Opowiadano mi jak w roku 1223 wodzowie mongolscy zrobili ucztę zwycięstwa. Jedli siedząc na deskach ułożonych na plecach leżących książąt ruskich. Im więcej jedli i pili, tym głębiej ciała książąt zapadały się w ziemię. Zostali zmiażdżeni na śmierć. Dzisiaj zmiażdżeni są przez nas Mongołowie. Ale inaczej, nie na śmierć. Mongołowie ulegli tym, których zwyciężyli, gdyż poczucie, że jest się właścicielem absolutnych niewolników, działa usypiająco. A poczucie, że się jest niewolnikiem, pobudza w końcu do walki. Rozumiesz to?

— Tak, Najjaśniejsza Pani.

— Posłuchaj dalej, to nie jest aż tak proste. Istnieją różne narody, a raczej różne narody mają różnego ducha. Jedne można pobić i przesiedlić w celu zagarnięcia ich ziem, a świat nie podniesie wrzasku — to małe narody, plemiona. Z innych można uczynić małym wysiłkiem niewolników i będą chętnie lizali rękę pana — to narody o podłej duszy, od kolebki niegodne samostanowienia, w wielkich obszarach Azji roztopią się bez śladu. Z trzecimi wreszcie nie można zrobić ani tego, ani tego, przynajmniej nie od razu — to Polacy. Nie można zaanektować ich państwa, bo trzeba byłoby dzielić się z Prusami, Austrią, Turcją i Bóg wie z kim jeszcze; narzuca to europejska równowaga sił. Po drugie:

* — Niewolę mienia pokojem.

** — Milcz nareszcie!

nie można tego zrobić od ręki, gdyż są to znakomici żołnierze, a cały naród, gdy otwarcie zagrożony, przypomina wściekłego wilka w nagonce. Zbyt dużo by to kosztowało, należy raczej zdemoralizować ich do szpiku. Po trzecie: czy w ogóle należy ich anektować, biorąc na ciało imperium permanentnie ropiejący wrzód, ognisko buntu, rozpalone od kołysek po trumny, od kurnych chat po pałace, w karczmach, warsztatach, dworach i kościołach, grożące gangreną samemu zdobywcy i wiecznie narażające na konflikt z innymi mocarstwami? Czy nie lepiej zostawić im formalną swobodę, z całym teatrum nazw i symboli, które tak kochają, z całą honorową frazeologią, która jest ich narkotykiem, z konstytucyjnymi prawami o fałszywej wartości, i przytroczyć do siodła niewidzialną liną, której jeden koniec trzymasz mocno w dłoni, a drugi zakotwiczyłeś w sercach „milczących psów”, co sprawują tam władzę? Szarpniesz i kukielki robią żądany ruch. Czy to jest jasne, co mówię?

— Tak, Najjaśniejsza Pani.

— Dowiedz tego. Przełóż to na język historii.

Płomyk strachu przebiegł mu ciałem. Zrozumiał, że w tej krótkiej minucie zda lub nie najważniejszy egzamin. Wezwał w duchu Matkę Boską Kazańską, aby przysłała mu z pomocą. Chciał znaleźć szybko i czuł jak mózg poci mu się z wysiłku. Wpatrując się w przeciwległą ścianę zmienił mimowolnie ogniskową wzroku. Ujrzał rzymską amforę na marmurowej kolumnie w narożniku.

Znalazł.

— Imperium Rzymskie, Najjaśniejsza Pani, trwało długo w potęgę, gdyż nad agresję orężną i terror tyranii przedkładało polityczny podbój i daleko posuniętą autonomię, a więc swoistą wolność terytoriów anektowanych. Wchłoniętym narodom zostawiano pełną swobodę religijną, obyczajową, kulturową i tylko polityka zagraniczna była w rękach Rzymu...

— Słusznie, a jednak ta piękna opera historii zakończyła się klęską kapelmistrzów. Dlaczego?

— Dlatego, że... barbarzyńcy i chrześcijaństwo, Najjaśniejsza Pani...

— Tego każdy uczeń dowiaduje się od swego preceptora. Nie jesteś na popisie z postępów przed ojcem, który preceptora wynajął. Mów do rzeczy.

Dlaczego?

— Może... zbyt wielki obszar imperium, nadmierne rozciągnięcie komunikacji...

— Mieli bite drogi, o których my możemy śnić, i sygnalizację ogniową, za pomocą której każdą wiadomość przesyłano w ciągu doby znad Dunaju do wybrzeży oceanu! Dlaczego?

— Zniewieszczenie rycerstwa rzymskiego, upadek ducha, Najjaśniejsza Pani...

— Upadek na głowę bywa groźniejszy, odbiera zdolność jasnego myślenia, Fürst Repnin! Co z tobą jest? Orgie w łaźniach urządzali zawsze i nie cierpiał na tym duch. Poczucie wszechmocy usypia i osłabia, to prawda, lecz oni mieli dużo czasu, by się ocknąć i bronić. Nie obronili się. Rzym zabiło to, co stanowiło o jego potęgę, skorpion zabija się własnym jadem. Autonomie były jego siłą, lecz były stosowane tępo, identycznie wobec wszystkich, a nadto źle kontrolowane, tak jakby Rzym chciał oszczędzić na szpiclach. Autonomia ze zbyt dużym zakresem swobód a zbyt mizerną kontrolą jest głębsza od pozornej niezawisłości sterowanej umiejętnie przez „milczące psy”. Rzym za dużo oszczędzał i za dużo kłócił się wewnętrznie, za dużo uwagi

przykładał do dynastycznych i hierarchicznych sporów w stolicy, tworzył chaos i pozostawił chaos. Na gruzach Rzymu coś wyrosło, księstwka włoskie, worek chaosu. Na glebie Cesarstwa Wschodniego wzrosło Bizancjum, którego Rosja jest następczynią. Wschód zatriumfował nad Zachodem, kiedyś zatriumfuje nad światem... Wierzysz w to?

— Wierzę w twoją mądrość, Najjaśniejsza Pani.

— I ja chcę wierzyć w twoją mądrość, Fürst Repnin. Tam będzie potrzebny ktoś mądry, ktoś z oczami proroka. Okaż się nim, książę.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy, Najjaśniejsza Pani, lecz...

— Zrobisz wszystko, co w twojej mocy, bo nie po to tam jedziesz, żeby robić tylko z łaski i w połowie, to oczywiste! Lecz co?

— Polska, Najjaśniejsza Pani, to trudna misja. Ten naród jest równie nieobliczalny jak samo życie, nie będzie mi lekko.

— Nie podnoś swojej ceny teraz, najpierw zasłuż. Nikt nie obiecywał ci lekkiego chleba w Polsce, nikt nie mówił, że to łatwe zadanie. Rola diabła jest wielką rolą, ofiarowałam ją tobie, czyż to mało? Dostaniesz złota, srebra i dużo wskazówek, ale będziesz zdany na własne siły. To, co masz zrobić, dawno już zostało zapisane, kilka wieków temu, przez proroka Izajasza syna Amosa. Panin wygrzebał ten manuskrypt w jakimś klasztorze i Panin przeczyta ci to, co podkreśliłam.

Zrobiła ruch głową, a Panin szczęśliwy, że wreszcie otwarto mu usta, zaczął czytać: „Prawda została zgładzona i kłamstwo spowiło ziemię”...

— Nie to! — przerwała Katarzyna. — Czytaj zdania, które podkreśliłam czerwonym inkaustem!

Szukał przez chwilę pierwszego z tych zdań i znowu zaczął:

„Dzieci znieważą ojców swoich, ojcowie zaś na dzieci spoglądać będą ze wstrętem. I brat brata znienawidzi, i przyjaciel przyjacielowi zazdrościć będzie. I odda matka dziecko swe na rozpustę, a dzieci przed rodzicami wstydu mieć nie będą. A nauczyciele ich obłudnicy i pijanice... A księżęta ich będą niemiłosierni, a sędziowie niesprawiedliwi. I nie będzie, kto by chronił sierotę przed ręką możnego, i zapłaczą sieroty i wdowy, bo nie masz dla nich pomocnika ni obrońcy. Bo możni nie zaznają litości nękając ubogich... I głód zapanuje... A odejmę mądrość od serc waszych i nie będzie w was rozsądku, i myśleć będziecie jako małe dzieci i zachwiejecie się jak pijani... Uciekać zaczniecie i od strachu samego, gdy nikt was nie goni, i złękniecie się tam, gdzie nikt was nie straszy... Dopuszczę, by ci, co was nienawidzą, czerpali z was zyski, i ci, co nie znają Boga, by wami władali. I wysługiwać się będą poganom synowie i córki wasze...” (tłum. Aleksander Naumow).

Minister skończył i odłożył rękopis, a Repnin poczuł pieczenie w gardle i skurcz w klatce piersiowej. „Ona nie wierzy w Boga, gorzej, gardzi nim — pomyślał — i nie wstydzi się. Jakiej potęgi trzeba, by rzucić wyzwanie temu, przed którym korzą się miliony!? I ja mam być jej ręką! Boże, obyś nie istniał i nie mógł mnie ukarać”. Z zamyślenia wyrwało go pytanie:

— Zrozumiałeś?

— Tak, Najjaśniejsza Pani.

— Dowiedz tego, ale tym razem lepiej. Cóż więc trzeba zrobić?

— Trzeba... rozłożyć ten naród od wewnątrz, Najjaśniejsza Pani, zabić jego moralność... Jeśli nie da się uczynić zeń trupa, należy przynajmniej sprawić, żeby był jako

chory gnijący w łożu... Trzeba mu wszczepić zarazę, wywołać dziedziczny trąd, wieczną anarchię i niezgodę... Trzeba nauczyć brata donoszenia na brata, a syna skakania do gardła ojcu. Trzeba ich skłócić tak, aby się podzielili i szarpali, zawsze w nas szukając arbitra. Trzeba ogłupić i zdeprawować, zniszczyć ducha, doprowadzić do tego, by przestali wierzyć w cokolwiek oprócz mamony i pajdy chleba.

— Dobrze. Jak?

— Tak, jak kazałaś, Najjaśniejsza Pani. Korupcją, a jej wierzchołkiem stanie, się żołąd „milczących psów”, którzy będą nimi rządzić. Bogactwem i głodem, które biednych podjudzą przeciw możnym, tych drugich zaś napełnią takim strachem i podłością, że uczynią wszystko dla zachowania swego bogactwa. Kultem prywaty, złodziejstwa, rozpusty, wszelaką demoralizacją i wiodącym ku niej alkoholem. Należy ich jeszcze mocniej rozpić, tak jak nam poseł angielski rzekł o rozpijaniu dzikich w Ameryce, i mieć pijanyje dogowory!* — wyrzucił z siebie krzykiem po rosyjsku, rozgrzany własnymi słowami.

— To już oni bez ciebie zrobili, nie prześcigniesz ich, wystarczy, byś im nie przeszkadzał w picciu, a bacz, żebyś się od nich nie zaraził, Fürst Repnin. Nie ucz mistrzów tego, w czym pierwsi.

Panin roześmiał się urzędowo, dając tym znać, że dowcip przedni jest, jak każdy z imperatorskich ust. Caryca zdała się tego nie dostrzegać, mówiła dalej z tą samą powagą:

— Tak, tak. Stworzymy tam nową oligarchię, która będzie okradać własny naród nie tylko z godności i siły, lecz po prostu ze wszystkiego, głosząc przy tym, że wszystko, co czyni, czyni dla dobra ojczyzny i obywateli. Niższe szczeble tych krwiopijców będą uzależnione od wyższych w nierozzerwalnej strukturze piramidy. Trzeba będzie starać się, by w piramidę wpasowany był każdy zdolny i inteligentny człowiek, by zechciał w niej i spodłał. Niedopasowywalnych szaleńców, nieuleczalnych fanatyków, nałogowych wicherzy-cieli i każdą inną wartościową jednostkę wyeliminujemy operacyjnie: na Sybir, do Szlisselburga, albo od razu do ziemi. Ale trzeba się starać, aby takich wypadków było jak najmniej, nie należy obciążać ich pamięci męczennikami i martyrologią, to szkodzi... Tak, właśnie tak...

Urwała, by napić się orszady ze złotego pucharu, a gdy za chwilę podjęła wąż, każde jej słowo promieniowało marzeniem:

— Jak już osiągniemy cel, będzie to kasta quasi-niewolników, którzy sami okuwać będą swoją świadomość. Będą mlecznymi mszycami dla mrowiska Wielkiej Rosji!

— Ty zaś, Najjaśniejsza Pani, będziesz królową-pramatką tego triumfu — wtrącił Repnin.

Dobrze wybrał chwilę. Spojrzała nań ciepło i oddała komplement:

— Ty zaczniesz, Fürst Repnin, gdy tylko Poniatowski włoży koronę. Dziel i rządz. Rządzić będzie łatwo, gdy już podzielisz. Wywołaj taki konflikt, aby rozzarli się na siebie wzajem. Broń prawa zrywania sejmów przez „liberum veto”, bo dzięki temu można zahamować każdą u nich reformę — wystarczy przekupić jednego posła, ten krzyknie: „liberum veto”, i po sejmie, po ustawach, po wszystkim. Ci głupcy mają to za dowód wolności w ich kraju, utwierdzaj w nich to przekonanie. A potem uderz w strunę najmocniejszą — w punkt wiary. To czułe miejsce, dewoci zawyją. Imieniem wolności

* — Pijane umowy.

żądam równych praw dla innowierców. Zobaczysz jaki wulkan się otworzy. Graf Panin da ci szczegółowe instrukcje. Możecie iść już.

Unosząc się z fotela Repnin patrzył na nią w niemym zachwycie. Pomysł, który zawarła w dwóch zdaniach, na końcu, jakby od niechcienia, wydał mu się porażająco wielki, a cała jego misja, której trudność trwożyła go od początku — dziecinnie prosta. Konflikt religijny w imię wzniosłych idei równości i wolności — czegoś tak szatańskiego nie wymyśliłby sam szatan. Do tej pory podziwiał ją, teraz czuł uwielbienie. Gdy skłonili się w progu, skinęła nań ręką.

— Zostań.

Panin zamknął za sobą drzwi. Caryca podeszła do Repnina i przejechała palcem po jego policzku, jakby badając zarost.

— Będzie ci ciężko, mój chłopcze — szepnęła — wiem. Ale przegrać ci nie wolno. Tylko to zapamiętaj.

Zapamiętał. Starał się. Zaczął doskonale. Pomimo silnej opozycji ubrał Poniatowskiego w płaszcz z gronostajów i już na sejmie koronacyjnym w 1764 roku wniósł przed łaskę marszałkowską wniosek o równouprawnienie innowierców (prawosławnych i protestantów). Stało się, jak przewidziała caryca: z ław podniósł się huragan gniewu, nie pozwolono nawet dokończyć czytania projektu ustawy. Wszystko szło zgodnie z planem. I zgodnie z tym planem on stał się głównym narzędziem „stopniowo wzmagającego się wpływu interwencji rosyjskiej w Polsce, doprowadzonego wreszcie zręcznością i bezwzględnością nowego posła do stopnia bezarunkowego owładnięcia kierownikami stronnictw” (Kraushar). Ale to przyszło później, trzeba było kilku lat mozolnej pracy, by ten sukces osiągnąć.

Prawdziwie ostra gra rozpoczęła się w roku 1765, o którym Kraushar, wpatrzony w rosyjskie dokumenty, napisał:

„Rok 1765 zeszedł na tajnych robotach Repnina w kierunku przysporzenia Rosji gorliwych stronników (...). W instrukcji sekretnej, danej księciu Repninowi na jego odjeździe do Warszawy, wyłuszczone zostały drobiazgowo wskazówki postępowania w Warszawie i po powiatach, gdzie najemni i przekupieni agenci przygotować mieli grunt”.

I zaraz potem ogromne zdziwienie historyka „bagatelnością kubańców”, czyli mizérią łapówek, owych lichych prezencików i sakiewek, którymi Repnin i jego sfera kaptowali sobie sługusów, a których wykaz zachował się w carskim archiwum i jeszcze w XIX wieku był do wglądu. Wykazu renegatów kupionych purpurowym srebrem nie było nigdy, lecz najbardziej prominentnych spośród nich można wskazać z nazwiska.

Dwaj pułkownicy, Josip Andriejewicz Igelström i Wasilij Karr (prawe ręce Repnina na terenie Polski), jeżdżąc po dworach i pałacach kupowali wskazanych przez posła prowincjonalnych kacyków, mówców sejmowych, starostów etc. Najbardziej wpływowych renegatów kaptował na stołecznym gruncie sam ambasador. Tylko w ciągu pierwszego roku swej misji wzbogacił szeregi milczącej psiarni o kilku wielkich dygnitarzy, takich jak marszałek nadworny Mniszech, podskarbi koronny Wessel i wojewoda podlaski Gozdzi, nie licząc ordynarnych donosicieli w rodzaju hrabiego Gurowskiego — tych na pęczki liczył.

Droga transportu purpurowego srebra ze skarbcza na Żmudzi do rąk Repnina dzieliła się na cztery etapy. Ostatni etap, od granicy polsko-rosyjskiej do Warszawy, obsługiwali

kurierzy ambasadora, kapitan Tir i sierżant Nolken. Ta trasa, a właściwie trasy, gdyż drogę ciągle zmieniano, ubezpieczana była dyskretnie przez tzw. „ograniczony kontyngent” wojsk rosyjskich, niby to manewrujący w ramach normalnej dyslokacji aprowizacyjnej. Wojska te weszły w granice Polski przed elekcją Stanisława Augusta, by zastraszyć, a w razie potrzeby zablokować orężem przeciwników pupila Katarzyny, których nie brakowało. I już tu zostały. Ze strony zwolenników elekta-rusofila popłynęły do Petersburga adresy hołdownicze na cześć Katarzyny i dziękczynienia za przybycie jej żołdatów.

Najgoręcej manifestował tę wdzięczność sam król. „Gotowość do pełnienia roli wykonawcy rozkazów gabinetu petersburskiego, jaką przyjął na siebie Stanisław August z powolnością najmity, stanowiła zasadniczą część programu” (Kraushar). W listach do Repnina autorka tego programu nazywała Poniatowskiego „woskową kukłą” (*woszczennaja kukla*). W tajnych dokumentach rządowych ministrowie rosyjscy używali dowcipniejszego określenia: „plenipotent rosyjski”. „Przy każdej zdarzonej sposobności dawano mu odczuć, że nie powinien, zbyt korzystać z praw majestatu królewskiego, że jest jedynie wykonawcą instrukcji dawanych z Petersburga, a nie bynajmniej samodzielnym władcą w swoim państwie (...). Mało jest w historii przykładów tak wyjątkowego stanowiska władcy udzielnego na pozór państwa” (Kraushar).

Trzeba tu wszakże wyjaśnić, że Poniatowski nie był „milczącym psem”. Nie było takiej potrzeby. Wystarczał jego strach przed utratą korony, zawdzięczanej Rosji oraz zwykłe złoto. Kraushar pisze, iż „w świetle autentycznych dokumentów pobudki działania króla w tym kierunku wiązały się ściśle z osobistymi jego dążeniami do korzyści materialnych, pielęgnowanymi szczerze, datkami z kasy sąsiedniego państwa otrzymywanymi, które miały na celu jedynie wprzęgnięcie króla do rydwanu polityki sąsiedniego mocarstwa i uczynienie zeń powolnego, niezgodnego z majestatem królewskim narzędzia, obcą a silną poruszanego ręką”.

Problemem Repnina był fakt, że po to narzędzie wyciągały się z drugiej strony ręce wujów Poniatowskiego, książąt Czartoryskich, szefów potężnej „Familii”. Czartoryscy tak gorliwie współpracowali z Rosją na rzecz elekcji Stanisława Augusta, że nikt nie pomyślał o uczynieniu z nich „milczących psów” — nie kupuje się własnych ludzi. Błąd ten stał się kosztowną nauką na przyszłość. Kiedy zaraz po koronacji „Familia” zmieniła front na antyrosyjski, w Petersburgu zawrzało. Ambasador dostał nowe instrukcje, ale początkowo był bezradny. W maju 1765 roku donosił Paninowi:

„Pisałem już JW Panu o duchu panowania, jakim ożywieni są obaj Czartoryscy. Używają w narodzie wielkiego kredytu. Wzrósł on od czasu, gdy za bezkrólewia stali się prowodyrami naszego stronnictwa i gdy przez ich ręce szły pieniądze na werbunek sojuszników, którzy też trzymają się ich dotychczas. Ich wpływy podtrzymuje słabość króla, który nie może pozbyć się zwyczaju czynienia wszystkiego według ich woli” („Sbornik”).

W styczniu 1766 roku Repnin musiał przyznać, że sytuacja się nie zmieniała: „Zapewniani, że uległość jego dla nas jest bezgraniczna i śmiem nawet ręczyć za nią, lecz nie mniejszą jest i słabość jego dla wujów”. Zaś wkrótce potem, w dobie, którą właśnie obserwuję z Wieży Ptaków: „Niestety, na tej jego gorliwości polegać niepodobna, z uwagi na słabość woli, której już tyle mieliśmy dowodów”.

W sytuacji, gdy Czartoryscy robili wszystko, by ukraść mu „woskową kukłę” i z jej pomocą zrealizować w Polsce reformy, które osłabiłyby zależność kraju od Petersburga, księżę Repnin potrzebowował milczących olbrzymów, by zahamować ofensywę „Familii”. Wymagało to wielkiej cierpliwości i jeszcze większego sprytu. Tego drugiego mu nie brakowało, ale z cierpliwością było gorzej.

Gdzieś na dnie jego organizmu, w głęboko zapadłych komórkach, gdzie mieszkał mord, jak czarny robak w przedpotopowej skamielinie, buntowały się przeciw tej kreciej robocie geny jego przodków-zdobywców, nawykłych do działania wprost, do ujarzmiania obcych ludów żelaznym batem i triumfalnych wjazdów z baldachimami, kluczami na aksamitnych poduszkach, muzyką, hejnałami trąb, biciem w zęby, hukiem i kornym aplauzem. Musiał poskramiać sam siebie. Jego łakome oczy, wrażliwe, niczym licznik Geigera, na najdrobniejsze promieniowanie zdrady i nieomylnie wyławiające z dostojnego tłumu potencjalnych kandydatów na „milczące psy”, w razie potrzeby zmieniały się w hipnotyzerskie kulki mądrości, lub odwrotnie, przybierały wygląd szeroko otwartych oczu dziecka o wiecznie zachwyconym spojrzeniu, szczerych i naiwnie czułych na magię świata, który jest prosty i nie wymaga kłamstw. Jego ujmująca pewność siebie nigdy w sposób mimowolny nie przekraczała granicy dobrych manier (jeśli potrzebował, zbliżał się do chamstwa teatralnie), a błyskotliwość ożeniona z francuską galanterią zniewalała kobiety, ponieważ na to była obliczona: na conocne żeńskie lobby w setkach polskich łóżek. Cóż to za uroczy człowiek ten Repnin, taki miły, inteligentny, pociągający, doprawdy *tres, tres charmant*, i jaki niestrudzony w wysiłkach dla zapewnienia Polsce wszystkiego dobrego. Jego głos był czarodziejem mimikry, przechodził metamorfozy z szybkością wielobarwnej jaszczurki, idealnie dopasowany do rozmówcy i okoliczności, czuły na każdą zmianę temperatury dialogu i ani na sekundę nie spóźniający się z konieczną zmianą formy lub treści.

Przed tą właśnie uprzejmością i przed tym głosem stanął nagle Franciszek Ksawery Branicki w antyszambrze królewskiego gabinetu, owego lutowego przedpołudnia, którego opis przerwałem, by sięgnąć do źródeł. Miał przed sobą człowieka, z którym — zazdroszcząc mu powodzenia u dam i u króla — zdążył już zadrzeć; cudzoziemca, który drażnił jego magnacką butę będąc sztandarem wpływów obcego mocarstwa w Polsce; przeciwnika, z którego pozwalał sobie szydzić nie wiedząc, że ostatni akt tej komedii przemieni się w dramat autora. Miał przed sobą przepaść, do której — przez to przypadkowe spotkanie — nie będzie mógł nawet zlecieć bez upokorzenia. Świadomość tego doprowadzała go do białej gorączki.

Repnin rozpromienił się na jego widok:

— O, widzę, że i pan, generale, poluje na króla! Witam. Jego królewski majestat źle się dzisiaj czuje. Migreny, jedna za drugą, cóż, to się zdarza. Zostawiłem go w nie najlepszym usposobieniu. Mam nadzieję, że przynajmniej pana znajduję w dobrym humorze?

— Witam uniznienie waszą księżęcą wysokość, lecz kpin nie zniosę! — odparł przez zaciśnięte zęby Branicki. — Honoru nie przegrałem! Repnin zamienił się w oniemiałe dziecko:

— Cóż znaczą te słowa, generale? Nie przypominam sobie, abym w czymś panu uchybił, chociaż prowokowałeś mnie do tego nie raz.

— Słusznie tedy wzięłeś sobie odwet, ekscelencjo, ale kopać adwersarza, co już powalony, nie godzi się! — rzekł Polak, próbując wyminąć ambasadora.

Repnin skasował dobroduszną minę i położył dłoń na framudze drzwi, tak iż jego ręka zastawiła Branickiemu drogę.

— Generale, zanim zostawisz mnie rozgniewanego, zechciej wytłumaczyć, co to wszystko znaczy! Jaką krzywdę ci uczyniłem?

— Wasza książęca wysokość dalej kpisz?!

— Przysięgam, że ani mi to w głowie!

Branickiemu nagle zaświtało, że Thomatis mógł przecież skłamać. Jeśli tak, to wszystko, co już powiedział Repninowi, jest bezczelnością prostaka. Stropił się. Zaczął tłumaczyć niepewnym głosem:

— Wasza książęca wysokość nie wiesz, że przedwczoraj... wieczorem... miałem nieszczęście przegrać... cały majątek?

— Przypadkowo wiem od króla, że pan grał, generale, i to bez weny, nic mi wszakże nie wiadomo, aby ktoś pozbawił pana majątku. Kto tak twierdzi?

— Ja tak twierdzą, wiem, co się stało! Nie wiedziałem tylko, że i król wie. Wiedział, i nic nie... To zresztą nieważne. Jestem nędzarzem, ot co!

— Pan się myli, generale.

— Nie myślę się, ekscelencjo, i pan najlepiej zdaje sobie z tego sprawę, jeśli tylko prawdą jest, że to pan ma weksel, który podpisałem. On się znajduje w pańskich rękach, książę, czyż nie tak?

Repnin sięgnął ręką do kieszeni, wyjął papier, włożył go w dłoń Polaka i ustępując mu z drogi powtórzył:

— Pan się myli, generale. On się znajduje w pańskich rękach.

Branicki osłupiał. Stał blady, drżąc całym ciałem, tak iż weksel wypadł mu ze zmartwiałych palców na dywan. Repnin schylił się błyskawicznie, podniósł dokument i ponownie wręczył Branickiemu. Milczeli obaj. Po chwili Branicki wykrztusił:

— Czegóż żądasz w zamian, książę?

— Tylko jednego, byś nie zadawał, generale, takich pytań. Obrażają one bardziej niż grubiaństwa, których mi przedtem nie szczędziłeś. Nie zrobiłem tego dla żadnych korzyści.

Branickiemu coś utkwilo w gardle. Z trudem zapytał:

— Więc... dlaczego?

— Powody były dwa, mój panie. Pierwszy natury osobistej, więc nie musisz weń wierzyć. Jako przyjaciel narodu, do którego posłowanie poczytuję sobie za zaszczyt, nie mogłem ścierpieć, żeby jeden z tych włoskich ladaco, intrygantów i awanturników, od których się roi na dworze zbyt łaskawego dla nich monarchy, ograbiał swymi sztuczkami polskiego żołnierza, wsławionego na polach całej Europy. Dlatego wykupiłem ten złodziejski świstek z jego brudnych łap. Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, generale, bo dlaczego miałbym cię szanować, gdy ty nie szanowałeś mnie, a poza tym żyjemy w świecie lichwiarzy, przywykliśmy do niego, z trudem rozpoznamy świat inny, ten ze starej bajki o ludziach prawych. Szokują nas gesty bezinteresowne. Będę jednak szczery do końca. Nawet gdybym sam nie chciał uczynić tego, co uczyniłem, to i tak musiałbym to zrobić, by nie narazić się władczyni, której służę. Nie zapomniała ona, generale, delikatnej przysługi, którą jej oddałeś przed laty. W liście doręczonym mi z Petersburga kilka dni temu, Jej Imperatorska Mość zapowiada nadesłanie specjalnego prezentu dla ciebie, o ile wiem, coś srebrnego... Miała to być niespodzianka, ale w tej sytuacji wolałem wyznać ci

całą prawdę... A o tym papierku wyłudzonej od ciebie zapomnijmy i więcej nie wracajmy do tej sprawy.

Branicki, który wciąż nie mógł pozbierać zmysłów, wybełkotał:

— Mości książę, twoja wielkoduszność...

— Sza! Powiedziałem, ani słowa! Od tej chwili nic nie wiem i uprzedzam, że jeśli zechcesz coś mówić na ten temat, będziesz mówił do ściany, panie Branicki!

Branicki, któremu z wolna powracała przytomność, zachnął się:

— Więc będę mówił do ściany, ale będę mówił, a w potrzebie krzychać! Nie zmusisz mnie, eksceleńco, bym zapomniał o tym, o czym pamiętać będą z wdzięcznością moje wnuki, a jeśli nie będą, to dogoni je moje przekleństwo z za grobu! Jest jeszcze coś, co musimy omówić, termin płatności. Wyplacę się w ratach, bo od razu nie mogę...

— Generale...

— Będę nalegał! Książę wykupiłeś ten weksel, nie dano ci go za darmo. Zechciej podać sumę.

Repnin spojrział w niebo (w sufit) z ostentacyjnym błaganiem o pomoc.

— Generale, przysięgam ci, że nie wydałem na ten świstek ani grosza z mojej prywatnej szkatuły. Pieniądze zaczerpnąłem ze specjalnej kasy Jej Imperatorskiej Mości, z funduszu danego ambasadzie na wspieranie polskich patriotów i zabezpieczanie nienaruszalności praw Rzeczypospolitej.

Oooooch! Wyrzało słońce. Przebiło się przez chmury w dziurze okrągłej niczym sedes nieba. Blask, jak nagła, złudna wiosna, podobny do taniej dziwki wymalowanej tęczowo, przypudrowany wichrem i nachalny, uderzył mnie w oczy i oślepił. Z tej złości rodzą mi się brzydkie metafory, z których i tak tylko cień spływa na papier, reszta mle mi się w zębach. Mój wzrok pragnie odpoczynku, szuka śladów życia na grzbietach pagórków wyżłobionych lodowatym wiatrem i pośrodku śniegowego pola. Na powierzchni Wisły rybak czatuje nad przerębłą. Trzyma długi kij z zaostrzonym żelazem i cierpliwie stoi, aż któraś z ryb wypłynie zaczerpnąć więcej tlenu. Wówczas wbija hak w zmarznięty mózg, wydobywa zdobycz na arktyczną powłokę i przywiązuje do obręczy z innymi. Czarne wrony na śniegu wykrakują czarną śmierć.

Gdy latem zmarzlina stopnieje, łowić będzie trudniej, albowiem nie sposób wyrębać przerębłą w środku rwącego nurtu — można utonąć. Natomiast w podręcznikach psychologii można przeczytać, że jednym ze sposobów zmieniania postaw przeciwnika jest poka-zanie, iż są takie sprawy, co do których się zgadzamy.

Podstoli koronny generał Branicki i ambasador rosyjski książę Mikołaj Wasiliewicz Repnin zgadzali się w jednej sprawie, w tym mianowicie, że podstoli koronny generał Branicki i skrajna bieda są to dwie rzeczy zupełnie do siebie nie przystające, zatem nigdy nie powinny chodzić w parze. Książę Repnin nie czytał wspomnianych podręczników psychologii, ale mógłby je pisać (przynajmniej niektóre rozdziały). Prawidłowo wybrał pierwszą sprawę, co do której tamten musiał się z nim zgodzić. Teraz, kiedy już zrobił dobry początek, musiał znaleźć kolejne punkty styczne. Widząc zaskoczenie Polaka (gdy ten usłyszał o specjalnym funduszu Katarzyny), Repnin wziął go czule pod ramię i poprowadził do okna w sąsiednim pokoju, w tym samym, w którym Branicki rozmawiał wcześniej z kamerjunkerem.

Była to „sala medytacji” Stanisława Augusta. Oprócz zegara kominkowego, stolika, szeszlągu i parawanu ze szklanymi ściankami nie zawierała żadnych innych sprzętów. Swą

surowością przypominała bardziej luksusową celę klasztorną niż królewską komnatę w pałacu. Za oknami rozpościerał się widok na skarpy idące ku rzece i daleki kontur praskiego brzegu. Repnin przez chwilę stał zamyślny, wypatrując czegoś poza szybą. W końcu rzekł:

— Generale, pańska ojczyzna, o czym pan sam wie najlepiej, znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie. Ma ona zbyt dużo wrogów, tak na zewnątrz, jak i od środka. Wokoło trzy mocarstwa, dwa germańskie, pragnące jej zagłady, i Rosja, w narodzie której płynie słowiańska krew i której władczyni wzięła sobie za punkt honoru, by nie dopuścić do skrzywdzenia Polski. Polska ma słabą armię, ale jakoś nikt nie próbuje jej zaatakować, ponieważ nikt nie chce ryzykować walki z wojskiem rosyjskim, które znajduje się tu właśnie po to, by strzec nienaruszalności polskich granic. Dzięki protekcji mojej władczyni na polskim tronie zasiadł piastowski monarcha, a nie Sas, za którym opowiedzieli się ci, którzy wam źle życzą. Niestety król ten, chociaż Piast, okazał się słaby. Tak, tak, jest szlachetny, wiem, ale jest duchem słaby. Daje się powodować wszelkiej maści intrygantom, wśród których Czartoryscy wiodą prym. Głoszą oni, że idzie im o reformy patriotyczne, a w rzeczywistości pragną tylko królem manipulować po swojemu, obsadzać urzędy i czerpać dochody z tej prywaty. O jakie reformy walczą, zobaczysz, generale, już niedługo, gdy otworzy się najbliższy sejm. Królowi, którego mają za swą marionetkę, radzą, by zniósł podstawowy kanon waszych swobód, główną gwarancję wolności, liberum veto! Jeśli tej sprawy na sejmie nie podniosą, możesz mnie, panie Branicki, uznać za kłamcę. Najważniejsze urzędy w przyszłej Rzeczypospolitej, swojej Rzeczypospolitej, już obsadzili. Nie ma na tej liście twojego imienia, niegodnyś ich zdaniem. Ale zdaniem Jej Imperatorskiej Mości hetmanem wielkim koronnym winien być...

Nagłym ruchem położył sobie dłoń na ustach, demonstrując, że „gryzie się w język”. Jednocześnie kątem oka zlustrował twarz rozmówcy. Wrażenie, jakie odniósł, zachęcało do kontynuacji.

— Za dużo mówię, generale, przekraczam swoje uprawnienia. Sprzyjam ci jednak całym sercem i raduję się, że sprzyja ci również moja pani. Znając niebezpieczeństwa, które grożą twjej ojczyźnie za sprawą awanturniczej polityki niektórych waszych książąt, wyznaczyła ona specjalny fundusz na ratowanie w Polsce polskości. Mam nim wspierać prawdziwych patriotów, którzy znajdując się w bliskości króla będą go strzec od złych namów i swoim na niego wpływem neutralizować będą błędne podszepty. To jest...

Branicki zrobił głową przeczący ruch.

— Wasza książęca wysokość doskonale wiesz, że nie należę do najwyższej hierarchii rodowej w moim kraju. Cieszę się przyjaźnią króla, to prawda, ale królewska przyjaźń na łaciatym rumaku jeździ. Czartoryscy mnie ignorują i starają się osłabić moją pozycję na dworze, a król zaiste słaby i łącno im ucha nadstawia. Gdyby nie siostra... Nie mogę stawać z Czartoryskimi, za wysokie książęce progi.

— Więc trzeba je obniżyć, generale, to najprzód. Potem zaś pytam: jakie to progi za wysokie dla hetmana wielkiego koronnego, który rzetelną zasługą, nie zaś sztuką pokłonów, zdobył swoją godność? I wreszcie pytam: kim byli Czartoryscy dwieście lat temu? Słyszał kto wtedy o takich kniazich u boku polskich królów? Wierzch arystokracji to płynna masa, odpływa jedna krew i w niepamięć idzie, podczas gdy inna, silniejsza i zdrowsza, wędruje do góry. Wczoraj Zborowscy, Wiśniowieccy, Tarnowscy, Tęczyńscy,

Koniec-polscy, dzisiaj Czartoryscy, Potoccy, Lubomirscy i Radziwiłłowie, jutro może Branicy. Trzeba do tego mądrości politycznej, determinacji i przede wszystkim poparcia prawdziwych mocarstw...

— Trzeba do tego wielkich majątków, ekscelencjo! — przerwał Branicki. — Książęcych latyfundiów! Siła rodzi się z ziemi.

— To prawda, ale majątek rodzi się z jednej grudki, która urasta do folwarku, potem województwa, wreszcie całej prowincji. Wiem, generale, że twoje ziemie nierówne ziemiom Czartoryskich, a do tego obciążone długami po same uszy. Dobiło cię nałożone przez Prusaków w Kwidzynie cło na wszystkie towary płynące Wisłą do Gdańska; w tej zresztą sprawie wysyłał cię król do Berlina, gdzie w końcu niczego nie zwojowałeś. Ale jak mogłeś zwojować, jeśli za twoimi plecami Czartoryscy prowadzili tajną grę w Wiedniu i w Paryżu? Oni, rzecz osobliwa, nic na kwidzyńskim cle nie stracili. Nie zadziwiło cię to, panie generale? Ot, widzisz jak to jest! Ale to się da odwrócić. Jedno moje słowo, a bank petersburski kupi na pniu wszystkie twoje zbiory aż do roku 1770 i udzieli ci nadzwyczajnych kredytów na rozwinięcie gospodarki. Kredytów, które Jej Impetratorska Mość... umorzy, kiedy zechce. Wiele rzeczy dzieje się tak, jak ona chce, a będzie się działo jeszcze więcej. Czartoryscy to wobec niej karły, mogłyby ich uciszyć jednym gestem, ale Imperatryca szanuje prawo narodu polskiego do załatwiania własnych spraw własnymi rękami, i jeśli się wtrąca, interweniuje u króla listownie lub przeze mnie, to tylko dla podtrzymania ducha uczciwych patriotów. Nie wiesz zapewne i tego, generale, że właśnie dzięki jej wstawiennictwu otrzymałeś w grudniu gwiazdę Orła Białego, do czego Czartoryscy chcieli nie dopuścić. Spytaj króla, niech zaprzeczy... Wszakże nie o orderzy toczy się gra, lecz o sprawę narodową i ponadnarodową.

— Jak to ponadnarodową? — zdziwił się Branicki.

— Rosja jest gwarantem niezawisłości Polski i pozostanie nim, ale Rosja ma większe plany, europejskie. Polska, jeśliby chciała, może stać się jej sojuszniczką. To jest szansa dla tych, którzy zechcą to zrozumieć. Nie można bezkarnie spóźniać się na spotkanie z historią, idzie era Rosji. Polska winna postawić na tę kartę i ty, generale, również. Co zaś do hetmaństwa wielkiego koronnego, to bez poparcia Jej Imperatorskiej Mości carycy Katarzyny nie osiągnie go nikt. Wielkie godności nie są dla głupców.

Tak oto Mikołaj Wasiliewicz Repnin znalazł kolejny punkt styczny z Franciszkiem Ksawerym Branickim, którego pogląd na sprawę buławy naczelnego dowódcy wojsk polskich był identyczny: nie powinna się ona dostać w ręce głupca, lecz Franciszka Ksawerego Branickiego. Ludzie ambitni mają bowiem to samo zdanie o różnicy między sobą a resztą bliźnich, co Latynosi o różnicy między swoją matką a wszystkimi pozostałymi kobietami: tylko ona nie jest dziwką.

Tak więc obaj panowie zbliżyli się do wspólnego punktu widzenia i jest rzeczą naprawdę mało istotną, o czym jeszcze mówili stojąc przy oknie królewskiej „sali medytacji”. Istotne są dwie rzeczy: fakt, że na koncie zdobyczy Repnina znalazł się „*Un nouveau prosélyte dans le parti de la bonne cause*”^{*} (cytat z tajnego raportu ambasadora) oraz sekret tej komnaty, wówczas znany bardzo małej liczbie osób, później zaś znany powszechnie i opisany przez kronikarza Magiera w rozdziale „Życie domowe króla”, księgi zatytułowanej „Estetyka miasta stołecznego Warszawy”: „Król czasem drzemał po

^{*} — Nowy sprzymierzeniec dobrej sprawy.

obiedzie na swym szezlongu za parawanem o szklanych taflach, przez które mógł widzieć wszystko w pokoju, sam nie będąc widzianym”.

Gdy Repnin i Branicki wyszli, zza parawanu wychylił się nasz znajomy, Ignacy Turkuł. Od korytarza dobiegły go jeszcze słowa ambasadora: „... grać samemu przeciw trzem Włochom, to już nie brawura, generale, to szaleństwo! Signore Casanova był tym, który zmontował mtrygę przeciw panu i wybornie odegrał komedię. Szczególny to szubrawiec, tajny agent Paryża, czemu jednak do pana ma tyle złości? Czy tu idzie o pannę Binetti, z którą obaj sypiacie na zmianę? Nie wiem, czy jest prawdą, że on w jej łóżku drwi z pana, wiem tylko, że nie puściłbym płazem...”. Resztę słów zagłuszyło soczyste przekleństwo Branickiego, a potem oba głosy wyciszyła odległość.

Coraz ciemniej, znowu kończy się dzień. Pagórki wokół wieży zaczynają układać się do snu. Mrok wspina się po ścianach, zamazując starannie kształty i kontury. Nasyca powoli atmosferę, psuje wyraźne linie, zmusza do ziewania przedmioty, wszystko zaczyna lekko drżeć z zimna i usypiać w milczeniu.

Gwiazdy pojawiają się i gasną za sprawą chmur. Między bezlistnymi konarami drzew przetacza się złoty krąg księżyca. Jest bardzo cicho.

Nagle ciszę rozdarł skandalicznie głośny krzyk nieznanego ptaka. Ten rodzaj krzyku wrywa z gardła strach — ktoś musiał go spłoszyć. Wpatruję się w ciemność i nie jestem pewny. Jeden z krzewów przypomina swą sylwetką człowieka w płaszczu i kapeluszu, lecz to chyba złudzenie, wszystko bowiem zacierza się w gasnącej przestrzeni, a w powietrzu snuje się zdolność do wywoływania abstrakcji.

Mógłbym zejść na dół i pójść w tamtą stronę dla sprawdzenia. Gdy mieszkałem w Lawrion, na greckim wybrzeżu Morza Egejskiego, kusiło mnie, by zrobić wycieczkę na pobliską wyspę. Było to rumowisko skał, przypominające nos Neptuna zażywającego snu pod białą kołdrą fali, za dnia otulone lekką mgiełką, w nocy błyszczące tajemniczo. Nie dawało mi spokoju. Wiedziałem, iż wystarczy pójść do portu, wynająć łódź i po godzinie spenetrować ten sekret. Ale nigdy tego nie zrobiłem, może dlatego, by nie odbierać sobie złudzeń, lub żeby powracać tam myślami i marzyć o fizycznym powrocie lub może po prostu ze strachu. Opowiadano mi, że kiedyś, za dyktatury greckich pułkowników, funkcjonował na wyspie niewielki obóz karny dla najniebezpieczniejszych przeciwników reżimu. Jedyнным wolnym mieszkańcem w tej katowni był komendant obozu, człowiek okrutny, znajdujący większą przyjemność w psychicznym maltretowaniu więźniów poprzez nie kończące się przesłuchania niż w nudnym łamaniu kości i biciu. Gdy pułkowników obalono i powróciła demokracja, więźniowie zostali wypuszczeni, strażnicy przeniesieni gdzie indziej, a obóz zamieniono na muzeum martyrologii. Jego kustoszem i jedynym opiekunem, a więc jedynym więźniem wysepki, uczyniono eks-komendanta — demokracja była złośliwa albo przezorna, demokracja bowiem też musi się liczyć z tym, że kiedyś wyrosną jej wrogowie, z którymi coś trzeba będzie zrobić. Ale do muzeum nikt nie chciał przyjeżdżać i przyroda zjadła obóz w ciągu kilku lat, a tamten człowiek zniknął. Podobno umarł, lecz to nie wydaje mi się pewne, gdyż tacy jak on są nieśmiertelni. Okoliczni rybacy twierdzili, że jego duch błąka się po skałach i zrzuca śmiałków w zdradliwe wody zatoki.

Teraz mam to samo uczucie. Coś kusi mnie, żeby wyjść z wieży i sprawdzić, ale coś mnie powstrzymuje i każe mi nie ruszać się z miejsca.

Rozdział 3

„BASIOR”

„Kobieta, zwierzę,
Piękne i drapieżne,
Trucizna w złotym pucharze.
Piłem z niego... (...)
Bicz splatam, bicz z promieni słońca.
Wychłoscę nim świat.
I śmiejąc się będę słuchał, jak jęczy.
Świat śmiał się, gdy ja jęczałem.
Bo życie to jęk i śmiech”.

(Sandor Petöfi, „Szalony”,
tłum. Aleksander Nawrocki).

Pod kościołem siedziało dwoje żebraków, kobieta i pokraczne dziecko, budzące litość i wstręt; poza nimi nie było nikogo. Na twarzach obojga życie wypisało ubogie marzenia, odbarwione i napiętnowane słabością. Chłopiec miał kilka lat i policzki ze starego pergaminu, tylko oczy z jasnego kryształu, młode i szybkie. Przed laty, podczas głodu, Turkuł, polując z ojcem widział takie dzieci we wsiach. Dzieci, które nie prozione chodziły do lasu po jadalne cebulki lub cokolwiek innego do spożycia i wracały z dumnym milczeniem zdobywców, ściskając w piąstkach zieleninę lub jajko ptaka. Kładły to na stole i stały w oczekiwaniu na zachwyty młodszego rodzeństwa.

Wszedł do kościoła. Kojąca chłodna pustka pod wysokim sklepieniem nastrojała do modłów, ale nikogo modlącego się nie zauważył. Na szerniałych obrazach widniały kobiety takie jak ta na ulicy, zbolełe, blade, przekwitłe, nie znające innej miłości prócz miłości cierpienia, a u spodu wszystkich malowideł, obok nazwiska tego samego mistrza, złościły się słowa: *amore incensus crucis**.

Oczy świętych patrzyły nań ciekawie, jakby dziwiąc się, że człowiek pijany nienawiścią zawitał do przybytku miłosierdzia. Wyszedł szybko.

Rozejrzał się jeszcze raz; nie było tego, którego szukał. Nie było też kobiety, został sam chłopiec. Nie wiedział, co robić, czekać czy pójść sobie. Sięgnął po sakiewkę, by wyjąć monetę litości, lecz nim zdążył to uczynić, zamigotała mu przed oczami skulona błyskawica i safianowy woreczek wyfrunął z dłoni. Młody pokraka, ruszający się z energią, o którą nie można było podejrzewać tej karykatury ciała, nurknął w stronę murów

* — Z gorącej miłości krzyża.

obronnych. Turkuł, nie zdążywszy już sięgnąć ręką za znikającym cieniem, odruchowo wystawił nogę, tak daleko, że rozkrok był bliski szpagatu. Czubek jego trzewika zahaczył o szmaciany łapeć złodzieja i ten przekoziółkował na głowę, odbił się od ściany kościoła i runął w błoto. Podniesiony z ziemi, wyrwał się charcząc i kęsając. Turkuł starał się opanować to wierzgające, gryzące i drapiące tornado, skrępować i zdusić; im bardziej furiacko walczyło z nim, tym mocniej je trzymał i tłamsił, cały czas próbując słowami uspokoić malca. Przemawiał do niego słodko i gniewnie na przemian, wysilając mięśnie rąk, tak jak dzieci gdy zdybią kota i brutalnie obezwładniają po to tylko, by go pogłaskać i okazać swą łagodność. W końcu chłopak opadł z sił i zaprzestał walki, wywracając białka oczu i udając zemdlonego. Paź posadził go na schodku kościoła, podniósł swoją utaplaną w brunatnej mazi sakiewkę, wytarł ją o łachmany chłopca i klepnął go kilka razy w twarz.

— Przystań udawać! Możesz mieć część z tego, co chciałeś ukraść, jeśli powiesz mi gdzie jest Rybak.

Jedna gałka oczna żebraka powróciła do właściwej pozycji. Otworzył spierzchnięte wargi:

— Tu nie ma rybaków, nie ma ryb. Szukaj se nad Wisłą.

— Głupku! — zdenerwował się paź. — Nie jestem wrogiem, znam Rybaka i Rybak zna mnie. Kazał mi się szukać tutaj.

Druga gałka wskoczyła na swoje miejsce. Chłopiec przyglądał się uważnie Turkułowi, jakby prześwietlając prawdomówność obcego. Potem wyciągnął dłoń rozprostowaną wierzchem do dołu.

— Zaraz! — rzekł Turkuł. — Najpierw powiedz gdzie. Albo lepiej zaprowadź mnie tam, bo się boję, że mnie ołgasz.

— A co dostanę?

— To.

Pokazał mu dwie monety zamiast trzech, wiedząc, że nie obejdzie się tylko dwiema. Żebrek podniósł do góry cztery rozstawione palce. W odpowiedzi paź podniósł swoje trzy. Dobili targu.

Nagle zerwała się burza. Przemierzali uliczki skąpane w nawale rześistego deszczu, kuląc się pod ścianami i skacząc od bramy do bramy. Wszystko wydawało się martwe, jak gdyby za tymi murami nie było żadnego życia. Ale w niejednym oknie, wąskim jak strzelnica, paź dostrzegał znieruchomiałe oko spoczywające na jego twarzy, baczne, podejrzliwe, tajemnicze i milczące. Przeszli pod zmurszałymi arkadami i dostali się na małe podwórko, zavalone wszelakim śmieciem, stosami wilgotnych desek i beczek pozbawionych obręczy. Chłopiec kazał mu czekać, a sam podbiegł do drzwi, z których złaziła płatami wiśniowa farba, i zastukał jakimś gryperskim kodem. Drzwi uchylły się o szparkę. W bębnieniu ulewy Turkuł nie mógł złowić szeptów, lecz kiedy żebrak wrócił i ponownie wyciągnął dłoń, dał mu pieniądze.

Otwierając drzwi usłyszał charakterystyczny trzask naciąganego kurka pistoletu i zanim w półmroku dostrzegł człowieka, musiał odpowiedzieć na zadane agresywnym tonem pytanie, czego tu szuka. Wyjaśnił. Wągrowaty tłusciuch, w którego paluchach krucica zdawała się być dziecinną zabawką, wprowadził go do zadymionej izby, po czym odchylił wielką ścierkę pełniącą rolę kotary i krzyknął w głąb domu:

— Rybak, masz drugiego gościa! Jakby było o jednego za dużo, to jestem tutaj!

Popchnięty przez próg, Turkuł wylądował w sklepionej nisko komnacie, której umeblowanie składało się z żelaznego łóżka, kilku drewnianych zydl i koślawego stołu. Za stołem siedziało dwóch ludzi. Jednym z nich był stary żebrak, znajomy pazia. Drugi mężczyzna, młody i tak wytwornie odziany w czerń i biel, że nawet w otoczeniu króla Turkuł nieczęsto widywał podobną elegancję, przyciągał wzrok niczym płomień w ciemności: budził zachwyt, ponieważ był piękny, i ogromne zdziwienie, ponieważ zupełnie nie pasował do wnętrza tej nory. Mógł mieć dwadzieścia kilka lat, lecz regularne rysy jego twarzy, z rzymskim nosem i wydatnymi wargami, wokół których czernił się cudzoziemski zarost, czyniły go starszym. Opleciony czarną kitajką i zwieńczony tegoż koloru kokardą warkocz peruki spadał na smołową aksamitną suknię orleańskiego kroju, z brylantowymi guzikami i delikatnym morskim haftem na mankietach i kołnierzu. Pod długą, wciętą w pasie kamizelką z hebanowego atłasu, stebnowaną srebrnymi nićmi, widniała batystowa koszula o żabocie i mankietach z najdroższych śniegowych koronek. Białe były również racymorowe spodnie, jedwabne pończochy i chustka zawiązana na szyi. Trzy błyski złota — u dołu kłamry butów, u góry szpila z miniaturowym zegarkiem w żabocie — dopełniały całości. Cienkie, alabastrowe palce bawiły się trójgraniastą szpadą, której pochwa z białego utwardzonego pergaminu wybornie harmonizowała ze szkarłatem koralowej rękojeści. Czarny płaski kapelusz leżał na stole.

Obaj zwrócili się w kierunku Turkuła, gdy wybąkał powitanie. Rybak nic nie odrzekł, elegant schylił głowę z uprzejmym uśmiechem. Wówczas Turkuł zobaczył go *en face*. Twarz mężczyzny była podobna greckim popiersiom zdobiącym korytarze Zamku: majestatyczna, zimna i obojętna. Jakaś tajemnica, która zamieszkała w niej przed laty, zasmucała głębię jego oczu nawet wtedy, kiedy były roześmiane.

Rybak wskazał Turkułowi zydel i powrócił do rozmowy z tamtym. Mówili po angielsku, co jeszcze bardziej zdumiało pazia. Nie znał tego języka, więc czuł się nieswojo. Po chwili żebrak wyjął zza pazuchy jakiś dokument i podał go Anglikowi. Ten rozprostował papier i zatopił się w czytaniu. Dopiero wtedy staruch zainteresował się Turkułem:

— Z czym przychodzisz?

Paź spojrzał na czytającego.

— On nie zrozumie, zna tylko swój język i francuski, a po niemiecku kaleczy — wyjaśnił Rybak. — Możesz mówić. Stało się coś?

— Stało. Podśledzałem rozmowę Repnina z Branickim. Mówisz, że Thomatis to człowiek Repnina, a Repnin pluł na niego. Branicki też. Czemu mnie okłamałeś?

— Nie okłamałem cię. Powiedz najpierw o czym mówili.

— Branicki przegrał wszystko do Thomatisa...

— To już wiem.

— ...a Repnin wykupił od Thomatisa weksel...

— To też wiem.

— ...i oddał go generałowi.

— Co?!... Jak to oddał? Za co?

— Za nic. Żeby go przejednać, bo wcześniej się gryźli. Zapłacił pieniędzmi Imperatorowej, która lubi generała. W drodze jest prezent z Petersburga dla Branickiego, jakieś srebra. I bank petersburski ma mu udzielić pożyczki, a w przyszłości zostanie hetmanem wielkim koronnym.

Rybak aż podniósł się z miejsca i cichutko zagwizdał. Potem opadł wolno na swój zydeł, z taką miną, jakby dostał czekaniem w głowę ni stąd, ni zowąd.

— Więc to tak! — wyszeptał. — Chrystusie, kupili koleżkę Ciołka, a ty mi tu gędzisz, że za nic!... O nic nie prosił?

— Kto, Branicki?

— Nie, ambasador!

— No... prosił Branickiego... żeby osłabiać wpływ Czartoryskich na króla, bo ci dążą do zguby Polski. Rozumnie prawięł.

— Proszę, proszę, co ty powiesz! ...Rozumnie p r a w i ł! Na twój rozum wystarczyło?

— A tak, wystarczyło! — odciął się paż. — Sam słyshałem, jak Czartoryscy namawiali króla, żeby na sejmie forsować zniesienie liberum veto!

— Czyli noża, który zabija Polskę, nie rozumiesz tego, durniu?! Twój król oszukuje swój naród, bo służy Rosji, ale nie król, lecz sejm decyduje o losach państwa uchwałami, które trzeba przegłosować. Wystarczy, że jeden kupiony pies zaszczeka: liberum veto! i uchwały nie ma, sejmu nie ma, bo liberum veto zrywa go od razu, a więc i poprawy nie ma! Czartoryscy chcą odciągnąć króla od Rosji...

— Żeby sami mogli władać! Swoje tylko na myśli mają!

— Prawdęś trafił, jak ślepa kura. Czartoryscy swoją partię grają, ale Familia to jeszcze nie cała Polska. A dopóki z Repninem się żrą, dla mnie dobrzy. Branicki, ścierwo, na pozór dał się kupić przeciw nim, ale to przeciw Polsce. Repnin nie wypuści ryby z kosza!

— A tyś kto? Mówisz jak równy jemu! Generał hałaburda jest, ale człek prawy...

— Tak samo prawy, jak twój pan, co ci dziewczkę zbałamucił. Teraz pewnie Branicki się z nią kładzie, bo on zawsze po przyjacielu co smaczniejsze kąski dojada, ty najlepiej wiesz o tym!

Twarz pazia zrobiła się sina. To co powiedział Rybak było prawdą; Branicki przejmował kobiety od Poniatowskiego, z równym zapalem pokojówki jak księżne. Często wyświadczał w ten sposób przysługę królowi znudzonemu damą: król „przyłapywał” generała *in flagranti* ze swą kochanką i obrażony zrywał z nią, oszczędzając sobie natrętnych dąsów, błagań i zaklęć odsuniętej metresy. Rybak pochylił się w stronę Turkuła:

— Przestań mędrkować o Polsce, boś w tym taki głupi, że bierze strach! Zajmij się sobą. Chcesz krzywdy Thomatisa, dostaniesz ją ode mnie, znalazłem sposób. Ale nie za darmo.

— Co mam zrobić? — spytał cicho paż.

— To samo, co już zrobiłeś... Gdybyś na przykład usłyszał nazwisko Kiss lub zobaczył człowieka, który ma tylko cztery palce u prawej dłoni, i doniósł mi o takim człowieku, byłbym ci wdzięczny nieskończenie. Poza tym rozmowy króla i jego gości... Słowem, chcę mieć na dworze twoje ucho i twoje oko.

— Będziesz je miał, za Thomatisa mogę wszystko zrobić. Nawet być szpiclem.

— To przy okazji zrób i dla siebie coś.

— Dla siebie przecież to robię!

— Nie, na razie robisz to dla zemsty. Zrób co innego. Ucz się, słuchając ich knowań. Jak się dobrze napatrzysz i nasłuchasz, to może zaczniesz myśleć, obudzisz swój rozum i będziesz mądry.

— To znaczy stanę się takim samym mędrce, jakim ty jesteś już?

— To znaczy, że możesz stać się człowiekiem świadomym, patriotą, Polakiem.

— A na razie to jestem durnym Tatarem z bezpańskiego stepu?... Nie ucz mnie człowieczeństwa, Rybak, między nami jest handel, daj swoje, ja dam swoje. Nauczyciel się znalazł! Weź Turkuł i ulep się sam ze swojej gliny na obraz i podobieństwo moje! Powiem ci coś. Każdy jest takim, jakim go Bóg stworzył, a często jeszcze gorszym, więc...

— Nie-praw-da! — ryknął żebrak.

I zaraz, przestraszony własnym głosem, spojrzął na Anglika, ten jednak ani drgnął, widać kłótnia w obcym języku mało go wzruszała, wciąż czytał. Rybak ściszył głos:

— Nieprawda, sam nie wierzysz w to, co mówisz, aż takim baranem nie jesteś! Dobrze wiesz, że człowiek od urodzenia nosi tylko prawo do tego, by zostać człowiekiem, że ludzie nie rodzą się ani rozsądni, ani wolni, ani równi, ani odważni, ani prawi, wcale nie rodzą się tak ludzcy, jak powinni być. Ale mogą podjąć próbę stania się ludźmi! Co myślisz o tym?

— Myślę, że jesteś większy wariat ode mnie — powiedział Turkuł. — Chcesz walczyć z Repninem, z królem, z carycą, z całym światem...

— Powiadasz, że to sprawa beznadziejna?... Nareszcie zrozumiałem. Teraz powiem ci, kim naprawdę jesteś. Jesteś jak ta mucha, co nie zna pojęcia szyby i miast zawrócić w odrzwia, wali łbem o szkło. Albo nie — jesteś jak ten szczur zgnieciony w silnych łapach. Widziałem w Anglii doświadczenie, które robił pewien doktor. Trzymał szczura w siatce tak, że ten, chociaż walczył zaciekle, nie mógł się uwolnić i w końcu walczyć przestawał. Wtedy doktor wrzucał go, niemrawego, uspokojonego, do beczki, z której woda uchodziła dołem, i szczur od razu tonął, nawet nie próbował pływać, bo się nauczył, że nie ma po co, że walka jest bezcelowa. Potem doktor wrzucał do beczki innego szczura i ten pływał aż cała woda wyciekła, a wyciekała przez dwa dni! Trzeciego szczura doktor wrzucił do beczki bez wycieku — szczur pływał przez trzy doby i dopiero utonął. Gdyby na brzegu tej beczki siedział jakiś inteligentny szczur, to mógłby powiedzieć: Widzicie, i po co to wszystko? Wszystkie wysiłki na nic. Czy to nie głupio tak się starać, kiedy nie ma szans?...

Rybak zakrztusił się od szybkiego mówienia i rozkasłał. Odplunawszy flegmę w ką, dokończył:

— Różne są beczki, w całej można wygryźć dziurę, w dziurawej można pływać czyli walczyć, ale trzeba chcieć! Jak każdy powie, że to beznadziejne, gówno będzie z Polski nie ojczyzna! Nie wystarczy być uczciwym, pobożnym i dobrym dla biednych. Dla triumfu zła trzeba tylko, żeby dobrzy ludzie nic nie robili. Jak tego nie rozumiesz, to idź do diabła, bo ja już nie nauczę cię niczego.

Dopiero teraz spostrzegli, że elegant wstał i szykuje się do wyjścia, przypinając szpadę u boku, zdejmując ze ściany podbitą futrem pelerynę i nakładając na głowę czarny pieróg. Żebrak odprowadził go do drzwi. Schylając się pod uniesioną ścierką-kotarą, tamten rzucił Turkułowi pożegnalne spojrzenie, z tym samym dziewczęcym delikatnym uśmiechem człowieka światowych manier, z jakim się uprzednio przywitał. Kiedy Rybak wrócił, paż pofolgował swej ciekawości:

— Kto to?

— Lord Stone. Przyjechał z Anglii, ma tu interesa.

— Z tobą?!

— Ze mną też, jak widzisz. Widocznie warto mieć ze mną sprawę.

- Skąd go znasz?
- Na jego okrętach pływałem, to wielki bogacz...
- Widać, że bogacz, ale dlaczego taki bogacz chodzi piechotą i do tego sam? Nie było przed wejściem powozu ani też służby...
- Może lubi chodzić sam, jego sprawa.
- A „Basior” ze swą bandą lubi czekać na takich. Ostrzec go trzeba było!
- Rybak wybuchnął śmiechem, podskakiwał na zydlu z uciechy i klepał się po bokach.
- Co cię tak śmieszy? — spytał paź. — Znowu głupio rzekłem?
- Nie... tak mi się zachciało śmiać. Człowiek gdy się śmieje, to złe myśli uchodzą zeń jak gazy. Nie martw się o jego lordowską mość, to ostatni człowiek w tym mieście, na którego „Basior” by się rzucił.
- Dlaczego?
- Dlaczego? Bo... bo to cudzoziemiec. Słyszałeś, żeby „Basior” ruszył cudzoziemca? Weźmy się lepiej do twoich kłopotów. Swoją krzywdę możesz odpłacić Thomatisowi taką samą krzywdą. Ma on kochankę, aktorkę...
- Catai!
- Nie. Catai to jego żona, którą on frymarczy...
- Żona?!
- Uhhh. Wzięli sekretny ślub. Przywiózł ją z Sabaudii i wkłada do łóżka każdemu, kogo chce sobie zjednać. Nie o nią chodzi. Ma on inną, młodszą, w której się zakochał. Dziwne, bo to łotr bez serca, ale widać i bez serca można oszaleć dla baby. Wiem już wszystko o tej drugiej, nie trzeba było długo szperać. Nazywa się Cassacci...
- Wiem która to!
- Dobrze, ale już nie przerywaj, bo nigdy nie skończę i nie dowiesz się jak go zażyć. Thomatis sypia z kim chce, wszystkie aktorki przeszły przez jego łóżko, a niektóre nawet przez stół w jego gabinecie. Cassacci jest ambitna. Kiedy to wszystko spostrzegła, wpadła w szał i zaczęła mu płacić pięknym za nadobne, z Lubomirskim i z innymi. Kiedy on to spostrzegł, okazało się, że jest zazdrosny. I to jak, całkiem po italiańsku. Pilnuje jej teraz jak oka w głowie. Ale przed królem nie upilnuje.
- Król ją widział nie raz i wcale się nie połakomił.
- Bo król jeszcze nie wie, że ona robi „bilard”, a powinien wiedzieć. Ty mu to szepniesz, potem on Repninowi i Branickiemu, a oni innym. Thomatis w najlepszym razie osiwieje albo zwariuje i zawiozą go do Bonifratów.
- Co to jest „bilard”?
- Na razie wiedzą, co to jest, tylko ona, włoski kurier Thomatisa, który ją tego nauczył kilka miesięcy temu oraz jej służąca i mąż tej służącej, który lubi robić dziurki w ścianach. No i ja, bo czasami rozmawiam z tym lokajem. Powiedz swemu dobremu panu, iż to jest coś takiego, że zamieszka w łóżku i nie będzie chciał się wyprowadzić. Powiedz mu, iż to polega na tym, że panna Cassacci umie...
- Wrodzona pruderia każe mi tutaj zmienić perspektywę wzroku i słuchu, co jest o tyle uzasadnione, że tymczasem grubas z pierwszej izby prowadził lorda Stone'a podziemnym korytarzem łączącym ruderę żebraczy z centrum Starego Miasta. Wylot lochu znajdował się w piwnicy kamieniczki przy Rynku. Tłuścioch pokazał elegant-cikowi schody na górę, burknął coś i odwrócił się, by rozpocząć powrotny marsz. Nagle dwie stalowe dźwignie poderwały go z ziemi i rąbnęły nim o ścianę, aż tynk się posypał z sufitu. Te same dwie

wypielegnowane dłonie zamieniły się w dwa młoty, miażdżąc mu oddech w krtani i w płucach — trzy potworne, zadane w ciągu sekundy uderzenia w korpus, złamały go i rzuciły na ziemię zemdlonego. Ocucony został natychmiast brutalnym kopnięciem w twarz. Pochylał się nad nim Anglik przemawiający polszczyzną czystą jak diament, z którego łącno dałoby się zrobić brylant, gdyby ktoś chciał oszlifować ten kamień, usuwając w akcencie lekki nalot z okolic Sieradza:

— Słuchaj dobrze, skurwysynu, żebym nie musiał powtarzać! Możesz sobie pyskować kiedy jestem nieobecny, ale kiedy jestem w pobliżu, masz być grzeczny jak kościelny wobec proboszcza, bo zamiast jednego gościa za dużo, zrobi się o jednego gospodarza mniej! Zrozumiałeś?

— Ta... taaak... — wyrzeźił leżący.

— Tak, ekscelencjo!

— Taaaak... e... e... eksce... lencjo... ooooooch!

Lord Stone strzepnął kilka okruchów tynku z ramienia, poprawił kapelusz i ruszył ku schodkom, nie interesując się już losem zemdlonego.

Rozumiem, że Czytelnik chciałby dowiedzieć się czegoś więcej o tym angielskim Polaku czy polskim Angliku, spieszę tedy zaspokoić Waszą ciekawość, co nie będzie sprzeczne z regułami gry, gdyż piszę w XX wieku. W minionym stuleciu tajemniczy rycerz okazywał się hrabią Monte-Christo, szlachetnym galernikiem-nędznikiem, ostatnim wcieleniem kurtyzany, ojcem Goriot, księdzem Robakiem, duchem stryja lub odwrotnie najwcześniej w połowie książki, zaś u lepszych autorów dopiero na samym końcu. Kanony literackie zmieniły się na szczęście, a to pozwala nam zmniejszyć liczbę stresów wywoływanych przez opóźniony przepływ informacji.

Familijne nazwisko lorda Stone'a brzmiało Wilczyński. Rodzina Wilczyńskich należała do średnio zamożnej szlachty, od pokoleń rozsiadłej między Nerem, Wartą i Pilicą. Były to żyzne ziemie uprawne i łąki w kleszczach nieprzebytych borów, z których do dzisiaj zostały ażurowe ochłapy, zwane lasami spalskimi. Pańszczyźniani chłopci tej okolicy należeli do najbardziej potulnych i nigdy nie zastanawiali się nad sobą. Ich cechą była bezwarunkowa służebność. Nie dręczyła ich i nie męczyła — żyła w nich i czyniła z całych wiejskich gromad stada łagodnych poczciwców, którzy przy całej swej prostocie i potulności nigdy nie byli otwarci wobec przybyszów z zewnątrz. Ich bogiem był każdy kolejny Wilczyński, poza nim i księdzem nie znali innej władzy. Bat i modlitwa stanowiły dla tego ludu święte prawa, równie naturalne jak niebo, rzeki, las czy sroga zima.

Ojciec lorda Stone'a, Kacper Wilczyński, odziedziczył majątek zrujnowany za Sasów, gdy Polska stała się karczmą zajezdną różnych obcych wojsk. Kilka marszów, kontrmarszów i przemarszów obróciło śródleśną enklawę w perzynę, zostawiając jej jako jedyny zysk czeredę żołdeckich bękartów w zgwałconych wioskach. Wobec tych okropności surowość dziedzica zdawała się chłopom ojcowskim kłapsem, który mało boli. Feudalna tyrania, choćby pomnożona do kwadratu, odbudować zrujnowanej gospodarki nie mogła. Pan Kacper, gdy to zrozumiał, wziął się do kupiectwa, przystępując do powstałej w Rawie filii wrocławskiej spółki handlowej, której niemieccy patroni eksploatowali prowadzący przez Rawę towarowy szlak Warszawa-Wrocław. Uczynił to w najściślejszym sekrecie — szlachcicowi nie wypadało parać się tym, czym parali się Żydzi.

Handel do reszty zdeprawował tego młodego, pozbawionego wykształcenia warchoła, nader skłonnego do alkoholu i sejmikowej burdy, handel bowiem nie istnieje bez oszustw. Spekulacje handlowe ćwiczą umysł, to prawda, ale podobnie jak profesja polityczna — nie są do pogodzenia z charakterem człowieka uczciwego. Przekraczając próg tej jaskini i zdobywając biegłość w kupieckiej szacherce, Wilczyński stał się nieodwołalnie człowiekiem dwulicowym, zapisanym w niewolę rutyny zła.

Interes Rawski zbankrutował przed upływem roku. Rzecz osobliwa, gdyż w polityce i w handlu przegrywają na ogół ci, którzy zachowali krztynę uczciwości, tu zaś nie było kropli sumienia. Sprytniejsi współnicy uciekli z resztką kapitału i Wilczyński znalazł się na dnie. Ale wówczas, jak pod wpływem modlitwy, fortuna uśmiechnęła się do niego. Można rzec, iż znalazł się na dnie i usłyszał pukanie od dołu. Pukał ktoś, kto upadł jeszcze niżej i kto swoim nieszczęściem wypchnął szlacheckiego bankruta do góry.

W Rawie praktykował naonczas doktor, o którego kuracjach opowiadano cuda. Zwał się Kamyk i zasłynął tak dalece, że z Warszawy doń przyjeżdżano. Pewnego dnia przez miasto wędrował nadworny medyk Augusta III Sasa, Wersen i zapragnął poznać owego geniusza, dowiedzieć się z jakich akademii wyszedł ów doktor i jakie metody stosuje. Ku swemu zaskoczeniu Wersen rozpoznał w lekarzu swego byłego pomocnika, aptekarza, który przepisywał w Dreźnie jego recepty i którego przed dwudziestu laty wyrzucił za zbyt ryzykowne eksperymenty alchemiczne, po wybuchu w pracowni. Pokazało się, że ten wielki człowiek opuścił Dreźnie z kufrem wypełnionym po brzegi receptami Wersena, osiadł w Rawie i mianował się doktorem. Jego metoda była prosta: gdy przywożono mu pacjenta, Kamyk żegnał się ostentacyjnie przed świętym obrazem, zamykał oczy i sięgał do kufra po receptę, by przepisać ją choremu. Naturalnie ten, kogo zabił, nie mógł się na niego uskarżać, ten zaś, kto przypadkiem odzyskał zdrowie, trąbił jego sławę głosem wielkim.

Po powrocie do Warszawy Wersen zaskarżył byłego sługę i Kamyka aresztowano. Przed sądem wyszło na jaw, że średnia wyleczeń wśród pacjentów szarlatana wcale nie była mniejsza niż u renomowanych lekarzy, lecz przedmiotem rozprawy nie była medycyna — nie ją sądzono, tylko złodziejstwo. Za kradzież recept Kamyk został skazany na dziesięć lat ciężkich robót, których by nie przeżył. Jego zrozpaczonej córce poradzono, by szukała pomocy u dziedzica Wilczyńskiego. Przyszła, a on zadurzył się w jej urodzie i w jej posagu, wyjawiała mu bowiem, że ojciec przez lata lekarskiej praktyki zgromadził spory fundusz. Wilczyński dzięki starym znajomościom uzyskał przepustkę do miejsca zesłania fałszywego doktora, poprosił go o rękę córki i wy dobył zeń informację, w którym kącie piwnicy należy kopać, by dotrzeć do dzbanów ze złotem. Dalej już wszystko poszło jak z płatka, ale tylko dla Wilczyńskiego.

Po wykupieniu przysłego teścia z łańcuchów i po ślubie z jego córką, dziedzic Mirowa ani myślał zwrócić Kamykowi choćby jednego dukata. Nie pozwolił mu też otworzyć we dworze pracowni alchemicznej, lecz pod wpływem błagań żony, które go w pierwszym roku małżeństwa obchodziły, wyliczył mu pewną sumkę na zasadzenie wokół dworu różnych gatunków drzew. Kamyk zwoził dojrzałe już sadzonki i plantował, wziął także pod opiekę wszystkie stare drzewa w okolicy. Było to jego pasją, na starość kochał się w drzewach, twierdził, że w nich mieszka Bóg.

Nadzieje Wilczyńskiego, że ponad sześćdziesięcioletni teść szybko zemrze, nie spełniły się. Krzepkość starca była zdumiewająca; nie odmawiał sobie niczego: wina,

tytoniu ani tych samych dziewcząt folwarcznych, których nie odmawiał sobie jego zięć. Szczególne jednak wrażenie robiła jego broda. Takiej brody nie pamiętano od najdawniejszych czasów: spływała z niego jak srebrny wodospad z bazaltowej skały, a on sam, choć wyniosłej postaci, zdawał się być tylko dodatkiem do tej majestatycznej kity. Chłopi uważali go za bardzo mądrego i na swój sposób poważali, obchodząc z daleka. Lud zawsze czcił starców i komety dla tych samych powodów: długiej brody i pretensji do przepowiadania wydarzeń. Co prawda Kamyk, znający sekrety natury, przepowiadał tylko pogodę, ale nigdy się nie mylił. Gdy kiedyś jeden z wnuków powiedział mu, że jak dorośnie, to zapuści brodę taką samą, żeby być mądrym, starzec uśmiechnął się i rzekł:

— Broda nie jest oznaką mądrości, mój robaczku. Kozioł też ma brodę.

Dobiegając osiemdziesiątki coraz bardziej przypominał starego górskiego kozła, który jest nieśmiertelny, bo nikt nigdy nie widział jego truchła, chyba że zastrzelonego. Nie było już nadziei, że kiedykolwiek umrze. A jednak umarł.

Płakał po nim jeden człowiek, starszy syn Kacpra Wilczyńskiego, Aleksander Wilczyński. Matka obumarła tego chłopca gdy miał dziewięć lat. Pamiętał ją jak przez mgłę. Była zawsze smutna i zapłakana, zamykała się w swojej alkwie i niewiele rzeczy ją obchodziło. Służba dworska szeptała, że pani ma „kuku na muniu”, co oznaczało dezaprobatę wobec stanu mocy umysłowych dziedziczki. Zabiło ją małżeństwo z człowiekiem, który nawet przed ślubem dotykając jej rąk nie udawał poety, a potem zwał się na nią wieczorami pijany, brudny, ciężki choć pusty i nie widział w niej istoty ludzkiej tylko zwierzę. Taki był wobec wszystkich, dlatego mały Olek nie kochał rodzica i całe dnie spędzał z dziadkiem, unikając ciotki, starej panny, którą ojciec sprowadził po śmierci żony, by wychowała mu synów.

Dziadek nauczył wnuka kochać drzewa. Opowiadał mu o nich rzeczy tak interesujące, że choć nie zawsze rozumiane przez chłopca — były dlań ciekawsze niż bajki o krasnalach i złych czarownikach. Krasnoludków i czarodziej nie można było zobaczyć — drzewo pozwalało się dotknąć i dziwić, że coś tak zwykłego, obecnego w codziennym życiu, mieści w sobie tyle tajemnic i ma tak frapującą, starożytną przeszłość.

Na przykład dęby. Leśne przybierają kształt wysmukły, drążąc sobie w gęstwie towarzyszy własną dziurę do nieba. Pień ich jest prosty i gładki, ukochany przez tych, którzy budują okręty i świątynie. Inne są dęby rosnące na wolnych przestrzeniach, grube, kuliste, rozparte wszere, bo im nie przeszkadza nikt, i zmuszane do tego przez ludzi, którzy łamią szczyty olbrzymów, czyniąc z nich parasole dające błogosławiony cień. Takie dęby sadzono na łąkach pamiętając, że owce źle znoszą upały przed strzyżą. Zwano je dębami pasterskimi, a ich pisana tradycja sięgała czasów Wergiliusza, który przekazywał rzymskie obyczaje pasterskie osadnikom imperium: „Podczas upału szukaj cienistej doliny. Niech Jowiszowy dąb o prastarym pniu rozpościera tam swe potężne konary”. Dęby od wieków Jowiszowi poświęcano i w szumie ich listowia starożytni słyszeli głos ojca bogów. Owidiusz potwierdził istnienie mocy nadprzyrodzonych w koronie dębu, pisząc o modłach króla Aiginy wyludnionej przez zarazę:

„W bliskości wznosił się potężny dąb Jowiszowy, wyrosły z żołądzia przywiezionego z Dodony. Ciągnęły na nim, ścieżką wijącą się wśród kory, długie szeregi mrówek dźwigających ciężkie ziarna. Liczba ich była tak wielka, że zawołałem: «Boże bogów, ojciec mój, spraw, by tylu mieszkańców zaludniło puste mury mego grodu!». Głośny szum

przebiegł przez konary dębu, chociaż nie było wiatru i powietrze stało martwe, a moje ciało przewiercił dreszcz strachu...”.

Wrogie naturze średniowiecze upatrywało w dębach symbol śmierci — widok dębu złowróżyl, nazywano go drzewem „smutnym i ciemnym”. Takie tragiczne, strzaskane piorunem drzewo, w stylu, w jakim uwielbiali je przedstawiać malarze baroku na obrazach z życia pasterzy i pasterek, gdzie stanowiło posępny akcent łagodzący nadmiar sielskości — rosło na łące w pobliżu mirowskiego dworu. Było o co najmniej trzysta lat starsze od innych okolicznych dębów. Kamyk nazywał tę ponurą rzeźbę „królem Mirowa”.

Dworkami króla były lipy rosnące wokół zabudowań dworskich. Drzewa te uchodziły w świecie antycznym za symbole miłości — poświęcano je Wenerze. Według starogreckiej legendy Jowisz zamienił w lipę piękną córkę Okeanosa, Filirę, karząc ją tak za miłosne grzechy z Saturnem, których owocem stał się centaur Cheiron, pierwszy nauczyciel sztuki lekarskiej. Imię Filira po grecku oznaczało lipę. Odtąd lipy i wszystkie wykonane z nich przedmioty kojarzono z miłością. Na perfumowanych wstęgach z lipowego łyka starożytni pisali listy do kochanek. W alegorycznych sztychach renesansu zakazana miłość prowadziła swe ofiary na lipowym arkanie. Lipy sadzono ku pamięci zaręczyn i ślubów, stąd rozmnożyły się wokół ludzkich domostw. Symbolizowały miłość cielesną, która jest tak ważna.

Kamyk posadził tylko jedną lipę, na wzgórku, gdzie murszała drewniana szubienica. Takie wzgórki zwieńczone narzędziami karni znajdowały się w każdej gminie, a szubienice były drogowskazami wędrownych szlaków. Patrząc z pozycji Boga widać było las szubienic porastających ziemię od oceanu aż za krańce rosyjskich stepów. Był to element wspólny dla wszystkich kultur, śmierć unifikująca świat. Stary lekarz uważał, że miłość i śmierć rodzą się z siebie i wzajemnie wyręczają, zwałił więc szubienicę i z jej przegniłych członków uczynił nawóz dla lipy zasadzonej w tym samym miejscu.

Równą atencją darzył srebrne topole, symbol dobroczynnej siły sprzyjającej wielkim pracom i zwycięskim walkom, drzewa Herkulesa, który w tradycji antycznej występuje zawsze w wieńcu z liści topoli. W nich także było ziarno miłosnego szaleństwa, odkąd Wenus towarzysząca Adonisowi na łowach rzekła: „Czuję się zmęczona, nie jest to odpowiednie dla mnie zajęcie. Patrz jak topola życzliwie roztacza swój pieszczotliwy cień, a trawnik pod nią ofiarowuje nam łoże...”. Drzenie liści tego drzewa tłumaczono jako niepokój mijającego czasu, a w tym, że z jednej strony były one srebrne, z drugiej zaś zielone, dostrzegano przemienność nocy i dnia. Starożytni mieli na ten temat inne zdanie: według Serviusa liście topoli zbieleły po jednej stronie od potu, który zraszał czoło pracującego Herkulesa. Olek, splótnszy sobie wieniec z liści topoli rosnącej na skraju sadu, zakładał go zieloną stroną do czoła i rąbał szczapy w drewni lub biegał do całkowitego spocenia, ale zieleń nie chciała się posrebrzyć od jego potu.

Dlatego przeniósł swą miłość na jesiony, szczęśliwy, że dziadek mianował go „oberstrażnikiem jesionów”. W świecie antycznym jesion był drzewem Marsa, wyrabiano zeń najlepsze oszczepy, posągi gdy brakowało marmuru, krzyże do przybijania jeńców, a podczas ceremonii militarnych w ognisko boga wojny rzucano jesionowe kłody. Takie drzewo przystoi wojownikowi, mawiał dziadek, i mały Aleksander czuł się wojownikiem. Nadto strzeże ono od złych duchów nocnych upiorów i diabłów pod postacią węży, które, jak podaje Pliniusz, unikają cienia jesionu. Cień drzewa był sprawą zasadniczą; z tej przyczyny doktor Kamyk nie tolerował w pobliżu domu drzew iglastych — ich cienie

uchodziły za szkodliwe. Wyjątkiem był tu świerk, symbol cnoty, mądrości i dobrego małżeństwa, ale Kamyk nie potrzebował już żadnego małżeństwa, reputację mądrego miał ustaloną, a cnoty mogły go tylko śmieszyć, gdyż dobrze znał życie.

W przeciwieństwie do jodeł i sosen — nie budziły zastrzeżeń wiązy i buki, będące drzewami dobroczynnymi dla domów, podobnie jak jesiony dla dróg. W Mirowie aleja wiązów prowadziła do dworu, jesiony rosły na skrętach drogi biegnącej ku wsi. Trzeba je sadzić na pierwszym zakręcie od domu, gdzie duchy płoszą konie i wywracają powozy, a także w miejscach, z którymi związane są wspomnienia zbrodni, bo upiory chętnie tam igrają gdy nie ma jesionów, tłumaczył Kamyk wnukowi.

Razem chodzili doglądać drzew i razem, patrząc w cieniu starego dębu ku jego czarnym na tle nieba konarom, słuchali głuchego szumu listowia i doznawali uczucia będącego dalekim echem przeżyć opisanych dwa tysiące lat temu przez poetów. Mieli wówczas złudzenie obecności tych niejasnych i groźnych sił, które człowiek zawsze próbował wpasować w porządek świata nadając im imiona bogów.

Dziadek doprowadził Aleksandra do dwudziestego roku życia, wtajemniczając we wszystko, co uznał za słuszne. Potem umarł. Zrobił to tak, jak żył, lekko i z wdziękiem. Po obiedzie kazał sobie podać sorbet, a biorąc do ust łyżeczkę nagle się pochylił.

— Dziadku, niedobrze ci? — spytał Aleksander.

— To nic, nic, umieram — szepnął Kamyk.

Umierał rzeczywiście. Przeniesiony do łóżka zażądał księdza, a gdy otrzymał rozgrzeszenie, kazał wyjść z pokoju wszystkim za wyjątkiem Aleksandra. Dał mu dukata i poprosił, żeby przyprowadzić nagą dziewczynę. Młody Wilczyński zawołał chłopkę sortującą zboże w stodole. Była ładna, świeża i za dukata zgodziła się pokazać staremu panu. Stała przed łóżkiem drżąc ze wstydu i co chwilę miała odruch zasłonięcia rękami piersi i włosów na wzgórku łonowym, ale w porę przypominała sobie, że tego jej właśnie nie wolno. Kamyk odgarnął zwały swej brody, by mu nie zasłaniała widoku i wpatrywał się oczami, które dopiero co gasły, a teraz napełniły się radością. Potem wyciągnął z trudem rękę. Aleksander pchnął dziewczynę do przodu i stary człowiek przymknął powieki. Od tej chwili jego wzrokiem były palce podobne skruszonym gałązkom dębu. Suwały się wolno po gładkim ciele, napełniając członki jedyną pamięcią, którą chciał ze sobą zabrać do innych światów.

Kiedy ręka dziadka opadła na pościel, Aleksander dziewczynę wyprowadził. W przedpokoju, gdzie zaczęła ubierać spódnice i koszulę, nie wytrzymał i wziął ją na deskach podłogi, w dzikim pośpiechu. Kończąc usłyszał skrzypienie drzwi i zobaczył młodszego brata. Ryknął nań, ale tamten jakby skamieniał, stał nieporuszony, wytrzeszczając wzrok. Aleksander zerwał się, podciągnął spodnie i wbiegł do komnaty dziadka, zostawiając chłopkę na ziemi.

Stary człowiek oddychał szybko, łapiąc powietrze ustami ryby. Oczy miał zamknięte, ale musiał wyczuć obecność wnuka, bo spróbował mówić. Aleksander przybliżył policzek do jego ust, a wówczas konający uczepił się go pazurami i wycharczał mu w ucho ostatnią, pożegnalną receptę na życie, tak niespodziewanie mocno, że ogłuszył pochylonego nad nim chłopca:

— Nie daj się!

Kiedy dzwony w czasce Aleksandra umilkły, dziadek już nie żył. Pochowano go tam, gdzie chciał, pod prastarym dębem. Aleksander sam wykopał grób, ociosał jesionowy

krzyż i codziennie znosił na kopczyk mogiły polne kwiaty, lecz nie trwało to długo. Kumulowana latami niechęć do ojca przerodziła się we wrogość, gdy ten, ratując się przed kolejnym krachem finansowym, sprzedał sieradzkim Żydom wszystkie mirowskie wiązy, buki, dęby i jesiony. Aleksander w ciągu jednej nieprzespanej nocy pogryzł swą dumę na kawałki i rano, wymęczony, z sińcami pod oczyma, poszedł do „starego”, by pierwszy raz w życiu o coś go błagać. Kacper Wilczyński skwitował prośbę pierworodnego krótkim:

— Wynocha!

Wtedy Aleksander odnalazł na strychu dziadkowy garłacz. Była to skałkowa strzelba o lejkwatej lufie, na której widniał napis: „Lazarino Caminazzo 1713”. Ponieważ broń ta odegra niepoślednią rolę w dramacie purpurowego srebra, winieniem i ją bliżej przedstawić.

Garłacz nie nadaje się do polowań, ani do popisów na zawodach strzeleckich. Nie można nim doścignąć uciekającego wroga, ani trafić przeciwnika, który wychylił czubek głowy zza węgła muru. Ale jeśli w XVIII wieku chciało się zmasakrować dziesięciu ludzi na raz, od jednego naciśnięcia spustu — była to broń niezastąpiona. Brak celności i dalekonośności rekompensował rozrzut tego, co zostało wepchnięte do lufy, pod warunkiem, że podeszło się do ofiar na odległość kilku lub kilkunastu kroków. Była to więc straszna broń, broń zabójcy o stalowych nerwach, mogącego wytrzymać bezpośredni widok ludzkiej jatki. Nabijało się ten instrument od wylotu lufy pojedynczym ładunkiem prochu z ołowianymi siekańcami, odłamkami żelaza, hufnalami itp., lub ładunkiem wielokrotnym, składającym się na przemian z warstwy prochu, przybitki, przewierconej kuli, drugiej warstwy prochu, drugiej przybitki, drugiej przewierconej kuli itd., aż prawie po wierzch lejka kończącego lufę. Wybuch prochu pierwszej warstwy zapalał cały ładunek, przerzucając iskry kolejno przez wszystkie warstwy dzięki otworom wierconym w kulach. W obu przypadkach wystrzał był promienistą eksplozją gradu żelaza, który zamieniał w krwawe farfocle wszystko, co stało bliżej niż dziesięć długości strzelby.

Chociaż dziadek wprawiał go, łatwo mu nie poszło. Zanim uporał się z nabijaniem, drwale sprowadzeni przez kupców zdążyli skosić wiązy, buki i jesiony. Pracowali właśnie przy dębie, pod którym leżał Kamyk, i klęli tak, że słychać było we wsi; zęby pił łamały się, a ostrza siekier gięły na zwalistym cielsku patriarchy. „Król Mirowa” drwił z ich wysiłków niczym kamienny moloch w semickim panteonie złośliwych bogów, nieczuły na cięcia i uderzenia.

Aleksander szedł polami, a później łąką, spokojnym, zdecydowanym krokiem. Oczy miał zimne, nieobecne. Garłacza nie ukrywał. Trzymał go w prawej dłoni jak myśliwy idący na polowanie, podnosząc lufę lekko do góry, aby siekance nie wysypały się z lejka.

Spostrzegli, gdy był już blisko. Znieruchomieli, nie wiedząc, z czym idzie; ręce opadły, obuchy siekier spoczęły przy skórzanych łapciach. Nagle któryś z nich przyjrzał się uważniej twarzy idącego, zobaczył w jego oczach śmierć i rzucił się do panicznej ucieczki, pociągając innych za sobą. Strzał sieknął ich po plecach jak wielopalczasta dyscyplina, wyrывая strzępiaste bruzdy w koszulach i zabarwiając je czerwienią, lecz ze względu na dystans większej krzywdy nie uczynił.

Aleksander wrócił do domu, wyprowadził ze stajni ulubionego trzylatka, osiodłał go i z bochenkiem chleba, garścią dziadkowych pieniędzy, garłaczem oraz dwoma woreczkami zawierającymi proch i siekance, ruszył w świat. Ojcu, który z przerażenia zamknął się

w swojej komnacie, krzyknął przez drzwi, że go zabije jeśli stary dąb zostanie ścięty. W chwilę później był już na drodze.

Przeżył wiele przygód, które nie należą do tego opowiadania. W Gdańsku, uciekając przed karą za rozbicie dwóch żołnierskich łbów, schronił się na kupieckim statku z Lubeki. Pływał pod różną flagą, szukając fortuny, której nie znalazł. Znalazł przyjaciela, Polaka, dużo odeń starszego, który u wybrzeży Ameryki ocalił mu życie. Rozeszli się w roku 1762 w Hamburgu, skąd Rybak, zmęczony tułaczką po morzach i oceanach, które ukradły mu nogę, wrócił do kraju, korzystając z okazji, jaką były wozy komediantów wędrujących na wschód.

Niespełna dwa lata później Wilczyński również z morzem się pożegnał. Zszedł na ląd w Kłajpedzie, bez grosza i chory, i bez żadnych pomysłów. Jedyńm majątkiem, jaki uratował ze swej odysei, był garłacz dziadka, pamiątka, z którą nie chciał się rozstać nawet podczas katastrofy okrętu, kiedy omal nie utonął. Cztery miesiące zabrało mu pielgrzymowanie do Warszawy. Gryzły go pchły, bolały odciski na poranionych stopach, upał mącił w głowie, dręczyła biegunka. Dotarł, zdychając z głodu. Nocą, gdy szukał legowiska pod Barbakanem, opadły go łachmańskie zjawy z nożami w rękach. Trzech rozkwaśił uderzeniami pięści i garłacza użytego jak pałka zanim inni nie wykręcili mu rąk i nie przytrzymali pod ścianą. Widząc przed sobą twarz oprawcy podchodzącego z bagnetem wycelowanym w jego brzuch, zrozumiał, że to koniec. Splunął tamtemu pod stopy i zaklął angielskim słowem, które było najohydniejszym życzeniem wrogowi śmierci jakie znał. W tym samym momencie z ciemności dobiegł ochrypty krzyk:

— Stój!

W kręgu księżycowego światła pojawiło się brodate straszycło bez nogi i bez tej wściekłości, którą widział w oczach reszty. Przyglądali się sobie z niedowierzaniem.

— „Wilk”?... — spytał brodac.

— Rybak?... — wykszusił w odpowiedzi Wilczyński.

Padli sobie w objęcia. Przyjaciel, członek tajnego bractwa żebraków, nakarmił go, a po tygodniu nauczył jeść za darmo z pałacowych sreber. Wykład Rybaka miał poziom uniwersytecki:

— Wszystko można osiągnąć fortelem, my friend, trzeba tylko znać właściwy fortel. Do każdego zamka jest jakiś klucz. Są na przykład niepisane prawa, które szanują wszyscy i w tym cała mądrość, żeby je wykorzystać dla siebie. We Włoszech takie prawo pozwala sądowym urzędnikom zabrać bankrutowi cały dobytek za wyjątkiem jednej rzeczy: łóżka położnicy, na którym dopiero co urodziło się lub wkrótce urodzi się dziecko. Tego nie wolno mu tknąć. Niejedna sprytna rodzina okpiła komorników ładując najcenniejsze przedmioty w łoże ciężarnej baby albo matki niemowlęcia, jeśli szczęśliwie taka znajdowała się w domu. U nas podobne prawo zabrania wyrzucać nieproszonego gościa od weselnego stołu, jeśli już się przy nim znalazł, bo to przyniosłoby nieszczęście młodej parze. Możesz w spokoju ucztować za stołem bogaczy i...

— A jak?...

— Prosiłem, „Wilk”, żebyś trzymał gębę zamkniętą póki mówię, więc trzymaj, bo stracę wątek i dalej będziesz w śmieciach żarł! Wymyśliłem to specjalnie dla ciebie, a nie jestem głupi, więc się nie trzęś, przewidziałem wszystko. Wiem, coś chciał rzec: jak się tam dostać i że nie ścierpiałbyś wyrzucenia za drzwi albo łaski pańskiej gdyby cię rozpoznano. Nie bój się, to też przewidziałem. Rzecz właśnie w tym, aby nikt nie poznał,

żeś nieproszony. Na małych weselach to by nie przeszło, ale są wesela magnackie i wesela tych kupieckich i bankierskich nuworyszów, którzy się namnożyli odkąd caryca ubrała swego lalusia w gronostaje. Wiesz ilu jest gości na takim weselu? Nawet nie próbuj zgadywać. Pół tysiąca albo dwa razy tyle, albo i więcej! Żrą przez kilka dni mięsa, ryby i cudackie zagraniczne frykasy, kiedy połowa narodu przymiera głodem, widać w rajach było dwóch Adamów i dwie Ewy, ci lepsi i ci gorsi. Ale nie o to teraz idzie, lecz o to, że biesiadują w kilkunastu salach i zęby pogubiłby ten, który by chciał się rozeznąć w imionach. Wejść też łatwo, bo do kościoła i do pałacu wchodzi tłum, a po prawdzie dwa tłumy: ten zaproszony przez rodzinę panny młodej i ten od pana młodego. Jedni nie znają drugich, przynajmniej nie wszystkich. Wystarczy mieć dobre maniery, gładki język i piękny strój, żeby być osą wśród os, nikt nie rozpozna. Ci od młodej będą cię brali za przyjaciela rodziny młodego i odwrotnie. Pojmujesz? Gadkę i maniery masz w sam raz, a strój dostaniesz ode mnie. Naobdzieraliśmy z sukienek tylu paniczek, że będziesz mógł wybierać jak u kra-wca. No co, źle wymyśliłem?

— Dobrze wymyśliłeś, ale...

— Ale to dziwne, że nikt dotąd na to nie wpadł, takie to proste! Wszystko co najmądrzejsze jest proste, nażresz się do rozpuku.

— Rybak...

— Co?

— Korzystałeś już z tego?

— Nie.

— Tak myślałem. Najpierw chcesz ten swój najmądrzejszy pomysł na kimś wypróbować i dopiero jak on nie dostanie w dupę...

— Przestań bredzić! Nie mogłem tego zrobić wcześniej, bo moi chłopcy to chamstwo, nadają się do obory, nie do pałacu, widziałeś sam. A ja? Spójrz na mnie. Nie wykroję z siebie pana, żebym się starał nie wiem jak. To po pierwsze. Po drugie, można w tej wymuskanej psiarni być nierozpoznanym, kiedy się ma wszystko na miejscu, człowieka bez nogi pamiętają. A po trzecie, nawet gdybym miał oba kulasy, za stary jestem! Starzy coś sobą reprezentują, mają żony, dzieci, stosunki, ich gęby się otarły, nieznany stary to dziw. Z młodymi co innego, roją się wciąż nowi, dorastają, pierwszy raz przychodzą, wracają ze szkół albo z obcych akademii, kto by tani wszystkich znał? Teraz rozumiesz?

Strój wybierali w garderobie króla żebraków, którego Aleksander pragnął poznać, ale Rybak wyśmiał go i dopiero potem wytłumaczył, że króla oglądać może tylko trzech ludzi, a i to dużo. Inni nie znają jego oblicza i nie wiedzą o nim nic, znają tylko własny strach przed karą, która czeka źle wypełniających rozkazy i okropny widok tych nieposłusznych, co skrewili. Króla zwano: Wielki Nil. W zaufaniu Rybak powiedział przyjacielowi, że jest to półkrwi Włoch o nazwisku Ninelli. Było to wszystko — nie powiedział mu niczego więcej na temat swego wodza.

Garderobiany dobywał z kufrów komplet za kompletem eleganckich ubrań i rzucał im przed nos. Rybak wyszczerzył zęby:

— Nie te, durniu! Mają być czyste!

Wilczyński osłupiał.

— Przecież są czyściuteńkie...

Rybak nic nie odrzekł, zdawało się, że nie słyszy. Dopiero gdy fagas wrzucał ubrania z powrotem do kufrów, Aleksander zauważył jakby szerokie tasiemki przyczepione do podszewek.

— Co to? — zapytał.

— Złodziejskie schowki — wyjaśnił mu przyjaciel. — To ubrania kieszonkowców. W takiej rurkowatej kieszonce za pazuchą zmieścisz dziesięć zegarków lub cztery sakiewki. Ale to nie twoja robota. Nie chcę, żebyś wynosił sztuce z tych balów. Chcę czegoś innego.

— Dobrze, że w końcu mi to mówisz, bo mógłbym pomyśleć, że chodzi tylko o dobre jadło dla mojego żołądka! — zadrwił Wilczyński. Rybak nie stropił się:

— Zjeździliśmy pół świata. Widziałeś coś za darmo?

— Widziałem. Ktoś wyciągnął mnie z wody jak tonącego kota i doholował do brzegu, bo sam pływać nie umiem. Był do ciebie podobny i zrobił to bezinteresownie, jak mniemam.

— Jesteś tego pewien?

Patrzyli na siebie krótką chwilę, nic nie mówiąc. Milczenie przerwał Wilczyński:

— No to wal. Czego chcesz?

— Żebyś nie zatkał sobie żarciem uszu, a dziewczkami oczu. Potrzebuję kilku informacji. Szukam człowieka o nazwisku Kiss, jego prawa dłoń ma cztery palce, brakuje małego. Jeśli usłyszysz o takim, staraj się dowiedzieć gdzie go szukać, a gdy zobaczysz czteropalczystą prawicę, nie spuść go z oczu! Poza tym interesuje mnie wszystko o tych, którzy sprawują władzę. Gorzałka rozwiązuje Polakom języki. Tam będzie dużo picia i wielu takich, którzy mają coś do powiedzenia o tym kraju. A pić będą dzień za dniem, przez kilka dni. Pijąc umiarkowanie sporo zapamiętasz...

— Po co ci to? Bawisz się w politykę? Chcesz zostać kanclerzem koronnym, posłem nadzwyczajnym czy posłem na sejm?

— Chcę popsuć robotę jednemu ambasadorowi i jego psiarnię wytluc!

— A Poniatowskiego nie chcesz zastąpić swoim panem? Nil I, z łaski Rybaka król Polski, to brzmi fajnie.

— „Alex”!

— Oooo! Pamiętasz i moją drugą ksywkę marynarską!

— „Alex”, do cholery, przestań dowcipkować. Nie w ten sposób! Nie wycieraj sobie Nilem gęby, za małyś, a on, jak się dowie, może cię tak jeszcze zmniejszyć, że wystarczy garść piachu dla przykrycia twego truchła!

Wilczyński nie lubił kiedy mu grożono. Wysłuchawszy tych słów, zjeżył się i odparł poważnie:

— Nie strasz, nie przestraszysz. Chcesz mnie wciągnąć do jakiejś waszej gry i to grubej gry, nie o zegarki i o sakiewki tu idzie. W porządku. Ale jeśli już mam siadać dla ciebie przy tych stołach, to chcę coś na ten temat wiedzieć, żeby się potem mniej dziwić, kiedy zachoruję na niestrawność. Przeciw komu grasz?

— Przeciw Rosji.

— Całej, czy tylko przeciw niektórym guberniom? Bo jeśli przeciw całej, to może jest nas o dwóch albo trzech za mało!

— Znowu się nabijasz?

— Ja?! Kto tu się wygłupia, ja czy ty? Chcesz ze mnie wariata zrobić?... Dlaczego nie walczysz z Francją albo z Turcją? Honor ci nie pozwala, bo mają mniej żołnierzy od Rosji, a ty lubisz siły równe, więc słabszych nie tykasz, tylko uwziąłeś się na...

— Stul japę, „Wilk”! Dość tych błazeństw! Walczymy z Repninem, któremu caryca kazała Polskę zniewolić, a nie...

— Walczymy! Ty i reszta dziadów! Dużo macie kijów i noży, żeby rozgromić armie rosyjskie? W co ty mnie wciągasz? Takich jak ty trzymają u Bonifratrów i leczą! Werbuj tam, dostaniesz cały korpus, ja rezygnuję!

— Strach ci zajrzał do tyłka, czy tylko mi nie wierzysz?

— Zajrzyj mi do tyłka, jak znajdziesz tam szczyptę strachu, przez tydzień będę cię nosił na plecach, dobrze? A dlaczego miałbym wierzyć, że Rosja dybie na naszą ziemię? Caryca mieni się opiekunką Polski, Repnin przyjacielem króla, nie wiesz o tym? Zresztą... nawet gdyby odwrotnie było, kto może rzucać wyzwanie takiej potędze?

— Ci, którzy dysponują organizacją, to jest mocną siatką powiązań na terenie całego kraju, pozwalającą koordynować działania poprzez tajną łączność. Istnieją trzy klany o takich możliwościach: żebracy i bandyci, Cyganie oraz masoni. Walkę podjęli ci pierwsi i ja do nich należę.

— Dlaczego właśnie wy?

— O to musiałbyś spytać Wielkiego Nila, on wie, ja tylko wykonuję rozkazy. Ale nie na ślepo. Wierzę w zbożność tego dzieła, inaczej nie przyłożyłbym ręki. Rosja pragnie...

Czego pragnęła Rosja już wiemy, nie muszę więc powtarzać dalszych wywodów specjalisty od antyrosyjskiej propagandy. Były długie, żarliwe, identyczne jak te, którymi Rybak agitował później królewskiego pazia, i o tyle mało skuteczne, że Wilczyński nie zapalił się do idei. Ale zrozumiawszy motywy przyjaciela, uszanował je. Sam przystąpił do spółki z pobudek mało altruistycznych, zwanych materialnymi. Wszakże pod skórą tkwiło mu coś innego, nie mającego styczności ani z patriotyzmem, ani z chęcią zysku, ani z pogardą dla ludzi — zew Dawida wyzywającego Goliata, odwieczny, natrętny głód podobnych mu samotników, marzenie o procy rozwalającej górę. Drwiąc z Rybaka, że ten chce się mocować z całą Rosją, czuł już to drżenie ciała i krzyczał, by zagłuszyć swą zazdrość. W najgorętszym momencie rozmowy, gdy miotali się, rzucali obelgi i ku przerażeniu garderobianego szarpali za poły rękawów, Wilczyński zgąśł nagle niczym zdmuchnięty płomień świecy. Zamilkł, odwrócił się do Rybaka plecami, przeciągnął aż zatrzeszczały stawy i usiadł na ławie z obojętną miną. Wydawało się, że wszystko to zaczęło go nudzić, a było na odwrót — była to ta właśnie chwila, kiedy pokonał go wielki sen o procy, czysto sportowa maligna dzikusa samobójcy. Bitwa nie rozegrała się na zewnątrz, lecz wewnątrz, w całkowitym milczeniu, w głębokiej jaźni, która nie słyszała wykrzykiwanych słów i rządziła się sama sobą.

Połączenie z tym kuszącym hazardem pełnego brzucha, który Rybak gwarantował oraz wystawnego życia *incognito*, nie było tu jednak bez znaczenia. Wilczyński nie miał żadnych własnych środków, aby przywoicie żyć, a nie chciał się zniżyć do profesji uprawianych przez pospólstwo. Wszystkie namiętności, nawet fanatyzm, przestają funkcjonować o głodzie. Procarz mający kiszki skręcone z głodu nie pomyślałby o wyzwaniu Goliata.

Dobrali dwa ubiory w stylu francuskim, brązowy surdut z jasnymi pantalonami i ciemny frak do jasnych rajtuzów, uważany przez Rybaka za nieco zbyt nowoczesny,

tudzież kilka różnego kroju kamizelek, koszule, trzewiki, wstążki, pończochy, peruki itd., oraz jeden kontuszowy polski strój ze srebrnym pasem i wszystkimi przydatkami. Fryzowanie włosów zapewniał również Rybak, mający pod ręką ludzi każdej profesji.

Rybak przewidział wszystko, ale wszystko jest pojęciem względnym. Mógł przewidzieć wszystko za wyjątkiem tego, czego nie mógł przewidzieć: przypadku. Pospolity przypadek czyni z człowieka zwycięzcę lub unicestwia: wystarczy wejść w drogę dziewczynie albo jakiemuś pijanemu niechlujowi, który włóczy się po świecie tylko dlatego, że przed trzystu laty zerwał się przegniły sznur szubieniczny pod młodym rzezimieszkiem. W równaniu dziwnego żebraka była tylko jedna niewiadoma. Przypadek, który rządzi losami ludzi i wywraca mądre plany bitew, mógł go nie zaskoczyć, bo nie ma takiej reguły, że przypadek wtrąca się zawsze. Ale robi to często i tym razem zrobił.

Debiutem Wilczyńskiego w nowej skórze było magnackie wesele na kilkaset osób. Kościół, droga do pałacu w sznurze karoc powozem, który dostarczył Rybak, brylantowy tłum w radosnym podnieceniu, sale wypełnione stołami uginającymi się od zastawy, armia lokajów, gwar rozmów, szcęk toastów, orkiestry, tańce, gigantyczne obżarstwo, żadnego niebezpieczeństwa. Aleksander vel „Alex” lub „Wilk”, zachował chwalebna ostrożność. Zajął miejsce przy podrzędnym stole w bocznej sali, między głuchawą matroną a oficerem wyglądającym na debila. Pierwsza nerwowość opadła zeń szybko, bawił się swobodnie i nic nie zapowiadało katastrofy.

Jak mam opowiedzieć to, co zdarzyło się później, nie popadając w banał? Zdarzyło się coś zwykłego, co łączy w sobie biologię z duchem, cząsteczki DNA z metafizyką, płeć z sercem, a czego ludzie dojrzały i cynicy wstydzą się, zaprzeczając szyderczo istnieniu tego zjawiska. Ale prawdą jest, że tylko pechowcy albo osobnicy całkowicie wyprani z uczuć nigdy go nie zaznali, i trzeba być kłamcą, żeby zaprzeczać miłości od pierwszego spojrzenia. Co zresztą nie jest trudne — wszystkiemu można zaprzeczyć w żywe oczy, nawet istnieniu niewoli w kraju totalitarnym, do tego są słowa. Lecz jakim genialnym łgarzem trzeba być, żeby z niebanalnych, nie wytartych po literaturze słów upleść prawdziwy opis takiego zakochania, czyli czegoś, co właściwie nie poddaje się opisowi, ponieważ żywy autentyzm, pajęczna delikatność i ulotność owej chwili, jest do odtworzenia wyłącznie w pamięci ludzi zaatakowanych tym wirusem, i na ogół tylko w ciągu kilku lub kilkunastu pierwszych tygodni. U niektórych mogą to być całe lata.

Przez szeroko otwarte drzwi do największej sali Aleksander zobaczył twarz młodej kobiety siedzącej przy głównym stole. Ujrzał ją poprzez czerwone światło kielicha z winem, którego kolor badał podniósłszy szkło do góry, zdeformowaną w karykaturalny sposób i oblaną świetlistą aurą. Postawił kieliszek na stole i zatopił wzrok w jej twarzy. Miała nieokreśloną urodę w tonacji smutku, a ciemne włosy spływające na kolorową suknię zdawały się być całunem. Jej twarz przypominała maskę z *papier mâché*, oczy patrzyły w nic spojrzeniem ślepego, a milczące usta ściągnęły się w kącikach jak do płaczu. Trzymała przy nich widełki z kawałkiem mięsa, nie próbując jeść.

Wpatrywał się w nią coraz usilniej, głuchy na paplanie sąsiadów, wierząc, że zmusi jej wzrok do poszukania intruza. Musiała go wyczuć, gdyż nagle drgnęła jak przebudzona, opuściła widełki i jej spojrzenie musnęło jego twarz. Krzyknął zuchwale wzrokiem: „Inni mężczyźni są daleko, a ja jestem tu! Patrz na mnie!”. Spuściła oczy, oblewając się ukropem, ale zaraz podniosła je znowu i wówczas wszystko ucichło niczym w kinie z wyłączonym dźwiękiem lub we śnie, zapanowała ogromna cisza, pełna poruszających się

nad stołem rybich ust, milczących gestów, niemego dzwonienia naczyń, barwna pantomima, w której naprawdę istniała tylko mowa ich spojrzeń. Trwało to bardzo długo.

Nie wiedział, że gwałci wzrokiem jedną z pierwszych dam ówczesnej Polski. Dzisiaj wszystkie nadwiślańskie encyklopedie oddają jej hołd jako wzorowi patriotyzmu, czyniąc z niej symbol najlepszych cech polskiej kobiety, co udowadnia się opisując drugą połowę jej dziewięćdziesięcioletniego życia. Pierwsza połowa stanowiła wstydlive przeciwieństwo tej szlachetnej drugiej, rzecz w przypadku wielu pań tak typowa, jak u starzejących się mężczyzn siwienie włosów: nawet najbrudniejsze, jeśli nie wypadają, otrzymują godną patynę srebra, która sugeruje uczciwość i mądrość. Rasowa *femme galante*, uprawiająca swą młodość w manierze *joie de vivre* z najślawniejszymi samcami kontynentu, w połowie drogi, jakby dotknięta magiczną różdżką („Nagle zdyszana taneczniczka przystanęła i zatopiła się w refleksji” — napisał historyk Wasylewski), przeistoczyła się w dydaktyczną matronę narodu („Matka Spartanka”) i „okupywała pięknymi zaletami błędy młodości”.

Właśnie zaczynała rozkwitać ta żywołowa młodość, kiedy los posadził ją przed zachwyconymi oczami Wilczyńskiego. Miała niespełna dwadzieścia lat, a za sobą już swą prowincjonalną głupotę i pierwsze bity od życia, które zawsze budzą pazerną chęć wyrównania sobie krzywd. Nazywała się Izabela z Flemmingów księżna Czartoryska i była jedyną córką podskarbiego litewskiego, hrabiego Jana Jerzego Flemminga.

W żyłach panny Flemming płynęła krew Burbonów, Jagiellonów i Radziwiłłów, lecz ta blaskomiotna mieszanka nie wyszła na dobre jej urodzie, dodatkowo spaskudzonej przebytą ospą. A jednak ta kobieta promieniowała czymś tajemniczo zniewalającym, jakimś niewytłumaczalnym wdziękiem, który powodował, że prawie wszyscy mężczyźni tracili dla niej głowę. Nadto cały zastęp fachowców przeprowadził udaną „korektę kosmetyczną” walorów zewnętrznych Izabelli. Głośny ze złośliwości diuk de Lauzun, którego Czartoryska odbiła królowej Marii Antoninie, zostawił w swych pamiętnikach następujący konterfekt polskiej kochanki:

„Figury średniej, ale doskonałej, o najpiękniejszych oczach, o najpiękniejszych włosach, o najpiękniejszych zębach, posiadająca nogi bardzo ładne, bardzo śniada,znaczona bardzo ospą, o cerze nieświeżej, słodka w obejściu i w najmniejszych swych ruchach, o niewysłowionym wdzięku pani Czartoryska była najlepszym dowodem, że nie będąc piękną można być uroczą”.

Kobiety, które w ocenianiu innych kobiet są równie złośliwe jak książę Lauzun był wobec wszystkich bliźnich, tutaj jednak pohamowały swą złośliwość — wystawiły w pamiętnikach tej rozpustnej rokokowej damie, bohaterce najpierw skandalicznych poematów, później zaś bałwochwalczych dytyrambów patriotycznych, podobne cenzury:

„Była przedmiotem wielkich namiętności; umiała jednać sobie wszystkich, których uważała za godnych wliczenia do grona kochanków (...). Tak się ubierać, tak wejść do salonu, tak chodzić — umiała tylko ona. Miała na to wszystko wyłączność. Wzorowanie się na niej w jej obecności byłoby przedsięwzięciem zbyt ryzykownym” (Wirydianna Fiszerowa).

„Z czasem płeć jej zbielała, odzyskała śliczny wyraz twarzy, rozum bystry rzucał na wszystkie strony iskry przez piękne oczy, kibić jej wykształtniała (...). Uwielbiano ją ogólnie i według powszechnego sądu nie było więcej uroczej nad nią kobiety na dworze Stanisława Augusta (...). Miała czasem oryginalne fantazje...” (Natalia Kicka).

Zapamiętajmy to ostatnie zdanie.

W roku 1761 hrabiankę Flemming wydano za jednego z cenniejszych na rynku matrymonialnym książąt młodego pokolenia, pięknego generała ziem podolskich, Adama Kazimierza Czartoryskiego. Oprócz śladów po ospie i prowincjonalnej naiwności wniosła w dom książąt Czartoryskich czterdzieści milionów złotych polskich posagu. O nic innego nie chodziło (wiele lat później Czartoryska napisała w swoim pamiętniku: „Poślubiłam mego męża bez miłości”). W pierwszą po ślubie podróż (do zachodniej Europy) wiozło młodą parę czterysta koni, dziesięć wielbłądów i dwanaście złotych karoc. Za mało, by ukryć fakt, że pan młody nie gustuje w oblubienicy — fakt ten był tajemnicą poliszynela.

Z Paryżów i Londynów małżeństwo wróciło nad Wisłę w dobie krótkiego bezkrólewia po śmierci Augusta III Sasa. „Familia” wierzyła, iż przy pomocy Rosjan uda się zrobić Adama Kazimierza królem Polski. Nie udało się — caryca Katarzyna wybrała Stanisława Augusta Poniatowskiego. Tak więc Izabela, rokokowo ogładzona i uformowana *aux facons mondaines*, nie została królową, lecz Czartoryscy spróbowali naprawić to niepowodzenie, korzystając z faktu, iż nowy monarcha był kawalerem. Do alkowy Poniatowskiego zaprowadził ją człowiek, który zwał się jej mężem i który kompromitował ją publicznie nie chcąc sypiać w jej łóżku. Król zdjął z podarunku opakowanie i przyjął, lecz bez zbytniego entuzjazmu — w afekcie przeszkadzała majestatowi świadomość, że podstawiono mu Izabelę, by kontrolować jego ruchy. Poczuli się straszliwie upokorzona; świat mężczyzn, w którym handlowano jej ciałem jak tabaką, wydał jej się wstrętny. I wtedy dosięgło ją czyjeś palące spojrzenie i usłyszała zuchwałe słowa krzyżane przez oczy młodzieńca, który siedział przy stole w bocznej sali: „Inni mężczyźni są daleko, a ja jestem tu! Patrz na mnie!”.

Kicka nie przesadziła pisząc o Izabeli: „Miała czasem oryginalne fantazje”. Były bardzo oryginalne. W pałacu Czartoryskich w Oleszycach, zostawiona samą przez męża, kazała się owijać w długie płótno i potem służba rozwijała ten rulon, spuszczać księżnę po stoku starych zamkowych szanćów! Zimą roku 1762 przebyła w saniach całą Europę (z Holandii), by dokładnie o północy zjawić się w maseczce na warszawskiej reducie, wywołać sensację i po kwadransie ruszyć w powrotną drogę! W fantazjach nikt nie mógł jej pokonać.

Fantazja przeżyta z Wilczyńskim wynikała z dławiących bólów serca stęsknionego do innych miejsc i błagającego mózg o chwilę szaleństwa, które przestrasza innych, a człowieka czyni wolnym i nieugiętym w decyzji o obłąkaniu. Rozmawiali tylko przez kilka minut między tańcem i tańcem, ją znowu zagarnął kadryl i znowu porozumiewali się tylko wzrokiem, a kiedy umilkła muzyka, oboje wymknęli się na dziedziniec, wsiedli w jej powóz i uciekli. Po prostu. Uciekli przed siebie, do owej dalekiej krainy, gdzie trzeba się strzec jedyne trującego drzewa o słodkich owocach, których kształt przypomina dojrzałą kobiecą pierś — jak napisałby poeta tanich strof miłosnych. Albo tak: on był roztargniony i zaczadzony zmysłami, a ona była cała w szczęściu, ona była cała w rozkoszy, ona była w ślepotcie i w ognistym marzeniu émy. I tak dalej i temu podobnie. Los istotnie pożyczył im miłość, ale na wysoki procent i z krótszym terminem płatności niż zazwyczaj daje zakochanym.

Gnali traktem południowym, ku Lublinowi. Izabela miała rozśpiewaną radość w oczach, Wilczyński całował ją wargami z czerwonego odurzającego wina, życie

wydawało się bajką, w której zakochani „żyli długo i szczęśliwie”. Zdarza się, że ludzie żyją długo. Nie zdarza się, by żyli szczęśliwie. A ponieważ udawanie jest stylem życia każdego człowieka w każdej okoliczności i o każdym czasie — wszystko, co udajemy, jest rzeczywistością. Ludzie tedy żyją szczęśliwie.

Przed wieczorem zatrzymali się. Była to mała miejscina, gdzie każdy dom, każdy płot, każde okno i każda rzecz mówiły o nędzy. Był to grodek tak monotony, jak wszystkie mu podobne, w których jedno prawdziwe szczęście przypada na sto lat, a trzeba kilku wieków, by szczęście to zamieszkało w kobiecie. Nad rynkiem unosił się odór końskiego nawozu, który zgnoił jej nowe trzewiki i zaniósł ten cuchnący zapach do oberży między sto podobnych zapachów. Tam kochali się i on był bogiem tej nocy, podobnej do wszystkich pierwszomiośnych nocy, kiedy nie tylko ręce, ale i dusze nie są puste.

Rano wyruszyli w dalszą podróż, lecz już nie tak, jak poprzedniego dnia nie w czułych westchnieniach, w intymnych dotknięciach, w odwiecznych szeptach: „na zawsze” i „nigdy”, w patrzeniach sobie w oczy z odległości nosa lecz w milczeniu obok siebie. Dwa milczenia w sercu ciemności.

Następny postój był jeszcze bardziej śmierdzący i brudny. Wieczorem Izabela stała się niespokojna, jakby bezruch gorącego zmierzchu drażnił ją. Woń taniego alkoholu sącząca się przez ściany z parterowej izby, pijackie ryki nie pozwalające zasnąć przez drugą połowę nocy, jakieś sparszywiałe koty, gwoździe w podłodze, plamy na ścianach, jedzenie w pokruszonych miskach i znowu światło dnia obnażające ten obcy świat (nasz poeta napisałby: jutrzienka zdarła z nich szatę objęć, którą okryła ich w nocy ręka miłości..., itd), wszystko ohydne, gorsze nie tylko od marzeń, ale i od złego życia przy obojętnym mężu w pałacu i w ogrodach, w których perfumowano nawet owce z kokardami na szyi. Rano powiedziała mu, że go kocha i że musi wrócić do domu, bo zapomniała wziąć bransoletkę. Nie było nic nadto do mówienia. Wtedy zrozumiał, że byt kształtuje miłość.

Przez całą powrotną drogę wstrzymywała łzy i wyglądała na chorą. Z Wilczyńskim działo się podobnie. Obserwując te same pejzaże biegnące w drugą stronę, samotne krzyże i rozstaje szlaków, czuł w piersi nieznany mu dotąd ból i myślał o swojej klęsce, podczas gdy ona konstatowała, że ów liryczny ideał pasterskiej miłości, do której tak ostentacyjnie rwały się damy z towarzystwa, zainfekowane treścią francuskich romansów i malowideł, winien lepiej pozostać w książkach, albowiem rację miał Thomatis wykpiwając ową mrzonkę, nazywaną przezeń „nieumytym afektem”. Na rogatce warszawskiej usłyszeli, że jej rodzina wpadła w panikę. Udali się najpierw do Pałacu Błękitnego, siedziby młodych Czartoryskich (przy ulicy Senatorskiej), a następnie do pałacu Marii i Augusta Czartoryskich przy Krakowskim Przedmieściu, lecz i tu nie zastali nikogo — oba pałace obłożone były rusztowaniami, trwała ich przebudowa. Majordom poinformował uciekinierów, że jaśniepaństwo przyjmuje rosyjskich gości w rezydencji wiejskiej za miastem. Dotarli tam pod wieczór. Ściemniało się. Powóz zakręcił wokół dużego kwietnika na podjeździe i stanął między dwiema kolumnami schodów, na które wybiegła gromada mężczyzn i kobiet. Konie jeszcze przebierały nogami w miejscu, gdy Izabela bez jednego słowa i bez jednego spojrzenia zeskoczyła na zwirową alejkę i pobiegła do swoich. Na jej widok kobiety podniosły krzyk — była rozczochrana, brudna i blada, suknię miała podartą i

zmięta, a w oczach rozpacz skrzywdzonego dziecka. Rzuciła się w ramiona wiekowej damy i ogarnęła ją szloch.

Aleksander też wysiadł i poczuł na sobie dziesiątki spojrzeń. Znajdował się w strefie półmroku, gdzie nie sięgał blask bijący z okien, ale wydawało mu się, że te oczy palą każdy por jego twarzy. Ruszył ku bramie, gdy nagle zimny podmuch wiatru przypomniał mu, że w powozie zostały jego rękawiczki i peleryna. Zawrócił nerwowo. W tej samej chwili jeden z rosyjskich oficerów, którzy szeptali z gospodarzami, wyjął z dłoni lokaja łuczywo i zbiegł ze schodów, zastępując obcemu drogę. Aleksander poczuł gorąco na policzkach i zmrugał oczy, tak blisko Rosjanin przystawił mu płomień do twarzy. Zza ognia dobiegło go wściekłe pytanie:

— Ty kuda, sukinkot?!

Lewą ręką odtrącił łuczywo, a prawą uderzył. Trafił w skroń, przeskoczył leżącego i rzucił się biegiem ku bramie. Wyprzedził go rozkaz ze schodów i żelazne skrzydła zwarły się z hukiem, zamykając pułapkę. Skręcił ku drzewom ogrodu. Kiedy znajdował się w połowie drogi, otworzono psiarnię.

Poszczuta zgraja uderzyła weń jak bałwan morski, ścinając z nóg. Przewrócił się w wysoką trawę i zniknął pod kłębowiskiem rozszalałych pysków, grzbietów i pazurów. Chronił twarz, gardło oraz dłonie, turlając się razem z wyjąłymi diabłami. Frak, kamizelka i koszula na plecach, spodnie na udach i rękawy od ramion do łokci, trzasnęły rozszarpane w ułamku sekund, odsłaniając ciało. Chwilę później był już skąpany we krwi i czuł jak życie wycieka zeń falami piekącego bólu.

Raptownie wściekły jazgot zgasł i zamienił się w żałosne skowyczenie pod wpływem jakiegoś innego dźwięku, ostrego i rytmicznego. Nad Wilczyńskim stał młody Rosjanin w mundurze lejtnanta i batem porwanym z powozu siekł psy, rozpędzając sforę. Doskoczył do niego starszy rangą i zaryczał:

— Ty szto, Bieriurow, spiał?!

— Eto człowiek, nie zwier, gaspadin kapitan! Nie nada tak...

— Eto razbojniczyj obolstitiel, job jewo mati! Ty nie słyszał szto skazał kniaz Czartoryskij?! Nie mieszajsa, ili nakażu tiebia!

Podporucznik spojrzął mu w twarz i spytał:

— Sobakami ili sobstwiennoruczno, wasze błagarodie?*

Po czym rzucił bat i usunął się na bok.

Książęta zdążyli już ochłonać. Zemdlonego „Alexa” oblano kilkoma kubłami wody, służba doprowadziła go do bramy i kopniakiem wyrzuciła na zewnątrz.

Szedł jak pijany, zataczał się, nagle zaczął bezsensownie odmawiać: „Ojcze nasz...”, ale gdy doszedł do „jako i my odpuszczamy naszym winowajcom” przerwał. Odczuwał potrzebę śmierci, lecz Bóg zesłał mu tylko ponowne zemdlenie — upadł po zrobieniu kilkuset kroków. Znaleźli go w rowie chłopci, zanieśli do chałupy i opiekowali się nim przez kilka dzionków, dając jeść i sprowadzając „zamawiającą” babę. Jej zioła, za

* — Oszalałeś, Bieriurow?!

— To człowiek, a nie zwierzę, panie kapitanie!

— To zbójcecki gach (uwodziciel),.....! Nie słyszałeś, co powiedział książę Czartoryski?! Nie wtrącaj się, albo cię ukarzę!

— Psami, czy własnoręcznie, wasza wielmożność?

które wzięła klamry jego butów i guziki, pozwoliły ranom zasklepić się. Dobrze z wolna.

Leżąc w słomie przesiąkniętej krwią i wywarami znachorki, miał czas na myślenie o sobie. Rachunek odbierał chęć życia: dotychczas przegrał wszystko, co było do przegrania lub wygrania. Zgodnie z dziadkowym rozkazem miał się „nie dać”, a dał się sponiewierać i upokorzyć wielokrotnie. Pomyślał, że jeśli ma żyć dalej po tym, co już przeszedł, to musi odrzucić ostatnie skrupuły i uczucia, i wyostrzyć hasło „Nie daj się!” poza granice zwykłej bezwzględności. Jakiś głos, którego nie próbował okiełznać, wołał w nim o innych ludziach: albo wy, albo ja! Znowu komuś przypomniano, że ma zęby.

Zaprowadzając z wolna ład w poniesionej klęsce, myślał też o tym, co mówił Rybak: „Ojczyzna? Ojczyzna jest tam, gdzie cię kochają, a kto mnie kocha, kto mnie utulił i przyjął tak, jak to czyni matka, gdy spotka długo nieobecnego syna? Kto otworzył mi drzwi, gdy przebiegałem ziemię w poszukiwaniu miłości? Kto dał mi spoczynek, kiedy wyciągałem ręce do ludzi? Rybak ma swój cel, a dobry jest tylko dla tych, którzy są mu potrzebni!...”. Daleki brat, którego nie widział już od tak dawna, był kimś obcym i nie wzbudzającym tęsknot. Ci wieśniacy, którzy go przygarnęli? Nie potrafił czuć dla nich wdzięczności. Brzydził się nimi odkąd zwłókł się ze snopków i zajrzał do kuchni, po której łążyły kury i świny. Zobaczył małżeństwo swoich gospodarzy. Kobieta stała pochylona nad kołyską, z zamkniętymi oczami i ustami rozwartymi jak do krzyku, naga, i karmiła piersią dziecko, podczas gdy druga połowa jej ciała znajdowała się we władaniu spoconego mężczyzny, który trzymał w dłoniach jej biodra. Wolna pierś i krzyżyk zwisający z jej szyi na cienkiej nitce chygotały się miarowo w rytm skrzypienia kołyski. Odwrócił się, szukając łąpczywie świeżego powietrza, w obawie, że zwymiotuje. Życie utożsamiało mu się z tym prostym obrazkiem i pomalował sobie ludzi na jeden kolor.

Zapanowała w nim owa najgłębsza z cisz, którą zmrok przynosi kwiatom, to święte milczenie kojarzone z pustyniami i sklepieniami wymarłych kościołów, powleczonech wyschłymi łzami dawno przebrzmiałych modlitw. A to był wybuch wulkanu, który ogłuszył świat, tak iż zdawało się, że natura milczy, uspokoił go i napełnił okrutną determinacją. Zabijał w myślach nim ruszył się z miejsca. Potem pozostało mu już tylko spełniać tę myśl.

Człowiek jest wędrującym workiem dobra i zła, których proporcje zmieniają się w miarę upływu czasu i okoliczności. To wszystko. Wbrew pozorom to wcale nie mało, lecz żeby to zrozumieć, trzeba dostać się w ręce kobiety lub kata. Wtedy worek tak wypełnia się bólem, że nie pozostaje w nim miejsca na nic innego poza złem, nawet na Boga.

Gdy opuszczał tych ludzi, zaczepiła go w sieni ich bratanica-sierota, śliczna kilkunastoletnia dziewczyna o długim białym warkoczem, która przemywała mu rany, chłodziła czoło kompresami ze zwilżonych szmat i podnosiła głowę, by wlać kilka kropel wody w zeschnięte wargi.

— Weź mnie ze sobą! — szepnęła błagalnie.

Odepchnął ją i wybiegł na dwór. Nie zamierzał więcej brać kobiet ze sobą. Żegnał go dźwięk dzwonu, który bił donośnie z wieży chłopskiego kościoła.

Rybak, obejrzawszy go, powiedział tylko jedno zdanie, jakby wszystko przewidział i nie był zaskoczony:

— Kiedyś pokazano mi basiora identycznie ściachanego przez psy, ale on już nie żył.

I tak zostało: „Basior”.

„Basior” stał się postrachem Warszawy i przedmieść. Jego banda, której pierwszą ofiarą była rezydencja Czartoryskich i hodowane tam psy (zmasakrowano je siekańcami z garłacza), dokonywała włamań do najbogatszych domów i pałaców, czyniąc jatki wszędzie, gdzie zetknęła się z oporem. W napadniętych domostwach zostawiała ruinę, pastwiąc się nawet nad meblami. Dopiero gdy bogacze wzmocnili i uzbroili swoją służbę, a wieczorem nie ruszali się bez silnej obstawy z uzbrojonych pachołków, liczba napadów zmniejszyła się i „Basior” przestał być tematem codziennych rozmów. Pojawiły się nowe atrakcje; jedną z nich był lord Stone, który przybył do Warszawy z Azji. Tylko rotmistrze chorągwi węgierskiej (pełniące funkcje policyjne) oraz instygatorzy miejscy (z łacińskiego *instigator securitatis* — funkcjonariusz służby bezpieczeństwa) nie zaprzestali poszukiwań zbrodniczego widma. Po psach wystrzelanych u Czartoryskich domyślano się, że „Basior” to ten sam człowiek, który „porwał” księżną Izabelę. Znano też jego rysopis. Dlatego instygatorzy i Węgrzy zaczepiali na ulicach młodych, postawnych ludzi, wiodąc ich w bramę i zmuszając do odstonięcia pleców — szukano człowieka pokąsanego przez psy. Wilczyński lubił kiedy kiwno nań palcem i udającym przestraszonego matoła kazano zdejmować w bramie koszulę. Za koszulą miał nóż.

— To zdziwienie — mówił do Rybaka — to zdziwienie w oczach, kiedy umierają...

Jako lord Stone był lepiej uzbrojony — miał dwa miniaturowe pistolety i szpadę schowaną w lasce.

Lord Stone stał się pupilem towarzystwa i dworu. Szeptano, iż jest agentem-udziałowcem Kompanii Wschodnio-Indyjskiej i przybył do Warszawy w interesach, co jednak mało kogo naprawdę obchodziło — ważniejsze były jego wielkie bogactwa, egzotyczne maniery oraz intrygujący brak zainteresowania kobietami, które tym bardziej stawały na głowie, aby go uwieść. Nie powiodło się żadnej i Anglika zaczęła nazywać: *un beau monsieur impassible*^{*}, wciąż od nowa spekulując na temat przyczyn. Obyty w świecie Casanova wyjaśnił zawiedzionym damom, iż wśród dystygowanych Anglików wielu jest takich, co przedkładają chłopców nad płęć przeciwną, a że podobne afekty karane są w ich ojczyźnie gardłem, dżentelmeni owi wyjeżdżają do Indii, w których roi się od młodych zagłodzonych cherubinów i nadzór jest o niebo lżejszy. Stąd poszła nowa plotka, ale i ona musiała umrzeć, gdyż nie widziano, by Anglik próbował nawiązać jakiegokolwiek stosunki z którymś z panów. Pozostawało już tylko jedno tłumaczenie — „mankament męskości” — i tą przywarą obciążano w żartach lorda Stone'a.

Mimo tego stanowił ozdobę salonów, a splendoru dodawała mu przyjaźń króla, który był *fou* (szalony) na punkcie wszystkiego, co angielskie (Lady Craven: „Król mówił mi, że ludzie, zwierzęta, drzewa i w ogóle wszystko, co Anglia wydaje, jest o

* — Piękny obojętny (niewzruszony) mężczyzna.

wiele doskonalsze niż w innych krajach. On Anglię wyłącznie kocha”). Z lordem Stonem błyskawicznie znaleźli wspólny język: król pasjonował się parkami i ogrodami, Anglik zaś okazał się wybornym znawcą drzew. Ujął władcę, cytując z pamięci Arystotelesa i Plutarcha, według których drzewa mówią, czują, myślą i słyszą. Całe godziny spędzali omawiając sekrety wiązów, buków, dębów i jesionów oraz monarsze plany uczynienia z Łazienek pierwszego parku Europy. Propozycję zostania nadwornym parkmistrzem Stone grzecznie odrzucił, zapewniając, iż podczas swego pobytu w stolicy chętnie będzie służył majestatowi radą.

Poniatowski, pragnąc zatrzymać gościa jak najdłużej, ułatwił mu nabycie okazałej kamienicy przy tzw. Wąskim Krakowskim Przedmieściu. Były z tym pewne trudności: właściciele nie zamierzali jej sprzedawać. Zaproponowano Anglikowi kilka innych domów, jemu wszakże podobał się tylko ten (dokładniej tylko ten podobał się Rybakowi, gdyż sąsiedował z kamienicą pewnej intrygującej go kobiety, o czym później). Interwencja królewska odniosła skutek i upatrzony dom stał się własnością lorda Stone'a. Gratulując mu transakcji Stanisław August zażartował, przymknąwszy znacząco oko:

— Od tej pory, milordzie, będziemy w niektóre noce sąsiadami, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!

Anglik nie zareagował i król, przypomniawszy sobie, co o nim mówią, szybko zmienił temat na choroby cyprysów.

Służbę dla nowej siedziby jego lordowskiej mości zorganizował Rybak. Z jednym wyjątkiem. Wilczyński wysłał swoich ludzi do wsi, w której leczono go z ran, po białowłosą Stefkę, spełniając tym jej marzenia niczym bóg, który wysłuchuje modlitwy. Z kimś musiał żyć, by nie stać się bliźniakiem Onana, a tylko jej mógł pokazać swą nagość nie narażając się na zdemaskowanie.

Ta młoda chłopka, obcując z nim, nauczyła się najpierw myć przed wejściem do łóżka, potem świadczyć miłość, potem mówić poprawnie jedno słowo, a innych nie mówić w ogóle, wreszcie ubierać się i nawet czytać i pisać (to było zasługą księdza spowiednika). Nieomylnym kobiecym instynktem lub może częsteczką inteligencji, zawartej w genach po starym księciu Czartoryskim, co spłodził ją przed laty w łonie dziewczki folwarcznej, wyczuła, że największy jej wróg to przyniesiony z chałupy prymitywizm i że to właśnie prędzej czy później obrzydzi ją kochankowi. Dlatego wszystkie swoje siły, każdą wolną chwilę i każdą kroplę chłopskiej zawziętości, poświęciła dźwiganiu się na szczebel, z którego będzie bliżej do jego serca. Wilczyński spostrzegł to dopiero wtedy, gdy wzbogaciła się już nawet o poczucie humoru. Przypomniał sobie opowieść dziadka o królu Cypru, Pigmalionie, i o wyrzeźbionej przezeń Galatei, którą ożywiła Afrodyta. Tej nocy, dotykając jej ciała, uświadomił sobie, że jest piękne jak tanto mityczne z kości słoniowej. Poczul przyjemność, którą daje posiadanie klejnotów, ale serce mu nie drgnęło.

Zwycięstwo Stefki polegało na tym, że zdążyła dokonać automutacji zanim się znudził. Teraz trwała przy nim z tą mądrością dojrzałej kobiety, która wie, że mężczyzna może być tylko niewolnikiem lub panem, a która zawsze pozostanie dzieckiem pragnąc, by był jednym i drugim na raz. W jej przypadku byłoby to możliwe wyłącznie wtedy, gdyby zdobyła jego miłość. Edukując się — dała sobie czas. Reszta

była w rękach Stwórcy, do którego modliła się żarliwie co noc, w głębokiej ciszy przerywanej chrapaniem lorda Stone'a.

Razem z nią czuwał nad każdym dniem Wilczyńskiego Rybak. Ten tajemniczy człowiek, który urządził „Alexowi” wielkopański dom, urządził nadto coś o wiele ważniejszego. Sprawił, że kiedy król zapytał brytyjskiego posła w Warszawie, wolnomularza, sir Thomasa Wroughtona, o koligacje swego angielskiego przyjaciela, Wroughton odparł, iż słyszał o ekscentrycznym rodaku niewiele, bo Stone od dawna wędruje poza Anglią, czując do niej niechęć z przyczyny zawodu miłosnego; potwierdził, że to dziwak, ale człowiek uczciwy, i wygłosił kilka temu podobnych banałów. Wroughton był masonem wykonującym rozkazy Londynu, Rybak był żebrakiem, Wilczyński brytyjskim arystokratą, a ja jestem przybyszem z Marsa i mam zielone czułki nad trzecim okiem. Koniec wstępnej prezentacji „Basióra” i koniec roboty na dziś. Nie chce mi się nawet rozpisywać reszty dialogu między Turkułem a Rybakiem, który wysłał pazia z listem do Casanovy, tusząc, że niespodziewana wizyta dworzanina u bywalca dworu nie wzbudzi niczyich podejrzeń. Dobranoc Państwu.

Rozdział

CZTERY PALCE

4

„Ktokolwiek jesteś bez ojczyzny,
Wstąp tu, gdzie czekam po kryjomu:
W ugornej pustce jałowizny
Będziemy razem nie mieć domu (...)
Bo nie ma ziemi wybieranej,
Jest tylko ziemia przeznaczona,
Ze wszystkich bogactw — cztery ściany.
Z całego świata — tamta strona”

(Kazimierz Wierzyński, „Ktokolwiek jesteś bez ojczyzny”)

Ludzie rodzą się bez ojczyzny lub stają bez niej na wygnaniu, lub po prostu gubią jej poczucie za sprawą krzywdy, zdrady, nienawiści, kosmopolitycznej filozofii, łajdactwa albo głupoty, i ze stu innych przyczyn. Takimi z różnych powodów byli Casanova („obywatel Europy”), Thomatis, Turkuł i Wilczyński, a dojdą do nich jeszcze Imre Kiss, pewien pisarczyk i pewien ksiądz. Dojdą do pazia i lorda Stone'a, będąc takimi samymi rozbitkami. Może to i dziwne, że w mojej opowieści spotyka się tylu ludzi przegranych, ale pokażcie mi wygranych. W życiu wygrywa się nader rzadko (wyjątki jedynie potwierdzają regułę) i w sumie chodzi tylko o to, by przegrać jak najmniej. Ci akurat, na których ja czekam po kryjomu w mojej baszcie, nie należą do szczęśliwych hazardzistów, a to, że każdego z nich życie poturbowało, że się to tak u mnie powtarza jak czkawka?... Uwierzcie mi, że inni nie potrafiliby zagrać o purpurowe srebro.

Wątpiącym pragnę także uświadomić, że powtarzalność moich bohaterów wynika z funkcjonowania trzech podstawowych mechanizmów ewolucji: biologii, historii i opatrności — z nich zbudowane jest kasyno życia. Przesiąknięta duchem metafizyki (która, jak wiadomo, głosi, że nic się nie zmienia) historia ma stale czkawkę. Królowe-matki dość systematycznie mordują swych mężów, by potem zażywać rozkoszy łoża i władzy, Prometeusze i Hamleci z równą systematycznością giną ścierani przez dwa kamienie młyńskie, z których jeden ma zwiewną konsystencję świata ideałów, drugi zaś ciężką masę świata rzeczywistego. Wojny i okrucieństwa wzniecane są regularnie w imię tych samych świętych i fałszywych haseł, heroizm często przykrywa tępotę, a patos wewnętrzzną pustkę. Ten sam człowiek stoi od wieków obojętny lub bezradny wobec najprostszego, pierwotnego okrzyku Abla: „Nie zabijaj!”. Ten sam człowiek,

targnięty sumieniem, potępia eksterminację i karę śmierci, rad by znieść zło i zaszczepić humanizm całemu światu, lecz przegrywa marzenia w walce z okolicznościami, przymusem wewnętrznym lub zewnętrznym, własną słabością lub własnym atawistycznym bestialstwem, poddany szacherce swej zawodnej logiki albo niestałych uczuć. I ten sam człowiek słuchając Brutusa rzuciłby się z nim na Cezara, ale po mowie Antoniusza korci go, żeby Brutusa posłać na szafot. Odrobina demagogii, rzuconej na podatny ludzki grunt, wywołuje efekty zakodowane na perforowanej taśmie życia — trzeba tylko trafić w odpowiednie dziurki. Całość więc można porównać do gry, nie wyłączając religii. Według Pascala religia jest dramatem, w którym człowiek nieustannie gra o swoją duszę i o wieczność. Ów genialny matematyk nawet w swojej tragicznej etyce nie mógł się wyzbyć związków z teorią prawdopodobieństwa, która w owym czasie była bardzo bliska teorii gry w kości (notabene kiedy wybitny logik, David Hilbert, dowiedział się, że pewien student zarzucił matematykę dla pisania powieści, oświadczył: „Bardzo dobrze się stało. Nie miał dość wyobraźni, żeby zostać przyzwoitym matematykiem”).

Współczesna nauka opowiada się również za teorią kasyna. Jeden z jej największych autorytetów, Jacques Monod, w oparciu o swe doświadczenia laboratoryjne wysunął twierdzenie, że człowiek pojawił się na świecie dzięki określonej układowi rzucanych kości, a więc dzięki przypadkowi, ale przypadkowi zawartemu w rachunku prawdopodobieństwa. Jednakże Monod uważa tę wygraną za przypadek niesłychanie rzadki, a zatem człowieka za organizm tak dziwny, że prawie sprzeczny z naturą i dodaje, że właśnie dlatego człowiek jest we wszechświecie istotą marginesową, bez ojczyzny i bez korzeni. Jest osobnikiem samotnym, zdany na siebie samego - wyjałowionym z powiązań i skazanym na własne decyzje. Nie pomaga mu ani Bóg, ani przyroda, ani żaden z bliźnich. Takim był w każdym razie potomek rotmistrza Sandora Kissa, kapitan Imre. Swoje kapitaństwo zdobył w Bengalu, w siedem lat po ucieczce z rodzinnych pieleszy, do których nie mógł wrócić przez lat piętnaście i mimo to nie zwariował.

Pełnię zdrowia zdarzyło mi się ujrzeć z Wieży Ptaków tylko u jednej osoby — był nią właśnie on. Przez te piętnaście lat wyrzeźbił swój charakter w popękanej granicie, ale tak dokładnie, iż nie sposób było dostrzec najmniejszej skazy. Ludzie o takich jak on mówili: *esprit fort* (twardziel; dosłownie: twardy charakter). Zdawało się, że nie posiada żadnych ułomności; było w nim coś z prostoty i z pewnej ręki Adama w Raju. Mógłby bez przygotowań pracować jako pogromca zwierząt — jego wewnętrzny spokój pokonałby je, kładłby się u jego stóp. Gdyby chciał robić karierę jako polityk, jednym spojrzeniem zamykałby usta krzykaczom. Żadnym odruchem lub słowem nie zdradzał słabości, był jak skała. I chociaż dzisiaj już wiem, że się myliłem, gdyż nie ma ludzi doskonałych, ludzi bez słabych punktów — nie zmieniam zdania: to najpiękniejszy okaz ludzkiego samca w mojej opowieści, nawet „Wilk” musi mu ustąpić pierwszeństwa. Gdy myślę o nim, pamięć przywodzi mi stary dąb, „patriarchę Mirowa”, jego wielki pień i niewzruszoność jego konarów, i wtedy rozumiem, dlaczego nasi przodkowie czcili takie drzewa. Wobec tego Węgra odczułem czym powinien być człowiek.

Nie był kobietą, więc jego fizjonomia nie mogła wpłynąć na moją ocenę. Byłoby przesadą nazwać go przystojnym, ale nazwać go brzydkim byłoby kłamstwem. Mocarz

o herkulesowej postaci, ciemnej, prawie afrykańskiej cerze, twardych, budzących zaufanie oczach i krzaczastych brwiach, które nadawały jego twarzy pozory dzikości. Równie trudno było go rozgniewać, jak i rozweselić, lecz bezpieczniej było starać się o to drugie. Wrodzona żywość umysłu, wrażliwość, podróże i ciężkie przejścia szlifujące hart ducha, uczyniły zeń człowieka rzadkich zalet, człowieka, z którym chce się być na ty, godnego szacunku i przyjaźni, wszakże zdobyć jego przyjaźń było nie o wiele łatwiej niż zejść na dno morza.

Wśród przygód młodości okazywał się zawsze człowiekiem honorowym, odważnym i nade wszystko dumnym. Być może jako bogacz, wielki pan lub kupiec byłby przystępniejszy, ponieważ jednak nie doszedł do majątku, stał mocno na straży swej miłości własnej, nie uzewnętrzniając jej w prostacki sposób, ale też nie dając jej tknąć. Milionem nie okupiłoby się żartu, który by go obraził. Słabo znał się na dowcipach, zwłaszcza głupich i wymierzanych w zły sprawie. Nie, nie był ponurym ascetą, ale przez całe życie snuła się w jego usposobieniu ciemna nić melancholii, zaszczerpiona przez dziadów, którzy pragnęli znaleźć purpurowe srebro.

Za jego dzieciństwa obowiązek ten spoczywał na dwóch Kissach, braciach Ferencu i Arpadzie, którzy podzielili się zadaniami. Ojciec Imrego stanął przed ołtarzem z dziewczyną z Gyor, by przedłużyć trwanie rodu. Stryj Arpad wyruszył na Żmudź, z której nie powróciło już czterech kolejnych Kissów, w tym ich ojciec, dziad Imrego, Gulya Kiss.

Stryjka Arpada Imre zapamiętał, jak odjeżdża na koniu, z dwoma pachołkami do towarzystwa i z bronią. Imre miał wtedy sześć lat. Stryj podniósł go na wysokość siodła, ucałował i stawiając na ziemi rzekł:

— Nie bój się, ja wrócę!

Potem mijały lata i pamięć o nim przechodziła w sferę wyblakłych obrazów, w które się tylko wierzy.

Ferenc Kiss chował syna pobożnie i surowo, ucząc kultu dla pracy fizycznej, którą cenił wyżej od nauk pobieranych przez Imrego w konwicie Jezuitów. Osobliwością tej edukacji domowej było wpajanie dziecku nieposłuszeństwa jako jednej z cnót. Jeśli w głębi duszy Imre nie godził się z tym, czego od niego żądano — miał prawo odmówić. Podstawowym warunkiem było przyjęcie odpowiedzialności za skutki, świadomie i odważnie, nie kłamiąc, nie intrygując, niczego nie ukrywając. Gdy wyjeżdżał na kilka lat do klasztorного internatu w Krakowie, ojciec położył mu dłoń na ramieniu i patrząc w twarz powiedział:

— Synu, przestałeś być dzieckiem, zaczynasz być młodzieńcem. Będziemy się widywali cztery razy w roku; na Boże Narodzenie i Wielkanoc przyjedziesz do domu, a dwukrotnie odwiedzimy cię z matką. Latem, kiedy wypadają wakacje, nie wolno ci wracać do domu -- spędzisz je sam, gdzie chcesz i jak chcesz, utrzymując się własnym przemyśleniem, byle nie nikczemnie z cudzej krzywdy. Szkołę szanuj. Chcę, żebyś się dobrze uczył i przyzwoicie zachowywał. Jeśli coś zbroisz, będziesz ukarany bardziej nielitościwie niż to było dotychczas, bo mam już prawo wymagać od ciebie rozsądku. Jeśli jednak dowiem się, że starałeś się niegodnie przypodobać nauczycielom, to jest, że popadłeś w jakąkolwiek formę lizusostwa — w ogóle nie zostaniesz ukarany. Karać mogę tylko m o j e g o syna, nie zaś obce dzieci. Czy mnie zrozumiałeś?

Chłopiec zrozumiał go bardzo dobrze i obraził się, gdyż te zdania zostały niepotrzebnie wymówione.

Kiedy Imre miał dziewiętnaście lat, ojciec ożenił go z Węgierką, przywiezioną przez matkę z Szegedu. Paradoks, bo jak inaczej wytłumaczyć, że człowiek, którego nauczono sprzeciwiać się temu, co jest mu obce, godzi się wziąć ślub z kobietą, której nie zna i nie kocha? Tym, że prawo Imrego do buntu obejmowało wszystko prócz tradycji rodzinnej, w myśl której Kissowie nadawali dzieciom węgierskie imiona i żenili się z Węgierkami. Był to wyjątek nie burzący zasady sprzeciwu. Nie wolno też było Kissom wynieść się na Węgry póki nie odnajdą purpurowego srebra - tak nakazał pierwszy z polskich Kissów, praojciec gry, przyjaciel Batorego, rotmistrz Sandor, czuwający gdzieś w piekle lub w niebie Zeus ich domu, gotów za przerwanie łańcucha misji pokarać swój ród zagładą.

Stryj Arpad dotrzymał słowa — wrócił. Imre miał wówczas dwadzieścia lat. Stało się to pewnej jesiennej nocy, gdy w zmarzniętych kałużach skrzyły się smugi księżyca i wiatr hulał wśród drzew. Stuk kopyt wyrwał młodego Kissa z drzemki pełnej majaków. Za oknem stał koń, biały, nierealny, jakby zawieszony we mgle. Obok nie było nikogo. Imre podpalił świecę i wyszedł do sieni na palcach, by nie obudzić żony. Z salonu, przez odemknięte drzwi, dobiegł go głos rodzica i ochryply szept jakiegoś mężczyzny. Zobaczył starca o twarzy przypominającej

wykruszone oblicza na freskach, z którymi obcował w klasztorze: skóra policzków i rąk popękała w milion zmarszczek cieniutkich niby włosy i krzyżujących się w misterną sieć. Był tak stary, iż wydawało się, że egzystuje od czasów Potopu.

— To niemożliwe — powiedział Ferenc Kiss, patrząc na brata - nie mogłeś się postarzyć aż tyle!

— Nie zrozumiesz tego — odrzekł Arpad — trzeba tam być. Tam czas żyje inaczej. Są trzy drogi. Na jednej czas się cofa, na innej galopuje, na środkowej stoi w miejscu. Ta ostatnia jest właściwa, możesz na niej spędzić wiele lat, a nie postarzejesz się nawet o rok. Wiem to dzisiaj... za późno. Nasz ojciec pomylił się albo został oszukany, a ja, korzystając z jego wskazówek, które znalazłem w skrytce w Nieświeżu, wybrałem złą drogę. Ale to nic, dzięki temu twój syn pójdzie dobrą i może będzie tym, który osiągnie cel...

Zdjął z palca delikatny sygnet i podał bratu.

— Masz, to największy łup ojca, żelazny, pozłacany... Ten kamień to topaz, po kolorze którego można rozpoznać judaszowe srebrniki. Teraz chcę się przespać, a rano dam ci mapę i szyfr, który zdobyłem, wytłumaczę o co chodzi i ruszam.

— Po co masz ruszać dalej, jesteś w domu...

— Od Niemna już ścigają mnie. W Białymstoku urządzili zamach, powiodło się wywinąć. W Warszawie zgubiłem ich dzięki przyjacielowi, któremu winniśmy wdzięczność. Zostawiłem mu połówkę dokumentu, który mam ze sobą, to znak rozpoznawczy. Gdy wyjechałem z miasta, znowu złapali ślad. Wysłali oddział saskich dragonów, z adiutantem Brühla na czele. Depczą mi po piętach, ten pupilek ministra nie jest głupi, na wszystkie strony rozsyła patrole, po jednym, dwóch, trzech ludzi, przeczesuje każdy dwór i pałac. Będą tu najpóźniej pojutrze, nie chcę narażać tego domu.

— Kto ich wysłał? „Milczące psy”?

— A któż inny mógł? Chcą odzyskać mapę i pierścienie, ale ja cały czas wiedziałem, że prędzej zjem to wszystko niż dam sobie zabrać. Gdyby się pytali, powiesz, że byłem obcym, któremu udzieliłeś gościny, nie znając mojego nazwiska.

— Gdzie chcesz jechać?

— Do Isaszegu, tam się ukryję.

— Imre pojedzie z tobą, jesteś słaby...

— Nie trzeba!

— Stryju, pojedę z tobą! — krzyknął Imre, otwierając drzwi na oścież. Starzec odwrócił białą głowę i po chwili milczącego zdziwienia rzekł:

— Ferenc, od kiedy twój syn decyduje w tym domu?... Nikt nie pojedzie ze mną!

Potem otworzył ramiona i przytulił bratanka do piersi.

Minęła północ, jak złożyli Arpada w łóżku i wówczas Ferenc rzekł synowi:

— Bądź gotów rano. Wezmiesz pachołka, trzy konie i broń i pojedziesz za nim. Będiesz go ubezpieczał. Staraj się, żeby cię nie spostrzegł. Za trzy dni dojedziecie do granicy, wtedy wracaj.

— Dziękuję, tato! — krzyknął Imre. — Obronię go przed całym piekłem, obiecuję ci!

Pobiegł do siebie uradowany, nie widząc zasepionego spojrzenia ojca. Żona próbowała go powstrzymać — miała przecucie katastrofy. Tłumaczył, że jego wyjazd jest koniecznością, że szybko wróci, ale nikt jeszcze nie przekonał żadnej z nich argumentem. Musiał ją zmęczyć swą miłością połykaną na zapas, a potem, o świcie, nakrył uspioną, ubrał się i zamknął cicho drzwi za błyszczącymi łzami, które wysychały na jej zaróżowionych policzkach.

Razem z ojcem odprowadzili stryja Arpada do wiedeńskiej drogi i życzyli mu szczęścia. Za nimi posuwał się ukradkiem pachołek prowadzący dwa osiodłane wierzchowce i luzaka. Czekali aż starzec dojedzie do zakrętu i zniknie za ścianą drzew.

Nagle z przeciwnej strony dobiegł ich tętent kopyt i ujrzeli galopującego jeźdźca z odbezpieczoną króciwą. Warkocz harcapan podskakiwał na dragońskim mundurze jak szpicruta, zdawało się batożąc go i zmuszając prześladowcę do szybszego biegu.

— Bassza meg!* — zaklął Ferenc, sięgając za wysoką cholewę.

Imre poczekał, aż ścigający zbliży się, skoczył na środek traktu i kiedy dragon mijali ich — rąbnął z całej siły szablą. Jeździec, zapatrzony w sylwetkę Arpada, dostrzegł niebezpieczeństwo w ostatniej chwili, kiedy zbyt późno już było na jakikolwiek manewr koniem. Wszystko, co mógł zrobić, to odchylić się instynktownie. Zdażył. Klinga zawadziła go o bark, rozcinając szarfę biegnącą przez plecy, odbiła się od guza na siodle i skręciwszy w dłoni napastnika, upadła. Rumak z jeźdźcem przelecieli obok, zostawiając za sobą drzenie powietrza i rozpaczliwą bezradność patrzącego na koński zad.

Wtem z ręki ojca wystrzelił długi, czarny wąż, którego język dosięgnął szyję kawalerzysty i okręcił się wokół niej z szybkością atakującej kobry. Świszcząca sinusoida rozciągnęła się gwałtownie w linię prostą jak stalowy pręt, rozległ się cichy trzask pękającego kręgu szyjnego i jeździec wyfrunął z siodła niczym z katapulty. Jego

* — Węgierskie przekleństwo, odpowiadające mniej więcej naszemu: „A niech to szlag!”.

ciało, z rozrzuconymi promieniście rękami i nogami, przez ułamek sekundy zawisło w powietrzu i wbiło się w ziemię, aż jęknęła. Zanim jej dotknął, był już trupem.

Starszy Kiss pochylił się nad leżącym i zdjął mu z szyi śmiertelną końcówkę *karikas*, kilkumetrowego plecionego biczka o krótkiej rączce, zwieńczonego na krańcu śrutem ołowianym. Była to tradycyjna broń madziarskiej partyzantki konnej *szabadcsapat*. Tymi strasznymi batami owa jazda atakowała nawet habsburską artylerię, szerząc spustoszenie wśród obsługi. Mistrzowie posługiwali się *karikas* z taką precyzją, że potrafili pędząc na koniu wybić przeciwnikowi dowolne oko, ściąć pałacy się lont tuż przy płomieniu lub wyjąć nóż z cudzej ręki nie dotykając palca. W rodzinie Kissów zdobywało się tę rutynę przed osiągnięciem pełnoletności.

Ferenc spokojnie zwinął bat i podał zmartwialemu synowi, mówiąc:

— Zapomniałeś, może się przydać.

Po czym dodał, ślepy na wstyd Imrego:

— Czekasz aż ja ci podniosę szabelkę, czy pogniewałeś się na nią?

Imre schylił się i podniósł ubłoconą broń, podczas gdy ojciec mówił dalej bezlitosne słowa, o których obaj nie wiedzieli, że muszą im starczyć na następne piętnaście lat:

— Nic gorszego jak jałowy cios. Tniesz powietrze kiedy przeciwnik się uchylił, i już jesteś bezbronny, walnie cię jak nic. Nie musisz zaraz ścinać łba, wystarczy rozbić, dlatego nigdy nie kładź całej siły w uderzenie, a przynajmniej nie wtedy, kiedy on jest w ruchu...

Wskazał na trupa:

— Pomóż mi przenieść go w krzaki, później wezmę pacholków, to go zakopiemy. I ruszaj, bo wam Arpad odjedzie za daleko.

Pożegnał syna i parobka krótkim:

— Isten veled!*

Przez dwa dni kłusowali drogami wśród lasów, zagajników i wiosek, uczepleni dalekiej sylwetki Arpada. Spadające liście lgnęły do rzemieni spuchniętych od wilgoci i uderzały o twarze jak nawilgłe motyle, łaskocząc i zmuszając do przymykania powiek. W drugim dniu zjawiono się słońce. Południowa jesień stała się piękna: pora deszczowa przeminęła wraz z przymrozkami i drzewa przybrały złocistobrazową barwę. Na polach zaaferowani ludzie przygotowywali grunt do okowów śniegu. Dopiero przed zmierzchem pogoda psuła się i po niebie gnały wielkie chmury jak oszalałe tabuny Boga.

Bliskość granicy zapowiedziały im trzeciego dnia dwa płaskie, falujące gęstwiną wzgórza o zaokrąglonych podstawach, niby dwie piersi kobiety leżącej w kroplach potu i oddychającej zmęczonym szczęściem. Za nimi ciągnęły się góry, z daleka martwe i bezbarwne, lecz im bliżej było do nich, tym bogatszą szatę przywdziewały. W odległej skalnej niecce kotłował się huragan i widać było, że wnet zejdzie w dolinę.

Zanocowali na drugim krańcu tej samej, leżącej w pobliżu przygranicznego miasteczka wsi, w której zatrzymał się Arpad. Ale gdy się obudzili, jego już nie było. Siąpiąca po burzy z nieba i podnosząca się z ziemi wilgoć przejmowała chłodem, gdy na wpół pozapinani od pośpiechu gnali w kierunku szczytów górskich iskrzących się

* — Z Bogiem!

bielą. Brzeg lasu otworzył im widok na kotlinę. Jej przeciwległy skraj zajmowało typowo podgórskie, samotne i wyobcowane z wielkiego życia siedlisko spiczastych dachów — omszały gródek, jeden z tych ponadczasowych symboli prowincjonalnego letargu, gdzie każda kobieta powtarza życie matki, babki i prababki, kojarząc szczęście z nadzieją bogactwa i zbawienia, a grzech z uleganiami nocnym kaprysom mężczyzny, który wrócił z dalekich przemytniczych wypraw zakażony fantazją ladacznic.

Dojechali tam pod sam koniec świtu, kiedy miasto, płaskie i bezwładne, rozwleczone aż po przełęcz, której siodło dźwigające placówkę graniczną stanowiło widnokres kotliny, zaczęło zmartwychwstawać. Na placu targowym było pusto i chłodno. Niska, smukła jak iglica wieża świątyni prowadziła wzrok ku postrzępionym obłokom, które rozganiał wiatr od gór. W oknach narożnego w rynkowej pierzei zajazdu poczęły gasnąć światła, jedno po drugim. Imre zapuścił wzrok przez szparę i natychmiast się cofnął. Skinął na pachółka, każąc mu nie przywiązywać koni do słupków, a sam rozejrzał się na dziedzińcu obok stajni. Wybrał potężny, okuty żelazem dyszel, przydźwigał go do wejścia chyląc się pod oknami i wydał chłopakowi rozkaz. Powtórzył dwukrotnie, bojąc się, że gapowaty osiłek od razu nie zrozumie, a gdy zapytał: „Pojąłeś?”, usłyszał w odpowiedzi:

— Zaśby nie!

Sprawdził proch na panewkach pistoletu i wsadziwszy je pod pas za plecami, wszedł do karczemnego wnętrza. Przy środkowym stole siedział oficer saskich dragonów w towarzystwie kilku swoich podwładnych, kończąc śniadanie. Na ławie, pod ścianą, leżał Arpad z rękami skrepowanymi na plecach. Imre skierował się wolno w stronę szynkwasu, tocząc wzrokiem po baterii butelek ustawionych na ozdobnej półce - tylko one go interesowały. Mijając stół chwycił za blat i gwałtownym szarpnięciem wywrócił z całą zastawą na krzyczących Sasów. Jedyne, który nie został przywalony, ogłuszył uderzeniem kułaka i skoczył ku stryjowi, rozcinając postronek nożem. Arpad, z tym samym spokojem, z jakim leżał, rozprostował ramiona, zbliżył się do oficera zakleszczonego między stołem a ławą, zdjął mu z palca pierścień, po czym wyszedł nie rzuciwszy bratankowi podziękowania lub choćby uśmiechu, zupełnie nieczuły na bieg wydarzeń, jakby miał w głowie wizję nieuchronności tego scenariusza aż do ostatniej sceny.

Po jego wyjściu pachółek zawarł drzwi od zewnątrz, wbijając jeden skraj dyszla w ziemię, a drugi u spodu klamki. Zanim potłuczeni żołnierze zdolali wygramolić się spod stołu, sterroryzowany karczmarz już wskazał Węgrowi loszek i odchylił kłapę. Imre wymierzył dwie lufy w dragonów i ruchem głowy pokazał:

— Włazić, a z łapami na karku!

Zeszli posłusznie, niosąc omdlałego towarzysza, i kłapa zatrzasnęła się. W ciszy słyhać było chór ich przekleństw i echo wybijane kopytami konia, na którym stryj Arpad galopował w stronę komory celnej.

Nagle zza okna rozległ się pogłos wystrzału i pękła uderzona szyba. Imre odwrócił się i ujrzał przylepioną do niej twarz swego pachółka, z szeroko otwartymi, pełnymi błagania oczami, które zachodziły mgłą.

— Panie!... panie!... — szeptał chłopak, osuwając się wzdłuż framugi i znacząc szkło strużką krwi wylewającej mu się z ust.

Kiss podniósł wzrok i zobaczył żołnierza, który stał na szczycie dzwonnicy, nie interesując się już pierwszą ofiarą; odrzucił dymiący pistolet i mierzył z karabinu w stronę gór. Otwarcie okna, skok na plac i bieg bez tchu ku kościołowi. Palec wskazujący snajpera drgnął. Akustyka kotliny zwielokrotniła huk i zagłuszyła daleką skargę konia, który runął pod jeźdźcem na gościniec. Imre z rozpędu zrobił jeszcze kilka kroków, rozkołysując *karikas* nad głową, wprowadzając go w ostry ruch obrotowy, w stożkową spiralę, która wirowała z taką szybkością, że jej wznoszący się szczyt przestał być dostrzegalny ludzkim okiem. Kiedy osiągnął właściwy pułap, nadgarstek dłoni trzymającej rękojeść zmienił kąt o milimetr i niewidoczna kropla ołowiu smagnęła czoło strzelca, tnąc je do kości i oblewając krwią. Żołnierz zachwiał się, odbił od dzwonu i poleciał w swoją śmierć u stóp Węgra, z krzykiem, który niosło po górach. Spiżowy grajek leniwie kończył własną melodię i znowu zapanowała cisza.

W karczmie Imre wypuścił oficera z lochu, związał go, dopilnował aż karczmarz zabije klapę ciężkimi żelazkami i dosiadł koni wraz z więźniem. Pojechali stępą ku miejscu, w którym leżał martwy Arpad. Kula trafiła konia, jeździec poniósł śmierć przy zetknięciu z ziemią. Trzeba było dobić wijące się z bólu zwierzę, wyciągnąć spod niego zwłoki stryja, przerzucić je przez grzbiet luzaka, przywiązać i odjechać szybkim kłusem, bo od komory biegła już zaalarmowana strzałami straż graniczna.

— Człowieku, opanuj się! — krzyknął oficer, gdy w lesie zwolnili. — Wiesz, kim jestem? Adiutantem hrabiego von Brühla, pierwszego ministra Rzeczypospolitej!

— Szkoda — odparł Kiss. — Wolałbym twego pana, choć i jego byłoby za stryja mało!

— Jeśli mnie puścisz, zapomnę o wszystkim!

— Jeśli cię puszcze, nie daruje mi moja pamięć. Milcz!

— Szaleńcze, w okolicy jest pełno moich patroli, natkną się na nas lada chwila!

— Więc lepiej módl się zamiast gadać, bo im szybciej ich spotkamy, tym szybciej zdechniesz. Nie gadaj już, milcz!

Oficera porwał beczelny śmiech:

— Łgarstwo, szaraku, nigdy byś się nie ośmielił! Prędzej czy później wolny będę, a wówczas cię poszukam i nie znajdziesz takiego miejsca w tym kraju, w którym mógłbyś się skryć. Korzystaj pókim dobry, puść!

— Milcz pókim ja dobry — wrzasnął Imre — bo zatłukę od razu!

— Nie ośmielisz się... — powtórzył oficer, ale już nie z tą samą pewnością.

Więcej nie rozmawiali. Wieczorem znowu zerwała się wichura. Wplątywała się w gałęzie jak we włosy, zmuszając do pochylania twarzy. Ciemna, nieprzejrzysta powódź mroku zaczęła pełzać po rzędziejących konarach drzew i wsiąkać w każdą szczelinę przestrzeni. Na skraju lasu ujrzeni blade światelko i odcinającą się od granatu nieba szarość dymu nad kominem chałupy. Kopiając w drzwi Imre obudził gospodarza i zażądał łopaty. Kilkadziesiąt kroków za chałupą, na skraju polany oświetlonej księżycem, rozwiązał oficera i wręczając mu szpadel rozkazał:

— Kop!

Po pół godzinie grób był gotowy. Zmęczony Sas rzucił łopatę i podszedł do luzaka, by zdjąć ciało zabitego.

— Nie rusz! — warknął Imre. — On nie pies, żeby go grzebać w gołej ziemi!

Wyjął nóż i zbliżył się do oficera. Tamten, zrozumiawszy, opadł na kolana; drżał jak w febrze, po policzkach płynęły mu łzy lub pot, mokrą miał całą twarz. Ruszał wargami, nie mogąc wymówić słów, które układała mu chęć życia. Imre stał i patrzył nań wzrokiem pełnym nienawiści; czas włókł się jak grudniowa noc, a on czuł, że zaczyna go ogarniać dziwne paralizujące drętwienie ciała.

— Ty wszarzu, karaluchu, morderco! — wymówił przez zęby. — Nawet nie potrafisz cię zabić!

Kołysał się nad skulonym Sasem, pijany z wściekłości i niemocy. Potem pochylił się, jakby chciał zebrać łuski po wystrzelonych obelgach, i szepnął oficerowi w ucho:

— Uciekaj!... Idź do diabła!... Idź sobie!

Nawet nie zauważył kiedy został sam. Przesztorza nawoływały go pogmatwanymi głosami kniei, duchami zaszczutymi nawałnicą, dudnieniem dalekich gromów, rudymi strzępami pożarów, które oglądał w dzieciństwie. Kilka godzin minęło nim się uspokoił i zaczął żywić swój umysł ciszą nocy. Dosiadł wierzchowca, pozbierał luzaki i ruszył na oślep, nie wiedząc gdzie, drogę wybierał koń. Otworzył przytomniej oczy, gdy zwierzę stanęło. Noc zamieniała się w szarość wilgotną od rosy. Wokół niego stały krzyże i kamienne epitafia, wszystkie milcząco wpatrzony w intruza, jakby chciały zapytać, czemu zakłóca im sen. Był na cmentarzu.

Zaczął wędrować po tym muzeum obojętnych mu śmierci. Wybrał zapuszczony grobowiec, w którego płycie tkwiły dwie kłamry z żelaza. Potem szukał dużego kamienia, ale natrafiwszy na drewniany pieńek zadowolili się nim. Teraz potrzebował już tylko sznurów. Wiedział, że takie sznury do spuszczenia trumien trzyma się za ołtarzykami wielkich grobowców rodzinnych, zbudowanych w kształcie kaplic. Włamał się do trzech i znalazł. Przymocował sznury do żelaznych wypustów w marmurze, przerzucił je przez konar drzewa rosnącego obok grobu i uwiązał do koni. Uderzone po zadach szarpnęły i poszły w przód. Usłyszał zgrzyt kamienia i odwróciwszy głowę zobaczył, że płyta podniosła się, lecz gdy tylko przestawał pobudzać konie, odchodząc od nich ku grobowi, ciężar ściągał je do tyłu i płyta wracała na swoje miejsce. Kilkakrotnie próbował, lecz ani razu nie zdążył podbiec do grobu i podeprzeć jej.

Wtedy przypomniał sobie o *karikas*. Stanął obok grobowca i sieknął zwierzęta po zadach płaskim uderzeniem pod gałęzią, a gdy uniosły płytę, błyskawicznym kopnięciem wepchnął pieńek w półmetrowy prześwit między nią a cokołem. Zajrzał do środka, w ciemną czeluść, z której pachniało stęchlizną starego drewna i pleśniejącego muru. Przez chwilę przyzwyczajał wzrok, aż dostrzegł wieko najwyższej trumny. Wsunął ciało stryja pod płytę, nogami w dół, ale nie mógł sięgnąć dalej i puścił, wzdrygając się, kiedy uderzyło o trumnę. Jakby w odpowiedzi zakrzyczał nad drzewem dziki ptak i jeden z koni pociągnął linę. Imre szarpnął się całym ciałem do tyłu, poczuł palący ból i wszystka jego świadomość utonęła w głębokim mroku.

Ocuciły go strumienie ulewy, chłoszczące krzyże i ziemię. Z ciemnego nieba lał nieprzerwany potop. Na gałęzi, kilka metrów od niego, siedział przygnębiony ptak nijakiej maści. Łeppek wtulił między skrzydła, przymknął oczy i czekał, aż przestanie padać. Czekali razem, identycznie odrętwiali.

Dopiero gdy spoza chmur wyrzało słońce i spróbował wstać, zauważył, że prawą dłoń ma uwięzioną między cokołem a płytą, która zmiażdżyła mały palec. Odciał go

nożem u podstawy, nie czując bólu, i zabandażował ranę rękawem koszuli. Pozbierał wierzchowce i opuścił cmentarz, by poszukać drogi.

Korzystając z pomocy Cyganów, którym oddał dwa konie, przedostał się do Słowacji. Kiedy powiedziano mu, że granicę ma już za sobą, poczuł niespodziewany żal i odwrócił się. Daleko, za ścianą gór, błysnęło jakieś światelko - może niewidoczne słońce prześliznęło się przez chmury i wydobyło płomyk ze skał. Po chwili zgasło, jakby ktoś zatrzasnął drzwi.

Starszy syn naczelnika taboru pragnął zatrzymać Węgra w obozie. Obiecywał dobry zarobek z przemytu, lecz Imre odmówił. Słyszając to Cyganicha warząca ogniskową strawę zaskrzeczała:

— Nie bójta się, jeszcze się spotkacie we światach, niech przeminą roki a roki. A jak się spotkacie, nic już nie rozdzieli was, krom zgonu. Mówię wam, wspomnicie.

Zatrzymał się najpierw we wsi Darenk, na ziemi Esterhazyh, gdzie osiedli polscy wygnańcy, którzy przed laty wspomagali dowodzone przez Rakoczego powstanie „kuruców”. Tam dowiedział się od przemytniczego kuriera, że w Polsce wyznaczono cenę na jego żywą lub martwą głowę i że z rozkazu ministra Brühla tak zaciekle go szukają, iż naraża się na niebezpieczeństwo mieszkając zbyt blisko granicy. Przeniósł się do Isaszegu, osady hrabiego Grosalkowicsa, gdzie również mieszkali Polacy, wygnani zwolennicy króla Stanisława Leszczyńskiego z wojny domowej w latach 1733-1735. Opuścił Isaszeg, gdy Grosalkowics zaczął prosić na polowania polskich i saskich magnatów z Warszawy.

Los rzucił go nad Sekwanę, ale wciąż nie zamierzał się uśmiechać. Imre sprzedał ostatniego konia, a potem siebie samego do dźwigania ciężarów w ludwisarni, w końcu zaś do wojska. Budził respekt swoją straszną siłą, dlatego w niespełna pół roku awansował na sierżanta. Pewnego dnia koledzy zaprowadzili go do kawiarni, w której jakiś moczarniarz mierzył się z chętnymi na rękę, zarabiając przy tym spory grosz. Położyli na stole woreczek z uzbieranymi ludwikami, stawiając je przeciwko takiej samej sumie.

Ujrawszy Kissa siłacz podniósł się i wyciągnął doń prawicę na powitanie. Czując uścisk żelaznych kleszczy Imre zrozumiał, że to próba jego wytrzymałości. Przeciwnik zmiażdżył mu dłoń i uznając, że wystarczy, chciał cofnąć swoją, ale kamień nie wypuścił kosy — cztery palce Węgra zamieniły się w haki zginane milimetr po milimetrze. Żyły na obu czołach spęczniały pod skórą, grożąc jej przebicciem, słychać było tylko chrapliwe oddechy i trzeszczenie stawów. Z ust zawodowca wyrwało się zduszone:

— O, kurwa!

Jęknął to czystą polszczyzną, zaskakując Kissa.

— Polak jesteś? — spytał Imre, rozluźniając uścisk.

— Polak, psiakrew, i do tego od dzisiaj jednoręki, niech cię cholera!... Chodź, zostawmy tych żabojadów, napijemy się.

Nowym znajomkiem Kissa był starszy odeń o pięć lat Michał Dzierżanowski, jeden z tych obieżyświatów, których w encyklopediach nazywa się „zawodowymi awanturnikami”. Aczkolwiek odegra on swoją rolę w „Milczących psach”, nie należy do najważniejszych postaci tej książki, dlatego po jego życiorys odsyłam Czytelników do „Polskiego Słownika Biograficznego”, gdzie znajdziecie podstawowe daty i fakty.

Ja zaś sięgnę do pamiętników Stanisława hrabiego Wodzickiego po dwa celne zdania o Dzierżanowskim: „Wzrostem ogromny, tuszy dobrej, wyglądał jak rydz. Znać było po nim, że to człowiek, co ufając w swoją siłę i spryt, potrafi dać sobie radę w każdym przypadku”.

Od Dzierżanowskiego Kiss usłyszał o zaciągu do dalekich, kąpiących od złota Indii, gdzie gubernator Dupleix stworzył francuskie mocarstwo kolonialne ze stolicą w Pondichery, zamieszkiwane przez trzydzieści milionów ludzi. Wyłynęli razem z Saint-Malo wiosną 1752 roku. Gdy lądowali w Negapatam, na Wybrzeżu Koromandelskim, Imre skończył dwudziesty drugi rok życia i wszedł do Sezamu z baśni. Przepych Paryża i Wiednia wydawał się lichym odpustem wobec nagromadzonych tu bogactw. Ich symbolem, na widok którego Wersal i Schoenbrunn spaliłyby się ze wstydu, była rezydencja wicekróla zwana Dupleixfatihabad (Miasto Sławy Dupleixa) — nigdzie w Europie nie istniało coś, co mogłoby się równać z tym cudem wschodniej półkuli. I nigdzie na świecie nie było tak pięknej kobiety, jak markiza Joanna de Castro Dupleix, małżonka gubernatora. Tej Kreolce o olśniewającej urodzie, już za życia otoczonej legendą, tubylcy w południowej Azji nadawali cechy bóstwa przezwiskiem: Joahanna Begoum. Jej wygląd zatrzymał się między dojrzałością kobiety a nieświadomością dziecka, dając obraz, który nie pamiętał o swoim ziemskim pochodzeniu, wdzięczny nad podziw i podniecający do szaleństwa. Kissa ogarniało przerażenie, gdy patrzył na Dzierżanowskiego, którego półprzytomny wzrok zdawał się krzyczyć: Chwała niech będzie Bogu Najwyższemu, że ofiarował światu tę najpiękniejszą z kobiet!

W walkach przeciw Anglikom, próbującym zlikwidować krainę Dupleixa, obaj dokonywali pięknych czynów. Zapamiętywano ich, bo podczas każdej bitwy trzymali się razem i przez swój wzrost wyglądali jak dwa mamuty, które spotkały się w świecie Pigmiejów. *Karikas* Węgra budził przerażenie Anglików i sipajów, i kiedy Brytyjczycy poznali wreszcie nazwisko biczownika, zaczęli go nazywać: *Kiss of Death* — Pocałunek Śmierci. Francuzi z otoczenia wicekróla nazywali śmiertelny bicz „skorpionem”, z czego Dzierżanowski, spytawszy o datę urodzenia się Kissa, zażartował:

— To nie skorpion, lecz ogon skorpiona, bo ty jesteś spod tego znaku!

Po kilkunastu miesiącach obaj awansowali na członków przybocznej straży Dupleixa, do której przepustką było ponad sześć stóp wzrostu. Po kilku tygodniach od tej nominacji Polaka przychwycono w przedsionku apartamentów Mme Dupleix, gdzie nikomu prócz męża i służby nie było wolno wchodzić. Imre, usłyszawszy wrzask z dziedzińca, znalazł się tam kilkoma potężnymi susami, mimowolnie zwracając uwagę wszystkich swoim wejściem na scenę, a Dzierżanowski wykorzystał tę chwilę roztargnienia prowadzących go żołnierzy i strząsnął z siebie cztery ciała niczym niedźwiedź otrząsający się z psów. Nie mogli za nim biec ku bramie, bo Kiss zaczął strzelać biczem wzdłuż muru, czyniąc ze swej czarnej żmiji ruchomą ścianę nie do przejścia. Kiedy skończył, za bramą można było szukać wiatru w polu.

Sądzony przed gubernatorem rzekł, iż stanął w obronie Polaka odruchowo, tak jak broni się przyjaciół. Dupleix mu nie uwierzył, ale Dupleix był dżentelmenem: bez pewności nie mógł skazać człowieka na śmierć i dlatego rozstrzygnięcie oddał losowi — Kissa osadzono na jednej z bezludnych wysep archipelagu Maskarenów. Taki

wulkaniczny wyprysk na powierzchni oceanu dawał szansę przeżycia jak 1 do 10 w ciągu pierwszego roku. Z każdym następnym szansa wzrastała.

Najdokładniej zapamiętał pierwsze dni. Stał na brzegu i patrzył na łódź odpływającą w stronę fregaty, słyszał skrzypienie lin i żagli łapiących podmuchy wiatru, a potem obserwował sylwetkę okrętu malejącą na horyzoncie w szkarłatnym blasku słońca, które schodziło ku zachodowi. W ostatniej chwili przypomniał sobie o ogniu, który mu zostawiono wraz z tygodniową racją żywności, odgarnął grubą poduszkę popiołu z cennego żaru, tchnął nowe życie w gasnący płomyk i powrócił na brzeg morza.

Początek był najgorszy — w takich przypadkach zawsze najgorszy jest debiut. Kraby pustelniki podpełzały ze wszystkich stron i kradły mu żywność jak szczury. Latające ryby padały na piasek. Wszystko co gryzł i połykał, miało słony smak wodorostów. Którejś nocy ulewa zgasiła ognisko i przez kilka dni uczył się pierwotnego rozpalania ognia. Potem już tylko walczył o przeżycie w monotonii tych samych, martwych dni, tygodni i miesięcy, wolno zamieniając się w dzikusa. Człowiek, który z głodu rozszarpuje zębami żywe złapane stworzenia, przestaje być tym samym człowiekiem. To wcale nie znaczy, że musi się zezwierzęcić i wyokrutnieć, ale może zmienić światopogląd. Los jest zaprawdę potężnym kowalem swego człowieka.

Oczywiście zmiana światopoglądu niekoniecznie oznacza pożegnanie z Bogiem, ale na przykład niewiarę w Anioła Stróża, będącego przeciwieństwem ślepego losu (La Rochefoucauld powiedział: „Nikomus los nie wydaje się tak ślepy, jak tym, którym nie sprzyja”) i godłem Opatrzności, które łatwiej wykreślić z przekonań niż Stwórcę. Tak czy owak w obu przypadkach przez prawidłową przesłankę dochodzi się do błędu, podobnie jak w wielu innych sprawach — zdarza się to bardzo często.

Lecz zostawmy tę filozofię, jeszcze mniej rozumiałą niż cały dramat XVIII — wiecznych Polaków (jakże bardzo chciałbym być muzykiem i pisać „Milczące psy” za pomocą nut, bo to jest jedyny szyfr zrozumiały na wszystkich kontynentach i nie wymagający tłumaczeń). Wróćmy do Kissa.

W którymś dniu obudził go Dzierżanowski. Klęczał nad nim i potrząsał za ramiona. Kiss otworzył oczy, pytając:

— Co jest?

— Jak to co jest?! Ty mnie pytasz?!... Co z tobą?

— Dobrze. Który dziś dzień?

— Siódmy stycznia 1755... Prawie dwa roki! Nie zapomniałeś gadać, na szczęście.

— Nie zapomniałem, gadałem ze sobą.

— Ze sobą?!... Toś się musiał dużo od siebie dowiedzieć, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!

— Owszem, więcej jak od innych — szepnął Imre.

Na statku ogolili go i ubrali. Pierwsze solone jedzenie zwrócił i przez kilka dni chorował. Zwłóknął się z koi, gdy odpływali do Pondichery. Zapytał Dzierżanowskiego:

— Dlaczego po mnie przyplynałeś? Dupleix mi darował?

— Nie. Odwołali go do Paryża i uwięzili.

— Za co?

— Chyba za to, że przysparzał Francji chwały i dochodów, i że był mądry i odważny.

— To prawda, taki był.

— Kto ma szczęście w miłości, brachu, nie ma w kartach. Wiem coś o tym i wiedziałem, że on przegra swoją grę. Uwierzysz, mówili mi, że płakał, kiedy wyjeżdżał. Myślał że dostanie od swoich pomnik, a rozwaliły go skurwysyny z Wersalu za brytyjskie pieniądze. Dobre pieniądze, sam je brałem, w korsarkę się bawiłem przez ostatni rok. Ale jego mi szkoda... i jej. Jak dopływaliśmy do tej twojej zaszraney wyspy, zawołał mnie bosman, orki napadły wieloryba. Sto piekieł! Rwały go w strzępy, aż furkotało, jak wściekły się bronił, ale go żywcem rozniosły na czerwoną pianę! Patrzyć nie było można. Pomyślałem wtedy, że to Dupleix.

— Kto jest po nim?

— De Bussy. Pamiętasz go? Też równy, warto dla niego pracować. Ciężko jest, ledwo się trzymamy, Anglicy gniotą...

Kompania Wschodnio-Indyjska, brytyjski walec wyrównujący Półwysep pod panowanie Albionu, zdążyła wyprzeć Francuzów z zajętego przez nich terytorium w niespełna rok. Dupleixfatihabad spłonął i zamienił się w posępną ruinę. Markiz de Bussy Castelnau postanowił odciążyć Pondichery, wokół którego skupiły się angielskie wojska, wzniesieniem antybrytyjskiego wybuchu w Bengalu. W roku 1756 objął tam władzę nienawidzący Anglików osiemnastoletni nabab Siradž-ud-Daula; de Bussy wysłał do niego drogą morską dwóch zaufanych ludzi, majora Dzierżanowskiego i kapitana Kissa.

Wojna między Bengalem a Kompanią wybuchła jeszcze tego samego roku i początkowo przyniosła Bengalczykom sukcesy. Wszystko jednak rozstrzygnęło się 23 czerwca 1757 roku pod Plassey, w ciągu sześćdziesięciu minut. Głośna „jedna przeklęta godzina pod Plassey”.

Pod Plassey nierówność sił na korzyść Bengalczyków i Francuzów, a więc na niekorzyść Brytyjczyków, była ogromna — jeden do dwudziestu! A jednak ci ostatni uderzyli na armię nababa. Siradž postanowił znieść ich szarżę swej konnicy, którą dowodził Mir Dżaffar. Skinął na Kissa i polecił mu zawieźć rozkaz do ataku Mir Dżaffarowi

Kiedy Imre uderzył konia ostrogą, podjechał doń Dzierżanowski. Miał dziwny wzrok, pełen nieczystego sumienia, oczy nikczemnika, który nogą potracił piekło, ale podniecony bitwą Kiss był ślepy.

— Nie pchaj się naprzód. Przekaż rozkaz i od razu wracaj! — szepnął Polak.

— Czemu, u diabła?! Chcę się bić!

— Powiedziałem ci, nie pchaj się! Bywa, że tym, którzy biegną na samym przodzie, swoi przypadkowo strzelają w plecy... To stara mądrość, nie słyszałeś?

— Idź do kaduka ze swoimi mądrościami! — odparł Kiss i pognął w stronę gęstniejących na płaskowyżu mas bengalskiej kawalerii.

Mir Dżaffar wysłuchał kapitana spokojnie i podniósł dłoń. Szeregi drgnęły i ruszyły. Kiss, z obnażoną szablą, momentalnie wysforował się przed przyboczną rotę dowódcy. Wówczas ręka Dżaffara skoczyła ku olstrom, wymierzyła pistolet i strąciła Węgra z siodła. Nie zatratowali go, gdyż w tej samej chwili konne szeregi Bengalczyków zmieniły kierunek i uderzyły na ... piechotę bengalską. Niepodległy Bengal przestał istnieć.

Angielscy lekarze okazali się dobrymi fachowcami, w czym pomógł im fakt, że kula nie uszkodziła ważnych organów wewnętrznych. Od tych medyków Imre dowiedział

się, że przed bitwą pod Plassey zdradzili Siradża prawie wszyscy otaczający go doradcy, dowódcy i dostojnicy dworscy z Mir Dżaffarem na czele, i że srebrników dostarczyli w tym celu bankierzy bengalscy, bracia Seth. Przypomniawszy sobie, co mówił ojciec o purpurowych srebrnikach. Przypomniawszy sobie również ostatnią naradę u Siradża i milczące twarze braci Seth, Mir Dżaffara oraz kupca Omi-Czanda, pośrednika między Anglią a zdrajcami. Od tej pory słowa ojca o „milczących psach”, które w młodości puszczał mimo uszu, zaczęły coś dla niego znaczyć. Pojęciem abstrakcyjnym zawsze brak siły zanim się nie upersonifikują.

Kilka miesięcy później był zdrow jak ryba w wodzie, gdyż Dzierżanowski wydobyl go z lochów kalkuckiego Fortu William. Raz jeszcze znaleźli się w Pondichery, lecz na krótko. Jakieś informacje, które zdobył wywiad Francuzów, sprawiły, że major Dzierżanowski zaczął się czuć nieswojo. Którejś nocy obudził Kissa:

— Ubieraj się, musimy wiać! Szybciej!

Zwiali aż do Lizbony, by następnie uprawiać korsarstwo, do chwili niefortunnego spotkania z okrętem wojennym. Pościg zakończył się u wybrzeży Madagaskaru. Podpalili statek i skoczyli do wody. Brytyjczykom udało się prawie całą załogę wyłowić i powiesić na rejach; uniknęło tej huśtawki tylko pięciu, ale wśród tej piątki nie zabrakło ani Kissa ani Dzierżanowskiego.

Na Madagaskarze pan major zyskał u tubylców wielki poklask i ogłosił się królem. Ceremoniał składania mu wiernopoddańczej przysięgi opisał Bolesław Kuźmiński w tekście pt. „Michał I z Bożej łaski król Madagaskaru”:

„Uroczystość odbyła się na obszernej równinie, gdzie zebrało się około trzydziestu tysięcy ludzi, uszeregowanych rodami (...). Zbliżającego się nowego władcę powitał radosny okrzyk. Zaprowadzono go do pierwszej z kolei grupy, na czele której stał najstarszy rodu, a przy nim leżał spętany dobrze upasiony wół. Naczelnik długim, ostrym nożem, wypowiadając przysięgę ofiarną przy głośnym wtórze członków swego rodu, poderżnął gardło zwierzęciu, po czym każdy z grupy zbliżał się do wołu, maczał palec we krwi i połykał parę kropli krwi, głośno rzucając na siebie przekleństwo, gdyby uchybił obowiązkowi wierności i posłuszeństwa. Podobna ceremonia odbyła się kolejno przy wszystkich rodach (...). Trwała parę godzin, po czym wodzowie kazali ludowi rozejść się, a Dzierżanowski ugościł starszyznę znakomitym likierem, kazawszy również ludowi przekazać kilka baryłek gorzałki”.

Trzech majtków, skrywając obrzydzenie, wzięło się do małpowania tubylców; później z nieukrywaną ulgą wypłukali byczą krew spomiędzy zębów alkoholem. Pozostał Kiss, na którym spoczywał ciężki wzrok monarchy. Imre podszedł do wołu, zbliżył swą czteropalczystą prawicę do rozciętej gardzieli, potem do ust i ruszając nimi w powietrzu udawał, że zlizuje krew z palca... piątego, obciętego na grobie stryja. Dzierżanowski zacisnął szczęki, lecz nic nie rzekł.

Na wieść o tej ceremonii francuski gubernator Ile de France, pod którego opieką znajdował się Madagaskar, zażądał od Dzierżanowskiego uznania protekcji króla Francji, na co „Michał I” odparł, że jako udzielny władca może pertraktować z Burbonem niczym równy z równym. Karna ekspedycja wojskowa z Ile de France wybiła mu to z mózgu. Uciekli wraz z Kissesem na Świętą Helenę, gdzie „Michał I” dostał się za angielskie kraty, co pozwoliło później pewnemu historykowi zażartować, iż „Napoleon Wielki nie był pierwszym monarchą więzionym na tej wyspie”.

Kapitan Imre, nie czekając na uwolnienie towarzysza, wyjechał przygodnym statkiem handlowym do Francji. Tam dowiedział się, że w październiku 1763 roku zmarli nieomal równocześnie król August III Sas i jego prawa ręka, graf Heinrich von Brühl, przez co w Polsce zapanowało bezkrólewie. Nie oznaczało to jeszcze dlań możliwości powrotu, gdyż liczono się z wyborem kolejnego Sasa, kiedy jednak stronnictwo saskie poniosło klęskę i królem został pupil Petersburga — Kiss postanowił wrócić.

Bał się zastać tę swoją dawno pożegnaną ziemię obcą - obcą niby podstarzała narzeczona, do której marynarz wraca po latach i zawiedziony wcale się nie uśmiecha. Kiedy przybył pod swój dom, jego oczom przedstawił się widok ze złych snów. W miejscu stajen i obór widniały zwęglone kikuty, które porastała dzika roślinność. Dwór już prawie się rozleciał, podwórze zarosło krzewami, studnia wyschła, płoty upadły i spróchniały, popękane ściany przykryły liszaje mchów, a w złamanym dachu nasienie brzozy wypuściło zielony pęd. Zmierzch począł zapadać, a on stał nie mogąc przestąpić furty tego koszmaru.

Nagle w szybie oficyny mignął upiornie błędny ogień. Imre zbliżył się wolno i przyłożył nos do szkła. Wnętrze skąpane w blasku świec miało coś z nieruchomych malarskich „nokturnów” Georgesa de la Toura — dwie osoby wyrwane z przestrzeni przez drżący płomień. Na szerokim, rzeźbionym łożu spoczywał siwowłosy mężczyzna o twarzy stryja Arpada. Imre zatrzęsł się, choć wiedział, że to niemożliwość. Obok łóżka siedział, wpatrując się w leżącego, czarnowłosy chłopiec. Gdy skrzypnęły drzwi, powiedział nie odwracając się:

— Znowu cię nie ma, Stańko! Idź, przynieś wody!

Nie usłyszawszy odpowiedzi, przekręcił głowę i po samej posturze stojącego w półmrocznym świetle drzwi zrozumiał, że to nie pacholek. Zmierzył sylwetkę przybysza zaciekawionym spojrzeniem i zapytał:

— Kto pan jest?

— Jestem Imre Kiss.

Chłopiec poderwał się i oczy zabłyśły mu jak dwa rubiny.

— Tata! Wróciłeś... — wyszeptał i zaczął płakać bezgłośnie. — Ja już... ja już nie daję rady!...

Tuląc jego drgające ciało Imre uświadomił sobie, że miał go przez piętnaście lat nie wiedząc o tym, i że będzie musiał mu zwrócić tyle samo lat czułości. Teraz jednak musiał dokonać wielkiego wysiłku, by samemu nie wybuchnąć płaczem.

— Jak masz na imię? — zapytał.

— Zol... Zoltan, tato.

— Gdzie matka?

— Mama umarła, kiedy mnie rodziła... Rodziła za wcześnie, bo oni przyjechali i spalili nas.

— Jacy oni?!

— Ludzie Brühla. Szukali ciebie... Powiedzieli, że zabiją cię, tak jak zabili stryjka Arpada.

Imre spojrział na leżącego.

— Przecież on tu jest...

— Kto?

— Stryj Arpad.

— Tato, co ty mówisz, to dziadek Ferenc!

Imre poczuł zawrót głowy i przymknął oczy, starając się odzyskać równowagę.

— Tak, synu, tak... Zmienił się, wygląda całkiem jak tamten, zupełnie tak samo...

— Zestarzał się. Osiwiał w tę noc, kiedy nas spalili. Tak mówiła babcia. Ona umarła trzy lata temu. Dziadek płakał po niej. Potem czekał na ciebie, a potem zachorował. Coraz mocniej choruje, już nie wstaje, ale nie umiera.

— Co mu jest?

— Lekarze mówią, że nie ma takiej choroby. Nic mu nie jest, a słabuje. Teraz zasnął. Ciągłe mu się śni stryjek Arpad. Obiecał mu, że ty wrócisz.

— Kto mu obiecał?

— No, stryjek...

Żeby pogrzebać stryja Arpada w rodzinnej ziemi, trzeba go było przywieźć na nią. Błądząc przez tydzień Imre odnalazł stary cmentarz. Nic się na nim nie zmieniło. To samo drzewo rosło nad tym samym grobowcem przy tym samym deptaku ludzi zmarłych, to samo epitafium, a obok dwie zardzewiałe klamry, między kamieniami śmigały te same jaszczurki, szeleszcząc niczym węże, lub zastygały na moment w plamie słońca, jak maleńkie polerowane rzeźbki na komodzie. Lecz kiedy odwalili z pachołkiem płytę, spojrzała ku nim zimna, milcząca studnia, pusta aż po wieko najwyższej trumny. Nie było śladu kości lub ubrania, zniknęło wszystko, co złożył tu przed laty, nawet szabla, jakby i ją strawił zachłanny czas. Rozejrzał się, ponownie sprawdzając — nie mogło być mowy o błędzie, to był ten sam grób.

— Wasza miłość! — krzyknął Stańko, wskazując brzeg cokołu.

Na skorodowanych kamieniach leżał mały palec, wyczyszczony przez robactwo do barwy greckiego marmuru, a na nim połyskiwał żelazny, pozłacany sygnet Arpada, z blad różowym topazem przytrzymywanym przez cztery kolce. Taki sam pierścień jak ten, który stryj dał ojcu, teraz wsadzony na szkielet uciętego przed laty małego palca zdawał się odrealniać świat. Imre spojrzał odruchowo na zarosłą bliznę swej dłoni i odwrócił się, tak jak odwracamy się zawsze, kiedy wydaje się nam, że ktoś nas obserwuje. Nie zobaczył nikogo. Cmentarz zionął pustką, tylko wiatr skamlający między nagrobkami dowodził, że wszystko to nie jest snem.

Z zamyślenia wyrwał go Stańko:

Piękności kamyczek, musi drogi jak jasna kobyła! Jak się toto zowie, panie?

— Topaz — odparł Kiss, podnosząc swój palec i chowając go do kieszeni.

Wielki brytyjski antropolog i religioznawca, James George Frazer, pisał w swym głównym dziele, „Złota gałąź”: „Starożytni przywiązywali wielką wagę do magicznych właściwości kamieni szlachetnych(...). Ciężar i stałość nadają wszystkim kamieniom użyteczność magiczną, jednakże specyficzne cechy magiczne przypisywane są szczególnym kamieniom w zależności od ich indywidualnych czy gatunkowych kształtów i barw”.

Barwa topazu w pierścieniu po Gulyi Kissie, przywiezionym przez Arpada Kissa ze Żmudzi, chociaż bardzo oryginalna (różowy topaz jest najrzadszym w rodzinie topazów) — miała walor nie tyle magiczny, ile mechaniczny: pozwalała przez porównanie rozpoznać różane srebro. Magiczny był sam rodzaj kamienia i rodzaj przekazu. Tego typu kamienie należały do szamanów, wodzów lub mężczyzn pełniących w rodzinie

kluczową rolę i były przekazywane tym, którzy mieli pełnić analogiczną rolę w następnym pokoleniu. Wytwarzało to sztafetę krwi, mistyczny łańcuch o ogromnym znaczeniu.

Obok wartości wynikającej z przekazu pokoleniowego, kamienie magiczne — czy to w postaci insygniów władzy, czy też innych sygnałów symbolicznych — posiadały potężny walor znaczeniowy w zależności od swego rodzaju, walor związany z fatalizmem ludzkiego losu. Nauki zwane hermetycznymi (wiedza tajemna), rozwijane od starożytności po wiek XIX, jak również nauki nowoczesne, znają opracowane szczegółowo systemy zależności znaków organicznych (np. związanych z ludzkim ciałem), mistycznych, astrologicznych i innych, pozwalające specjalistom czytać w człowieku niby w otwartej księdze, a także odkrywać czy ujawniać jego przeznaczenie. Wybitny współczesny uczony francuski, Pierre Guiraud, pisze o tym w swej pracy „La semiologie” i przykładowo podaje tablicę korespondencji występujących między znakami zodiaku, kartami taroka, częściami ciała i ich chorobami, szlachetnymi kamieniami itd. Na tablicy zaprezentowanej w książce Guirauda punktem wyjściowym dla każdej jednostki jest znak zodiaku, a więc data urodzenia. Tabela obejmuje osiem kolejnych przedziałów z wartościami symbolicznymi, są to: zodiak, tarok, geomancja, ciało ludzkie, kolory, kamienie, metale i palce dłoni. Kod Skorpiona wygląda tu następująco: w przedziale talii kart do taroka — karta z wizerunkiem śmierci, w przedziale geomancji — *tristitia* (smutek), w przedziale ciała ludzkiego — narządy płciowe, w przedziale kolorów — kolor czerwony, w przedziale kamieni — topaz, w przedziale palców dłoni — palec mały i towarzysząca mu cyfra 2.

Kości tego małego palca, z pierścieniem, którego nie dało się ściągnąć, Imre zaszył w skórzanym woreczku i zawiesił sobie na szyi. Kiedy otrzymał od ojca identyczny sygnet, nie przyznał się, że jeden już ma. Starzec, z tygodnia na tydzień słabszy, gasł w oczach. Któręś wieczoru wezwał syna i rzekł:

— Arpad się niecierpliwi, mówi, że zatrzymuję cię w domu nie chcąc iść do niego. Kutydfajat!* Zawsze na mnie krzyczał, bo był starszy, ale ostatnio przebrał wszelką miarę. Jak tam pójde, to mu tak nakładę po pysku, że...

— Tato, nie wolno ci się denerwować... — próbował uspokoić go Imre.

— Sam wiem, co mi wolno, miarkuj się, bo i tobie przyłożę! Zbyszczelnieliście wszyscy, że mam tego dość!... Wybieram się tam, więc czas przekazać ci zadanie. Teraz ty będziesz szukał tego przeklętego srebra i przysięgniesz, że nie odstąpisz!

— Nie odstąpię, tato, znajdę to srebro, obiecuję ci.

— Za często obiecujesz, Imre. Obiecałeś już, że nie dasz zabić Arpada...

— Tato, mówiłem ci...

— Mówiłeś, mówiłeś! Świat by inaczej wyglądał, gdyby mniej było tych, co chcą wszystko załatwić ozorami. Gadaniem można chwalić się, chcieć, tłumaczyć i wspominać, czynów dokonuje się czynem. Z życiem, chłopcze, jest tak, jak z kobietą, miłość można karmić słowami tylko do pewnego punktu, potem nie pomagają najlepsze słowa, trzeba się okazać mężczyzną lub odejść.

* — węgierski odpowiednik naszego „psiakrew!”

— Tato...

— Ja teraz mówię, gówniarzu! Posłuchaj, nie musisz znaleźć i nie obiecuj, że znajdziesz, będzie jak Bóg da. Ale nie wolno ci poniechać starania, nie wolno ci tego zrobić dla nikogo i niczego, dla siebie, dla kobiety, dla dziecka, dla choroby i zmęczenia, dla bogactwa i szczęścia, nie w o l n o ! To zaprzysięgniesz!

Imre wziął do ręki krucyfiks, lecz ojciec, widząc to, aż się zakaszłał z gniewu.

— Kto cię prosił?! Zostaw, nie na Jezusa będziesz kłął, oszukałbyś!

— Tato, co ty?!

— Wiem, co gadam! Ci, co dużo podróżują po świecie, przestają wierzyć... Czort widzi, jakiego ty Boga w sercu nosisz, Imre.

— Tato!

— Zaklniesz się na ten pierścień! Dostałem go od Arpada, wraz z mapą. Arpad miał drugi, taki sam, wziął ze sobą... Masz, wsadź na paluch.

Imre kolejno wpasowywał sygnet na swoje potężne palce i wreszcie z trudem nasadził go na mały palec lewej dłoni.

— A teraz pocałuj go i powiedz: przysięgam!

— Przysięgam.

Zapanowało milczenie. Ojciec wpatrywał się w niego, w tego obcego mężczyznę, którego prawie nie znał, chcąc w jego twarzy znaleźć potwierdzenie lub zaprzeczenie swoich wątpliwości. Widać nie znalazł ani tego, ani tego, bo zrezygnowany rzekł:

— Dobrze, idź... zmęczyłem się, jutro dam ci mapę.

— Może chciałbyś coś zjeść, tato, przyniosę...

— Nie trzeba!... Chciałbym już tylko jedno... żeby moja młodość wstała z grobu i przysłała mi z pomocą.

Rano Zoltan pierwszy wszedł do pokoju dziadka i ujrzał go martwego.

Dwa miesiące później, po sprzedaniu ruin dworu i wynędzniałej wsi, Imre wraz z synem i parobkiem Stańkiem ruszył na północ, ku Warszawie, dyliżansem krakowskiej poczty. Zaczynał drugą część życia, tajemniczą i podniecającą, zwrócony ku przyszłości nie wyrażającej się jeszcze kształtem, barwą ani określoną treścią, lecz sąsiadowało z tym szczególne uczucie nostalgii uciekiniera, który wie, że już nigdy nie powróci. Przytulił policzek do szyby, po której ściekały z drugiej strony krople deszczu. Krajobrazy mijały go obojętnie, zamazane i bezosobowe. Wyglądał na prowincjonalnego urzędnika, poborcę lub sądowego skrybę, jacy często kupowali miejsca na tej trasie. Ale dla niego była to podróż w jedną stronę, do ziemi, którą wybrano poza nim, którą przeznaczyły mu całe pokolenia bez prawa buntu. Nikogo bardziej niż jego tyczyły się słowa:

„Bo nie ma ziemi wybieranej,
Jest tylko ziemia przeznaczona,
Ze wszystkich bogactw — cztery ściany.
Z całego świata — tamta strona”.

Wszystko w życiu mogło być dlań odtąd tylko stacją postojową — jedynym domem cel po tamtej stronie, na Żmudzi. Z każdą pokonaną milą, z każdym szarpnięciem kół na wybojach, wspomnienia opadały zeń jak tułacze łachmany, prócz tego o smaku

ucałowanego topaza, o zawrocie głowy, jakiego wówczas doznał i o snach, które prześladowały go owej nocy, gdy złożył przysięgę na pamięć stryja i wszystkich przodków aż po rotmistrza Sandora. Nie musiał przypominać sobie o tym patrząc na pierścień, wiedział, że ile razy spojrzy nań w przyszłości, kamień odpowie jego głosem: przysięgam!

W „Złotej gałęzi” Frazera czytamy: „Zwyczaj składania przysięgi na kamień może poniekąd opierać się na wierzeniu, że siła i trwałość kamienia staje się potwierdzeniem przysięgi (...). Dawny duński historyk Saxo Grammaticus opowiada, jak «starożytni, gdy mieli wybrać króla, zwykli byli stawać na kamieniach zakopanych w ziemi i w ten sposób oznajmiać, na kogo oddają swój głos, by moc kamienia była zapowiedzią ich stanowczości» (tłum. Henryk Krzeczowski).

Stanowczość — cóż to za męczące powołanie! Tylko wierność dźwiga się z równym wysiłkiem, a obie są kiepskimi akcjami na giełdzie życia, rzadko przynoszą dywidendy. Ale jest w nich usprawiedliwienie tego gestu, którym Bóg kreował małpę na człowieka. O błyskotliwi doktrynerzy, którzy pretendujecie do duchowego przywództwa, o mądrale w togach sprawiedliwych handlarzy ideologii, o butni reżyserzy tłumów, głoszący prawdy słabe jak cnota dojrzewających kobiet, o zadufani aktorzy mieszkający teatry realiów i pozorów - możecie to pojąć?

Rozdział 5

GNIAZDO „KRUKÓW”

„Męska to sprawa walczyć z nieprawością.
Bronić honoru. Zbrodnia nie nazwana
Jest jak trucizna utajona w winie...”

(Antoni Słonimski, „Odszczepieniec”)

W porannym słońcu drży krajobraz ledwo dostrzegalnie zbudzony. Wokół mnie płaska kraina. Niebo wysokie, błękitne, wyzute z dramatyizmu. Pod takim niebem skarleniu ulega wszystko...

Poranne słońce, które budzi człowieka — czy już to zauważyliście? — mamy każdego, iż dzień będzie dlań dobry i świat będzie dobry, ale gdyby to było prawdą, to czasza niebieska musiałaby runąć, ponieważ zniknąłby leżący na samym dole i zwany piekłem fundament, na którym stoją kolumny wspierające niebo. Słońce lubi kłamać.

Za to dzięki temu słońcu jest dobra widoczność, jeśli człowiek odwróci się doń plecami. Widać jak na dłoni krakowski trakt i dyliżans, którym Imre Kiss podąża do Warszawy, gdzie czekają na niego Turkuł, lord Stone, Rybak i inni nasi bohaterowie. Wkrótce znajdzie się w niej, a wówczas i my tam wrócimy.

Odkąd piszę, wokół Wieży Ptaków kręci się ten tajemniczy człowiek. Bardziej go czuję niż widzę. Jesteśmy tak blisko siebie, a nie ma między nami kontaktu, nie odzywamy się ani jednym słowem — dzieli nas tak wielki obszar ciszy, jakbyśmy mieszkali w dwóch różnych galaktykach. Z tym, że w mojej mieszkam tylko ja i duchy zmarłych, a jego roi się od kamratów. Czy oni już wiedzą na czym się skupiłem? Zapewne tak, ale nie wiedzą wszystkiego i to ich musi męczyć oraz pobudzać do inteligentniejszego działania. Jesteśmy jak mężczyzna i kobieta — podnieca nas to samo.

Na razie myśl o nich nie przejmuję mnie, zbyt zachłannie oddałem się epopei purpurowego srebra, zbyt łapczywie zanurzyłem się w jej konwulsyjny zgiełk, pełen okrucieństwa, podłości, cierpienia serc i ciał, a także w płątaninę suchych faktów. Jest tak kusząca, że z początku trudno zrozumieć, dlaczego pisarze i historycy ominęli tę zagadkę o niezrównanej świetności. Zbyt groźny był dla nich triumf tego krwawego słońca? Może to zbyt proste tłumaczenie — może zgnuśnili w swoich atlasowych gabinetach i scjencycznych laboratoriach, i nie byli psychicznie ani fizycznie zdolni wyrazić owej prawdy. Być może potrzeba w tym celu pewnego rodzaju pijanego natchnienia, bez którego ich spetryfikowane, paleontologiczne mózgi wyleciałyby z

siodła po kilku pierwszych zdaniach. Wolą historię z poręczami, gdzie nie można się przewrócić, gdzie dywany są miękkie i windy bezszelestnie unoszą do góry, ku zaszczytom, nagrodom i złotym katafalkom. A może jeszcze z innego powodu? Tak czy owak jest to dziwne. Ale gdyby człowiek chciał się dziwić wszystkiemu, co jest dziwne, musiałby mieć gębę ciągle otwartą ze zdumienia, co ptaki mogłyby poczytać za zachętę do zakładania w owych dziuplach gniazd i wtedy wszyscy stalibyśmy się milczącymi współnikami milczenia. O, dotarł już! Więc kontynuujmy:

Obcy na stołecznym bruku Imre wynajął kąt w zajeździe i rozglądał się, szukał jakiegoś punktu zaczepienia. Dopiero teraz uświadomił sobie czym dysponuje. Pierścieniem, mapą z jakimiś dziwnymi napisami na odwrocie, których stryj i ojciec nie potrafili przetłumaczyć, ani łacińskimi, ani w żadnym języku ze znanych mu choćby z widzenia, oraz kilkoma innymi dokumentami, wśród których był zaszyfrowany, lecz objaśniony przez Arpada system znaków do wędrowania po Żmudzi. Wiedział, że trzeba znaleźć kogoś zaufanego, kto odczyta tekst na rewersie mapy, i zebrać możliwie dużo informacji zanim podejmie się wyprawę. Nie wiedział tylko jak to zrobić.

Z pierwszych kłopotów wybawił go służący, znajdując całej trójce stałe lokum, a pośrednio i stałe zajęcie swemu panu. Spodobała mu się młoda, zadziorna przekupka, handlująca pieczywem na Rynku Staromiejskim. Kiedy ją zaczepiał, odpyskiwała, śmiejąc się białymi zębami, ale bez złości. Któregoś dnia poczekał na nią, aż zwinie kram i zaoferował pomoc w odniesieniu koszy do domu. Spojrzała nań bez uśmiechu i parsknęła:

— Zachciało się chłopczykowi!... Dogódź se tak — zrobiła kilka wulgarnych ruchów dłonią zwinętą w trąbkę na wysokości podbrzusza — to ci ulży!

Stańko osłupiał, bezwstyd tego gestu odjął mu mowę. Ona zaś rzuciła, by go dobić:

— Nie byle komu chodzenie ze mną w piernaty, trza pana, nie dziada!

— Toście dobrze trafili — próbował ratować sytuację — bom ja już nie dziad, z dziada poszedłem w pańskie progi.

— A to ci dopiero! — odszczeknęła. — Wiesz, co ci powiem? Jak z pana zrobi się dziad, to jest fajny dziad, ale jak z dziada pan, to on już diabła wart!

Wykręciła się na pięcie i tyle ją widział. Od tej pory omijał jej kram, ale nie bez tego, żeby nie zerknąć spod oka. Ostatnie z tych zerknięć spoczęło na sylwetce oficera w granatowym mundurze z pasowymi wyłogami i takimż halsztukiem. Żołnierz wysoki nie był, lecz grenadierska czapka w kształcie infuły, z białą kitą i kokardą oraz mosiężnym okuciem na froncie, dodawały mu wzrostu. Wymachiwał rękami przed nosem dziewczyny, cały w krzyku. Przeciskając się bliżej Stańko usłyszał od kramu śledziowego warknięcie starej handlarki:

— „Kruk” zafajdany! Nie chce mu dziewczka tyłka odstąpić, to ją grzywnami maca, krucze ścierwo!

Widać z ust oficera padły jakieś zbyt dopieklive słowa, bo nagle dziewczyna walnęła go w gębę z taką siłą, że mu grenadierka zleciała z głowy, tłukąc blachą o podmurówkę targowej studni. W odwecie pchnął przekupkę i wyrzucił razem z kramem, ale niczego więcej uczynić nie zdołał, bo spadły nań pięści parobka Kissów. Byłby go Stańko zatłukł, gdyby nie dwóch woziwodów krzyczących:

— S.....laj, chłopie, „kruki” idą!

Oprzytomniał. Ujrawszy biegnący patrol w mundurach podobnych do zachłapanego oficerską krwią, rzucił się galopem ku Świętojańskiej i uszedł. Ze strachu przez trzy dni nie wychodził z karczmy, udając chorego; zakupy musiał robić panicz Zoltan. Gdy wreszcie zwłókł się z betów (dla bezpieczeństwa wieczorem), los, jakby nadrabiając stracony czas, wynagrodził niefortunnemu zalotnikowi tantalowe męki: otworzyło się okno w mijanej kamienicy przy Szerokim Dunaju i usłyszał znajomy głosik:

— Hej ty, żyjesz?!

Ujrzał handlareczkę wspartą nęcącym biustem o parapet.

— Żyję, co mam nie żyć... Jeno łydka krwawi, że nijak nie mogę zatamować, szurnęli mnie bagnetem, psiejuchy — zełgał. — Nie macie jakiej czystej szmaty?

Wpuściła go do domu, by opatrzeć. Schyloną nad nim musnęła dłonią po kolanie i usłyszał:

— Z ręką pod kościół!

W izbie pachniało świeżym pieczywem.

— Dobrze bułki — mlasnął.

— Najlepsze w mieście, a co! Poczęstuj się.

— Można dwie?

— A weź. Wdzięcznam ci za... za pomoc. Wybierz, które chcesz — wskazała na stygnącą blachę — te są najświeższe.

— Mnie te starczą — rzekł, chwytając łapskami za stanik — aby mi ulżyło, jakoście prawili.

— Toś ty taki!? — wrzasnęła, próbując go odepchnąć. — Wynoś się do biesa, bo miotłę na tobie połamię!

— Ostawcie, nada się wam, kiedy na Łysą Górę zechcecie lecieć! — mruknął, przewracając ją na łóżko drapiącą, ale tak, że nie musiał przerywać zaczętego dzieła.

W przeciwieństwie do pedantów Stańko wyznawał regułę: najpierw przyjemność, potem obowiązek, ten bowiem nie zając, nie ucieknie. Pomyślał o nim rano, zorientowawszy się, że w domu po zmarłym piekarzu kapituły diecezjalnej mieszkają tylko dwie kobiety. Tego samego dnia przyprowadził Kissów do kochanki i szybko zawarto umowę. Odnajęła im dwa pokoje, trzeci zostawiając starej matce, a sobie przeznaczyła czwarty, najmniejszy, w którym sługa spędzał noce, dopóki nie wyszedł go mściwy oficer.

Aresztowanego Stańka zaprowadzono do ciemnicy w więzieniu marszałkowskim i skatowano nieomal na śmierć. Sadysta, który to zrobił, odwiózł ciało pod dom przekupki. Widok był taką okropnością, że Zoltana porwały torsje. Dziewczyna nie uroniła jednej łzy. Wieczorem, gdy wyszedł wezwany medyk, zapukała do drzwi starszego z Kissów i rzekła głosem tak poważnym, jakby od wczoraj minęło dziesięć lat:

— Panie wielmożny, zemścij mi jego.

— Na kim? — wzruszył ramionami. — Może jak mówić zaczniesz, to powie co.

— Ja wiem kto to zrobił! Wołają go Krammer, oficjeruje u węgierskich „kruków”.

Wtedy kapitan Imre Kiss po raz pierwszy usłyszał o chorągwi węgierskiej marszałka wielkiego koronnego, którego władza sądowno-policyjna w stolicy miała trzy mile obwodu. Chorągiew ta była formacją parapolicyjną (historycznie rzecz biorąc:

pierwszą z prawdziwego zdarzenia policją w Polsce) i wbrew nazwie nie składała się z samych Węgrów, co zawiedziony Imre skonstatował odwiedziwszy koszary. Węgrów i pół-Węgrów było tylko kilku, w tym drugi zastępca marszałka, Janos Faludi, poza nimi kilkunastu Sasów, resztę stanowili Polacy. Węgierskość nadawały temu oddziałowi madziarskie hafty na mundurach, zwłaszcza na białych obcisłych spodniach, u szeregowców wyszywane pąsowym, u oficerów srebrnym sznurkiem, oraz czarne sznurowane trzewiki węgierskie szeregowców (oficerowie nosili wysokie skórzane buty). Ludność nazywała żołnierzy chorągwi „węgrami”, a częściej „krukami”.

Pogadawszy z ziomkiem przy szklance wina, Faludi zaproponował mu przystąpienie do „węgrów marszałkowskich”, nęcąc wysokim żołdem. Niepotrzebnie — Kiss zgodziłby się za sam chudy wikt, miał do tego aż dwa powody. Nic nie mogło dać większej szansy zdobycia potrzebnych mu informacji jak służba w aparacie policyjnym, to było dlań oczywiste. Druga przyczyna wiązała się z tym samym człowiekiem, o którym myślał Faludi występując z propozycją. Faludi nienawidził Justusa Krammera, równorzędnego z nim zastępcy marszałka, i potrzebował ludzi, na których mógłby polegać. Natomiast Imre pragnął znaleźć się bliżej oprawcy, który o mało nie wypędził ducha z nieszczęsnego sługi. Dogadali się jak dwie lufy w dubeltówce.

Przyjmował Kissa do służby sam marszałek wielki koronny Franciszek Bieliński osobiście. Jedną z legendarnych postaci tamtej Warszawy, ojciec jej pierwszych bruków i pierwszych nowożytnych porządków, człowiek od kilkadziesiątu już lat niezastąpiony. Nawet Czartoryscy, którym długo służył, a z którymi zerwał, gdy po śmierci Augusta III związali się z Rosją — nie potrafili usunąć go ze stanowiska dłużej niż na pół roku (od maja do grudnia 1764). Mimo że potem zmienili front i zaczęli grać przeciw Rosji, już im nie wybaczył, był za stary na zmiany pogody.

Przywrócił go na stanowisko król, chociaż powszechnie wiadano, że Bieliński nim gardzi i chociaż co najmniej dziesięć osób słyszało słowa wypowiedziane przezeń na Zamku w dniu koronacji. Zdarzył się wtedy tragiczny wypadek, którego opis podaje Wiktor Gomulicki w swojej książce o Warszawie:

„Miasto zapłonęło wspaniałą iluminacją, trwającą od wczesnego zmroku aż daleko za północ. Przy tej sposobności, modą ówczesną, wysilali się wszyscy na niezwykle pomysły w symbolach, alegoriach, świetlanych przeźroczach i rymowanych napisach. Książę podkomorzy, brat królewski, wpadł na koncept osobliwy. Na Przedmieściu Krakowskim, przy wejściu na dziedziniec Saski, wystawił wielką, rzeźbiście lampkami różnobarwnymi przybraną, bramę triumfalną, w której na podwyższeniu siedział olbrzymi, z drzewa czy z gliny, orzeł biały. Na głowie symbolicznego orła wielka królewska korona buchała wciąż jaskrawym płomieniem, była bowiem gliniana i smołą po brzegi napełniona. Z dzioba zaś orła ciekło strumieniem wino.

Zaledwie król, objeżdżający miasto, przypatrzył się tej osobliwości i ruszył dalej, dopuszczono do orła tłum, który z nadstawionymi kubkami rzucił się czerpać trunku z bezpłatnego źródła. Zapanował ścisk... W ścisku orzeł z ognistą koroną został wywrócony i smoła gorąca polała się na głowy i plecy stłoczonych ludzi. Krzyki bólu, przerażenia i wściekłości mieszały się z rozgłośnymi wiwatami. Kilku ludzi silniej poparzonych na miejscu umarło. Kilkunastu, może więcej, przeniesiono do szpitala...”.

Bieliński znalazł się na miejscu tragedii w dziesięć minut, wydał rozkazy (choć był już zdymisjonowany, wszystkie warszawskie służby porządkowe, które zorganizował przed laty, słuchały go jak boga, za nic mając nowych panów) i czerwony ze złości pognał na Zamek. Biegł jak młodzik, miał osiemdziesiąt jeden lat.

Wszedł na komnaty i korytarze piętra, w których szykowano się do wielkiego balu koronacyjnego, do hołdów, przemówień, wielodniowych tańców i toastów za zdrowie intronizowanego monarchy. Arystokracja i szlachta stały w grupkach i kółkach, klanach, koteriach i kamarylach, przestępując z nogi na nogę, i szarpiąc wąsy ze zniecierpliwienia, nie można bowiem było fety rozpocząć bez jego ekscelencji księcia ambasadora rosyjskiego, który się spóźniał. Nie przeszłoby im przez myśl, że czyni to celowo i że jest to dopiero pierwsza tego typu demonstracja, którymi Repnin ustali właściwą hierarchię ważności.

Bieliński wędrował przez ten gwarny labirynt, szukając królewskiego brata. W znudzonym wyczekiwaniu towarzystwie budził zaskoczenie u tych, którzy go rozpoznali — ostatni raz widziano go na Zamku kilka miesięcy temu i niektórzy prowincjusze sądzili nawet, że już nie żyje. Dochodząc do wielkiej Sali Audiencjonalnej, tego dnia zamienionej na balową, westchnął z przerażeniem na widok kłębiącego się tam tłumu, przez który musiałby się przeciskać, gdy nagle z obocznej Sali Batorego dobiegł go głos człowieka, którego wypatrywał.

Książę podkomorzy stał pośród kilku panów i perorował w ulubionej pozycji olimpijczyka, wysławiając się tonem wskazującym, że jego duch oddycha głęboko myślą filozofów i orbituje nieustannie w wyższych sferach sztuki niczym rozpuszczony Pegaz, chociaż w istocie więcej w nim było konia pożerającego siano. Bieliński podszedł do nich i brutalnie zakłócił rozmowę. Zażądał od księcia natychmiastowego opłacenia kosztów pogrzebu ofiar, leczenia rannych i zapomogi dla rodzin. Umilkli wszyscy, nic nie rozumiejąc, bo z nerwów nie powiedział, o co idzie. Starszy Poniatowski zbladł, jakby go uderzono po twarzy, cofnął się o krok przed furją napierającego nań starca i wybąkał:

— Czego waść chcesz, to jakaś pomyłka...

— Cały ten dzień to pomyłka, mój książę — zagrzmiał Bieliński — ale to, co się stało przed chwilą na Krakowskim, to nie pomyłka, tylko znak przyszłości, wróżba dla tego kraju! Twój orzeł runął i pozabijał ludzi, co się spragnieni garnęli doń. Tyś temu winien, tak jak twój brat temu, co nastąpi!

Zapanowało krótkie milczenie, które przerwał rosły szlachcic o ogorzalej, niemal brązowej twarzy:

— Czemu milczymy, panowie, bredni słuchając?! Jest takie wschodnie powiedzonko: „Jeśli wszyscy milczą, nawet największy głupiec, gdy przemówi, wygląda na proroka”. Nie wiem kto zaczął, bom długo nie był w kraju, ale wiem, iż to fałszywy wieszczek!

Po czym wziął się pod boki i patrząc wyzywająco na Bielińskiego, przedstawił:

— Dzierżanowski sum!

— Zgadłeś, panie Michale — odezwał się Branicki — to człowiek o łbie zakutym i zmartwiałym, rozgoryczenie po dymisji nim targa. Należy przez wzgląd na jego siwe włosy darować mu, bo nie pojmuje, że od dzisiaj, pod nowym panowaniem,

Rzeczpospolita w erę pomyślności wchodzi i zaświeci blaskiem wielkim jak nigdy dotąd!

Bieliński poczerwieniał, ale opanował się natychmiast i obrzuciwszy grupkę jednym spojrzeniem, zripostował:

— Widzę tu kilku takich, co jeszcze wczoraj gardłowali przeciw temu, któremu dziś gotowi lizać buty! Jest i inne wschodnie przysłowie: „Należy całować rękę, której nie można uciąć”... Gratuluję waszmościom znawstwa azjatyckich sentencjiów.

Tym razem Branicki wystąpił z pasją:

— Nie wiem, o kim mówisz, panie Bieliński, o mnie nie, bom ja przyjaciel króla od dawien. Ale to, co mówisz, tak mi się nie podoba, że cię za chwilę każę pacholkom rzucić ze schodów! Jak mnie król spyta za co, to mu prawdy nie powtórzę, bo zbyt plugawe twoje słowa, tylko powiem, żeś w takiej chwili wlaż na Zamek w niegodnym na ten dzień stroju, co ubliża majestatowi! Idź się przebierz w nowe odzienie i w myśli nowe, a ja zobaczę, czy można cię wpuścić. Żegnam!

Bieliński poczerwieniał jeszcze bardziej, lecz nim zdążył odpowiedzieć, w drzwiach do Sali Balowej stanął król, zwabiony krzykiem przyjaciela. Był w hiszpańskim stroju. Towarzyszyła mu pani Lhullier. Monarcha uśmiechnął się do nich uśmiechem monarchy i spytał:

— Co takiego się stało, moi panowie? Branicki wzruszył ramionami i mruknął:

— Łuk triumfalny na Krakowskim, wasza królewska mość...

W tym momencie Bieliński przerwał mu, cedząc wyrazy prosto w twarz króla:

— Nic się nie stało! Nic poza tym, że ten kraj trafi szlag! Odwrócił się i poszedł do drzwi. Za plecami zrobiło mu się

cicho, słycać było każdy jego krok. W drzwiach stanął, spojrzął na nich i pożegnał:

— Wystroiliście się jak papugi, co nie wierzą w klatkę, dufne w swój przyodziewek i z niego czerpiące siłę. Na taniec i śpiew wam starczy... Módlcie się, bo jeśli wszechmogący Bóg ześle tu prawdziwego mężczyznę, to koniec z wami!

Powiedziawszy to przeszedł obok halabardników i wstąpił na schody, których marmur odpowiadał mu powolnym echem. Minął kogoś zmierzającego

w przeciwną stronę, nie bacząc nań, tamten jednak przystanął tuż za nim i po poręczach ześliznął się złośliwy szept:

— Za późno na modły, gospodin Bielińskij, już tu jestem! Podniósł głowę i spojrzął. Repnin ukłonił się mu z szyderym uśmiechem,

dodając:

— Idź i nie wchodź mi w drogę, bo zgniotę jak wesz! Dobryś na brukowanie ulic, powóz mniej mi się chłapie od błota, ale nie psuj mi zabawy, bo pożałujesz!... Nu szto smotrisz? Budiet nada, wymostiu zamkowuju płoszczad' baszkami takich kak ty!¹

Ostatnie słowa ambasador mówił przez wyszczerzone zęby, jakby chciał kopnąć. Lecz gdy skończył, uśmiechnął się znowu szeroko i z tym uśmiechem pobiegł do góry, zostawiając starego prawdomówcę na schodach. Od strony wejścia do Sali Balowej dosięgnął starca potężny ryk:

— Vivat Stanislaus Augustus Rex!

¹ — Co tak patrzysz? Będzie trzeba, to wybrukuje plac zamkowy łbami takich jak ty!

Bieliński wiedział, że należy do odchodzącej generacji, która nie odegra już wielkiej politycznej roli w państwie, ale myślał o swojej ukochanej Warszawie i o tym, że mając w ręku policję, nie będzie zupełnie bezradny. Każdy przegrany błazen ma jakąś broń, którą inni niesłusznie lekceważą, a policję monarchowie uważali za nieistotną — za czynnik marginalny, czysto porządkowy — jeszcze w początkach XIX wieku i gdyby nie Fouche, ta przerażająca w dzisiejszych kategoriach głupota miałaby dłuższy żywot. Dlatego nie lekceważmy przegranego błazna, który powiedział o jedno szyderstwo za dużo i musiał zaszyć się w ciszy swego wygnania. Nie sądźmy, że jest tylko przegrany pustelnikiem, nie mającym już wpływu na los świata, który go odepchnął. Gdyby nie to jedno szyderstwo Voltaire'a — Robespierre nie mógłby ściąć monarchy.

I tego człowieka, którego sejm konwokacyjny zdjął ze stanowiska 7 maja 1764 roku za odmowę udzielenia owemu prorosyjskiemu zgromadzeniu ochrony „węgrami marszałkowskimi”; człowieka, który ubliżył królowi w dniu koronacji; człowieka, który miał przeciwko sobie najpotężniejszą rodzinę książęcą w Rzeczypospolitej — przywrócono na jego wysoki urząd w końcu tego samego roku! Wystarczyło, że odwołał swój sprzeciw wobec Stanisława Augusta. Zrobił to już po raz drugi w życiu (po raz pierwszy ugiął się przed Augustem III, by móc zająć się Warszawą). O tym, że nienawidził Rosjan, wiadano powszechnie. Ale nikt nie kochał stolicy tak jak on i nikt nie umiał się nią zająć tak jak on, więc nawet zdeklarowani rusofile nie kwestionowali przywrócenia Bielińskiego do władzy marszałkowskiej. Była to nominacja tak ogólnie akceptowana, jak patronaty świętych nad szpitalami.

W rzeczy samej — Warszawa pod jego ręką przypominała wielki szpital.

Inni czynili ją przedtem bogatą pałacami, strojną politycznie, silną w kulturze, lecz nikt nie pomyślał, żeby uczynić ją porządną, stąd przez wieki jej uderzające podobieństwo do stajni Augiasza. Dopiero Bieliński wykonał prawdziwie herkulesową robotę, dając jej pierwszy przyzwoity plan ulic, pierwsze bruki, pierwsze sprzątanie śmieci, pierwsze oświetlenie bram, pierwsze pompy z czystą wodą do picia, pierwszą dobrze zorganizowaną straż pożarną i pierwszą policję, nie mówiąc już o pierwszych kawiarniach czy pierwszej loterii. Ale nie to wszystko zadecydowało, że zwrócono mu jego posadę.

Potrzebny był na tym stanowisku człowiek odważny i bezwzględny, dysponujący autorytetem nieomal charyzmatycznym i potrafiący rzucić wyzwanie każdej sile, bo inaczej Warszawa stałaby się miejscem nie do życia. Ale tylko on to potrafił i wiedzieli o tym wszyscy. Pamiętano jak w roku 1752, chociaż szczery katolik, fundator klasztorów i kościołów, przeciwstawił się klerowi i wygrał z nim walkę o dziesięciny, likwidując nadużycia sądownictwa duchownego, mimo nacisków ze strony króla i mimo klątwy, którą rzucił nań biskup. Pamiętano, że kiedy wydawało się, iż nikt nie poradzi rozzuchwalonym bojówkom jezuickim, złożonym ze studentów szkół, które prowadzili wszechpotężni zakonnicy, on żelazną ręką wziął za pysk to bractwo rozbijające się po mieście dla prześladowania Żydów i różnowierców, każąc swej policji chwytać pogromców i do krwi ćwiczyć batogami w kordegardzie. Testem decydującym był zwykły mord rabunkowy, popełniony przez byłego dyrektora szkoły jezuickiej, Dąbrowskiego. Studenci i zakonnicy ojcowie, mając poparcie samego nuncjusza, wyrwali zabójcę z rąk sprawiedliwości, Bieliński jednak nie ustąpił.

Rozesłał na cały kraj listy gończe i po czterech latach schwytał Dąbrowskiego, po czym ściął go, nie oglądając się na nic. Wcześniej zaś ostatecznie zlikwidował „absolutyzm panów studentów”, tak iż — jak pisano — „zbankrutowali w swej samowładności”.

Za bezkrólewia, po śmierci Augusta III, naturalną kolejną losu, anarchii politycznej towarzyszyła przestępczość, szerząca się z szybkością ognia na stepie. Gdy do tego sejm zdymisjonował Bielińskiego, paraliżując w ten sposób aparat wymiaru sprawiedliwości, Warszawa stała się magnesem mętów z całego kraju i nikt już nie mógł czuć się w niej bezpiecznie. Bandy powstające jedna po drugiej terroryzowały miasto, dokonując w biały dzień potwornych rzezi (najgłośniejszą było wymordowanie całej kapeli żydowskiej grającej na weselach, w tym kobiet i dzieci, przez gang braci Szczuków). Pojawił się też „Basior” obdzierający arystokrację i ta, widząc, że „kruki” celowo źle pracują pod nowym kierownictwem, zażądała przywrócenia Bielińskiego, co też Poniatowski uczynił, po raz pierwszy wbrew zdaniu Repnina.

Ambasador świetnie zdawał sobie sprawę z tego, że Bieliński może być niebezpieczny, ponieważ Bieliński jako jedyny odpowiadał drugiemu członowi sformułowanej w XVII wieku zasady lorda Halifaxa: „Gdzie rząd jest zły,

stanowiska dobiera się do ludzi, a gdzie dobry — ludzi do stanowisk”. Bieliński był w fatalnym polskim rządzie drugim (obok kanclerza Zamoyskiego) wyjątkiem potwierdzającym regułę — dobrano go do stanowiska. Lecz, jako że nie dał powodów do konkretnych podejrzeń, a *vox populi* stał za nim, to jest za porządkiem w mieście — Repnin nie upierał się.

Tak to człowiek, o którym powiadano, że przestępców „rączo na tamten świat wyprawia”, znowu stał się panem Warszawy. I nie zawiodł. „Szeroka, rozporządzająca karą śmierci, kompetencja prawna łaski marszałkowskiej — pisał Kazimierz Konarski w swoim studium historycznym o Warszawie — poparta siłą zbrojnego żołnierza, czyniła władzę marszałka, zwłaszcza w rękach człowieka tego pokroju, co Bieliński, postrachem nie tylko plebejskich, ale i możnowładczych szumowin miejskich. Imię Bielińskiego stało się w Polsce w owym osławionym XVIII wieku symbolem karności, ładu i porządku społecznego”.

W ciągu kilku miesięcy od chwili powrotu marszałka, prawie wszystkie rozbójnicze szajki większego kalibru zostały rozgromione, co jeszcze bardziej umocniło nimb Bielińskiego. Tylko on, oraz kilku jego zaufanych ludzi, wiedzieli, że za ledwie połowa tego sukcesu należy do nich. Spośród pięciu głównych band „węgrzy” zlikwidowali trzy, w tym straszliwe sprzysiężenie woźniców drogowych, którzy wywozili śpiących podróżnych w miejsca, gdzie wspólnicy mordowali i obdzierali nieszczęśników. Dwie pozostałe wykończył ktoś inny i to w sposób, który przyprawiał o drżenie nawet starych „kruków”, pracujących w chorągwi węgierskiej od dwudziestu lat.

Dowiedziawszy się o takim końcu bandy Szczuków, Bieliński osobiście pojechał na miejsce rzezi. W podmiejskim domku ujrzał kilkanaście ciał zamienionych siekańcami w mięso. Krwi na podłodze było tyle, że nie znalazłoby się jedno suche miejsce na postawienie buta; pacholkiwie miejscy brodzili w niej, wynosząc zmasakrowane zwłoki.

— Pierwszorzędny garłacz, żelaza przeszły na wylot przez tylną ścianę — powiedział Faludi.

— Nikt nie wyżył? — spytał marszałek.

— Starszy Szczuka. Przy tej sile rażenia to prawdziwy cud. Zawsze miał takie szczęście, dwa razy uciekał nam z łańcuchów, raz urwał się ze stryka...

— Mocno poharatany?

— Żywy durszlak, ekscelencjo.

— Mówi?

— Ledwie dycha. Pytałem go, tylko splunął, zna go pan, ekscelencjo. Nic nie powie.

— Gdzie leży?

— Na wozie, za domem.

Zbliżyli się do drabiniastej fury, wymoszczonej słomą, która przybierała kolor szkarłatu. Marszałek pochylił się nad leżącym. Szczuka, ujrawszy go, zamrugał powiekami i na zakrwawionych wargach pojawił mu się cień uśmiechu.

— Tym razem ja już nie pański... ino kostuchy... panie marszałku — wyszeptał.

— Więcej my już ze sobą... ganiać się nie będziem...

— Kto was tak urządził?

— Jedna lufa... weszła przez okno, kiedy my pili... Nikt się nie spodziewał... nikt! Lepszy on od nas wszystkich.

— Kto?

— „Basior”... „Basior”, panie marszałku... On chce być sam... sam... Szczuka nie zdążył dokończyć, ale to, co powiedział, wystarczyło, by Franciszek Bieliński zrozumiał, że „Basior” eliminuje konkurencję. Nie pojmował tylko dlaczego, bo szajki takie jak Szczuków działały w zupełnie innych środowiskach i rzeczywistą konkurencją dla „Basiora” nie były. Tak czy owak teraz miał wolne ręce do zajęcia się wyłącznie tym widmem. Skinął na Faludiego:

— Słyszałeś? Musimy nareszcie capnąć diabła! Będzie trzeba powiększyć chorągiew, dość już tej gry w kotka i myszkę!

— To się udatnie składa, ekscelencjo, bo właśnie poznałem ziomka, świetny żołnierz, u Dupleixa w Indiach walczył, silny jak tur i bystry, może się nadać.

— Dobrze, weź go.

— Kiedy to oficer, w Pondichery był kapitanem, na szeregowca nie pójdzie... Ekscelencjo, to człowiek zdatny jak mało kto, ręczę słowem! Mógłbym go wziąć na zmiennika...

— Jak się zwie?

— Imre Voeres.

— Przyrowadź go jutro, zobaczymy.

Następnego dnia ujrzeni się; Imre zobaczył człowieka-legendę, a marszałek zobaczył człowieka-górę. Stał przed nim barczysty, ciemnowłosy drab, o wypukłej piersi i ramionach podobnych konarom dębu. W smągłej, jakby wygarbowanej twarzy, między mocnymi kośćciami policzkowymi a parą srogich brwi, świeciły dwa węgle, spokojne i rozumne, nie dające się zgasić wzrokiem. Bieliński spytał:

— Jak cię zwą?

— Zwą mnie kapitanem.

Starzec zamknął uśmiech w głębi swej myśli i nie zmieniając wyrazu twarzy, poprawił się:

- Jak się nazywasz, kapitanie?
- Imre Yoeres, ekscelencjo.
- Skąd jesteś?
- Z Galicji.
- Rodzina od dawna w Polsce?
- Od dawna.
- Czego szukasz w Warszawie, kapitanie?
- Chleba, ekscelencjo.

Bieliński zastanowił się. Nie był pewien, czy ten śmiałek odpowiada mu ekscelencjo tylko wtedy, gdy w pytaniu jest: kapitanie, czy się przesłyszał. Postanowił sprawdzić:

- Podobno byłeś w Indiach, u Dupleixa?
- Owszem.
- W którym roku tam wyjechałeś, kapitanie?
- W pięćdziesiątym, ekscelencjo.
- Długo cię nie było w kraju, kapitanie?
- Kilkanaście lat, ekscelencjo.
- Wróciłeś na stałe?
- Tak.
- Masz rodzinę?
- Syna.

Ostatnie pytania zadawał już siłą bezwładu obracającego się jeszcze koła rozmowy, niczym gasnący automat, nie zwracając już uwagi na wynik swojego testu. Ów rok 1750, który wymienił Węgier, przypomniał mu coś. Otworzył jedną, potem drugą i trzecią szufladę złoconego biurka. Na samym dnie znalazł pozółkły pergamin. Rzucił nań okiem, a kiedy podniósł wzrok, poszukał dłoni oficera, lecz obie były założone na plecach. Udał, że pomylił papiery, wrzucił pergamin do szuflady i wziął do ręki inny dokument.

- Czy zna pan francuski, kapitanie? — spytał.
- Tak, ekscelencjo.
- Zechce pan przetłumaczyć mi kilka zdań. Proszę!

Węgier wyciągnął rękę po pismo i marszałek zadrżał. Po dwóch zdaniach, z których nie dotarło doń żadne słowo, przerwał tłumaczenie:

— Wystarczy! Janos — zwrócił się do Faludiego, który stał milcząco obok Kissa — zostaw nas samych.

Gdy Faludi zamknął drzwi za sobą, Bieliński podniósł się z za biurka i przeszedł na drugą stronę.

— Nie wiem, czy się nie przesłyszałem, kapitanie... Powiedział pan, że jak się nazywa?

— Imre Voeres, ekscelencjo.

— Więc jednak się przesłyszałem. Cóż, starość to okrutne zwierzę, pozostawia apetyt na kobiety, a okrada z tyłu zmysłów, choćby ze słuchu... Bo miałem wrażenie, że pan się przedstawił jako Imre Kiss!

Wbił oczy w kapitana, ale twarz tamtego nie poruszyła się.

— Może to podobieństwo imienia. Słyszałem o takim człowieku, było to piętnaście lat wstecz. Zadarł z Brühlami i musiał uciekać. Szukali go jak wściekłe psy, minister

osobiście nadzorował polowanie i nawet król, którym Brühlowie rządzą, ponaglał mnie. Udało mi się wreszcie złapać pewnego Cygana, od którego dowiedziałem się, że ten uciekinier nie ma małego palca u prawej dłoni. Dowiedziałem się również, w której słowackiej wsi zamieszkał i wysłałem tam przemytnika, by go ostrzegł i nakłonił do wyniesienia się gdzieś dalej. Potem straciłem jego ślad. Kiedy Brühlowie odnaleźli jego rodzinę i postanowili się zemścić, zorganizowałem oddział egzekucyjny w taki sposób, że składał się w większości z moich ludzi. Nie mogli oni zapobiec spaleniu domu tego człowieka, ale upili pozostałych i zamarkowali wymordowanie owej rodziny. Jeszcze przez jakiś czas czuwałem nad bezpieczeństwem tych Kissów, ale kiedy upewniłem się, że sprawa poszła w zapomnienie, przestałem się nimi interesować... To wszystko, co chciałem panu powiedzieć, kapitanie Voeres.

Imre spojrzął w kierunku uchylonego okna. Na zewnątrz południe było ciepłe, żółtawe, przyprószone pyłem i hałaśliwe świergotaniem ptaków. Słońce parzyło wierzchołki drzew w ogrodzie oślepiającymi strugami, które wpadając w głąb koron nie gasły od razu, lecz najpierw jakby kruszyły się i powoli rozplływały, tonęły, gubiły blask i zamieniały w cień na ścianach domu.

— Dlaczego pan to wszystko zrobił, ekscelencjo?

— Ponieważ nienawidziłem Brühlów i kochałem Polskę, której nie udało im się przehandlować, a którą zawsze zdradzali... Dlaczego pan o to zapytał kapitanie?

— Ponieważ tego pan nie dopowiedział, ekscelencjo, w owej historii. Zawsze pytam tylko o to, czego nie wiem.

Bieliński połknął przytyk bez gniewu i wróciwszy na swój fotel, wznowił indagację:

— Zapytam pana o to, czego nie wiem, kapitanie. Czy pan kocha ten kraj?

— Tu się urodziłem, ekscelencjo, i tu muszę być, bo tak kazał mi jeden z moich przodków. On kochał Polskę.

— Nie odpowiedział pan na pytanie!

— Jeśli chodzi o miłość do Polski, ekscelencjo, to uczucie takie jest mi obce. Ale proszę się nie obawiać, nie zdradziłbym Polski jej wrogom.

Przez głowę Bielińskiego przemknęła iskra szacunku dla tego olbrzyma. „Co za człowiek, nie kłamie! Inny na takie pytanie piałby: — Gdyby serce moje było tak niczemne, aby mogło nie kochać ojczyzny, rozdarłbym je własnymi zębami! Albo coś w podobnym stylu. A on mówi prawdę, chociaż nie jest głupi i wie, że to mi się nie spodoba...”.

— Na jak długo chce się pan zaciągnąć, kapitanie?

— Na rok, ekscelencjo, potem zobaczą.

— W porządku, przyjmuję pana. Na razie będzie pan dziesiętnikiem, zastępcą Faludiego, potem ja zobaczą. Proszę objąć służbę.

Kiss uklonił się i pomaszerował ku drzwiom. Lecz nim położył rękę na klamce, dogoniły go słowa marszałka:

— Kapitanie Voeres!... Wie pan, co mnie wówczas dręczyło, a czego nie zdołałem się dowiedzieć? Dlaczego Bruhlowie tak zaciekle gonili stryja pańskiego imiennika? Jak pan sądzi?

Imre zatrzymał się i odwrócił.

— Nie wiem, ekscelencjo.

Bieliński odetchnął z ulgą: „Więc jednak umie kłamać, jest normalny. Chwała Bogu!”.

— A gdyby musiał pan, choćby przez wdzięczność dla kogoś, dowiedzieć się tego, to gdzie szukałby pan odpowiedzi?

— W Petersburgu, ekscelencjo — odparł Kiss i wyszedł z pokoju. Następnego dnia Faludi zaprowadził go do budynku głównej warty marszałkowskiej, który wraz z aresztem (tzw. „Kozą marszałkowską”) i więzieniem znajdował się na zewnątrz bramy Nowomiejskiej, przy ulicy Mostowej. Tam przedstawił nowego dziesiętnika kolegom oficerom i żołnierzom, po czym próbowali wybrać dla Imrego mundur, ale było to usiłowanie wciśnięcia borsuczej skóry na niedźwiedzia. Musieli udać się do krawców, wziąć miarę i zamówić nowy uniform. A ponieważ służby patrolowej nie wolno było spełniać w cywilnym odzieniu, przez pierwszy tydzień Kiss wylegiwał się w sztabie, kontrolując oporządzenie żołnierzy i godziny wychodzenia rontów.

Krammera obserwował dyskretnie, udając taką samą obojętność w stosunku do niego, jak i do innych. Sas, złośliwy wobec pisarza i kapelana, nie oszczędzający oficerów, znęcający się nad żołnierzami, nowego nie ruszał, widać twarz i posturę kapitana Voeresa ostrzegły go. Raz tylko, gdy na wartownię wszedł kat Luboń, wielki smutny mężczyzna, umięśniony jak ktoś, kto ścina toporem głowy, Krammer zmrużył oczka i wskazując kapitana zajazgotał:

— Już nie jesteś najsilniejszy, cipeńko!... A może chcesz sprawdzić?.

Odpowiedziało mu ponure milczenie, zmył się więc do drugiej izby i więcej nawet pośrednio kapitana nie zaczepił. Imre dopiero po pewnym czasie dowiedział się, że to złośliwe „cipeńko” w ustach oberinstygatora zostało przezeń wzięte z łacińskiego *magister cippi* (mistrz ciupy), jak zwano stałych katów więziennych. Nie trzeba było szczególnej bystrości, aby spostrzec, że ten człowiek, złośliwie zdrobniający każde przezwisko, to typ tchórzliwego prostaka, jeden z tych sprytnych wyrzutków, którzy całą karierę robią na własnej szyi, dorabiając się na nią złotego łańcucha albo konopnego powroza, z wiecznymi pretensjami do pańskości, którą Krammer małpował jak ów francuski szlachcic, co zauważywszy, że mury Wersalu oblane są uryną, kazał służbie oddawać mocz na ściany swego domu. Należał do kreatur, których bezpośrednio tyczyło powiedzenie mistrza aforyzmu, La Rochefoucaulda: „Śmieszność hańbi bardziej niż hańba”.

Drugą postacią stale rezydującą w wartowni był wychudły jak derwisz, o ziemistych, zapadniętych policzkach i czarnych oczodołach, ksiądz kapelan Parys, jezuita. Imre nie rozpoznałby go, gdyby nie nazwisko. Ojciec Parys pochodził ze znakomitej niegdyś rodziny, dostarczającej Polsce wielu dygnitarzy i ostatnio skoligaconej z jeszcze większą rodziną, gdyż brat jego, Adam Parys, ożenił się z Sołtykówną, a biskup krakowski, Kajetan Sołtyk, był w kraju potęgą. Lecz to nie uchroniło księdza Parysa przed karnym zesłaniem, jakim była praca wśród najgorszych kryminalistów i skazańców.

W trzy dni po przyjęciu go do służby, Imre zapukał do pokoiku księdza i wszedł ze słowami:

— Laudetur Jesus Christus.

— In saecula saeculorum. Znasz łacinę, synu?

— Tak, proszę księdza, to ksiądz mnie jej uczył w Krakowie, ale słabo znam, dużo zapomniałem.

— Byłeś moim uczniem?

— Tylko dwa lata, dopóki księdza nie wyrzucili za protesty przeciw różgom, którymi nas chłostano.

— Nie protestowałem przeciwko różeczkom, synu, albowiem najślusniej one rugują hultajskie wapory z głów rozbrykanych młodzieniaszków, całkiem nieskorych ku nauce, jeno przeciw ich nadużyciu do krwi. I nie za to z konwiktu mnie przegnano, tylko za to, że pomstowałem na bicie niewinnych Żydków krakowskich.

— Nie wiedziałem, ojciec Józe... proszę księdza.

— Mów jak w konwikcie, synu.

— Nie wiedziałem, ojciec Józefie, w szkole opowiadano inaczej. Zakonnik uśmiechnął się smutnym uśmiechem.

— Wiele rzeczy opowiadano tam inaczej — powiedział cicho.

— Opowiadali jeszcze, że ojciec został spowiednikiem jakiejś wojewodziny.

— To prawda, ale i stamtąd mnie wyżenięto, bom nie mógł patrzeć na niewinną śmierć człowieka, też Żydowina, którego głupim zwyczajem o mord rytualny oskarżono.

Zdarzyło się to w roku 1757 i opisane zostało przez niejakiego Triplina w manuskrypcie zatytułowanym „Śmierć heretyka”; cytuję koniec opisu:

„Wojewodziny spowiednik, jezuita, ciągle modlił się na książce, ale mu błądź trupia na obliczu siadła, gdy kat gorejącą głównię przyłożył do stosu. Buchnął płomień, okrzyk zgrozy z tłumu się dobył, kilka zaledwie głosów słychać było: śmierć heretykowi! Później cicho tak było jak makiem zasiał, słychać było najmniejszy trzask łuczywa gorejącego, szmer palącej się smoły i pakuł, spadanie kropli płomienistych smoły.

Ojciec prowincjał, widząc spowiednika we łzach, podszedł doń ze słowami:

— Zatwardziały to heretyk, na wieki potępion będzie. Nie dziwno, że nad nim płaczecie, bo nie masz dla niego zbawienia.

— Ja nie nad nim, tylko nad nami łzy ronię — odparł mu spowiednik. — Jemu już modlitwa niepotrzebna. Requiescat in pace!* Nas Bóg za to osądzi. Powiedział Chrystus: O Judices! iudicium vestrum iudicavero!**

— Coście przez to chcieli rzec?! — zapytał gniewnie starszy ksiądz. — Kościół się nie myli w wyrokach swoich!

Młodemu oczy zabłyśły, łzy stał rękawem i głosem mocnym odrzekł:

— Papież Aleksander, kiedy pod bratem Savonarolą stos podpalał za to, że mu on zbrodnie i wszeteczeństwa wytykał w majestacie Kościoła czynione, te same słowa mówił!

— I słusznie mówił. Ludzie Kościoła mogą być omylni i pobłądzić, ale systemat Jego jest nieomylny i przeto niewzruszony, a kto tak jak wy w obliczu maluczkich go podważa, na surową zasługuje karę! (...)

* — Niech odpoczywa w spokoju.

** — O sędziowie! Wasze wyroki ja będę sądzić.

Tyle z tej historii wystarczy, byśmy mogli wyrobić sobie właściwe mniemanie o księdzu Parysie („Męska to sprawa walczyć z nieprawością...”). Osobliwy ten jezuita, kwestionujący nieomyślność własnej firmy, był wszakże niewzruszony, gdy chodziło o wiarę w jedyne go uznanego przez tę firmę Boga. Stąd wynikały wściekłe pojedynki słowne między nim a pisarzem więziennym, ateuszem Grabkowskim, odprawiane, gdy w wartowni nie było Krammera, którego donosów wszyscy się bali. Obecność nowego, kapitana Voeresa, nie przeszkadzała im, bo na pierwszy rzut oka budził takie samo zaufanie, jak szacunek do swej osoby.

Grabkowski, wołany przez innych „kruczym skrybą”, był oryginałem, co się zowie. Był to człowiek fenomenalnie wykształcony. Znał myśli zmarłych mędrców i umiał je wplatać w swoje zimne, celne zdania, sterowane rozumem wyćwiczonym na wzorach Zachodu, kiedy zaś chciał, potrafił rozśmieszać wszystkich jak Figaro. Utrzymywał, że posiadał wszystkie nauki i wiadomości, których studnią był w istocie, i że zwiedził cały świat, ale opowiadał o tym w zależności od własnego humoru. Pytany o coś, zjechał się:

— Nie jestem manichejczykiem, by spowiadać się przy wszystkich!

Tłumem gardził podwójnie, jako filozof i jako esteta. Ludzie śmierzdzący wszystkimi zapachami brudu, tanią strawą i prostactwem, wiecznie oglądający się za okazją do kradzieży lub innego łotróstwa, budzili w nim wstręt. Co do *sovoir-vivre'u*, dużo można było mu zarzucić, ale nie był fałszywy ani zachłanny, co sam tłumaczył w ten sposób, że używszy wszystkiego na ziemi, umie się obejść bez wszystkiego, wyjąwszy kobiety. Wśród największej rozpusty w młodości nie potrafił okazać się łajdakiem. Nigdy nie korzystał ze swego rozumu, by wywodzić w pole głupszych i niewiasty, działało się raczej odwrotnie, przez co otrzymał od życia wiele cięgow. Miał na przykład honorowy, acz nie nazbyt fortunny zwyczaj, że wszędzie gdzie osiadł podczas swych wędrówek, zawierał związek małżeński. Ten właśnie umysł pełen sprzeczności, uderzający niezwykłą logiką, a jednocześnie rażący brakiem konsekwencji, sprawił, że nie spełniła się świetna przyszłość, którą mu niegdyś wróżono. Jeżdżąc po świecie wyszukiwał sobie najrozmaitsze zajęcia: w Bawarii służył wojskowo, w Holandii zajmował się gospodarstwem wiejskim, w Szwajcarii był pocztylionem, w Paryżu próbował śmiesznego zawodu *petit-maitre'a*, w Hamburgu agitował z wielką białą kryzą na szyi (wygłosił tam kilka przemówień, uznanych za kiepskie; całkiem się wtedy na elokwencji nie rozumiano), a w Neapolu poznał uczonych archeologów i pracował przy boku Winckelmannna, ucząc się języków wschodnich w celu odwiedzenia Arabii. Do jednego z przyjaciół napisał:

„Próbowałem wszystkich zawodów jakie Fielding wymyślił dla swego Juliana. Mój los był losem gwinei, którą raz miała w swojej ręce królowa, a drugi raz ubogi Żyd w swojej brudnej kieszeni. Ale nie widzę, czego miałbym się wstydzić, czyż kalif Omar nie uprawiał zawodu ceglarza, by potem sprzedawać swoje cegły na targu w Medynie? Ja jeszcze wciąż szukam gliny”.

Pewnego dnia los uśmiechnął się do niego i przystawił mu do stóp wysoką drabinę: w Rzymie zakochała się w nim panna Christiansen, córka bogatego i pozbawionego przesądów kastowych konsula Danii. Na obiedzie przedślubnym w konsulacie ktoś powiedział, że właśnie na kopule jednego z kościołów umieszczono nowy krzyż i że robotnik wykazał niemało odwagi i zimnej krwi, aby dostać się na szczyt, gdyż trzeba

było drapać się po powłoce kuli. Grabkowski zauważył na to, że z powodu zawrotu głowy nie odważyłby się za nic w świecie wykonać tego zadania.

— Za nic w świecie? — spytała panna Christiansen. — Nawet gdybym ja pana o to poprosiła?

— Jestem przekonany, że nie zażądałabyś pani ode mnie czegoś, do czego mam nieprzewyciężony wstręt — odparł Polak.

— Owszem — rzekła panienka, tocząc wzrokiem wokół stołu — ja pana o to proszę!

Całe podniecone towarzystwo udało się pod kościół. Grabkowski z zimną krwią i wielką zrećnością wspiał się na kopułę. Gdy zszedł na ziemię, panna Christiansen zbliżyła się doń triumfalnie z wyciągniętą ręką. Ucałował tę dłoń i rzekł:

— Pani, zadość uczyniłem kaprynowi pięknej kobiety, pozwól jednak, że dam jej radę: władzę trzeba starać się utrzymać, ale nie można jej nadużywać. Życzę pani wiele szczęścia, a teraz żegnaj ją.

Uklonił się narzeczonej i towarzystwu, po czym wyjechał aż do Turcji, gdzie miał osiem milczących żon naraz. W swoim haremie robił doświadczenia dietetyczne: hurysom skłonny do otyłości kazał podawać same kwaśne potrawy, a szczupłe żywił tłustym mlekiem i rosółem, jednakże bez widocznych skutków. Kiedy przybył do Berlina, policja zapytała go, która z jego towarzyszek jest żoną, na co odrzekł, że nie znosi, by wtrącano się w jego domowe stosunki i podczas burzliwej wymiany zdań uszkodził wysoką figurę. Z pruskich lochów wydobyl go przyjaciel nieżyjącego ojca, marszałek Bieliński, i zatrzymał pod swoim okiem w Warszawie, dając posadę skromną, ale nie przemęczającą.

Nie wierząc w nic, Grabkowski nie mógł też wierzyć w Boga i na tym tle dochodziło do gwałtownych scysji między nim a księdzem Parysem. Imre, nie dając poznać po sobie, uwielbiał przysłuchiwać się tym kłótniom. Kończyły się one zwycięstwem pisarza; dowcip i niepospolita wyobraźnia zastępowały mu geniusz dostatecznie, by przygwałdząć humanitarne wywody jezuitów.

Na ogół inicjował sprzeczkę pisarz, wynajdując pierwszy lepszy pretekst:

— Wie ksiądz, co sobie wczoraj pomyślałem, patrząc jak żarliwie modli się mój gospodarz, łotr spod ciemnej gwiazdy? Że gdyby ten świat był trochę lepszy, to ja byłbym w nim alfonsem w klasztorze, ale ponieważ się nie zmienia, to ja i tak jestem wieczną dziewicą w burdelu, chociaż wcale się nie modłę.

— A próbowałaś kiedyś?

— Tak, ale nie pamiętam, żeby mi coś dobrego z tego przyszło.

— Choćbyś tysiąc razy powtórzył: Ojcze nasz!, nic to jest. Dopiero gdy usłyszysz w odpowiedzi: Synu mój!, możesz się radować.

— Widocznie od urodzenia jestem głuchym bastardestem — skwitował to Grabkowski.

— Raczej ślepym, bo nie chcesz znać szczodroblewości bożej.

— A jest coś takiego?

— Jest.

— Doprawdy, jamais couche avec.*

* — nigdy nie miałem z tym do czynienia (dosłownie: nigdy nie spałem z).

— Widać nie zaznałeś nigdy prawdziwego cierpienia. Nie ma w człowieku szczęścia, dopóki nie zapali się w nim pochodnia bóleści żywej. Wtedy zaczynają się jego narodziny duchowe. Twarda to próba, przez którą człowiek musi przejść dla prawdy. Póki nie przeszedł, nie wolno mu uważać się za urodzonego.

W takim momencie Grabkowski, przygotowany już sobie grunt, zabierał się do prawdziwej ofensywy:

— I tak będę cierpieć po śmierci, więc tu unikam cierpienia, żeby nie dostać w tyłek podwójnie. Właśnie to chciałem ci dzisiaj powiedzieć, klecho. Wiesz, co jest największą plamą na szacie twego Boga? Owa okrutna pośmiertna kara, czekająca stworzoną przezeń istotą ludzką, która okazała się słaba wobec pokus tego świata. Świata, który też jest jego dziełem. Powiedz mi, jaka jest moralność bóstwa wymierzającego piekielną karę swoim dzieciom?

— Bóg dał człowiekowi wolną wolę i rozum, by mógł oprzeć się pokusom ziemi.

— Pokusom może i tak, ale torturom? Czy to nie wiara w okrucieństwo pośmiertnych udręczeń pobudziła Inkwizycję do spalenia żywcem milionów ludzi? A pomyśl o szczęśliwości tych zbawionych, co się oparli pokusom, a teraz patrzą z wygodnego łoża w niebiesiech na męki potępionych, wśród których są ich matki, ojcowie, synowie, córki, mężowie, żony, przyjaciele i kuzyni, i zamiast brać stronę tych nieszczęśliwców, muszą klepać: amen, alleluja, chwalcie Pana i temu podobnie. Jeśli są wiecznie szczęśliwi, jak mówi Pismo, to faktycznie muszą się cieszyć wszystkim, co widzą.

— Głupie mówisz rzeczy i diabelskie! — denerwował się ojciec Józef. — Całkiem żeś oszalał albo oddałeś się cały diabłu!

— Zapewniam cię, że nie. Chociaż ciągle choruję na brak gotówki, pozostaję człowiekiem niezależnym. Nikomu nie potrafię się zupełnie oddać, nawet diabłu, i to przeszkadza mojej karierze... Nie myśl znowu, że Boga we mnie nie ma ani, ani! Jest! Każdy człowiek nosi w sobie swego Boga, lecz nie jest On podobny do tego, o którym rozповідаją słudzy boży. Całkiem inny! Dlatego i ja jestem odmienny niż ty i niż cała kupa staruchów, którzy takim jak ja bezustannie grzechy wytykają. Wielka mi rzecz odziać się w worek, przysypać łysy łeb popiołami i pościć, gdy człowiekowi już jadło i wino nie smakuje, a niewiasty przestały być dawno ponętne! A co do bogów... Nie drażni cię, klecho, że nawet Chrystusów jest tak wielu?

— Jak to?!

— Tak to. Popatrz na te chmary samozwańczych proroków, którzy przedstawiają się jako tłumacze intencji Boga! Zobacz na ile religii rozbili myśl Chrystusową, ile wiar posługuje się jego imieniem! Ile krwawych zatargów i okrucieństwa spowodowało to rozbicie! Prawda Chrystusowa była prosta, ale potrafili ją tak skomplikować, że ci, którzy im uwierzyli, prześladowają swych bliźnich jak wrogów! Czyż zatem ja ze swym bogiem nie-bogiem w piersiach nie jestem lepszy? Jestem! Plutarch powiada: „Czyż człowiek, który utrzymuje, że nie ma bogów, większym jest zbrodniarzem niżli ten, który pojmuje ich zgodnie z zabobonną wiarą? Czy to raczej nie ten ostatni ma stosunek do bóstwa Potworny i godny potępienia?”

— Przesiąkłeś wiedzą tych diabelskich szpargałów — zakrzyknął ksiądz — które czytasz z poduszczenia szatana! Wiedzę one sieją, ale i kuszą do niebezpiecznych rozmyślań, do drażenia rzeczy zakrytych. W dzień Sądu Ostatecznego nikt nie będzie

oskarżon, że nie znał ciekawych a niebezpiecznych rozpraw o rodzajach prawdy, ona bowiem jest prosta. Do kogo nie przemawia słowo Boże, ten się wikła w szkolne spekulacje, w tezy i antytezy, w kłamstwa i argumenta mózgowie. W mądrości sawantów nie znajdziesz spokoju i równowagi, której łakniesz. Nicością jest wszystko, czego człowiek pożąda z rzeczy ziemskich, a mądrości Greków, Rzymian i Francuzów bezbożnych nie nauczą cię lepiej żyć niż uczy Ewangelia. Zważ swą garść wiadomości, czymże ona jest wobec spraw wiecznych? Cmentarzyskiem głupoty człowieka. Siła rozumu ludzkiego nigdy nie zastąpi wiary!

— Wiary, powiadasz?

— Tak, wiary.

— Wiary głębokiej?

— Głębokiej!

— Takiej jak twoja, klecho?

— O co ci idzie?...

— Żebyś mi pożyczył sto dukatów.

— Poważnie prosisz?

— Tak.

— Nie mam tyle, ale jak potrzebujesz, zbiorę od innych. Powiedz tylko na jaki termin, żebym mógł im powiedzieć kiedy oddasz.

— Na tamtym świecie ci oddam, w porządku?

— Na tamtym świecie? Kpisz!

— Ja kpię, klecho?! Mnie się widzi, że to ty wykpiwasz swoją wiarę, jakże to z nią jest, przestałeś naraz wierzyć w zmartwychwstanie i w tamten świat, gdzie się wszyscy spotkać mają? I to ma być wiara głęboka?!

Jezuita gubił się w pełnym załamanych korytarzy labiryncie tej pokrętnej dialektyki, ostrzeliwany bezlitośnie retorycznymi salwami, z których nie jedną mógłby odeprzeć, gdyby dostał więcej czasu na namysł. Pragnął, by jego głos był silny, by mógł zakryć całą jego słabość. W duchu błagał Stwórcę, by go wspomógł i obdarzył większym refleksem i darem perswazji, ale wciąż bezradny się czuł i dlatego odpowiadał coraz głośniejszymi, by zagłuszyć swą niemoc:

— Pluj, pluj, na siebie samego plwasz! Boga nie dotkniesz, za wysoko na twoją złość!

— Z pewnością — odrzekł Grabkowski. — Ale wiesz dlaczego Bóg wznosił się tak wysoko? Właśnie po to, żeby uniknąć odpowiedzialności za to wszystko, co się dzieje na świecie. Ta odległość jest tarczą jego niezakłóconego spokoju. Nie. mogąc jej pokonać wzrokiem — nie możesz spojrzeć mu w oczy, nie mogąc osiągnąć go słowem — nie możesz zapytać. Nikt ci nie odpowie. Nie możesz go zmusić do wytłumaczenia się, jest przed tobą bezpieczny. Tak zostałeś skazany na samego siebie, a okłamują cię, że masz się do kogo odwołać ze swym nieszczęściem. Przytul się do ściany kościoła, a przez chłód tych kamieni poczujesz, jak ci jest daleko.

— Tak mówi każdy ateusz! Błuznicie na zawołanie. Łatwo wam to czynić! Tym razem pisarz całkiem zmienił głos. Już w poprzedniej frazie wyrzucił zeń szyderstwa i wszystkie złośliwe nutki, którymi się przedtem rozgrzewał, teraz jednak posmutniał, uśmiechnął się melancholijnie i odpowiedział z powagą:

— Nieprawda, nie jest nam łatwo. Najgorszemu z chrześcijan łatwiej iść przez życie niż najlepszemu z ateuszy, bo kanalia z krzyżem na szyi ma w zapasie nieskończone miłosierdzie swego Boga i oczyszczającą moc pokuty. Jedno żarliwe „mea culpa” na końcu plugawego żywota otwiera furtę do raj. Tym łatwiej dobremu chrześcijaninowi, bo ten przez całe lata ciuła bogactwo swej nagrody. Zaś uczciwy ateusz musi być dobry za darmo, wiesz jak to trudno?

Ostatnie słowo zawsze zostawało przy Grabkowskim, aż do dnia, kiedy po takiej samej kłótni, Imre stał się, ku swemu zaskoczeniu, świadkiem czegoś odmiennego. W pewnej chwili roztrzęsiony ksiądz zerwał się z miejsca i łapiąc pisarza za wyłogi stroju, krzyknął:

— Durniu ty! Nieszczęsny mądralo! Negować Boga rozumem jest nader łatwo, to zajęcie na poziomie uczniaków. Ale zlikwidować Go tymi sztuczkami mózgu nie można, gdyż On jest w sferze głębszej niż ludzka prostacka logika. Wejź tam i spróbuj z nim walczyć, a popadniesz nie w anormalność, lecz w obłąd, widząc jak jesteś bezradny... Darmo się silisz, i tak będziesz zbawiony!

Powiedział to, cisnął pisarza na zydeł i wyszedł, trzaskając drzwiami. Grabkowski patrzył na te drzwi w dziwnym skupionym milczeniu i długo się nie poruszał.

W ten sposób kapitan Kiss stracił na kilka tygodni (dłużej nie wytrzymali) interesujące spektakle w wykonaniu mistyka i racjonalisty, których polubił. Było to dwóch uczciwych przedstawicieli gatunku, z tym, że jeden przewyższał drugiego tylko retoryczną błyskotliwością, a obaj nie dorastali do zmagania z okrucieństwem świata i wzorem wszystkich natur intelektualnych jedyne wyjście znajdowali w ucieczce wewnętrznej.

Obaj nienawidzili Krammera.

Imre nie spuszczał oka z oberinstygatora, szukając możliwości przeniknięcia do jego trzewi, gdzie — to również było dlań oczywiste — lubieżność i śmierć nużały się w ohydnych uciechach, plwając na duszę. Potwierdzenie i pomoc uzyskał, wcale o to nie prosząc, od Faludiego. Pewnego dnia Janos wyjął z szuflady w swoim gabinecie odpieczętowany list i powiedział:

— Przeczytaj!

Kiss wziął do ręki starannie kaligrafowane pismo, zaadresowane do „Jaśnie W. Pana Oberinstygatora Justusa Krammera”, i zaczął czytać w milczeniu:

„Jaśnie Wielmożny Panie Oberinstygatorze Dobrodzieju.

Żalę się na Molską szwaczkę i na Kwilecką aktorkę, nierządnicę publiczną, która tak dalece do nierządu żonę moją zbałamuciła, że razem sypiały, a z nimi amant mojej żony, przez niedziel dwie. Na koniec perswadowałem mojej żonie, jaka stąd wypływa zakąła i zgorszenie, z czego żona wyprowadziła się do siostry swojej Molskiej przy Freta, która do trzeciego zabiera się połogu, a w domu schadzki nierządności urządza. Jeżdżą sobie z Kwilecką i gachami na reduty, tak iż moja żona, co ze mną żyje od lat osiem i troje mamy dziatki, nocami nie nocuje w domu. Sąsiedzi moi, szewc Klafke, także insi zaświadcza, że pracowity jestem człowiek, że oprócz dwunastu czerwonych złotych gaży miesięcznej za tłumaczenie sztuk z francuskiego i niemieckiego języka wzięłem przez miesiące dwanaście sumę czerwonych złotych 228.I to jeszcze wyrażam i dokładam, że nigdy nie biłem mojej żony za tyle zdrożności, a kiedyś prosiłem jej siostry

Molskiej i nierządnicy Kwileckiej, aby mi żony nie psowały, odgroziły mi publicznie, że jak się użalą swoim miłośnikom, tedy we mnie kości połamią.

Proszę więc litości Pańskiej, aby z ramienia i mocą powagi Pańskiej żona moja wróciła się do swego mieszkania przy Wąskim Dunaju i żeby nierządnicę owe Molską i Kwilecką ukarać przykładowie. Zebrze tej litości JW Pana cnotliwy, ale nieszczęśliwy mąż, a

Jaśnie Wielmożnego Pana Dobrodzieja
podnózek
Z. Pieróg”.

Oddał list Faludiemu i spytał:

— Skąd to masz?

— Z jego pokoju, mam podrobiony klucz.

— Na co?

— Zbieram materiały przeciwko niemu. Nie dlatego, że to mój konkurent, ale dlatego, że to skurwysyn jakich mało, zaśmieca chorągiew.

— A co ma z tym wspólnego ten list od rogakca?

— To, że on takich listów dostaje sporo, wszyscy rogale w tym mieście zwracają się o pomoc tylko do niego. Zważ, nie do mnie ani do kogoś innego, ty też nigdy nie dostaniesz takiej skargi. A wiesz czemu? Bo on ma fisia na punkcie nierządnic i pół Warszawy o tym wie. Nienawidzi kurew, odkąd przez jedną z nich wylądował kilka lat temu u gnojowników, tu blisko, przy Mostowej, Na Łazarskim. Od tamtej pory...

— Co to jest Na Łazarskim?

— Nie wiesz?

— Nie znam miasta.

— Szpital dla gnojowników, założony jeszcze w zeszłym stuleciu przez księdza Skargę.

— Dla gnojowników?... Myślisz o tych, co złapali francę?

— A co można złapać u kurwy, odpuszczenie grzechów?... No więc od tamtej pory on się mści na tych dziewczkach. Chodzi na Rycerską, do zamtuzów, i pono znęca się jak ostatnie bydło, ale żadna nie piśnie słowa, bo się go boją. Przepytałem kilka. Wypierają się w żywe oczy, choć całe w sińcach. Mówią, że kto inny je bił.

— Może i kto inny... Trzeba było go śledzić i na gorącym złapać.

— Zwariowałaś, kim go śledzić? Zna wszystkich naszych ludzi, a czujny jak lis, ma ślepią z obu stron łba! Ale ja nie o tym. W zeszłym roku zamordowano w mieście cztery kurwy, w tym roku już trzy...

— To się wszędzie zdarza.

— To się wszędzie zdarza, ale nie tak często, nie tyle w takim czasie. Czegoś takiego nigdy nie było. Rozmawiałem z królem alfonsów, szefem Rycerskiej i okolic, to nasz konfident. Jest przerażony, mówi, że ktoś mu morduje towar. Podejrzewa Krammera, ale nie ma dowodów.

— A ty masz?

— Jeszcze nie, ale mam powody, żeby sądzić, iż się nie mylę. Właśnie dlatego mówię ci o tym, bo potrzebuję pomocy. Znalazłem w jego pokoju coś ciekawego, po francusku, a ty znasz ten język. Mamy czas, on wróci nie wcześniej jak za dwie godziny. Wyjrzyj na zewnątrz.

Idąc do bramy i wracając Imre myślał o tym, co powiedział mu Faludi o Krammerze i prostytutkach. W wielu krajach widział te kobiety, niektóre bogate i wymuskane, w powozach i atłasach. Ale widział również te biedne i wygłodzone, mieszkające w małym pokoiku z wychudłym dzieckiem i chowające przed nim swoją i klientów nagość w zdmuchnięciu płomienia świecy. „Nigdzie nie traktują ich delikatnie, są przyzwyczajone do sińców — pomyślał — ale gdybyś tak zobaczył mojego parobka, to dopiero byś widział, jak Krammer bije!”

Weszli do gabinetu Krammera. Panował tam nieład obrzydliwy. Na biurku i obok niego wałały się stosy papierów, podłoga nie była sprzątna od tygodni.

— Uważaj — ostrzegł Faludi — niczego nie porusz, otwórz tylko tę książkę.

Na blacie leżał opasły tomik, wydany w roku 1681 w amsterdamskiej oficynie Glanusa, *Les voyages de Jean Struys en Moscovie, en Tartarie, en Perse, aux Indes et en plusieurs pais etrangeres* (podróże Jana Strusia po Moskwie, Tartarii, Persji, Indiach oraz kilku krajach cudzoziemskich). Gdy Kiss otworzył wolumin w miejscu, gdzie był on założony kartką papieru, ujrzał dwa makabryczne sztychy. Na pierwszym trzech Azjatów obdzierało żywcem ze skóry naga, rozkrzyżowaną, wyjąca z bólu kobietę. Na drugim skóra tej kobiety wisiała już na ścianie niczym łowieckie trofeum. Obie sceny oddane były przez sztycharza z takim naturalizmem, że Imre przełknął ślinę w zaciśniętym gardle i poczuł, iż mógłby udusić Krammera gołymi rękami.

— Widzisz! — powiedział Faludi.

— Widzę.

— Przeczytaj, co tu jest napisane.

Zaczął czytać na stronie 266. Była to relacja polskiego wędrownika, Jana Strusia, o uprowadzonej w jasyr Polce, którą kupił Pers z miasta Scamachi. Traktowana nieludzko kobieta uciekła do poselstwa polskiego, lecz służba posła, w nadziei otrzymania nagrody, zdradziła Persom miejsce pobytu uciekinierki. Rozwścieczony mąż obiegnął poselstwo i wymusił zwrot żony.

— Do diabła, czytaj głośno! — przerwał mu Faludi.

— Dobrze, słuchaj...

Streścił kompanowi początek i kontynuował:

„Pochwyciwszy nieszczęśliwą, wprowadzili ją do swego pokoju, gdzie pachoły już przygotowali krzyż, do którego rozebraną do naga kobietę przywiązali. W takim położeniu własnymi rękami obdarli ją ze skóry. Podczas tej egzekucji znajdowałem się z tłumem ludzi przed bramą domu, gdzie się dokonywała. Słyszeliśmy przeraźliwe krzyki i sądziliśmy, że kara była bardzo dotkliwą, lecz nie taką, o jakiej się dowiedzieliśmy niebawem. Jakoż przerażenie nasze było bezgranicznym, gdy ujrzeliśmy ciało jakieś wyrzucone za bramę. Było to coś tak straszliwego, że nie mogłem dać wiary oczom własnym, iż owa krwawa, bezkształtna masa, była właśnie ową męczoną kobietą, której rozpaczliwe krzyki słyszeliśmy przed chwilą...”

— I co teraz powiesz? — spytał Faludi.

— Nic, to żaden dowód.

— A ja z tym pójdę do marszałka!... Połóż książkę, tak jak była.

Kiss ułożył wolumin na miejscu. Cofając rękę spostrzegł, obok kubka pełnego gęsich piór, kawałki pokruszonego laku z odciskami pieczęci. Jeden z nich zwrócił jego uwagę. Przyjrzał się mu i schował do kieszeni, pytając Faludiego:

— Jak długo szukasz dowodów przeciw Krammerowi?

— Od roku, a co?

— Nic, chodźmy.

„Przez rok znalazłeś śmiecie — pomyślał — a ja w jedną chwilę wszystko, co trzeba”.

Następnego dnia Faludi wrócił wściekły od Bielińskiego. Klął na czym świat stoi:

— Bassza meg! Opieprzył mnie i zakazał pod karą czepiać się Krammera! Musiałem oddać klucz! Niech to piorun, nic nie rozumiem! To jego kochanek, czy co?!

Dzień później w pałacu Bielińskich przy ulicy Królewskiej pojawił się kapitan Imre Voeres. Położył na biurku przed marszałkiem wielkim koronnym kawałek laku i spytał:

— Co to jest, ekscelencjo?

Bieliński spojrział na ułamek i odpowiedział spokojnie:

— Fragment pieczęci rosyjskiej ambasady. Dlaczego pan mi zawraca tym głowę?

— Bo znalazłem to w pokoju pańskiego zastępcy, oberinstygatora Krammera. Nie ubiegam się o jego miejsce, ekscelencjo, i nie jestem o niego zazdrosny jak Faludi, ale rozmawiał pan ze mną o zdradzie...

— Ma pan słuszość, kapitanie Voeres, to agent Repnina.

— Pan o tym wie, ekscelencjo?

— Od dawna. Ale jeśli go wyrzucę, przekupią lub wetkną innego, kogoś muszą mieć w policji, tak jak i wszędzie. Lepiej, bym miał na oku szpicla, o którym wiem, niż żebym się zastanawiał, który z was jest jego następcą. Waszym grzebaniem w jego jajach możecie mi go tylko spłoszyć. Dlatego kategorycznie zabraniam wam czepiać się go! Jego zainteresowanie kurwami służy nam dobrze, bo on tylko to w głowie ma i źle pracuje dla ambasady...

Imremu przemknęło przez głowę, że jeśli on i Faludi mają się odczepić od Krammera, to znaczy, że śledzi go ktoś inny. Ktoś, kto z nimi pracuje. W grę wchodziły tylko dwie osoby, ksiądz Parys i pisarz Grabkowski. Który z nich?

— Kapitanie Voeres, pan mnie nie słucha?... Radzę posłuchać. Dowiadywałem się o przyjaciół tego Węgra, o którym panu opowiadałem. Co prawda stary Brühl nie żyje, ale żyją jego synkowie, Alojzy-Fryderyk, Henryk i Maurycy. Ten ostatni przyjaźni się z bratem Repnina, a ten pierwszy, starosta warszawski i generał artylerii koronnej, jest jeszcze mocniejszy, ożenił się z córką pana na Rusi, Potockiego. Na razie wszyscy trzej siedzą w Dreźnie, zajmując się swoją lożą masońską, Saint Jean aux Voyageurs, ale mam wiadomości, że rychło przybędą do Warszawy na spotkanie z naszymi masonami. Wątpię, czy pamiętają tego pańskiego ziomka, lecz ostrożność nie zawadzi... Wie pan, kiedy uświadomiłem sobie, że być może obaj należymy do tej samej kompanii? Kiedy sobie przypomniałem, że carska ambasada mieści się w Pałacu Brühlów... Na razie niech każdy z nas gra swoją grę osobno, chwilowo tak będzie lepiej. Ma pan u mnie ciepłe miejsce, nic panu nie grozi... I jeszcze jedno. Słyszał pan zapewne o szablach honorowych dla moich oficerów. Chcę panu taką sprezentować.

— Słyszałem, ekscelencjo, ale podobno dostaje się taką za pięć lat nienagannej służby.

— Niech pan nie będzie pazerny, kapitanie Voeres! To prawda, że ma pan już u mnie piętnaście lat nienagannej służby i zaczął pan przed tygodniem rok szesnasty, ale

trzech szabel na raz nie mogę panu dać. Są zbyt drogie, od najlepszego płatnerza w Warszawie, Schültza. Proszę się udać do niego z tym papierem.

Mistrz Schültz obrzucił Kissa badawczym spojrzeniem i mruknął:

— Działo wam nosić, a nie szablę, chyba że do dłubania w zębach. Byle czego wam dać nie można, ale coś się dobierze. Pójdźmy.

Wprowadził gościa do składu obok kuźni, skąd dochodziły odgłosy młotów. Na stojakach pod ścianą sterczały pałasze i szable różnego kształtu i rozmiaru. Kiss wziął jedną z nich w dłoń i wygiąwszy głownię rzekł:

— Dobre szable... dla pachółków miejskich za kije, żeby cizbę rozganiać!

— Czy ja wam te daję?! — zapiszczał Schültz. — Chodźmy.

Weszli do komnaty na zapleczu. Płatnerz zdjął ze ściany piękną augustówkę i podał ją Węgrowi, mówiąc:

— Najlepsza, jaką mam.

Imre zbadał jej dźwięk i wyważenie, przejechał palcem po furdymencie, po czym odparł:

— Ta się nawet do płazowania nie nadaje, bo się na tyłku złamać gotowa. Schültz poczerwieniał z pasji, a ujrawszy, że oficer ma tylko cztery palce

u prawej ręki, rzekł:

— Jeśli taka słaba, że się o tyłek rozbije, to taki rycerz jak wy w samej prawicy może ją złamać. Zróbcie to, a dam wam taką, jakiej jeszcze żaden „kruk” nie dostał!

Kiss położył koniec głowni na blacie stołu i uchwyciwszy ją czterema palcami przy jelicu, nacisnął z całą siłą na jaką go było stać. Ostatkiem mocy, wyprężywszy mięśnie do bólu, złamał żelazo i rzucił z pogardą na ziemię. Płatnerz złapał się za głowę.

— Mein Gott! tyle pieniędzy! Taka strata!

— Mniejsza zgoła niżbyście ponieśli, gdybym doniósł do cechu, że sprzedajecie wyrób, który może życie kosztować w bitwie!

Schültz podniósł złamaną klingę i nabiegłymi krwią oczyma lustrował pęknięcie. Skazę w żelazie ledwo było widać, lecz on ją dostrzegł.

— Słowo się rzekło — powiedział — macie oko lepsze ode mnie. Tylko je spuścić z czeladzi, robią jak z łaski! Wam dołożę własną kiesę, a im pasem!

Otworzył kowaną skrzynię i wyjął szablę owiniętą w aksamit niczym drogi klejnot. Tak też wyglądała. Jelce pokryte były złoconymi napisami w dziwnym języku i bogato cyzelowane, uchwyt opleciony srebrnym drutem, a w spodzie głowicy jaśniał zielony kamień.

— Hiszpanka, przez Maurów pieszczona — rzekł, podając Węgrowi — lepszej nie znajdziecie.

— Pewniście? — spytał Kiss, zaglądając do skrzyni. — Mnie szabelka nie na kulig, ani do koronacji potrzebna. Fircyki lubią, by głowica dziewczkom w oczy świeciła, ja wolę, by głownia wrogom po ślepiach jaśniała, a co trzeba dla dziewczek, już mam. Pokażcie no tę.

Z samego dna dobył szablę polsko-tatarskiego kroju i niezwyklej lekkości. Długa damasceńska głownia z czterema studzinami na przygrzbieciu odznaczała się wyjątkowo smukłym sztychem na krańcu krzywizny. Esowaty jelec rzadkiego, kordelasowego kształtu, posiadający ramiona zdobione winnym ornamentem i zakończone smoczymi łbami, panował nad stalową rękojeścią o czterech okuciach.

Kissowi zapaliły się oczy. Machnął nad głową — śmignęła jak jaskółka. Popukał palcem — wydała dźwięk czysty jak kryształ.

— Moja! — zdecydował.

— Jesus Christ, niemożliwe, takiej nie ma sam marszałek! — jęknął Schültz, załamując ręce.

— A jemu po co? Od machania szablą ma mnie i resztę „kruków” — rzekł Kiss i chowając damascenkę do pochwy wyszedł bez pożegnania.

Nazajutrz o świcie rozpoczął regularną służbę, stając się „krukiem” pełnym. Jego ludzie zwaliby go z pewnością „Cztery palce”, gdyby nie to, że po wizycie u płatnerza zaczął nosić czarne rękawiczki, które zdejmował tylko w domu.

Dzisiaj tylko on zakłócił mi spokój i już nikt więcej tego nie zrobi. Może jutro? Jutro znowu będę pisał. Siedzę nad rękopisem przez tyle już dni, od jesieni wyłoconych jałowym słońcem aż po dokuczliwe wiosny, które budzą zimne dreszcze na myśl o tym, co nie może przynieść szczęścia. Czas w Wieży Ptaków objawia jedynie przejrzyste oblicze samotności, jakby zatkała się klepsydra odmierzająca kroki wszystkich pozostałych ludzkich istot. Ptak nie jest tu niczym innym jak strzałą mknącą w pustkę niby wichur i tylko kruki kołyszają się nad krzewami niczym stado boi zapomnianych przy nadbrzeżu. Są one moimi sprzymierzeńcami — dzięki ich ruchom, spłoszeniom i czujnej uwadze skupionej w punktach, których nie mogę dojrzeć, nauczyłem się śledzić jak radar poruszenia tego człowieka w czarnych okularach. Kiedy odlatują, wiem, że go nie ma — poszedł zażyć snu, najeść się lub posiąść kobietę. Kiedy wracają, wiem, że powrócił. Sygnalizują go bezbłędnie.

Kruk to jeden z najwspanialszych drapieźników. W przeciwieństwie do (na przykład) jastrzębia jest łagodny i nie napastniczy, ale spróbuj mu zagrozić - rzuci się nawet na orła. Jest mądry, odważny i przebiegły, i świetnie lata — ma długi, wytrzymały lot. Starożytni Grecy uważali kruki za ptaki wróżbiarskie, lecz nie były to dobre wróżby. U Rzymian kruk uchodził za wieszczka klęski i zgonu. W Polsce też. Lud polski uważał kruka za zwiastuna nieszczęść, śmierci i pogrzebu. Wszystko się zgadza. Oto wielki grabarz carycy przygotowuje Pogrzeb na skalę gigantyczną i ja to widzę z Wieży Ptaków, lecz oni, tam na dole, są ślepi.

Najszlachetniejszym rodzajem kruka jest *Corvus corax*. Kapitan Imre Kiss, najwspanialszy *Corvus corax* w tej książce, odbędzie długi, piękny, wytrzymały lot do purpurowego srebra po to, by rozpoznać je w błysku swego topaza i ukraść na zawsze grabarzom jego przybranej ojczyzny. Podczas tego lotu Polska będzie już w niewoli, a więc i on będzie w niewoli, ale bardziej od tej — w niewoli swego obowiązku i celu, jaki zamierza osiągnąć. My zaś będziemy uważnie śledzić każdy etap owej drogi do przeznaczenia, które jemu i nam wyznaczył los.

Rozdział 6

WIZYTY

„Co było, to samo będzie, a co się stało, to samo się stanie, nic nie ma nowego pod słońcem. Jeżeli jest coś, o czym mówią: Oto jest nowe! — już to było w czasach, które były przed nami”.

(Stary Testament, księga „Kohélet” czyli „Eklezjastes”).

Wciąż to samo: moje ptaki fruwały, jego ciemne okulary warują, a ja patrzę z platformy wieży na mój XVIII-wieczny kraj, o którym pisał wtedy Bernardin de Saint-Pierre:

„Terytorium Polski nie jest wzniesione wysoko, zima tu więc nie jest tak sroga jak w krajach bardziej nawet wysuniętych na północ (...) Wiosna zaczyna się tu prawie równocześnie jak we Francji, ale bardziej żywiołowo. Piaszczysta gleba rozgrzewa się w pierwszych promieniach słonecznych i wchłania śnieg, który ją użyźnia. Drogi porośnięte są kępkami piołunu i żółtych nieśmiertelników, a bagna obrzeżone wonnym tatarakiem. Są tu cenne zwierzęta futerkowe (...). Jeziora obfitują w ryby; są w nich minogi oraz wielka liczba szczupaków, które się soli. Rzeki roją się od raków, a im dalej na północ, tym są one większe. Doskonałe pastwiska żywią duże ilości wołów i koni, pięknych i bardzo wytrzymałych (...). Ziemia tu piaszczysta, co nie przeszkadza jej być żyzną, obfitującą w plony; widziałem żyto wysokości ośmiu stóp (...). W Polsce rosną wspaniałe dęby. Nie można ich przewozić z braku dróg, podlegają więc wypalaniu (...) Lasy obfitują w miód, воск oraz świetny budulec, który mógłby stać się przedmiotem ożywionego handlu; Polacy wszakże nie wyciągają z niczego korzyści. Utrzymują oni, że pochodzą od Kurcjusza, słynnego Rzymianina, który rzucił się w ojczystym mieście w przepaść. Połączona ona była z przejściem podziemnym, które zaprowadziło go wprost do Polski. Niedorzeczna ta bajka rozpoczyna historię Polski i dowodzi, że nie ma marzenia dość śmiesznego, aby próżność ludzka nie umiała go wykorzystać”.

Patrzę na tę bajkową ziemię. Nie jest to kraj dla ludzi starych, którzy pragną żyć w spokoju, gdy są już słabi niby łachman na kiju i niepotrzebni, chyba że ich dusza umie jeszcze pieśni układać. To jest kraj drzemiącej burzy, która czasami zrywa się ze snu, kraj ciągłego żaru jak po wielkim ognisku, które gasnąc długo, nieraz buchnie płomieniem zapalającym serca i wypalającym sumienia, kraj demonów i świętych, którzy rodzą się z pogorzelnika dawnej chwały i przeżywszy swoje, odchodzą w kunsztownie zmyśloną wieczność, gdy już na ziemi szarpia się za nich, w imię tego

samego bohaterstwa, bólu, tej samej wzniosłości i nikczemności, nowe pokolenia, co wyszły z ich lędźwi w dawno minione noce. Pajęczyna snuta przez tarantulę losu z misternością greckich złotników, wplatających w emalię szkarłatne liście poświęcenia i srebrną nić zdrady, żeby śpiewała o czymś, co już minęło i mija i minie...

Przypatruję się temu z górnej platformy wieży, a to, czego nie widzę, wyczytuję z gazet, które przynoszą mi moje ptaki w swoich pocziwych dziobach. Oto gazeta rodaków pana de Saint-Pierre, „Libération”. Pan Yves Lacoste (profesor geografii Uniwersytetu Paris VIII-Saint Denis) mówi w niej:

„Na szczyblu lokalnym nie można zdać sobie sprawy, na przykład, z problemów państwa, z wyjątkiem okresów kryzysowych, w których los państwa rozstrzyga się właśnie na tym szczyblu”.

W lutym 1766 roku, to jest w chwili, którą teraz obserwuję z Wieży Ptaków, los państwa polskiego rozgrywa się w pełni na lokalnym szczyblu Warszawy — jest to początek największego kryzysu polskiej państwowości. Dlatego topografia stolicy okazuje się całkowicie wystarczająca.

Półkole przylepione cięciwą do Wisły, którego łuk to miejskie mury obronne, a wewnątrz gęstwa pałaców, kamienic mieszczańskich, zajazdów i ulic z wystającymi ze ścian godłami handlarzy i rzemieślników. Czerwony kapelusz, olbrzymia ręka z drewna albo wijący się żelazny wąż wskazują, gdzie można kupić nakrycie głowy, gdzie rękawiczki, a gdzie kupczą medykamentami zaklinanymi o północy na uroczyskach i gwarantowanymi maściami ze sproszkowanych żab i nietoperzy. Nad wejściami do gospod wiszą symbole wymalowane na blachach, jak kogut, orzeł, łoś, lew, jastrząb lub niedźwiedź, czasami zaś rozpościera się nad górną framugą drzwi prawdziwy przybity zwierz, wypchany sokół lub ryś.

Przekupnie rozstawiają stragany pod gołym niebem, smażąc mięso i omlety, piekąc kiełbasy i kurczęta, gotując flaki, a nawet obracając na roznach świnie; zewsząd dolatują zapachy budzące wściekłość żołądków nędzarzy. Ci mogą poprawić sobie samopoczucie na Starym Rynku, gdzie pod ratuszem wystawia się opryszków w dybach i nierządnicę wsadzone w „kuny”; mogą obrzucić nieszczęśników błotem lub zgniłą kapustą, a po południu uczestniczyć w ceremonii chłosty, patrząc z lubością na sieczone różgami plecy kieszonkowców i drgające w strużkach krwi białe pośladki ladacznic; mogą podniecać się wyciem bitych, które zagłusza jezuitę pouczającego tłum na żywych przykładach o zdrożności i nieopłacalności występku; mogą wreszcie po skończeniu kaźni ryczeć do oprawców: „Jeszcze, jeszcze!” i odejść do swych nor w lepszych nastrojach, choć z tak samo pustymi brzuchami.

Pod murami klasztorów i kościołów tabuny żebractwa grają perfekcyjnie role budzących grozę kalek, obok zaś szarlatani i farmazoni w dziwnych strojach wychwalają cudowne amulety i święte relikwie skuteczne na wszelkie zło, na chorobę, amory i niegodziwość: drzazgi z krzyża Jezusowego; kawałki sznura, na którym obwiesił się Judasz Iskariota; chroniący od zarazy Agnus Dei świętego Jakuba z Compostelli; wodę prosto z Jordanu, dającą moc nawracania Żydów; oraz szpaki umiejące Pater noster, a będące czarownicami przemienionymi za karę w ptaka i skazanymi na ciągłe powtarzanie modlitwy.

Dopiero zmierzch przegania te tłumy i miasto wsysa ich wszystkich w swoje zamknięte czeluście, zostawiając ulice marszałkowskim rontom i nocnym ptakom.

Takiego lutowego wieczoru, srebrzącego szyby i mrozącego wąsy, królewski paź Ignacy Turkułł złożył wizytę Giacomo Casanovie.

Dochodziła godzina osiemnasta, gdy kawaler de Seingalt, opatulony w futrzaną szubę, wyszedł na balkon domu messera Campioni, trzymając przez rękawiczkę kieliszek wina udającego Claret, gdyż na lepsze nie było go chwilowo stać. Ciemność otwarła się przed nim jak dziki step cały w gwiazdach, z tajemnicą zawieszoną między Wozami i Niedźwiedzicami, szczypiąca mrozem, przesiąknięta przygotowaniami do snu, zabaw, wielkiej rozpusty i mieszczańskiej lichej lubieżności w szlafmocy. W domach i pałacach przy Trakcie Królewskim zaczęły jedno po drugim rozbłyскиwać okna i wędrować długie cienie od przenoszonych świateł. Zapadający zmrok wymiół z ulic ostatnich włóczęgów i przekupniów, a przyniósł czyste powietrze i nozdrza Włocha otwarły się szeroko. Lubił taką porę, która zawsze oferuje jakąś romantyczną muzykę nie zakłócaną stugębnym pyskiem gawiedzi — jakieś zwierzę smutnie zaskomli albo uderzą dzwony kościoła — i ma coś z Sądu Ostatecznego. W takiej chwili człowiek, jeśli nie jest akurat u króla (a król zniknął tego wieczoru w ramionach jednej z metres i Zamek był martwy), albo w szulerni (na to trzeba mieć gotówkę), albo na balu (do tego wymagany jest dobry humor), albo w teatrze Thomatisa (nic owego dnia nie grano) — zaczyna porządkować wspomnienia i karmi się marzeniami, Przeklinając brak mamony. Jeśli do tego jest osobnikiem wrażliwym, dręczy go Grażem świadomość, że nie potrafi już być prostolinijny ani pobożny, i że jedyne szczęście upatruje w złocie.

Podniósł kieliszek do ust, gdy nagle usłyszał chrzest czyichś butów, które zatrzymały się pod nim. Wychylił się za poręcz balkonu i ujrzał młodzieńca stojącego przy drzwiach.

— Pan Campioni schlał się i śpi — poinformował przybysza. — Jutro w południe będzie nadawał się do interesów.

— Szukam kawalera de Seingalt — odparł młodzian, podnosząc głowę.

— Aaaa, to co innego. Służący otworzy panu, proszę zaczekać — rzekł Giacomo i wycofał się do wnętrza domu.

Dopiero w blasku świateł rozpoznał królewskiego pazia i ucieszył się myśląc, że monarcha jednak wzywa go do siebie. Po przeczytaniu listu od Rybaka zrobił duży wysiłek, by zamaskować swój strach. Skończył i udawał, że wciąż czyta, zastanawiając się, jak należy zareagować. Nie miał pewności, bo treść pisma jej nie dawała, lecz wyglądało na to, że człowiek, który do niego napisał, wie coś o misji realizowanej (ciągle zresztą bez efektów) na zlecenie doktora Schleissa von Löwenfeld. „Z pewnością nie jest to jakiś różokrzyżowiec, będący warszawskim agentem doktora — pomyślał — gdyż list nie zawiera sekretnego hasła ustalonego przez Löwenfelda dla tej sprawy. Więc kto?”. Postanowił ostrożnie wybać pazia.

— Kim jest ten, kto mi przysłał to dziwne pismo? — zapytał.

— Może go pan poznać, kawalerze, spotykając się z nim — odpowiedział Turkułł.

— W jakim celu?

— O tym mówi list.

— Panu może mówi, ale ja nic z tego nie mogę zrozumieć. Jakieś tajemnicze ogólności, jakieś aluzje... Albo pan mi powie, kto to napisał, albo w ogóle przestaniemy rozmawiać.

Paź stropił się. Nie wiedział, co stanowi treść listu, ale Rybak zapewnił go, że Casanovą przyjmie propozycję i że trzeba będzie tylko ustalić czas i miejsce spotkania. Teraz poczuł się głupio i bezradnie.

— Nie wolno mi zdradzić nazwiska mego zleceniodawcy, lecz...

— Proszę mi tylko powiedzieć, czy to ktoś z dworu.

— Nie, ale to ktoś, kto wie dużo więcej niż cały dwór.

— Co na przykład?

— Na przykład to, że pański przyjaciel, Campioni, sprzedał pana Thomatisowi i że dlatego nie miał pan żadnej szansy przy stole.

Casanovą zadrżał. Chcąc skryć osłupienie, sięgnął po kolejny kielich wina i wypił duszkiem.

— Czy to pewne?

— Najzupełniej.

— Hmm!... Człowiek wciąż zapomina, że ten z naszych wrogów jest najniebezpieczniejszy, którego nazywamy przyjacielem... Wracając do listu, o co chodzi?

— Nie wiem. kawalerze, nie znam jego treści i nie chcę znać. Pozwoliłem się tylko użyć do przekazania panu tego pisma.

— To może wie pan chociaż, co ma oznaczać ostrzeżenie przed jakimś R.? O jakim R. jest tu mowa?

— Nie wiem, mogę się tylko domyślać.

— I czego się pan domyśla?

— Że chodzi o... księcia Repnina.

Turkułł rozumiał, że posuwa się za daleko, ale chciał coś zrobić, żeby jego posłannictwo przyniosło efekty, na co się nie zanosilo. Casanovą zaś, usłyszawszy nazwisko ambasadora, uznał, że jest to najwłaściwszy moment, by przystąpić do ataku i wywieść w pole twórcę intrygi, który przysłał doń tego żółtodzioba. Wstał z fotela i oddając list Turkułłowi, rzekł wysokim głosem:

— Proszę powtórzyć autorowi tego żartu, że nie dam się wciągnąć w żadne działania wymierzone przeciw jego ekscelencji księciu Repninowi, którego szczerze szanuję i podziwiam, ani w ogóle w żadne machinacje polityczne, gdyż jestem od tego najdalszy! Przyjechałem do Warszawy w celach czysto towarzyskich i nic chcę być zamieszany w jakieś afery, a to mi pachnie intrygą i to brzydką! Ciekawe, co by powiedział król, dowiedziawszy się, jakie to misje spełnia nocą jego paź!

„Chce mnie sprawdzić — pomyślał Turkułł — boi się prowokacji”.

— Jeśli pan sądzi, że to prowokacja — powiedział — to jest pan w błędzie, kawalerze de Seingalt. Daję panu słowo honoru szlachcica, że...

— Idź pan do diabła ze swoim słowem! Jakież głupie propozycje, ostrzeżenia, napomnienia! Wszystko to mnie nie interesuje, zrozumiał pan?

— Szkoda... Mój zleceniodawca będzie zawiedziony...

— Szkoda czego innego, pana! Pan jest za młody, żeby dawać się wciągać w sprawy, które miażdżą nie tylko ludzi, ale i państwa!

Turkułł podniósł się z krzesła, czując, że ogarnia go złość na tego włoskiego bubka, którego lubił od czasu retorycznej interwencji podczas zabawy we wróżby, więcej, był

mu za to wdzięczny, a który teraz pouczał go bezczelnym tonem, traktując jak smarkacza.

— Sam decyduję, do czego jestem za młody, a do czego nie!

— Słusznie, tylko radziłbym decydować mądrzej. Po jakie lichy zajmuje się pan noszeniem listów, które mogą przynieść panu nieszczęście? Niech pan lepiej nosi listy miłosne i bawi się w Apollina podpowiadającego damom jak wybrać lub pozbyć się męża, świetnie to panu wychodzi. Polityka jest wielkim łajnem, które rozlewa się na wszystkie strony, bez względu na to, co zrobimy. Zostawmy ją starcom. Angażować się w to za młodu, znaczy zmarnować najlepszy kawałek życia jak w klasztorze, podczas gdy młodość jest jedna i krótka i oferuje tyle kwiatów do zerwania. W pańskim wieku zajmowałem się wyłącznie kobietami i dobrze na tym wyszedłem. Tylko dzięki ich pomocy można zdobyć świat, jeśli o to ci chodzi.

— Dziękuję za radę, nie skorzystam. Właśnie dlatego, żeby nie napytać sobie nieszczęść.

— No proszę, król się nie pomylił twierdząc, że ma pazia filozofa. To kobiety są nieszczęściem świata?

— A nie są?

— Oczywiście, że są. To jest bardzo mądre, co powiedziałaś. Wszyscy głupcy to mówią. Teraz powiedz jeszcze, że są kurwami.

— A nie są?

— Są, a jakże. A teraz pomyśl sobie, jeśli potrafisz, że to my zrobiliśmy je kurwami. Na samym początku. I one teraz są niewolnicami-kurwami. Wiesz, co robi niewolnik? Pluje do wazy z zupą swego pana. One są podbitym plemieniem i mszczą się. Mszczą się swoim kurewstwem. Mogą z ciebie i z każdego zrobić szmatę. Odbiorą ci godność, najtwardszego przewrócą jak zdechłego kota. A jeszcze lepiej im wychodzi, kiedy robią to swoją przyzwoitością, która jest podszyta kurewstwem. Wtedy już tylko byłeś. Już cię nie ma. To my jesteśmy winni. Pomyśl sobie o tym, jeśli jeszcze potrafisz, ty gnoju!

Turkuł skoczył doń, podnosząc zaciśniętą pięść, ale widząc, że Włoch nie robi żadnego gestu obronnego lub uniku, wstrzymał ją, opuścił powoli i powiedział:

— Jesteśmy kwita, Włochu. Pomogłeś mi, kiedy byłem małpą przebraną za Apollina dla zabawy dworskich kurewek, dlatego daruję ci to słowo. Od tej pory nie obraż mnie już ani razu, bo cię zabiję jak gnoja!

Casanová uśmiechnął się i rzekł tonem, w którym był jakby pomost do zgody:

— Siamo tutti papagalii, scimie e bicci cornuti.*

Turkuł, słysząc ostatnie słowo, zbladł, ale Casanová nie dał mu czasu na zastanawianie się, czy to kolejna złośliwość:

— Nie rozstawajmy się w nienawiści, bo jeśli my, wrogowie Thomatisa, zaczniemy się żreć, to on tylko na tym skorzysta. Dobrze jest wiedzieć, że czeka go podwójna zemsta... A jeśli chodzi o kobiety, to uwierz mi, znam się na tym jako mało kto, ty zaś dopiero się uczysz. Ta nauka nigdy nie jest bezbolesna, nie ma się więc czego wstydzić... Byłeś dla niej dobry, prawda? I co z tego? One nie kochają za dobro, lecz mimo zła. Potrafiłeś być zły?... A widzisz, to nie takie łatwe jak się wydaje. Nie

* — Wszyscy jesteście papugami, małpami i kozłami rogatymi.

umiałeś dodać tej soli, a większość z nich bez tego szybko zmienia potrawę. Thomasisowi wcale nie było trudno zabrać ci ją.

— Nie chcę o tym mówić, panie de Seingalt. Pójdę już.

— Powodzenia. Proszę powiedzieć autorowi tego listu, że nie jestem dlań groźny, nikomu oprócz Thomalisa nie wejdę w drogę, niech o mnie zapomni.

— Powiem mu.

Przystanął za pierwszym rogiem i wyjrzał zza węgła sprawdzając, czy służący Włocha lub sam Casanovą nie śledzą go. Jednakże drzwi domu już się nie otwarły, więc po kilku minutach ruszył dalej. Dopiero wówczas od wnęki w przeciwnym narożniku oderwała się zakapturzona sylwetka i podążyła śladem pazia aż na Stary Rynek. Tego samego wieczoru kapitan Imre Voeres otrzymał całodniowe raporty od swych „podglądaczy”. Na wizytę Turkułła u kawalera de Seingalt, którego polecił mu śledzić Bieliński, nie zwrócił specjalnej uwagi, lecz rutynowo zanotował sobie, do którego domu przy Rynku wszedł królewski paź. Nie zrobiłby nawet i tego, gdyby nie informacja, że Turkułł sprawdzał, czy go nie śledzą. Musiała się kryć za tym jakaś afera, zapewne miłosna, ale Imre pamiętał czego nauczył go Bieliński: „W warszawskim łóżku można znaleźć więcej niż w stu innych miejscach”.

Miejscem, które Kiss przeszukałby najchętniej, gdyby tylko mógł, był położony przy ulicy Ossolińskiej, w sąsiedztwie Pałacu Saskiego, Pałac Brühla, mieszczący carską ambasadę. Właśnie tam, kilka godzin przed wizytą Turkułła u Casanovy, rozpoczęła się wizyta nieporównanie ważniejsza. Około czwartej po południu na wysokości bramy stanęły sanki z lichą figurą w długim wojskowym szynelu, który skutecznie chronił przed niezdrowym zainteresowaniem obserwatorów. Człowieczek ten jadąc wyglądał na śpiącego, lecz nim opuścił sanie, zdążył zauważyć wprawnym okiem, że ambasada jest pod obserwacją. W bramie na dziedziniec wyprężył się przed kapralem dowodzącym wartą i podał mu jakiś dokument. Potem rozmawiali przez chwilę, kapral przepuścił przyjeźdnego i wrócił do budki strażniczej. Dwaj ludzie Kissa inwigilujący ambasadę również nie doznali dreszczy — kurierów przybywało do niej sporo, a to był niewątpliwie „poczciarz” któregoś z rosyjskich korpusów lub rządowy z Petersburga. Miał typową skórzaną sakwę na papiery.

Człowiek w szynelu przemaszerował sprężystym krokiem przez dziedziniec, przyglądając się z ciekawością dwupiętrowej fasadzie z trzema potężnymi ryzalitami, których dekorację stanowiły figury alegoryczne dłuta samego Deybla, u wejścia do pałacu zameldował się energicznie kolejnej straży, został wprowadzony przez porucznika do wnętrza i zniknął z oczu obserwatorów.

W hallu pałacowym nagle zatrzymał się — dobiegły go z piętra, przez klatkę schodową, ochryple pijackie śpiewy.

— Kto tam tak ryczy? — zapytał. Porucznik spojrzał nań ze złością i burknął:

— Nie twoja rzecz! Stupaj!

Przybysz rozpiął szynel, stracił go z ramion na posadzkę wraz z torbą, ukazując lśniący strój dygnitarza, i szepnął głosem, który ściał lejtnantowi w żyłach krew:

— Baczość!

Dwa obcasy klasnęły jak strzał z pistoletu. Obcy lustrował prawidłowość wyprostowanej sylwetki oficera przez długie kilkanaście sekund i powtórzył pytanie:

— No więc, kto tam tak ryczy?

— Puł... pułkownik Igelström, ekscelencjo!

— Gdzie książę?

— Jego książęca wysokość pojechał z małżonką na przyjęcie do posła szwedzkiego, ekscelencjo!

— Wskażesz mi apartament, w którym będę się mógł umyć i odpocząć, a potem przyniesiesz gorący obiad.

— Tak jest, ekscelencjo!... Czy... czy posłać po księcia?

— Nie trzeba, poczekam na niego. Żadnej sensacji, spokój... Czy wiecie, że pałac jest szpiegowany od ulicy?

— Wiemy, ekscelencjo.

— To dobrze. Od kiedy wiecie?

— Od dwóch tygodni, ekscelencjo.

— To niedobrze. Wygląda na to, że dopiero dwa tygodnie temu któryś z was był trzeźwy. A właśnie, nie przeszkadzaj pułkownikowi Igelströmowi, niech sobie śpiewa.

— Dziękuję, ekscelencjo!

— Za co dziękujesz?

— Za to, że... że nie każe mi pan uciszać pułkownika, ekscelencjo. Rozbiłby mi łeb, kiedy wypije, to... to...

— Tak, rozumiem. Prowadź.

Podnosząc z ziemi torbę i szynel lejtnant spytał:

— Kogo mam zapowiedzieć, ekscelencjo, gdy książę wróci?

— Barona Salderna, synu.

Z przyjęcia u Szwedów Repnin wracał doskonale usposobiony. Kiedy się dowiedział, kto od kilku godzin stoi w ambasadzie, humor odbiegł go niczym spłoszony zając. Wizyty Salderna oczekiwał, tak jak oczekuje się nieuniknionego kataru lub bólu zębów, wiedział, że prędzej czy później musi ona nastąpić. Ale nie przypuszczał, że może się to stać bez zapowiedzenia. Więc, gdy teraz stało się, miał wrażenie jakby strzelono doń z zasadzki.

Saldern był jedynym, prócz carycy, człowiekiem, którego książę Mikołaj Wasiliewicz Repnin bał się w sposób psychiczny, biologiczny, nie ważne jak to zwać — bał się ogromnie. Nie łagodziła tego uczucia świadomość, że oprócz Katarzyny boją się Salderna wszyscy, z jej kochankami włącznie. Repnin rozumiał, że szara eminencja zastępczyni Boga przybyła skontrolować jego działalność nad Wisłą, i jedno piekło, z którego Saldern wyszedł, wiedziało, czym się to skończy.

Zjawiając się sekretnie w Warszawie w lutym 1766 roku baron Kaspar Otton von Saldern miał niespełna 55 lat, lecz nie wyglądał na tyle. Ten syn niemieckiego urzędnika urodził się w księstwie Holsztyn, z którego pochodził też car Piotr III, małżonek Katarzyny, zamordowany przez jej faworytów. Ukończywszy prawo w Getyndze, Saldern pracował najpierw w tajnej radzie holsztyńskiej. Do Petersburga wezwano go w roku 1763, doceniając jego rozliczne talenty, wśród których prowokacja grała pierwsze skrzypce, ale nie rażąco wyjątkowe, gdyż w orkiestrze uzdolnień tego człowieka znajdowało się wiele subtelnych smyczków. Błyskawicznie stał się głównym doradcą Panina w sprawach zagranicznych, co było równoznaczne z najwyższym szczeblem w hierarchii politycznej Imperium.

Rozpędziwszy się do władzy. Saldern popełnił kilka błędów, gdyż rozpędzał się zbyt szybko, a zbyt ni pośpiech zawsze powoduje błędy. Dostał za to po nosie od zazdrosnego Panina. Formalnie więc oberhofmajster Nikita Panin zatriumfował, sprowadzając zbyt ambitnego Niemczyka do roli jednego ze swych szeregowych podwładnych. Ale i przy tego rodzaju współpracy nie brakło konfliktów, głównie z powodu Prus, z którymi Panin pragnął współpracować, co Saldern uważał za zgubne dla Rosji. Minister nawet się nie obejrzał, jak mu podwładny wystąpił z szeregu. Odnalazł go w gabinecie carycy. Gdy wszedł, Katarzyna i Saldern rozmawiali po niemiecku (tak jak Stalin i Beria po gruzińsku, co „ogłuszało” innych obecnych), on zaś nie znał dobrze tego języka. Caryca wyjaśniła mu potem, że Saldern jest jej potrzebny do załatwienia w Danii spornych spraw dotyczących holsztyńskich posiadłości jej syna, Wielkiego Księcia Pawła. Stał tak przez kwadrans, a oni nie zwracali na niego uwagi. Gdy wyszedł — dołączył do grona tych, którzy bali się Salderna; bał się zwłaszcza jego niemieckich rozmów z Katarzyną.

Wyemancypowany przez carycę w ramach jej personalnej (kadrowej) polityki „dzielenia i rządzenia”. Saldern oficjalnie dalej był doradcą prezydenta Kolegium Spraw Zagranicznych, hrabiego Panina, i spełniał jego rozkazy — spełniał je wtedy, gdy miał na to czas, to jest, gdy nie był zatrudniony w jakiejś tajnej misji bezpośrednio przez Katarzynę. Znajdował się dzięki temu w częstych rozjazdach, a jeśli wracał do Petersburga, to tylko po to, by potajemnie z władczynią konferować, zdać jakiś raport Paninowi lub odebrać nowe instrukcje, po czym znowu gdzieś ruszał. Nie przepadając za życiem towarzyskim, nie udzielał się na salonach; czasami nie widziano go całymi miesiącami i chociaż rozumiano, że wypełnia zadania najważniejsze dla Imperium, budziło to w petersburskim „mondzie” zniecierpliwienie podszyte ciekawością. Nigdy wszakże nie ujawniano tego otwartymi komentarzami; bano się go zbyt, by nań sarkać. Toteż najostrzejsza uwaga, jaką usłyszano o tym w salonach nad Newą, wyszła z ust przyjezdnego arystokraty, który za sprawą swego podeszłego wieku nie miał do stracenia nic:

— To oburzające, nigdy nie widzimy pana Salderna! Nie przychodzi na zebrania towarzyskie, nie zaszczyca nas wizytami, budzi niezdrowe zainteresowanie. Chciałbym go wreszcie zobaczyć! Jestem w Petersburgu już prawie kwartał i dotąd nie miałem zaszczytu... Niech się pokaże, a przestaniemy plotkować, bo na razie jawi się nam jako wielki pajak siedzący w środku swej sieci i patrzący kogo dopaść.

W Petersburgu mówiono o Saldernie (bardzo cicho), że jest czcicielem szatana, podczas gdy był tylko czcicielem władzy, co zresztą mogło być bliskoznaczne, wzięwszy pod uwagę odwieczne przekonanie mistyków, że szatan czynnie interweniuje w kształtowanie się historii. W dziejach Rosji ta wiara znajdowała setki potwierdzeń, od masowych mordów na rozkaz Iwana Groźnego i Piotra Wielkiego (każdego z nich uważano za Antychrysta), po masowe eksterminacje chłopów sprzeciwiających się kołchozom, robotników, oficerów i inteligentów, komunistów i antykomunistów za Stalina, i dawała się obserwować na wszystkich szczeblach intelektualnych, od ludzi niepiśmiennych po filozofów, myślicieli i pisarzy (vide Władimir Sołowiew, Dymitr Mereżkowskij czy Fiodor Dostojewski ze swoimi „Biesami”).

W najbardziej demonicznych plotkach o Saldernie znajdowało się ziarno prawdy, nawet jeśli były sprzeczne ze sobą. Mówiono, że zgromadził olbrzymie bogactwa,

czepiąc z majątków swych ofiar. Nie robił tego. Ale robiła to jego rodzina, wywożąc stopy złota do Niemiec, w czym nie przeszkadzał, a korzystać z tego zaczął dopiero dużo później, na starość, gdy po wielkiej intrydze przeciw Paninowi pogrążył oberministra w oczach carycy i usunął go z dworu, i gdy zaraz potem, rozzuchwalony, popełnił największy błąd (zaczął zbyt dbać o samodzielność polityczną następcy tronu, Wielkiego Księcia Pawła) i musiał zaszyć się na wygnaniu w Holsztynie, gdzie pozostało mu już tylko pozorowanie wielkości za pomocą złota.

W dobie, w której posiadał autentyczną władzę, był obojętny na autentyczne splendory. Był typem fanatyka niepodobnego do kogokolwiek w ówczesnej rosyjskiej hierarchii. Wszyscy oni każdym swym ruchem, wyrazem oczu i nawet powierzchownością zdradzali żądę bogacenia się, Saldern natomiast był ascetą. Miał zimne, obojętne oczy pustelnika: niektórzy mówili, że jego głowa przypomina głowę świętego. W jego tajemniczym charakterze graniczyły ze sobą surowość, okrucieństwo i pewien rodzaj sentymentalizmu odziedziczony po francuskich lekturach. Jedyłą jego słabością był pudel o imieniu Voltaire, co Katarzyna (którą twórcy francuskiego Oświecenia, z Voltairem na czele, wielbili jako... ostoję europejskiego liberalizmu, bo tak im zawróciła w głowach) uważała za świetny dowcip.

Repnin nie widział go bardzo długo, od ponad dwóch lat, ale twarz tego karła, chudego jak ogar nigdy nie zmęczony polowaniem, raz ujrzana, pozostałaby mu w pamięci nawet po tysiącu lat. Delikatne, quasi-semickie rysy, główka ptasia, oczy niebieskie, szkliste i przenikliwe, usta przerażające jak dziób lelka. Na powitanie Saldern pokazał dwa zęby, co miało znaczyć, że się uśmiecha.

— Cher prince, jakże się cieszę widząc pana...

— Przykro mi, panie baronie, że musiał pan czekać, gdybym wiedział...

— Nie nudziłem się, u pana tak wesoło jak w knajpie, te ciągłe śpiewy...

Repnin zacisnął usta — cała ambasada była wypełniona pijackim rykiem Igelströma.

— Śpiewaków o tak pięknym głosie trzyma pan, książę, w Warszawie, dla siebie? Wypadałoby zaprezentować ich na scenach Petersburga.

— To chyba żart! — zaprotestował Repnin.

— Więc dlaczego pan się nie śmieje?

Nerwy Repnina napięły się jak postronki konia, któremu pan szarpnięciem przypomniał, kto siedzi w siodle. Stał pocąc się i mocując z własną wściekłością, a tamten wpatrywał się weń chłodnym wzrokiem. Ambasador zrozumiał, że teraz jego głos.

— Z nim tak zawsze, same kłopoty! — rzekł z goryczą.

— Nie jest pan zadowolony z pułkownika Igelströma, książę?

— Tego nie powiedziałem... — zreflektował się Repnin.

— Owszem, powiedział pan.

— Tak... Pułkownik Igelström to dobry żołnierz, ale... jako dyplomata zbyt wiele chciałby załatwić siłą...

— To wcale niegłupie. Mnie uczono, że jeśli nie skutkuje siła argumentów, należy zastosować argument siły.

— Nie to miałem na myśli, panie baronie...

— Wiem, co miał pan na myśli, książę. Że Igelström to brutal. Czy dlatego nie daje pan sobie rady z jego pijaństwem? Jeśli boi się pan jednego pijaka i to z własnej stajni, to jak pan chce dać sobie radę z całym pijanym narodem?

— Nie boję się go, ale... nie mogę przecież... Pułkownik Igelström jako oficer podlega hrabiemu Orłowowi, został tylko oddelegowany do ambasady.

— A więc pan nie chce urazić hrabiego Orłowa. bo on sypia w pierwszym łóżku Rosji? Ale to nie jest jego łóżko i nie on wysłał pana tutaj z pełnomocnictwem. To pełnomocnictwo obejmuje także pełną odpowiedzialność za personel ambasady. Należało ukrócić wybryki pułkownika, bo człowiek, który zbyt dużo pije. zbyt dużo mówi w nieodpowiednich miejscach! Jest takie rosyjskie przysłowie... Zechciej mi pomóc, książę...

— Szto u trizwawo na umie, to u pjanowo na jazykie* — „pomógł” mu Repnin, całym wysiłkiem woli powstrzymując się od zgrzytnięcia zębami.

— O właśnie! A pan co o tym myśli?

— Tłumaczę mu to kiedy jest trzeźwy, ale bezskutecznie, panie baronie!

— Wobec tego chodźmy mu wytłumaczyć jeszcze raz. Nauczono mnie, że jeśli nie skutkuje siła argumentów, najlepszy jest argument siły... Zdaje się, że już to mówiłem, powtarzam się, to zmęczenie podróżą.

Igelström siedział w półmroczonej komnacie ze swoim ordynansem i adiutantem, którzy też byli pijani. Na podłodze wałały się puste butelki, gąsiorki. ogarki świec, strącone papiery, fragmenty munduru i wojskowe czapki. Siedział za stołem nagi do pasa, z pięknie rozbudowanym i umięśnionym torsem, a że resztę zasłaniał blat, zdawało się, iż siedzi cały nagi niczym grecki heros. Zanim Saldern i Repnin przystanęli w korytarzu obok uchylonych drzwi, przeszedł od śpiewania do wspominków, uczciwszy kolejną szklenicą radosną chwilę, w której opuściła go czkawka.

— Haaaaaa!... haaaaaa!... Okrucieństwo jest wszędzie... Jest, jest! Popatrzcie, czemu Pan Bóg pozwala matkom przeżywać synów, jakież to wielkie cierpienie. Albo wojna... Wojna!... Pamiętam moją pierwszą wojnę, wielu ludzi umarło, wielu chłopców poległo, tyle krwi, że hej! A drugiej, patrzcie, nie pamiętam! Dwa lata wojowaliśmy, a ja nie pamiętam!... Pamiętam tylko piersi tych mniszek z klasztoru pod miastem, któreśmy zdobyli... jakże się ono zwało?... Cziort bieri! Nie pamiętam. Tylko te piersi, młode, twarde, nabrzmiałe jak złote jabłka, słodkie, pachnące jak winne grona, rozchylone, krzyczące, piękne!... Dostaliśmy szału, bielmo na oczach!... Mat' rodnaja, skąd się to bierze w człowieku? No, powiedzcie. Iwanie Siergiejewiczu, skąd?!

— Nie... nie wiem... pa... panie pułkowniku... — wyseplenił adiutant, któremu głowa opadała na blat, włosami w kałużę wina lub okowity.

— Mów mi Josip... Iwanie Siergiejewiczu... No powiedz, skąd?!

— Ja nie wiem... Josip... każdy lubi pojebać... My też gwałcili.

— A widzisz. Dobrze to pamiętam... Ssaliśmy te piersi, piliśmy z nich wino, gnietliśmy, rozchylaliśmy je, ouuuch!... Trzepotały się, drgały od łez, gładkie, lśniące, spocone, jedna w drugą takie same, ze sterczącymi sutkami... Aaaaaaa!

Napełnił szeroką szklenicę i wychylił duszkiem, strzepując resztki na podłogę.

* — Co u trzeźwego w głowie, to u pijanego na języku.

— Uuufil Wierzcie mi, Iwanie, i ty Wasylu, że na całym świecie nie ma gorszego skurwego syna, jak ja...

Adiutant przewyciężył siłę grawitacji i poderwał włosy z kałuży.

— Co wy... co wy takie rzeczy, wasze błagarodie!

— Eto blatnaja prawda* — westchnął Igelström i wlał do gardła kolejną szklenicę, jakby dla potwierdzenia, że nie kłamie.

Ordynans zwał się z krzesła pod stół, czego adiutant nie zauważył, gdyż zasnął twarzą w rozlewkach, Igelström zaś perorował obojętny na zniknięcie jednego słuchacza:

— Nu, skażitcie, jaki sens miały te moje wojny? Gówno! W wojnach Cezara był sens? Był. W wojnach Hannibala był sens? Był. W śmierci Antoniusza był sens? Nu, był! Walczyli oni o najpiękniejszą dupę świata! A barbarzyńcy? Był. A moje co? Gówno zajebiste, wot szto!

— Schlał się na umór, pieprzy tak od rzeczy już dwa dni! — szepnął Repnin.

— Całkiem od rzeczy nie pieprzy — odparł szeptem Saldern. — Pan ma inteligentnych współpracowników, książe, pogratulować... On ma rację, historia wszystko idealizuje. Sens jest zawsze w dawnych wojnach, których cele i następstwa znają wszyscy, i które ogląda się na obrazkach. To, co nas dotyka, co dzieje się dzisiaj, wydaje się nam płaskie i pozbawione wyrazu, jak każda codzienność. Współczesność to nudna komedia z tragiczną puentą wtedy, kiedy przychodzi umierać od kuli w połowie życia. Posłuchajmy jeszcze chwilę, to interesujące.

— Widzę to, widzę! Dwie armie idą na siebie! Maszerują w imię Chrystusa Spasatiela i w imię Allaha Spasatiela, maszerują od stuleci, maszerują. To w tę, to w tamtą, job ich mat'! Jakby robaki łąziły po naszym ciele. Ścierają się w polu między miastem a miastem, defilują i znowu w mordę tamtego! Ich sztandary łopoczą na wietrze. Słyszę huk armat i odgłos tureckich piszczalek. Krok na komendę, kurwa, salwa, krok, salwa, trupy zaścielają pole, marsz, do przodu! Lecą chłopcy, biegną za ojczyznę. Za cara batiuszkę, za Preczystą. A Igo sra na wszystko, co przed nim i za nim. Wszyscy lecą z carem batiuszką w sercu, a Igo sra!

Saldern przekroczył próg i powiedział:

— Witam pana, pułkowniku, w imieniu Jej Imperatorskiej Mości carycy Katarzyny.

Igelström drgnął jak dotknięty rozpalonym żelazem.

Stęzał, rozwarł szeroko oczy i zatrzepotał powiekami, próbując podnieść swoje jestestwo do poziomu wyznaczonego przez pięć słów, które usłyszał.

Przez chwilę twarz jego wyrażała straszliwy wysiłek woli.

Potem wstał, całkowicie trzeźwy, wyprężył nagi tors i zasalutował:

— Josip Andrejewicz Igelström melduje się do rozkazów, ekscelencjo!

Saldern odwrócił się w stronę Repnina i rzekł tym samym beznamiętnym głosem:

— Za drugim razem proszę rozstrzelać bydlę w ciągu kwadransa, chyba że posługa religijna zajmie więcej.

Po czym wyszedł, a Repnin podążył za nim. W gabinecie ambasadora podano im kawę.

— Co słychać u króla? — zagaił gość.

* — To cholerna prawda.

— Bawi się. Tańczy, pierdoli, poluje. Przez ostatni tydzień pasjonowały go łowy, które urządzono w Łazienkach i Ujazdowie. Zastrzelili osiem łosiwów i trzy niedźwiedzie. Sam Poniatowski rąbnął ślicznego jelenia z takimi rogami, jakich jeszcze żaden mąż w tym mieście nie nosił w trzy miesiące po ślubie.

— A właśnie, proszę mi wybaczyć, z tego wszystkiego zapomniałem spytać o zdrowie księżnej...

— Dziękuję, żona czuje się dobrze, trochę tęskni do petersburskich białych nocy... Dla rozrywki towarzyszyła dworowi na polowaniu — odparł Repnin, przełykając zniechęcenie.

— A jak pańskie polowanie?

— Myślę, że wszystko idzie do przodu. Branicki jest już prawie nasz, kilku innych ze znaczniejszych też.

— W zaufaniu powiem panu, książę, że Petersburg myśli inaczej. Panuje opinia, że wszystko tutaj idzie źle, gdyż Czartoryscy powiększają swoje wpływy i coraz bezczelniej stawiają opór naszym zamysłom.

— Staram się temu przeciwdziałać, panie baronie, ale to wymaga czasu!

— Niewątpliwie... Tylko że z daleka ten czas wydaje się nadmierny, dłuży się, a wydłużające się oczekiwanie budzi zniecierpliwienie. Zwłaszcza, że nie zostały załatwione nawet tak drobne sprawy, jak przepędzenie tego włoskiego cwaniaka, który z polecenia niemieckich różokrzyżowców węszy w Polsce za purpurowym srebrem. Czy to też jest takie trudne?

— Zrobiłem wiele w tej sprawie i doprowadziłem do takiej sytuacji, iż wydawało się, że musi uciec, a on wciąż siedzi w Warszawie!

— Więc może trzeba mu zmienić pozycję, z siedzącej na leżącą, najsilniejszym z argumentów? Wobec Czartoryskich nie byłoby to łatwe, ale wobec niego?

— Panie baronie, jak pan wie z mojego ostatniego raportu...

— Nie znam pańskiego ostatniego raportu.

— Czyżby nie dotarł do ministerstwa?!

— Proszę się nie niepokoić, z pewnością dotarł lub dotrze, i z pewnością graf Panin da wam w odpowiedzi na ten raport nowe instrukcje. Prawdopodobnie to ja przywiozę je panu, ale to na razie tajemnica, o tym nie wie jeszcze sam minister.

— Nie rozumiem... Więc teraz...

— Teraz nie przywiozłem żadnych instrukcji, ponieważ moja wizyta w Warszawie jest całkowicie prywatna i tajna, o niej także pan minister nie ma chwilowo pojęcia.

— Jak to? Naprawdę nie rozumiem.

— Nie musi pan, książę. Wystarczy, że zrozumie pan, iż Rosją nie rządzi graf Panin, lecz Jej Imperatorska Mość caryca Katarzyna. To ona szepnęła mi niedawno, że obok spraw holsztyńskich będę się wkrótce musiał zająć także polskimi, a ja nie lubię zajmować się czymś, czego dobrze nie znam, więc przyjechałem do Warszawy na naukę. Chcę pana prosić, książę, aby stał się pan moim nauczycielem. Ma pan na nauczanie mnie trzy dni, potem wracam, bo zostawiłem Voltaire'a, a on nie cierpi, gdy rozstajemy się. W dniu, w którym graf Panin otrzyma od Jej Imperatorskiej Mości rozkaz włączenia barona Salderna do spraw polskich i zawezwie mnie do siebie, nie mogę być oblubienicą, której mówią przed nocą poślubną, że zaraz będzie robiła dzieci, a ona się dziwi, bo przecież jest zima i bociany jeszcze nie wróciły. Chcę być

wówczas znawcą problemów tego kraju i nie robić z siebie idioty. Czy wyraziłem się jasno?

Wyraził się dostatecznie jasno, by odebrać ambasadorowi złudzenia; nastąpiło to, co musiało nastąpić: caryca uznała, że nadszedł czas i postanowiła przeświecić holsztyńskimi oczyma pracę rodzinnego duetu Panin-Repnin. Wszystko, co powiedział Saldern, oznaczało, że trzeba zapomnieć o więzach rodzinnych i pilniej uważać na słowa niemieckiego barona niż na rozkazy pierwszego ministra Imperium. Formalnie graf Nikita Panin był dalej „pierwszym po Bogu”, a mąż jego siostrzenicy, książe Mikołaj Wasiliewicz Repnin, jego prawą ręką na terenie Polski. W praktyce obaj giganci mieli portki pełne strachu przed zwykłym radcą stanu, jakich wielu kręciło się w ministerialnych gabinetach, z pozoru mało ważnym, ale tylko z pozoru.

Książe Repnin zrozumiał co miał zrozumieć i nie zamierzał kolekcjonować nieprzyjemności jakimkolwiek „stawianiem się” Saldernowi; przyjemność gardzenia tym Holsztyńczykiem pozostawił swej duszy, milczącej i dumnej, dziewczką zaś uczynił swą twarz, gotową do uległości wobec silniejszego. Saldern zresztą nie zamierzał go dręczyć. Powiedział tylko tyle, ile trzeba było, aby ambasador dojrzał nowy układ figur na skąpanej w mroku szachownicy, po czym stał się uprzedzająco miły. Jak pantera, która pożarła dziecko i teraz liże twarz młodej matki, uspokajając ją na przyszłość, bo już zaspokoila głód, a w nerwowej zdobyczy wytwarzają się kwasy psujące smak mięsa.

Widzę to we śnie. Nie jak zazwyczaj, kiedy z oczami szeroko otwartymi obserwuję wszystko z Wieży Ptaków, lecz jakby śpiąc twarzą w poduszce. Chwilami obraz jest trochę nieostry, zamglony i zdeformowany, ale pełen intensywnych kolorów, co czyni go bardzo sugestywnym. Widzę Salderna w postaci owego na czarno ubranego „Niemczyka”, diabła z bajki o Uburtisie, gdy zamienia się w księcia piekieł Lucyfera i rozmawia z panem podziemi Belzebubem, a chociaż jest odeń silniejszy, słucha go z uwagą. Jest to widok z opowieści zawartej w którejś z moich książek, opowieści zwanej się „Katedra w piekle”, o wizycie Lucyfera (łacińskie *Lucifer* — Niosący światło) w jednym z piekieł wszechświata, kierowanym przez Belzebuba (semickie *Baal Zebub* — Pan much). Widzę ich w jakimś baśniowym wnętrzu, obudowanym murami pełnymi wykuszów, krenelaży i baszt, których szpice godzą ostrzami w niebo. Pomyślałem sobie, że człowiek, który ma klucz do tego zamku, jest jak ptak krążący nad tą ziemią ze spokojem właściciela lub jak demon trzymający w rękach ludzkie myśli i czyny, kiedy odpoczywa.

Słyszę księcia piekieł, gdy zapyta:

— Powiedz mi, Belzebubie, co w tym kraju dziełom naszym najusilniej sprzyja?

I słyszę głos władcy much, który mówi:

— Przepaść pomiędzy wyedukowanym królem, co władza siedmioma językami, do gorzałki awersję czuje i tylko kulturę rad by krzewić, a szlachecką tłuszczą, wieczyście brudną, pijaną i niepiśmienną, bez której on wszakże niczego uczynić nie może.

— I co jeszcze?

— Słabość tego króla, który nam służy i który przed nami w dziecięcym zostaje strachu. Gdy delegata do Francji wyekspediował, a myśmy przez to w gniew popadli, sumitował się ze łzami, niczym żak na kradzieży straganu przychwycon. Dzierzę go za

uźdźdzenie przy pysku, nie szczędząc połajanek ni gróźb, a mitygując w folgach, żeby nam pochopnie nie zmonarszał.

— I co jeszcze?

— Musze mózgi szlachty. Gdyby głupota była bólem, to prawie wszyscy z nich wyliby dniem i nocą.

— Azaliż wielmoże takż durni?

— Do jurgieltu pochopni, a to ważniejsze, bo z nich instrumentum sposobne, pieniąż w wyciągnięte łapy kładąc, uczynić można.

— Z Czartoryskich też?

— Czartoryscy jedni są, resztę kupimy.

— I owa reszta Czartoryskich przeważy?

— Przeważy, nie przeważy, to mi za jedno, bo oni sami nie tak strasznymi są, jakoby się mogło zdawać. Niczego wielkiego nie ułożą.

— Pewnyś, Belzebubie?

— Panie, nikogo nie jestem pewny krom siebie samego, ale to wiem, że nie ma ducha Gwizjuszów, Medyceuszów, Godunowów, Essexów i Wallensteinów w arystokracji tej ziemi. Żaden polski magnat nigdy nie okazał się wielkim, ani w dobrym, ani w złym. Żaden do dramatu państwowego nie doprowadził. Takie są Lachy, puste wewnątrz, z geniusza wielkiego dramatu odarte, zbyt słabe sercem i wolą.

— Tedy nikogo się nie boisz?

— Boję się, panie, tych tylko, których intencji nie znam, choć wiem, że mi wrogowie. Nie muszą to być magnaci, i hołysz starczy, byle mocny.

— Znaczy, jest taki.

— Jest. Szef policji, „krukami” zwanej, Bielińskij. Czornyj woron!*

— Nie boisz się narodu, tylko człowieka?

— Ludzi podobnych jemu. A naród?... Istnieje w narodzie tym, przy całej głupocie jego, zacofaniu i niezrównoważeniu, pielęgnowany niczym relikwia duch wolności w pozłacanym naczyniu ze słów i godeł, które egzystują od wieków. Oni to za pancerz swój biorą.

— Nie ma pancerza takiego, którego nie można rozbić, spalić lub przedziurawić, Belzebubie.

— Tego ani rozbijać, ani palić, ani dziurawić nie należy, mistrzu. Zapewne duch, jak to powiadają, nieśmiertelnym jest, wszakże i forma jest ważna, a większość ludzi zgoła tylko do niej się przywiązuje, do symbolów, które onego ducha wyrażają. Rozbić naczynia, które przechowują ducha, znaczy pogłębić go i może zniszczyć nawet. Systematu tego z pozoru wszędzie użyć można, słusznym bowiem jest. Lecz w Polsce kardynalnym by to było błędem, albowiem duch polskiej wolności mieszka w naczyniu zwanym „liberum veto”.

— Cóż tedy?

— Nie bacząc na ekspensa dzbanek ów, miast go tłuc. wzmocnić należy, ucho chwycić i cały dobrą przykrywą zawrzeć, aby duch warcholstwa sprzeciwiającego się wszystkiemu, co postępowe i kraj ten salwujące, nie uleciał. Facecją jest zwać go wolnością, a oni tak go zwać. Dozwólmy im dalej dworować na ich własnym pogrzebie.

* — Czarny kruk!

— A dzbanek religii?

— Z gruntu odmienna materia, panie. I koncept inny. To naczynie na miazgę roztluc trzeba, albo...

— Albo?

— Albo nie tykać go wcale!

— I co wybrałeś?

— Nie mam wyboru, panie, mam rozkazy. Nakazano mi równouprawnić tych, których oni heretykami zowią, i uczynić z innowierców powolne nam sługi, a kościół Lachów osłabić, ile się da. Wiem już, że nie będzie to łatwe.

— Gdyby było łatwe, Belzebubie, to czyniłbyś swoje gdzieś indziej, zasię tu przysłałibyśmy ciurę.

— Panie, nie znasz okrutnej dewocji Lachów, palenie czarownic nie zdaje się tu po dziś dzień czynem osobliwym. Wściekły kler owładnął ich sercami i judzi, a judzić potrafi. Gra jest ryzykowna...

Nagle zrobiło się cicho. Zamilkła delikatna rytmika srebrzystego ostrza. Teraz muszę czytać im w myślach, co przychodzi trudniej. Kiedy mówią - wszystko jest łatwe, jakby ktoś skalpelem od konserw otworzył ich głowy i wyrzucił na zewnątrz zadrukowane zwoje mózgów. Kiedy milczą — na zwojach nie ma liter, jest tylko kod sygnalizacyjny, który trzeba odebrać i rozszyfrować. Fruną za nimi w powietrzu, dotykając mego czoła, długie perforowane żmije pełne treści. Każde słowo, jak wystukane igłą maszyny Braille'a dla tych, co patrzą nie otwierając oczu. Słysząc kolejne nakłucia: tik-tik-tik-tik-tik-tik-tik! Stop! Igła w ustach Belzebuba zamarła.

Przez chwilę rodzi się w nim perwersyjna chęć, by porozmawiać szczerze, wyznać, że po dwóch latach pobytu nad Wisłą nie jest już tak jak na początku przekonany, iż równouprawnienie innowierców okaże się posunięciem genialnym; nie jest, bo może ono wzmocnić katolicki dzbanek narodowej jedności i obrócić wściekłość przeciw inicjatorom intrygi. Ale na to nie może sobie pozwolić, gdyż to byłaby słabość, a słabość potrafi wykorzystać nawet dziecko. Wie o tym i strzeże się.

Lucyfer też wie... Śmiesz go ten głupiec, ale tego mu nie powie. Mówi:

— Rozkazy się nie zmieniły, ryzyko jest w każdej grze, a trudności można pokonać. Jeśli nie skutkuje siła argumentów... To wszakże ostateczność. Jaka jest ich potencja wojskowa?

— Śmieszna, panie. Hetman koronny nie potrafi dosiąść konia, a większości oficerów nigdy w pułku nie widziano, czas pochłania im pisanie erotyków do dam i tańczenie...

Stop!

Coś się psuje w moim śnie, miota moim ciałem po pościeli, jakbym chciał zrzucić bazyliżka siedzącego mi na piersiach.

Ich głosy uciekają w dalekie pejzaże, w krajobraz, który wypełnia ramy przestrzeni niczym starannie zamalowane płótno. Wszystko wygląda tu tak, jak za czasów Chrystusa. Powykrzywiane zielone drzewka oliwne czepiają się kurczowo wypalonych słońcem zboczy górskich, a w nawadnianych wodami Jordanu dolinach rośnie winorośl. Na mozolnie uprawianych półkach tarasowych, oczyszczanych z kamieni przez pokolenia rolników, osły i chude woły ciągną pługi. Przy studniach gromadzą się

kobiety w kolorowych, haftowanych szatach, by prać bieliznę i plotkować, a młodzież przed niskimi domkami o białych ścianach tańczy horę.

Ten krajobraz jest jak dziwne jezioro, na którym nie trzeba się bać złośliwych ryb ani wodnych monstrów, lecz jedynie sielsko wyglądających rybaków. Napływają dalekie echa „Eneidy”, w której może była nauka unikania niebezpieczeństw, ale biblioteka zamieniła się w stos liści gnanych przez samum i łatwiej w niej sięgnąć po śmierć niż po książkę...

— ... rozpuść szept i puść w obieg monety złudzeń. Dżyngis-chan zawsze przed zajęciem jakiegoś terytorium wysyłał na ów teren agentów swoich, którzy opowiadali ludowi o dobrodziejstwach niesionych przez tatarską orzę... Lud tej ziemi uwierzyć musi, że póki my jesteśmy tu, mniejsza mu będzie krzywda od możliwych niżli bez nas.

— Lud?... To błoto, po którym deptają wielmoże, tłukąc, gdy błoto się żali. Cóż mi do niego?

— Nie daj go karać, kiedy narzeka, a roztropnie uczynisz. Pokażesz tym, żeś zbawcą od niedoli, a nadto od terminów się ubezpieczysz, które nadejść mogą. Trzeba hołocie zezwalać na luksus psioczenia na tych, którzy ją gnębią, w przeciwnym bowiem razie życie jej tak byłoby uciążliwe, że pokierowana rękami wrogów naszych mogłaby stać się dla nas przez samą swą liczbę groźna. Głoś, że ludzie równymi są z woli Boga, co prawdą jest, a nie ma lepszego kłamstwa niżli prawda, która się miota nadzieją po człowieczej duszy.

Zadrukowane liście z regałów sfruwają do wielkiego kapelusza z białym denkiem i czerwonym rondem na złotym trójnogu przed moimi oczyma. Teksty przemówień, uwodzicielskie frazy „milczących psów”, jak rydwany anioła niosącego wyzwolenie, i modlitwy snujące się po pustych kościołach: „Boże, kiedy będziesz rozdzielał narodom łaski, racz spojrzeć i na tę cierpiącą ziemię, o której zapomniałeś w nawale spraw!”.

Gorąco nie do wytrzymania. Ciężki, wilgotny upał chwyta w kleszcze i nie puszcza. Można by sądzić, że właśnie ta gorąca wilgoć spowodowała przedwczesne zestarzenie się krajobrazu: zmarszczki i szpetny charakter czegoś, co się już gdzieś widziało.

— ... tylko głupiec wybierze małe kłamstwo, które małą przynosi korzyść. A nie ma takiego wielkiego kłamstwa, które wcześniej albo li później posłuchu by nie dostało od dostatecznie wielkiej liczby ludzi. To kwestia statystyki, a nie moralności czy rozumu. Im bezczelniejsze kłamstwo, tym i prawdopodobieństwo większe, że weń ludzie uwierzą, bo każdy pomyśli: na takie aż nie ważyliby się oszukanie. Im częściej powtarzane będzie, tym bardziej stanie się wiarygodnym i wrychle sam ojciec jego za prawdę je przyjmie, a naonczas prawda to już niewzruszona: łgarz i ołgani jedną wiarę wyznają...

Widzę ich plecy oddalające się miękkim lotem sępów — Belzebuba brodzącego w pyłe umarłej drogi i Lucyfera jadącego obok na koniu. Świat wyreżyserowany jego rękami i dłońmi Boga, który nikomu nie pokazał twarzy, rozstępuje się przed nimi jak złote wrota Sezamu, poruszone magicznym zaklęciem z Apokalipsy. W zastygłym powietrzu zostaje po nich drgający ślad. U nóg mam spocone głązy, lecz wciąż ścigam ich wzrokiem i słuchem, i wargami z palącej soli, którą zlizują moje ptaki chcące mi ulżyć w biegu. Chropawy szept Lucyfera osiada na moich powiekach warstwą twardniejącego kurzu:

— Nada nadzieźnych Polaków!*

— To czynię, mistrzu, złotem i purpurowym srebrem, jako powiedziałem. A cóż czynisz z tymi, którzy ci kłody pod nogi ciskają?

— Tych rad bym nakarmić kulami, zaczynając od księży, jak w ową wilię Bożego Narodzenia, gdyśmy w pierwszym rozwalili rzucie wszystkich kapelanów!

— To był czas wojny. W czas pokoju wyjmij tylko z kosza jabłka zgniłe, co resztę zarażają owoców, a dosyc będzie. Znajdź zabójców, by w cichości usuwać adwersarzy. Wyrychtuj bojówkę taką z Lachów-łotrzyków. dobrego psa na czele stawiając, a wrogowie twoi odwiedzą cmentarze.

Przepych zachodzącego słońca buszujący we włosach i nie gaszący trwogi zagotowanej pod czaszką oblepia mnie kokonem słabości — wydaje mi się, że moje kończyny, piersi, brzuch i plecy należą do kogoś innego, kto tylko użyzył mi ich na tej drodze. Biegnę z odkrytą głową, wyzwolony z wahań i wyjąłowany ze strachu, lecz nie dysponujący własnym ciałem. Mrok jest jak świątynia nienawiści — wielki czarny dom z jednymi drzwiami, tunel ze światełkiem na krańcu, kółkiem bladej aury, stanowiącej tło dla sylwetek księcia piekieł i władcy much. które majaczą przede mną obrysowane nitką elektryczności, iskrzącą się od ruchów ich ciał. Niewidoczne drzewa przeciągają się leniwie i słyhać skrzyp ich lędźwi...

— Musi to być purpurowy zbir ze sforą brytanów przebiegłych i zdolnych zabić w każdym miejscu i o każdej porze, albo porwać człowieka z ulicy lub z domu i cisnąć tam, gdzie dostaje się jedzenie za darmo, ale niestrawne wielce. Powtarzam ci. Belzebubie, byś dobrze pojął: to tajne komando czyniłoby wyroki twoje rzadko, tylko na osobnikach ekstremalnie szkodliwych, a nie rokujących nadziei poprawy, a także dokonywałoby aresztowań ludzi, z których siłą trzeba sekrety ich dobywać. Lecz do tego musisz mieć tajny przyzon. Czy twój pałac posiada piwnice?

— Obszerne, panie, z dwoma wyjściami podziemnymi na miasto. Tylko...

— Co?

— Mam tiumę czynić w domu, w którym śpię, jadam: uprawiam miłość i politykę? Kilka metrów pod łóżkiem moim?!

— Nie jesteś tu po to, Belzebubie, by jeść, spać i uprawiać miłość, a jedynie politykę, właśnie więzienną!

Czarny cień otulił ziemię. Wszystko milczy: gwiazdy kąpiące się w oceanie nieba, ziemia śpiąca przytulonymi do siebie fałdami parowów, księżycowe światło wydobywające z bliskich drzew i przedmiotów ich widmową nagość. Moje ciało wyzwoliło się od ciężaru spiekoty, oczy są wolne od tortury słońca, a nogi lekkie i rześkie, przebierające żwawo w pyle, który tłumi zawziętość kroków. Tak cicho, jakby wszyscy pomarli i zostaliśmy tylko my trzej na świecie. Idę obok nich. ale oni nie dostrzegają mojej obecności. Są tylko dwaj. a ja co tu robię, jeśli mnie nie ma?

Tik-tik-tik-tik-tik-tik-tik-tik...

— Mistrzu... jeśli rzecz na jaw wypełźnie...

— Twoja w tym głowa, aby nie wypełzła, twoja głowa, Belzebubie!

— Pojmuję, mistrzu. Jeśli to rozkaz, wyrychtuję piwnice.

* — Potrzeba przychylnie usposobionych Polaków.

— Nie, mój drogi, to tylko rada z życzliwości płynąca. Gra zaostrza się, a bierni nie wygrywają nigdy. Rozkazy później przybędą i jeśli się okaże, że przybyły za późno, to nie rozkazodawca ukaran będzie — karze się tylko rozkazobiorców.

Nagle trawy poczynają się kłaść, chłostane strugami deszczu — niebo spuściło burzę ze smyczy. Światło z krańca tunelu przybliży się i okazuje płomieniem pochodni, którą trzyma człowiek w kapturze bez otworów, zakrywającym całą twarz. Kroczy nic nie widząc, nawet ziemi uciekającej mu spod nóg. Za nim inni w habitach z wielkimi kapturami ciągną mury żałobne. Na obszernej platformie widać pierzaste zwłoki olbrzymiego ptaka z dziobem zakrzywionym ku niebu niczym hak wywróconej szubienicy. Martwe oko białego potwora łypie do gwiazd stekiem przekleństw, które bałbym się wymówić w tych ciemnościach. Dalej suną dwa sznury mnichów z pochodniami. Wszystko jest bezszelestne, tylko trwożliwie skrzypią osie kół. Wiatr rozdyma płomienie pochodni wzniesionych wysoko ku koronom drzew. Na końcu mniszki bez twarzy, armia czarnych sukni oświetlonych blaskiem świec, ku chrania palcami przed wiatrem i przybierającym deszczem. Suną wzdłuż kamiennego muru, mijają jeźdźca i dwóch pieszych, z których tylko ja odwracam głowę. W ścianie stojącej niezłomnie na baczność, mimo ulewy z kulomiotu Boga, ktoś wyrył napis: „Tu można płakać”.

Budzę się zlany potem i szukam schronienia we własnym oddechu, czekając, aż umilknie śmiejący się grzmot, który rozsadza moją czaszkę. Nie odmykam powiek. Wydawało mi się, że starczy otworzyć oczy, bym mógł ujrzeć znowu tego dumnego jeźdźca na nerwowym ogierze, dwie wysoko podniesione głowy, zwierzęcia i pana. prowadzące wzrok do krańca wszechświata. Ale wokoło są same ściany. Jestem w pustym pokoju, oblanym światłem księżyca, jasnym jak w dzień. Na środku stoi wielki błyszczący stół, na którym kot o czarnym futrze pożera łeb ryby. Spostrzegłszy mnie, zsuwa się po fałdach obrusa na podłogę i zamienia w niedźwiedzia szczerzącego przyjazne kły.

— Nie pytasz, kim jestem? — mówi, siadając obok stołu.

— Przecież widzę, jesteś niedźwiedziem!

— Nie, jestem ostatnią metamorfozą Macbetha — melduje. — Przed nim byłem Dżyngis-chanem, a jeszcze wcześniej zdobyłem Troję. To ja zbudowałem drewnianego konia.

— Widziałeś piękną Helenę?

— Tak jak ciebie. Wcale nie była piękna, tylko miała wargi sromowe jak palce, podnosiła nimi dzbanek za ucho lub chwytiała rękojęść sztyletu i wymachiwała ci pod brzuchem, co bardzo podniecało. Już tylko to, że kilku mężczyzn mogło się podkochać w tej latrynie, dowodzi, jak spodleli ludzie tamtego stulecia.

— Ale przecież Homer... powiedz mi, czy Homer dokładnie opisał wypadki tego czasu?

— W dobie wojny trojańskiej Homer był wielbłądem w Samarkandzie i o wielkich wypadkach tego czasu wiedział był właśnie tyle, ile mógł o nich wiedzieć wielbłąd w Samarkandzie. Zastanów się nad tym.

— Nad czym mam się zastanowić?

— Nad tym, kim byłeś dwieście lat temu.

Zniknął jak duch Banka i znowu przebudziłem się, by czuwać na platformie Wieży Ptaków, pod błękitnym niebem jak akwarium, pełnym białych, ciężarnych, uwięzionych ryb. w ciszy pozbawionej jakichkolwiek ważnych dźwięków prócz dalekich głosów ludzi, którzy umarli przed wiekami. Ci ludzie zstępują tu niby w otchłań, by otworzyć przede mną swoje dusze, a ja powtarzam ich szept.

Któryś z nich szeptem pyta:

— Więc co... co można zrobić dla Polski?

I któryś ubiera swą odpowiedź w szept:

— Zmienić jej miejsce na mapie. Przyczepić wielki balon, podnieść, pofrunąć na środek oceanu i ustawić na szczytach kolumn zatopionej Atlantydy.

Zabijająca bezsilność. W tym kraju mało rzeczy jest gwarantowane, ale jedna na pewno: granie Kasandry zawsze się tu udaje.

Teraz słyszę chóralny szept, pełen śmiechu: — Na szczytach kolumn Atlantydy! Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!

Czy to wy się śmiejecie?.....Z kogo się śmiejecie”? — oto pytanie, które jeden z bohaterów Gogolowskiego „Rewizora” rzuca na widownię przekonaną, że na scenie krążą postacie śmieszniejsze niż ci siedzący na sali...

Rozdział 7

NA TEATRUM

„Wielki teatr świata ma nieliczny personel. W kostiumach historycznych, z językiem różnych epok na ustach, występują w nim wciąż te same postacie, grając w paru odwiecznych konfliktach”.

(Ernst Jünger).

„Karnawał był bardzo świetny. Zdawało się, że przyjezdni ze wszystkich krańców Europy zeszli się tutaj jedynie po to, by ujrzeć szczęśliwego człowieka, który tak zupełnie wbrew oczekiwaniu, tylko dzięki kaprynowi losu, jest królem” — wspominał Giacomo Casanova w swych memuarach ostatnie dni lutego Anno Domini 1766, nie wiedząc, że ostatniej lutowej nocy szczęście opuściło Poniatowskiego za sprawą Amora.

Stanisław August w dwójnasób podobał się kobietom, bo oprócz tego, że był królem, był jeszcze przystojny. Ale ponieważ żadna nie zostawiła pisanego konterfektu Jego Królewskiej Mości, zdani jesteśmy na relacje mężczyzn.

J. H. Bernardin de Saint-Pierre: „Król Stanisław Poniatowski ma szlachetną postać, twarz bladą, orli nos, wyraziste rysy, oczy ciemne o pięknym wykroju, lecz nieco skośne (...). Jest zgrabny, tańczy zachwycająco (...). W rozmowie, gestach i chodzie pełen jest afektacji”.

Casanova: „Król polski był średniego wzrostu, lecz bardzo pięknej budowy. Oblicze jego było pełne wdzięku, dowcipu i wyrazu. Był nieco krótkowidzący”.

Stanisław Wasylewski na podstawie opisu kronikarza Magiera: „Król był tuzi ciała miernej, ale pleczysty i szerokich piersi, gdy siedział, zdawał się wyższym niż był w istocie. Rysów regularnych, rzymskiego nosa, ust malowniczo wyciętych (...). «Pragnienie posiadania wszystkich pięknych kobiet, jakie spotykał — tak powiada jeden z dyplomatów — i płochość, z jaką je potem porzucał, przyczyniły królowi nieprzyjaciół wielu» (...). Metresy stałe i dorywcze, królowny chwili i władczyni długich miesięcy, księżniczki krwi, mieszczyki warszawskie i zagraniczne awanturnice... Przeobfita każdego czasu czeladka miłosa szkodziła i zdrowiu i zachowaniu majestatu”.

Tej nocy namiętność do cudzej żony zaszkodziła tylko zdrowiu pomazańca, którego Wasylewski nazwał tak, jak zwano Richelieu'ego — „mężem wszystkich żon”.

Gdy po zachodzie słońca król wymknął się incognito z Zamku, Turkuł, który miał właśnie służbę, skorzystał z okazji i pobiegł na spotkanie z Rybakiem. Wracał zmęczony, opity gorzałką, przez miasto skąpane w mroku, puste i milczące. Czerń nocy szykowała się już do odwrotu. Niespodziewana odwilż roztopiła śnieg, zmuszając do przeskakiwania po omacku wielkich kałuż wody. Jego kroki budziły uśpione echa ulic, wywabiały głosy zamarłe po zaułkach, budziły śpiących włóczęgów i podejrzanego indywidua, chroniące się przed rontami. Nagle, gdy skręcał z Jezuickiej na Kanonie, w narożnej kamienicy zapaliła się świeca i dwa okna rozbłysły bladym światłem, jakby podniosły się ciężkie, senne powieki ciemności i otwały prostokątne źrenice skierowane na intruza.

W mętnej poświacie dostrzegł sylwetkę człowieka klęczącego pod ścianą i trzymającego się za głowę. Pochylił się ku niemu, zaintrygowany blaskiem złotej klamry u buta, która świadczyła, że klęczący nie jest żebrakiem lub bezdomnym włóczęgą. Spostrzegł oczy gorączkujące w półmroku. Były to oczy króla.

— Sire! — potrząsnął monarchą. — Co ci jest?!

Poniatowski nie odpowiedział, tylko zamknął powieki i osunął się na ziemię. W tej samej chwili Turkuł usłyszał szmer za plecami. Instynktownie pochylił głowę i skoczył ku ścianie. Kilka kroków od niego stał nieruchomo jakiś człowiek. Z ust dobywały mu się obłoczki pary. Lewą dłoń trzymał na czole, z drugiej zwisała obnażona szabla. Minęło kilkadziesiąt sekund nim Turkuł zrozumiał, że człowiek ów znajduje się w stanie dziwnego letargu. Podeszedł doń, zachowując czujność, gotów odskoczyć w razie nagłego ataku. Tamten opuścił dłoń z czoła i spojrzawszy na pazia przytomniej, szepnął:

— Ignacy... ja... ja nie chciałem go zabić... szabla skreśliła mi się w dłoni... Ignacy... ja naprawdę...

Poznał królewskiego hajduka, Henryka Butzaua.

— Uspokój się! — powiedział, pragnąc uspokoić siebie.

— Ignacy, przysięgam ci na Matkę Przenajświętszą, ja nie chciałem, chciałem go tylko nastraszyć, żeby przestał chodzić do mojej żony... Ja ją kocham, Ignacy... ja... jego nie chciałem... chciałem Thomatisa, bo on przygotował im pierwszą schadzkę...

— Kogo chciałeś?

— Przecież mówię, co, nie znasz Thomatisa?

— Znamy się...

Coś takiego zasyczało w tej odpowiedzi, mrozącego krew, że hajduk spojrział na pazia z nadzieją.

— Ignacy, zlituj się, nie wydaj...

Turkuł pochylił się nad ciałem króla i przyłożył ucho do piersi. Po chwili wstał.

— Marnie ci się skreśliła, albo źle naostrzona. Żyje.

— Herr Jezu, dzięki ci! — krzyknął hajduk.

— Zamknij się, bo sprowadzisz nam ront na kark! Masz się z czego cieszyć, głupku! Ja z chęcią naplułbym na jego grób!... Nie wytrzeszczaj gałów, później pogadamy. A jego wysokość rajfur wielki koronny, signore Thomatis, nie ujdzie nam, obiecuję ci... Powiedz lepiej, czy cię król nie rozpoznał?

— Nie wiem... Chyba nie... ale nie wiem.

— Zobaczymy. Z jego wzrokiem przy tym świetle byłby to cud. Trzeba go przenieść na Zamek, póki nie widać „kruków”. Potem ukryjesz się w stajni, a jakby się okazało, że cię poznał, schowam cię u kogoś, u kogo będziesz bezpieczny przed wszystkimi „krukami”.

W Zamku marszałek dworu, Karaś, natychmiast zdusił panikę, nakazując odźwiernemu, a także kamerlokajowi Hofnmanowi i kamerdynerowi Hennichowi, którzy przenieśli zemdlonego króla do sypialni, by nie puścili pary z ust. W dzień miano rozgłosić, że monarcha leży po ataku konwulsji, co nie było rzeczą niezwykłą, gdyż Stanisław August cierpiał na epilepsję. Obudzono tylko księdza Lachowskiego i nadwornego aptekarza, Krzysztofa Rhode, gdyż królewski medyk słabował akurat z przeziębienia. Posłano też po Branickiego.

Rhode zaczął od przemycia głowy i prowizorycznego opatrunku, który zatamował upływ krwi. Sole podsunęte do nosa otrzeźwiły króla. Spojrzał po nachylonych twarzach i spytał słabym głosem:

— Co się stało?

— Napadnięto na waszą królewską mość — odparł Rhode. — Turkuł przypadkiem ich spłoszył, widział czterech uciekających... Przydźwigał waszą królewską mość na Zamek.

— Kochany Ignas... Boże, jak mnie boli! Cest jouer de malheur!*

Aptekarz podał mu sal volatile i dla ożywienia kieliszek Goldwasser, gdańskiej wódki z pływającymi listkami złota. Poniatowski zażądał lustra, a ujrawszy swą głowę, wykrzywił twarz do płaczu:

1 — To znaczy mieć pecha!

— Pardieu! Je suis un homme fini! i

— To nic — uspokoił go Rhode — zagoi się szybko. Pod peruką nie będzie widać. Teraz, wasza królewska mość, musimy zgolić włosy i lepiej opatrzyć cięcie, potem zaś, póki się nie zasklepi, trzeba będzie uważać, żeby puder z peruki nie dostawał się do rany.

W drzwiach zamajaczyła wielka postać Branickiego w rozchełstanej koszuli, niedopiętych spodniach i płaszczu podbitym futrem.

— Kto cię tak urządził, Sire?!

— Oh, Xavier! — ucieszył się Poniatowski. — Dobrze, że przyszedłeś... Siadaj.

— Powiedz kto, a ja go!...

— Skąd mogę wiedzieć kto? Force majeure. Jacyś złoczyńcy... Turkuł ich spłoszył, przez Kanonie od dzierlatki wracał...

Z wysiłkiem przybrał romantyczną pozę i rozłożył ręce.

— L'hommage a la belle inconnue! Ach ten Turkuł! Tandem! Gdyby nie to, że opuścił hultaj nocną służbę i poszedł zażywać rozkoszy, może bym już nie żył. Pomyśl, Xavier, już bym nie żył! To okropne!

Kolejna okropność spotkała go w godzinę później, gdy do Zamku przybył Repnin.

— Cóż za miła wizyta! — powitał go król. Rosjanin nawet nie raczył odpowiedzieć powitaniem.

— Chcę, żebyśmy zostali sami!

* — To znaczy mieć pecha!

— Wyjdźcie — nakazał Poniatowski.

Wyszli, ale przez zamknięte drzwi dobrze było słyszeć ryk ambasadora:

— ... Więc czemu się włóczysz nocami po mieście jak pijany fircyk?! Mało masz dup w pałacu?! Caryca zdjęła by mi łeb, gdyby ci się coś stało! Zdychaj sobie jak chcesz i gdzie chcesz, ale nie kiedy chcesz! Nie wtedy, kiedy ja tu jestem! Gdy wrócę do Petersburga, możesz się powiesić, ale nie wcześniej! Zabraniam ci, rozumiesz, zabraniam ci!

Brzmi to niewiarygodnie, ale znajduje pełne potwierdzenie w dokumentach i pracach historyków. O Replinie, w którym układny dworak walczył z dzikim bojarem (z różnym skutkiem, zależnie od potrzeb), pisał Wasylewski: „Od razu po swym przybyciu do Warszawy próbuje Replin tonu ostrego i bezwzględneho (...). Król będzie się uskarżał innym posłom na surowość Replina («traktuje mnie w taki sposób, jakiego ja wstydzilibym się wobec najlichszego z mych służących »), ale nieszczęsny defekt cywilnej odwagi nie pozwolił mu na choćby słowo sprzeciwu”.

Branicki, który tymczasem indagował Turkułła, dowiedziawszy się, że

1 — Na Boga! Jestem skończony!

2 — Siła wyższa!

3 — Hołd dla pięknej nieznajomej!

Replin jest w pałacu, przybiegł na górę i wpadł na ambasadora. Odbyli kolejną rozmowę, w której Rosjanin po mistrzowsku wykorzystał rozbity łeb Stanisława Augusta; przykry wypadek króla jegomości był dla księcia Replina wielce korzystnym zrzędzeniem losu.

Wiele lat później warszawski kronikarz, Kazimierz Władysław Wójcicki, opowiedział w pamiętnikach to, co w dzieciństwie usłyszał od swego ojca, jednego z lekarzy Poniatowskiego; ojciec mówił:

„Kiedym był na dworze króla Stanisława, był tam, jak na rezydencji, stary szlachcic Zakrzewski. Ten, podochocony starym miodem, wziąwszy mnie do swojej stancyjki w oficynie zamkowej, zaczął o tym prawić: « Wiesz, wasze, jak król jegomość lubił i jeszcze lubi ładne kobietki. Choć miał i panią Grabowską i tyle pań innych, zachciało mu się gładkiej żony hajduka Butzaua (...). Dowiedział się i dopatrzył wszystkiego hajduk i nie mógł tego strawić. Dopilnował tej pory, kiedy król jegomość, obwinieyty szerokim płaszczem i zasłaniając twarz sobie, od jego pani duszki wychodził. Udając pijanego, napada niby na obcego włóczęgę i augustówką jak pocznie płazować, tak król w nogi, hajduk za nim, jakoś mu augustówka się skrećila i ciał go w głowę. Król jegomość po takiej gorącej łaźni (...) krwią oblany. O tym wypadku zaraz dają znać posłowi moskiewskiemu. Przebiegła to była sztuka; uradowany wielce z rany królewskiej...»,,

Uradowany Replin miał zatroskane oblicze, gdy spytał Branickiego:

— Co myślisz o tej sprawie, generale?

— Myślę, książę, że to nie hultaje uliczn, lecz że to sprawa polityczna.

— I ja tak sądzę. Mam również wrażenie, że pan marszałek Bieliński, odpowiedzialny za bezpieczeństwo w mieście, jest człowiekiem całkowicie nieodpowiedzialnym.

— Wobec tego jesteśmy jednomyślni, wasza książęca wysokość, ale zbyt wielu ludzi w tym kraju ma odmienne zdanie i uważa tego starucha za męża opatrnościowego.

— Nie wiem, czy się dobrze rozumiemy, generale. Jego policja bywa sprawna, to trzeba przyznać, ostatnio jednak monsieur Bieliński zaczyna się zajmować nie tym, co należy do niego. Mam na ten temat szczegółowe informacje. Zbyt interesuje go gra polityczna, jaka się toczy w waszym kraju. Pachnie mi to zdradą.

— Co każesz zrobić, książę?

— Ależ drogi generale, cóż ja mogę kazać? Mogę tylko radzić i być szczęśliwym, jeśli patrioci rad tych usłuchają. Są kraje, w których, gdy urzędowa policja źle się sprawuje, ludzie ojczyznę kochający powołują drugą policję, tajną, czuwającą nad bezpieczeństwem i nad interesami narodu.

— To ciekawe, wasza książęca wysokość. - Interesuje cię to, generale?

— I owszem! To jest myśl godna...

— Godna podjęcia przez człowieka, który prawdziwie kocha swą ojczyznę. Podjąłbyś się tego, generale?

— Z rozkoszą, wasza książęca wysokość. Mam odpowiednich ludzi. Mój Janikowski będzie w siódmym niebie, Bizak też, a sekretu ja dopilnuję, nie ma obawy.

Repnin rozejrzał się dookoła.

— Właśnie, przejdźmy gdzieś na bok, ten pałac cuchnie szpiegami ze wszystkich krajów świata.

— Proszę do mnie, wasza książęca wysokość, u mnie nie ma szpicli... To prawda, król ściąga ze wszystkich stron cudzoziemską hołotę, gości w Zamku i rozdaje urzędy, że niedługo nie uświadczysz Polaka na dworze...

Nim dotrą do zacisza Branickiego, sięgnijmy po pamiątki Kajetana Koźmiana, by dowiedzieć się, kto zacytował Janikowski (Czecha Bizaka poznaliśmy już w pierwszym rozdziale): „Znałem niejakiego Konstantego Janikowskiego, sławnego rębacza i burdę już niejednego województwa, lecz całego kraju. Był to jurgieltowany Achates Ksawerego Branickiego. Był on wzrostu małego, lecz niezmiernie barczysty, szeroki, karku niesłychanie grubego, twarzy obszernej, zgoła lwiej postaci i siły nadzwyczajnej. Gracz, rębacz, strzelał z pistoletów jak nikt (...), a gdzie się on ukazał, strach paniczny ogarniał przeciwną stronę, bo już poprzedzała go sława niejednego antagonisty sprzątnionego ze świata...”.

U siebie Branicki wziął z sekretery jakiś szlachetny, pełen pieczęci papier.

— Od tego winienem zacząć, chciałem podziękować uniżenie waszej książęcej wysokości, otrzymałem pierwszy kredyt.

— Boję się, generale, żeby nie był on ostatni. Jeśli już o tym mówimy... Jej Imperatorska Mość może pogńiewać się na pana.

— Co?! Cóż takiego zrobiłem wbrew niej?! Na Boga, książę!

— Uderzyłeś pan w twarz Thomatisa, po spektaklu, gdyś gwałtem jego powóz zajmował, a on ci go bronił.

— Nie znoszę tego Włocha, wasza książęca wysokość!

— Robisz tym błąd, gdyż on ma w Petersburgu możnych protektorów. To, że cię ograł, było intrygą Casanovy.

— O tym już wiem, książę, od ciebie. Tym razem poszło o co innego. On dyskryminuje w teatrze pannę Binetti, bo Catai nie może jej ścierpieć.

— A więc to Binetti kazała ci dać mu nauczkę? A jeśli teraz Catai, z którą ja sypiam, każe mi zemścić się na tobie za jej spoliczkowanego małżonka, to też mam wyprawiać brewerie? Jeśli będziemy pozwalać, by te włoskie kurewki sterowały nami jak kukielkami na teatrum, to do czego dojdzie? Ta sama Binetti, której interesów bronisz, generale, sypia również z Casanovą i pono nie oszczędzają cię, gdy tylko mają wolne języki. Czemu więc nie wzięłeś sobie odwetu na kawalerze de Seingalt?

— Nie miałem okazji, książę, Casanovą zaszył się jak szczur w domu Campioniego. Ale jeśli trzeba, poniecham go, bo może się okazać, że i on ma petersburskie plecy, a ja nie chcę w niczym uchybić Jej Imperatorskiej Mości. Zrobiłbym wszystko, aby ją przebłagać, wszystko za wyjątkiem przeproszenia Thomatisa, bo na to mi honor nie pozwoli... Te kredyty są mi bardzo potrzebne, wasza książęca wysokość, rozpocząłem inwestować... Wiem, ponosi mnie czasami, ale skończę z tym. Nie będzie już żadnych awantur, obiecuję, że nie tknę Casanovy!

— Zrobisz tym jeszcze większy błąd, generale. Myślę że nic nie przebłagałoby Jej Imperatorskiej Mości lepiej niż właśnie rozbity łeb kawalera de Seingalt. Pozwolił on sobie na pewien plugawy dowcip a propos jej stosunków z hrabią Orłowem. Takie żarciki to jego specjalność, są one jak trujące grzyby.

Branicki nie był pewien czy dobrze zrozumiał.

— Sądziś więc, książę, że Jej Imperatorska Mość byłaby rada...

— Sądzę, że byłaby bardzo kontenta dowiadując się, iż ktoś unieszkodliwił truciciela jego własną bronią.

— Jego własną bronią?

— Naturalnie. Gdyby tak ktoś powiedział: kawaler de Seingalt zmarł na skutek zatrucia ołowiem, pan Branicki był celniejszy.

— Rozumiem, wasza książęca wysokość. Tylko, czy nie lepiej sprzątnąć gagatka po cichu? Moi chłopcy, Bizak, Janikowski, Kurdwanowski czy Mierze-jewski, zrobią to raz-dwa.

— Nie, bo wybuchłaby afera, a Bieliński ma długi nos. Pojedynek zaś to rzecz szlachetna. Tylko nie szpady, generale, Casanovą jest fechmistrem. Słyszałem, że wybornie strzelasz, zmuś go do pistoletów.

— To mogę zrobić, ale dopóki on siedzi w swej jamie, pretekst będzie znaleźć trudno...

— Wyjdzie z nory za pięć dni, będzie gala na teatrum.

— Racja! Lecz on może nie przyjść, ostatnio nie bywa.

— Przyjdzie, gdy nakaże mu król.

Dramatyczne wydarzenia, które spowodowała ta rozmowa, stały się głośne w całej ówczesnej Europie, a i dzisiaj podniecają historyków oraz czytelników wspomnień kawalera de Seingalt, aczkolwiek prawdziwe przyczyny owych wydarzeń są mało znane. Casanovą sporo przekłamał w tym fragmencie swego pamiętnika, a jeszcze więcej przemilczał.

Proroctwo, czy, jak kto woli, obietnica księcia Repnina, że król „nakaże” Casanovie, spełniło się:

„Czwarty marca — pisał Giacomo — jest dniem świętego Kazimierza, a przeto dniem imienin nadwornego mistrza ceremonii, starszego brata królewskiego; z tej to okazji, w wigilię owego dnia, trzeciego marca, był wielki obiad u dworu, ja zaś miałem zaszczyt otrzymać nań zaproszenie. Po obiedzie zapytał

mnie król, czy będę na teatrze. Dnia tego dawano po raz pierwszy polską komedię. Wszyscy interesowali się 'cym wypadkiem, ja tylko byłem zupełnie obojętny, nie rozumiejąc ani słowa po polsku. Powiedziałem to królowi, on jednak odparł: « Nie szkodzi, proszę przyjść do mojej łóży! ». Zaproszenie to zbyt mi pochlebiało, bym miał odmówić. Byłem tedy posłuszny...”.

Książę Repnin obiecał Branickiemu, iż Casanovą — chce czy nie chce — przyjdzie po swoją śmierć do teatru. Przyszedł i to wystawiło go na największy w życiu hazard. Ale za to w jak pysznej pułapce i przy jak świetnej publiczności!...

„Małżeństwo z kalendarza”, sztuka, którą miano wystawić w „operalni” Thomatisa 4 marca (a nie 3 marca, jak pisał ciągle mylący się w kalendarzu Giacomo) 1766 roku, była bardzo marna i wcale nie była to pierwsza oryginalna komedia w języku polskim, wcześniej bowiem grano „Natrętów” Bielawskiego. Teatr przygotowany był w ten dzień nadzwyczajnie. Parter, piętra, łoże i tzw. cyrkuł, do którego bilety kosztowały najdrożej, bo aż dziesięć tynfów, to jest prawie jedenaście złotych, gdy najtańszy, na trzecie piętro, tylko pięć szóstaków — wyblyszczono jak rzadko. Wszystko było rzadkie: publiczność, wpuszczana tego dnia tylko na zaproszenia królewskie, i nawet światło. Powszednio zalegały salę ciemności, kilka zaledwie lampek wisiało na scenie i po łożach, a muzykanci musieli czytać nuty przy śmierzających łojowych świeczkach, bo Thomatis oszczędzał na widzach, co zresztą nikomu nie wadziło. W ciemnościach owych panowała taka swoboda, iż jak żartowano: większa część warszawskiej arystokracji „była poczęta na teatrum”. Ale tego dnia w blasku setek świec i lampionów migotały złocenia ścian i wielkie połacie luster.

Na dwie godziny przed rozpoczęciem pojawili się służący zajmujący lepsze miejsca dla swych panów. O 18-tej sala zaczęła się powoli napełniać. Teatr ożywa jak człowiek zbudzony z letargu, jak rzeka rozkuta z lodu, jak las wiosną, a kościół w niedzielę, bo teatr to nie mury — to krew w żyłach, soki w gałęziach, napływ fali. Ludzie. Znajomi, dostrzegając się z daleka, wymieniają ukłony, wystrojeni młodzieńcy puszą się w pierwszych rzędach, a starcy zwalczają ogarniającą ich nudę lornetowaniem niedorostłych panienek. Przybywa król, witany brawami, w otoczeniu gromadki dworzan obojej płci, zasiada w swej łóży i oddaje powitania ruchami peruki. Między rzędami moszczonych ław wędrują przekupnie z winem i z wodą zaprawioną anyżową „mistrą”, z koszami pomarańczy, kasztanów, ciast i rogalików, a do łóż zaglądają chłopcy z kawiarni, roznoszący czekoladę i lody. Fryzury a la Pompadour, wzniesione na drucianych rusztowaniach półmetrowej wysokości, mierną się drogimi kamieniami i przez bogactwo wstążek, koronek, kwiatów i gwiazd przypominają warzywne ogrody. Elegantki wachlują się zaciekle od gorąca, uważając, by kraniec wachlarza nie uszkodził grubej warstwy szminki i pudru zalegającej twarzy; z tego to czasu pochodzi anegdota o rozmowie na dworze, podczas której król, chcąc wystawić

na śmiech. Bielińskiego, zapytał go o zdanie: czy woli twarz niewieścią zrobioną na wzór angielski czy też francuski, na co stary marszałek odburknął:

— Nie znam się na malowidłach, Sire!

— Ben toccato!¹ — skwitował te słowa kawaler de Seingalt i on puścił je w obieg.

Spod piersi wypchniętych niczym dwa dojrzałe arbuzy aż pod brodę, ze stanu tak cienkiego, że go dłonią prawie można objąć, rozkwitają dwułokciowej średnicy krynoliny, upodabniające damy do chińskiego namiotu, pysznego polichromią najjaskrawszych kolorów, na obliczu zaś królują aksamitne muszki, nieobojętnie w którym miejscu: na wardze oznaczają kokieterię, na powiece namiętność, a w kąciku ust chęć do pocałunków. Złote zegarki wybijają wolno długie, pokorne minuty czekania...

Czeka się na jego ambasadorską butę, posła carycy, księcia Mikołaja Wasiliewicza Repnina. On zaś umyślnie się spóźnia, wiedząc, że bez niego nie ośmielą się zacząć. Czyni te demonstracje coraz częściej: nie wstaje od stolika kart, gdy wchodzi król, przerywa mu w pół zdania, regularnie nie szanuje godziny rozpoczęcia przyjęć i przedstawień. James Harris pisze w swoim „Dzienniku podróży po Polsce”: „Często bywałem świadkiem, jak aktorzy odwlekali rozpoczęcie spektaklu, ponieważ nie przybył jeszcze wielki ambasador, nawet wtedy, kiedy jego królewska” mość czekał blisko godzinę w swej łoży”.

Dopiero kiedy na sali pojawił się Replin, zapłonęły świece w orkiestrze, a z sufitu opuścił się wielki żyrandol i zarzucił salę radosnym migotaniem mrowia kryształów. Zrobiło się jasno jak w dzień. Jedni po drugich wchodzili na swe miejsca grajkowie i rozległy się urywane dźwięki instrumentów, które próbowano. Trzy głucho uderzenia kotła dały znak: kurtyna poszła do góry i ukazała sielski krajobraz z sosnami po lewej, bijącym źródłem po prawej stronie i łabędziami pływającymi na sadzawce w samym środku sceny. Chwilę później wybiegła na nią panna Casacci i w rozkoszonym negliżu poczęła ukazywać najmodniejsze tańce pana Sacco. Cała męska połowa sali oszalała z zachwytu, nawet Casanovą stracił swoje opanowanie i krzyczał ku scenie, zagłuszany okrzykami innych:

— Siestu benedetta!... Benedetto el parę che t'ha fato! Ah, cara! Ma butto zoso!²

Casacci nie mogła usłyszeć, lecz usłyszał stojący za królem Thomatis, a tylko o to chodziło kawalerowi de Seingalt. Dyrektora teatru bardziej jeszcze zatrwożyła reakcja monarchy, który tak mocno bił brawo, że mu ręce zczerwieniały i zażądał tańców na bis. Thomatis próbował tłumaczyć swą

1 — Dobrze trafione! (włoska pochwała celnej wróżby lub złośliwości). 1 — Bądź błogosławiona!... Błogosławiony niech będzie ojciec, który cię spłodził!... Ach, kochana. Upadam do twych nóg!

faworytę zmęczeniem, lecz Poniatowski przerwał mu głosem nie znoszącym sprzeciwu:

— Car tel est notre beau plaisir!¹

Włoch pobiegł z królewskim kaprysem za kulisy, a Stanisław August westchnął:

— Że też nie dostrzegałem jej wcześniej! Tandem! Un enfant adorable!²
Turkułł schylił się do królewskiego ucha i szepnął kilka zdań, po których Poniatowski zaniósł się śmiechem:

— Formidable! Powiedz to kawalerowi de Seingalt, ciekawe czy zna ten numer, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!

— Quelque chose de piquant?³ — spytał Casanovą.

— C'est tout dire, mon cher!⁴ Znasz może pannę Casacci? Powiedz mi coś o niej.

— Cest une beaute passablement legere, Sire — odparł Casanovą uśmiechając się.

— Mais elle est vraiment adorable. Cest la premier choix, ąalite superfine. La produire ici?⁵

— Thomatis podpali teatr! — ostrzegł Turkuł, patrząc porozumiewawczo na króla i na Casanovę.

— Je m'en fiche! — wybuchnął król, wpatrzony w tańczącą Casacci. — Muszę ją mieć, coute de coute!⁶

— Bella cosa! Cest un pis aller!⁷

Mówiąc to Casanovą podniósł oczy „ku niebu” (ku żyrandolowi), udając przerażenie. Ale zrozumiał inicjatywę Turkuła, zmierzał tą samą drogą, i naraz zaczął się spieszyć w obawie przed powrotem Thomatisa; dodał:

— Po co zaraz narażać teatr na spalenie? Dyskrecja, dyskrecja, moi kochani! Poślij jej jeszcze dzisiaj, najjaśniejszy panie, „un billet doux”...⁸

— Do diabła, co ty sobie wyobrażasz, panie de Seingalt, że umiem pisać?! — zadrwił król. — Nawet gdybym umiał, nie musiałbym się do tego zniżać, mam dość sług i przyjaciół. Czy ty na przykład nie mógłbyś wyświadczyć mi tej drobnej przysługi i...

— Zaraz z nią porozmawiam, Sire. Będzie wniebowzięta.

-. To ja mam być dzisiaj wniebowzięty, chyba że Turkuł skłamał.

1 — Albowiem taki jest nasz kaprys!

2 — Uroc<.a.uzicwczynka! 3'-^ Goś pikantnego?

4 — To najwłaściwsze określenie, mój drogi!

5 — Jest to piękność dość lekkomyślna, najjaśniejszy panie, ale jest rzeczywiście urocza. To

pierwszy gatunek. Przyprowadzić ją?

6 — Gwiżdżę na to.....cokolwiek by to kosztowało!

7 — Ładna sprawa! To ostateczność!

8 — Liścik miłosny.

— Sire, nie dopowiedziałem wszystkiego, ona to zrobi lepiej ode mnie — podniecił go paź. — Ce n'est pas de refus.¹

— Toteż ja nie odrzucam! Całe życie nie marzyłem o niczym innym, jak tylko o nauczaniu się b i l a r d u, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!... Ale będę musiał uważać na bile, są mi zbyt cenne, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!

— A więc to o to chodzi?... — Casanovą spojrział na Turkuła ze zdziwieniem, z jakim mistrz patrzy na ucznia, który wynalazł upragnioną miksturę, i pomyślał: „E Dio te benediga!”.²

Następnie przystąpił do gratulacji:

— Winszuję, wasza królewska mość! Takie kobiety jak ona, kobiety... W tym momencie do loży wrócił Thomatis, drżący od złych przeczuć

i świdrujący towarzystwo podejrzliwym wzrokiem, a Casanovą, nie przerywając nawet dla zaczerpnięcia oddechu, kontynuował:

— ... kobiety... w istocie mało się różnią. Uszczypląc w ciemnym kącie w tyłek pomywaczkę a księżnę, obie identycznie pisną z zachwytu. W ciemności wszystkie są jednakowe.

Poniatowski, z taką samą naturalną swobodą, jakby rozmowa na temat różnic między damami szła od kwadransa, zaoponował:

— Kawalerze de Seingalt, żartujesz sobie doprawdy, tandem! Stosunek z pokojówką nie może być tym samym, co prawdziwa miłość. Miłość taka, zdaje mi się, winna być rozkoszą jedynie subtelnych dusz. Kiedy widzę ludzi pospolitych biorących się do kochania, mam ochotę rzec: czego wy tutaj szukacie? Karty, żarcie, pijaństwo, to dla was, kanalie!... Tandem, motłochowi nic do tego! Tak jak twój ulubiony Horacy, którego cytujesz w potrzebie. „Odi profanum vulgus et arceo”.³

— A jednak monarchowie biorą często w ramiona dziewczki niskiego stanu, najjaśniejszy panie. Wniosek? Uwielbiają s'encanailler un peu.⁴

— Tak, ale cóż to ma wspólnego z duchem miłości? Tandem! Cest pas ca!⁵

— Tak, wasza królewska mość, ale...

— Rozumiesz chyba, kawalerze de Seingalt, że...

— Wybacz, Sire, ale nie rozumiem. Natura uczyniła zblżenia miłosne niezależnymi od rozumu, dlatego, że myśli ona jedynie o trwałości gatunku, głupstwa produkowane przez wysublimowanego ducha nie są jej potrzebne. Jeśli po pijanemu lub dla kaprysu wezmę szwaczkę, to spełnię cel natury równie dobrze jak wtedy, kiedy zdobędę ukochaną po dwóch latach starań. Rozum jest

1 — To jest coś nie do odrzucenia.

2 — Niech cię Bóg błogosławi!

3 — Nienawidzę motłochu i unikam go.

4 — Poobcować trochę z motłochem.

5 — To nie to!

przeszkodą w miłości, gdyby się radzić tylko jego, któż chciałby być ojcem i gotować sobie tyle zgryzot na tak długo? Któraż kobieta dla parominutowego spazmu chciałaby się narazić na rok choroby? Któż chciałby zawierać związek tak z góry nieudany, jak małżeństwo? Równajac szwaczkę z romantyczną heroiną, natura lepiej utrwała swoje panowanie, a zatem...

Thomatis słuchał ich z narastającym niepokojem. Pozornie wiedli dyskurs, jakich wiele toczono wówczas w świętej manii spierania się o kwestie miłosne, ale on swoim czułym uchem wyłowił w ich słowach jakąś fałszywą nutę, która nie dawała mu swobodnie odetchnąć. Spojrzał na Turkułła i zobaczył w półmroku szczerzące się do niego zęby. I wówczas ów człowiek, o którym wiadano, że potrafi grać swymi uczuciami w karty, opanowany nawet w nienawiści, a w zwadzie zabójczo uprzejmy, jeden z tych wykwinnych cyników, po których od razu widać, że tak długo próbowali swe rozliczne maski, iż potrafią je przybierać nawet dla samych siebie, i jeśli już popełniają samobójstwo, to nie w sposób prostacki, jak połykające świństwa panny służące lub bankierzy brudzący swoje biurka — zadrzał całym ciałem z rozpaczy. Zrozumiał, że grają przed nim komedię, lepszą niż ta, która zaczęła się już na scenie i na którą rzucali tylko nieuważne spojrzenia. Lecz jeszcze nic się nie stało, więc uzbroił się w nadzieję, niczym pierwszy lepszy wystrychnięty na dudka kamerdyner czy koniuch. On, Thomatis!

Oni zaś nie przerywali gry, toczonej pół dla niego, pół dla siebie, wzorem spiskowców przyłapanych przez ofiarę i chcących swą winę zagadać potokiem - wyrazów, przekonać cały świat i siebie nawzajem o swojej niewinności. Król przerwał Casanovie długą orację:

— Ależ ty sam, panie de Seingalt, jesteś zaprzeczeniem tego, co mówisz! Ganisz rozum, który przeszkadza naturze, a nie masz dzieci ni żony, jakbyś się w miłości kierował tylko mózgiem!

— Oh, Sire, nigdy nie twierdziłem, że jestem doskonały — obruszył się Casanová, plotąc ciągle w ten sam czarujący sposób, który utwierdzał niepokój Thomatisa. — Ile razy któraś z moich kochanek chce mnie zaciągnąć do ołtarza, zadaję sobie pytanie: po co miałbym się żenić? Najlepsze, co mogłoby mi się przytrafić w małżeństwie, to nie być rogaczem — osiągnę to jeszcze pewniej wcale się nie żeniąc!

— To cię nie uchroni, bo kochanka też może rogi zasiać, i to wcale rozłożyście! — wykrzyknął król. — A ponieważ wszyscy mamy kochanki, wszystkich nas to czeka, nawet monarchowie nie ujdą przeznaczeniu. Tandem!... Opowiadano mi o metresie Ludwika XV, która go okrutnie zdradzała. — Pani — rzecze raz u jednego Ludwik — puszczasz się ze wszystkimi moimi poddanymi!

— Och, najjaśniejszy panie! — Miałś księcia de Choiseul! — Bo jest taki jurny, wasza królewska mość. — I marszałka de Richelieu! — Bo taki dowcipny. — Spałaś też z Monvillem! — Bo on tak pięknie zbudowany. — Przypuśćmy, ale księżę d'Aumont, który nie ma żadnej z tych cnót?! — Och, najjaśniejszy panie, on jest taki przywiązany do ciebie!

Wybuchnęli śmiechem, tylko Thomatis — widząc, że nań spoglądają — skrzywił wargi do udanej wesołości, jakby mu nasypano pieprzu do ust.

— Sire! — Casanová pochylił się ku królowi i dalej mówił szeptem. — Za głośno rozprawiamy, psykają na nas z łoży ambasadorskiej... Czy ta kochanka Ludwika, o której nam opowiedziałeś, to nie pani d'Esparbes?

— Właśnie ona.

— A czy wiesz, najjaśniejszy panie, że zaczęła jako dewotka i że dopiero pewien lekarz wyprowadził ją z tego?

— Nie może być! Tandem! Jak to zrobił?

— Opowiadał mi mój znajomek, medyk Lorry, że pani d'Esparbes wezwała go i skarżyła się na bezczelność jego kolegi, lekarza Bordeu, który miał tak się do niej odezwać: — Pani choroba bierze się z miłosnego niezaspokojenia, oto masz pani mężczyznę! Tak mówiąc rozpiął pantalon i ukazał jej swego ptaka. Lorry wytłumaczył kolegę i złożył pani d'Esparbes wiele wyrazów szacunku. Kiedy mi to opowiadał, rzekł: — Nie wiem, co zaszło później, bo mnie owa dama nie wezwała już więcej. Wróciła do kolegi Bordeu.

Tym razem zatykali usta rękami, dusząc się ze śmiechu. Takimi zastał ich Branicki. Obrzucił ciężkim spojrzeniem Casanová i złożył ukłon królowi.

— Widzę, że się świetnie bawisz, Sire! Mnie też nudzi to sztuczdyło.... Casanová skorzystał z otwartych drzwi i wymknął się na korytarz. Dużo

później, gdy już udało mu się wymknąć z Polski z całą głową, wspominał:

„Taniec Włoszki z Piemontu, Casacci, tak przypadł królowi do gustu, że Jego Królewska Mość klaskał w dłonie, co było oznaką osobliwej łaski. Tancerkę ową

znałem tylko z widzenia, bo nigdy z nią nie mówiłem. Nie była ona pozbawioną zalet (...). Po balecie opuściłem łożę królewską, by powinszować Casacci, iż król oddał sprawiedliwość jej talentom...”.

Nie znalazłszy baletnicy za kulisami, dowiedział się, że na polecenie Thomatisa zasiadła w jego łoży. Zastał ją w kusym tanecznym stroju, w spódniczce i w baletkach, rozpartą na kozetce, na której dyrektor teatru jego królewskiej mości uprawiał miłość podczas przedstawień, przy zaciągniętych storach. Teraz były one rozwarte — z łoży królewskiej dostrzeżono Casanovę. Thomatis pobladł i wymówiwszy się jakimś pretekstem, opuścił towarzystwo. W tej samej chwili Giacomo doznał olśnienia. Zaświtał mu w głowie pomysł, jeden z tych, które nazywa się genialnymi, ale dopiero wówczas, gdy uda się zrealizować. Na jego realizację miał tyle czasu, ile zabierze Thomatisowi droga między dwiema łożami.

Casacci czekała, co powie, zdziwiona lub udająca zdziwienie.

— Pani — rzekł, kłaniając się dworsko — byliśmy zachwyceni twoim tańcem.

Uśmiechnęła się. Miała białe, piękne zęby, ramiona usiane piegami i złotawe włoski na nogach nie obleczonych w pończochy. Nie była taka ładna, jak kilka królewskich metres, ale posiadała nad nimi aż dwie przewagi: była jeszcze nie zdobyta i była ładna inaczej. W jej twarzy nie było nic, co by zdradzało, jak bardzo jest pogrążona w rozpuście, lecz on umiał zajrzeć głębiej. Przeżywała właśnie tę swoją lubieżną wiosnę, która należy się choć raz każdej kobiecie na ziemi.

— Czy król także? — spytała.

— Król najgoręcej bił brawo.

— Czy coś mówił?

— Ja mówiłem. Powiedziałem: Une femme superbe! Elle n'est pas la premiere venue, sire!¹

— Och, doprawdy?...Tak powiedziałaś, panie? A co na to król? Wiedział już wszystko i miał świadomość, że jego czas kurczy się do

kilkunastu lub w najlepszym razie kilkadziesiąciu kroków Thomatisa. Odwrócił się tyłem do sali i kładąc dłoń na jej dłoni powiedział z błyszczącymi oczami człowieka zdeterminowanego nad przepaścią, człowieka, którego nie posądza się o żarty, bez względu na to, co mówi:

— Pani, zostać kochanką króla nie jest tak łatwo, jak się wydaje. Ładnych kobiet dookoła wiele i każda z nich chce wejść do jego łożnicy, z której wynosi się majątek! Teraz w tym łożu panuje taki ścisk, że tylko ja mogę zrobić tam miejsce dla ciebie. Nie pytaj jak, nie ma na to czasu, daję ci najświętsze słowo! Jeśli uczynisz dla mnie jedną rzecz, będziesz tam dzisiaj. Decyduj się!

Oślupiała. Otworzyła usta, nie mogła wypowiedzieć słowa. Ponaglił ją brutalnie, szarpiąc za ramiona, jakby chciał przebudzić ze snu.

— Kobieto, moja propozycja już zaczyna się palić, zaraz spłonie, za chwilę! Nie pytaj dlaczego, ale jeśli nie powiesz tak, nie darujesz sobie tego nigdy, bo twoja szansa już nigdy się nie powtórzy! Decyduj!

— Tak!... Tak! Co mam uczynić?

¹ — Wspaniała kobieta. Nie jest to pierwsza lepsza, najjaśniejszy panie!

— Odpowiesz na pytanie Thomatisa: zrobię to, kochanie!

— Zrobię to, kochanie?

— Tak mu odpowiesz, czegokolwiek by nie tyczyła rozmowa między nim a mną! Czegokolwiek, pamiętaj! Zrobię to, kochanie! A więc?

— Tak!

Skoczył do drzwi i jednym uderzeniem dłoni zatrzasnął metalową zasuwkę. W tej samej chwili Thomatis chwycił za klamkę i szarpnął.

Klamka poruszyła się kilkakrotnie i zza drzwi dobiegł rozeźlony głos dyrektora:

— Tereso, otwórz!... Otwórz natychmiast!

Przerażona Casacci poderwała się z miejsca, lecz Casanovą dał jej znak ręką, że ma siedzieć i milczeć. Zbliżył usta do futryny i spytał:

— A masz bilet wstępu, Thomatis?

Zza drzwi dobiegło ich zduszone przekleństwo:

— Porca miseria!... Co to ma znaczyć?! To jest moja łoża, nie potrzebuję do niej zaproszeń! Otwórzcie!

— Mylisz się — odparł kawaler de Seingalt — nie wejdiesz bez zaproszenia, które napisałem ci tamtej nocy przy stole gry.

Przez chwilę panowało milczenie i naraz usłyszeli zgrzytliwy uśmiech.

— Corpo di bacco! Tyś zwariował, Casanovą! Chcesz, żebym ci zwrócił twoje obelgi wymierzone w jego królewską mość?

— Nie musisz. Ale jeśli mi ich zaraz nie przyniesiesz, to ja teraz właśnie wypełnię moje zobowiązanie! Powiedziałeś: w ciągu miesiąca, publicznie, w obecności co najmniej trzydziestu osób, w tym króla, na przeciąg nie mniej niż jednej minuty. Miesiąc nie minął, na sali jest tłum, król także. Dotrzymam słowa.

— Nie tutaj! Zabraniam ci!

— A to czemu? W ugodzie o miejscu nie było mowy. To jest idealne.

— Nie dla mnie, nie dopuszczę, byś... byś pohańbił takim czynem pannę Casacci!

— Możesz nie dopuścić tylko w jeden sposób, zwracając mi papier.

— O nie, przyjacielu, ja go pokażę królowi!

— Non fa niente, amico mio, non fa niente²— wycedził spokojnie Casanovą. — Idź, a ja tymczasem pokażę im wszystkim na minutę mój ósmy cud świata i przez ten czas panna Casacci będzie trzymała go w ręku! Wówczas dopiero będziesz shańbiony, bo śmieszność hańbi bardziej niż hańba.

Drzwi zatrzęsły się od potężnego kopnięcia. Thomatis chciał krzyknąć, lecz z gardła wydobył mu się ochryply szept:

— Ty jesteś naprawdę obłąkany!... Ona... ona nie zrobi tego!

— Spytaj ją — zaproponował Casanovą i odwrócił twarz w stronę tancerki. Casacci, półprzytomna od niezrozumienia tego, co się wokół niej dzieje, lecz na tyle przytomna, żeby pamiętać o swojej stawce, pisnęła:

— Zrobię to, kochanie!

— Tereso!!!

— Zrobię to, kochanie, zrobię to, kochanie... — powtarzała jak nakręcona „lalka, co mówi” braci Droz, dobywająca słowa dzięki ruchom martwych trybików, sprężyn i piszczałek.

Zapadła cisza. Thomatis stał za drzwiami oszołomiony i ku własnemu zdumieniu z każdą upływającą sekundą coraz bardziej obojętny na klęskę, ślepy

1 — Do diabła!

2 — Nie szkodzi, przyjacielu, nie szkodzi.

i głuchy, kiedy Jerycho wali się w gruzy wokół niego. Dotknęło go obezwładniające zmęczenie. Zapytany przez kogoś, odpowiedziałby, że wszystko to, o co walczył — po raz pierwszy w życiu upragniona wierność kobiety i carska łaska za wypędzenie szpiega różokrzyżowców—przestało go interesować. Jakby wspinał się na wysoki mur, spadł z niego i nie miał siły spróbować po raz drugi. Z odrętwienia wyrwało go pytanie kawalera de Seingalt:

— No więc, amico mio?... Jesteś tam jeszcze?

Wyczuł w tym pytaniu słabość, nutę trwogi, ale nie chciał ryzykować. Pomyślał, że jeśli przeznaczone mu było zrobić tego dnia wielki błąd, to ma to już za sobą i nie powinien kusić losu, by nie okazało się, że to był mniejszy błąd. Mógł odesłać tę kobietę, dla której stracił rozsądek, od razu po występie do domu, a kazał jej iść do swej łoży. Jeśli teraz uniesie się gniewem, pokalaną dumą, nienawiścią lub czymś równie głupim, to Casanovą może spełnić swą groźbę. Rozumiał, że jest to mało prawdopodobne, gdyż słowa tamtego to blef, ale w swoim życiu widział już rzeczy mniej prawdopodobne, które się dokonały. Tamten mógł to zrobić — człowiek, kiedy jest jedną nogą w otchłani, wtedy wykonuje najwspanialsze piruety i wyciąga z kapelusza najbardziej zdumiewające przedmioty. „Diavolo maledetto!”¹ — napiętnował w duchu Casanovę i odpowiedział mu:

— Jestem... jestem tu. Poczekaj, przyniosę ten świstek.

Przyniósł, potem na życzenie Casanovy wsunął w szparę pod drzwiami i odszedł nie czekając. Przedstawienie akurat się skończyło. Zbliżył się do ambasadora i powiedział spokojnie:

— Nie udało mi się, ekscelencjo.

— Co ci się nie udało?

— Nie udało mi się go wypędzić. On nie wyjedzie.

Wbrew temu, czego oczekiwał, Repnin uśmiechnął się, wiadomość nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

— Mylisz się, głupcze, wyjedzie bardzo prędko i już nigdy nigdzie nie wróci. Mam lepszych sługusów od ciebie, musisz się bardzo starać, by im dorównać. Na razie rób swoje i melduj regularnie, w razie potrzeby dostaniesz nowe rozkazy. Odejdź, patrz na nas.

Tak się potraça nogą nielubianego charta, który zgubił trop, lecz nie wypędza się ze sfory, bo może się przydać na następnym polowaniu. Ale chart, chociaż zamiast serca ma pęcherz wypełniony odorem krwi, cierpi przez to poniżenie, pęcherz go boli i napełnia się goryczą, jaką przynosi każda niesprawiedliwa kara — dla jednej chybionej zwierzyny zapomniano wszystkie jego triumfy.

W ciągu kilkunastu minut dwa rajskie ptaki Thomatisa pogubiły pióra.

1 — Przeklęty diabeł!

Została mu na pocieszenie dola Casanovy — w słowach Repnina usłyszał wyrok śmierci dla kawalera de Seingalt.

Casanovą, wzięwszy z pawimentu antykrólewski paszkwil, przytknął go do płomienia świecy. Otworzył drzwi dopiero gdy klamka poczęła skakać gwałtownie. W wejściu do łoży miast Thomatisa ujrzał Branickiego, za którego plecami stało kilku kompanów. Z ust generała zionęło wódką.

— Panie Casanovą, jakim prawem pan się zamyka z tą damą sam na sam?!

— Prawem zakochanego, czyż to nie wystarczający powód, panie?

— Dla mnie nie wystarczający, bo tę damę kocham ja, a nie zwykłym cierpieć rywali!

— Skórom się o tym dowiedział, panie hrabio, nie będę jej już kochał.

— Ustępujesz mi tedy, panie de Seingalt?

— Z miłą chęcią, tak dostojnemu panu każdy musi ustąpić.

— To pięknie, wszakże ten, co drugiemu ustępuje, zdaje mi się tchórzyc!

— A mnie ta uwaga zdaje się trochę za mocna!

Nie czekając na odpowiedź Casanovą wyminął Branickiego i zaczął się oddalać. Poleciało za nim w głąb korytarza:

— Wenecki tchórz!

I w tej chwili było to prawdą; w oczach Branickiego widniał mord, a Casanovą umiał czytać we wzroku. To już nie była retoryczna zwada na balu w Pałacu Kossowskich, o której wiedział, że król zażegnają lada moment. Króla nie było w pobliżu i musiał ratować się sam. Przed innymi pojedynkami uciekał ciętym słowem — tym razem uchroniły go nogi.

W swych memuarach zamazał to równie kolorowo, co pokrętnie, tym, że Branicki napadł go ze swoimi zbirami („groziło mi, że mogą mnie zamordować”), tym, że wybiegł tylko na ulicę i tam czekał na Branickiego, bo nie chciał się bić w teatrze („czekałem na próżno z kwadrans w nadziei, że on wyjdzie”) i wreszcie filozofowaniem na temat barbarzyńskiej natury Polaków („Polacy są wprawdzie dziś na ogół dosyć grzeczni, jednakże tkwi w nich jeszcze sporo ich dawnej natury. Wciąż jeszcze są Sarmatami...”).

Bał się wrócić bezpośrednio do domu. Spod teatru pobiegł do pałacu wojewody Czartoryskiego, gdzie król miał spożyć umówioną kolację. Chciał się monarsze poskarżyć, ale się go nie doczekał, Poniatowski bowiem zajął się tej nocy panną Casacci. Dokuczliwe problemy ambicjonalne wygładził nieco książe Kacper Lubomirski, mówiąc:

— Żal mi pana, kawalerze, ale Branicki był pijany, a pijany nie może znieważać człowieka honorowego.

Do domu messera Campioni wrócił późną nocą. Przy drzwiach ujrzał jakieś indywiduum opatulone w grubą szubę. Z gęstwy futrzanych kłaków przesłaniających twarz wychynęło ostrzeżenie spowite w kłębuszki pary:

— Panie, źle zrobiłeś unikając bitki. Branicki się wściekł i przysiągł, że jutro

jego ludzie dopadną cię i zatłuką kijami, choćby on miał iść za to na szafot. Znam ich, uczynią to! Pryskaj natychmiast z Warszawy, albo też z samego rana pošlij mu oficjalne wyzwanie, inaczej źle skończysz! Z życzliwości radzę, a zrobisz, co chcesz.

Nim zdążył zapytać o cokolwiek, indywiduum zniknęło w mroku ulicy. Nie mógł zasnąć do rana, przewracał się z boku na bok, walcząc z myślami. Gdyby uciekł, ścigano by go za olbrzymie długi. Gdyby nic nie zrobił, czekały go kije, a chociaż nie

wierzył we wszystko, co mówił innym — w to, że śmieszność hańbi bardziej niż hańba, wierzył całkowicie. Wybrał szpadę, którą władał po mistrzowsku. „Powziąwszy decyzję, napisałem list z żądaniem satysfakcji...”.

Ten list, pełen zresztą uniżoności wobec adresata, posłał Branickiemu razem z miarą swej szpady. „Kazałem służącemu zanieść ten list na godzinę przed brzaskiem dnia na zamek, gdzie Branicki mieszkał obok pokojów królewskich. W pół godziny potem otrzymałem odpowiedź z wiadomością, że Branicki propozycję przyjmuje. Odpowiedziałem mu natychmiast, że przyjdę do niego nazajutrz o godzinie szóstej rano (...). W godzinę później przyszedł do mnie Branicki we własnej osobie (.), zaryglował drzwi i siadł na łóżku. Nie wiedząc, co to ma znaczyć, chwyciłem za pistolety. — Nie trudź się, kawalerze — powiedział — nie przyszedłem do pana, by go zamordować...”.

Przyszedł, by wybić Casanovie z głowy dwie rzeczy: odłożenie pojedynku do jutra („Będziemy się bili dzisiaj!”), przy czym nie wzruszyły go tłumaczenia Włocha, że jest zmęczony i że chce sporządzić testament; oraz białą broń („Po co mi przysyłasz miarę swej szpady? Będziemy walczyć na pistolety!”). Wówczas Giacomo zrozumiał swój błąd: z wyzwanego stał się wyzywającym, a prawo ' wyboru rodzaju broni przysługuje wyzwanemu. Branicki, który, jak powszechnie wiadano, za pierwszym razem zawsze trafia z dziesięciu kroków w kostkę do gry, dobił go swą pewną zwycięstwa łaskawością:

— Jeśli pierwszy strzał chybi, będziemy się bili na szpady. Na życie i śmierć. '

Zostało mu kilka godzin. Skreślił pośpiesznie testament, powołując się w nim kilkakrotnie na chrześcijańskie zaklęcia, należał bowiem do tych ludzi, którzy wprawdzie nie wierzą w Boga, ale każdy gest robią w imię Stwórcy. Następnie spisał wszystko, co mu było wiadome na temat purpurowego srebra, wszystkie informacje od doktora Schleissa von Lówenfeld, dołączył do tego dokumenty, które przekazał mu pewien biskup, opieczętował i wręczył pakiety Campioniemu, mówiąc:

— Tę paczkę oddasz królowi, jeśli zginę. Mam do ciebie zaufanie, wszelako zważ: jeśli komukolwiek piśniesz o tym słowo, a ja przeżyję, to tak jak bym nie przeżył. Lecz ja mam do ciebie zaufanie.

Mówiąc to patrzył Campioniemu prosto w oczy, a tamten spuścił wzrok i nagle zaczął płakać. Giacomo położył mu dłoń na ramieniu.

— Nie płacz, tamto ci darowałem. Bóg darowuje gorsze rzeczy, mogę i ja brać z niego wzór, chociaż jego nie ma.

Tancmistrz zwiotczał, skurczył się, jakby dłoń Casanovy miała ciężar żelaznej belki, opadł na kanapę i drżąc całym ciałem wyszeptał:

— Więc wiesz?...

— Wiem.

— I masz do mnie zaufanie?!

— Mam. Widzisz, Antonio, gdy ci się powinie noga, wtedy dużo dowiadujesz się o ludziach, pięć razy pomyślisz, zanim nazwiesz kogoś przyjacielem, a wszystko spostrzegasz tak jasno, że można oslepnąć. Ty nie jesteś łotrem, byłeś tylko słaby, któż z nas nie był kiedyś? Nie mam w tym mieście nikogo innego, komu mógłbym powierzyć ten pakiet, więc ci ufam, a ty zaufaj sobie, że jesteś człowiekiem honoru... Na wypadek wszakże, gdyby chciała cię ponownie opaść słabość, dowiedz się, że

wczoraj Thomatis został zniszczony przez króla i przeze mnie. Musiał oddać mi to moje plugawe pisemko!

Zostawił Campioniego zalanego łzami.

Sławny pojedynek, jeden z najgłośniejszych w ówczesnej Europie, odbył się zgodnie z planem 5 marca 1766 roku, o pół godziny drogi od Warszawy, w dziwnym ogrodzie, którego nazwy Casanovą nie podał w swoim pamiętniku. Dochodziła godzina czwarta po południu, kiedy stanęli naprzeciw siebie w odległości jedenastu kroków, w samych rozpiętych koszulach, z obnażonymi piersiami, by kule nie napotkały żadnego oporu. Giacomo podniósł głowę do góry — milczące niebo dźwigała jedna zabłąkana chmurka, a gałęzie drzew miotają się niespokojnie, tak iż zdawało się, że dzika bestia wiatru szarpie koronami, śpiewając chorał na cześć czyjejś śmierci. Jego śmierci, gdyż z losowania wypadło, że Branicki ma pierwszy strzał.

Najlepszy strzelec królestwa, podstoli koronny, generał Franciszek Ksawery Branicki, podniósł uzbrojoną rękę ze spokojem człowieka ćwiczącego na strzelnicy. W tak bliski i tyle razy większy od kostki do gry cel trafiłby z zamkniętymi oczami — bawiło go przedłużanie egzekucji. Zastanawiał się, co przedziurawić: lewe czy prawe oko, a może serce lub grdykę chodzącą nerwowo w górę i w dół. Ona była najciekawsza, stanowiła ruchomy cel, bardziej interesujący od bezbronnych tarcz piersi i oblicza. Płatek śniegu spadł mu z gałęzi na rzesę, mącąc obraz. Nie opuszczając broni, lewą dłonią starł z powieki kroplę, w którą stopił się śnieg, i w tym samym momencie rozległ się strzał, a właściwie dwa strzały złane w jeden huk, lecz jego strzał był tym drugim. Przez chwilę stał oszołomiony, nie rozumiejąc jeszcze, co się stało, a po koszuli, nagim torsie, spodniach i pończochach spływała mu do nóg struga krwi. Padając na wznak nie czuł już i nie widział niczego — kula Casanovy przewierciła mu pierś na wylot.

Korzystając z chwilowego zamieszania kawaler de Seingalt, lekko tylko zraniony w palec, skoczył na pierwszego konia, który był pod ręką i umknął do

Warszawy. Było oczywiste, iż nie darują mu pogwałcenia pierwszeństwa strzału, co uczynił wiedząc, że nie ma innej szansy przeżycia. W memuarach nałgał

o pojedynku ile mógł, wymyślając niestworzone bajdy, samą zaś sprawę strzału opisał tak:

„Zamiast niezwłocznie zmierzyć się ku mnie i strzelić, stracił podstoli dwie albo trzy sekundy na celowanie, kryjąc głowę poza broń. Nie byłem w możności tak długo czekać, aż on ukończy te wszystkie przygotowania. Podniosłem nagle pistolet i wystrzeliłem w tejże samej chwili, kiedy i on strzelił. Nie może tu być żadnej wątpliwości, bo osoby stojące obok świadczyły jednoznacznie, że słyszały jeden strzał”.

Wspominek ten grzeszył brakiem logiki o tyle, że „osoby stojące obok” jednoznacznie porwały za szable i chciały rozsiekać Włocha („Trzech dobrze urodzonych morderców chciało mnie rozerwać na sztuki nad ciałem swego pana”). Pościg za Casanovą prowadził pułkownik Byszewski. Szli galopem, ale i on, poganiany przez śmierć, wycisnął z konia całą moc, pierwszy dopadł miasta

1 stanął przed furtą klasztoru, bo tylko kościół mógł dać mu bezpieczne droit cTasile} Był to klasztor Reformatów przy ulicy Senatorskiej. Szarpiąc za dzwonek odwrócił się: tamci byli o sto kroków, a ich konie szły w pędzie, niemal brzuchami po ziemi.

„U bramy klasztornej zadzwoniłem. Furtian, człowiek nieużyty, otworzył drzwi; ujrzawszy mnie oblanego krwią, odgadł przyczynę mego przyścia i chciał szybko bramę zatrzasnąć. Ja jednak byłem żwawszy od niego i nie dałem mu na to czasu. Kopnąłem go tak silnie, że się przewrócił, i wszedłem do środka. Na jego krzyk zbiegło się mnóstwo wystraszonych mnichów; zawołałem, że żądam schronienia i zagroziłem im na wypadek, gdyby mi go odmówili. Jeden przemówił w ich imieniu, po czym zaprowadzono mnie do małej celi, która wyglądała jak więzienie...”

Tymczasem Byszewski, pijany z szału, popędził na Zamek skarżyć się królowi, który go bardzo lubił. Szukając monarchy natknął się na Turkullę i wykrzyczał, o co mu idzie. Paź wysłuchał i rzekł:

— Króla nie ma u siebie, ale jest u siebie Thomatis;

— A na co mi Thomatis?!

— To przyjaciel Casanovy i to on namówił go, by w żadnym razie nie przestrzegał pierwszeństwa strzału, jeśliby los padł na pana Branickiego.

Co było dalej, opowiedział kawalerowi de Seingalt, odwiedziwszy go w klasztorze, księżę Lubomirski, Giacomo zaś opisał to w pamiętnikach. Byszewski pobiegł do teatru, wpadł do pokoju dyrektora i „wypalił z pistoletu mierząc w jego głowę. Widząc ten skrytobójczy zamach, hrabia Moszyński chciał

1 — Prawo schronienia się (w pomieszczeniach kościelnych nic wolno było aresztować ani zabijać).

go wyrzucić przez okno, szalenciec wyrwał mu się jednak, zadawszy trzy ciosy szablą, z których jeden przeciął policzek i wybił mu trzy zęby”. W godzinę później Byszewski, zebrawszy wszystkich podkomendnych Branickiego (rozszałałych, bo już poszła wieść, że podstoli nie żyje), chciał szturmować gmach Reformatów, lecz było za późno: na polecenie marszałka Bielińskiego klasztor otoczyło dwustu dragonów gwardii.

Marszałka, gdy mu doniesiono o zdarzeniu i gdy już wydał rozkazy mające na celu strzeżenie Casanovy przed samosądem i przed ucieczką, zastanowiło, dlaczego ten znany w całej Europie człowiek, który okrągłość frazesów łączył z więcej niż saską rozwiązłością w sposób uwielbiany przez kobiety, a każdą grożącą mu prawdziwym niebezpieczeństwem zwadę potrafił zażegnać swym arkadyjskim stylem, tak iż nie groziły mu pojedynki — dlaczego po raz pierwszy w życiu sam wyzwiał i to człowieka, który fenomenalnie strzela? Wniosek był prosty: ktoś go do tego zmusił, ktoś lub coś, być może sama sytuacja, a stary, wyrachowany nos Bielińskiego podpowiadał mu, że tkwi w tym tajemnica głębsza niż tajniki damskiej bielizny i dworskie porachunki królewskich faworytów. Do tej tajemnicy zapragnął dotrzeć. Wezwał Kissa, którego zadaniem było inwigilowanie przybywających do stolicy cudzoziemców.

— Co z Casanovą?

— Siedzi jak szczur u Reformatów. Z pewnością długo nie wystawi nosa za mury.

— A Branicki?

— Wyżyje.

— Na pewno?

— Nie wiem, ekscelencjo, nie jestem Bogiem. Lekarze robią nadzieję, już odzyskał przytomność. Kula pomacała zebra z obu stron, ale większej szkody, poza dużym wpływem krwi, nie zrobiła. Jeśli nie wda się gangrena, wyżyje.

— O co się bili?

— Podobno o pannę Casacci.

— Na pewno?

— Nie wiem, ekscelencjo, nie jestem...

— To już mówiłeś, nie jesteś Bogiem! Ale jesteś tym człowiekiem, który ma wiedzieć wszystko, a nie wie nic! Nie dowiedziałeś się, kto rąbnął w łeb Poniatowskiego, teraz zaś nie wiesz...

— Nie szpieguję króla, moją rzeczą są „goście”, ekscelencjo. A i tak to ja dowiedziałem się, że ktoś go napadł, mimo że próbowano to utrzymać w tajemnicy.

— Wielka mi tajemnica! Na drugi dzień połowa dworu szeptała tylko o tym!

— Jeśli wasza ekscelencja jest ze mnie niezadowolony, proszę mnie zwolnić ze służby.

Bieliński zerwał się i przybliżył do twarzy Kissa swą małą główkę.

— Ja ci dam zwolnić! Masz sprawniej działać, a nie jak łośoś po tarle, co zadowolona się przebywaniem na płycznach, kontent, że zrealizował cel swego życia!

— Toteż ja się nie zadowalam, ekscelencjo, bo cel mojego życia jest jeszcze daleko przede mną, ale cudów dokonywać nie potrafię! — odparł Imre z błyskiem, który rozświetlił matowe oczy.

— Cel twojego życia, mówisz, jest daleko?... — zainteresował się Bieliński. — A jakież on jest? Zdradzisz mi?

— Może kiedyś... Teraz nie pora, ekscelencjo.

— Dobrze, i tak wiem... A pora na Casanovę. Ten pojedynek to nie powszednia awantura, to coś głębszego.

— I ja tak myślę, ekscelencjo.

— Casanova przybył do Polski z Petersburga, może z misją...

— To możliwe, ekscelencjo. Moi ludzie nie spuszczała go z oka, za czymś węszył, ale czy dla Rosjan? Przecież Thomatis ograł go do nitki, a Thomatis to człowiek ambasady. Branicki chciał zabić Casanovę, a według moich najświeższych informacji Branicki już się skumał z Repninem.

— Już się dał kupić, jak inni. Teraz będzie nagradzany, lada dzień zostanie łowczym wielkim koronnym, a to jest tylko stopień do hetmaństwa wielkiego koronnego.

— Wysoko mierzy, bękart!

— Zajdzie. Chociaż tak niewiele brakowało, a zaszedłby do ziemi. Dałbym wiele, by wiedzieć, kto motał ten pojedynek i dlaczego. Jeśli przyjmujemy, że Casanova nie jest agentem Petersburga, to musi być agentem drugiej strony i Repnin chciał go wyeliminować pistoletem Branickiego.

— Czyim może być agentem? Berlina, Wiednia, Paryża?...

— Diabli wiedzą, jest masonem, może grać o wiele bardziej skomplikowaną grę. I to jest właśnie to, czego chcę się dowiedzieć. Należałoby zacząć od przetrząśnięcia domu Campioniego, a potem zobaczy się co dalej.

— Z nakazem marszałkowskim, ekscelencjo?

— Co z nakazem?

— No... czy mam to zrobić oficjalnie, z nakazem w rękę?

— Nikt ci nie każe tego robić. Zrobi to „Basior”.

— „Basior”?

— Tak. To bardzo zdolny człowiek, dokonał już tylu napadów, może dokonać i tego... Na przykład dzisiaj w nocy.

— Nie rozumiem, ekscelencjo...

— Widocznie nie jesteś zdolny... kapitanie Voeres.

Dopiero w tym momencie pojął i zachciało mu się śmiać. Twarz nie drgnęła, tylko z obu stron oczu pojawiły się gwiazdziste zmarszczki rozbawienia.

— To będzie nawet dowcipne — rzekł — kiedy Faludi przychwyci mnie podczas skoku, ekscelencjo. Ugania się za „Basiorem” jak wściekły.

Ale na razie nie dogonił.

— Chwilowo Bozia nie dała.

— I tej nocy też nie powinien. Inaczej wstyd, panie kapitanie.

Zataił przed Bielińskim rzecz najważniejszą. Rano dostał meldunek, iż człowiek, który rozmawiał w nocy z Casanovą pod domem messera Campioni, poszedł do ambasady rosyjskiej. „Kruki” obserwujące Pałac Brühla stwierdziły, że jest to szeregowy agent Repnina. będący od dawna w służbie. Możliwości były dwie: albo Repnin zmusił Włocha do pojedynku, albo po prostu przesłał Casanovie jakąś informację. To drugie znaczyłoby, że Casanova jest na carskiej smyczy, ale wówczas pojedynek z Branickim nie miał sensu, Repnin nie powinien był do tego dopuścić... Nie rozumiał niczego i to go gnębiło, ale rozumiał, że tym, co wie, nie powinien się dzielić z nikim, nawet z marszałkiem. Być może stary potrafiłby ułożyć z tego łamigłówkę rozwiązana, lecz być może wtedy zamknęłyby się furtki do tropów, których przeczucie dawał mu zimny blask topaza. Chował swoje małe, znalezione po drodze kamyczki, do głowy, z miłością skąpca, który zakopał skarb i chociaż nie umie go użyć, ale syci się świadomością posiadania.,

W domu Campioniego, do którego wdarł się z kilkoma swoimi ludźmi, najbardziej zaufanymi i poprzebieranymi za zbójów (gąb nie trzeba było charakteryzować, wszystkie były zbójeckie), znalazł niewielki pakiet owinięty w marrochino (safian). Wewnątrz było to, o czym marzył przez wszystkie noce i dni spędzone w Warszawie. Nie było tam najważniejszej informacji, gdzie szukać purpurowego srebra — gdyby się tego dowiedział, nie zostałby w stolicy dłużej niż kilka tygodni. Ale razem z tym, co zebrał stryj Arpad, było to więcej niż mógł wiedzieć o szlaku do „srebra Judasza” ktokolwiek oprócz jego dysponentów. Polowanie zaczęło mu lepiej smakować.

W mroku niewiedzy o pojedynku Casanovy z Branickim tylko jedno było jasne: że jego sekret zawieszony jest na jakiejś tajemnej nitce między Pałacem Brühla a Zamkiem Królewskim. Myśląc o tym przypominał sobie donos o wizycie królewskiego pazia u kawalera de Seingalt. Potem skojarzył to z obecnością Casanovy i Turkułła w łoży królewskiej tuż przed awanturą. Nie miał innego śladu, kazał więc obserwować Turkułła oraz dom przy Rynku, do którego paż wkroczył po wyjściu z mieszkania Campioniego. Już w trzy dni później, 10 marca, „kruk” śledzący Turkułła zameldował, że paż zginął mu z oczu w zaułkach Starego Miasta, a „kruk” czatujący w Rynku, że Turkułł wyszedł ze wspomnianego domu, chociaż do niego nie wchodził! Kiss zrozumiał, że jego jedyny ślad okazał się dobrym śladem, nawet jeśli nie prowadził do rozwiązania tej zagadki, o którą teraz chodziło. Pan Turkułł!

Owego dnia, w którym go śledzono, Turkuł poszedł do Rybaka, aby mu podziękować. Zastał brodacza przy kolacji i zanim zdążył coś powiedzieć, usłyszał pytanie:

— Jesteś zadowolony?

Skinał tylko potakująco. Żebak skończył jeść, wytarł sobie brodę chustą i dłubiąc w zębach zaostrzonym patykiem mówił:

— Jak widzisz, umiem dotrzymywać obietnic. Thomatis został pogiębiony w trójnasób: stracił dziewczę, którą kochał — utonęła mu w tym samym łóżku, w którym utopił twoją. Został postrzelony w pysk przez Byszewskiego i nigdy już nie będzie taki śliczny jak dotąd — peruki na polik nie założy, a pudrem takiej szramy nie przykryje. I wreszcie, o czym nie wiesz, pogniewał się nań jego pan.

— Król?

— Nie, Repnin... Ale i król też. To jest to, co mam dla ciebie na deser. Lada dzień signore Thomatis dostanie czwartego klapsa, utraci swą władzę w teatrze-Byszewski uładził się z Moszyńskim i razem tak przekręcili burdę, że wszystko spadło na Thomatisa. Moszyński to stary przyjaciel jego królewskiej mości, wcześniejszy od Branickiego, nie było mu trudno. Zawsze marzył o teatrze. Przejmie nadzór nad wszystkimi teatrami, stając się zwierzchnikiem Thomatisa. Branicki też musiał przyłożyć do tego łapę, i Casacci, bo w łóżku Poniatowskiego przypomniała sobie, że nienawidzi Thomatisa i wyśpiewała, co wiedziała, o jego matactwach pieniężnych... Thomatisa już nie ma, to zero. Wyje z wściekłości, sam jak palec. Tego chciałeś, przyjacielu.

— Tak, tego chciałem. I chcę ci się wypłacić, mam czym.

— No, to ciekawe! Co przyniosłeś?

— Człowieka, który tak nienawidzi Poniatowskiego, że dał mu po łbie żelazem. To Butzau, hajduk królewski. Będzie ci służył jak pies.

Rybak z wrażenia kolnął się patykiem w dziąsło. Twarz mu się od razu zmieniła, miał żółte, pogodne oczy i radość w gąszczu wąsów, które właściwie były tylko górną częścią zmierzwionego stogu siana, mieniącego się dumnie brodą. Wyglądał tak, jakby zawsze był wesołkiem śmiejącym się ochoczo i z byle czego.

— Bogato płacisz, ho, ho! Mam swoich ludzi na dworze, ale chcę mieć wielu! Otoczymy go jak łosia w nagonce. Każdy się przyda. Tylko... czy królik nie wie, kto go dziobnął?

— Nie wie, ciemności były.

— To dobrze. A powiedz no, za co pogłaskał królika po czerepie?

— Wypatrzył jak król idzie od jego żony.

— A to dopiero heca, wszyscy za to samo! Jak tak dalej pójdzie, to rychło i Repnin do mnie zawita, bo mu Staś żonę zsobaczy, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!

Śmiał się tak długo, póki mu Turkuł nie przerwał, mówiąc poważnie:

— Ja będę twój już nie dlatego.

— A dlaczego?

— Boś mnie przekonał. Dla Polski.

— Niebywałe! — Rybak odchylił się na zydlu i spojrział na pazia zdumiony.

— Człowiek z ciebie wyłazi! No proszę, a ja już traciłem nadzieję! Nie tak łatwo zrobić człowieka jak się niektórym kopulantom widzi... Cieszy mnie, żeś wstąpił na tę drogę. Nie z nienawiści do łotra, to pył, ale z miłości do krzyża, czy tak?

— Tak — odpowiedział paż, cicho, żeby Bóg nie usłyszał jak kłamie. Bo skłamał. Zemścił się na Thomatisie, ale pozostał król i Turkuł wiedział,

że tej drugiej zemsty bez Rybaka nie dokona. Przeczuwał już, że kiedyś nastąpi to samo: po zwycięstwie nie odczuje nawet cienia tej satysfakcji, której się spodziewał, nawet sto takich zwycięstw nie cofnie czasu i nie odmieni owej nocy, kiedy splugawiono jego miłość. Ale nie zszedłby z tej drogi za żadne skarby świata. Od tamtej pory żył jakby siłą rozpędu lub przyzwyczajenia do codziennej wegetacji, egzystencją człowieka, w którym bierny nawyk życia zastąpił świadomą wolę trwania, a obok żył drugi Turkuł, mający szpony jastrzębia, silny dzięki nienawiści i tak okrutny, jakby przez wiele długich lat życia żywił się samym surowym mięsem. Polska w nim była, ale dodana sumieniu jako alibi, tak jak przy sztucznym zapłodnieniu nasieniem z próbówki dodaje się szczyptę plemników męża do nasienia dawcy, co zmniejsza wątpliwości moralne, lub jak w plutonie egzekucyjnym jeden z karabinów ma pusty nabój. Rybakowi, który to rozumiał, nie przeszkadzało to wcale, wiedział, że paż jest od tego zdrowszy. Turkuł nie miał już kataru, zostało tylko zapalenie płuc.

Wracając wstąpił do kolegiaty. Trafił na nabożeństwo. Małe dziewczynki, córki kupców, w białych sukienkach, rozsiewały zasuszone płatki kwiatów. Chciał się modlić, ale nie mógł w tym tłumie. Rozejrzał się zdziwiony: po co oni przyszli tu, dlaczego mu przeszkadzają? Białe dziewczynki, płatki kwiatów... Ich ojcowie mruczą pod nosem pacierze, które przypominają do złudzenia rachunki. Spieszno im wrócić do sklepów i magazynów, gdzie podczas ich nieobecności mogą im przechodzić za plecami złote interesy. Dym kadzidła wiercił w nozdrzach, a czyjś głos snuł się leniwie pod sklepieniem:

— ... i odpuść nam nasze winy...

Dziewczynki w długich szeregach, płatki kwiatów, baldachim i okadzane obrazy...

— ... jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...

Dźwięk dzwonek i szurganie butów po kamieniu: szu-szu-szu-szu-szu-...

— Amen! Amen!

Wyszedł rozeźlony, z tym samym granitowym sercem.

Tego samego dnia, 10 marca 1766 roku, baron Kaspar Otton von Saldern opuścił po kilkugodzinnej rozmowie gabinet carycy, pożegnał się z Voltairem i wyruszył kolasą podróżną do Warszawy.

Została sama. Pod nią wznosiła się wielka lodowa góra, u której podnóża rosły drobne chwasty ludzkich namiętności — nieszczęścia Turkułów, Thomatisów, Branickich, Wilczyńskich i Butzauw, zamysły Rybaków, Poniatowskich, Seingaltów i im podobnych, zranione miłości kobiet i ambicje mężczyzn, prochy nie warte chwili uwagi. Nad nią tylko niebo, puste od początku świata.

Ze szczytu, spod samych chmur, widać samotną kolasę na trakcie litewskim. Siedzi w niej Saldem. Siedzi i mle w myślach każde słowo, które od niej usłyszał, a zapewne i wiele tych, których nie wypowiedziała, lecz których on się domyślił. Zrobi, co trzeba w Warszawie, potem uda się do Berlina i dalej na zachód. Po co aż tam? Tego jeszcze nie wiem, ale na razie nie mam kogo zapytać. Przecież nie pójdę spytać o to tego

człowieka w ciemnych okularach, co stoi wśród krzewów, na pagórku, z którego widać moją samotnię. Czasem właśnie tak stoi, nieruchomo, wpatrzony we mnie, a czasami przebiega konno horyzont wokół Wieży Ptaków, patrolując lub może zataczając mistyczny czerwony krąg, który w mitologii wielu ludów oznacza śmiertelną pętlę. Siedząc w siodle, widziany pod światło, wygląda jak matowy posąg, w geście przekazanym mu przez pokolenia argusowych strażników, i tylko obnażona klinga błyszczy w słońcu.

Rozdział 8

JAK STALOWA SPRĘŻYNA

„To proroctwo tkwiło w nim
 Jak stalowa sprężyna
 Rozwijająca wolno witalne zwoje...”

(fragment wiersza Teda Hughesa „Kruk słyszy jak przeznaczenie puka do drzwi”, tłum. Barbara Wojnicz).

W wieży ciemno i cicho i z wolnością coraz gorzej — stałem się niewolnikiem tej książki. Coraz częściej odnoszę wrażenie, że to nie ja ją piszę, lecz ona mnie. Czuję się jak zamknięty w klasztorze kawaler de Seingalt. Głupi skrawek nagiego muru mówi nam obu, że nasza skóra jest zgrzebnym workiem nędzarza, nasza przestrzeń życiowa trumną, nasze ciała połamanymi rowerami, nasza mowa skrzypi niczym nieoliwione zawiasy w drzwiach do dawno opuszczonego domu, a nasze uczucia, myśli oraz idee tylko uzurpują sobie prawo do wzniosłości, są pospolite i niskie, że dajemy się wiecznie okpiwać sobie i innym, miotamy się od szlachetności do podłości, że żyjemy w pojemnikach na śmiecie, wędrujemy poboczami pustych dróg i czołgamy się na oślepie w błocie. Jak smutne echo wraca powiedzenie Wilde'a: „Wszyscy leżymy w rynsztoku, ale niektórzy spoglądają w gwiazdy”.

W takich chwilach zamykam się w schowku. Mam w wieży lamus pełen starych papierów, sekretnych przedmiotów i przebrzmiałych zapachów. Podobno rozróżnia się sześć podstawowych zapachów, reszta to koktajle podstawowych woni. U mnie jest to jeden zapach przeszłości, złożony ze wspomnień, wspomnienia bowiem (czy nie zauważyliście tego?) tka się często na osnowie zapachów.

Ponad wejściem czaszka, czerep kobiety lub mężczyzny takiego jak ja, pełnego uczuć i emocji, dobyty z grobowca przez rabusiów lub kogoś, kto nie chciał rozstać się z ukochanym — wisi na postrach intruzów, jak wrona powieszona nad żerdzią studni. Dalej bałagan, w którym tylko ja umiem się poruszać. Zapachy ludzi i zdarzeń, które układały się w łańcuch podobny przypalaniu papierosa od papierosa. Delikatna mieszanina dawno wypalonych cygar, wypitego wina, zwietrzałych perfum na listach i fetyszach miłości, które minęły, pamiątki szczęścia, gorzkich rozczarowań, pozornych zwycięstw i dramatycznych lekcji, obraz całego mojego życia skupiony w chaosie mniej lub bardziej przypadkowych relikwów. Lubię siedzieć tu godzinami; wypędza mnie głód, potrzeba snu i obowiązek sterczenia na platformie wieży, z której obserwuję moich bohaterów.

Oto baron Saldem zbliża się z oficjalną wizytą do Warszawy. Jest już blisko, eskortuje go oddział gwardzistów króla.

Podróż z Petersburga do Warszawy trwa długo — baron Saldem ma czas myśleć o swojej karierze, która jest najważniejszą z misji powierzonych mu przez Opatrzność. W młodości chciał być żołnierzem, wielkim wodzem, który rozbija w pył zastępy wrogów, a potem wielkodusznym gestem uwalnia jeńców i chroni branki przed chucią pijanego żołdactwa. Ale natura zrobiła figiel — dając mu figurę nader mizerną i kondycję chorowitą, uniemożliwiła służbę w armii, kierując do polityki, dziedziny brudnej i podstępnej, z którą trzeba się dobrze zżyć, by dobrze w niej pracować. Zamiast ze szlachetną wojną, ożeniono go z polityką.

Musiało potrwać nim zrozumiał, że wojna jest zawsze, także w czasie pokoju, różnica polega tylko na tym, czy się strzela, czy nie, a kto tego nie pojmuje, nie może prowadzić polityki zagranicznej, i że zadaniem polityków jest przygotowywanie wojen strzelanych wojnami cichymi, jak w Rzymie i Kartaginie: w każdym układzie pokojowym między nimi znajdowało się kilka kwestii otwartych, mogących stać się zarzewiem konfliktu, zawsze w rozejm wbudowana była wojna.

Przepustkę na dwór petersburski wyrobił sobie sam, dostarczając Paninowi znaleziony przez siebie manuskrypt proroka Izajasza, który Panin wręczył później carycy jako swoje znalezisko. Odkrycie było cenne, dawało bowiem wieszczy obraz upadku Polaków wziętych w kajdany przez Rosję — było przecuciem niedokładnym, pozbawionym szczegółów, ale mimo to równie genialnym jak każda starożytna antycypacja zjawisk współczesnych, choćby owo poprawne rozumowanie nieznanego Greka, po którym rzymski uczyony Varro na dwa tysiące lat przed odkryciem wirusów pisał: „W wysychających bagnach żyją małe żyjątka, których nie można widzieć, a które z powietrza dostają się przez usta i nos do ciała i wywołują tam złośliwe choroby”.

Na Salderaa czeka w Królewskim Zamku nad Wisłą człowiek, który w krytycznym dla Polski momencie sprawuje urząd najwyższy. Jest to człowiek z tych, co odpowiedzą na każde pytanie, człowiek bardzo wykształcony, rozmiłowany w zwierzątkach, kolekcjonerstwie, nowościach, pieniądzach, literaturze i wszelkiej sztuce. Świetnie tańczy, zgłębia tajniki filozofii, dostaje od kobiet listy z dwoma gołąbkami i palmą oraz napisem: *Mon amour pour Toi seul* (Kocham tylko ciebie), czyta regularnie „Gazette de Leyde”, odzywa się po francusku, robi wszystko, by L'Europę galante nie musiała się wstydzić swego wschodniego bastionu, i zawsze pamięta arcymądre rady lorda Chesterfielda: „Proszę was, pamiętajcie przede wszystkim o przyjemnym poruszaniu ramion, bo to wraz ze sztuką wdziwania kapelusza jest wszystko, co umieć winien człowiek wytworny”.

Kapelusz wytwornego człowieka z Królewskiego Zamku zwie się koroną, a on sam porusza przyjemnie ramionami nawet wtedy, gdy ambasador sąsiedniego mocarstwa krzyczy nań publicznie jak na sobakę. Ale raz po wyjściu ambasadora zdobywa się na bohaterstwo: pisze list i za plecami ambasady wysyła do Petersburga hrabiego Rzewuskiego z tym listem, w którym jest uniżona prośba, by caryca utemperowała księcia Repnina, bo nie uchodzi, aby poseł rugał monarchę publicznie i także publicznie nim pomiatał, cierpi na tym majestat, a on doprawdy niczym sobie na takie

traktowanie nie zasłużył. Cher prince to oczywiście wspaniały człowiek, gdyby tylko zechciał być nieco oględniejszy...

Pokazała ten francuski list Saldemowi przy pożegnaniu, a gdy podniósł pytający wzrok, rzekła: — Cela me va!*

Co znaczyło: dobre maniery zachowaj na zachód od Wisły, w Warszawie szorstkie obejście i wrzask. Nie potrzebował tej instrukcji, sam się domyślił, że bez rozkazu Repnin nie ośmieliłby się traktować Poniatowskiego jak lokaja. Domyślność barona Saldema to najniebezpieczniejsza z jego zalet, lecz póki domyśla się na jej rachunek, Królowa Śniegu pozwoli mu trzymać lejce sań.

Na pokoje królewskie wprowadza go jeden z bliskich przyjaciół Stanisława Augusta, jego rówieśnik, wnuk Augusta II Sasa i hrabiny Cosel, stolnik koronny, graf August Fryderyk Moszyński. Wychowany w Dreźnie — rozmawia z Salder-nem po niemiecku. Król oddelegował go na cicerone dostojnego gościa w stolicy. Postać nietuzinkowa, zapalony alchemik i wyznawca „nauk hermetycznych” (kabały, okultyzmu et consortes), kustosz kolekcji królewskich i architekt, mason wyższy stopniem od Poniatowskiego, któremu służy jako zaufany referent i człowiek do specjalnych poruczeń. Wcześniejszą przyjaźń potwierdził wspierając kochanka carycy podczas elekcji, a przypieczętował urządzając na

1 — To mi odpowiada! (to mi jest na rękę!).

cześć nowo obranego monarchy gigantyczny festyn w Młocinach. z Niagarą ogni bengalskich, za astronomiczną cenę dziesięciu tysięcy dukatów! Opłaciło się

— już w pierwszym roku swego panowania król mianował go członkiem Rady Skarbu i komisarzem mennicy, co przynosi bajeczne dochody, w drugim

— dyrektorem budowli królewskich, w trzecim — nadinspektorem teatrów. Drugą karierę robi w wolnomularstwie — wkrótce zostanie wielkim mistrzem loży masońskiej Świętego Jana i pierwszym różokrzyżowcem królestwa, szefem warszawskiej Najwyższej Kapituły Dogmatycznej Różanego i Złotego Krzyża, a wówczas — jak donosił Fryderykowi Wilhelmowi poseł pruski w Warszawie

— szeregowy różokrzyżowiec Stanisław August Poniatowski będzie w rozmowie ze swym masońskim zwierzchnikiem „nie płakał, lecz wył!”. Ale to nastąpi za kilka lat. Na razie mamy rok 1766 i nadworny mag Poniatowskiego, kawaler orderów Orła Białego i Św. Stanisława, graf August Fryderyk Moszyński, prowadzi barona Salderna do gabinetu swego pana, który nie wie, że przyjaciel i dwaj jego zastępcy w mennicy, Holzhauser i Schroeder, a także ulubieni aktorzy grafa, Montbrun i Rousselouis, to agenci rosyjscy sterowani z Petersburga przez tamtejszy Różany Krzyż. Tym bardziej nie wie, że tajnym carem różokrzyżow-ców rosyjskich jest wielki mistrz Kaspar Otton von Saldem, ale tego nie wie nawet Katarzyna Wielka.

Warszawa to wspaniałe miasto — przypomina dżunglę, pełną starannie zamkniętych drzwi, za którymi można mówić nie oglądając się na boki, mówić każdą mową, nawet językiem piekła, mówić nie tylko to, czego się nie myśli, lecz i to, co zostało wymyślone, mówić głośno rzeczy, które odziane w szept przebiłyby bębni światła, gdyby nie były one już przebite milion razy.

— Bracie — mówi Saldem do Moszyńskiego — Różany Krzyż narodził się co prawda w Niemczech, ale jest tam teraz nędzny i słaby, idzie złą drogą, przenikają doń pseudotemplariusze, rozdzierają go sprzeczności, panoszy się zdrada, Johnson został

aresztowany, co zresztą cieszy nas bardzo... Rosyjski zaś rośnie w siłę i rad by widzieć spokrewniony z nim zakon polski. Ty winienesz go stworzyć i stanąć na jego czele.

— Kto mi w tym pomoże, mistrzu?

— Ja, bracie. Przyślę ci z Drezna hrabiego Brühla, ten zna rytuały i prawa łóż. Daj mu się pobawić, a sam kaptuj cicho braci najlepszych do Róży i Krzyża. Kiedy dość ich zbierzesz, Brühl zostanie usunięty i natenczas otrzymasz nominację na wielkiego przeora.

— Od kogo, mistrzu?

— Nie od nas, by związków naszych nie wywleczono na wierzch zbyt łatwo. Od przełożonych wielkich łóż z Londynu, Paryża lub Wiednia, ale jakie to ma znaczenie? Moja w tym będzie dłoń. Masz naszą braterską obietnicę, że wkrótce będziesz tu pierwszym nad pierwszymi, tak jak ją masz, że zginiesz, jeśli

odwrócisz się od nas i sprzymierzysz swój zakon z bractwem niemieckim. Tego się wystrzegaj!

— Tak uczynię, mistrzu.

— Teraz zaś uczyn mi przysługę, by dowieść swego oddania Róży i Krzyżowi. Niemieccy bracia, którzy błędzą i będą za to pokarani, przysłali do Warszawy swego sługę, niecnego Włocha, który omal nie zabił generała Branickiego. Ten człowiek musi opuścić Polskę z królewskiego nakazu, i to szybko, z takiego nakazu, by już nigdy tu nie wrócił. Jesteś przyjacielem króla, spraw, by tak się potoczyły sprawy.

— To będzie trudne, mistrzu, król nader lubi kawalera de Seingalt.

— Ale ja go nie lubię, bracie. Chcesz więc nam pomóc?

— Masz, mistrzu, moje słowo.

— Okaż też miłosierdzie przystojne braciom wolnego zakonu i wyciągnij pomocną dłoń do Thomatisa, bo ten człowiek nie jest nam niemiły.

— Masz moje drugie słowo, mistrzu.

— I nie zapomnij wpisać do swej czeladki podskarbiego Wessela, to nasz człowiek, i referendarza Podoskiego, to człowiek nam potrzebny.

— Mistrzu!

— Słucham cię, bracie...

— Podoski to ksiądz, a bardziej jest rozpustny od Thomatisa!

— Cóż z tego?

— Bracia się wstrząsną. Kodeks zakonu jasno mówi: „Rozpustnicy, ludzie występni, obłudni, bezbożnicy, bankruci i oszczercy winni być wykluczeni na zawsze!”

— Bracie, zważaj kogo obrzucasz złym słowem. Przyszłego prymasa Polski, i to rychło, bo stary Łubieński długo nie pociągnie. Nie godzi się! On będzie pierwszy między kapłanami w tym kraju.

On?!

— Tak postanowiono. Konstytucja nasza, jako sam rzekłeś, każe wykluczyć bratarozpustnika, lecz nie zabrania przyjmować zepsutego. Ten, znalazłszy w zakonie wzorce prawości, naprawić się może. Cóż więc mi odpowiesz, bracie?

— Masz moje trzecie słowo, mistrzu.

Najwyższym mistrzem sługi trzech mistrzów jest Przedwieczny Niemowa, który spogląda znad chmur, toleruje wszystko i wykazuje spokój głuchego ślepeca. Dwaj inni chodzą po ziemi i on, Moszyński, królewski bękart w drugim pokoleniu, prowadzi

jednego do drugiego, grając rolę mistrza ceremonii. Salderna posadzi w królewskim gabinecie i wysłannik poczeka na króla, przez co stanie się, że nie monarcha udzieli audiencji, lecz baron przyjmie Poniatowskiego w imieniu i majestacie Jej Imperatorskiej Mości.

Lodowa góra rzuca wielki, długi cień, w którym giną białe twarze.

skurczone serca i krzywe uśmiechy, a po skórze ślizga się łaskoczący szept: „...Nada nadzieźnych Polakowi...”.

Otwierają się drzwi do garderoby króla, przyjaciel całuje go i wskazuje mu drogę, jakby wskazywał obcemu w tym pałacu: tam czeka adwokat Królowej Śniegu, która wzięła cię niegdyś pod swój śnieżny baldachim, w śnieżną pościel i śnieżne ramiona z żelaza, a potem usadziła na polskim pagórku — idź i rozmów się z nim.

Nie da się tego uniknąć. Tandem!

Od chwili, gdy Saldem wszedł do jego pałacu, poczuł, że pałac jest inny, przeniesiony nad Newę, gdzie waruje sfera podłych ministrów dobrej „Sophie”, która już nosi inne imię i zapomniała o jego namiętnych pieszczotach. To oni nie dopuszczają, by mógł z nią porozmawiać bezpośrednio, jak dawniej. Wówczas przekonałby ją i wszystko by się odmieniło. Zobaczył siebie stojącego przed złowieszczą ścianą z upudrowanych, bezlitosnych i wzgardliwych masek, i poczuł strach dziecka przed nieruchomym zwierzęciem, które w milczeniu obnaża kły.

Pocałunek przyjaciela otrzeźwił go: trzeba już iść i rozmawiać z jednym z nich. Znowu zażądają czegoś, założą mu nowe pęta i zmuszą do kolejnej hańby, którą tam uknuto. Ale on musi zachować twarz! Tandem!... Jest przecież królem!

„Ten zaś, który go wydał, dał im znak, mówiąc: Kogo pocałuję, ten ci jest — bierzcie go, a prowadźcie ostrożnie. I gdy przyszedł, przystąpiwszy zaraz ku niemu rzekł: Bądź pozdrowiony, Mistrzu. I pocałował go...”.

Saldem mówił spokojnie, rzadko podnosząc głos, ale każde jego słowo przerażało bardziej niż krzyki Repnina:

— Nie chcąc marnie skończyć, wybij sobie z głowy, wasza królewska mość, oglądanie się na Paryż i Wiedeń, nie będzie to więcej tolerowane! Podobno chcesz się żenić z arcyksiężniczką austriacką?

— Nie... to pomysł mojej rodziny, wujowie... ale ja...

— Ale ty nie doniosłeś nam o tym niefortunnym pomysle. Słusznie zresztą oszczędziłeś sobie wysiłku, skoro wiesz, że my wiemy wszystko, co dzieje się za tobą, pod tobą i obok ciebie, a także to, co może się stać z t o b ą... Wiemy więc i o twoim posłannictwie do Paryża.

Nie usłyszawszy odpowiedzi, spytał z naciskiem:

— Nie masz w tym względzie nic do powiedzenia, Sire?

— Nie... To znaczy tak... — duknął Poniatowski, patrząc w podłogę. — To są związki kulturalne... wysyłam stypendystów po nauki...

— Ach tak? Coraz lepiej!... Wysyłasz swoich ludzi na naukę intrygowania przeciw Rosji, za pieniądze, które ci daje Jej Imperatorska Mość? Osobliwe, doprawdy, poczucie wdzięczności, ucieszy się Cesarzowa... Bardzo się ucieszy!

— Nie, to nieprawda! Cesarzowa nie może tak pomyśleć, na miłość boską, nie zasłużyłem na to! Tandem!

Zdawało się, że Saldem nie słyszy tego przeczenia i rozpaczliwego tonu.

— Zaprześć, wasza mość, ulegania swoim wujom. Nie im dano koronę, a chcą się mieszać do wszystkiego. Czas wybrać, wte lub wewte, bo cierpliwość Imperatorowej się kończy!

— Już wybrałem, moja lojalność nie...

— Nie ulega kwestii... To dobrze. To znaczy, że pojmujesz, iż w sprawie równouprawnienia różnowierców wola Imperatorowej jest niewzruszona i że zaniedbanie przez ciebie tej sprawy jest oburzające. Wiesz, jak rzecz wykonać. Ma to być przeprowadzone na sejmie, większością głosów. Twoim staraniem! Zbyt mało się troszczysz o rzecz ową, która stanowi fundamentum polityki naszego dworu.

— Naszego?... — wybąkał pomazaniec.

— Tak, twojego i mojego, Sire. Tego, któremu obaj wiernie służymy.

— Ale... ale uwierz mi, panie baronie, że plany tak daleko idące, tandem, by zrównać w prawach z katolikami innowierców protestanckich...

— I prawosławnych! Cierpią oni niewypowiedzianą krzywdę w tym kraju, co ubliża boskiemu poczuciu sprawiedliwości Cesarzowej, której serce krwawi na ten widok!

— Naturalnie, i prawosławnych... Ale pozwól mi zauważyć, panie baronie, że w Polsce, która w dobie największych prześladowań religijnych w Europie była oazą tolerancji i przyjmowała z otwartym sercem uciekinierów z tyłu państw, w Polsce do dzisiaj tolerancja ta jest ogromna.

— Ogromna, zaiste! Dotąd pierwszy lepszy polski szlachetka pali niewinne kobiety pod zarzutem uprawiania czarów, istne średniowiecze! Das ist eure Toleranz! 1

— Niestety, szlachta w swej ciemności popełnia bezprawia, lecz to wypadki, tandem, sporadyczne i nie mające związku ze sprawą, o którą chodzi Jej Imperatorskiej Mości. Zapewniam pana, drogi baronie, że różnowiercy religijni u nas mają dużą...

— Zapewniasz mnie więc, że nasza Pani kłamie?!

— Na Boga, nie!... Chciałem tylko powiedzieć, że... że plan tak daleko posunięty wzburzy niepomierne naród, wytworzy zacieklą opozycję i... może. tandem, do wojny domowej doprowadzić, której los niepewny.

— Bez egzaltacji, Sire, zapewniam, że byłby on zupełnie pewny! Czterdzieści tysięcy jejrów to dość, by rozgonić pyskaczy, a będzie trzeba, to i w jusze własnej utopić!

— Boże Jedyne, tylko nie to! Od skąpania własnego narodu we krwi mam zaczynać panowanie?!

— Właśnie, lepiej tego nie rób, zrób wszystko, by rzecz przeszła gładko,

1 — Oto wasza tolerancja!

a krwi nie będzie... choć i to prawda, że purpura królewska nie podlewana krwią rychło płowieje...

— Nie, tylko nie tak!

— Więc zrób, co do ciebie należy! Zwołaj nadzwyczajny sejm i rzecz ma zostać skończona! Basta!

Poniatowski schylił głowę i ukrył twarz w dłoniach. Spomiędzy rozcapierzonych palców wydobył się łzawy szept:

— Czyby... czyby większa jeszcze tolerancja, gwarantowana edyktem królewskim potwierdzonym przez sejm, dopuszczenie prawosławnych do większej liczby

urzędów... No, część planu Imperatorowej, tandem... Początek taki zrobić... czyby nie wystarczyło?...

— Nie. „

Koronki przy królewskich mankietach zaczęły od łez mokre się robić. Znowu ten sam wilgotny szept napełnił gabinet:

— Raz już stanęła ta kwestia na sejmie i upadła. Gdy ją teraz, tandem, podtrzymywać będę, przeklnie mnie Kościół i naród... Ale gdybym tak... gdybym tylko pośredniczył między opozycją a ambasadą Jej Imperatorskiej Mości i stronnictwem innowierczym... Przysłużę się sprawie tak samo, jeśli nie mocniej, a wyjdę z niej czysty i zaufania obywateli nie utracę... Trzeba... trzeba będzie zbudować silne stronnictwo, sejmiki kupić, na to brak mi pieniędzy...

— Pieniądze dostarczymy wam, wasza królewska mość. przyjdą terminowo, jak dotąd. Będziecie je mogli wydać na bale, kopersztychy i książki. Sumy na kupienie posłów zostaną wyłożone osobno i kto inny ich użyje, nie wasz kłopot. Wasza rola na sejmie. Pośrednictwo może być, dobry pomysł... tak, sehr gut!... Przestańcie się mazać, nie przystoi wam płakać jak bachorowi! Wszak ten, kto nie urodził się w królewskiej sypialni, a za nic dostał w prezencie tron, nie powinien z tego powodu rozpaczać, czy się mylę?... Gdyby Jej Imperatorska Mość dowiedziała się o tym. utraciłaby zaufanie względem waszej królewskiej mości.

Stanisław August odjął ręce od twarzy skąpanej w lepkim, rozmazanym łzami pudrze. Głos drżał mu w krtani jak struna szarpnięta trwożliwą ręką:

— Panie baronie, z utratą zaufania i przyjaźni Imperatorowej utraciłbym coś więcej niż koronę i życie! Okazuje się, że niedobrze mnie znacie, jeśli możecie wątpić o moim oddaniu!

— Ależ nie. Sire, jeszcze nie wątpimy — rzekł Saldem, podnosząc się do wyjścia. — Dowodem hojność naszej pani. Póki wart jesteś zaufania, poty Polska warta jest pensji płaconej ci przez Jej Imperatorska Mość.

Teraz dopiero, z wielkim opóźnieniem, dotarło doń, że ten Niemiec, sługa Katarzyny, drwi sobie z niego, i nagle coś szarpnęło się w nim, zawyło, zakrzyczało straszliwym głosem. Nie panując nad sobą wstał i z gardła wydobył mu się zduszony pisk:

— Jak pan śmie?!... Jak śmiesz, tyyy!... Nie tobie sądzić, ile warta jest Polska! Nie tobie!...

Saldem, stojąc w drzwiach, zmrużył oczy i wycedził z morderczym spokojem:

— Słusznie, wasza królewska mość, nie mnie samemu. Razem z grafem Paninem, który podpisuje twoje weksle, szacujemy ją na dwadzieścia dziewięć srebrników. Zdaje się, że bez krzywdy, kiedy tylko jednym srebrnikiem mniej od Zbawiciela. Tandem!

Poniatowski otworzył oczy jak pijany, który nie widzi, zwałił się na fotel i rozszlochał w głos. Saldem cicho zamknął drzwi.

W godzinę później powtórzył Repninowi całą tę rozmowę-„nauczkę”, opisał reakcję Poniatowskiego i podkreślił, że carycy chodziło właśnie o „nauczkę”. Jej instrukcja, którą później zamieszczono w tomie LXVII „Sbomika” Cesarskiego Towarzystwa Historycznego, brzmiała dosłownie: „Proszę dać nauczkę woskowej kukle!” (Proszu prouczyt' woszczennuju kukłul). Repnin nie omieszkał rozeźmiać się pochlebnie, wysłuchawszy ostatniego zdania, ale pomyślał, że zawsze dotąd opanowanego

nauczyciela poniosły niepotrzebnie nerwy — zdanie o srebrnikach było ładne, ale taktycznie niezręczne. Poinformował o tym Panina w szyfrowanym raporcie, w którym najwięcej miejsca poświęcił sprawie „delegata” wysłanego przez Stanisława Augusta do Paryża oraz królewskim łzom:

„Przekonałem się, że króla namówił do tego kroku brat jego, generał austriacki (...). On to skłonił króla, by w tajemnicy przede mną, na co bym nigdy się nie był zgodził, wysłał delegata do Francji. Nie mogę inaczej sądzić, jak tylko, iż żal króla był szczery, gdyż z taką goryczą, łzami i skrucą ja przynajmniej dotąd się nie spotykałem”.

Przedrukowującą depezę w swoim dziele Aleksander Kraushar opatrzył ją następującym komentarzem: „Nie pierwszy to raz w życiu używał Stanisław August od chwili swej królewskości łzawego argumentu, gdy pragnął przekonać kogoś o najlepszych swoich dążnościach. Charakteryzuje to dostatecznie nerwową i bezsilną naturę człowieka wyniesionego zrządzeniem losów na dostojeństwo przedstawiciela narodu. Wobec takiego usposobienia, wobec braku wszelkiej męskiej energii (...), dla urzeczywistnienia planów dyplomacji mocarstw sąsiedzkich podatniejszej nad Stanisława Augusta nie można było znaleźć osobistości”.

W kolejnym raporcie Repnin opisał swoją własną rozmowę z Poniatowskim, będącą w istocie kolejną „nauczką”, gdyż te — zgodnie z rozkazem carycy — miały być dawane regularnie. Raport zamykała fraza:

„Na koniec w owej rozmowie zapewnił mnie król, że uczyni wszystko, co będzie pożyteczne dla Rosji i od jej strategii nigdy nie odstąpi. Nie wiem, czy można mu wierzyć, lecz mogę zapewnić, że uległość jego dla nas jest bezgraniczna

i śmiem nawet ręczyć za nią. Lecz niestety — nie mniejszą jest i słabość jego dla wujów”.

Między tymi dwoma raportami Repnin odebrał od Salderna nowe instrukcje z Petersburga. W kilku przynajmniej punktach były one zaskakujące.

— Z kim, książę, sypiasz? — spytał obcesowo baron.

Ambasador zjeżył się, bezczelność tego Holsztyńczyka zdawała mu się nie do wytrzymania.

— Z kim chcę, ekscelencjo, to moja osobista sprawa!

— Mylisz się, panie — wytłumaczył mu chłodno Saldem — gdyby tak było, nie pytałbym cię o to. Od dzisiaj to sprawa stanu, a ja wypełniam tylko rozkazy Imperatorowej. A więc z kim?

— Z panią Poniatowską, bratową króla.

— To źle sypiasz.

Repinowi przeleciało przez głowę, iż Katarzyna, z jakichś sobie znanych powodów, chce go nawrócić na wierność małżeńską, ale Saldem wyprowadził go z błędu:

— Lepiej byłoby, książę, abyś uszczęśliwił inną polską damę.

Teraz pomyślał, iż caryca gniewa się o jego romans z żoną austriackiego generała, który chcąc przeciągnąć Stanisława Augusta na stronę Habsburgów, posłuje do Wiednia i montuje delegacje do Paryża, ale Holsztyńczyk znowu go poprawił:

— Nie mamy nic przeciwko pani Poniatowskiej, wasza książęca wysokość, poza tym, że jest ona z punktu widzenia naszych interesów zupełnie bezużyteczna.

— Bezużyteczna? Ależ, ekscelencjo... To właśnie od niej dowiedziałem się o matactwach jej męża, o planie ożenku króla z Habsburżanką i o delegacie paryskim!

— Drobne plotki, księżę, nasz wywiad wyłapuje takie śmiecie jak sieć wodorosty, a nam potrzebne są duże ryby. Ten zabawny staruszek, brat króla, nie jest groźny, to karta bita. Zgodnie z nowymi rozkazami przedstawiciele Rosji za granicą mają sypiać z wpływowymi członkiniami obozów wrogich nam

I naprawdę niebezpiecznych.

— Księżna Izabela?! — wykrzyknął Repnin, podnosząc ciało na rękach wspartych o poręcz krzesła.

— Dokładnie.

— Przecież ona sypia z królem, Czartoryscy mają w tym swój widok, robią wszystko, by go omotać! Gdyby zaczęła flirtować ze mną, ukręca jej łeb!

— Mylisz się, drogi księżę, Czartoryscy, gdy tylko okażesz chęć, pchną ją do twego łóżka, nawet gdyby się opierała, bo będą liczyć na odwrotność tego, na co my liczymy: że ona będzie wyciągała od ciebie nasze plany i tajemnice, a tobie podsuwała fałszywe tropy. Ale kobieta naprawdę zakochana służy tylko kochankowi. Rzecz w tym, byś ją tak właśnie rozkochał, to ma być wielka miłość.

— Uprzednio mówiłeś, panie, że nie jestem tu po to, aby uprawiać miłość!

— Ale to było uprzednio i chodziło o coś zupełnie innego. Teraz masz się kochać, księżę. Cesarzowa wierzy, iż potrafisz wywiązać się z zadania. Inna przyjemność czeka pułkownika Igelstróma, pani Lhullier.

Oszołomiony Repnin, nie mogący jeszcze przyjść do siebie, burknął pierwszą lepszą rzecz jaka mu przyszła na język, dając upust złości:

— Ta stara kurwa?!

— Ta wcale jeszcze nie stara kurwa, księżę, jest serdeczną przyjaciółką i powiernicą króla, wysłuchuje jego zwierzeń i dostarcza mu młodych przeskolonych przez siebie dziewcząt, bo jak nikt zna jego upodobania w tej materii. Słowem gra rolę pałacowej burdel-mamy. Poniatowski ma do niej wielki sentyment i nie mniejsze zaufanie, a chociaż przestała już być codzienną metresą, czasami, gdy on ma ochotę na coś bardzo męczącego i orginalnego, przypominają sobie przez kilka godzin dawne czasy. Ta kobieta to skarb, można przez nią i przez jej uczennice kontrolować króla dniem i nocą... Winienesz to wszystko wiedzieć od Thomatisa, księżę, ale on konkuruje z panią Lhullier w nadwornym rajfurstwie i zazdrości jej, więc przemilczał to przed tobą w obawie, by nie zastąpiła go na twojej liście płac.

— Jeśli ta kobieta ma taki wpływ na króla, byłoby dziwne, gdyby nikt do tej pory nie próbował wykorzystać tego — zauważył Repnin.

— Nader trafne spostrzeżenie, Mikołaju Wasiliewiczu... To agentka Habsburgów, którzy zacierają ręce, bo Poniatowski właśnie wprowadził ją do tajnej rady gabinetowej, dzięki czemu może ona jeszcze lepiej informować Wiedeń. Zadaniem pułkownika Igelstróma jest wybić jej to z głowy. Został wybrany dlatego, że jego metody...

— Nie ma go w tej chwili, ekscelencjo, jest w terenie.

— Nie spiesz się nam; wielka i gorąca, prawdziwa miłość, nie zawsze rozkwita od razu. Każdy z nas ma rok na jej zasadzenie i zerwanie owocu... Tak, księżę, ja też. Proszę sobie wyobrazić, że po rozmowie z Imperatorową zapalałem niepohamowaną

namiętnością do drugiej Czartoryskiej, Olgi, żony hetmana wielkiego litewskiego, Ogińskiego, chociaż w życiu nie widziałem jej na oczy i mówiono mi, że jest szpetna. Oto jak ślepe bywa uczucie... Widzisz, wasza książęca wysokość, na tym padole kobiety mają sporo do powiedzenia. Pompadour i Du Barry we Francji, Maria Teresa w Austrii i nasza Pani, największa z nich wszystkich. Inne rządzą w ważnych sypialniach. Mieć je w swoim ręku, to więcej niż połowa zwycięstwa. To, co nas otacza, to „regime des maitresses”...¹ Książę, jeśli się tego nie rozumie i nie chce wyzyskać, nie powinno się w ogóle zasiadać do gry... Ale przejdźmy do panów. Niepokoi mnie postawa

1 — Królestwo kobiet (królestwo nałożnic).

kilku ludzi, zaprzędanych Czartoryskim lub wyznających tę samą buntowniczą ideę.

— O kim myślisz, ekscelencjo?

— O kanclerzu Zamoyskim i marszałku Bielińskim w pierwszym rządzie. To gracze silni, trzeba ich będzie usunąć. Kandydatury Imperatorowej na najbliższe lata są takie: generał Branicki hetmanem wielkim koronnym, biskup Młodziejowski kanclerzem wielkim koronnym, referendarz ksiądz Podoski prymasem. W tym kierunku należy działać. Kto za Bielińskiego nie wiem. w tej kwestii decyzyja jeszcze nie zapadła.

— Jedno słowo, ekscelencjo. Kandydatury Jej Tmperatorskiej Mości są doskonałe, ośmieliłbym się wszakże zwrócić uwagę na... na jedną niedogodność... a raczej wyniszczyć pewną wątpliwość...

— Śmiało, drogi książę, po to rozmawiamy.

— Zdaje mi się, ekscelencjo, że ludzie ci winni nie budzić szczególnego oburzenia w tutejszym społeczeństwie. Akceptowani przez ogół, będą dla nas korzystniejsi.

— Do rzeczy, o kogo idzie?

— O Podoskiego, ekscelencjo. Opiekun domów publicznych, największy dziwkarz wśród księży tego kraju, na najwyższym stanowisku kościoła?

— On został wytypowany ze wszystkich, których brano pod uwagę. Dziwkarz? Drogi książę, a nasz świeżo upieczony biskup Młodziejowski, czyż nie przystraja swych kochanek w klejnoty z monstrancji i nie przegrywa w karty sprzętów kościelnych? Nikt mu przez to w twarz nie pluje... Że kilku dewotów podniesie krzyk? Kto ich słucha? Tacy ludzie jak Młodziejowski i Podoski są nam potrzebni, można na nich oszczędzać różane srebro, służą zapalczywie za kupkę zwykłego złota. Przez takich wyniesionych księży Kościół ich będzie gnił!

— Tak. panie baronie, lecz Młodziejowski pójdzie na urząd cywilny, co nie będzie nadto bodło w oczy. Ale z burdelu na fotel prymasa? Dziwkarz w kardynalskiej sukni wzburzy lud...

— Drogi książę, w naszych czasach kardynał nie dziwkarz to kaleka! Zresztą... gdy w jego domu pojawi się kapelusz, pojawi się i więcej Boga, bo im wyższy stopień na drabinie, tym bliżej do Boga i tym więcej świętości, czy nie tak?... Jest sprawa ważniejsza. Nawet dwunastu takich świętych apostołów może nie wystarczyć, Czartoryscy to potężny ród. Trzeba mu przeciwstawić równie potężne rody polskie. Radziwiłłów i Potockich. Pierwszych biorę na siebie, ty, książę, skaptujesz drugich. Mówił mi graf Panin, że mamy szpicla na dworze tego kresowego królika, Franciszka Salezego Potockiego. To starszy setnik jego kozaków, nazywa się Iwan Gonta. Proszę nawiązać z nim współpracę... Potocki by się przydał, tytułami słaby, ale wpływem i majątkiem Herkules.

— Będzie to łatwiejsze niż się zdaje, ekscelencjo, Franciszek Potocki nienawidzi Czartoryskich, a osobliwie wojewodę Augusta.

— Jesteś tego pewien, książę?

— Tego jest pewne każde dorastające dziecko w Polsce, ekscelencjo, bo w każdym polskim domu opowiada się dla wesołości jak przed laty Franciszek Salezy Potocki i August Aleksander Czartoryski starali się o rękę najbogatszej wdowy w Polsce, Zofii Denhoffowej. Słyszałem to tyle razy, że już nawet mnie nie śmieszy. Czartoryski był ogładzony i miał mitrę książęcą, a Potocki tylko pieniądze. Chcąc pognać konkurenta, znalazł jakieś zbiedniałe książątko z Czetwertyńskich, najął na służbę i gdzie tylko mógł publicznie łajał: „Wasza książęca wysokość znowu mi źle buty posmarowałaś, miało być sadłem borsuczym! Oj, bo sto bizunów na goły tyłek wlepie!”.

Saldem zarechotał, trzęsąc się, co tak bardzo nie pasowało do niego:

— Przedni fortel, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!

— Wymyślił Potocki jeszcze lepszy. Dwudziestu swoim Rusinom, prostym chłopom, uszył komplet takich francuskich strojów, jakie miał Czartoryski, kropla do kropli identyczne. Dowiadywał się przez swoich szpiegów gdzie Czartoryski w jakiej sukni wystąpi i tam się zjawiał otoczony uniżenie przez dwudziestu wieśniaków nic się nie różniących od księcia, tak samo ufryzowanych, w takich samych sukniach, przy szpadach i żabotach koronkowych tej samej maści.

— Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!... Przestań, książę, bo dostanę kolki! Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!... No i kogo wybrała?

— Czartoryskiego, ekscelencjo, bo dwornie poprosił o rękę. Potocki był za dumny. Oświadczył się listownie, pisząc, że jest zajęty tępieniem wilków na stepach ukraińskich i osobiście stawić się nie może...

— Herrlich!1

— Nienawidzi Czartoryskich jak robactwa!

— To dobrze.

— Ale nie lubi się też z Branickim.

— To gorzej, chociaż nie tragedia... Gdy wszystkie marionetki należące do lalkarza przyjaźnią się między sobą, wtedy kiepsko z nim... Dla Branickiego mam nowe u p o m i n k i od Jej Imperatorskiej Mości. Na szczęście żyje... Na szczęście dla ciebie, książę. Nie tylko nie wypędziłeś Casanovy i ja sam musiałem się tym zająć, ale do tego omal nie zabiłeś swojej najcenniejszej zdobyczy!

— Nie przypuszczałem, że tak się stanie, ekscelencjo!... Branicki wybornie strzela i miał pierwszeństwo strzału!

— Człowiek, mówią, strzela, ale Pan Bóg kule nosi. Spytałeś go, czy jest po naszej stronie, książę?... Skończ z wystawianiem ludzi Jej Imperatorskiej Mości na strzelnicę, dobrze radzę!

Udzieliwszy drugiej już nauczki podczas swej wizyty w Warszawie, baron

1 — Pysnie! (wspaniale!).

udał się do łoża Branickiego. Zastał przy nim kochankę królewską, siostrę generała, panią Sapieżynę, i ucieszył się, gdyż i z nią miał do porozmawiania. Zaczął od rytualnych wyrazów współczucia i od gróźb pod adresem Casanovy, potem żartobliwie opowiedział pani wojewodzicowej jak to jej brat kiedyś zamówił w Holandii fałszywe

ruble, by zniszczyć rosyjski skarb, na co ona przypomniała, że „kochany Ksawerek” w swej durnocie miał jeszcze plan wysadzenia w powietrze Kronsztadu... Mówili długo i o wielu rzeczach, między innymi o tym, że Poniatowskiemu należy utrudniać na wszelki sposób kontakty zagraniczne, a kierować jego uwagę na zabawy, kulturę, budownictwo i upiększanie ogrodów... Wiele lat później Stanisław Wasylewski nazwie tę kobietę „policjantką Salderna” i tak napiętnuje Branickich:

„Ta parka szczególnego rodzeństwa budzi uwagę powszechną. Któryś z ambasadorów nazywa Branickiego i siostrę: *Melange monstrueux des défauts des deux sexes*, monstualnym stopem występków płci obojga, Saldem zaś, znany z chamstwa, nic w ogóle nie mówi, tylko wynajmuje ich oboje — niedrogo — do tajnego wywiadu politycznego (...). W działalności pierwszego warchoła w Rzeczypospolitej oraz ducha-dręczyciela Stanisława Augusta ta siostra odgrywa bardzo ważną rolę”.

„Duch-dręczyciel” Stanisława Augusta z Warszawy pojechał do Kopenhagi via Berlin, gdzie został dwukrotnie przyjęty na audiencji przez króla Fryderyka. Fragmenty obu tych rozmów znamy dzięki Sołowiewowi; cytuję urywek:

Fryderyk II: „— Polskę należy trzymać w letargu!... A' propos, czy ciągle jeszcze myślą u was o zgodzie na zniesienie polskiego «*liberum veto*»?”.

Saldem: „— Najjaśniejszy Panie, nigdy o tym u nas nie myślano... Śmiem zapewnić Waszą Królewską Mość, że ani Imperatorowa, ani jej ministrowie, nigdy na serio nie zamierzali zezwolić Polakom na uchylenie tak świętego wyrazu...”.

Fryderyk II: „— Jeśli tak, to dobrze... Proszę powiedzieć Imperatorowej, że moim zdaniem nie należy się obawiać związku austriacko-francuskiego. To żebracy! Proszę też wyrazić Jej mój podziw i uszanowanie. Wiele dróg prowadzi do nieśmiertelnej sławy, Imperatorowa jest na jednej z nich”.

Saldem: „— Tak jest, Wasza Królewska Mość, Imperatorowa zapewni szczęście swemu narodowi i znacznej części ludzkości. Ma Ona rozległe plany obejmujące przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Kocha żyjących, nie zapomina wszakże o potomnych...”

Z Berlina pojechał do Drezna, by rozmówić się z Bruhlami. Gdy wyjeżdżał do Kopenhagi, odebrawszy raport od rosyjskiego szpiega na saskim dworze, dręczyła go zagadka mieszcząca się w kilku słowach tego sprawozdania: „... i szukają człowieka o czterech palcach; znaleźli takich wielu, a wciąż szukają...”.

Człowiek o czterech palcach śledził za pomocą swoich ludzi każdy krok Salderna w Warszawie, ale nie mógł przeniknąć przez zamknięte drzwi tego miasta, więc niewiele się dowiedział poza tym, że jest wciąż obcy w dżungli stołecznej.

Minął już prawie rok odkąd przyjechał do stolicy. Pozornie zadomowił się w mieście — już w końcu 1765 roku kupcy zaczęli sprzedawać wykurowanemu Stańkowi żądane towary na borg, pewni, że kapitan Voeres bezzwłocznie spłaci należność. Uchodził za klienta jakich mało, solidnego i wartego uprzejmości, wiedziano bowiem, że jest prawą ręką marszałka Bielińskiego i że tylko u niego można szukać obrony przed złośliwymi represjami ze strony oberinstygatora Krammera.

Jego podwładni uwielbiali go. Wybrał ich sobie sam, gdy w styczniu 1766 roku, na polecenie Bielińskiego, tworzył dwudziestopięciosobową grupę do zadań specjalnych. Formalnie była to brygada Kontroli Porządku Miejskiego, sprawująca nadzór nad funkcjonowaniem pozostałych służb policyjnych. W istocie ta elitarna formacja

warszawskiej policji stanowiła tajne komando polityczne marszałka, o czym nie wiedział nawet Faludi. Wszyscy jej członkowie, wyselekcjonowani najlepsi z najlepszych, zostali zaprzysiężeni na krucyfiks (śmierć za zdradę) i poddani przez Kissa wyczerpującym testom. Jeden z nich, hinduski, polegał na przebiegnięciu wokół murów miejskich z ustami pełnymi wody i nie uronieniu (bądź wypiciu) po drodze ani kropli — u celu trzeba było napełnić tą wodą złocony pucharek do pełna.

Tworzyli pod jego komendą małeńkie plemię ludzi dumnych i wyniosłych, patrzących na resztę z góry, jakby przez szczyrbiny strzelb wymierzonych w obce głowy. Miny mieli czujne i napięte (co odczytywano jako wrogie i naburmuszone) i pielęgnowali zazdrośnie swą elitarność, która dawała im poczucie wartości. Gromada ponurych diabłów, posługujących się nożem i pistoletem, jakby to były zabawki, urodzeni zbóje, stanowiący jedność z mordem, okrucieństwem i bronią, tak jak flisacy stanowią jedność z tratwą, nurtem rzeki i nadbrzeżnym szuwarem, a smolarze z lasem, ogniem i dymem, zaś górale z turnią, kozicą i echem odbijanym przez sąsiednie zbocza. Gdy w obecności innych mówili o swym wodzu, używali kryptonimu „majster Korwin” (Korwin po węgiersku znaczy: Kruk).

Ten człowiek, wielki niczym góra, małomówny, odporny i niewzruszony, z niewidocznym, lecz wyczuwalnym, scytyjskim pancerzem otaczającym go jak aura, budził w nich wszystkich coś, co było dzieckiem zakochania, szacunku i strachu, i co sprowadzało się do bezwarunkowej lojalności i uległości, która nie wymagała krzykliwych rozkazów ani Krammerowskich gróźb.

Chociaż odzywał się rzadko, ale za to potrafił słuchać, co jest trudną sztuką, dzięki której zdobywa się ludzi łatwiej niż za pomocą słów. Bo oni, niemi podczas pracy, rozwiązywali swoje języki dopiero gdy składali mu raporty, a wówczas nie

kończyło się na tym. Pchani nieodpartym impulsem, atawistycznym głodem spowiedzi, zrazu powoli, nieśmiało, potem coraz otwarciej i z ulgą zrzucali ze swych serc ładunki samotności (do grupy mogli należeć wyłącznie kawalerzy, nie obciążeni nawet starymi rodzicami; zgodnie z rozkazem Bielińskiego tacy, „po których nikt nie mógłby zapłakać”), znajdując w nim powiernika koniecznego jak chleb. Pozwalał im paplać, wynurzać się, odkrywać i samobiczować, a potoki tych wyznań spływały po nim i konały mu u stóp niczym zmęczone fale. Ale z przypiływów owej szczerości, która wyrывała się ludziom nie mającym gdzie indziej adresu, by ją wylać, z tego brudnego wodospadu zwierzeń, powierzanych zawsze osobnikom takim jak on, instynktownie budzącym zaufanie i przyciągającym spowiedzi, Imre wyławiał drobne fakciki, które mogły mieć znaczenie, i kodował je w swojej pamięci z milczącą solidnością dobrej maszyny cyfrowej. Gadaj dowoli — mówiły jego oczy — jestem twoją matką, pozwalam ci i wszystko rozumiem.

Oceniał ich wyłącznie przez pryzmat przydatności do ekipy, którą chciał zabrać ze sobą na Żmudź, dlatego musiał dowiedzieć się o nich wszystkiego i dlatego ich szczerość była dlań zrzędzeniem losu. Nie przeszkadzało mu, że w większości są to ludzie o duszach podziurawionych grzechem jak ser helwecki, mający za sobą morderstwa i łupiestwa, pożogi, krwawe pojedynki i zajazdy, powyciągani przez Bielińskiego z lochów i tak zmęczeni lub znudzeni występkiem, że służba policyjna stanowiła dla nich jedyną przygodę wartą jeszcze przeżycia. Nie przeszkadzało mu też, że swoje zarobki topili w czeluściach zamtuzów, tracąc każdy grosz z dziwkami.

Budziło to tylko gniew księdza Parysa, boleśnie ugodzonego przez fakt, że nie do konfesjonału przychodzili się spowiadać.

Ów ksiądz, w którym rozpląnął się jezuicki fanatyzm, a zostało powołanie wsparte na miłości do Boga i ufności w Jego miłosierdzie, podczas każdej z niedzielnych mszy dla chorągwi węgierskiej gromił z ambony wszelaką niegodziwość, a czynił to tak żarliwie, że zdawać się mogło, iż duch któregoś z biblijnych proroków wstąpił w jego ciało. Pewnej niedzieli dostało się odeń grupie Kissa za bezbożność i rozpustę. Po mszy rozeźleni żołnierze dopadli księdza w kancelarii więziennej, krzycząc:

— Słuchaj, kuku! Nie chcemy awantur ani kłopotów! Nie chcemy twojego biczowania! Nie chcemy krwi, nażarliśmy się jej dość! Wiemy, że przyjdzie nam zapłacić rachunek na tamtym świecie. Ale on już nie rośnie, sflacamy go. Nie modlitwą i pokutą, lecz służbą. Może ona nie zanieś nas do raju, ale staramy się, więc nie judź! Szanujemy twoją miłość do Boga. I czytać umiesz. Lecz czy musisz nas dręczyć? Chcesz na nas sprowadzić karę? To nasza rzecz, co robimy po służbie, nie wyrządzamy nikomu krzywd!

— Sobie wyrządzacie krzywdę, nurzając się we wszeteczeństwach! — odkrzyknął Parys. — Szatan was opętał! Od dawna już żył sobie spokojnie między wami, kiedy siedzieliście w żelazach, a teraz, kiedy was rozkuto, przystąpił do pracy i nie znacie innej drogi prócz drogi grzechu!... Odwróciło się słabe serce ludzkie od Boga, skuszone obietnicami księcia piekieł! Cielsko człowiecze w rozpuszczeniu się tarza jako w błocie wieprz, podłość drwi z cnót, nad sercem góruje i gardzi koroną niebieską! Szatan jest w was i obok was! Czai się wszędzie! W spojrzeniu bezecnej kobiety, w jej szeptach, w jej chodzie, w waszych myślach i czynach, w waszym zapomnieniu Boga i pogoni za marnościami! Powiada Stary Testament: „Widziałem wszystko, co się dzieje pod słońcem, a oto wszystko marność i ubieganie się za wiatrem. Mówiłem w sercu swoim: pójdę, a rozpuszczę w rozkoszach wszystko, czego żądały oczy moje, nie bronilem im. I obaczyłem we wszystkim marność!...”. O tym pamiętajcie, kiedy odwróceni plecami do Boga zapominacie o mądrości...

— Czekaj, czekaj! — przerwał mu Grabkowski. pilnie przysłuchujący się sprzecze. — I tyś coś zapomniał, klecho, nieuczciwie ich karcisz nauczając przyzwoitości. Zapomniałeś dokończyć ów cytat z księgi Eklezjastyka! Od słowa, na którym urwałeś, dalej idzie tak: „Zwróciłem się, abym oglądał mądrość, i poznałem, iż jednakże jest dokończenie mądrego i głupiego. Cóż za pożytek człowiekowi ze wszystkiej pracy jego. i z udręczenia ducha? Wszystkie dni jego są pełne boleści i nędzy. Widziałem udręczenie, które Bóg dał synom człowieczym, aby się ciągnęli w nim. a żadnego poeieszyciela”... Eklezjastyk mówi, że wszystko jest nicością, i dobro i zło, że nie warto się wysilać, jeden kres cnotliwych i niecnotliwych. tak mówi, przynajmniej mnie.

— Ty zawsze słyszysz co innego niż jest powiedziane! Nic będzie zła bez kary i dobra bez nagrody. Bóg każdego sprawiedliwie osądzi. Sam w grzechu po uszy toniesz i jeszcze innych do lego...

— Nie bój się. Boga to nie zdziwi. Dawno, kiedy młody był jeszcze, bo przecież musiał mieć swoją młodość, interesował się wszystkim, ale od tamtej pory widział wszystko w tyłu odśłonach i powtórkach, że najbardziej chamskie grzechy musiały mu się opatrzyć i teraz, kiedy jest już stary i mądry, pozostała mu tylko nuda i obojętność.

Jest wyrozumiały jak czas, nie obchodzi go, co zrobię ja czy oni, widział to już milion razy. Możesz być spokojny, nie zauważy niczego.

— Mam być spokojny patrząc, jak zamieniasz się w bydlę?

- A dlaczego nie? Dopiero co powoływałeś się na księgę „Eklezjastes”, święty robaczku, a tam stoją jak byk i takie słowa: „Jednakie jest dokończenie człowieka i bydła, i równy stan obojga. Jednakże tchną wszystkie i nie ma człowiek nic więcej nad bydło. Któż wie, czy duch synów Adamowych wstępuje w górę, a duch bydłocy na dół?”.

— To są starodawne błędy...

— Nie. Błędem jest, że się ze mną chcesz mierzyć na znajomość ksiąg, a nie wygrasz w tym. uprzedzam. Tak jak nie wypędzisz chuci z mego cielska i z grzesznych lędźwi tych oto „kruków”, co cię chcą rozdziobać ze złości, że ich

karcisz publicznie. Mnie, na przykład, kobieta potrzebna jest raz na dwa dni, nic nie poradzę na to.

— Czemu się nie ożenisz, by czynić to po bożemu?

— Musiałbym się zakochać.

— Więc czemu tego nie zrobisz?

Grabkowski wzruszył ramionami i odparł tym samym, łagodnym, kapryśnym i sardonicznym tonem, w którym pobrzmiwała nutka nieuleczalnego pesymizmu:

— - Bo robiłem to zbyt wiele razy i wiem, że to mija. Albo ona cię rzuci, albo ty ją, albo znudzicie się oboje, albo znienawidzicie i zaczniecie sobą pogardzać. Na jedno wychodzi, to nigdy nie trwa długo. Ci, którzy się nie rozstają, to udawacze, albo muszą, i wtedy tym gorzej dla nich. Teraz, kiedy wiem, każdą miłość zatruląby mi myśl: i po co te wszystkie słodkie popołudnia i noce w uściskach, zakłęciach i wyznaniach, jeśli dzieli sieje z kimś, kto wkrótce będzie tak samo obcy jak był, zapomniany i przeklęty?

— Sam będziesz przeklęty!

— Ejże! Pamiętam jak rzekłeś, iż będę zbawiony choćbym nie wiem jak się bronił przed tym. A teraz gadasz...

— Gadam i gadam, ale ciebie nie przegadani, w pysku jesteś najmocniejszy, niecnoto! Gdyby się Samson dochował takiej szczęki, to dopiero by bił Filistynów! Jeno, że nie ozór, ale głowa świadczy o człowieku. Głupszyś od każdego ze swych butów!

Dlatego, że wierzę w słowa „Eklezjastes”. iż wszystko podlega marności? To ty jesteś głupi, klecho!

Skoczyli sobie do oczu jeszcze gwałtowniej. Kiss musiał ich kłótnię przerwać, rozpędzając zgromadzonych i nakazując zająć się pracą. Miał wrażenie, iż racja jest przy pisarzu, gdyż wszystko podlega marności, jest nieistotne, chwilowe, przemijające w ogromie dziejów, wszystko, a więc i to, czemu on poświęca resztę życia, ale zimne oko topaza spojrzało nań surowo i przywołało do porządku.

Grabkowski. ten dziwny człowiek, który jeszcze nie umarł, a już przeżył życie za trzech, stary nie wiekiem, lecz doświadczeniem, emanujący znajomością wszystkiego, nieomal dotykalny przesył czynami i zaspokojenie wyczerpaną studnią rozkoszy ziemskich z taką elegancją, że dla wielu chudo zaprzyjaźnionych z życiem stanowiło to wyzywającą zniewagę, ten leniwy sybaryta, który zamknął się przy stole pisarczyka

więziennego, żeby ukryć przed wzrokiem natrętnego świata ów ciemny kącik własnej wyższości, ową każdą pełną wiecznie młodych mamideł złożonych z dumy, ambicji, nadziei i zuchwalstwa, a teraz porażonych rezygnacją - on właśnie stał się zaufanym Kissa. Wystarczyło tylko wziąć pod ochronę godność jego butów.

Buty były pupilami Grabkowskiego. Miał ich wiele, różnych fasonów

i kolorów, a dbał o nie niczym kwoka o swoje pisklaki, twierdząc, że to jedyna rzecz, która odróżnia jego nogę od łapy zwierzęcia, co daje mu poczucie przynależności do wyższego gatunku. Niektóre pary trzymał w kancelarii więziennej pod stołem, zmieniając je przy wychodzeniu na miasto w zależności od pogody lub nastroju. Któregoś dnia Krammer, wrzeszcząc, że kancelaria to nie magazyn szewski, wyrzucił wszystkie buty Grabkowskiego za okno, w kałuże błota. Pisarz spojrzał nań wzrokiem pełnym nienawiści i od razu, z determinacją tak szybką, by strach nie zdążył go powstrzymać, wylał na mundur oberins-tygatora cały inkaust z kałamarza. Ryk, jaki dobył z siebie Krammer, ściągnął do kancelarii kapitana Voeresa i księdza.

— Co się tu dzieje? — spytał Imre.

— To ścierwo oblało mnie złośliwie inkaustem! — zawył Sas. Zgnije w ciemnicy!

— Możliwe, ale niech najpierw powie, dlaczego to zrobił. Grabkowski bez słowa pokazał za okno. Kiss wyjrzał, cofnął głowę do

wnętrza i rzekł:

— Dobrze zrobił.

Oberinstygator zrozumiał, że oto nadeszła próba sił, której wszyscy oczekiwali tak długo. Krzyknął na swoich ludzi, a kiedy do kancelarii wpadło trzech szeregowców z podoficerem, wyszczerzył zęby w stronę pisarza:

— Brać go!

Kiss uzupełnił ów rozkaz, mówiąc:

— Ten, który go pierwszy tknie, będzie lizał swą juchę do Wielkiejnocy, tak zostanie pobity przez moich chłopców.

Żołnierze zamarli.

— Bierście go, łotry! - powtórzył Krammer. — W łańcuchy i do studni! Żołnierze stali dalej bez ruchu, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Gdy

Krammer zaczął okładać ich pięściami i kopać, kulili się i osłaniali, lecz nic nie mogło ich zmusić do wykonania rozkazu. Sas odwrócił się przekrwionymi oczami w stronę Kissa i dysząc ciężko wycharczał:

— Jeszcze... jeszcze zobaczymy!

- Nieprawda, nie zobaczymy już żadnych szykan wobec pana Grabkowskiego, bo ja na to nie pozwolę.

— Jakim prawem?!

— Prawem silniejszego.

Oberinstygator zaklął i zniknął w korytarzu, lecz nim dobiegł do drzwi na dziedziniec, Imre dogonił go i rzucił o ścianę. Byli sami.

— Pozbierasz te buty. panie Krammer. wymyjesz i odniesiesz na miejsce. Jeśli za pół godziny nie będzie to zrobione, moi ludzie oćwiczą cię.

— Co?!... Nie ośmielisz się!

— Już to raz słyszałem, byłem wtedy młody i rzeczywiście nie ośmieliłem się.

Od tamtej pory wydorostałem. Możesz to sprawdzić nie robiąc nic przez pół godziny.

Tylko tyle było trzeba, żeby pisarz oddał Węgrowi swą duszę. Krammer zaś, wypuszczony po umyciu butów, pobiegł ze skargą do Bielińskiego. Marszałek wezwał ich obu następnego dnia i upomniawszy najpierw Krammera, by oględniej traktował podwładnych, zbeształ Kissa ciężkimi słowami. Dopiero kiedy usatysfakcjonowany łajdak wyszedł, Bieliński zmienił ton:

— Po co ci to było, mało masz wrogów?

— I bez tego mnie nienawdził, ekscelencjo.

— Przestań się zachowywać jak błędny rycerz, bo następnym razem zostaniesz prawdziwie ukarany! Ile razy mam powtarzać, żebyście go zostawili w spokoju?!

— Kiedy on nie chce nikogo zostawić w spokoju.

- Ciebie nie ruszał, a buty Grabkowskiego nie są monstrancją, psiakrew!... No dobrze, teraz powiedz z kim się widywał Saldem.

— Z królem, z Branickim... był też u hetmanowej Ogińskiej.

— Po kiego diabła?

— Służba mówi, że złożyć uszanowanie. Przywiózł bogate prezenty.

— Ciekawe... O czym gwarzyli?

— O miłości, ekscelencjo. On jej prawił komplementy jak Filon pasterce, ona śmiała się zachwycona.

— Co ty mi tu pieprzysz, Voeres?!... O niczym innym nie mówili?

— Niestety, ekscelencjo. Znam każde słowo tej rozmowy... Sam się dziwię.

— Z Branickimi długo rozmawiał?

— Dwie godziny. O czym?

Nie wiem.

— Cholera, o duperelkach wiesz, a o tym, co najważniejsze... Tylko mi się nie obrażaj i nie groź dymisją! Czego się jeszcze dowiedziałeś?

— Czegoś ważnego, ekscelencjo. Po raz drugi Saldem wszedł do Zamku przebrany, na rozmowę z Branickimi. Wprowadził go potajemnie hrabia Moszyński.

Brawo! Drugi przyjaciel króla też już w chlewie... Do kompletu brakuje naszego angielskiego gościa.

— Nie było żadnego kontaktu między Saldernem a lordem Stonem. za to mogę ręczyć.

— Mimo to nie spuszczaaj z oczu gagatka.

— Dobrze, ekscelencjo. A co z Casanovą?

— Król nie pozwolił go ruszać. Wczoraj powiedział mi, że sam rozstrzygnie sprawę. A ona mi śmierdzi... czuję Repnina! ...No dobrze, masz tu żołd dla swoich baranków, znowu gamratki się wzbogacą... Acha, powiedz Faludiemu, że chcę go widzieć jutro rano.

— Jeśli go spotkam, ekscelencjo, nie widziałem go już. od dwóch dni. od tamtej masakry. Klął „Basiora” na czym świat stoi.

-- To powtarzał po mnie! Cholera, ja też nie mogę spać przez tego zbrodniarza! Kpi sobie z nas w żywe oczy!

— Ekscelencjo...ja bym z tamtymi zrobił to samo. co „Basior”!

Umówmy się, że ja również, kapitanie, ale moim obowiązkiem jest schwytać „Basiora”! Każdy dzień zwłoki naraża mnie na obelgi moich wrogów. Po tym świniobicu nasłuchałem się tyle złośliwości, że mnie szlag trafia sto razy na dzień!

„Świniobicie”, o którym mówili, miało miejsce po wydarzeniu opisanym w ówczesnych gazetach i w pamiętnikach pewnego Inflantczyka, podróżującego akurat po Polsce:

..Zimą 1766 roku jednego ranka znaleziono ładną dziewczynkę, około lat czternastu mającą, u bramy Saskiego pałacu na pół umarłą. Włosy i odzież miała w największym nieładzie, głowę potłuczoną i sińce po całym ciele. Zaniesiono ją do jednego z sąsiednich domów, cucono, trzeźwiono, tak że przyszła do siebie. Dowiedziano się od niej, że z reduty udała się z młodym jakimś szlachcicem do jego mieszkania, ulegając jego gwałtownym prośbom. Z początku opierała się temu, bo go nieco wprzód widziała przechadzającego się z sześciu czy siedmiu towarzyszami, którzy dziko i grubiańsko dokazywali. Ale gdy ci panowie znikli, dała się nakłonić. Pojechała powozem z tym paniczem do jego mieszkania, ale teraz nie mogła go wskazać nic znając Warszawy, do której niewiele dniami wprzód przybyła. Zaledw ie pięć minut upłynęło, towarzysze tego pana przybyli za nim; najokropniejsze się ich obejście z nią, nieludzkie i okrutne, zmysłów ją pozbawiło, tak że nie wiedziała, jakim sposobem znalazła się w tym miejscu, skąd ją przyniesiono” (tłum. Józefa Ignacego Kraszewskiego).

Dwa dni później do oberży przy trakcie Ujazdowskim weszło kilku ludzi. Pierwszy, słusznego wzrostu mężczyzna o pańskim obliczu, wyjął spod płaszcza garłacz, wymierzył w grupę wesołej młodzieży przy stole z winem i nacisnął spust. Ławy zrobiły się puste i czerwone jak podłoga, na której leżały postrzępione zwłoki sześciu biesiadujących. Jeden z nich, jedyne, który jeszcze żył, wydał głośny jęk, gdy mordercy już wychodzili. Ten, który strzelał, dał znak kamratowi, a ów zawrócił, pochylił się nad rannym i mówiąc: ..Pozdrowienie od «Basiora»!”, przeciął mu gardło nożem. Sprowadzona przez Faludiego dziewczyna, której pokazano zmasakrowane ciała, rozpoznała swoich oprawców.

Imre współczuł Faludiemu, którego zadanie równało się rozkazowi złapania ducha, miał wszakże dość własnych kłopotów, by myśleć o strapieniu przyjaciela zbyt długo. Afera z Krammerem i Grabkowskim,

i będąca jej konsekwencją rozmowa z Bielińskim, nie wprawiły go w szampański humor. Po powrocie do koszar więziennych rzekł krótko Grabkowskiemu:

— Załatwione, Krammer więcej nie będzie się ciebie czepiał.

— Dziękuję, panie kapitanie - odparł pisarz może pan na mnie liczyć.

— W czym?

— We wszystkim.

— Tak?... No to zrób mi tę grzeczność, panie Grabkowski. i przestań napadać ojca Parysa.

— Postaram się, panie kapitanie, chociaż to on wywołuje wilka z lasu.

— Czemu tak nie lubisz księży?

— Bo nie lubię fałszywców.

- Ale ojciec Parys nie należy do nich!

Tak. lecz mi ich przypomina, swoim strojem i swoim gadaniem. Kler to najpodlejsza gadzina w tym kraju! Niby służą Bogu. a rozpiera ich nienasycona żądza dostojęństw, potrzebne im są pałace, ekwipaże. dziwki, karty i setki opłat ściąganych od ludu! Lecz najprzykrzejsze jest to. że ich tyrania sięga świata myśli: trzeba się tłumaczyć przed głupkami w materiach, w których płacze się umysł ludzki! Człowiek narażony jest na wysłuchiwanie nauk, na błogosławieństwa, przygany. kary, pouczenia, ekskomuniki, czasem nawet na spalenie, jak bezrozumna owca!

On właśnie jest od tego najdalszy, służy Kościołowi...

- Tak, temu samemu Kościołowi, który nigdy nie potępił instytucjonalnie niewolnictwa i nie próbował go znieść! Temu samemu Kościołowi, według którego szczęście osiąga się na tamtym świecie, na tym zaś wszystko ma pozostać bez zmian! Wystarczy prześledzić dzieje...

— Zostawmy śledzenie dziejów - przerwał mu Kiss — mnie interesuje śledzenie ludzi. Panie Grabkowski. powiedz mi szczerze, czy to ty śledzisz Krammera dla Bielińskiego?

Pisarz zmartwiał. Otworzył usta i przez chwilę nic nie mówił. Potem zamknął je i odpowiedział:

Po co miałbym to robić? Przecież Krammer to zastępca marszałka.

Nie udawaj durnego! — podniósł głos Imre. Toczy się walka nie o buty, lecz o władzę w tym kraju!

— Możliwe, kapitanie, ale to mnie nie obchodzi. Widziałem wiele władzy na świecie i wiem, że każda władza tylko rozczarowuje.

- Panie Grabkowski, nie wierzę, że ty stoisz na boku.

— Bo pan mnie nie zna. kapitanie. Ja zawsze stoję na boku. Bez przerwy toczy się gdzieś walka, tylko że ja nie wierzę w jej sens, bo znajomość historii mi mówi. że na ogół walczący o ideały mają ze zwycięstwa tyle samo, co kobiety z miłości, poniżenie i gorycz zawodu. Nie mieszam się.

— Dobra — burknął Kiss — pomyliłem się. Zapomnij o tej rozmowie. Jeśli zajdzie potrzeba...

Usłyszał ciężki tupot butów w korytarzu. Do komnaty wpadł zdyszany „kruk”, przyskoczył do Kissa i szepnął mu coś. Imre odpowiedział krzykiem:

— Alarm! Dwójka! Dziesięć minut!... I dawaj tu ojca Parysa!

Dwójka była wariantem planu przygotowanego dla kamienicy na Starym Rynku, w której bywał Turkuł. Do sklepu z przyborami liturgicznymi w parterze tego domu wszedł właśnie lord Stone i zniknął!

Dziesięć minut mieli ludzie z oddziału Kissa na przebranie się w stroje kupców i mnichów. On sam wdział przy pomocy Grabkowskiego strój księdza, drwiąc:

— Teraz i mnie przestaniesz lubić, prawda?

Minął dobry kwadrans nim dzwonek nad drzwiami sklepu oznajmił gościa, który rzekł od progu:

— Laudetur Jesus Christus.

— In saecula. humillimus servus! — odpowiedział kupiec, stary mężczyzna w niemodnym ubraniu, podnosząc okulary znad księgi rachunkowej. — Ach, ojciec Parys! Pozdrowiony!... Już myślałem, że ksiądz choruje albo co, tyle czasu... Jak tam owieczki boże, co pobłądziły pod rękę katowską?

— Ku radości nieba i wszystkich miłosiernych, a smutkowi szatana i sług jego, nie ma ostatnio śmiertelnych wyroków, panie Bracki.

— To i pracy, znaczy się, mniej.

— Deo gratias!2 Wolałbym, żeby jej wcale nie było. Ale cóż, błędzą nieszczęśni, tedy i krótko odpoczywa miecz kata.

— A wyjaw no mi, dobrodzieju, czemu zawdzięczam wizytę? Ubijemy interesik, co?

— Może i ubijemy. Kaplicę nową marszałek chce otworzyć i dwóch jeszcze księży najmie. Obkupić mi ich kazał, a przybytek wyposażyć — odparł Parys, rozglądając się po półkach.

Na najbliższych od wejścia błyszcząły brązowe puszeki komunikantów i pozłacane kustodia do przechowywania zakonserwowanych hostii. Dalej szły srebrne monstrancje, kielichy i relikwiarze. W głębi, na tle błękitnego pluszu, wyrastał las krucyfiksów, beret promienistych, lichtarzy, lampek oliwnych, zwykłych świeczników i latarek. Przepierzenia od zaplecza uczepliły się mosiężnymi wargami kropielnice, kociołki i lavaba, wyżej zaś pyszniły się na podstawkach niklowane kadzielnice i srebrne kinkiety. Po lewej stronie, na wprost wejścia, poszycie z czerwonego jedwabiu dźwigało łódki na kadzidła do trybularzy. puszcзки na święte oleje, oksydowane kropidła, tacki z chińskiego

1 — Na wieki, uniżony sługa.

— Bogu niech będą dzięki!

metalu i wszelaki drobiazg: medaliki, krzyżyki misyjne, różańce z kości i drewna. krwawiące serduszka i szkaplerze.

— Brać i wybrać, u (Irackiego najlepiej i najtaniej! rzekł kupiec, zacierając dłonie gestem zachęty.

— Każda liszka swoje chwali — mruknął Parys. — Zachwalacie, panie Bracki, jak nie przymierzając Żyd.

Wszyscy jesteście Żydami. Żydzi rozsiali swoją krew! — zaśmiał się kupiec. — Czego szukacie, wielebny?

— Sukni mszalnych najpierwej.

— Trzeba było od razu mówić! Chodźmy do składziku.

Weszli na zaplecze, zostawiając otwarte drzwi, aby dosłyszeć dzwonek od wejścia do sklepu. Była to obszerna, sklepiona komnata, z oknem na podwórze. Ze stojaków zwisały rzędy jedwabnych ornatów, komży, złocistych dalmatyk z prawdziwego brokatu, adamaszkowe stuły, tuwalnie z tiulu, trójdzielne sukienki na cyboria i bursy do wiatyku. Na ławach piętrzyły się wzorzyste kapy z aksamitu i mory, bogato szamerowane złotem, haftem i kolumnami w różnych kolorach, antypendia haftowane w kwiaty lub liście winogrodu, baldachimy z jedwabnego adamaszku z frędzlami, a także stopy bielizny, pachnących wonią świeżego płótna obrusów, ekranów zwanych „umbracula”, wytłaczanych płócien „bordeaux” i zielonego pluszu. W kątach stały wyniosłe krzyże procesyjne. ciężkie lawaterze i wieloramienne kandelabry, a z belki biegnącej przez oś sklepienia opadały metalowymi gronami firnizowane i złoczone pajaki.

Nagle jęknął dzwonek. Kupiec cofnął się i ujrzał drugiego księdza. Nim odpowiedział „in saecula saeculorum”, Parys przedstawił przybyłego:

— To mój pomocnik, ksiądz Koszera... Dobrze, żeś przybył, bo trza mi porady, iście bogaty wybór u pana Brackiego.

Zaczęli przeglądać. Delikatne ręce Parysa z lubością ujmowały obszyte koronką pałki z Inianego płótna, haftowane korporały, humerały, puryfikaterze, ręczniki i koloratki. Co obejrzał, podawał drugiemu księdzu, w którego wielkich, czarnych rękawiczkach rażące oko swą bielą alby, batystowe komeżki, morowe pasy, manszety, kołnierzyki, szarfy i kaszmirowe birety zdawały się ulegać sprofanowaniu, pobrudzeniu i zmięciu.

Znowu przemówił dzwonek, zwiastując dwóch smutnych mnichów, i znowu ksiądz Parys wyjaśnił:

— To też moi... wejdźcie, braciszkanie.

Drzwi za nimi jeszcze się nie zamknęły, gdy stanął w nich domokrażny handlarz w towarzystwie kilku zakonników. Właściciel sklepu zrobił krok w stronę gdańskiej szafy, ze szczytu której zwisała krótka linka zakończona mosiężną rączką, lecz wyprzedził go ostry głos Kissa:

Nie dotykaj tego dzwonka, człowieka, i nie kop butami w szafę lub podłogę, bo skrócisz sobie żywot!

Dwaj mnisi błyskawicznie wykręcili kupcowi ręce i zatkali mu usta. Trzej inni zamknęli drzwi na klucz i zasłonili witrynę czarnym obrusem. Ksiądz Parys uczynił to sarno z oknem od podwórza. Imre podszedł do kupca i powiedział:

— Mam mało czasu, nie oszukuj mnie, twoja gra się skończyła. Zapomnij o przysięgach, które dałeś, przypomnij sobie, że żyjesz tylko raz. Z grobu nikt cię nie wydobędzie. Skłamiesz, to umrzesz w męczarniach, a twoje dzieci pójda żebrać. Wybieraj!

Kupiec opuścił powieki na znak zgody, a kiedy zdjęto mu knebel, powiedział prawdę. Potem otworzył szafę i zapukał do drzwi w tylnej ścianie, a gdy ukazała się w nich twarz strażnika, rzekł:

— Wejdz no, przesyłka jest.

Kiss powtórzył strażnikowi to, co przedtem usłyszał kupiec, ale siny z wysiłku drab tylko zaklął i próbował wyrwać się mnichom. Zmiękł po kilku mocnych uderzeniach w brzuch, gdy mu ramię wykręcono tak, że omal nie wypadło ze stawu. Z pętlą na szyi poprowadził ich schodami w dół, do piwnicy, w której zaczynał się podziemny loch. Ksiądz Parys został w sklepie, a kilku „kruków” na zewnątrz, z rozkazem przytrzymania każdego, kto dotknie klamki.

Zniewolonemu strażnikowi Kiss rozkazał zdjąć buty. On sam i jego ludzie szli w specjalnych łapciach tłumiących kroki. Po kilku minutach łapcie nasiąkły stęchlą wodą zalegającą dno lochu. Posuwali się w zupełnym milczeniu, trzymając za ręce. Na przodzie kroczył „kruk” z latarnią, stawiając nogi ostrożnie jak bocian i macając przed sobą kijem, chociaż strażnik przysięgał, że na trasie nie ma pułapek. W pewnej chwili znaleźli się w piwnicy rozświetlonej małym, zakratowanym oknem, które wisiało na ścianie pod sklepieniem. Na murach. Bóg wie dlaczego, pełno było napisów: imion, zaklęć i przekleństw. Ponownie weszli w ciemny korytarz spadający w dół. Dotarli nim do szerokich drewnianych schodów. Imre przybliżył zegarek do płomienia, minęło pół godziny. Schody kończyły się podestem i drzwiami z ciężkich bali umocnionych za pomocą żelaznych sztab.

— To tu — szepnął strażnik.

- Przyjacielu — odszepnął mu Kiss — jeśli skłamałeś, jeśli tam, w kuchni, będzie więcej niż jeden człowiek, to ta minuta jest ostatnią w twoim życiu.

— Panie, przecież mógł ktoś wejść!... Skąd mogę wiedzieć?! — Módl się!

Strażnik zastukał w umówiony sposób. Usłyszeli zbliżające się kroki

1 pytanie zadane chrapliwym basem:

— Kto?!

— To ja. Żuber, otwieraj!

Zazgrzytała zawiasa i drzwi uchylły się bez szmeru. - Co jest?

— Kuferek.

Drzwi otwarły się szerzej i stanął w nich człowiek tak gruby, iż wydawało się, że nie przejdzie przez nie.

— Dawaj!

— Pocałuj mnie! Zostawiłem pod schodami, zawołaj kogoś, niech weźmie.

— Jestem sam!

— To twoje zmartwienie. Baryła. Ja targałem od sklepu, rąk ni grzbietu nie czuję. Wracam, a ty się podźwigaj na schodach.

— Zaczekaj, sobaczy synu! — burknął grubas. Poświecisz! Przecisnął się bokiem przez odrzwia i na skroń spadło mu uderzenie drewnianej pałki.

Imre przebiegł kuchnię i wsadził oko w szparę kotary oddzielającej sąsiednią izbę. Była pusta. Zza zamkniętych drzwi w przeciwległej ścianie dochodziły wrzaski, ktoś krzyczał na kogoś, zagłuszając wszelkie odgłosy. „Mam szczęście — pomyślał - aż za dużo. Za gładko to idzie!”. Wydał swoim ludziom rozkazy; dwóm kazał iść za sobą. Weszli do drugiej izby. Dał im znak, by czekali przy kotarze, a on sam na palcach podszedł do drzwi i przyłożył ucho. Pierwsze słowa, które złowił, wprawiły go w zdumienie — były to te same słowa, jakie dopiero co usłyszał w gabinecie Bielińskiego. Jakiś mężczyzna ryczał:

—... dlatego przestań się bawić w błędnego rycerza, cholera jasna!

Ktoś, do kogo było to skierowane, nic nie odpowiedział. Nie mógł to być lord Stone nie znający słowa po polsku, więc gdzie jest ten przekłety Anglik?! A może siedzi tam i przysłuchuje się? Krzyżący wznosił reprimendę:

— „Wilk”, czy ty naprawdę nie pojmujesz, że żadne szczęście nie trwa wiecznie? Kiedyś wpadniesz, a wtedy i my wpadniemy, wymęczą z ciebie wszystko! Po jakiego czorta kuszysz los takimi idiotyzmami? Po co ta jatka?! Nudzi ci się? Niedługo będziesz miał aż za dużo roboty, ale nie takiej bezsensownej, obiecuję ci!

Znowu odpowiedziała mu cisza i musiała podnieść jego gniew, bo znowu ryknął:

— Słuchaj, czasami myślę, że ty jesteś chory, naprawdę! Leżysz w biały dzień do karczmy i rozwalasz jakichś gówniarzy, po co?! No powiedz, po co?!

Ten drugi odezwał się wreszcie, zimnym, metalicznym głosem (Imremu zdawało się, że zna ten głos, ale nie mógł go z nikim skojarzyć):

— Chciałem się tylko napić wina. Ale oni zajmowali stół, który mi się podobał.

— Kpisz sobie!

Daję słowo. Jak mam pragnienie, to się robię okropnie nerwowo... Dwóch rzeczy nie lubię na tym świecie. Jak ktoś mi zajmuje miejsce, które mi się podoba, i jak ktoś się na mnie wydziera!

Nie strasz, „Alex”\ mam twoje strachy w zadku! - wrzasnął pierwszy głos. — Zachowujesz się jak szczeniak i na Boga skończ z tym! Skończ od zaraz!

Kiss sprawdził swoje pistolety i dał obu mnichom znak. by zaczekali. Potem nacisnął klamkę kolaniem, pchnął z całej siły i przestąpił próg. mierząc z dwóch luf w dwie nieruchome głowy, przerażoną, z wytrzeszczonymi oczami, głowę nieznanego brodacza, i elegancką, spokojną głowę... lorda Stone’a! Rozwarte gwałtownie skrzydło drzwi odbiło się od ściany i powoli wracało za karkiem Kissa do położenia pierwotnego, aż zatrzasnęło się.

— Pozwolisz, milordzie, że się włączę do dyskusji — zakpił po angielsku.

— Moim zdaniem pański towarzysz ma rację, żadne szczęście nie trwa wiecznie.

— You're welcome! — odparł Wilczyński. robiąc zapraszający ruch ręką.

— ... Pewnie przybywasz z ostatnim namaszczeniem, a przedtem zechcesz mnie wypowiedać. Tylko najpierw przedstaw się, święty mężu, bo ty mnie znasz, a ja ciebie nie, a z nieznanymi nie rozmawiam. Kim jesteś?

— Jestem królem polowania, czy tego nie widać?... To zachwycające, nigdy nie przypuszczałem, wasza lordowska mość, że polując na brytyjskiego arystokratę można ustrzelić polskiego wilka... Rączki! Rączki na stole, milordzie, słowo króla polowania, że nie zdążysz!

Wilczyński spojrział na Rybaka, którego twarz umierała od klęski, i wybuchnął szyderczym śmiechem.

— Koniec, mądralo! — powiedział. A wiesz dlaczego? Bo ten klecha, który jest takim księdzem, jak ja lordem, miał lepsze pieski od twoich i więcej oleju w głowie, chociaż taki jesteś uczony, że innym udzielałeś nauk! Przejechaliśmy się obaj, bo obaj jesteśmy głupcami, aleja i tak jestem przy tobie Sokratesem!

Rybak nawet nie odwrócił głowy w jego stronę. Siedział skurczony w sobie, z twarzą skupioną i mroczną, tak silnie zwierając zęby, jakby chciał wbić górne w dolne. Zastanawiał się, czy nie skoczyć na intruza i nie przyjąć obu kul, gdyby szczęście dopisało, na kuloodporną kamizelkę, którą zawsze nosił pod wierzchnim ubraniem, ale tamten musiał to wyczuć, bo podniósł króciwą i pogroził mu nią jak palcem:

— Nie rób tego, dziadku, chyba że chcesz, abyśmy cię wynieśli na noszach! W nogi trafiam równie dobrze jak w łeb, a przestrzelone kolano strasznie boli!... No to jazda, panowie, idziemy! Zapraszam do mnie, na święcenia.

Kiedy to mówił, Rybak patrzył na jego dłonie w czarnych rękawiczkach: wszystkie palce lewej były zwarte na kolbie, w prawej tylko cztery — piąty odstawał sztywno jak przszyty kikut! Piorunująca iskra przewierciła ciało żebraka. Szansa jedna na tysiąc, ale jakieś rozpaczliwe przecucie podpowiadało mu, że stał się cud. Odchylił się na siedzeniu i udzielił Wilczyńskiemu odpowiedzi:

— Mylisz się. „Alex”. Przegraliśmy we trzech, a największym z nas głupcem jest ten. co tu stoi i mierzy do nas. To Węgier, który szuka tego samego, co my.

1 Angielskie powitanie, mniej więcej: Jesteś mile widziany; Prosimy bardzo; Czuj się jak u siebie w domu. itp.

Zaczął bardzo szczęśliwie, tylko że żadne szczęście nie trwa wiecznie. Miał po prostu pecha - wykończył jedynych dwóch ludzi, którzy mogli mu pomóc.

Cała porażająca elektryczność z ciała Rybaka przeskoczyła w ciało Kissa. Omal nie zachwiał się. jakby podłoga drgnęła mu pod nogami.

— Czego szukasz? — spytał brodacza.

— Czegoś różowego, panie Kiss, o czym ty wiesz dużo. a ja też trochę — odparł uspokojony żebrak. — Razem znajdziemy szybciej. Nie zabija się sojuszników przed bitwą.

— Za późno — powiedział Kiss — muszę was aresztować.

— To tak jakbyś aresztował swoje plany — rzekł Rybak. — Beze mnie nie znajdziesz!

— Ciebie nikt nie zna, możemy zrobić układ — zgodził się Kiss. — Ale zapłacisz jego osobą. Muszę mieć „Basiora”!

Rybak nic nie odpowiedział i zrobiło się bardzo cicho. Obaj patrzyli na Wilczyńskiego i obu zachwycał jego marmurowy spokój. Nagle „Basior” skierował kpiący, badawczy wzrok na przyjaciela i żebrak odwrócił oczy.

— Nie! — powiedział zdecydowanie, pewny, że dla człowieka o czterech palcach purpurowe srebro jest ważniejsze od wszystkiego. — Dostaniesz za miesiąc innego „Basiora”, który zginie od wybuchu i będzie miał twarz tak poharataną, że nie do rozpoznania. To albo nie!

Imre zaczął gorączkowo myśleć: jego „kruki” nie widziały tutaj lorda Stone'a i nie wiedzą, że on i „Basior” to ten sam człowiek. Było jeszcze tamtych dwóch... i kupczyk! Na szczęście nie powiedział marszałkowi o tej kamienicy, ale ryzyko straszne, wszystko się może zawalić! Lecz jeśli ich aresztuje?... Zbyt wiele o nim wiedzą... I wiedzą o purpurowym srebrze! Nie, nie może ich aresztować. Otworzył drzwi i krzyknął:

— Dawać tu tego... Baryłę i tego drugiego! Szybko! I przyprowadźcie mi kupca, chcę ich skonfrontować!

Przepuścił grubasa i strażnika przez próg bacząc, by jego ludzie nie zajrzeli w głąb komnaty. Potem zaczęło się czekanie. Czas rozciągał się jak kropla żywicy spływająca po korze drzewa, a każdy z nich, zatopiony we własnym milczeniu, odczuwał tę samą niepewność. Imre pojął, że to, co się stało, musiało się stać. bo całe proroctwo rotmistrza Sandora Kissa, aż do najdrobniejszego szczegółu, zostało zapisane w przeznaczeniu, w zimnym blasku topaza. i że dlatego nie wolno mu być nieposłusznym wobec kamienia, nawet gdy ryzykuje własną głową. „To proroctwo tkwiło w nim jak stalowa sprężyna rozwijająca wolno witalne.zwoje...”.

Przyprowadzono kupca i Imre zamknął drzwi.

— Jest tu inne wyjście? — spytał.

Rybak w odpowiedzi pokazał mu drabinę prowadzącą na strych.

— Uciekajcie, tylko chyżo, bo moi ludzie dobrze ścigają! I cichoooo!... Ja sam narobię hałasu.

— Gdzie cię szukać? — spytał Rybak.

— Jestem kapitanem „kruków” Bieliriskiego, nazywam się Imre Voeres. V o e r e s!

Gdy ostatni z nich zniknął w czeluści strychu. Kiss odczekał trzy minuty, zadając głośno pytania, potem nagle wystrzelił, przewrócił drabinę na drzwi, ryglując je tak, jakby przypadkiem spadła w tę stronę zrzucona przez uciekających, wreszcie podszedł do ściany i walnął się czołem o krawędź belki, tracąc przytomność.

Po południu, leżąc z obandażowaną głową w pokoju księdza Parysa, przemówił do swoich ludzi:

— Jeśli któryś z was nienawidzi mnie i chce się mnie pozbyć stąd, teraz jest najlepsza okazja, taka, jaka się już nie powtórzy. Niech idzie do marszałka, albo tylko do Krammera, i opowie mu jak głupio dałem się podejść, jak przez moje niedołęstwo ptaszki wyfrunęły. Wtedy na pewno dostaniecie nowego dowódcę. A teraz zostawcie mnie samego.

Wyszli w ponurym milczeniu, czując się tak, jakby miał nimi zawładnąć kobiecy płacz. W izbie broni najstarszy z nich, Pałubiec-Gąsienica, jednooki mocarz ze zbójników tatrzańskich, trzykrotnie w życiu skazany na śmierć, przy czym raz ułaskawiony, dwukrotnie zaś urwany z szubienicznego sznura, rzekł:

— Ja wam ino tyła powiem, co kaby klóry za swoim interesickiem wyprzedal jego. to ja takiemu sam dopiro piknie podziękuje, syćkie kościcki mu galanto pogrucham ciupażką! Chociaby plugawiec do klastoru sie zamknął, kicj to Włosysko, co Branickiego ciachnęło, jo go naleze! Haj!

„Włosysko. co Branickiego ciachnęło”, wyszło w końcu z klasztoru, by dowiedzieć się, że z rozkazu królewskiego ma opuścić Polskę. Czytamy w memuarach Casanovy:

„Monarcha, któremu pragnąłbym oddać zupełną sprawiedliwość, dawał niestety posłuch oszczercom (...). Nie posiadając się z gniewu i nie bacząc na konsekwencje, napisałem do króla, że honor mój wymaga po mnie. bym jego rozkazom nie był powolny. (Wierzyciele moi, Najjaśniejszy Panie pisałem — nie wybaczą mi gdy opuszczę Polskę nie zapłaciwszy, eom winien, dlatego tylko, że Wasza Królewska Mość mię wygnał»(...). Nazajutrz z rana hrabia Moszyński przyniósł mi tysiąc dukatów. Oznajmił mi, że król nie wiedział, iż jestem w potrzebie, a że ocalenie życia jest rzeczą większej wagi, przeto Jego Królewska Mość rozkazuje mi Warszawę opuścić, bo gdybym został, to przejeżdżając się po nocy albo idąc w dzień pieszo, narażałbym się na niebezpieczeństwo, którego na dłuższą metę nie dałoby się uniknąć (...). Zaraz nazajutrz popłaciłem długi w sumie około dwustu dukatów i przygotowałem wszystko na następny dzień, by w towarzystwie hrabiego Clary wyruszyć do Wrocławia”.

Nigdy już nie wrócił do Polski, wiedząc, że powrót kosztowałby go życie. Dokonał tego życia w północnych Czechach, w zamku Dux. na łaskawym chlebie i pod ochroną hrabiego Waldsteina. Zajmował się tam głównie pisaniem, a sporo tego, co napisał, dotyczyło Polski, m. in. „Historia rozruchów w Polsce...”, której kartę tytułową zdobiła alegoryczna rycina z białym koniem (Polska), trzymanym na wodzy przez trzy czarne orły (czyli przez zaborców).

O tej tajemniczej książce pisał nasz historyk, Kazimierz Chłędowski:

„Książki tej. napisanej w siedmiu częściach, wyszły z druku tylko trzy tomy, które się stały tak wielką bibliograficzną rzadkością, że o ile wiemy, istnieją tylko cztery jej egzemplarze (...). Dalszy ciąg dzieła pozostał w rękopisie. Czy jednak ten rękopis dotąd istnieje, nie wiadomo”.

Rękopis ów, znajdujący się początkowo w archiwum w Gorizii i stamtąd jakąś nieznaną ręką wykradziony, zawierał m. in. fragmenty o purpurowym srebrze, o którym Casanovą miał informacje z dwóch źródeł: od niemieckich różokrzyżowców i od biskupa Załuskiego (Załuskiemu za tę niepożądaną wiedzę Repnin wystawi w przyszłości straszliwy rachunek do zapłacenia). W pamiętnikach Casanovy jest nikły tego ślad:

„Schroniłem się do biblioteki biskupa kijowskiego. Załuskiego. który szczególną skłonność powziął ku mojej osobie. Przepędzałem u niego wszystkie prawie przedpołudnia i od tego to prałata dostałem autentyczne dokumenty, dotyczące wszystkich intryg knowanych celem obalenia dawnego ustroju polskiego, którego biskup był jednym z głównych filarów”.

Nie zapomniał też o „milczącym psie” skaptowanym przez Repnina, mawiał na starość:

— Ja wprawdzie nie urodziłem się szlachcicem, ale się sam uszlachciłem przestrzelając brzuch hetmanowi koronnemu w Polsce.

W „Pamiętnikach” znajduje się bezlitosna cenzura Branickiego: „Ten Branicki, w całym narodzie nie lubiany, uchodził za Kozaka, który dorobił się fortuny, a naprawdę nazywał się Branecki (...). Jakkolwiek rzecz się miała — mój Branicki był duszą stronnictwa rosyjskiego, głównym filarem innowierców i wrogiem wszystkich, którzy nie chcieli ulegać wpływowi wielkiej Katarzyny ani cierpieć, by Rosja gwałciła dawny ustrój Polski”.

Giovani Giacomo Casanovą, kawaler de Seingalt. przebywał w Polsce bardzo krótko (przyjechał 10 października 1765). ale jak mówi stare polskie przysłowie: „Więcej gość za godzinę w cudzym domu ujrzy, niż gospodarz za rok”.

Od horyzontu ciągną nisko czarne chmury, nasuwające się na kłębowiska krzewów. Zapada zmierzch. Coraz mniej widać, wieża zamienia się w: wielkie Ucho. Otacza mnie szmer rzeki... Woda płynie w milczeniu, a jednak słyhać ją. tak jak słyhać milczącą muszlę, kiedy przyłożysz ją do skroni. Płonące w ciemnościach za rzeką światła miasła wyglądają niczym świątynie na dnie morza. W setkach domów mieszkańcy przygotowują się do Wielkiejnocy 1766 roku, którego pierwsze miesiące zajęły mi tyle stron. Coraz ciszej. Noc wisi nad domami jak nieszczęście, jak góry, jak tchórzostwo. Słyszę tylko głos obłąkanego skrzypka spod kolegiaty, który wraca do domu Krakowskim Przedmieściem, zmęczony całodzienną zebraniną, i wrzeszczy:

— A tego Chrystusa, co go Żydy zamordowały, to trzeba co roku od nowa mordować, bo on, cholera, co roku zmartwychwstaje!

Głos starca niesie w ulice i zaułki miasta, płosząc ostatnich przechodniów, którzy mijając się chcieliby splunąć mijanym w oczy, ale nie czynią tego wiedząc, że tamci marzą o tym samym.

Tom drugi WIEŻA

Płomień jej, jak pogrzebowa lampa nad mogiłą,
Ciągły i niewidzialny rzuca blask po ziemi;
I chłodna noc rozpaczy jego nie zaciemni,
Chociaż sam tak lśni martwo, jakby go nie było”.

(Byron, „Śpiew z Wieży”, tłum. Julian Kossak).

Wstęp

(Krótki traktat o sekretach purpurowego srebra i o „milczących psach”, rzucony na tło sytuacji politycznej i społecznej Polski w XVIII wieku).

„Lecz ten, co ruszał, sznur trzymając,
 Marionetkami krajów licznych,
 Wiedział co czyni nasyłając
 Opary mgły humanistycznej (...).
 Warszawo, więc i ciebie zmusił
 I dumnych synów twych, Polaków,
 Do drzemki stek nasłanych z Rusi
 Wojskowych mydłków i prostaków? (...).
 Latarnie, szwargot, pejsy długie —
 I oto w chorym mżeniu ranka
 Polska — podwórko Rosji drugie...
 Wichrom na łup wydane zdradą; (...).
 W letargu dźwiga swoje brzemię
 Lud zagubiony w cichych polach.
 Jeno po renegacie-synu
 Matka przez całe noce płacze,
 A ojciec wroga w głos przeklina,
 (Co starzec może jeszcze stracić?...).
 Ich syn ojczyznę zdradził skrycie”

(Aleksander Błok, fragmenty „Odwetu”, tłum. Adam Galis).

Przekupstwo lub, jeśli ktoś woli, korupcja — zjawisko równie stare w dziejach człowieka jak prostytutka i okrucieństwo — nosi dzisiaj, w zależności od strefy geograficznej i semantycznych dziwactw poszczególnych narodów, wiele malowniczych, bardzo od siebie różniących się nazw. Przykładowo w Ludowej Republice Konga (dawne Kongo Brazzaville) zwą je *matabisze* (pojęcia nie mam co to znaczy), w Meksyku mówią *la mordita* (ukąszenie), we Włoszech posługują się terminem *bustarella* (mała koperta), w Nigerii używa się pojęcia *dash* (skok), w Indiach stosują określenie *back handler* (cios na odlew), we Francji, gdzie prawdy szuka się w winie (*in vino veritas*), utarło się wyrażonko *pot-de-vin* (dzbanek wina), w Anglii *graft* (szufla lub przeszczep ogrodniczy), a Japończycy przywiązani są do miana *kuroi kiri* (czarna mgła).

Istnieją na świecie tylko trzy kraje, w których zjawisko to określane jest identycznie — tylko w tych krajach potocznym synonimem przekupstwa jest czasownik *s m a r o w a ć*: w Polsce, w Rosji (*podmazat'*) i w Niemczech (*schmierem*). Skąd ta zgoda? Nie jestem pewien, lecz wydaje mi się, że źródeł owej zadziwiającej jedności należy szukać w zakamarkach faktu, iż te trzy narody związała historia najstraszliwszego środka korupcyjnego w dziejach człowieka, purpurowego srebra. Niemcy mieli je, utracili na rzecz Rosjan i potem czynili wszystko, by je odzyskać,

Polacy zaś odczuwali skutki tego pojedynku na własnej skórze. Interesy Zachodu na Wschodzie i Wschodu na Zachodzie zawsze ślizgały się jak papier ścierny po ciele krwawiącej Polski. Tak to jest kiedy się mieszka w przechodnim pokoju.

Rodowód purpurowego srebra — od jego powstania do połowy XVIII stulecia — zamieściłem we wstępie do tomu I „Milczących psów”. Tam też wyjaśniłem różnicę między korupcją polityczną, realizowaną dzięki nadnaturalnej sile tego szatańskiego metalu, a zwykłym przekupywaniem ludzi złotem.

O niezbędnym warunku — o cichej elitarności „milczących psów” i obowiązującej ich mimikrze — mówiła Katarzyna II Wielka, dając lekcję Repninowi przed wysłaniem go na ambasadę warszawską:

— „Milczący pies” winien być wzorem patriotyzmu. Nie musi szczekać na Rosję, gdyż wszelka ostentacja jest głupia. A więc tego nie powinien. Zaś czego innego mu nie wolno. Nie wolno mu rzucać pochwał na Rosję!

To dlatego, gdy generał Franciszek Ksawery Branicki, najpierw zaciekły wróg Rosjan, a po przekupieniu purpurowym srebrem jeden z czołowych „milczących psów” doby stanisławowskiej w Polsce, zaczął się po pijanemu chwalić: *Je suis Russe!* (Jestem Rosjaninem!), faworyt Katarzyny, Potemkin, zbeształ go koszarowymi słowy i tak to wyjaśnił swoim zdziwionym adiutantom:

— Dobry pies nie szczeka kiedy kradnie!

Branicki po reprimendzie od Potemkina wygłosił na sejmie polskim kilka płomiennych mów patriotycznych, ale największy dowód swego patriotyzmu dał kłócąc się z carskim posłem Stackelbergiem. Dzięki temu mógł spokojnie spiskować przeciw ojczyźnie, doprowadzić ją do całkowitej zguby i na starość cynicznie powtarzać:

— Nie jestem cudzoziemcem, bom się w Polsce urodził. Nie jestem Polakiem, bo Polski nie ma.

W nagrodę za swe usługi otrzymał m. in. buławę hetmana wielkiego koronnego oraz rękę przypuszczalnej nieślubnej córki Katarzyny II, Aleksandry Engelhardtówny, rzekomej siostrzenicy księcia Grigorija Grigorjewicza Potemkina, nadzorcy polskich „milczących psów” w ostatnim dwudziestoleciu XVIII wieku, wielkiego szulera w grze politycznej.

Wróćmy do przekupstwa, z którego carat uczynił w XVIII wieku motor napędowy swej zaborczej doktryny. Przedstawicielom dyplomatycznym Rosji w Polsce nieustannie o tym przypominano; klasycznym dla tych rozkazów jest reskrypt, który 4 września 1766 roku wyszedł z Petersburga do ambasadora Repnina w Warszawie: stoi tam czarno na białym, że wśród wielu środków niewolenia Polski pierwszoplanowym jest przekupstwo, zwłaszcza przekupywanie polskiego sejmu, bez którego postanowień nic w Polsce nie mogło się dziać (*posredstwo dzienieznoj korrupcji na miestie, wposelskoj Izbie, wygodnieje budiet'*).

Doktryna Katarzyny wykluczała przekształcanie Polski w rosyjską gubernię, m. in. dlatego, że układ sił politycznych w Europie uniemożliwiał Rosji zagarnięcie całego Lechistanu — trzeba by się było dzielić z Prusami i z Austrią, a więc wziąć jedną trzecią zdobyczy. Jedna trzecia — jak wyliczono nad Newą — to mniej niż całość, którą Rosja może mieć, co prawda nie w sensie formalnym (granicznym), ale faktycznie, dzięki dominującym wpływom w polityce wewnętrznej i zewnętrznej kraju,

którym będą sterować „milczące psy”. Taki układ, z czego doskonale zdawano sobie sprawę, nie byłby w żadnym stopniu mniej korzystny, a nawet posiadałby pewne plusy z punktu widzenia rosyjskiej racji stanu na arenie międzynarodowej.

Z kolei Prusy, dysponujące złotem, ale prawie pozbawione purpurowego srebra, miały w tej grze dwie możliwości: albo ukraść Rosji srebrny skarb i próbować samodzielnie opanować Polskę według analogicznej doktryny (co należało raczej do sfery marzeń), albo też zmusić Rosję do rozbioru Polski na części i zagarnąć jedną z nich. Konflikt dwóch mocarstw, zainicjowany w końcu siódmej dekady XVIII wieku, będzie więc historią wysiłków Rosji, by utrzymać całe zniewolone państwo polskolitewskie w swoim ręku, oraz składających się z kolejnych prowokacji kontrwysiłków Prus, by zdruzgotać doktrynę Katarzyny.

Los był złośliwy dla Prusaków. Marząc o odebraniu Rosji purpurowego skarbu nie wiedzieli, że mogą sami wyprodukować identyczny sezam. Jak bowiem pamiętamy ze wstępu do tomu I „Milczących psów” — królowie pruscy posiadali, w spadku po Krzyżakach, dwa srebrniki z pierwszych trzydziestu, którymi kapłani żydowscy zapłacili Judaszowi (a dokładniej z dwudziestu siedmiu, którymi opłacono Rolę Krwi, Halcedamę). Każdy z tych „źródłowych” srebrników był silniejszy od rosyjskich, miał bowiem nie tylko większą moc korupcyjną, lecz także właściwość udzielania swej siły zwykłym srebrnym monetom, tak jak to się stało w skarbcu Faryzeuszy. Ale Prusacy nie znali owego sekretu — ścigało ich dotyczące tej tajemnicy przekleństwo Starca z Gór. Sądząc tedy, że stać ich na srebrne przekupienie tylko dwóch ludzi, chronili obie halcedamskie monety, czekając na takich dwóch Rosjan, przy pomocy których, uczyniwszy z nich zdrajców, mogliby wykraść Rosji cudowną broń lub Przynajmniej przeważyc szalę polityczną na swoją stronę w sposób zasadniczy.

W latach sześćdziesiątych XVIII wieku, gdy gra o Lechistan weszła w stadium decydujące, Fryderyk Wielki (osobiście, nie informując o tym ministrów) zaryzykował — otworzył najtajniejszą ze swych sakiewek i jeden z dwóch halcedamskich srebrników zmienił właściciela. W sakiewce Prus pozostał ostatni już pieniądź z Halcedamy, ale dzięki ruchowi „wielkiego Fryca” sytuacja na szachownicy przestała być dla niego beznadziejna. Miał odtąd na dworze Katarzyny wpływowego agenta, który go informował o każdym posunięciu Rosjan. Człowiek ów kontaktował się z dworem pruskim za pomocą szyfrowanych listów (po francusku) do osobistego sekretarza Fryderyka, Augusta Eichela, lecz nawet Eichel nie znał jego nazwiska — tajemnica tego agenta spoczywała wyłącznie w królewskim mózgu (cytat z „Testamentu politycznego” Fryderyka: „Mam tylko jednego sekretarza i mam pewność, co do jego wierności, lecz największe z mych tajemnic zamykam w sobie samym”).

Już w połowie roku 1766 prawa ręka Katarzyny w sprawach zagranicznych, baron Kaspar Otton von Saldem, oznajmił carycy, że według jego przypuszczeń jeden z rosyjskich ministrów jest szpiegiem pruskim. Wyniósł takie przekonanie po oficjalnej wizycie w Prusach i po kilku audiencjach na berlińskim dworze, gdy brat i pomocnik dyplomatyczny Fryderyka, książę Henryk, napomknął mimochodem podczas gorącej wymiany zdań o sprawie, która była ścisłym sekretem elity rządu rosyjskiego. W konkluzji Saldem proponował zdymisjonowanie kilku członków gabinetu przejawiających polityczne tendencje prorpuskie, oskarżając ich o prusofilstwo, które zaszczerpił im nie żyjący już małżonek Katarzyny, Piotr III, zakochany we Fryderyku

Wielkim nad wszelki rozsądek. Caryca odrzuciła propozycję, pewna, że jest to kolejne posunięcie Salderna w walce z jego oficjalnym zwierzchnikiem, prezydentem Kolegium Spraw Zagranicznych, hrabią Paninem, dążącym do współpracy z Prusami, czemu Saldem i Bestużew byli kategorycznie przeciwni.

Kłótnie między jej najbliższymi współpracownikami stanowiły jej gwarancję bezpieczeństwa, bo „gdy wszystkie marionetki należące do lalkarza przyjaźnią się między sobą, wtedy kiepsko z nim” (w cytowanej wersji słowa te wypowiedział sam Saldem w rozmowie z ambasadorem Repninem w Warszawie). Mimo to doniesienia Salderna nie zlekceważyła zupełnie (tym bardziej, że zaraz potem umarł „nagle” prusofob Bestużew) — od tej pory najtajniejsze posunięcia uzgadniała tylko z nim, co Panina, Orłowa, Neplujewa, Czemyszewa, Golicyna i resztę jej współpracowników doprowadzało do bezsilnej furii. Szczególnie denerwujące było dla nich, że Katarzyna i Saldem, oboje niemieckiego pochodzenia, porozumiewają się w trakcie obrad rządu holsztyńskim dialektem, z szybkością, która uniemożliwiała zrozumienie nawet tym, którzy nauczyli się niemieckiego.

Fryderyk Wielki zdawał sobie sprawę, że ofiara jaką uczynił z halcedamskiego srebrnika nie musi przynieść sukcesu — w każdej grze jest ryzyko. Czekał, uzbroiwszy się w cierpliwość i wierzył w swą szczęśliwą gwiazdę. Aby nie czekać bezczynnie, robił też wszystko, by przez swoich ludzi odnaleźć purpurowy skarbiec, o którym wiedział tylko, że jest ukryty gdzieś w głębi Żmudzi. To samo zresztą zaprzętało myśli pewnego odłamu niemieckich różokrzyżowców, którzy wysłali w roku 1765 nad Wisłę kawalera de Seingalt (został on wyrzucony z Polski przez Rosjan, lecz jego mocodawcy nie zrezygnują i później przyślą nowego agenta, hrabiego Cagliostro), oraz saską rodzinę Brühlów, nie mówiąc już o Węgrze pragnącym odnaleźć Judaszowe srebro. Myśliwych było więc wielu i to od dawna, dlatego Rosja, odkąd tylko zawładnęła purpurowym skarbem, przedsięwzięła szczególne środki w celu uniemożliwienia wrogom lokalizacji srebrnego sezamu.

W państwie, którego jedną z tradycji stanowiło carobójstwo i wskakiwanie na tron najbardziej zadziwiających figur (np. Katarzyny I — wcześniej prostytutki obozowej, Piotra III — wielbiciela Prus, Pawła I — obłąkańca), arcystrażnikami żmudzkiego skarbcza nie mogli być władcy. Rolę tę pełnili tajni, nie znani z imienia nawet carom, funkcjonariusze sekretnego organu bezpieczeństwa, zwanego SSSR — Strażą Srebrnego Skarbu Rosji. Od XVII wieku organ ten podlegał formalnie tzw. Tajnej Kancelarii, założonej przez cara Aleksego i stanowiącej rosyjski odpowiednik wydziału policyjnego Świętej Inkwizycji (Stanisław Cat-Mackiewicz nazwał Tajną Kancelarię: „utworem Lojoli przystosowanym do środków zabezpieczających panowanie Romanowów”), w istocie jednak był komórką samodzielną, działającą w „legalnej konspiracji” i mającą o wiele większe znaczenie od swej centrali. W przeciwieństwie do podziemnych szefów SSSR, noszących tytuł Wielkiego Tajnego Skarbnika, szefowie Tajnej Kancelarii byli figurantami mianowanymi przez carów. Równie formalna była podległość SSSR następcom Tajnej Kancelarii, tak zwanemu Trzeciemu Oddziałowi Kancelarii Jego Cesarskiej Mości i (od roku 1880) Ochronie, najlepszej tajnej policji świata w XIX wieku.

W dobie, w której rozgrywa się akcja „Milczących psów”, droga transportu purpurowego srebra (nigdy nie więcej niż trzy monety jednorazowo) do rąk carskiego

ambasadora w Polsce, księcia Repnina, dzieliła się na cztery etapy. Pierwszy biegł od tajnego żmudzkiego skarbcza do granicy litewsko-rosyjskiej — tym zawiadywali nikomu nie znani agenci SSSR. Drugi, od granicy do Smoleńska, obsługiwany był również przez pracowników SSSR, narażonych już na zdekonspirowanie, które jednak w praktyce oznaczałoby samobójstwo dekonspirującego. W Smoleńsku monety przekazywano zaprzysiężonym funkcjonariuszom Tajnej Kancelarii i ci, zgodnie z rozkazem carycy, działali na trzecim etapie (od Smoleńska do granicy Polski). Czwarty etap, ubezpieczany przez „ograniczony kontyngent” wojsk rosyjskich w Polsce, obsługiwali kurierzy Repnina, kapitan Tir i sierżant Nolken. Dysponent srebra Judaszowego na terenie Polski był w niej kimś o wiele ważniejszym niż król, o którym poeta tej doby, Adam Naruszewicz, pisze:

„Królowaleś, o Panie,
a kto inny władał”.

Nie trzeba było mieszkać nad Wisłą, by to zauważyć — wszyscy cudzoziemcy przyjeżdżający wówczas do Korony i Litwy spostrzegali to natychmiast. Weźmy dla przykładu relacje trzech Anglików:

Nathaniel William Wraxall: „Rzeczywistym despotą i ciemieżycielem Polski stał się ambasador rosyjski, książę Repnin. Nieszczęśliwy król zachował ze swego stanowiska niewiele więcej nad nazwę, stając się z miejsca narzędziem w rękach dworu petersburskiego (...). Katarzyna II, która umieściła Stanisława na tronie, roztacza swą macierzyńską opiekę nad każdym skrawkiem jego królestwa” (tłum. Halina Krahelska).

James Harris: „Mnożą się co dzień przykłady wszechmocy ambasadora rosyjskiego (...). Książę Repnin odgrywa w Warszawie o wiele większą rolę niż król. Prawdziwie gorszący jest ton wyższości, jaki przybiera wobec najznakomitszych osób, równie jak pewność siebie, która cechuje jego galanterię wobec dam. Sprawuje despotyczne rządy w delegacji i zmusza natychmiast do milczenia każdego, kto ośmiela się sprzeciwić jego woli (...). Traktuje wszystkich równie wyniośle — nawet króla (...). Nic lepiej nie obrazuje sytuacji jak widok nuncjusza papieskiego czekającego półtorej godziny w przedpokoju ambasadora rosyjskiego, i to jedynie w celu złożenia mu życzeń...” (tłum. Zofia Lewinówna).

William Coxe: „Król nie jest w rzeczywistości niczym więcej jak w najlepszym wypadku wicekrólem, podczas gdy rzeczywistą władzę sprawuje ambasador rosyjski, kierujący wszystkimi sprawami królestwa” (tłum. Ewa Suchodolska).

Dla Repnina, który z żelazną konsekwencją wypełniał dyrektywy płynące z Petersburga, podstawową dyrektywą był nakaz dnieźnoy korrupcji. Począł organizować w Polsce prorosyjską psiarnię już w roku 1765 i szybko osiągnął pierwsze sukcesy, kupując m. in. kuchmistrza wielkiego koronnego, Adama Ponińskiego, i zaufanego powiernika „wicekróla”, generała Branickiego.

„Króla Stasia” (tak do dziś lubianego przez wielu Polaków, którym krętacka historiografia zaszczepliła wspomnienie o świątym mecenasie kultury) — nie trzeba było kupować purpurowym srebrem, wystarczyło samo złoto, z samej swej natury był on pokojowym pieskiem caratu. Taki charakter potrzebuje szczudeł, potrzebuje wsparcia tłumu, wsparcia aklamacji, i takie wsparcie Poniatowski ma na okrągło — ani na moment nie jest sam. Dookoła wielki dwór, piramida urzędów i wpływów, setki faworytów i dostojników — ochmistrzów, szambelanów, sekretarzy, lektorów, paziów,

wojewodów, hetmanów, artystów, stolników, starostów, kamerdynerów, rezydentów, fami-liantów, kuchcików, kamerlokajów, hajduków, marszałków, generałów, pułkowników, wszelakich pałacowych kundli i hien, a każdy ma dwie kieszenie: w jednej trzyma myśli, do drugiej sięga po słowa. Wszystkie słowa są jednym słowem: tak Za tę jednomyślność udawania, za tę ubogość słownika, można się bogacić — dla nich są pełne kiesy i przywileje. Odwieczne prawo elity władzy, wędrującej po trupach moralności, etyki, cnoty i podobnych miazmatów. Bibliotekarz Poniatowskiego, Szwajcar Reyerdil, żeni się raz po raz z tymi przygodnymi kochankami króla, które zaszły w ciążę i muszą mieć prawnego ojca dla swych dzieci, a za to zbiera pieniądze i przywileje „z powodu usług nadzwyczajnych i uciążliwych”. Zaiste, to mordęga, inni mają to samo za podpieranie tronu udawaniem, iż udawanie biorą za wielkość, komedię za władzę, a słabość za siłę.

Bez niego byliby niczym, ale i on bez nich straciłby grunt pod nogami, bo prawdziwa arystokracja Rzeczypospolitej, elita magnatów, jest mu wroga, pogardza „ekonomiczną detyną”, która dostała od Rosjan koronę, chociaż nie może wylegitymować się z dziada. Nowa oligarchia, ludzie dworu, są dla tamtych przeciwwagą. Póki krzyczą: *Vivat Stanislaus Augustus Rex!*, poty kurtyna w górze i orkiestra gra. „Otoczony całym prawie dworem — pisze kronikarz Magier — każdemu bez wyjątku dawał swe ręce do ucałowania, powtarzając te słowa: «Póki mnie będzie dobrze, poty i wam...»»,.

Zgadza się — ponieważ on bierze regularnie rosyjską pensję w złocie, oni też biorą i wtedy jest im dobrze. William Coxe w swej relacji z Polski stanisławowskiej cytuje zdanie jednego z tubylców: „Cóż zatem dzieć się musi w naszym kraju, w którym jest rząd najbardziej obmierzły ze wszystkich? Nazwa Polski ciągle jeszcze istnieje, ale narodu już nie ma; ogólne zepsucie i p r z e k u p s t w o ogarnęło wszystkie klasy społeczne”.

Nieprawda — nie wszystkie.

Na czele tych klas idą magnaci, wielka oligarchia Polski. Za magnaterią podąża związana z nią szlachta — w niej zdrady pieniężnej na rzecz Rosji jest stosunkowo mało, za to głupoty i anarchii tyle, że na wysadzenie jednego państwa starczyłaby dziesiąta część tego trotylu. Obie te warstwy od dawna już, od pokoleń, zmniejszają na wiele sposobów powagę i możliwości działania tronu, czyniąc z władzy królewskiej w Polsce władzę bardziej nominalną niż faktyczną, a to jest woda na młyn sąsiadów (ale też spośród obu tych warstw wywodzi się grupa patriotów, można by rzec odrębna sarmacka „klasa” lub sekta, ludzie nieczuli na uroki korupcji, głupoty i bezprawia — Zamoyski, Bieliński, Wybicki, Reytan, Korsak i inni, walczący o uratowanie chorej ojczyzny). Są jeszcze „miejskie łyki” (burżuazja w stanie zarodkowym) — spośród tych Repnin rekrutuje zwykłych *donoszczyków*. Na końcu idzie klasa, która przeczy twierdzeniu Coxe'a, nieprzekupna, bo nikt jej nie wtyka ani złota, ani srebrników to chłopstwo. Los tej klasy w Rzeczypospolitej Obojga Narodów, klasy, której uwolnieniem Rosja szantażuje Sarmatów, chociaż sama traktuje swoje chłopstwo z równym okrucieństwem, przypomina klasyczne niewolnictwo. Nie ma zasadniczej różnicy między polskim wieśniakiem a Negrem amerykańskim, czego najlepszy dowód w postępku stolnika podolskiego, Lanckorońskiego: dowiedziawszy się, że syn jego chłopca dostał święcenia kapłańskie, Lanckoroński schwytał księdza, kazał obedrzeć z

sukni duchownej, publicznie osmagać batogami i obrócił w forysia, by cham znał swoje miejsce.

Jeśli więc mówimy o zabójczym przekupstwie w XVIII wieku, to winny nas interesować tylko dwie klasy — magnateria i szlachta. Przyjrzyjmy się tym klasom, zaczynając od góry.

Pierwsi idą „parfilowcy” (później wyjaśnię ten termin) czyli arystokraci. Idą, „wonnemi pachnąc spirytusy”, książęta, hrabiowie, barony o burłackich gębach i markiz zdjęty z obrazu Fragonarda, na którym podgląda wdzięki bujającej się na huśtawce kurewki-szczebiotki, ludzie noszący ubrania o cenach przewyższających ich wartość, ludzie o potrzebach nie znanych większości narodu, który składa się nie z wolnych obywateli, lecz z poddanych. Idą zdobni jak safianowe okładki książek, misterni jak tabakierki, gładcy i syci jak wazy do zup i sosów. Marszałek Rzewuski, pyszny pierwszą w Polsce manicurą, szambelan Kownacki, właściciel stu par pantalonów, imię Poniński, co pudruje smycze swoich chartów przed wyjazdem do kniei, książę Czartoryski, który na miesiąc zużywa pięćdziesiąt wołów, ponad sto cieląt i kilka tysięcy pieczonego ptactwa, książę Radziwiłł, który na jedne święta Bożego Narodzenia sprowadza do Nieświeża z Rygi tysiąc pięćset butelek szampana, trzysta reńskiego, dwieście burgunda i osiemset funtów kawy — idą w kilka tuzinów, elita błękitnokrwis-tych. Idą ślepi, nie widząc, że obok miliony ludzi cierpią od straszliwego niedostatku (Coxe napisze po wizycie w tej Polsce: „Nigdy uprzednio nie widziałem tak wielkich kontrastów największego bogactwa z najsłabszą nędzą; gdziekolwiek obróciłem oczy, wszędzie i stale najbardziej wyszukany przepych sąsiadował z najokrutniejszą nędzą”). Przepraszam — czasami dostrzegają, przez lufę. Mikołaj Potocki „rozkazywał babom (wieśniaczkom — przyp. WŁ) wlażyć na jabłoń i kukać, wtenczas strzelał do nich śrutem w tylec, baby spadały, a on się śmiał do rozpuku...” (J. U. Niemcewicz).

Wraxall tak ich definiuje: „Magnateria do gruntu zdeprawowana, skorumpowana i wyzbyta patriotyzmu; jej wychowanie i obyczaje tłumią w niej wszelką iskrę cnót obywatelskich. Od dzieciństwa chowani przez służbę i wychowawców w fatalnych przesądach i przekonaniu o własnej wyższości, mają dziś serca nieczułe i twarde jak stal (...). Nieuniknioną konsekwencją tego stanu jest rozluźnienie obyczajów: nawet uczucie wstydu i strach przed hańbą, silniejsze i pierwotniejsze niż jakiegokolwiek prawa, zatraciły tu, jak się zdaje, swą moc i rzadko tylko działają jako hamulec”. Coxe doda: „Wielu z najpierwszych magnatów nawet nie zarumieni się pobierając pensję wypłacaną im przez obcy dwór”. Wielu, nie znaczy wszyscy, ale nawet mniej niż połowa wystarczy, by zadrzeć nad podręcznikiem historii.

Ci, którzy wyciągają rękę po Petersburski żołd, zapytani dlaczego to robią, odpowiedzieliby, że nic lepszego nie było do zrobienia (Casanová: „Ponieważ nic lepszego nie miałem do roboty» — zwrot, który wszyscy magnaci polscy nieustannie mieli na ustach”), co budziło wstręt nawet w rosyjskich kasjerach. Aleksander Bruckner zaświadcza, że Saldem, kontrolujący z rozkazu Katarzyny działalność Repnina w Polsce, parsknął na myśl o nich: „Jedną ręką podawać sakiewkę, a drugą bić po twarzy!”.

Bruckner w swych pismach był zawsze elegancki, nie wytrzymał jednak pisząc o polskich magnatach-zdrajcach doby stanisławowskiej i rzucił epitetem: „Ksawery

Branicki (żmija wypiastowana na łonie króla), Seweryn Rzewuski, Marcin Lubomirski, Szczęsny Potocki, Sułkowsy, Poniński, Massalski i inna szuja, zaważyli ciężko na losach Rzeczypospolitej (...). Rosjanie gardzili też, i słusznie, magnateria polską”.

Gardzili tą arystokracją, równającą się z monarchami, nawet szeregowi rosyjscy „donoszczycy”, jak Wigel, który kpił: „Zdradzają ojczyznę, tak jak ich córki mężów!”.

Owym córkom, żonom i siostrom, pracującym na zgubę Polski w ramionach rosyjskich oficerów i dyplomatów, Bruckner też wystawił rachunek: „Zasunięte w cień łożnic pracowały tym usilniej panie...”. Te księżniczki w jasnopapuzich robach, białonóżki w pończoszkiach z przepowiedzistej pokrzywki, z fryzurami piętzącymi się jak morskie bałwany, wśród których wczepione w splot włosów okręciki ze złota i koralu kunsztownie cyzelowane, te wieczne dziewice po stu kogutach, okładające twarz cieleciną dla regeneracji i nie rozstające się z grattoire (grabkami do wyczesywania z koafiur robactwa) wyrabianymi za złota, kości słoniowej i drogich kamieni, te modlące się co niedzielę pobożnisie, które płacą naszyjnikami z pereł za stragan pomarańczy (po perle za owoc), choć nie muszą, ale taki mają gest (jak pani Kossakowska, która sypia z pacyfikującym Polskę generałem Kreczetnikowem), a nie wezmą do ust herbaty jeżeli nie zagotowano jej na węgielkach sprowadzonych z Londynu, gdy plebs żre chleb z kory i żywi się tłuszczem skapującym ze świec podczas pańskich iluminacji (zbyt wiele mąki idzie na puder, by prostak mógł marzyć o codziennym chlebie) — czymże uniewinnia swoją zdradę, bo ptasiej etyki i motylej moralności nie muszą. Zapewne „nie było nic lepszego do roboty”, a że robili to prawie wszyscy... To już zbiorowa psychoza.

Pod kontrolą petersburskiej mafii trwa „parfilowanie” stanisławowskiej Polski. Cóż znaczy ten czasownik? Wasylewski do tablicy! Wasylewski: „Dopalają się świeczniki, bo północ minęła dawno. Baletnicy włoscy skończyli swój program, a oni siedzą ciągle, ślęcząc gorliwie — parfilują. Najmodniejszym talentem jest umiejętność parfilowania. Bierze się tkaninę złotą albo kobierzec lub wreszcie galony czy frędzle, i psuje się, wyciągając z nich nitki złote i srebrne. Chodzi o to, by spruć jak najwięcej, potem nici się spienięża (...). Za

Poniatowskiego należy parfilaż do rzędu zabaw nade wszystko ulubionych. Parfilowanie daje zajęcie rozpróżnionym palcom i uspokaja nerwy przyjemnością niszczenia. Parfiluje kto żyw, obcina się epolety u mundurów i złote obszywki fraków, niszczy tysiące metrów złotej lamy, szale i gobeliny... Dopalają się świeczniki, północ minęła dawno, a oni wciąż zajęci parfilowaniem. Pracują długo, wytrwale i cierpliwie, toteż napruli wiele najszczęszego złota: spruli dwór, króla i Rzeczpospolitą, sparfilowali Polskę doszczętnie”.

Cudzoziemiec, który przyjeżdża do tej Polski, potrzebuje kilku tygodni, jeśli nie dni, by się zorientować, że „ci możni panowie ujarzmiają wolnego ducha narodu, zaszczepiając mu służalczość, bardziej godną pogardy aniżeli niewolnictwo” (J. H. Bernardin de Saint-Pierre). Zaszczepiają przede wszystkim szlachcie, która jest im podległa i która utożsamia ze sobą pojęcie narodu.

Tak doszliśmy do drugiej wielkiej klasy społecznej owego czasu. Idą „lemingi” czyli polska szlachta, w dwóch szeregach — wiejskim (kontuszowcy) i miejskim (wyfraczeni modnisie).

W pierwszym kroczy podgolony brat-szlachcic, przy szabli z furdymmentem, w bufiastym kontuszu i zawieszistych szarawarach, ten, co już od dwóch wieków „je, pije i popuszcza pasa”, nosi w pokrowcu łyżkę, nóż i drewniane grabki, a wie, że najwyższa dworność: wychylić duszkiem garniec węgrzyna. Każdą ucztę kończy pod ławą, jest równie śmierzący jak butny, sypia na łosiowej skórze i nie zmienia brudnej koszuli z samodziła oraz przekonania wyniesionego z VI Księgi Rodzaju w Biblii o możliwości stosunków cielesnych między diabłami a córami ludzkimi czyli czarownicami, które trzeba palić na wolnym ogniu. Za działalność polityczną uważa trzy rzeczy: gromkie oracje faszerowane łaciną, zwyciężanie przeciwników chóralnym wrzaskiem lub szablami wśród przewróconych ław i stołów, oraz kasatę sejmu poprzez liberum veto.

W drugim szeregu idzie jego syn, który przeniósł miasto nad wieś — szlachcic fircyk. Nocą sypia w rękawiczkach pod sześcioma kołdrami i pudruje się tak często jak matka się modli. Wokół uszu bujają mu loki srebrne, zamiast staropolskiej czapki używa trójgraniastego kapelusza. W szafie ma sto kamizelek i fraków w kolorach kanarkowym, niebieskim lub moregowatym (zależnie od pory i ochoty), zaś ich szklane guziki to cały gabinet historii naturalnej, widać wewnątrz małe robaczki, motyle, żabki i jaszczurki. Przy fraku zwisa szpada niby rożenek, a z rękawów wypełzają koronkowe pleureusy idealnie świeże — poznać pana po koronkach. Bielizna może długo pozostawać bez zmiany, byle koronki były modnie odmienione — oto on, uwodzicielski i pachnący kawaler a la Watteau.

Oba szeregi niosą na sztandarze poczucie honoru i godności osobistej, prawość i rycerskość, ale w zjełczalej duszy barłoczy się służalczość magnatom, dzięki którym — za cenę konformizmu i cmokierstwa — można dobrze żyć i robić karierę.

Magnaci z kolei potrzebują tych kundli, bo w Polsce wszystko musi przejść przez sejm, a wcześniej przez sejmiki szlacheckie, na których wygrywa ten, kto ma więcej posłów w swej kieszeni. Kupują więc tę szlachtę, gromadząc wokół siebie całe jej stada dla liczby sejmikowych głosów. Kupują swą magnacką łaską, protekcją i winem. Nasz francuski gość dostrzegł i to:

„Możni panowie podejmują szlachtę swych województw z największą wspaniałością. Nie szcędzą jej ulubionego węgrzyna. Im lepiej zastawiony jest stół, tym więcej mają oddanych kreatur. Upijają szlachtę, aby ją przekonać, a ona przepija bezwstydnie cenę swej wolności” (J. H. Bernardin de Saint-Pierre).

Ta właśnie szlachta polska, uważająca, że jest najlepszym ze wszystkich dzieł Boga na Ziemi z taką pewnością, z jaką Chińczycy w XIX wieku uważali, że są pępkiem świata i że królowa Wiktoria jest ich wasalem, ciemna masa pijanych korników, wytrwale przez kilka stuleci korodująca jagiellońską mocarstwowość Rzeczypospolitej Obojga Narodów, z każdym dziesięcioleciem coraz bardziej ograniczała silną władzę królewską za pomocą wyszantażowanych ustępstw (paktów, przywilejów, edyktów), bo się jej nie podobało absolutum dominium królów, bo chciała „Rzeczypospolitej szlacheckiej”, takiej, co to „szlachtą stoi”, takiej, w której jego królewska mość, spotkawszy na sejmie braci-szlachetków, zagrodowych królików bez koron, musi podziwiać ich brednie, zachwycać się ich płaskimi konceptami, a nade wszystko ścisnąć ich obmierzłe, kapcańskie osoby. Ta szlachta w końcu „ubezwładniwszy władzę króla i przewagę prawa, wydała się sama na łup oligarchom”, których

„monarcha obcy za pieniądze jednał sobie” (M. Bobrzyński). Tak, to „lemingi” — najpierw ryjące nory pod swym terytorium, a potem idące stadnie ku zagładzie!

Lemingi, drobne gryzonie z rodziny norników, przypominające zminiaturyzowanego królika, podejmują od czasu do czasu wielkie samobójcze marsze. Jest to niesamowite, przedziwne, unikalne w świecie zwierzęcym zjawisko, którego sekrety pasjonują uczonych. Tysięczne szeregi lemingów zstępują z gór w doliny i maszerują w zwartych sztykach ku zagładzie, niszcząc na swej trasie wszelką wegetację. Nic nie jest w stanie ich powstrzymać. Niektóre przeszkody, jak wielkie głazy, okrążają i natychmiast powracają na prostą linię marszu. Napotkane jeziora i rzeki przepływają zgodnie z obranym kierunkiem. Tonie ich wiele, inne giną od szponów drapieżców, a reszta idzie dalej. W końcu maszerująca horda dociera do morza i wchodzi weń po śmierć.

Idzie „Rzeczpospolita szlachecka”, z drogi!

Gangrena korupcji, jakiej ulegały polska magnateria i szlachta, była solą tego samobójczego marszu. Oczywiście podatność na przekupstwo nie stanowiła nadwiślańskiej specialite de la maison, a jednak między resztą świata a Polską istniała zasadnicza różnica, ponieważ w Polsce wszystkie działania społeczne, religijne, ekonomiczne, kulturowe i polityczne (tak w sprawach wewnętrznych, jak i zewnętrznych) musiały zostać zadekretowane przez sejm. Dlatego, o ile przekupstwo gdzie indziej prowadziło co najwyżej do sensacji polityczno-kryminalnej i szybko zamieniało się w salonową anegdotę, o tyle jedynie i wyłącznie w Polsce stawało się tragedią-katastrofą, bo tylko w Polsce wróg kupieniem odpowiedniej liczby posłów mógł narzucić Polakom co chciał, a kupieniem jednego jedynego posła, „parfilowca” lub „leminga”, mógł zniweczyć reformę upragnioną przez uczciwych obywateli i zmierzającą do uratowania narodu i państwowości. Wystarczyło, że zdrajca krzyknął z ławy poselskiej: *Liberum veto!* („Wolne nie zezwalam!” — wymuszone przez szlachtę prawo protestu, bez uzasadnienia, przeciwko jednej z uchwał danego sejmiku; protest taki automatycznie zrywał sejm i unieważniał wszystkie jego uchwały!). Z prawa *liberum veto* szlachetkowie korzystali tak często, że w ciągu trzydziestu lat panowania króla Augusta III Sasa zerwane zostały wszystkie sejmy!

Seneka w „*Epistulae morales*” pisał: *Nulla servitus turpior est quam voluntaria* (Żadna niewola nie jest haniebniejsza od dobrowolnej). Pierwszy rozbiór Polski został zadekretowany (uchwalony głosami posłów) przez polski sejm, który Rosjanie i Prusacy przekupili, aby wszystko było zgodnie z polskim prawem, gdyż w Polsce, jak już kilkakrotnie wspominałem, nic nie mogło się odbyć bez aprobaty sejmiku!

No tak, ale my przecież na łamach „*Milczących psów*” nie dojechaliśmy jeszcze do pierwszego rozbioru. Mamy rok 1766, tom pierwszy zamknąłem przed Wielkanocą. Cóż się dalej działo?

Przez następne pół roku obie strony (Repnin, jego „milczące psy” i ich sługi, a po drugiej stronie opozycja antyrosyjska sterowana przez książąt Czartoryskich) przygotowują się do jesiennego otwarcia sejmiku, na którym ma się rozstrzygnąć kilka istotnych dla Polski spraw. Obóz patriotyczny chce walczyć o utworzenie silnej armii polskiej, o kompletne wyrugowanie *liberum veto* i o odrzucenie żądanych przez Katarzynę II równych praw dla innowierców chrześcijańskich w Polsce (protestantów i prawosławnych).

Armii z prawdziwego zdarzenia Pospolita sarmacka Rzecz nie ma już bardzo długo z powodu głupoty i warcholstwa szlachty, która uważa, iż regularne wojsko królewskie byłoby kagańcem „złotej wolności” szlacheckiej. Zamiast tego istnieje w Polsce tzw. „pospolite ruszenie” — okolicznościowa mobilizacja uzbrojonych mas szlacheckich, które na wezwanie króla stają w szeregach improwizowanej „armii”. Szlachta stawiała, kiedy chciała (i wówczas potrafiła dokonywać cudów waleczności, odnosząc rozstrawiające Polskę zwycięstwa), a kiedy nie chciała, wtedy nie stawiała i król nie mógł prowadzić wojny, chyba że sam, z orszakiem swych paziów i mikroskopijną gwardią, jako samobójca. W sumie sytuacja ta stanowiła światowe curiosum i można się dziwić, że Polska — jedyne duże państwo bez przyzwoitej armii — w roku 1766 w ogóle istnieje jeszcze na mapie. Patrioci chcą przeforsować na forum sejmu projekt „powiększenia wojska” do rozmiarów pozwalających od biedy nazwać to armią.

Ci sami ludzie pragną likwidacji liberum veto, stanowiącego morderczą broń w rękach nieprzyjaciół państwa: chcą, by w sejmie obowiązywało uchwalanie praw nie poprzez jednomyślność całej izby, lecz demokratyczną większością głosów.

Trzecia sprawa, rzekomo religijna, w istocie polityczna, ma największy ciężar. Samo wysunięcie jej przez Petersburg stanowi jawną ingerencję w ustrój suwerennego z pozoru królestwa, ingerencję bezczelną, bo co prawda innowiercy religijni w Polsce (notabene korzystający z dużej tolerancji) nie posiadali pełnych praw politycznych, ale była to rzecz najzupełniej oczywista w XVIII wieku, kiedy w żadnym kraju europejskim, z Anglią na czele, wyznawcy religii mniejszościowych nie byli dopuszczani do działań politycznych i do zajmowania ważniejszych stanowisk państwowych oraz publicznych. Jest to widok zaiste groteskowy — władczyni najbardziej despotycznego państwa na świecie, której poddani nie korzystają z żadnych praw, już nie tylko politycznych, lecz osobistych, występuje w roli obrończyni wolności religijnej! Dla patriotów jest rzeczą oczywistą, że Katarzynie wcale nie chodzi o społeczną sprawiedliwość, lecz o takie równouprawnienie polityczne innowierców polskich, by mogli oni zasiadać w sejmie i na jej żądanie sterować nim lub zrywać go w każdej chwili, a więc o powiększenie sfery zdrajców mających wpływ na sprawy państwa. „Sprawa innowierców — pisze bez ogródek szef carskiej dyplomacji, Nikita Panin — nie jest bynajmniej pretekstem do rozkrzewienia w Polsce prawosławia i protestantyzmu, lecz jedynie dźwignią dla zdobycia przyjaznego nam, złożonego z nich stronnictwa, które miałyby prawo uczestniczyć w polskim życiu politycznym”.

Prusy udzielają tu Katarzynie poparcia. To właśnie ich agent na petersburskim dworze zasugerował carycy sam pomysł „religijnej gry” i ta mądra kobieta dała się wziąć na haczyk w przekonaniu, że wygra polską kartą religijną na płaszczyźnie politycznej. Fryderyk Wielki utwierdza ją w tym. Wiedząc, że od starożytności konflikt religijny jest najsilniejszym z zapalników, „pruscy politycy, jak się to mówi pospolicie, «wrabiali» Rosję, marzyli o takim zaognieniu konfliktu wewnętrznego, który przerodzi się w wojnę domową, a wtedy Rzeczpospolita zapłaci własnymi ziemiami (...). Prusom chodziło po prostu o kawał Polski” (M. Borucki). W rozpoczynającej się grze każda prowokacja mogąca wywołać nad Wisłą odruchy antyrosyjskie jest dla Prus dobra.

Lato 1766. Teoretycznie wszystkie nici są w dłoniach Repnina. Otrzymał sto tysięcy rubli na kupienie odpowiedniej liczby posłów i pieniądze te idą w Polskę poprzez

objeżdżających dwory i sejmiki pułkowników Igelstróma i Karra (dwie „ręce” ambasadora) oraz przez zdrajców, do których lojalności nie ma cienia zastrzeżeń. Poseł pruski w Warszawie, hrabia Solms, donosi Fryderykowi (w depeszy z 8 lipca 1766) o inicjatywie Rosjan: „Popierają swe usiłowania korupcją”. Ruble są brane, owszem, to dobry pieniądz — zdaje się, że wszystko idzie dobrze. Lecz już w sierpniu meldunki z terenu poczynają zamieniać warszawski Pałac Brühla (siedziba ambasady rosyjskiej) w dom przerażenia: mimo że ruble są brane, wszystko się wali!

Po dwuletnim pobycie w Polsce i po dobrym poznaniu charakteru Polaków, książe Repnin już w marcu 1766 ostrzegł swój rząd, a konkretnie wysłannika carycy, Salderna, że przy pomocy przekupstw można zrobić wiele, ale nie można zrobić jednej rzeczy: uzyskać zgody Polaków na osłabienie dominującej roli katolicyzmu w ich kraju. Ostrzeżenie zostało puszczone mimo uszu, rozkazy dla niego nie uległy zmianie i teraz doszło do sprawdzenia, jak przy stole karcianym: sto tysięcy rubli utonęło w bezdennej studni przywiązania szlachty polskiej do religii ojców. Utonęło bezsensownie, bo do walki w obronie liberum veto i przeciw tworzeniu regularnej armii nie trzeba było szlachty nie tylko kupować, lecz nawet namawiać, i bez tego nie wyraziłaby zgody na takie ograniczenie „złotej wolności”, zaś do skaptowania odpowiedniej liczby posłów na rzecz równouprawnienia innowierców nawet sto milionów rubli byłoby mało! Kler katolicki, pod przywództwem biskupa krakowskiego Sołtyka, rozpoczął gigantyczną kampanię antyinnowierczą, stawiając agentów Repnina w beznadziejnej sytuacji. Tajni agenci pruscy również nie szczędzą złota, by utwierdzić szlachtę w oporze. W rezultacie prowincjonalne sejmiki jeden za drugim wybierają na sejm warszawski delegatów fanatycznie katolickich. Jak konkludował Stanisław Cat-Mackiewicz: „Daje się odczuć wyraźnie, że ogół Polski pozwoli na wyrządzenie każdej szkody organizacji państwowej, ale nie ustąpi w jednej jedynej dziedzinie, to jest w sprawach religijnych”.

Dla carycy Katarzyny jedynym sensownym wyjściem z tej sytuacji mogło być tylko wycofanie się z meczu religijnego w Polsce, lecz wielki „milczący pies” króla Fryderyka podsycza w niej przekonanie, iż rzecz się powiedzie, trzeba tylko okazać konsekwencję i bezwzględność. Tymczasem Repnin śle do Petersburga rozpaczliwe alarmy: „Rozkazy nadesłane mi w sprawie innowierczej są straszne. Włosy stają mi dęba, gdy się nad tym zastanawiam. Nie mam prawie żadnej nadziei wykonania woli Imperatorowej bez użycia siły. Nie używając siły nie da się tego przeprowadzić!”, i Petersburg zaczyna myśleć o sterroryzowaniu opornych wojskiem... Jeden zero dla Prus.

Piątego października wszyscy posłowie są już w Warszawie i prawie wszyscy mają w kieszeniach instrukcje antyinnowiercze od swych wyborców. Tego samego dnia Repnin rozkazuje korpusowi rosyjskiemu stacjonującemu na Litwie wejść do dóbr biskupa Sołtyka i grozi interwencją czterdziestu tysięcy jęgrów w Polsce, w razie gdyby sejm odrzucił żądania Katarzyny. Dwa zero dla Prus, na minutę przed finałowym spotkaniem, w trakcie rozgrzewki.

6 października Anno Domini 1766 sejm zostaje otwarty. Skończyły się gierki przygotowawcze zaczyna się wielka gra, która potrwa dwa lata i zadecyduje o losach Polski na dłużej niż dwa następne stulecia.

Tego samego dnia najzacieklejszy nieprzyjaciel Rosji w Warszawie, marszałek wielki koronny Franciszek Bieliński, szef sądów i policji warszawskiej, człowiek o „strasznym wzroku, którego wszyscy szanowali i wszyscy się bali” —po wypiciu szklanki zatrutego wina wali się nieprzytomny na ziemię i niemoc ta jest śmiertelna.

Tego samego dnia korpus litewski armii carskiej wlewa się w granice Korony i znaczy swą drogę pożarami, dla postrachu. W dalekim Ferney pierwszy liberał Europy, Franciszek Maria Arouet alias Voltaire, pisze w uniesieniu, iż kroniki całego świata nie znają rzeczy równie chwalebnej („Chwała to niesłychana!”), jak wysłanie przez Katarzynę II jędrów w serce Polski, by nauczili Polaków „żyć w sprawiedliwości i w spokoju”. Wtórują mu koledzy wolnomyśliciele...

*In the nightmare of the dark
All the dogs of Europe bark,
And the living nations wait
Each sequestred in its hate...**

* — „W snach koszmarnych o północy
Wyją wszystkie psy Europy
I narody wyczekują
We wzajemnej nienawiści...”
(Fragment wiersza Hugh'a Audena).

Rozdział 1

„AQUA TOFANA”

„Aqua Tofana, słynny napój trujący, działający już w kilku kroplach, zwolna wprawdzie, ale zawsze zabójczo, i to wśród objawów, z których nie można było podejrzewać otrucia. Miał być wynaleziony przez Sycylianę Tofanę (...). O składzie tej trucizny dziwne krążyły pogłoski...”

(„Encyklopedia Powszechna S. Orgelbranda”, t. 1, Warszawa 1898).

Ten rozdział, którym zaczynam kontynuować opowieść o losach naszych bohaterów, pełen będzie oświadczeń i wydarzeń tak zaskakujących, że bez żadnej przesady można go nazwać rozdziałem ludzi zdumionych. Nie zabraknie wśród nich Kissa, Rybaka, Krammera, Grabkowskiego, lorda Stone'a, księcia Repnina i Stanisława Augusta Poniatowskiego, aczkolwiek poczet zdumionych nie ogranicza się tylko do wymienionych osób. Zdumiewać ludzi jest bardzo łatwo, ale tutaj zaskoczeni zostaną nawet ci, którym się wydawało, że już nic nie może ich osłupić.

Człowiekiem, którego najwięcej razy dotknęło to bulwersujące uczucie, jest kapitan Kiss, a trzeba zaznaczyć, że kolejne z owych doświadczeń były za każdym razem silniejsze, jakby los wziął się na niego i chciał mu dać wielką lekcję potęgujących się zdumień.

Pierwsze z nich, stosunkowo jeszcze łagodne, miało miejsce w maju 1766 roku, kiedy Imre spotkał się z Rybakiem, wiedząc już, że spotyka się z władcą podziemnej Warszawy, królem żebraków i hultajskich mętów, który może mu pomóc w odnalezieniu skarbcza z purpurowym srebrem. Ale wbrew oczekiwaniom Imrego Rybak nie zażądał wtedy wymiany posiadanych przez obu informacji na ten temat. Mówił coś o sprawiedliwości, wolności, niedoli ludu i o polityce, o rzeczach, które nie interesowały Kissa. Słuchał uprzejmie, aż to gładzenie go znudziło i przerwał, pytając o co chodzi. Brodacz odrzekł, że chodzi mu o uratowanie Polski, a w tym celu potrzebuje węgierskich „kruków” na jeden rok. Potem zapłaci Kissowi, oddając wszystkie swoje wiadomości na temat żmudzkiego szlaku i doda przewodników, którzy część szlaku znają.

— Co pan każe robić moim ludziom? — zapytał Kiss.

— Wezmą udział w kilku akcjach — usłyszał w odpowiedzi — między innymi w zabiciu rosyjskiego ambasadora.

Imre wstał i skierował się do wyjścia.

— Dlaczego pan odchodzi?! — krzyknął za nim Rybak. — Nie chce pan współpracy?

— Nie pracuję z szaleńcami. Repnin jest tak strzeżony, że trzeba armii, by się na niego porwać!

— Gdyby inaczej było, załatwiłbym to sam, kapitanie, nie prosząc pana o pomoc. Pan ma wybornych ludzi, to elita policji marszałkowskiej, podczas gdy ja tylko opryszków. Pan może to zrobić, a raczej możemy to zrobić razem.

— Nie! — oświadczył Kiss stanowczo. — Każdy atak na Repnina jest samobójstwem. Wiem o tym, obserwuję ambasadę od dawna. Pięciuset jęgrów waruje dookoła niej, stu otacza jego karetę, gdy on rusza na miasto, co najmniej dziesięciu uzbrojonych agentów strzeże go na każdym balu i w teatrze. Podejść nie można.

— Pan się myli, kapitanie. Dzisiaj współpracuje ze mną wielu ludzi, którzy wcześniej uważali, że wszystko, co chcę zrobić, jest niemożliwe i że należałoby odesłać mnie do Bonifratrów, gdzie leczą tych, którym zbywa na rozumie. A teraz ci ludzie wierzą.

— To tylko świadczy o tym, że choroba jest zakaźna. Nie, mój panie, mam co innego na głowie. Jeśli mi się uda, pomogę Polsce lepiej niż wy, tak sądzę. Róbcie swoje, a ja swoje. Obiecuję, że nie będę was tykał, pod jednym wszakże warunkiem: niech „Basior” już nie gryzie, bo wybiję mu zęby razem z lordowskimi fumami, ostrzegam!... I jeszcze jedno, gdzie jest ten obiecany trup „Basiora”?

— Cierpliwości, kapitanie, już niedługo, powiadomię pana... Gdyby zaś pan chciał mi coś powiedzieć lub dowiedzieć się czegoś ode mnie, proszę się kontaktować przez pazia, Turkuł to mój człowiek.

Fałszywego „Basiora”, z twarzą zmasakrowaną do nierozpoznania i ze świetnymi bliznami od psich kłów na plecach, Rybak dostarczył w końcu lipca. Wtedy spotkali się po raz drugi i żebrak spytał:

— Nie zmienił pan zdania, kapitanie?

— Żałuję, lecz wciąż jestem zdrowy — odparł Kiss. — A wkrótce nie będzie mnie tu w ogóle.

— Podróż?

— Coś w tym rodzaju.

— Jeśli na Żmudź, to odradzam ze względów zdrowotnych. Można sobie popsuć dobre zdrowie. Klimat jest tam teraz fatalny.

— Doprawdy?

— W czasie pokoju niektóre drogi są tam bardziej niebezpieczne niż w czasie wojny. To jeden z tych sekretów, które ja znam, a pan, jak widać, nie.

— Na wojnę można czekać tak długo aż człowiek osiwieje.

— Wojnę można wywołać.

— Jeśli się jest monarchą...

— Niekoniecznie.

— I pan, panie Rybak, potrafi to zrobić?

— Z pańską pomocą tak, kapitanie Voeres.

— Przecież miałem panu pomagać w zabiciu Repnina.

— Właśnie.

Tym razem Imre nie mógł już powstrzymać się od wybuchnięcia śmiechem.

— Co pana tak śmieszy, kapitanie? — spytał żebrak.

— Co mnie śmieszy?... Przypomniałem sobie, jak pan krzyczał na „Basiora”... przepraszam, na lorda Stone'a... że ma nie po kolei w głowie, bo urządza głupie awantury. Ale jego awantury były śmiesznie małe wobec pańskich zamysłów na wojnę rosyjsko-polską.

— Nie przypominam sobie, kapitanie, bym chociaż jednym słowem napomknął, że przez zabicie ambasadora chcę wywołać wojnę Rosji z Polską! — rzekł rozgniewany Rybak. — Myślałem o innej wojnie, ale widzę, że nie ma co panu tego tłumaczyć. Poczekam, aż zechce pan rozmawiać poważnie. Może przyjdzie taki czas.

Czas na najpoważniejszą z rozmów między kapitanem Imre Kissesem a Rybakiem przyszedł w dniu pogrzebu marszałka wielkiego koronnego, gdy cała Polska patrzyła na rozpoczynający się sejm. Cała z wyjątkiem tego Węgry, którego obserwuję z Wieży Ptaków. Obchodzą go tylko dwie rzeczy: kilka dostarczonych mu listów Bielińskiego i ta śmierć, która go męczy. Litery przesypują się przez jego zdumione oczy, niczym piasek spadający na trumnę marszałka, aż narasta to w nim do fizycznego bólu, bo chociaż Franciszek Bieliński nie był mu kompanem i przyjacielem, jedynie surowym zwierzchnikiem, łączyło ich coś bliskiego przyjaźni — coś innego, co jest raczej pokrewne nigdy nie dopowiedzianemu stosunkowi między ojcem a synem, i czego nie można nazwać serdecznością, lecz co często znaczy więcej. Ten wspaniały kruk, as warszawskiej policji, wykuty z najtwardszego granitu, czuje potrzebę łez, jakby ubyło mu kawałek duszy: odszedł odeń stary człowiek, który w niewielu ludziach budził sympatię, gdyż był szorstki i zawsze mówił to, co było w danej chwili najodpowiedniejsze, a czego inni nie śmieli powiedzieć. Ale kapitan Kiss nie umie płakać, to rodzaj kalectwa. Dręczy go ów mały ludzik z zimnego metalu, który mieszka w jednym z bocznych płatów mózgu każdego człowieka i w takiej chwili budzi się, wpęta do serca i gryzie jak szczur, a ci, co nie potrafią wypłukać go łzami, cierpią dłużej.

Widzę jego twarz: naturalny beret z czarnych włosów, czarne, wielkie brwi, cienka krecha nosa, rozdwojony podbródek poniżej mięsistych warg i wciąż rozszerzone ze zdumienia oczy, jak po atropinie. Takie oczy ma od tamtego dnia, gdy pisarz więzienny, Grabkowski, wymówił słowa: aqua tofana.

Tomasz Grabkowski, oryginał, który tak długo nie chciał być niczym więcej jak skrybą spoglądającym cynicznie na świat z wyżyny swego intelektu i który wiosną odmówił Kissowi (przy próbie wciągnięcia go do gry) krótkim: „Nie mieszam się!” — przestał być obojętny, gdy po kilkumiesięcznej chorobie swego dobroczyńcy usłyszał, że lekarze nie mogą dojść, co wytrawia organizm marszałka, a stan chorego uznają za ciężki. Przypomniał sobie, jak Bieliński szczycił się tym, że raz w życiu miał katar i że mimo swych lat posiada końskie zdrowie. Obudziła się w nim podejrzliwość i opłacił pewnego drogiego człowieka sumą złożoną ze swoich kilkuletnich oszczędności.

Ten kosztowny człowiek wszedł do Pałacu Bielińskich wieczorem, trzeciego października. Przy chorym czuwało kilka osób z rodziny, służba i trzech lekarze: dwaj renomowani Francuzi, znajdujący się w Warszawie przejazdem z Gdańska do Wiednia,

oraz domowy medyk, Schenck. W pokoju paliły się tylko cztery świece i przybyły zażądał lepszego światła, a wtedy zwrócono nań uwagę i spytano, czemu zakłóca spokój chorego. Odrzekł, iż pragnie go obejrzyć.

— Obejrzyć możesz, waszmość, komediantów w operalni! — powiedział gniewnie Schenck. — A w ogóle kim pan jesteś i skąd się tu wziąłeś?

— Przysłała mnie król, abym się spytał o zdrowie pana marszałka — skłamał przybyły.

— Proszę podziękować jego królewskiej mości za troskę i powiedzieć, że jego ekscelencja marszałek ma się źle.

— Czy mogę to sprawdzić?

— Od sprawdzania są lekarze, mój panie!

— Mam pewne pojęcie o medycynie.

— Ho, ho, p e w n e p o j ę c i e! Ja też mam pewne pojęcie o rządzeniu, ale nie próbuję wyręczać króla. Pojęcie królewskich dworaków o medycynie jest nam zbędne.

— Herr doktor, pan mnie źle zrozumiał...

— Zrozumiałem dobrze! Na zamku pełno jest medyków, umieją przemyć ranę. Waszmość pewnie praktykowałeś w lazarecie wojskowym...

— Raczej nie.

— Więc u siostr-samarytanek?

— Nie miałem tego szczęścia.

— Właśnie, nawet to nie. Więc gdzie, śmiem zapytać, poznałeś się z medycyną?

— Czytałem trochę książek.

Trzej lekarze wymienili spojrzenia, uśmiechając się drwiąco.

— A co wyczytałeś, monsieur, z Galena i Hippokratesa? — spytał podchwytliwie jeden z Francuzów.

— Co nieco o chirurgii.

— Więc znasz łacinę, pewnie też c o n i e c o! — rozbawił się Schenck. — Veniente accurite morbo... et sic porro*. Czy tak?

— Praeter propter** — odrzekł spokojnie indagowany.

— Brawo! jeszcze trochę, a będę musiał dopuścić cię do chorego, z samej chęci przekonania się o twoim pewnym p o j ę c i u, ha, ha, ha!

— Non tam volenter quam reverenter!*** — odrzekł przybysz straciwszy cierpliwość i wynurzył się z półmroku, tak iż światło świecy padło mu na twarz.

— Jestem Jan Reyman, dość tych żartów!

Trzy głowy pochyliły się nisko i jeszcze niżej, by ukryć zawstydzenie przed najślawniejszym lekarzem praktykującym w Polsce stanisławowskiej i znanym z nazwiska w całej Europie. Gdy Reyman poprosił, by zostawiono go z marszałkiem samego — wszyscy wyszli jak na królewski rozkaz.

On sam wyszedł po pół godziny, nie racząc poinformować gnących się w ukłonach kolegów o efekcie dokonanych oględzin. Tej samej nocy spotkał się z Grabkowskim i dopełnił powinności, za którą pisarz zapłacił całym swoim skromnym majątkiem.

— Aqua tofana — powiedział.

* — Leczenie choroby w zarodku

** — Mniej więcej

*** — Nie tyle z chęci, co z uszanowania

— Czy nadzieja jest? — spytał Grabkowski.

— Żadnej.

Aqua tofana była najstraszliwszą z ówczesnych trucizn, sama jej nazwa szerzyła w Europie postrach, i najtrudniejszą do wykrycia — tylko spec od toksykologii, jak Reyman, mógł rozpoznać tę truciznę. Któż wie, ilu ludzi zmarło w minionych latach „naturalną” śmiercią, od zwykłych chorób, po wypiciu napoju z kilkoma kroplami tej „wody Tofany” wynalezionej przez zbrodniarkę Teofanię di Adamo na bazie arszeniku.

Grabkowski złapał Reymana kurczowo za ramię.

— Doktorze, wiem, że jest taki antyczny poemat Nikandrosa z Kolofonu o odtrutkach, „Aleksifarmaka”, i że jest on oparty na traktacie aleksandryjskiego lekarza, Apollodora!

Reyman zdjął jego rękę ze swojej i rzekł:

— Wtedy nie było jeszcze tej trucizny, nie ma ona nawet stu lat, a więc nie mogło być odtrutki. Nie istnieje taka do dzisiaj. Ale nawet gdybym ją miał, byłoby za późno.

Kiedy Grabkowski mu to powtórzył, Kiss — do tej pory przekonany, że marszałek cierpi na jakąś pospolitą dolegliwość i wyzdrowieje — skamieniał z wybałuszonymi oczami i to zdumienie zastygło mu w obliczu na wiele dni, podczas których był chory na ten sam pierwszy szok, jakby gramofonowa igła dobywała z zepsutej płyty wciąż ten sam zgrzytliwy dźwięk.

Pisarz stał milcząc i czekał na jakąś reakcję. Z nim również działy się dziwne rzeczy, coś się kończyło lub raczej rodziło się w nim coś zupełnie nowego. Od dawna grał dobrze wystudiowaną rolę sardonicznego mędrca, demonstrując swą opozycyjność wobec spraw ziemskich w szermierce słownej, w której zwyciężał zawsze i z każdym. Miał coś z postawy hiszpańskiego filozofa Unamuno; pewnego dnia Unamuno wraz z przyjacielem przechodzili obok otwartych drzwi do sali, w której toczyły się głośne obrady. „Chcę wziąć udział w debatach” — rzekł Unamuno. „Czy wiesz, o czym mowa?” — spytał przyjaciel. „A to mnie wszystko jedno, będę przeciw”. Grabkowskiemu naraz przestało być wszystko jedno.

— Panie kapitanie... — powiedział cicho, jakby bojąc się obudzić tamtego.

— Tak? — szepnął Kiss wargami z drewna.

— Powiedziałem panu wtedy, że to mnie nie obchodzi, że stoję na boku i nie mieszam się...

— Tak.

— Zmieniłem zdanie.

— Tak?

— Panie kapitanie... proszę mnie przyjąć.

Kiss nic nie odrzekł, znowu ogarnął go letarg trwożący pisarza. Po długiej chwili rzekł coś, co mogło być pytaniem skierowanym do Grabkowskiego lub po prostu myślą, która bezwiednie zamieniła się w słowa:

— Kto.. kto go zabił?

— Borgiowie zostawili bękartów... — mruknął Grabkowski. — Chcąc znaleźć tego jednego, trzeba pomyśleć, komu mogło się to najbardziej opłacić.

— Wiem komu! — ożywił się Kiss.

— A więc już wiesz, kto to zrobił, kapitanie — odpowiedział mu pisarz, przerażony bezwładem „majstra Korwina” i pragnący wyprowadzić go ze stanu

śpiączki ku mściwej determinacji. — Rosyjskie trucicielstwo to stara tradycja, niezniszczalna, nie do zabicia. Ale nawet najbieglejszy truciciel to istota śmiertelna, można mu podziękować śmiercią za śmierć...

Bieliński skonał 8 października 1766 roku. Kilka godzin przed śmiercią odwiedził chorego ksiądz Parys, a towarzyszyli mu kapitan Voeres, Faludi, Krammer, Pałubiec-Gąsiennica i kilku innych „kruków”, sami dziesiątnicy.

Dopuszczono ich do łoża. Marszałek leżał z zamkniętymi oczami, oddychając ciężko, nie mógł mówić. Szczeka cofnęła się pod grdykę, powieki i wargi, niegdyś delikatne jak cienka chińska porcelana, spuchły i zamieniły oczy i usta w małe szczeliny, a czaszka, jakby prawem kontrastu, upodobniła się do trupiej główki mumii Ramzesa. Śmierdziało odleżynami i moczem. Nieostrożny Grabkow-ski potracił w przedpokoju lichtarz, od świec zajęły się firanki, wszyscy rzucili się do tłumienia ognia, a wtedy Imre pochylił się nad leżącym i szepnął mu do ucha:

— Aqua tofana, ekscelencjo!

Bieliński rozwarł nabrzmiałe powieki, dając mu znać wzrokiem, że wie.

— Repnin krwią zapłaci! Przysięgam ci, panie! — dodał Kiss tym samym szeptem. — Jego psy również!

Twarz marszałka drgnęła; dotknął kapitana wilgotną dłonią i zrobił straszny wysiłek, by podnieść głowę. Chciał coś koniecznie powiedzieć, jakąś rzecz tak ważną, że dobył resztę sił ze swego gasnącego ciała i przez chwilę pasował się z ustami, które odmówiły mu posłuszeństwa. Nie zdołał ich zmusić — nagle coś pękło w napiętej strunie i ciężki manekin zwałił się na poduszki. Kiss patrzył na niego z rozpaczą, a gdy usłyszał wracających do komnaty, wyszedł, posyłając Grabkowskiemu oczami milczące: „Dobrze się spisałeś, dzięki!”. Czuł, że coś go dusi w gardle i zatyka mu płuca, a nie był to swąd z ugazzonej kotary.

Wlókł się do domu ulicami pełnymi ludzi, którzy mu zawadzali. Uświadomił sobie, że zanim wyruszy na Żmudź po purpurowy skarb, musi pomścić marszałka, że gdyby tego zaniechał, to już nie mógłby żyć ani jednej chwili nie gardząc sobą, w zgodzie z tymi wszystkimi Kissami, których prochy walały się w nieznanach miejscach, a którzy przed śmiercią włąli swoją krew wraz ze żmudzkiem przesłaniem w ciała kobiet sprowadzonych z Węgier tylko po to, by wydawały na świat kolejnych posłańców rotmistrza Sandora. Jedynym celem jego życia był ów przymus zahartowany przez rodzinną klątwę, przez dwa topazy stryja Arpada i przez przysięgę złożoną ojcu. W porównaniu z tą wielką świątynią pokoleń przysięga złożona umierającemu człowiekowi, który członkiem rodziny nie był, zdawała się szafasem z patyków i mchu. Ale kilkanaście lat temu ten człowiek bezinteresownie ochronił dwóch Kissów, starca i dziecko, przed siepaczami ministra Brühla, i to dzięki niemu syn kapitana Kissa, Zoltan, przeżył w kolebce swoją śmierć. Gdyby zaniechał spłacenia tego długu w obawie, że mszcząc obcego zginie nie ujrawszy Żmudzi i zaprzepaści wszystko, czego już dokonał z myślą o odnalezieniu purpurowego skarbu, postąpiłby mądrze, lecz nie mógłby już spojrzeć w oczy ani tym zmarłym, ani własnemu potomstwu, owym Kissom, którzy przyjdą, kiedy jego ciało dawno będzie martwą częścią ziemi, grudką humusu czekającą wraz z innymi, aż któryś Kiss osiągnie cel.

Dwie godziny po pogrzebie marszałka kapitan Voeres, umówiony przez Turkułła, zjawił się w siedzibie Rybaka wraz z Grabkowskim i siedmioma doborowymi

„krukami”. Był 10 października, godzina 1620. „Czterdzieści minut” — pomyślał Imte.

— Porusza się pan z równie silną obstawą jak Repnin — zażartował Rybak. — Czy pańscy ludzie mają nam asystować?

— Niech pograją w kości z pańskimi — odrzekł Kiss. — Przy okazji poznają się, może wkrótce będą współpracować.

— Cieszyłbym się, kapitanie, gdyby tak było... My dwaj przejdźmy do tamtej komnaty, mam w niej dobrego węgrzyna.

— Jest ze mną pan Grabkowski.

— Ach, to pan! — Rybak podał Grabkowskiemu kościstą dłoń. — Słyszałem o panu, nazywają pana „kruczym skrybą”.

— Wiedziałem, że jestem sławny — uśmiechnął się Grabkowski — ale nie przypuszczałem, że aż tak. To zasługa czasów, dzisiaj pisarze więzienni piszą ciekawiej od autorów romansów.

— Nie, nie — zaprotestował Rybak, wiodąc gości przez obskurny przedpokój do swojego gabinetu — to nie to. Pan słynie z ostrego języka. Nie wierzę, że kapitan przyprowadził pana po to, by protokółować naszą rozmowę. Pan Voeres wziął ze sobą pański język, niepotrzebnie, bo i jemu niczego w ustach nie brakuje.

— Pan Grabkowski jest moim ministrem interesów politycznych — wyjaśnił kapitan. — Ja zbyt słabo orientuję się w polskich sprawach, bym mógł o tym dyskutować z ludźmi, którzy uprawiają politykę. Zanim podejmę decyzję, czy mam związać się z panem, muszę poznać szczegóły gry, do której chce pan pchnąć mnie i moich ludzi. Dlatego wziąłem mojego ministra...

— Trzeba było również zabrać swego prymasa, kapitanie, z przyjemnością bym go poznał! To, że ksiądz Parys jest jezuitą, tłumaczy, dlaczego Pan Bóg jeszcze nie zesłał dżumy na ten zakon. Podobno to krewny człowieka, który mógłby być prymasem Polski, biskupa krakowskiego Sołtyka... Ale Petersburg zdecydował inaczej, wiem, że następcą starego Łubieńskiego, gdy ten zemrze, zostanie łotr Podoski.

— Ogromnie dużo pan wie — mruknął Kiss.

— Staram się, lecz nie zawsze ze skutkiem. Nigdy na przykład nie mogłem pojąć, co pański minister ma do pańskiego prymasa, że bez przerwy się z nim kłóci...

— Co mam do księdza Parysa? — zdziwił się Grabkowski. — Ależ nic. Zaiste nie warte pańskiej uwagi nieporozumienia między nami wynikają z drobnej różnicy zdań: ja twierdzę, że miłość bliźniego zaczyna się i kończy w łóżku, on wyznaje pogląd zgoła odmienny. To wszystko.

— To wcale nie mało. Ale czemu stoimy, panowie, siadajmy... Od czego zaczniemy?

— Od pytania, co pan właściwie uprawia na poletku Rzeczypospolitej? — rzekł Grabkowski tonem znamionującym niechęć do etykiety Wersalu.

— Na razie tylko opozycję przeciw planom rosyjskim wobec Polski — odparł Rybak, nie speszony nagłym atakiem.

— Czy to ma jakiś związek z działaniami Czartoryskich?

— Żadnego. Nie może być związku między mną a ludźmi, którzy sprowadzili wojska rosyjskie do Polski, by swego kuzyna wypchnąć na króla, a potem się z

Rosjanami pokłócili, ale przy pierwszej okazji znów się ucałują. To dranie, myślą tylko o swoich interesach i o tym, by Stanisław Antoni służył im jak pudel.

— Kto? — zdziwił się Kiss. — Stanisław...

— Stanisław Antoni, kapitanie, to prawdziwe imiona Poniatowskiego. Augustem sam się mianował, żeby dowieść jaki z niego cesarz, a tu jak na złość nawet ci, którzy go mianowali królem, nie chcą w to uwierzyć. Niestety, wierzą w to wszyscy ci patrioci, którzy chcą walczyć z Rosją legalnie, poprzez sejm. To głupcy! Prowadzą stado po płaskiej drodze, po której może iść nawet owca, nie wiedząc, że na końcu czeka rzeźnik. Ale nie pociągną go ku wyżynom, na których można skrócić kark, lecz można i wygrać wszystko. Ja działam inaczej, w ukryciu...

— Czym pan dysponuje?

— Mam dużą i dobrze zorganizowaną siatkę organizacyjną, tudzież wtyczki wszędzie, na zamku, we dworach magnackich, w urzędach cywilnych i kościelnych.

— A więc i u nas, w policji — zauważył Grabkowski.

— W policji chcę mieć, myślę o panach.

— Czujemy się zaszczyceni. Całe życie marzyłem, by być pańską wtyczką u siebie samego, podobnie jak kapitan Voeres.

Imre otworzył schowaną pod stołem dłoń, w której trzymał zegarek. Była za trzydzieści dwie minuty piąta.

— A więc brakuje panu wtyczek w policji — kontynuował Grabkowski — to już ustaliliśmy. A czego jeszcze?

— Zdyscyplinowanej siły uderzeniowej, jaką wy dysponujecie — dopowiedział Rybak.

— Tych trzydziestu ludzi?

— Tych trzydziestu ludzi to więcej niż trzy tysiące, które zebrałoby się potajemnie i których trzeba byłoby ukrywać, żywić, opłacać i pilnować, by się nie zdekonspirowali przedwcześnie. Taki tajny oddział mógłby się przemieszczać tylko nocą i tylko po kilku na raz, i też z trudem, bo na każdym kroku warują marszałkowskie ronty, podczas gdy waszych trzydziestu może sobie spacerować wte i wewte w biały dzień, gdzie tylko dusza zapagnie, nie budząc niczyjego podejrzenia. Dla moich planów takich trzydziestu wystarczy.

— A plany są całe pańskie?

— Nie, jest ktoś nade mną. Proszę nie pytać kto, to nie jest ważne, ważna jest idea. Siła tkwi w niej.

— Mamy z kapitanem odmienny pogląd, panie Rybak — zaprzeczył Grabkowski, bawiąc się kieliszkiem i odmierzając słowa leniwie, jak człowiek, którego męczy wykładanie meczy oczywistych nieukom. — Siła idei nie tkwi w niej samej, lecz w sposobie jej użycia. Wszystkie idee to dawno ułożona kolekcja, z której czerpią szarlatani, by zachwycać ciemny tłum pozorem nowych prawd. Siła idei tkwi więc w kuglarstwie jej realizatorów, którzy grają rolę natchnionych proroków. Gdyby plebs wiedział, że strategia jest nauką, prysnąłby czar zwycięzcy bitew, którego prostaczkowie biorą za pupila opatrności. Mrowie ludzkie nienawidzi wiedzy, upokarzającej swą niezrozumiałością. Co innego z magią cudów, tej ludzie poddają się na klęczkach...

— Pan jest filozofem, mój panie — przerwał mu Rybak.

— Ach, któż nie jest filozofem w październiku!

— Dlaczego właśnie w październiku?

— Tego jeszcze nie wiem, ale to zaiste dziwny miesiąc.

Żebrak przygryzł wargi ze złości.

— Do niczego nie dojdziemy tymi kpinkami, panie pisarzu!

— Otóż to! Zamiast rzucać nam wędkę z frazesami o sile idei, niech pan nas potraktuje jak dorosłe okonie, panie rybaka. Czego pan chce poza trupem ambasadora?

— Mówiłem już kapitanowi, chcę Polski wolnej i niezawisłej. Chcę ją obronić przed Rosją i Prusami, chociaż Prusacy to tylko hiena, która czeka na padlinę, a Rosja pragnie zniewolić całą Rzeczpospolitą dla siebie i już to robi. Nie chcę dopuścić do tego!

— To wszystko? Kapitan Voeres wspomniał mi o jakiejś pańskiej filozofii na temat demokracji, ale musiała być niejasna, bo nie wszystko zrozumiał. Teraz jest październik, gdy wszyscy zamieniają się w filozofów, więc może dzisiaj zrozumiemy o co chodzi.

— Chodzi o rzeczy obmierzłe, które dzieją się na ziemi i które ubliżają Bogu! Pan wie, o czym mówię!

— Chyba tak. Mówi pan o tym, że Bóg jest zadziwiająco odporny na obelgi, bo jakoś nie zsyła drugiego potopu.

— Nie, mówię o tym, że Chrystus chciał, by ludzie byli sobie równi i żyli we wzajemnej miłości!

— Nie on pierwszy. Nawoływanie do wzajemnej miłości można znaleźć luźno wcześniej, a i później też, u Seneki... U wielu! Bóg nie jest monopolistą jeśli chodzi o ten wynalazek.

— Ale Chrystus poświęcił swoje życie, by przywrócić pełnię godności wszystkim gorszym, wszystkim tym nędzarzom, których świat rządzony przez łajdaków poniża. O tym mówię! Pańskie drwiny mogą być sobie dowcipne, ale budzą mój wstręt, bo jestem...

— Jest pan trzynastym apostołem, to słyhać — przerwał mu Grabkowski — ale traci pan czas urządzając mi rekolekcje. Moją biblię napisano dwieście lat temu, może słyhał pan o tym dziele: „Ultima professione di fede di Simon Sinai, da Lucca, prima cattolico-romano, poi calvinista, poi luterano, di nuovo cattolico, ma sempre ateo”. Po polsku to będzie: „Ostatnie wyznanie wiary Szymona Sinai z Lukki, najpierw rzymskiego katolika, potem kalwinisty, potem luteranina, znowu katolika, ale zawsze ateisty”.

— Ateizm nie pozbawia wzroku, krzywda ludzka jest widoczna gdzie nie spojrzeć. Ludzie różnią się wbrew naturze, czy pan tego nie widzi, panie Grabkowski?

— Niestety... Jako dziecko byłem o tym przekonany, do chwili, kiedy pewien lekarz pokazał mi szkielet stojący w jego pracowni i zapytał, czy jest to kościotrup księcia czy nędzarza?

Rybak spojrział nań oczami pełnymi pogardy.-

— Cynizm i obojętność, które pana cechują, to owoce z tego właśnie pola łez, na którym ludzie zasiali niesprawiedliwość i zbrodnię! To pozwala panu nie dostrzegać, że na tym świecie każde utytułowane bydlę w atłasach samym swym urodzeniem zajmuje wyżyny, na które człowiek bez nazwiska całym przyrodzonym geniuszem,

charakterem, najcięższą pracą nigdy się nie wespnie. To pozwala panu być nieczułym na traktowanie milionów biedaków jako mierzwy dla garstki uprzywilejowanych, akceptować obraz społeczeństwa, w którym bogacze żyją kosztem ubogich, trwoniąc pieniądze zdobyte wyzyskiem na psy, konie, karty, wino i rozpustę, i nie pojmować, że uciskani są niczym kaleki, które nie mają odwagi przeciwstawić się butnej pewności sprawnych! Takich jak pan jest wielu, ale pan jest gorszy od nich, bo mało jest ludzi równie jak pan odczytanych, wiem o tym, a więc świadomych tego jak bardzo wypaczono boskie posłanie na ziemi. Podobno cytuje pan bez trudu najstarsze z ksiąg, to rzadki i wielki dar od Boga, nie uwierzyłbym więc, że nie zna pan dzieł Campanelli i Morusa, którzy napisali całą prawdę o spisku uprzywilejowanych przeciw bezprawnie wydziedziczonym. Zna je pan czy nie?

— Znam.

— Czy „Utopia” i „Republika Słońca” niczego pana nie nauczyły?

Pisarz zaniemówił, z nerwami splecionymi w napiętą cięciwę, która milczy złowrogo póki trzyma ją palec łuczniaka. Poprzedniej odpowiedzi udzieliły jego wargi, gdy w nim podejrzliwość sączyła się już do myśli, wskrzeszając pożółkłe obrazy, na wzór kalkomanii lub pisma szpiegów, które trzeba nasączyć wodą, by papier odsłonił ukrytą treść. W każdym człowieku tkwi podejrzliwość, jak trucizna utajona w sekretnym gruczole — wystarczy go musnąć, by wlał kilka kropel jadu do serca, a im większa wiedza o życiu, tym gruczoł większy i bardziej pobudliwy. Niespokojne pytania, śmigające po głowie w nagłych skrętach niczym czarne, oszalałe nietoperze... Irracjonalny stan zupełnego lęku. Czy to prawdopodobne, by ten brodaty kuternoga dotknął jego najskrytszej tajemnicy, rodowodu jego imienia i przyczyny śmierci jego ojca, przez zwykły przypadek? Dlaczego wymienił właśnie Campanellę i Morusa, a nie któregoś z podobnych kreślarzy idealnych społeczeństw, utopijnych komun bądź arcyoświeconych monarchii, choćby Platona, Bacona czy Fenelona? Czy jest możliwe, że wie, iż przed trzydziestu laty pewien niepoprawny libertyn, polski uczeń Locke'a, Teodor Grabkowski, zanim wpadł do inkwizycyjnego lochu i został zamęczony jako heretyk przez pobożnych oprawców, dał swemu synowi imię Tomasz na cześć dwóch swoich ziemskich bóstw, Tomasza Morusa i Tomasza Campanelli? Jeśli on wie i jeśli chce go tym kupić, to czy w ogóle jest coś, czego ten dziwny człowiek nie wie?!... Ale skąd mógłby to wiedzieć?... Nie, to niemożliwe, to przypadek, jeden z wielu, które rządzą wszystkim... Przez sekundę lub dwie był wstrząśnięty, lecz gdy odpowiedział, uczynił to z tym samym co przedtem beczelnym sarkazmem, by tamten niczego nie spostrzegł:

— Nie zamieszkałbym w Mieście Słońca, bo kopulować lubię kiedy chcę i z kim chcę, a wspólne sypialnie i żony należące do wszystkich nie podniecają mnie. Brat Campanella pisał, że kierownicy miłości będą tam wyznaczać, kto, w jaką noc i gdzie da drugiemu lub drugiej swoje krocze lub swój penis, a ja takie rozkazy mam w...

— Człowieku, jeśli nawet w tym pobłądził, jest to ludzkie, bo ludzką rzeczą jest mylić się. Tylko Bóg się nie myli! — krzyknął Rybak.

— Człowieku — odpowiedział mu Grabkowski — jesteś tego pewien? Dałbyś za to głowę? Rozejrzyj się dookoła, spójrz na synów Adamowych!... Co zaś do braciszka Tomasza, to ów błąd nie wymuszał mu się przypadkowo, bo zwędził pomysł wspólnych kobiet i wspólnych dzieci z idealnego państwa Platona. Mógł tego nie

zrobić, już wówczas wygłup Platona budził oburzenie, mógł przeczytać choćby sprzeciw Jana de Serre i z pewnością to czytał. Jakoś go to niczego nie nauczyło! A mnie w ogóle nie odpowiada wyrzekanie się własności, do którego tak namawia ten Kalabryczyk, nie zgadzam się, żeby inni chodzili w moich butach!

Imre roześmiał się w duchu na myśl, że wszystkich jego chłopców spotkałaby nagła śmierć, gdyby ukochany zbiór butów pisarza miał stać się wspólną własnością oddziału. Zerknął na zegarek. Brakowało dwudziestu minut, ale wiedział już, że nie pomylił się biorąc ze sobą Grabkowskiego i wpuszczając go w dysputę z podobnym mózgowcem — mogliby tak pieprzyć do rana! Z głębi domu dochodziło wesołe pokrzykiwanie „kruków” i ludzi Rybaka, który pieniał się stojąc przed Grabkowskim i machając rękami:

— Masz pan kilkanaście par butów, ale nie oddałbyś ani jednej bosemu!?

— Nie! A temu szpiclowi wśród nas, który ci donosi, ile kto ma butów, zabrałbym nie tylko buty, ale i koszulę, i pogoniłbym gołego brzoową wicią!

— Tak do krwi, prawda? Na śmierć, bo cham nie może po nic wyciągnąć ręki, niech marznie i zdycha! To jest właśnie to, czemu przeciwstawili swoje pomysły brat Campanella i sir Morus! Nieważne są u nich głupstwa, które wydrwiwasz, Voltaire naucza: „Zapomnijmy o majaczeniach wielkich ludzi, pamiętajmy o prawdach, jakich nas nauczyli”. A prawdą jest, że należy inaczej urządzić ten świat, na którym siła maszeruje przed prawem, a ponura władza jednych nad drugimi produkuje nadmiar obok niedostatku i okrucieństwo obok bezbronności! Dobrze wiesz, że oni nie po to tworzyli swoje utopie, by wszyscy mogli spać ze wszystkimi, lecz by położyć kres potwornym wyrzeczeniom, którymi biedota opłaca zbytek możnych! Idea braterskiej wspólnoty całej ludzkości, oto co próbowali rozpałić! Do dzisiaj ludzie płacą życiem za przenoszenie tego ognia, tak jak zresztą Morus zapłacił śmiercią za swoje wolnomyślicielstwa, a Kalabryczyk strasznymi torturami i długimi latami ciemnicy. O tym też wiesz!

— Wiem, mój ojciec tak właśnie zapłacił za to, że im uwierzył — odparł Grabkowski przez ściśnięte gardło.

— Więc dlaczego ty nie wierzysz?!

Znowu napłynęła doń twarz ojca i słowa, których wówczas nie rozumiał, o tym wymyślonym państwie brata Tomasza, idealnym społeczeństwie, pozbawionym różnic klasowych i prywatnej własności, w którym naukowe rządy sprawują mędrcy, lecz o wszystkich ważniejszych sprawach rozstrzyga na ogólnych zgromadzeniach lud, wszyscy obywatele, a każdy z nich ma równy dostęp do dóbr materialnych i do nauki oraz zawodu, bo o tym decydują zdolności oraz praca stanowiąca podstawę wychowania, będąca radością i zaszczycem, nie zaś przymusem... Matka krzyczała na ojca, kiedy tłumaczył to chłopcu, wymyślała mu od „głupich kukuków”, co zresztą zawsze robiła, nie bacząc na okazję, swoim wstrętnym językiem, który nie pasował do jej powierzchowności. Była jedną z tych kobiet, które długo po wyjściu za mąż i nawet po urodzeniu dzieci wyglądają jak młode dziewczęta — smukłe, delikatne, z zaróżowioną buzią i wątlymi ramionami — by nagle, gdzieś po trzydziestce, przeobrazić się jednego dnia w półmęskie megieery, jakby nóż gilotyny spadł na ich kobiecość. Ale ojciec tego nie dożył. Jego aresztowanie przyjęła obojętnie — od tej chwili przestał dla niej istnieć, wiedziała, że nie wróci. Powtarzała gniewnie, jak o

zmarłym: „Zawsze był mięczakiem i tchórzem — ile razy mnie uderzył, zaraz płakał i przeproszał!”. Po kilku latach do jej pokoju wpadł broczący krwią szpak i usiadł na gzymsie sufitu. Szybko zamknęła okno i rzekła: „Pewnie umarł!”. Wkrótce przyniesiono wiadomość, że skonał istotnie na łożu Świętego Oficjum. Wówczas powiedziała, że ten ptak to dusza jej męża i mimo wysiłków przyjaciół nigdy nie dała sobie tego wyperswadować. Schwytanego ptaka zamknęła w klatce, którą trzymała w swojej sypialni, by mógł patrzeć na jej miłość z innymi mężczyznami. Któregoś dnia znalazła klatkę pustą i to był ten dzień, kiedy utraciła kobiecość. Biła syna tak długo, aż od tej furii omdlały jej ręce...

Dotarło doń pytanie:

— Więc dlaczego ty nie wierzysz?!

Odparł bez drwiny, nie chciał już drwić:

— Bo Voltaire nauczył mnie, że „człowiek wolny idzie do nieba taką drogą, jaka mu się podoba”. Ja zapewne trafię do piekła, ale drogą, którą sam wybiorę, nawet mój ojciec tego nie zmieni... Ognia, o którym rzekłeś, boję się, nie chciałbym zostać poparzony. Brat Campanella nazwał ich prometejski płomień „zjednoczeniem całego świata w jedną trzodę poprzez zmianę praw i ustroju”, chcąc jednego sprawiedliwego państwa na całej ziemi, i był na tyle naiwny, że wykonawcy tych planów szukał najpierw w Hiszpanii, a potem we Francji, dzięki którym masz dzisiaj w Europie absolutyzm kajdan, „lettres de cachet” i wszelakiej nieprawości. Pomyśl sobie, że Burboni rządzą całym światem! Ta unifikacja, w przekonaniu Campanelli i Morusa zbawcza, jest skrytym marzeniem każdego ambitnego despoty i wierz mi, ich utopijny komunizm prędzej czy później zostanie wykorzystany przez jakiegoś tyrana jako idea maskująca dążność do zjednoczenia wszystkich ludów pod jednym batem, przeobrażenia całego świata w jeden folwark z b r a t a n y c h niewolników, ale ja nie chciałbym tego dożyć.

— Zgoda, tego nikt z nas nie dożyje, czy się nam to podoba, czy nie. Ale likwidacji despotyzmu i zrównania obywateli w kilku przynajmniej krajach dożyjemy!

— To majaczenia ludzi trawionych gorączką rewolucji, panie Rybak. Kto jej dokona?

— Książki! Czasami kilka zadrukowanych stron waży więcej niż bateria dział, a te, o których myślę, to proch z lontem już zapalonym. Chcieli go ugasić, papież Klemens rzucił klątwę na „Encyklopedię” d’Alemberta i Diderota, a „Umowę społeczną” Rousseau spalono na stosie, ale skutek jest odwrotny. Cała Europa zna już na pamięć zdanie, które Diderot zamieścił w haśle „Biedak”: „Jednym z najgorszych następstw złych rządów jest podział społeczeństwa na dwie klasy, z których jedna opływa w dostatki, a druga żyje w nędzy”. Cała Europa czyta dzieła Rousseau, „O pochodzeniu i podstawach nierówności” oraz „Umowę”, w której on dowodzi, że jedyną racją systemu jest dobrowolna umowa członków społeczności, zaś jedyną władzą lud wyrażający swoją wolę poprzez prawo!

— Nonsens! — zawołał Grabkowski. — Władza ludu i prawo to dwa bieguny...

— Okaze się dopiero, czy to nonsens! — nie dał mu skończyć Rybak. — Na razie jest faktem, że lont zaczął się palić, pytanie tylko jaki jest długi. Zapaliły go książki pisarzy, którzy nie są głupszy od ciebie!

— U nas niczego nie zapaliły, szukałem tych dzieł...

— Więc nie znasz ich? — spytał zaskoczony żebrak.

— Skąd mogę znać, w Polsce nie ma ani egzemplarza.

— Mylisz się, ja mam! Jutro mój człowiek przyniesie ci całą skrzynię do domu, a wówczas zobaczysz.

Imre wychylił kieliszek do dna. Jeszcze dziesięć minut. Nagle zauważył, że w komnacie nie ma ani jednej lampki czy świecy i za chwilę Rybak pewnie wyjdzie ich poszukać. „Trzeba to przyspieszyć, bo potem przeszkodzi Pałubcowi...”. Uderzył pięścią w stół, aż zabrzączało szkło.

Jakby zatrzymał koło młyńskie, czyniąc ciszę budzącą ze snu.

Ciemność z wolna otulała dom i poczęła napływać do wnętrza przez okno, które zabarwiło się na czerwono. Ci dwaj istotnie zapomnieli o kapitanie, rozgrzani dysputą, kłócący się, ale już spokrewnieni intelektem i tocący dialog intymny jak szepty kochanków, którzy przenikają nawzajem swoje myśli. Było w tym coś z dialogu między największym z perskich mistyków, Abo'l Chajrem („Ja widzę to wszystko, co ty wiesz”) i największym uczonym Wschodu, Avicenną („Ja zaś znam to wszystko, co ty widzisz”). Z wysokości Parnasu nie widzieli tylko tego, że są zaledwie wskazówkami na zegarku Węgra.

— Panowie — rzekł Kiss — rewolucja i władza ludu nie interesują mnie chwilowo. Filozoficzne mrzonki zostawcie sobie na później, teraz zaś porozmawiajmy o tym, o czym mieliśmy rozmawiać. Tylko nie po omacku, jeśli łaska.

Żebrak wyszedł do sąsiedniej komnaty, by przynieść świece, a Kiss skorzystał z jego nieobecności i szepnął:

— Znakomicie, skrybo, daj mu jeszcze lepiej w kość, niech nie myśli, że nie kończyliśmy szkół. Będzie nas bardziej szanował.

— Tak jest, kapitanie — odparł uradowany pochwałą Grabkowski. Wrócił Rybak i w izbie zrobiło się jaśniej. Postawił na stole ciężki żelazny

świecznik i odezwał się głosem zachrypniętym od wcześniejszego wysiłku:

— Jeśli dobrze zrozumiałem, pan kapitan chciał powiedzieć...

— Dobrze pan zrozumiał — potwierdził pisarz i natychmiast zaczął rozwijać owo potwierdzenie swymi szybkostrzelnymi ustami: — Kapitan Voeres chciał powiedzieć, że doskonale zna wszystkie przypadki, kiedy zbuntowanemu ludowi udało się na krótko zdobyć władzę, choćby rebelię Masaniella, gdy motłoch trząsł przez tydzień Neapolem, łupiąc i paląc co popadło, a w przerwach oklaskując wyroki, które Masaniello wydawał na podstawie fizjognomii oskarżonych. W sumie kapitan chciał wyjaśnić panu, że lud jest groźną w swej sile, lecz ciemną i niezdolną do świadomego działania masą, która nigdy nie dokona prawdziwej i trwałej rewolucji z powodu braku zmysłu państwowego i nadmiaru nieokiełznanej samowoli zastępującej prawo, bo tak zwana rewolucyjna sprawiedliwość i praworządność znaczą zawsze tyle samo, co nieobecność sprawiedliwości i praworządności. Te zaś istnieją nawet w tak złym królestwie jak nasze. Ot, choćby marszałek Bieliński, jako sędzia nie jeden raz przeciw możnemu dla biedaka rację zasądził i z tej sprawiedliwości słynał, a żadne bogactwo ani wpływy nie mogły tego odmienić, podczas gdy trybunały rewolucyjne, jak dowodzi historia, zawsze funkcjonują w oparciu o prawo samosądu podniecanego emocjami. Vulgo — kapitan chciał zaznaczyć, że nie jest zwolennikiem ludowładztwa, lecz teorii państwa wyłożonej przez Marka Aureliusza w „Rozmyślaniach”, to jest monarchii

oświeconej, która szanuje prawo i wolność poddanych, ale ponieważ ma tylko jedno życie i postanowił poświęcić je na co innego, nie zamierza walczyć o realizację tego ideału. Jeśli zrozumiał go pan równie dobrze jak ja, to nie mówmy już o tym i przejdźmy do księcia ambasadora.

Rybak pokiwał głową i uchwycił ten sam ton:

— Zrozumiałem... zrozumiałem, że kapitan Voeres jest zdania, iż najpierw trzeba obronić Polskę przed Rosją, a dopiero później, w przyszłości, pomyśleć o naprawieniu sytuacji ludu w naszej ojczyźnie.

Siedem minut. Zza drzwi dobiegła Imrego martwa cisza, która zastąpiła gwar wzniesiony przez „kruków” i ochroniarzy Rybaka. Chcąc ją zagłuszyć, podniósł głos:

— Skończyliście pieprzyć, panowie?! To teraz chciałbym usłyszeć, dlaczego zabójstwo Repnina ma uratować Polskę. Zbliża się pora kolacji, w brzuchu mi burczy, a my wciąż stoimy w miejscu!

Rybak przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, wiedząc, że powinna ona trafić do obydwu jego rozmówców. Gdy zaczął artykułować swoją myśl, czynił to starannie, jakby rozwijał przed nimi dywan prowadzący do ugody:

— Sir Tomasz Morus, o którym dziś mówiliśmy, odpowiedział kiedyś przyjacielom na pytanie, dlaczego jest oporny wobec króla Henryka, przytaczając im z Tacyta historię owego cesarza, który nie mógł skazać na śmierć córki swego wroga, Sejana, gdyż prawo zakazywało uśmiercać dziewice. Cesarz rozwiązał ten problem, każąc najpierw zgwałcić dziewczynkę, a dopiero potem ją zabić.

— To był Tyberiusz — rzekł Grabkowski — ale co to ma do rzeczy?

— Ma... Morus powiedział im: „Panowie, być może nie potrafię zapobiec temu, abym nie został pożarty, ale dowiodę, że zgwałcić się mnie nie uda!”. Otóż panowie: być może jestem za słaby, aby zapobiec pożarciu mej ojczyzny, ale chcę dowieść, że nie uda się jej zgwałcić. Repnin czyni to przekupując jednych, zastraszając drugich i oszukując trzecich, a teraz spróbuje zmusić sejm do przyjęcia uchwał, które są śmiertelnie niekorzystne dla Polski.

— To prawda — zgodził się pisarz.

— Ja zaś chcę udowodnić krwią gwałciciela, że to się nie uda... Poddając się niewoli, zgubilibyśmy coś, czym człowiek jest wyższy nad zwierzę. To nie buty, panie Grabkowski, to godność. Bez niej życie jest wegetacją konia w uprzęży. Dlatego trzeba rozlać tę krew.

— Gdyby nawet jakimś cudem powiodło się nam, to czyż to zmieni cokolwiek? — spytał Kiss. — Caryca przyśle następnego posła, wyśle ich stu jeśli będzie trzeba.

— Raczej wyśle stutysięczną armię jegrów przeciw Prusom i Austrii, ponieważ to berlińscy i wiedeńscy agenci zamordują księcia Repnina. O mniejsze rzeczy mocarstwa brały się za łby, a wojna między nimi to szansa dla Polski.

Grabkowski i Kiss spojrzeli na siebie zaskoczeni. Imre pożałował w tej chwili, że zostały mu tylko trzy minuty i może nie zdąży usłyszeć całej odpowiedzi.

— O jakich agentach pan mówi? — spytał pisarz.

— O tych, których wykryją dwie policje, wasza i tajna policja rosyjskiej ambasady, zorganizowana przez generała Branickiego, co uprzejmie panom donoszę. Nie wiedzieliście tego, prawda?... Oficjalnie wy poprowadzicie śledztwo, to obowiązek policji. Branicki uczyni to samo nieoficjalnie, na rozkaz Petersburga. I wy i on

udowodnicie bezspornie, kim byli zabójcy Repnina. Zrobicie to na podstawie niezbitych dowodów, których ja dostarczę, tak jak dostarczyłem zabitego „Basiora”. Udowodnicie nawet więcej — że Wiedeń i Berlin, złączone tajnym alianssem, planują zamach na życie carycy. Wszystko to będzie łatwiejsze niż się wydaje, jedyna trudność to zgładzenie ambasadora. Wszakże jeśli moje działania się powiodą, to w ciągu miesiąca, najwyżej dwóch, będę gotów i wówczas zapoznam panów z projektem zamachu. Ale marszałkowskich „kruków” chcę mieć od dzisiaj. Na początek powiedzmy dziesięciu, żeby mogli rewidować kogo wskażę i wchodzić tam, gdzie kto inny bez awantury nie wejdzie.

Grabkowski rozłożył ręce.

— Nie wiemy jeszcze, kto zostanie następcą Bielińskiego, wolelibyśmy poczekać aż...

— Ja wiem, marszałkiem będzie strażnik koronny, Stanisław Lubomirski, o czym równie uprzejmie panów zawiadamiam. Jak na policję wiecie zadziwiająco mało...

Drzwi skrzypnęły i ukazała się w nich olbrzymia postać dziesiątnika Pałubca.

— Wasa miłość, łaski sie doprasam... — zaseplenił góralską mową.

— Co jest?

— Ano... obegrały nas z dytków, psiekrewie, syćko wzieny i barzo wiencyj na słowo... Kościcki nom nie sły, ino jem gazdowały...

— Trzeba było mądrzej grać, nie zawracaj mi dupy! — wrzasnął Kiss, patrząc na uśmiechającego się pod nosem Rybaka.

— Ka ony zondajom zapłaty, wása miłość... Milek pas i capkę psedyndał, nie opłacam sie rychtig, do голуška nas rozbiorom...

Imre wyjął niewielką sakiewkę i rzucił ją na stół.

— Cholera z wami! Weź i zapłać, z żołdu zwróćcie co do grosza!

— Panie Boże zapłać, wása miłość, pooddawamy do grosicka! — krzyknął uszczęśliwiony Pałubiec i ruszył w kierunku stołu.

Pochylając się nad blatem, by wziąć sakiewkę, nagłym uderzeniem łokcia, nieco mniejszego niż kolano wołu, stracił żebraka z zydła na podłogę, skoczył nań i błyskawicznie skrępował sznurem przeguby rąk wykręconych na plecy. Potem uniósł go z ziemi niczym piórko i posadził z powrotem na zydłu, mówiąc:

— Syćko w pozondecku, wása miłość, leżom gzecniuško kiej te owiecki, po cichušku, znajom, co kaby chtóry fciał sie porusyc...

— Przyszedł? — spytał Imre.

— Co by miał nie psyść, panie kapitanie? Ino co psyed, juści ponktualny oficyjer.

— Powiedz mu, żeby chwilę zaczekał. Zawołam, drzwi zostaw otwarte. Wpuszczaj każdego, kto zechce wejść do domu, ale nie wypuść nikogo, zrozumiałeś?

— Co bym miał nie pojonć, wasa miłość? Tako będzie, haj!

Pałubiec wyszedł, a Grabkowski, zaszokowany nie mniej od Rybaka (mamy kolejnych zdumionych w tym rozdziale), wybąkał:

— Panie kapitanie... co to znaczy?!

— To znaczy, że masz przed sobą repninowskiego psa, może i zabójcę marszałka...

— Kapitan Voeres lubi żarty — odezwał się Rybak, próbując uśmiechnąć się kpiąco, ale na ustach pojawił mu się tylko drżący grymas. — Byłem sługą marszałka

Bielińskiego... Zresztą, o jakim zabójstwie mowa, przecież marszałek zmarł od choroby.

— Od choroby, co zwie się „aqua tofana”, nie udawaj głupiego, pono wszystko wiesz! A ponieważ wiesz więcej niż policja, powinienes wiedzieć, kto to zrobił! Walczyłeś z Bielińskim udając, że mu służysz!

— Bzdura! — krzyknął żebrak. — Współpracowałem z nim uczciwie na polecenie mojego szefa! Ja i Bieliński byliśmy prawymi rękami... nie powiem kogo, ale...

— Powiesz — zapewnił go Imre — powiesz! Pożartujemy przy ogniu, mamy parę godzin. Dramy o niedoli ludu, sprawiedliwości i wolności już wysłuchaliśmy, teraz pora na arietki. Zdażysz wyśpiewać cały swój repertuar, do ostatka!

— Panie kapitanie... — powtórzył Grabkowski ciszej.

— Nie wtrącaj się! — upomniał go Kiss.

— Panie Grabkowski!! — zawył żebrak. — Albo ten człowiek oszalał, albo to wszystko jest idiotycznym nieporozumieniem, albo... pański kapitan służy Repninowi i gra teraz komedię ułożoną w Pałacu Brühla!!!

Była w jego głosie tak wielka szczerłość, że Grabkowski czuł się zupełnie ogłupiały.

— Panie kapitanie... — powiedział trzeci raz.

— Co, nie wiesz komu wierzyć!?! — zdenerwował się Kiss. — Posłuchaj, dziecińko. Kilka dni temu, w nocy, dokonano włamania do marszałkowskiego pałacu i skradziono jedną rzecz, pakiet zawierający listy z Paryża. Mógł to zrobić tylko człowiek, który bywał już w pałacu i dobrze go znał. Napad zorganizował pułkownik Igelstróm, a szef włamywaczy wręczył listy zaufanemu człowiekowi ambasady rosyjskiej, Polakowi, który nosi przezwisko „Afrykańczyk” i robi piękną karierę na dworze królewskim, ostatnio dostał klucz szambelański. Ten agent Repnina nazywa się Michał Dzierżanowski i jest moim starym przyjacielem, razem walczyliśmy w Indiach. Oszukuje on Repnina i Igelstróma, udając, że wiernie im służy, podczas gdy nienawidzi ich i służy im tak samo, jak nasz gospodarz służył marszałkowi. Major Dzierżanowski najpierw przyszedł do mnie z tymi listami, zostawił mi trzy, a dopiero potem oddał resztę Igelstró-mowi, szczęśliwie nie było w nich niczego ważnego. Umówiłem się z panem Dzierżanowskim na piątą, właśnie tutaj, zaprosimy go do kompanii... Michale, wejdź!

Wyjął z za pazuchy trzy listy i położył je na stole, a gdy wszedł Dzierżanowski, spytał, pokazując Rybaka:

— Znasz może tego dżentelmena?

— Wybornie! — roześmiał się Dzierżanowski. — To z nim kazał mi się spotkać Igelstróm, to od niego dostałem listy zrabowane Bielińskiemu i to on zainkasował ode mnie złoto za tę przysługę. Biedny lisek, myślał, że wszystkich wykołuje, a sam wpadł we wnyki, taka przykrość! Jak zdrowie, panie spryciarzu?

Imre zwrócił się do Grabkowskiego:

— No popatrz, a przed chwilą ten uszczęśliwicz ludów przysięgał ci, że jest uczciwym sługą marszałka! Przypomnij mi, skrybo, czy Chrystus nauczał, że kiedy sługa okradnie swego pana to jest dobry uczynek czy zły? Albo zacytuj coś z Morusa i z tego drugiego, czciciela wspólnych sypialni...

Dzierżanowski usiadł obok Kissa.

— Co zamierzasz?

— Zwijam manatki, rano nie będzie po mnie śladu. Tych moich ludzi, którzy zechcą, zabiorę ze sobą. W litewskich lasach Repnin nas nie dopadnie.

Grabkowski zbliżył się do Rybaka i zajął mu w twarz. Gdy przemówił, każde jego słowo żarzyło się śmiertelną nienawiścią:

— Jeśli lękam się piekła, to tylko dlatego, żeby nie spotkać się z tobą! Myślałem, że już nikt na tym świecie nie może mnie ogłupić gładzeniem o czynieniu dobra, a tobie się udało! Uwierzyłem, żeś nie jest agitator, tylko polski Chrystusik, co więcej myśli o bliźnich niż o sobie! A tyś jest z tych, których ma w służbie każdy despotyzm i którzy odwracają uwagę niewolników od walki o narodową wolność ideą walki o szczęście ludzkości! To jest właśnie jak „aqua tofana”, zatruwa duszę rzekomym wyższym celem... I ja, stary wyga, dałem się na to nabrać! Jestem głupi!

— Pociesz się — odrzekł Rybak z dziwnym spokojem w głosie — masz tu obok dwóch od siebie głupszych. Rosłe chłopcy, tylko głowy mają przymałe do reszty ciała. Obaj czytali listy wysłane z Paryża do Bielińskiego i nie zainteresowało ich, że ta korespondencja, tak ważna, iż trzeba ją było chować w skrytce i wykradać z niej, zawiera dworskie plotki, nowinki literackie i artystyczne oraz dywagacje polityczne rodem z kawiarni. Gdyby się nad tym zastanowili, może doszliby do wniosku, że te listy pisane są szyfrem albo też to, co ważne, napisane jest w nich między wierszami, niewidocznym inkaustem. Ale na to zabrakło im inteligencji. W przeciwnym razie nie oddaliby Rosjanom oryginałów, które dobry specjalista od tajnego pisma może odczytać, a Repnin ma takich specjalistów. Sami najęliby specja od podrabiania dokumentów i wręczyliby Igelstrómovi kopie z pokiereszowaną treścią, z jednymi zdaniami usuniętymi, a innymi poprzestawianymi, oczywiście kopie bez pieczęci, tylko z ich śladami, bo podrobić pismo w jedną noc można, lecz pieczęci nie.

Wszyscy trzej, Dzierżanowski, Grabkowski i Kiss, spojrzeli na listy leżące na stole. Żaden list nie miał pieczęci, na papierze widniały tylko ślady po nich.

— Tak więc, gdyby pańscy towarzysze — kontynuował Rybak z pogardliwą wyniosłością — byli mądrzejsi, Repnin dostałby kopie, pozbawione tajnego przekazu dzięki nowemu papierowi i przemeblowaniu treści, a oryginały schowałiby... na przykład w nodze od stołu.

Mówiąc to dotknął butem jednej z nóg stołu, przy którym siedzieli. W pół minuty później rulon z francuskimi listami do marszałka był już w rękach Kissa i Dzierżanowskiego, który doszłusował do grona zdumionych. Porównywali trzy przyniesione przez Imrego listy z oryginałami, nie mogąc wykrztusić słowa.

— W ten sposób — dokończył Rybak — zostałem zaufanym złodziejem ambasady, co może mi się bardzo przydać, a nie dałem jej nic. Marszałek byłby mnie za to ucałował, ale nie mogłem już z nim rozmawiać, bo chorował śmiertelnie... Pomyśl sobie jeszcze, panie Grabkowski, co by było, gdyby ktoś inny zdobył te listy dla Igelstróma...

Do komnaty wszedł Pałubiec, oznajmiając:

— Zelazicka rozgzane, wąsa miłość, ze sie zacerwieniły kiej dymana dzioucha.

— Idź w cholere! — ryknął Kiss, bładz z furii. — Uwolnij tych gnojów i przepros ich!... No już, co stoisz, kutasie!

Pałubiec wyleciał za próg bardziej zdumiony (jeszcze jeden!) niż przerażony, a Imre, którego bladą twarz malowały na przemian cienie i żółte światło świec, zbliżył się do Rybaka i przeciął mu sznury na przegubach rąk, mówiąc:

— Napadłem cię dwa razy i za każdym razem nazwałeś mnie głupcem, i za każdym miałaś rację. Daruj mi, jeśli możesz. To prawda, że tylko Bóg się nie myli.

Żebrak roztarł sobie zdrętwiałe dłonie, mrużąc spod wąsów:

— Nawet Bóg by mi nie pomógł, gdybym dziś rano przekazał te listy mojemu szefowi. Skwierczałbym teraz przypalany niby zbrodzień i przyznawałbym się do każdej nie popełnionej nikczemności, jak to na mękach. Ale Bóg miłosierny nie dopuścił i natchnął mnie, bym oddał listy dopiero jutro.

Pokuśtykał na kraniec komnaty, podniósł kawałek podłogowej deski w kącie i wyjął ze schowka strzępek papieru.

— Kapitanie — powiedział — łatwowierność nikomu nie była sprzymierzeńcem, pan też nie może na to liczyć. Za szybko pan decyduje. Jest takie polskie przysłowie: „Spiesz się powoli!”. Znaczy: pomyśl dwa razy... Znowu zadecydował pan nie przemyślawszy rzeczy do końca, bo sprytny agent Repnina, obawiając się pana Dzierżanowskiego, zrobiłby to, co ja zrobiłem i zabezpieczyłby się tym od podejrzeń. Te oryginały listów i te wykastrowane kopie wcale nie dowodzą mojej niewinności!... Pański stryj Arpad był ostrożniejszy. W papierach po nim winien pan mieć urwaną połówkę pewnego dokumentu. Czy jest coś takiego?

— Owszem — przytaknął Imre, tak już otumaniony, że począł tracić rozeznanie, czy wszystko to, co się dzieje, trwa we śnie, czy na jawie. — Stryj dostał tę połówkę od człowieka, który mu pomógł uciec przed Bruhlami z Warszawy. Mówił, że ten człowiek to przyjaciel, któremu należy się wdzięczność naszej rodziny.

— Proszę, oto druga połowa, tym człowiekiem byłem ja. Mój podpis jest na pańskiej połowie, a podpis Arpada na mojej. Dopiero teraz wolno panu wierzyć mi... Chciałem to panu dać wówczas, gdy będzie pan wyruszał na Żmudź, ale pragnę, byśmy raz na zawsze skończyli ze wzajemnymi podejrzewaniem.

— Panie Rybak — odpowiedział mu Kiss — od tej chwili może pan dysponować mną i moimi ludźmi gdzie i kiedy pan zechce. Jestem na pańskie rozkazy.

— A pan, panie Grabkowski? — spytał król żebraków.

— Ja?... — wyszeptał pisarz — ja... chciałem panu powiedzieć, że mój ojciec z miłości do Campanelli i Morusa nazwał mnie Tomaszem.

— Dziwne, że nikt nie powiedział pańskiemu ojcu, iż Torquemada też miał na imię Tomasz.

W tym momencie przestąpił próg nowy gość, angielski przyjaciel dwóch królów, króla Polski i króla żebraków — lord Stone. Był tylko o dwa palce niższy od Kissa, a o cztery od Pałubca-Gąsienicy, musiał więc schylić się, by nie rozciąć czoła. Ujrawszy, że stoją i zbierają się do wyjścia, przybrał minę zawiedzionego:

— Zawsze spóźniałem się do szkoły!... Co przerabialiśmy dzisiaj? To samo? O miłości dla bliźniego, wolności dla związanego i sprawiedliwości dla przyłapanego?

— Zamknij się! — warknął Rybak.

— Nie muszę gadać, ty już to zrobiłeś... Jestem pewien, że mój przyjaciel zapowiedział panom ów dzień, kiedy na ziemię spadnie wielki brzask równości, rozstąpią się fale mórz i ukaże się ludzkim oczom wskrzeszona stolica słońca, nad

którą latać będą anioły wolnego ducha... I że przekonał panów, iż jedynym celem człowieka i narodu jest tak żyć, aby tym, co po nas przyjdą, było lepiej. Oczywiście przedtem musiał wam zdradzić, że teraz jest źle, bo ten świat jest tak okropnie urządzony, iż skurwysynom powodzi się na nim znakomicie, natomiast biedni są udręczeni przez niemożność zostania bogatymi skurwysynami...

— Słusznie pan rozumuje, milordzie — wszedł mu w słowo Grabkowski, który zaczął już przychodzić do siebie. — To cały sekret życia. Pisał o tym Luzytańczyk Camóes w jednym z swych poematów, nie pamiętam w którym. Wszystko w ręku jednego parszywego małżeństwa: Pan Los i Pani Natura. Pan Bóg jest tu grzecznym teściem, który się nie wtrąca.

— Zrób to samo, dobrze na tym wyjdiesz! — warknął Wilczyński przez zęby, które z uśmiechniętych zamieniły się raptownie w wyszczerzone. — Nie znam cię!

Rybak skoczył ku niemu z taką szybkością, jakby zamiast drewnianej stopy miał trzecią nogę.

— „Alex”, czyś ty się upił?!... To są nasi sprzymierzeńcy!

— Tak?... — zęby Wilczyńskiego znowu się uśmiechnęły. — Tak mówisz?... O, tego znam.

Odwrócił się w stronę Kissa i uklonił, zdejmując kapelusz.

— Niech będzie pochwalony... Ksiądz dziś po cywilnemu? Szkoda, było księdzu do twarzy w sutannie...

— Żegnam — odburknął Kiss. — Idziemy, panowie.

— Czy w seminarium nie uczyli księdza, że przy powitaniu i przy pożegnaniu zdejmuje się kapelusz? A może ksiądz należy do tych modnisiów, którzy...

Kiss zwięził oczy i zrobił krok w stronę Wilczyńskiego, nie dając mu skończyć:

— Należę do tych, którzy nie znoszą impertynencji! O tej porze zdejmuję kapelusz tylko przed umarłymi, nie zmuszaj mnie, bym cię o tym przekonał!

— Zmuszać kapłana? Przenigdy!... Ale jeśli poproszę?

— To sprawdzę, czy masz krew błękitną, czy zwykłą!

Rybak pchnął Wilczyńskiego w pierś, odrzucając go pod ścianę.

— Wybaczcie, waszmościowie — rzekł — wino kradnie rozum ludziom o słabych głowach! Chodźmy, wyprowadzę panów.

Odprowadził ich aż do rogu ulicy, tłumacząc po drodze:

— Darujcie, coś go musiało ugryźć... Żal mi go, nie ukrywam, że go lubię, chociaż czasami ukreśliłbym mu łeb!... To człowiek, który nie ufa żadnemu mężczyźnie i żadnej kobiecie, bo nie ogrzał się w cieple żadnej miłości, ani kobiety, ani mężczyzny, nawet matki i ojca. A jeśli już któraś go kocha, jest taka, dziewczyna, z którą żyje, to on bierze ciało, ale nie widzi serca. Kaleka, jak wielu, lecz większy od innych, bo inni idą przed siebie czekając na kłopoty, a on je sam prowokuje. Chciałby wziąć na rogi cały świat, którego nienawidzi, pogryziono mu nie tylko ciało... Na szczęście w salonach, gdzie gra lorda, zachowuje się nienagannie. Może dlatego u mnie zrzuca ogładę, która go uwiera, w końcu tylko u mnie może to robić odkąd „Basior” nie żyje. Dusza „Basiora” wciąż w nim siedzi i wrywa się... Może być bardzo przydatny, bo porwie się na wszystko, trzeba tylko umiejętnie nim kierować. Bardzo umiejętnie. Gdy zauważy, że się nim steruje, gotów zaatakować sternika.

— Zdziwiał mnie jedno — rzekł Kiss. — Jak on może grać brytyjskiego arystokratę pod nosem posła Londynu nad Wisłą?

— Ambasador brytyjski, sir Wroughton, to mój przyjaciel — odparł Rybak takim tonem, jakby rzecz była znana całemu światu. — Bardzo lubi lorda Stone'a... Myślę, że kiedy jego lordowska mość oswoi się z wami, też go polubicie.

„Wątpię” — pomyślał Kiss ze złością, chociaż słuchając poczuł przez chwilę, że człowiek, o którym była mowa, jest mu w jakiś sposób bliski. Lecz głowę miał zaprzątniętą żebrakiem.

— Co o nim myślisz? — spytał pisarza, gdy zostali we dwóch.

— To człowiek niesamowity, kapitanie.

— Sam widzę, ale co o nim myślisz!

— Myślę, że jeśli to nie jest największy łobuz, jakiego znam, to jest to człowiek święty — odparł Grabkowski z powagą.

Szli przez chwilę w milczeniu.

— Kapitanie... — odezwał się nagle Grabkowski.

— Tak?

— Myślę cały czas o tym, kto... Że Replin, to jasne, ale przecież nie osobiście. Musiał to zrobić kucharz marszałka, albo ktoś ze służby. Czy nie warto porozmawiać z jego majordomusem, to stary człowiek i wydaje się przyzwoity...

— Dobrze myślisz, porozmawiamy z nim jutro.

Tymczasem Rybak wrócił do swego domu, a ściślej mówiąc do jednego ze swoich domów, miał ich bowiem w Warszawie i pod nią kilka. Oszczędźmy sobie wyzwisk, których nie szczędził Wilczyńskiemu i które zakończył zdaniem:

— Przykro mi, „Wilk”, ale nasza przyjaźń się kończy! To był twój przedostatni taki numer!

— Masz już innego wilka, więc nie potrzebujesz mnie, tak? Co zużyte, na śmietnik?

— Sam się odłączasz. Chcę mieć dużo wilków, obaj jesteście potrzebni, ale nie mogę tolerować takich wybryków jak tamta niepotrzebna strzelanina albo twoje dzisiejsze zachowanie! O zbyt wielką stawkę gram, żebym pozwoił psuć wszystko ludziom nieodpowiedzialnym. Daruj, lecz za następnym razem pożegnamy się! Oddasz dom i skórę Anglika i możesz iść do diabła, bawić się znowu w „Basiora”, ale tego ci nie radzę, bo wówczas on cię znajdzie...

— Tego ja bym mu nie radził, chyba że poszukuje swoich przodków, mogę mu to ułatwić! — wycodził Wilczyński.

— Masz jakiś powód, żeby go nienawidzić?

— A muszę mieć?

— Musisz spełniać moje rozkazy albo odejść! Wybieraj!

Wilczyński nic nie rzekł. Oddychał ciężko jak schwywane zwierzę lub niepokorne dziecko po biegu zakończonym kolejną przegraną, bezsilny wobec przyjaciela, którego kochał i przeklinał, i który mógłby jednym ruchem wyrzucić go ze złotej klatki do rynsztoka, a tego nie chciał równie silnie jak nienawidził swej niewoli. Pewien podstępny rodzaj grzechu, zwany zazdrością, cała owa, wywołująca agresję przeciw Węgrowi, wściekłość jedyne go koguta na podwórzu, gdy widzi rywala z tak samo potężną piersią, wielkimi pazurami i równie pyszną krasą grzebienia, była mniej dokuczliwym stresem niż ta bezsilność wobec króla żebraków, gorzej, wicekróla, bo

Rybak mówił, że nad nim stoi tajemniczy szef, Ninelli, stresem człowieka, który nie znosi rozkazów, a jest sierżantem w hierarchii swego oddziału, drapieżnika, który ma w piersi żagiew i nóż, a przy nogach cień tresera wczepiony zębami w uciekające pięty. Siedział bez ruchu i trawił to w sobie, a czas mijał niepostrzeżenie i krople nerwowej muzyki w jego głowie bębniły coraz słabiej, uspokajał się, rozluźniając mięśnie i przytomniejąc zwolna. Po chwili żebrak spytał:

— Było coś ciekawego na przyjęciu w ambasadzie pruskiej?

— Repnin mnie zaczepił. Starał się mówić po angielsku, ale źle mówi, pomagała mu żona.

— Księżna Natalia?... Więc zabrał ją ze sobą!

— To nie tak. Ona sama nie chce bywać, nie cierpi tłumu, tych pawich bubków, którzy się rozpierają. Nudzi ją to, woli ogród ambasady, pielęgnuje kwiaty i krzewy, i czyta poezje. Teraz Petrarke...

— Rozmawialiście ze sobą?

— Tak. Siedzieliśmy obok siebie przy kolacji.

— O czym?

— O różnych rzeczach. O pieśniach do Laury...

— Znasz je?

— Opowiadał mi dziadek. Wszystko wiem od niego, powtarzałem jego słowa... Obiecałem, że dostarczę jej „Eneidę” Wergiliusza, zdobądź to.

— Będiesz miał... za kilka dni — rzekł Rybak, powstrzymując się od krzyknienia: choćby jutro! — A czego chciał Repnin?

— Spytał, czy mógłbym powiedzieć Czartoryskim, że wpływowe koła polityczne Anglii są oburzone... nie, powiedział zde gustowane ich antyrosyjską postawą.

— Nieprawdopodobne!... Tak się...

— Tak powiedział.

— Uuuuu!... Rosjanie w kłopotach, nie przypuszczałem, że aż tak źle się czują... Co dalej?

— Odparłem, że do polityki się nie mieszam i że od takich oświadczeń są przedstawiciele dyplomatyczni. Na to on, że poseł angielski w Warszawie to urzędnik, kiedy ja jestem przyjacielem króla, że sytuacja wymaga pilnych rozstrzygnięć w sprawie różnowierców i że jako protestant zgadzam się chyba z humanitarnym projektem jej imperatorskiej mości, carycy Katarzyny, która nie może ścierpieć upośledzenia polskich protestantów. Na to ja, że jestem pełen uwielbienia dla humanitaryzmu carycy, ale w żadnym wypadku nie zamierzam wtrącać się do działań politycznych i że ani teraz, ani później tego nie zrobię.

— No i?

— Powiedział, że mój zamiar prawdziwie zasmuci jego królewską mość i wszystkich uczciwych ludzi. Odrzekłem, iż gotów jestem uczynić wszystko, czego sobie życzy jego królewska mość i uczciwi ludzie, za wyjątkiem tego, czego mi czynić nie wypada.

— Znalazłeś najlepszą okazję do dowcipów!... Pogniewał się?

— Skąd. Oświadczył, że nie ma zamiaru wywierać na mnie nacisku w tej sprawie, natomiast w innej nie ustąpi i zmusi mnie, choćby miał mnie związać sznurami. Mam często odwiedzać ambasadę i udzielać jego małżonce porad w hodowli kwiatów i

krzewów, bo chociaż jest u nich ogrodnik, to od króla dowiedzieli się, że ze mnie znawca w tej materii, a teraz trzeba przygotować ogród do zimy.

— Mam nadzieję, że nie odmówiłeś? — spytał żebrak, starając się ukryć podniecenie.

— Podziękowałem za zaszczyt i rzekłem, iż chętnie pomogę księżnej, jeśli tylko zdołam. Wybiorę się tam któregoś dnia.

— Świetnie. Ale najpierw... tak, trzeba kuć gorące żelazo, „Alex”... najpierw pójdziesz do króla i poprosisz o rozmowę w cztery oczy, w sprawie ujazdowskich drzew, oczywiście. A gdy zostaniecie sami, uczynisz zeń sejmowego przeciwnika Repnina.

— Co!... Czyś ty zwariował?

— Nie! Na sejmie rozpoczyna się mordercza walka. Partia Czartoryskich przeciw partii prorosyjskiej, tym psom, które kupił Repnin. Jest również grupa biskupa Sołtyka, senatorowie, sporo graczy. Wielu posłów szlacheckich jest zdezorientowanych. Zgadniają się z psami co do utrzymania, a właściwie przywrócenia pełnego „liberum veto”, bo ograniczono je przed dwoma laty w sprawach skarbowych, a także co do nie powiększania armii, ale nie chcą dopuścić do równouprawnienia innowierców. W tym jest klucz. Posłowie stawiają opór Repninowi, ale wiedzą, że korpus rosyjski zaczął już rajd po majątkach nieposłusznych magnatów, i boją się. W tej chwili wszystko się waży i gdyby król zmienił nagle front, opowiadając się przeciw Repninowi, to byłaby ogromna rzecz, bo po pierwsze ośmieliłoby to wszystkich do oporu, a po drugie Rosja nie mogłaby już wmawiać światu, że pomaga władcy zaprzyjaźnionego państwa w jego mądrych zamierzeniach. Okazałoby się, że Rosja działa przeciw tronowi, a więc ingeruje siłą w sprawy polskie.

— Przecież on tego nie robi za nic, tak się boi Repnina! Sam mi kiedyś powiedziałeś, że tragedia polega na tym, iż u nich baba jest królem, a u nas król babą. Każdy dzień to potwierdza i ręczę ci, że on się nie odważy!

Rybak pokiwał głową, ni to potakując, ni przecząc.

— Do niedawna myślałem jak i ty, ale zmieniłem zdanie, być może on to robi... Widzisz, Poniatowski nie jest kochany przez naród, wie, że uchodzi za marionetkę Petersburga, i cierpi przez to. Jego choroba to choroba słabych królów, brak miłości poddanych. Silni władcy mają to gdzieś, ale nie on. Teraz otwiera się przed nim ostatnia szansa przychylenia sobie sympatii narodu, trzeba mu to uświadomić. Wieje silny antyrosyjski wiatr i chorągiewka powinna się przekreślić. Wykorzystajmy to.

— On tego nie robi, umrze ze strachu!

— Przemawiając jako cudzoziemiec zawstydzisz go, wstyd to obok nienawiści najlepsze lekarstwo na strach, musisz tylko dobrze ubrać to w słowa. Twój dziadek samym opowiadaniem o swej wiedzy wykształcił cię tak, jakbyś kończył akademie, ja nauczę cię tego, co masz powiedzieć królowi... Ale nie każę ci kupować go wyłącznie za pomocą słów, słowa są tylko odzieniem czynu. Powiedziałeś, że umrze z przerażenia. A ja twierdzę, że z braku gotówki też umrze. Dwie jego główne cechy to strach i chciwość, tak, zwykła ludzka namiętność do pieniędzy, tylko że król potrzebuje ich więcej i w zależności od tego, co dorzucisz na którą szalę, ta u niego przeważa. Potrzebuje mnóstwo złota, bo mnóstwo wydaje, chce być wielkim królem, panem, mecenasem, budowniczym. Rosja, wiedząc o tym, płaci mu regularną pensję, od której

jest całkowicie finansowo uzależniony. Lecz ostatnio caryca, chcąc go ukarać za to, że ulegał wujom i próbował kontaktować się z Habsburgami, a także chcąc dać nauczkę na przyszłość, wstrzymała mu wypłatę pięćdziesięciu tysięcy rubli. I nasz królik jest w rozpaczliwym położeniu — goły! Kiedy zaproponujesz mu na początek dwadzieścia tysięcy dukatów od „wpływowch kół politycznych Anglii”...

— Rybak!

— Słucham cię, przyjacielu.

— Posiadasz takie pieniądze?!

— Posiadam dużo większe pieniądze, inaczej mógłbym grać o piwo w karczmach, a nie o tort w Warszawie — odparł Rybak, śmiejąc się śmiechem, który mało przypominał śmiech żebraka, a miał wszystko ze śmiechu czarownika strzegącego skarbów lub też proroka rozdzielającego laską morze. — Aha, byłbym zapomniał!... Jeden z tych, których widziałeś przed chwilą, najmądrzejszy z nich, użył w rozmowie ze mną pojęcia „aqua tofana.” To mocno działa. Rozmawiając z królem zrobisz to samo, tylko pamiętaj, że...

Coraz bardziej fascynuje mnie postać tego człowieka, który przywdział żebracze szaty, a jest takim mocarzem, iż rzuca wyzwanie imperium carów i czyni to z taką nonszalancją, jakby miał do dyspozycji wszystkie bogactwa Isfahanu i zdolności Sindbada przenoszącego piramidy Egiptu na latających dywanach. Spiskowiec nafaszerowany rewolucyjnymi tęsknotami, chcący wyzwalać narody od przemocy politycznej i ludzkość od ucisku społecznego — w nim, podejrzewam, koncentruje się zagadka historyczna owego czasu i jego myśli stanowią do niej klucz, a więc jego życie godne jest najwyższego zainteresowania pisarza. Niestety, to jedyny z moich bohaterów, o którym nic więcej nadto, co usłyszeliście, nie mogę wam powiedzieć, bo nic nie wiem, nie umiem rozpoznać jego przeszłości ani teraźniejszości. Ile razy chcę w nie zajrzeć, rozlegają się krzyki ptaków, ich skrzydła biją mi przed oczyma zaciemniając obraz, wzniesając bryzgi morskiej piany i białych mgieł, nasze twarze stają naprzeciw siebie po obu stronach białej nocy, owiane wilgotnym szmerem i widzę tylko jego oczy, wielkie i spokojne jak oczy sów w godzinie, którą świętują umarli, a przez śpiewający wiatr dochodzi tykanie niewidzialnego zegara, miarowy klekot ciężkich kropli spadających na schody do zamkniętej świątyni. On jest za tymi drzwiami, stoi w przedsionku uzbrojony w swój zwierzęcy węch i nasłuchuje mojego oddechu... Kim jesteś — pytam — aniołem czy szatanem, który słucha mojej opowieści drwiąc z niej w milczeniu ciemnego świata duchów?... Jestem ten, który jestem... — odpowiada mgła i jego twarz rozplywa się w przestrzeni miasta, wypełnia puste place i bryły domów, przenika przez mury i odbija się w lustrze śpiącej rzeki, w polerowanych kadłubach dzwonów nad dachami i w blasku lampy, która razi mój wzrok, kiedy siedzę ze stertą zapisanego papieru i z niedopałkiem piekącym moje wargi. Usta z dymu szepczą: Przejdź obok mnie w ciszy mroku i zajmij się tym, co ci wolno, spójrz na Kissa i tego wesołego ateusza, który mu służy, lub jeszcze lepiej zajrzyj do króla, gdy rozmawia z „Alexem”, bo to moje dzieło!...

Budzi się dzień, a stare tęsknoty znowu mają gorzki smak dławionej magii, niespełnione, ponieważ on, który jest tak ważny, rwie wszystkie ścieżki prowadzące do niego. Karmię moich skrzydlatych przyjaciół i czekam, aż umilknie wrzawa w

senatorskiej sali Zamku, posłowie rozejdą się na kwatery i król powróci do swych komnat, by odpocząć po kolejnym sejmowym praniu brudów tego kraju.

Wrócił o piątej po południu, o tej porze zmierzchu, kiedy mężczyznom zaczynają snuć się po głowach złote kielichy i rozpasane dziewice, ale był zbyt zmęczony i struty przebiegiem obrad, by już decydować czyje obnażone wdzięki dostąpią dziś łaski zaspokojenia ambicji z lędźwi majestatu — atłasowe uda baronowej von Schiitter i niespokojne łono księżnej Izabeli były mu w tej chwili jednakowo obojętne. Kamerlokaj przebrał go w niekrępującą robe de chambre, zwaną z niemiecka schlafrock, i zamówił kolację, którą Stanisław August zjadł w samotności, nie chcąc nikogo widzieć. Kilku suplikantów kazał odesłać do Moszyńskiego lub Branickiego i położył się na sofie, zgasiwszy lampę. Po ścianie obitej czerwoną materią mrok lał się na niego, na sprzęty oraz malowidła i wsiąkał kroplami balsamicznej ciszy w grube dywany, na których gały kolory, czyniąc z puszystego przepychu bezbarwną szmatę.

Obudził go Hennich, rozpalając ogień w kominku. Kazał mu zapalić lampy i podszedł do swego biurka, na którym leżało kilka nowych książek, w tym dwie angielskie powieści, które sprowadził pisarz koror ny, Ogrodzki: Tristram Shandy Sterne'a i The history of the adventures of Joseph Andrews and his friend mr. Abraham Adams Fieldinga. Wziął tę drugą i zagłębił się w lekturę. Po kilku stronach uczył, że rumieniec oblewa mu twarz: „... Jedynym źródłem prawdziwej śmieszności jest udawanie — czytał. —... Udawanie wynika z dwóch przyczyn: próżności lub hipokryzji. Próżność każe nam udawać dla zdobycia aplauzu. Hipokryzja znów każe nam unikać krytyki przez ukrywanie przewinień pod płaszczykiem cnoty” (tłum. Maria Korniłowicz).

Przełknął ślinę. Policzki paliły go, jakby dostał w pysk z obu stron. Ścisnął książkę tak mocno, że mogło się zdawać, iż chce ją zmiażdżyć niczym kruchą puderniczkę z weneckiego szkła. Oczy same, wbrew niemu, powróciły na druk... „Udawanie wynikające z próżności bliższe jest prawdzie, gdyż nie musi pokonywać tak gwałtownego oporu natury, jak w wypadku hipokryzji. Trzeba dodać, że udawanie nie oznacza koniecznie zupełnego braku tych zalet, które się chce udawaniem podkreślić. Co prawda, jeśli wynika z hipokryzji, jest ściśle sprzymierzone z oszustwem, gdy jednak pochodzi z próżności, jest raczej związane z chęcią pokazania się. Tak na przykład udawanie hojności...”. Cisnął książkę aż odbiła się od drzwi i padła na pawiment. W drzwiach ukazał się przerażony Hennich.

— Słucham, sire...

— Wynoś się! — krzyknął Poniatowski.

— Wasza królewska mość... Turkuł przyprowadził lorda Stone'a, który prosi o posłuchanie.

— Nie teraz!

— Mówi, że z ważną sprawą, z bardzo ważną, najjaśniejszy panie... chodzi o jakieś drzewa.

Przetarł oczy, jakby czyszcząc je z pyłu wściekłości, i rzekł zrezygnowanym głosem:

— Wprowadź.

Anglik wszedł z szerokim uśmiechem, skłonił się i ujrzał sponiewieraną książkę u swych stóp. Podniósł ją i spytał:

— Czymże zasłużył sobie na niełaskę pan Henry Fielding, mój rodak i imiennik, najjaśniejszy panie?

— To bęcał! — odparł Stanisław August. — To człowiek, który nie rozumie... w ogóle nic nie rozumie! Czytałeś go?

— Przyznam, że nie, sire...

— I dobrze zrobiłeś!

— ... natomiast słyszałem o nim dużo dobrego. Nie jako o pisarzu, lecz jako o sędzim pokoju, który położył znaczne zasługi w tępieniu przestępczości. To on stworzył pierwszą policję londyńską, sire, owych „gońców z ulicy Bow”, o których musiałeś słyszeć, najjaśniejszy panie, a kiedy ostatni raz byłem nad Tamizą i wybuchła jakaś afera trucicielska, pamiętali tam jeszcze jego słowa skierowane do medyków: „Wydobądźcie truciznę z ukrycia!”... Dostałem właśnie świeże wiadomości z Londynu, sire, i z tym przychodzę.

— Rozgość się, milordzie.

Stone położył książkę na biurku, a skórzaną sakwę, którą przyniósł ze sobą, na dywanie, i zatrzymując tylko laskę usiadł w fotelu, uprzednio przysunawszy go bliżej króla.

— Czy możemy rozmawiać w tej komnacie nie będąc podsłuchiwanymi, sire? — spytał szeptem.

— Mniemam, że tak — odparł król — zresztą któż tu, tandem, może znać angielski, prócz nas?

— To dobrze, najjaśniejszy panie, bo sprawa, z którą przychodzę, wymaga tajności.

— Zadziwiasz mnie, milordzie, to i drzewa mają aż takie sekrety?

— Wasza królewska mość zadziwia cały świat. Wpływowe koła polityczne Londynu mocno się dziwią, że gdy Rosja chce narzucić Polsce swe kombinacje, szkodliwe dla tego kraju, ty panie popierasz owe dążenia i czynisz to wbrew całemu narodowi, który jest przeciwny różnowiefcom, a tym samym odrzucasz szansę zyskania poklasku swoich poddanych.

Stanisław August otworzył szeroko oczy; bezpośredniość człowieka, który do tej pory rozmawiał z nim tylko o florze, o pielęgnacji drzew i ogrodnictwie (zwał go „swoim angielskim ogrodnikiem”), osłupiała go. Coraz więcej mamy ludzi zdumionych w tym rozdziale.

— Skądże to Londyn...

— Londyn ma dobrych szpiegów, sire.

— Jesteś zapewne wśród nich ozdobą, panie Stone, a mówiłeś mi swego czasu, że nie mieszasz się do polityki, bo drzewa i kwiaty dają większą przyjemność! — rzekł rozgoryczony król.

— Nie kłamałem, sire, nie jestem szpiegiem i nie mieszam się do polityki. Robię wyjątek, bo chcę twego dobra, nie życzę ci, byś zerwał ze swym narodem. Robię ten wyjątek na życzenie jednego z członków mej rodziny, który ma powiązania z politykami mego kraju.

— Politycy waszego kraju przystali już dyspozycje waszemu ambasadorowi. Sir Wroughton właśnie smaży oficjalną notę w imieniu waszego rządu, sam mi to rzekł, popierającą projekt rosyjski, i wręczy ją, tandem, mojemu rządowi, kiedy tylko książę

Repnin oficjalnie zażąda w imieniu carycy równych praw dla innowierców! A to już wkrótce.

— Ah, sire — uśmiechnął się Stone, robiąc lekceważący ruch ręką — to samo uczyni Berlin i kilka innych stolic. Wroughton to urzędnik, który wykonuje, co należy, nie wnikając za kulisy. A tam nie zawsze białe jest białe. Oficjalna polityka jest jak biskup, który gromi z ambony rozpustę, myśląc o wieczornej schadzce z siostrą wikarego. W istocie Londyn jest zaniepokojony...

— Jeśli nawet to prawda, mój panie, to, tandem, Londyn jest daleko, a wojska rosyjskie w Polsce!

— Dla nastraszenia, sire, ale jakoś szlachta nie daje się zastraszyć. Wojny z wami Rosja nie wzniesie... Mówisz, najjaśniejszy panie, że Londyn daleko. Ale twój naród blisko, a król, który stoi przeciw narodowi...

— Milordzie, bacz co mówisz i do kogo! — krzyknął Poniatowski, siniejąc na twarzy, drugi już raz tego popołudnia.

— Baczę, sire, ciebie zaś błagam, abyśmy mówili ciszej... Chcę powiedzieć, że Londyn doskonale wie, jak bezczelnie Petersburg próbuje cię szantażować. Myślę o zablokowaniu wypłaty sum należnych ci z tytułu zawartych umów skarbowych...

Stanisław August westchnął głęboko.

— Sam widzisz, mój przyjacielu, jakim naciskom jestem poddawany. Okradają mnie, wiedząc, że król bez pieniędzy...

— Londyn to rozumie, sire, i gotów jest pomóc ci w trudnej sytuacji — rzekł Stone, sięgając po sakwę. — Oto, na początek, dwadzieścia tysięcy dukatów, które wypełnią lukę twego skarbu, najjaśniejszy panie. Jeśli przeciwstawisz się na sejmie planom rosyjskim w sprawie religii i „liberum veto”, każdego miesiąca Londyn zasili polski skarb koronny podobną sumą, wypłacaną przeze mnie na twoje ręce, najjaśniejszy panie, tak długo, jak długo wytrwasz w opozycji przeciw Repninowi.

Nie bez przyczyny, jak widać, angielskie słowo graft oznacza zarazem łapówkę i przeszczep ogrodniczy — „angielski ogrodnik” polskiego króla osiągnął cel. Stanisław August rzekł mu na pożegnanie:

— Wydam te dukaty, milordzie, przeciw rublom, którymi Repnin kupuje sobie stronników.

— Tak myślałem, wasza królewska mość — odrzekł Stone — nie ma lepszej odtrutki na truciznę, którą jest złoto obcego mocarstwa, służące do kupowania w Polsce zdrady. Sama zaś zdrada to najgorsza z trucizn, działa jak „aqua tofana”, poraża śmiertelnie organizm, lecz nie zostawia śladów i truty umiera niby od zwykłej choroby. Polsce wmówiliby truciście, że umarła na własną anarchię lub niemożność samostanowienia. Ale kiedy odpowiednio wcześniej zastosować odtrutkę, każda trucizna okazuje się za słabą...

— A propos, drogi przyjacielu, nie wiesz przypadkiem, czy to prawda, że marszałek Bieliński skonał od tej właśnie wody? Doszedł mnie taki głos...

— Nie wiem o tym nic, sire. Plotkować łatwo, ale musieliby to stwierdzić lekarze, jak tego chciał Fielding... Pozwól, miłościwy panie, że cię pożegnaj.

I wyszedł zaskoczony, że poszło mu tak łatwo. Kilkanaście godzin później szeregi zaskoczonych wzrosły niepomiarowo...

Ku zaskoczeniu nie tylko marszałka sejmu, Czaplica, senatorów i posłów, lecz nawet wujów Poniatowskiego, książąt Czartoryskich, następnego dnia Stanisław August zrobił potężną wolnę: począł agitować w kuluarach przeciw uleganiu Rosji w czymkolwiek, nazywać każdą ewentualną próbę podważenia priorytetu wiary katolickiej zbrodnią, wreszcie żądać wyjścia wojsk rosyjskich z Polski i nie zawiesił głosu, widząc zbliżającego się księcia Repnina.

Słyszałeś zapewne, czytelniku, opowieści poetów o posągu zdumienia; musiałeś też słyszeć — bo w przeciwnym razie należałoby uznać, że mało słyszałeś — o pani Lot, małżonce pewnego krewniaka Abrahama, która ze zdumienia zamieniła się w słupek soli; i wiesz jak zdumienie sprawiło, że jeden z synów Krezusa przemówił, mimo że był niemy. Ale żadna z tych historii, ani dłuto Fidiasza, pędzel Leonarda czy nawet ołówek Picassa, nie mogłyby dać ci pojęcia o takim zdumieniu, jakie owładnęło twarzą księcia Mikołaja Wasiliewicza Repnina na widok buntu człowieka, którego traktował dotychczas niczym katarzyniarz małpę na łańcuchu. Małpa patrzyła mu zuchwale w twarz i każdym zdaniem o różnowiercach wzbudzała aplauz słuchających oraz jego osobistą furję. Nawet zawzięci wrogowie Poniatowskiego nie ośmielili się polemizować z małpą, której oczy promieniowały ostrzeżeniem szekspirowskiego króla Lira: „Gdy władca przemawia, niech psy nie szczekają!”. Repnin wziął głęboki oddech. Prakliatyj!

Dwie godziny później specjalny ambasadorski kurier pognął na złamanie karku w stronę Petersburga, a 14 października 1766 roku poseł pruski w Rosji, hrabia Solms, donosił w raporcie do króla Fryderyka: „Sprawy w Polsce przechodzą obecnie kryzys, nabawiając ministerium rosyjskie poważnych kłopotów (...). Występuje obecnie na scenę król polski i mówi za wszystkich. Twierdzi, że nie można przyznać różnowiercom nic innego tylko tolerancję i odmawia im wszelkiego udziału w prawodawstwie, wyłączając ich od wszelkich cywilnych urzędów”.

Stary La Fontaine miał rację pisząc w III księdze „Nowych bajek” o złocie: „Czegóż nie potrafi ten błogosławiony metal, władca świata...”. I nie trzeba wcale dwudziestu tysięcy dukatów — pisarz więzienny Grabkowski nie zebrał nawet dziesiątej części tej sumy. A przecież gdyby nie jego skromne oszczędności, doktor Reyman nie udałby się do łoża umierającego marszałka Bielińskiego, by wykryć, że przyczyną śmierci była aqua tofana; gdyby Reyman tego nie wykrył - kapitan Imre Kiss nie zapalałby nienawiścią do księcia Repnina i nie szukałby przy pomocy Grabkowskiego zbrodniczej ręki; gdyby kapitan Kiss nie szukał jej — nie pomyśleliby obaj z Grabkowskim, że trzeba przesłuchać majordomusa pałacu Bielińskich, starego Ludwika Mirosza; gdyby o tym nie pomyśleli — nie znaleźliby jego ciała z nożem w piersi, w kilka zaledwie minut po zgonie; gdyby się spóźnili — ciało Mirosza leżałoby już w innym miejscu i byłoby obmyte z krwi. A tak Grabkowski natychmiast zauważył, że wskazujący palec ręki majordoma umazany jest czerwienią i tylko na opuszkę widnieje biały tynkowy pył. Na pobielonej ścianie, tuż nad podłogą, znaleźli ledwie widoczne słowo, które Mirosz wypisał własną krwią nim skonał. To słowo było nazwiskiem, a nazwisko brzmiało: Krammer.

Gdy pojawili się w jego domu niczym zjawy, oberinstygator ujrzał w ich oczach śmierć i skoczył przez okno do ogrodu. Przebiegł dziecięc kroków. Świszczący język karikas dosięgnął najpierw kostek jego nóg, podcinając rozpędzone ciało i waląc je na

ziemię. Drugie uderzenie ołowianej kulki na krańcu węgierskiego bata przecięło wargi, wybijając ząb i masakrując język w ustach otwartych do krzyku. Stańko wraz z Pałubcem-Gąsienicą wciągnęli Krammera do izby i Grabkowski pokazał mu flaszczykę z napojem, mówiąc:

— To też jest aqua tofana, ale z dodatkiem, umiera się od razu i bez bólu. Poczęstuję cię, jeśli powiesz, kto ci kazał zabić marszałka. Nie powiesz, to Stańko wyrówna z tobą rachunek za te pieszczoty, którymi go potraktowałeś w lochu, zatłucze cię kijem jak psa! Wybieraj.

Krammer rzeził coś błagalnie, ale nie można było zrozumieć słów, za każdym poruszeniem warg wylewała się z nich krew. Na rękę spadło mu potworne uderzenie pałki Stańka, gruchocząc kość. Zemdlał i musieli go cucić wodą. Kiedy otworzył oczy, Grabkowski spytał:

— Chcesz, by Stańko bił dalej? To może długo potrwać, nie tak łatwo wypędzić kijem ducha z człowieczego ciała, a ty jesteś silny chłop, pomęczysz się... Dobrze ci radzę, powiedz. Repnin?

W Krammerze, półprzytomnym z bólu, zaszła jakaś przemiana, zgasła nadzieja lub chęć oporu i skinał potakująco głową.

— Byłeś jego szpiclem?

Skinał powtórnie, niczym automat. Pisarz wlał mu płyn do ust. Krammer zakrztusił się i wypluł część trucizny zmieszanej z krwią. Konając patrzył na nich dziwnym wzrokiem, jakby drwił, naigrywał się lub złorzeczył. Imre nie mógł zrozumieć tego szyderstwa w gasnących oczach wroga, przeszył go nagły lęk, ale gdy Krammer zeszytniał, lęk odpłynął i wszystko to zdało mu się przewidzeniem.

Mój strażnik, mój Argus, mój wróg i mogę rzec towarzyszu, bo obserwuje Wieżę Ptaków, odkąd tylko zacząłem pisać „Milczące psy” — ten tajemniczy człowiek, raz jeździec, a raz pieszy w płaszczu, kapeluszu i ciemnych okularach, o którym kilkakrotnie już wspomniałem i którego nie znam, chociaż nasze myśli nieustannie krzyżują się w pustej przestrzeni między wieżą a zboczami sąsiednich pagórków — ma takie same oczy. Jest w nich niezrozumiała drwina. Bawi go zapewne cały mój wysiłek, który już dostał swój wyrok od jego mocodawców, cierpliwie czekających aż skończy. Kiedy czytam gotowe już partie książki moim ptakom — ogarnia mnie zawsze to samo uczucie: że on słyszy każde słowo. Tak więc zapewne bawi go, że oto przedstawiłem bunt króla, który niczym król-ojciec ma już truciznę wlaną do ucha i ozdrowiał tylko na chwilowej scenie, w spektaklu, który Hamlet urządził w Elsynorze, by spojrzeć na reakcję morderców... To nic, niech się cieszy, ptasi bracia moi, a wy nie opuszczajcie mnie, bośmy jeszcze nie skończyli i ujrzymy dopiero, kto będzie się ostatni śmiał. Ja i moje ptactwo lecimy dalej ku odległemu kresowi tej baśni...

„Niepogodzeni z bezsenssem istnienia,
Z krzywdą i zdradą, lękiem i cierpieniem.
Duchom podobni, dzwoniąc łańcuchami,
Przenikamy przez mury nowych Elsynorów,
Aby zbrodnie prawdziwym nazywać imieniem,
Straszyć warty królewskie i przemijać cieniem”...

Tak pisał o nas Antoni Słonimski, ten sam, który w innym swoim wierszu stwierdził: „Zbrodnia nie nazwana jest jak trucizna utajona w winie”...

Rozdział 2

ROZKOSZE MIŁOŚCI

„Miłość wkracza w życie
pojawia się ptak naprzeciw każdej twarzy
niespodziewany zgiełk krwi
przechodzi i pozostawia olbrzymi płomień”

(Jesus Cos Causse, „Gdzie mówię o miłości”, fragment, tłum. Marcei Minc).

Nie mieszkam już sam w wieży. Właściwie nigdy nie mieszkałem w niej sam, jest ona pełna ptaków, ale to tylko ptaki, a teraz mieszkam z kobietą. Tak, panowie i panie, czas gadać do rzeczy, świat nie składa się z samych mężczyzn, polityki, zbrodni i zębów gotowych do zadawania bólu. Są jeszcze te oświetlone komnaty we śnie i na jawie, po których z uśmiechami lalek na kruchych twarzyczkach z pudru i porcelany poruszają się, nagie pod kolorowymi kaprysmi mody, kopciuszką i księżniczką, ukochane córki wielkich bankierów i samotne sekretarki czerwonych fabryk, modelki i studentki, dziewice i kurwy, białe i czarne, chytne i dobrodusze, podniecone wdowy i rozmarzone panny, szpaler za szpalerem; są te przyćmione, nieobliczalne godziny odpoczynków wojownika, w wilgotnych szeptach, delikatnych kąsaniach mokrych warg, palcach sunących od szyi do cienkich żyłek we wklęsłościach pachwin, w kłujących jak ostrogi piersiach, splątanych nogach, wygiętych grzbietach i stłumionych jękach, w pulsowaniu skóry i szybkich westchnieniach pod zamkniętymi powiekami, w nie zgaszonych światłach w sąsiednim pokoju i w oddechach, które spokojnieją poprzez usta trzymające papierosa lub wypluwające pestkę winogron.

Wszystko to razem — to jedyna fajna rzecz, którą udało się nam ocalić od momentu Stworzenia, z reszty zrobiliśmy górę śmieci. Tak właśnie myślę sobie czasami. Gdybym myślał tak zawsze, nie pisałbym „Milczących psów”, bo po co, i do tego w łóżku?

Stało się to jednego z tych świtów, kiedy silny wiatr kręci się wokół wieży, zamiata suchym pyłem ziemię, pędzi po niebie niskie ciężkie chmury, zgina gałęzie i obrywa liście. Obudziło mnie gwałtowne łomotanie do drzwi. Ubierając się pomyślałem, że nie ma powodu do obaw, iż przyszli po mnie, bo wówczas moje ptaki wzbiłyby się z krzykiem w powietrze, tak jak zrywają się, kiedy człowiek w ciemnych okularach przybliży się choćby o krok od linii, którą wyznaczają krzewy na krawędzi pagórków.

Moje stado spało spokojnie, z łebkami wtulonymi pod skrzydła i brzuskami drgającymi od złych snów. Schodziłem po schodach w rytm walenia kamieniem o wrota z czarnego dębu, zakute w żelazny pancerz z ozdobnymi bokami. Najwidoczniej dzwonek okazał się za słaby i zmusił nieznanego do poszukania lepszego budzika. Przez szkło judasza ujrzałem twarz kobiety, brzydką jak w zwariowanym lustrze miasteczka śmiechu. Ale gdy otwarłem, lustro stało się potakującym królowej zwierciadłem z disneyowskiej bajki o Śnieżce.

Była przepełniona strachem, który nie psuł jej urody. Plotła coś bez związku, niczym dziecko, które chwilowo utraciło mowę na skutek nagłego szoku i musiałem uderzyć ją w twarz, by zamilkła i przestała się trząść. Potem dałem jej kieliszek alkoholu i słuchałem. Okazało się, że uciekła. Nie ważne skąd. Jak ktoś ucieka, to ma powód, a jak ma powód, to ma prawo.

Zamieszkała u mnie. Wcale jej o to nie prosiłem, moja samotność nie przeszkadzała mi, zżyłem się z samotnością i poznałem jej zalety. Obcowałem z samotnością słysząc tętent własnego serca, wśród bezmiernej ciszy, która przypomina sen i spokój śmierci. Razem przeprawialiśmy się przez wściekłe górskie szlaki i razem słuchaliśmy ożywczego milczenia ziemi podczas wspólnych wacht nad czystymi kartkami papieru, przygotowując się do stratowania ich galopem. Lubiliśmy to samo: olbrzymie, gwiaździste oblicze mroku, kiedy nie słyhać niczego poza sobą samym, nawet syren statków na rzece, i wielką falą napływa zdrowie psychiczne; kiedy otwierają się drogi przez pustynię i masz świadomość, że nie popadniesz w obłęd z pragnienia, nie udusisz się jak zabłąkany sznur w ściekowej rurze; kiedy widzisz światło nieznanego wybrzeża i dobijasz do obcych portów z przyływem szalonej, kipiącej woli tworzenia. I wreszcie okazuje się, że tak doskonałej samotności brak tylko żywych odgłosów i dźwięków, które dowodzą czyjejś fizycznej obecności: gdy ktoś mówi: „dobranoc” i kiedy skrzypią drzwi otwierane nie przez ciebie.

Jest w naszym związku coś niesłychanie podniecającego i z mojego punktu widzenia nie jest to jej uroda, ciało czy nawet perfekcja jej kochania. Uświadomiłem sobie co to jest zadziwiająco późno, dopiero następnego dnia, rozpamiętując minioną noc. Przez cały czas mówiła mi per „pan”! Było to bezsensowne, ale okazało się przedziwnym afrodyzjakiem i tak już trwa — Marta poddała się temu i tytułuje mnie jak Sara Abrahama, swoim panem. Jest to rodzaj gry, w której wbrew pozorom nie ma udawania. G. L. Duprat pisze w studium psycho-socjologicznym o kłamstwie:

„Można udawać wszelkie uczucia: miłość udają często obie płci, wstyd bardzo wiele kobiet; równie często udają ludzie patriotyzm, zapał religijny, szlachetność, bezinteresowność itd.”.

My nie udajemy ani miłości, ani przyjaźni, ona też nie wstydzi się na pokaz, udajemy tylko, że wobec mnie nie istnieje forma „ty” i jest nam z tym dobrze. Marta karmi moje ptaki, gotuje, pierze, zwracając mi w ten sposób czas na pisanie, który kradnie w inny sposób, i twierdzi, że mury wieży dają jej poczucie bezpieczeństwa. W wolnych chwilach uczy się pisać na maszynie, chce mi pomagać i w tym. Robi wszystko, bym pozwolił jej zostać jak najdłużej. Do diabła! — nie pozwoliłbym jej odejść tak łatwo, zbyt mi to na razie smakuje, ale ona się boi i niech się boi!

Nie ona jedna, kobiety często uprawiają strach. Identycznie boi się nałożnica lorda Stone'a, mieszkająca razem z nim w domu, który urządził im Rybak, owa Stefka więta

z chałupy, w której Wilczyńskiemu opatrzone rany od psich kłów. To ta — przypomnijcie sobie z zakończenia trzeciego rozdziału poprzedniego tomu — która czuwała po nocach przy jego skrwawionym ciele i którą umieścił w swoim łóżku, bo tylko przy niej mógł się obnażać, gdy wszyscy policjanci Warszawy szukali „Basiora” z plecami naznaczonymi przez psy Czartoryskich; ta sama, która, by wprowadzić się do jego serca, uczyniła ogromny wysiłek edukacyjny, nauczyła się czytać, pisać, nawet rozmawiać dowcipnie i poznała dobre maniere, w czym niewątpliwie pomogła jej krew starego księcia Czartoryskiego, co sparzył się niegdyś z jej matką-wieśniaczką.

Ta śliczna bękarcica zrobiła skok rodem z bajki i nie dosięgnęła tylko tego, o co chodziło — serca człowieka, który stanowi dla niej wszystko na świecie. Stała się jedną z tych rzadkich kobiet, które kochają prawie bez warunków, prawie bezinteresownie, które —jakkolwiek długo trwałby związek z wybranym mężczyzną — nie serwują rozkoszy za ekwiwalenty pieniężne lub z pieniędzy się wywodzące; których jedynym celem, traktowanym niby powołaniem, jest pierwotny cel kobiety: dawać samcowi przyjemność i odpoczynek. Takie księżniczki, prawdziwe arystokratki swej rasy, trafiają zazwyczaj na głupca lekceważącego ich oddanie i ową perwersyjną bezgrzeszność, która emanuje z nich podniecająco każdej nocy, na człowieka, który nie wie, jak niewiele trzeba, by udowodnić swą męskość: być czułym i dać godną oprawę jej urodzie. Można było pomyśleć czasami, że Wilczyński dojrze do tego wtajemniczenia, ale można było wówczas popełnić błąd.

Którejś nocy, gdy wydawało się jej, że serce jego drgnęło (w takiej chwili bardzo łatwo ulega się złudzeniu), spytała, czy nie mogliby się pobrać. Patrzył na nią przez chwilę zdziwiony, a potem zaczął opowiadać, ni to jej, ni sobie, starogrecki mit, który usłyszał od dziadka, kiedy ten wpał w wnukowi historię drzew — o tym, jak Zeus i Hermes zstąpili na Ziemię pod postacią śmiertelników. Byli nędznie odziani, dlatego każdy odmawiał im strawy i schronienia. Wszyscy odwracali się od biednych tułaczy za wyjątkiem Filemona i Baucis, ubogiej pary, która zaofiarowała im gościnę w swej chatce. W podzięce za to bogowie spełnili życzenie kochających się małżonków, którzy pragnęli umrzeć jednocześnie, tak by żadne z nich nie musiało opłakiwać drugiego. Bogowie sprawili nadto, że po śmierci Filemon i Baucis przemienili się w dwa drzewa, w dąb i lipę, które przez długie wieki miały stać obok siebie, dotykając się gałęziami.

— To bardzo piękne — powiedziała z nadzieją w sercu, nie wiedząc, iż jeszcze nie skończył.

— Bajki są piękne— odparł — ale w życiu na ogół małżeństwo jest areną udręczeń. Dzisiaj małżonkowie zostaliby przemienieni w kaktusy! Mój dziadek, patrząc na moich rodziców, powtarzał słowa Pascala, że wszystkie nieszczęścia świata biorą się z nieumiejętności dwojga ludzi mieszkania w jednym pokoju...

— Przecież my mieszkamy razem i jest nam dobrze... — szepnęła truchlejąc.

— Bo jesteśmy wolni. Jest nam dobrze właśnie dlatego, że nie jesteśmy małżonkami i każde z nas może odejść kiedy zechce.

— A gdzie ja mogłabym odejść? — zapytała tak cicho, że nie powinien usłyszeć, lecz usłyszał.

— Ludzie odchodzą tam, gdzie jest im lepiej — rzekł, odwracając się do ściany. — Śpij.

Jakby przeszył ją żelazem, rozniecając jeszcze większy strach.

Biegły dni podobne do siebie niczym krople łez i nic się nie zmieniało w ich życiu, lecz to nie przynosiło jej ulgi — dni liczy się nie tylko w więziennej celi, w której to liczenie zmniejsza ból, bo każdy kolejny dzień przybliża do szczęścia. Zdarzyło się, że przez tydzień cierpiała prawdziwe męki — gdy nagle wyjechał bez pożegnania, zniknął gdzieś w nieczułym świecie, który okrażał ją. Ten tydzień rozpaczliwego osamotnienia był jak ciężka choroba, która zostawia trwałe ślad, jak ospa duszy.

Wilczyński pojechał wtedy do rodzinnego Mirowa. Hesse Siddharatha pisze w „Wilku stepowym”, że „do domu nie wraca się nigdy, ale tam, gdzie zbiegają się przyjazne drogi, cały świat przez chwilę wydaje się domem”. Nie wiem, czy jest to prawda, są chyba tacy, którzy wracają. W każdym razie „Alex”, mający najczęściej pod stopami drogi nieprzyjazne, wybrał się do rodzinnego domu nie dla rodzinnych odwiedzin, lecz powodowany wieściami, które napłynęły do Warszawy o mirowskiej apokalipsie. Minęło wiele lat od czasu, kiedy przegonił siekańcami z garłacza drwali tnących „króla Mirowa”, spojrzął ostatni raz na przykryty cieniem dębu kopczyk z krzyżem, rzucił ojcu groźbę i uciekł przeklinając w duchu swój dom. A teraz to lub inne przekleństwo sprawdziło się w sposób, który przyprawiał go o drżenie na samą myśl o nim.

Dojechawszy na miejsce ujrzał widok bliski temu, jaki ukazał się oczom Kissa, kiedy Węgier dotarł, po wędrówce przez kilka kontynentów, do swego domu. Za bramą to, co kiedyś było — nawet po wytrzebieciu przez handlującego drewnem ojca — pięknym parkiem, zamieniło się w rozczochrany chaos, senny w swoim lenistwie i oszołomieniu słońcem, dziki i odpychający wspomnienia; niczego nie można było rozpoznać we właściwym kształcie. Ruiny domu sprawiały wrażenie posępnej rzeźby, wymodelowanej ręką sknery o artystycznym zacięciu, łuszczyły się płatami spalenizny i rysowały na tle nieba kikutami niestrawionych belek, jak skorupa okrętu wyrzuconego na skały i rozpadającego się stopniowo, kropla po kropli, aż do ażurowej siatki wraku, który zabłąkani żeglarze odnajdują na trasie swego rejsu niczym głucho memento mori.

Wokół nie było żywego ducha. Zeskoczył z konia, przywiązał go do drzewa i ruszył wzdłuż pogorzelska, tnąc świszczącymi cięciami laski końce gałęzi i szczyty krzewów. Na skraju łąki stanął, wpatrzony w jedyną pozostawioną tu rzecz, którą kochał. Wiekowy patriarcha mirowskiej flory rozpierał się gigantycznymi konarami w niebo, zwrócony twarzą ku Wilczyńskiemu, jakby przyzywając go niecierpliwie: czemu się ociągasz, nie dość trzeba było na ciebie czekać?

Poszedł wolno przez to pole, na którym niegdyś dziadek uczył go dosiadać wysłużonej, dobrotliwej szkapy o szerokim grzbiecie. Mały Olek wspinał się na nią bez pomocy strzemion i spadał po kilku krokach kłusa, a wtedy koń zatrzymywał się i schylał głowę, by obejrzeć chłopca swymi krótkowzrocznymi, mrugającymi oczami. Dalej był bór, w którym stary Kamyk pokazywał wnukowi jak odczytywać tropy zwierząt i milczące ślady leśnych dramatów. Czasami budzili się przed świtem i szli na polowanie, zwykle bezkrwawe, lecz o wiele bardziej pasjonujące od polowań, które urządzał ojciec, podobnych do amatorskiego szlachtuza i zwanych przez dziadka pogardliwie świniobiciem, pośród głosu trąb, szczekania ogarów i wrzasków nagonki — tych nie cierpiał, a przymuszony do udziału, pudłował, znosząc obojętnie

wystawianą mu opinię kiepskiego strzelca i ciemności. Kpiarze nie mieli pojęcia, że celując do dzików wybierał sobie najcieńszą gałązkę, pod którą przebiega zwierz i ścinał ją kulą jak nożem. O tym wiedział tylko dziadek.

Pod dębem zobaczył dwa krzyże, jeden stary i pochylony, który sam wystrugał niegdyś i osadził na grobie, drugi świeży i hardo sterczący, nie wiadomo czyj. Poprawił krzyż dziadka, mocując się ze zmarzniętą ziemią wywiercił w niej głębszy otwór szpadą dobytą z wnętrza laski. Potem uklęknął, ale słowa pacierza, którego nie odmawiał od wielu lat, poplątały mu się.

Wrócił na rumowisko dworu, jakby pragnąc znaleźć klucz do katastrofy. Po niedopalonych fragmentach ścian, które kuliły się wokół pionu komina wyciągniętego ku obłokom niczym długi oskarżycielski palec, rozpoznawał części domu: tu był ganek połączony z sienią, na lewo reprezentacyjna izba z niebieskim obiciem i białym piecem, dalej sypialnia rodziców z kitajkowym łóżkiem o złotych galonkach, i pokoiki jego i brata, w prawo od sieni pokój kredensowy, kuchnia i dwie małe sypialnie, jedna należała do ciotki, druga do dziadka. Ten ostatni pokój, do którego dziadek zapraszał tylko jego, stanowił ich dwuosobową lożę masońską, tajemniczy i zastrzeżony Sezam, w którym na rogach jeleni wisiała broń wszelakiego rodzaju, a w sosnowej szafie piętrzyły się stosy książek, z których Kamyk czerpał mądrości przekazywane wnukowi. Poczuł zapach tego skarbcza, będącego mu dawno temu kolebką wszechrzeczy, przywołany przez pamięć, bo w nozdrza wpadało jedynie ostre powietrze i woń spalonego drewna. Wiatr przeciskał się jęklonie przez zwałone krokwie i słupy, niosąc ochrypły szept konającego: „Nie daj się!... Nie daj sieeeęęę...”.

We wsi powiedziano mu, że dwór spalili Rosjanie, ubiwszy dziedzica, zaś pani, co była we dworze, skoczyła następnego dnia do stawu i teraz straszy wieczorami na mokradłach. O bracie nikt z chłopów, nawet ci, co służyli we dworze, nie potrafił niczego powiedzieć; Damian Wilczyński przepadł bez śladu.

Cała ta tragedia, która wydarzyła się w Mirowie jesienią 1766 roku, miała za swoje źródło dwie kobiety, jedną miłość i kilka nienawiści, o których opowiem, bo brat lorda Stone'a wstąpi jeszcze na ścieżki prowadzące do purpurowego srebra i odegra na nich ważną rolę. Musimy się cofnąć...

Po śmierci Kamyka i ucieczce Aleksandra, w pokoju uciekiniera zamieszkał sprowadzony z miasta preceptor matematyki, imię Balcerus. Był karykaturą uczonego. Miał wstrętny zwyczaj chwytania rozmówcy za guzik i dyszenia nieświeżym oddechem w cudze usta, tak iż zgadzano się na wszystko, o co prosił. Raz na tydzień upijał się kompletnie i wówczas wrzeszczał o przewadze matematyki nad pozostałymi naukami:

— Tylko za pomocą liczby odkrywa się niezmierność, ouup!... O wy, liczby, przebiegające nieskończoną przestrzeń!... ouuup!... notujące wszechświat, zgasłe ognie gwiazd, bieg niebios, ouuup!... O liczby, dajecie nam pojęcie o wielkości Boga!

Ojciec podzielał jego zdanie na temat liczb. Pragnął, by syn dobrze posiadał tę dziedzinę, oszukiwany bowiem w rachunkach przez kupców, z którymi robił interesy, postanowił, że uczyni z chłopca swego pomocnika. Damian miał umieć rachować, o więcej Kacper Wilczyński nie stał. Ujrzawszy któregoś dnia książkę w ręku syna (była to książka wykradziona z szafy dziadka), rzekł marszcząc brwi:

— Co to jest?

— Romans, panie ojcze.

— O czym?

— O... no... o miłości i...

— Czyjej? Kiedy i gdzie się to działo? U nas, w Rzeczypospolitej?

— Nie, ojczcze... przecież to są fikcje...

— Aaaa! — ryknął Wilczyński. — Fikcje, a więc kłamstwa, a kłamstwo pierwszy gradus do piekła!

Na krzyk ojca wybiegła ze swej komnaty ciotka, którą po śmierci żony Wilczyński sprowadził jako opiekunkę synów, i zaraz dostała rozkaz:

— Asińdzka zabierz tę książkę i spal! Nie godzi się w moim domu takowe rzeczy trzymać!

Nim spaliła, sama przeczytała zachłannie, w ciągu jednej nocy.

Wedle tego, co mówili starsi ze służby — ciotka Ksawera przypominała matkę, tym bardziej, że nosiła suknie po niej, tak iż w półmroku można się było omylić. Była kobietą chudą i smutną, która jak zgłodniały kot błąkała się po domu, napęlniając go wybuchami i gniewnymi błyskami oczu. Przyjaźniła się z modlitewnikiem, toteż dewocja zdawała się być jej powołaniem, podobnie jak w przypadku wszystkich tych świątobliwych dziewic, które spędziwszy życie nago w dżungli nie odtrącanych pokus i zalotników, zaczynają koło pięćdziesiątki uczęszczać do wytwornych kościołów i kaplic dwakroć per diem (dziennie). Z nią było wszakże na odwrót. Należała do owych dumnych i bladych szlachcianek, które za zrządzeniem złego losu nie tknięte, oddawały się marzeniom i smutniały w klauzurze domowej, popadając z wolna w dewocję. Na twarzy tej świetnie zakonserwowanej, głupiej i gadatliwej kobiety, obłąkanej pychą fantastki, żyjącej w jakimś bajlandzie tak fizycznym, że aż podobnym do stanu najwcześniejszego dzieciństwa, malowała się nienawiść i oskarżenie całego rodu męskiego, który pozostawił ją w wieku czterdziestu lat dziewczęcą.

Aż któregoś dnia, gdy stary Wilczyński wyjechał na trzy dni w interesach, podchmielony profesor Balcer wśliznął się do pokoju ciotki Ksawery i pozbawił ją cnoty, w sposób chyba nieco rozbójniczy, bo kiedy dawszy upust swytn chuciom toczył się do siebie, biegły za nim spazmatyczne, budzące cały dom krzyki niewiasty wzywającej wszystkich świętych i pioruny z nieba. W następne noce wezwania były cichsze i tyczyły matematyka; ten wcale na świętego nie wyglądał, a jednak sprawił cud: ciotka odmłodziła o dziesięć lat i rozkwitła jak przebudzona róża. Dziwne, że takie głupstwa mogą odmienić dewotkę, ale odmieniają. Mirowska stara panna, gdy tylko Wilczyński odprawił imć Balcera, z którym się o pieniądze pożarł, wycelowała swą słabość, z braku czegoś lepszego pod ręką, w Damiana.

Damian Wilczyński, spłodzony wówczas, gdy matka na skutek kilkuletniego pożycia z ojcem popadła w ciężką chorobę zwaną histerią nerwową, był całkowitym fizycznym i psychicznym przeciwieństwem swego brata. Nie posiadał z wilka nic. Miał czarne, proste i tłuste włosy, rozdzielone dokładnie na środku głowy, z której wyzierały płochliwe ślepka, zawsze gotowe do odwrócenia się, oraz usta zdające się zapowiadać wybuch płaczu. Trzymany żelazną ręką przez ojca, któremu wymknął się pierworodny syn, mówił głosem zdławionym, często jękając się bez związku albo wyzymając z siebie ledwo zrozumiałe zdania z wysiłkiem prawie bolesnym, jak paralytyk. Nie można było, przebywając z nim, nie odczuwać zakłopotania, zwłaszcza pod wpływem tego wzroku zbitego zwierzęcia, dlatego nie miał żadnych przyjaciół ni

kolegów. Jego rówieśnicy, poznawani w czasie sąsiedzkich zjazdów, niedzielnych mszy i jarmarków, stronili od niego, on zaś stronił od tego, co było ich największą pasją, od polowań. Polowali ze swymi ojcami tak często, że można byłoby sądzić, iż muszą to robić, bo żyją tylko z polowania. Przebiegali zabłoconymi wierzchowcami pola i lasy, przewracali i walili szpicrutami po pyskach chłopów uzalających się na niszczenie zagonu, a między tym wszystkim strzelali do zwierzyny. Damian nie cierpiał żadnej z owych rzeczy, konno jeździł z musu, huk broni palnej przyprawiał go o drżenie.

Jego życie zmieniło się w momencie śmierci dziadka. Dziadek nie interesował się nim, ale w tych ostatnich chwilach starego Kamyka na scenie pojawiła się dziewczyna, którą Aleksander przywiódł do komnaty umierającego, a potem wyprowadził do sieni i tam zaskoczył ich Damian. Opis tej sceny w trzecim rozdziale poprzedniego tomu „Milczących psów”, rozdziale poświęconym „Basiorowi”, kończył się tak:

„...usłyszał skrzypienie drzwi i zobaczył młodszego brata. Ryknął nań, ale tamten jakby skamieniał, stał nieporuszony, wytrzeszczając wzrok. Aleksander zerwał się, podciągnął spodnie i wbiegł do komnaty dziadka, zostawiając chłopkę na ziemi”.

Wtedy interesowali nas tylko Kamyk i jego ukochany wnuk, dlatego wyszliśmy z sieni razem z Olkiem. Teraz wrócimy do niej i do tamtej chwili.

Damian patrzył na pierwszą kobietą nagość w swym życiu napięty, lecz bez strachu; nie było w niej nic, co mogłoby go przerazić. Dziewczyna leżała bezwładnie niczym ciśnięta o ziemię żaba i budziła swą bezbronnością litość. Schylił się, podniósł pasiastą spódnicę i położył na jej brzuchu, jakby chroniąc od zimna, które płynęło z otwartych na ganek drzwi. Dziewczyna usiadła i ubrała się kilkoma ruchami ramion, wstała, a on schwycił ją za rękę.

Potem, ani spostrzegł jak, znaleźli się w stodole. W ciemności dziewczyna zdawała się marą, jej sylwetka majaczyła przed nim i gdyby jej nie dotykał, zwątpiłby w to, że nie jest sam, lecz kiedy położyli się na sianie i podniosła koszulę, mlecznobiałe piersi rozjaśniły przestrzeń. Leżał, mrugając powiekami, cały ogłupiały i nieruchomy, w kapocie nawilgłej od deszczu i w sztywnych butach z twardej skóry, nie wiedząc, co czynić. Wtedy dziewczyna poczęła rozbierać go szybkimi dłońmi i to dopiero napełniło go lodowatym strachem, który stopił się w zetknięciu z ciepłem jej nagiego łona, ud, palców i warg, odurzając go i poddając zwierzęcej pamięci płci, wyzwalającej się w cherlaku tak samo jak w najsprawniejszym z samców. Został na noc w stodole. Nie spał, wsłuchany w ciszę mroku, czując obok jej oddech w ciężkim, przesiąkniętym kurzem zapachu siana, i zrozumiał, że jest mężczyzną.

Od tej pory był mężczyzną kilka razy na tydzień, ale tylko z nią; przed erotycznymi awansami ciotki Ksawery uciekł, budząc jej wściekłość, największą z wściekłości, wściekłość odtrąconej kobiety, i to wściekłość podwójną, bo zwycięska rywalka, o czym eks-dewotka musiała się dowiedzieć, była chłopką służącą!

Zrobiwszy to poniżające odkrycie, stara panna poczęła źle sypiać. Dręczyły ją humory nie zaspokojonego ciała, przybierające postać erotycznych halucynacji we śnie. Apogeum tych koszmarów nadeszło pewnej nocy, która zapoczątkowała jedno z najbardziej tragicznych wydarzeń w ówczesnej Polsce.

Owej nocy Ksawerę porwał straszliwy wichur i niósł na skrzydłach burzy ponad drzewami i manowcami, coraz wyżej, ku zielonej powodzi światła, która wylewała się

ze szczeliny w chmurach. Im bliżej było tego otworu, tym wokół niej gęstniał w szalonym wyścigu tabun nagich postaci ludzkich: młode, długowłose dziewczyny, przytulone pierściami do koźlich grzbietów, dorodne kobiety z rozwartymi bezwstydnie ustami, siedzące okrakiem na odyńcach, smagli młodzieńcy, mężczyźni w sile wieku i lubieżni starcy z iskrami żądz w spojrzeniu na rozjuszonych klaczach, siwowłose megiery na łopatach, kijach i miotłach — rozogniona ciżba, kołująca w opętańczym wirze i rechocie ku stożkowi góry, która ukazała się w wykrocie nieba. Na szczycie siedział w granitowym fotelu kosmaty potwór z brodatym pyskiem capa, wymionami samicy, sromem mężczyzny, ogonem i racicami. Wyjąca szarańcza biła mu pokłon, krzycząc:

— Hosanna, Panie Czeluści, Orędowniku odrzuconych sprzed oblicza Boga, Dawco Rozkoszy, Władco Grzechu!...

Kobiety podchodziły doń kolejno, całując na znak oddania w olbrzymie, sine jądra, mężczyźni całowali kraniec ogona. Jego głos huczał jak grom, kiedy dał znak na rozpoczęcie zabawy. Rozległy się tony niewidzialnych instrumentów. Zrazu senne, rozgrzewające się, przeszły nagle w chrapliwie dyszącą muzykę. Mrowie sabatników trzymających się za ręce otoczyło tron Kozła, podrygując w ohydny tańcu. Porwał ją, naga jak inni, dziki korowód bosych, tupiących stóp, gołych torsów, rozhuśtanych sutek i penisów. Naraz spod tronu buchnął snop czerwonych iskieł i taneczny pierścień pękł w stu miejscach, rozpadając się na dziesiątki ogni, które rozdrabniały się dalej. Znalazła się w samym środku konwulsyjnej rui, w kłębowisku kopulujących grzbietów, tyłków i ud, gzących się lędźwi i nosów, na dymiącej murawie, po której uwijały się stada kotów, świń, szczurów, myszy, płazów i skrzydlatego robactwa. Zerwała się do ucieczki, przebiegła jaskinię, gdzie bluźnierczy kapłan odprawiał czarną mszę na ołtarzu z nagiego ciała kobiety, której nogi, rozrzucone lubieżnie, wykonywały w powietrzu jakieś kabalistyczne znaki, i wpadła do drugiej, pełnej sycących swe żądze sodomitów i strzyg. Biegła dalej, coraz bardziej przerażona, aż znalazła się znowu na otwartej przestrzeni, u stóp tronu, na którym spoczywał On. Był sam, zapomniany przez swych wyznawców, obłąpiających się spazmatycznie wokół góry. Siedział posepny, ze zwieszoną głową, z ust zniknął mu złowrogi uśmiech. Koźli pysk przepełniało cierpienie, bezgraniczna męka, gasząca źrenice dopiero co napełnione triumfem. Podniósł je, przymknięte, do góry i nagle z włochatej piersi buntownika wydarł się rozpaczliwy szepot:

— Panie, czemuś mnie wygnał!!!?...

Wtem dostrzegł, że ona usłyszała jego ból i wyciągnął owłosioną łapę, by ją pochwycić...

Obudziła się z krzykiem. Przez chwilę siedziała półprzytomna na łóżku. Zapaliła świecę i sięgnęła po nocnik, lecz ten okazał się pełny, a gdy otworzyła okno, by wylać go na klomb, ujrzała światelko w drzwiach szopy przylepionej do oficyn, które zamieszkiwała służba. Narzuciła na siebie płaszcz podbity lisim futrem i wyszła na dwór. Pełny księżyc czynił noc jasną jak w dzień, można było dostrzec delikatne cienie drzew i krzewów. Podeszła do szopy na palcach i wsadziła oko w szparę między deskami. Wewnątrz, przy bladym płomyku olejowej lampki, pochylały się ku sobie trzy osoby: Damian, jego dziewczka i jakaś stara kobieta o zmierzwionych włosach siedząca tyłem do Ksawery. Pobiegnęła obudzić Wilczyńskiego. Kilka minut później byli

już razem pod szopą i przykładali uszy do desek. Starucha śmiała się cienkim chichotem, tłumacząc:

— To nie takie proste, gołąbeczko! Trzeba mieć tłuszcz z susła, pięcio-palczatkę, szalej i korzeń bielunia, trochę jadu żmiji i spermę ogiera, a do tego liść czarnego lulka i szaloną jagodę zerwaną o północy, i uwarzyć to z mlekiem kobyły, żeby ciebie samej nie zabiła trucizna, tylko to, co ty chcesz zabić.

— Jezus Maria! — krzyknął Wilczyński i skoczył ku wejściu do szopy. Nie zdążył. Starucha błyskawicznym ruchem zgasiła płomień i wybiegła za drzwi. Gonił ją, lecz nagle odwróciła się i sypnęła mu w twarz garść proszku, który go oślepił. Ksawera przemyła mu oczy rumiankowym naparem, opowiadając swój sen, i przysięgła, że pozna je wiedźmę, którą widziała na sabacie.

Tę „zamawiającą” kobietę przywiózł potajemnie Damian, by spędziła płód jego kochanki, ale do tak śmiertelnego grzechu przyznać się nie mógł. Wyznał ojcu, szlochając, że został przez te dwie kobiety opętany. Byłoby od tego kłamstwa jeszcze daleko do okropnej zbrodni, gdyby nie namowy złej krewnej oraz fakt, że przed tygodniem zaczęły padać na jakąś chorobę konie Wilczyńskiego. Dziedzic Mirowa sprowadził z miasta jezuitów i wzniecił proces o czary.

„Orgia znęcania się nad kobietami pod wpływem psychozy czarów — pisze Cat-Mackiewicz — w Polsce nigdy nie była tak potworna jak w Europie zachodniej. A jednak mnóstwo jest jeszcze tych procesów w pierwszych latach panowania Stanisława Augusta (...). Oskarżoną z reguły biorą na tortury, rozebraną do naga i ogoloną z włosów na całym ciele, gdyż we włosach ukrywały się siły nieczyste, które pomagały do znoszenia tortur. Na torturach pierwszych przyznaje się ona do tego, że jest czarownicą, że jeździ na miotle na Łysą Górę i śpi z szatanem; na torturach drugich wymienia nazwiska innych czarownic...” itd.

Biedne kobiety z Mirowa, w tym owdowiała znachorka i służąca, która uszczęśliwiała Damiana, plotły na mękach wszystko, co oprawcy chcieli usłyszeć. Po długotrwałych torturach spalono ich siedem (jeśli kogoś interesuje technologia owego koszmaru, to niech sięgnie do prac Putka, Wasylewskiego, Baranowskiego i innych, którzy dokładnie zrelacjonowali kaźń mirowską), promił zaledwie tego, co ma na koncie Europa — według współczesnej historiografii z oskarżenia o czary spalono żywcem w Europie ponad 9 milionów kobiet!

W drugiej połowie lat sześćdziesiątych XVIII wieku grający swoją grę Watykan zdecydowanie pochwalił opór polskiego Kościoła przeciw rosyjskim planom równouprawnienia innowierców. Petersburg odpowiedział równie stanowczo: oficerowie wojsk rosyjskich w Polsce otrzymali rozkaz bezwzględного karania wszelkich ekstremów nietolerancji i fanatyzmu katolickiego. Ciągący na Warszawę w pobliżu Mirowa major Guszczin był jednym z adresatów owego rozkazu, a do dworu przyprował go Damian Wilczyński.

Dla Damiana widok kochanki wleczonej na stos, oszpeconej zgoleniem włosów i poharatanej żelazami, stanowił podwójny dramat. Obok wstępu do kaźni szalała w nim rozpacz z powodu utraty jedynej osoby, która nie gardziła nim, nie wyśmiewała go, nie krzyczała na niego, nie popychała i nie pouczała, tylko obejmowała czułymi ramionami i dawała mu poczucie wartości. Gdy podpalono stos i rozległy się straszliwe krzyki ofiar, zawył jak zwierzę we wnykach, skoczył na konia i począł uciekać. Pędził na

oślepię, ubabrawszy wymiotami grzywę konia i strój, przez pola i łąki, przez rowy i krajem stawu, płosząc nadbrzeżne ptactwo. Daleka luna światła odbijała się w falującej wodzie, wywoływała przedziwne cienie, sięgające swymi mackami lasu i ginące w głębinie. Uskoczył w bok, by zgubić te echa grozy. Kilka kilometrów dalej natknął się na rosyjską kawalerię.

Otoczywszy dwór, major Guszczin wezwał dziedzica do wyjścia, a kiedy wezwanie nie poskutkowało, kazał żołnierzom wyważyć drzwi. Przywitał ich grad kaczego śrutu — jeden z atakujących stracił oczy, inni mieli podziurawione mundury. Wtedy Guszczin zapalił budynek i po chwili z wnętrza poczęli wybiegać ludzie. Wilczyńskiego, machającego szablą, rozniesiono na pałaszach, ciotkę Ksawerę i dwia kucharki żołnierze gwałcili przez kilka kwadransów w stajni. Potem zabrali bydło i odjechali wraz z Damianem, który był spokojny jak nieruchawi pacjenci w domu obłąkanych.

W Warszawie „sprawa mirowska” wywołała niewielkie wrażenie, wszyscy mieli głowy zaprzątnięte sejmem. Cieszono się jedynie w Pałacu Brühla, gdy Guszczin przysłał raport; dla Rosjan afera stanowiła, jak na zamówienie, argument do walki z katolickim klerem podjudzającym opozycję sejmową.

17 października 1766 roku major Guszczin zainstalował się w przeznaczonym dlań pokoju ambasady: miał być pod ręką, do ewentualnego wykorzystania jako świadek. Za akcję w Mirowie pułkownik Igelstróm udzielił mu pochwały, obiecał przedstawić do orderu i zaprosił do wspólnego opróżnienia butelki, potrzebował bowiem kurażu przed akcją, jaką miał przeprowadzić osobiście. Było to zadanie, które przywiózł znowu z Newy Saldem w ostatnim rozdziale poprzedniego tomu. Termin realizacji tego osobliwego polecenia upływał dopiero za kilka miesięcy, ale kiedy z Petersburga nadeszło pytanie, czy panowie Repnin i Igelstróm wzięli się już do rzeczy, pułkownik zdecydował się załatwić to, co należało do niego, w ciągu jednej nocy.

O Josifie Andriejewiczu Igelstrómie wyrażano opinie krańcowo różne. Nienawidzący go dyplomata kurlandzki, baron Karol von Heyking, w swoich *Aus Polens letzten Tagen. Memoiren 1752-1796*, napisał: „Wyniesienie tego człowieka do godności wojskowych czy dyplomatycznych świadczy jak często szczęście kpi sobie z rozsądku. Jego nicość była maskowana przez szczęśliwe przypadki. Nie sposób mieć mniej talentów, mniej polotu i mniej rozumu, a jednak Katarzyna wielokrotnie zlecała mu rozmaite funkcje” (tłum. Waław Zawadzki). W powyższe zdanie nie sposób uwierzyć z tej prostej przyczyny, że caryca Katarzyna nigdy nie powierzała żadnych funkcji idiotom.

Z kolei niemiecki poeta, Jan Gotfryd Seume, osobisty sekretarz Igelstróma (kiedy ten, wiele lat po opisywanych tu wydarzeniach, był już generałem i ambasadorem w Polsce), stwierdził w *Einige Nachrichten uber die Vorfdlle in Polen...* : „Jest surowy i dość porywczy, a to wystarczy ludziom, którzy nie dość dokładnie go poznali albo rozmyślnie nie chcieli zadać sobie tego trudu, za powód do oskarżeń. Generał jawnie okazywał swą krewkość, starając się jednak zawsze zatuszować ją natychmiast kilkoma uprzejmymi słowami” (tłum. Waław Zawadzki).

W kilku uprzejmych, a nie mijających się z prawdą słowach, można trzydziestoletniego pułkownika Igelstróma scharakteryzować następująco: aspekt dionizyjski czyli cielesny oraz aspekt apolliński czyli intelektualny równoważyły się w

nim, zaś dowcip i wyobraźnia, pobudzone alkoholem, w sposób udany rekompensowały mu brak geniuszu. Miewał chwile filozoficz-no-pijackich wynurzeń, które, jak pamiętamy, zostały wysoko ocenione przez prawą rękę Katarzyny, barona Salderna. Odznaczał się bezwzględnością, wierzył tylko w dwa lekarstwa, w wódkę i w wino, i był zbyt wielkim łotrem, aby mogło go ugiąć coś innego niż łańcuch i knut. Nosił wielki szal owinięty wokół szyi, który ujarzmił na wietrze wpychając końce do prawej cholewki wojskowego buta. Lewa stanowiła pochwę szpicruty, z którą się nie rozstawał.

W opracowanym na dworze carskim scenariuszu, który zakładał przemienienie kobiet otaczających króla Stanisława Augusta w kariatydy wpływów rosyjskich w Polsce, Igelstrómowi wyznaczono miłosne zniewolenie pani Lhullier.

Henrietta Zofia Lhullier, de domo baronówna Puget vel Puszet, zwana przez warszawską ulicę „mamzel Lulli”, przez króla „Lullierką”, a przez siebie markizą — pochodziła ze spolszczonej francuskiej rodziny szlacheckiej i należała do grona najświetniejszych kobiet w stanisławowskiej Polsce, ponieważ była: „królową heter, kabalarką i intrygantką, w cudze strzemiona chętnie włączącą” (Stanisław Wasylewski), a do tego dzierżyła palmę cesarzowej mody — jako pierwsza obstałowała swemu amantowi kamizelkę z deseniem z zielonych małepek trzymających parasolki i zaprowadziła nad Wisłą obszerne dekolty wypierające koszule, tudzież grecki negliż, który został uznany za szczyt bezwstydu przez babki kobiet młodych i matki kobiet udających młode. Była bezsprzecznie kobietą niezwykłą, znała pewien rodzaj miłości, tak rzadki, iż nawet warszawskie prostytutki nie miały o nim pojęcia. Dlatego Stanisław August, zmieniający kochanki jak rękawiczki, jej tylko nigdy nie odsunął i mówił o niej w superlatywach. Będąc nadworną rajfurką oraz nieusuwalną metresą, stanowiła niewysychające źródło rozpacz i gwałtownej nienawiści innych kobiet. Nie zazdrości, tę bowiem odczuwa się względem kogoś, kto jest do pokonania, kogo los chwilowo wywyższył, ale gdy szczęście uśmiechnie się w drugą stronę, będzie można mieć swój triumf i odwet. Jej wyższość, odczytywana w wielostronnicowej księdze, składającej się z oczu i gestów mężczyzn, ze stałości króla, z najmodniejszych strojów i najpiękniejszej biżuterii, była tak niedosiężna, iż mogła tylko budzić bezsilną, przesywającą całe ciało wściekłość, której nie były w stanie złagodzić małe, plotkarskie odveciki, nawet te wypluwane przez najzjadliwszy język. Poniatowski, któremu rzekomo przepowiedziała koronę, ofiarował jej warszawską kamieniczkę przy domu Wasilews-kiego. „Kamieniczka ta pełna była skrytek i przejść tajemnych pomiędzy ścianami. Zapewne potrzebne one były przebiegłej Francuzce, która pomimo znakomitej pensji, jaką pobierała od króla, niemałe dochody ciągnęła z kabały, albowiem tak magnaci, jak i wielkie panie, dworzanie i szlachta zamożniejsza cisnęli się do niej hurtem po wróżbę” — jak wspominał syn królewskiego medyka, Kazimierz Władysław Wójcicki.

Niewielu ludzi, poza królem, mówiło o niej dobrze, tak spośród jej współczesnych, jak i z historyków. Lektor i bibliotekarz króla, Szwajcar Marek Reverdil, nie zostawia na „Lullierce” suchej nitki: „Przylgnęła do bogactw królewskich, których nie szcędząc używała; a mówią, że prócz ogromnych wydatków na to, co kosztowało życie wystawne, perły, brylanty, dwór, ekwipaże, miliony jeszcze na bankach zagranicznych lokowała... Ssała to wszystko ze szkatułki królewskiej”. Nie kończyło się na tym —

mademoiselle Lhullier odgrywała również sporą rolę polityczną. „Rzecz nie jest błaha, bo spotykamy ją już u progu rządów Stanisława Augusta wśród członków ścisłej rady gabinetowej!” — pisze Wasylewski, a Kraushar, który opracował naukowo pamiętniki Reverdila, dodaje: „Panna Lulli, wyćwiczona w swej sztuce, podbiła króla do tego stopnia, że zaczęła rządzić absolutnie, wdawała się w sprawy krajowe, w promocje, intrygi, słowem bardzo wydatną na dworze króla grała rolę. Miała swój dwór na Krakowskim Przedmieściu, w nieistniejącym już obecnie domu numer 371”.

Kamieniczka ta położona była przy samym prawie końcu zabudowanej piętnastoma domami „wysepki”, która rozdzielała Krakowskie Przedmieście na dwie ulice (Wąskie Przedmieście Krakowskie i Dziekanę), tak jak Ile de la Cite rozdziela Sekwanę (dzisiaj na tej „wysepce” domy zastępuje skwer Mickiewicza). Było stąd zaledwie kilka kroków do Zamku. Fasada nie wyróżniała się niczym szczególnym, wyjąwszy specjalną witrynkę w parterze, w której zawsze sterczała lalka ubrana w najświeższą paryską modę, mająca służyć za wzór dla pań i krawców — z tego powodu zwano kamienicę „Domem pod Lalką”. Jego wnętrze dzieliło się na część prywatną i reprezentacyjną. Do prywatnej król wpadał kiedy chciał na wieczerzę. W reprezentacyjnej Mile Lhullier udzielała porad wróżbiarskich i prowadziła salon, głośny, lecz był to rozgłos o wydźwięku krytycznym, albowiem przyjęcia owe przeniknięte były duchem małostkowości: goście dostawali przy wieczerzy tanie wino, podczas gdy gospodyni i królowi, jeśli był obecny, lokaj nalewał drogiego Chambertina z butelki owiniętej w koronkową serwetę.

Pułkownika Igelstróma interesowała wyłącznie część prywatna, w której miał nadzieję zastać samą pannę Lhullier; jego szpiedzy sprawdzili, iż tego wieczoru król będzie gdzie indziej. Zakolatał do drzwi językiem mosiężnego lwa, a kiedy otwarto, rzekł służącemu, iż przybył po wróżbę. Usłyszał, że tego dnia pani wróżb nie daje, wobec czego pchnął cerbera do środka i chwycił go za nos.

— Słuchaj, sobako — powiedział nieuprzejmie — ukręcę ci łeb, jeśli będziesz brykał! Czy pani jest sama?

— Daaaag... — wyrzęził człowiek ze zmiażdżonym nosem.

— To prowadź mnie do niej!

Puścił nos i pchnął jego właściciela ku schodom. Wąskie stopnie prowadziły przez staroświeckie drzwi do przedpokoju wyłożonego boazerią, w której znajdowało się ukryte wejście do korytarzyka cienkiego i niskiego na kształt mysiej nory. Precisnąwszy się przezeń, stanęli w drugim antyszambrze, pełnym drzewek w donicach, poźółkłych sztychów i zegarów kłócących się beznamiętnym tykaniem. Lokaj wskazał drzwi do buduaru i w tej samej chwili Igelstróm usłyszał ciche warczenie u stóp — skradał się ku niemu mały bonończyk, pełznąć po dywanie z wyszczerzonymi zębami. But pułkownika wykazał znakomity refleks: kudłata piłka, uderzona szpicem, wleciała pod komodę i już tam została, pojękując cichutko. Służący na ten widok zemdłał. Igelstróm przywrócił mu przytomność kilkoma soczystymi klepięciami w twarz i odesłał wzgardliwie na dół, po czym uchylił lekko drzwi, za którymi widniała stebnowana złotem kotara, rozcięta po środku i dająca widok w głąb.

Zaskoczył go widok tego wnętrza, które zdawało się należeć do baśni z tysiąca i jednej nocy. Kilka wieloramiennych świeczników, stojących na alabastrowych kolumnach, czyniło pożar ze świec: ich drgające płomienie odbijały się w metalowych

talerzach na ścianie, mnożąc złudną liczbę ogni i powodując jasność bliską jasności dnia. Po prawej rezydowało gigantyczne, rzeźbione w mahoniu łoże z adamaszkowym baldachimem, całe w zwierciadłach tak ukierunkowanych, aby leżąc pośrodku można się było oglądać z wielu stron. Na wprost drzwi stała serwantka, a na jej półkach pyszniły się perłowe konchy, z erotycznie odwiniętymi, różowymi wargami. Wyżej dwie korynckie głowice pilastrów flankowały eliptyczny fresk o wyuzdanej treści: Herkules z maczugą i Mars z tarczą, na której szczyrzyła zęby głowa Meduzy, pieścili wolnymi rękami boginię namalowaną w pozie wystarczająco wulgarnej, by mogła zachęcić do wejścia pod baldachim najzimniejszego mężczyznę.

Lewa część komnaty była niewidoczna. Odchylił palcem kotarę i zobaczył lustro w złotej ramie wspartej na marmurowym stoliku, a wyżej skrzydlatą Nike z oliwną lampką w dłoniach. Przy stole siedziała kobieta skupiona jak dziecko liczące sobie paluszki, w pełni zajęta sobą. Pod olśniewającym diademem białych włosów widniała głowa godna dłuta Polikleta. U zbiegu nosa i brwi błyszczał naczółek wysadzany szmaragdami. Ciało spowijała suknia nocna, przypominająca grecki „peplos”, którego fałdy spływały ku antycznym w kroju ciżmom - wszystko w tym wnętrzu było stylizowane na Helladę. Obnażone do pasa plecy kobiety jaśniały mocniej od kaganka trzymanego przez Nike; łopatki, długie wgłębienie kręgosłupa i zaokrąglone szczyty bioder zdawały się być z polerowanej carrary i nie kusiły jego seksu. Nagle uświadomił sobie, że te nieruchome plecy kuszą do wbicia noża, a szyja do zaciśnięcia palców. Przemknęło mu przez myśl stare przysłowie: Szejka dołga, na wisielicu godna! (Długa szyja, w sam raz na szubienicę).

Zrobił kilka kroków, stłumionych przez gruby dywan, i ujrzał, że naszyjnik kobiety porusza się! Każde z jego ogniwy wykonywało konwulsyjny taniec; była to epilepsja kamieni, która zatrzymała go w miejscu. Nie pojmował, czy to drżące świece wywołują złudzenie, czy jest aż tak pijany, że doznaje halucynacji. Przetarł oczy i zamrugał powiekami, ale ogniwa łańcucha nie przestały się miotać. Postąpił bliżej i dostrzegł, że to są żywe owady!

Wiedział o tej kobiecie bardzo dużo, dostarczono mu bogate dossier. Wiedział dla jakiego wywiadu pracuje, co jada i czyta, z kim sypia i jak to robi, ale nie miał pojęcia o tej tajemnicy, każda bowiem kobieta ma jakiś sekret, który można odkryć tylko przez zaskoczenie. Mile Lhullier pasjami nizała żywe naszyjniki z małych chrząszczy dostarczanych przez ogrodnika. Przeprowadziła mnóstwo eksperymentów, by znaleźć miejsce, w którym można je nadziać nie odbierając życia, a kiedy znalazła, poczęła tworzyć z nich łańcuchy i zakładała na gołe ciało, przymykając oczy od tych nieziemskich pieszczot, którymi napełniały jej skórę poruszające się rozpaczliwie nóżki i skrzydełka. Stał i patrzył, nie mogąc wyjść z podziwu.

Nasyciwszy się, zdjęła łańcuch ręką w kolczastej bransolecie, która odcisnęła się na wielu plecach, i otworzyła oczy. Spostrzegłszy mężczyznę stojącego w lustrze, odwróciła się i zamiast krzyknąć, przez chwilę mierzyła go wzrokiem.

— Kim pan jest? — spytała.

— Pułkownik Igelstróm, od dzisiaj do usług.

— Do jakich usług?!

— Miłosnych, madame — odrzekł, wskazując dłonią fresk na ścianie.

— Pan zwariował! — krzyknęła dopiero teraz. — Skąd pan się tu wziął?! Mój służący...

— Służący?! — parsknął Igelstróm, przysuwając się bliżej. — Ten bałwan wpuścił mnie mimo zakazu i jeszcze zemdłał! Do tego doszło! Jeśli to jest służący, to koniec! Co za służba rodzi się w tym kraju! Dostarczę ci lepszego służącego, obiecuję.

— Nie potrzeba mi pańskich obietnic, proszę stąd wyjść!

— Dziecinko — pochylił się nad nią — bądź grzeczna, wiesz, jak karze się niegrzeczne dzieci. Bije się. Dorosłe dzieci bije się po pysku, o tak!

Zdzielił ją szpicrutą przez twarz w lustrze, z taką siłą, że tafla posypała się na marmurowy blat stołu. Lhullier, z głową wtuloną w ramiona, jęknęła:

— Czego pan chce?...

Między kącikami warg pojawił mu się łobuzerski uśmiech.

— Chcę odwzajemnić twoje uczucie, dziecinko. Kochasz mnie i pragniesz, żebym ja ciebie pokochał. Spróbuję. W zamian przestaniesz pracować dla austriackiego wywiadu i zaczniesz pracować dla naszego. Obiecujesz mi to, prawda?... Gdybyś nie dotrzymała słowa, będę musiał zrobić z twoją buzią to, co już zrobiłem z jej odbiciem. Jeśli nie ja, to ktoś inny, więc nie skarż się królowi, byłby to błąd. I nie próbuj uciekać z Warszawy, bo to byłby jeszcze większy błąd. Dogoniliby cię moi jegrzy i zrobiliby ci dużą krzywdę. Ci chłopcy mają armaty między nogami, co jest przyjemne, gdy ma się do czynienia z jednym, ale kiedy przejedzie się po tobie czterdziestu i do tego dołożą ci kilkaset wyciorów, pupa z obu stron rozboli cię tak, że będziesz ją mogła wyrzucić na śmietnik. Byłoby szkoda.

Podniosła się z taburetu, cała drżąc, ale było to drzenie dające perwersyjną przyjemność — oboje byli ulepieni z podobnej gliny.

— Czego wy chcecie? — spytała jeszcze raz, bardziej podniecona niż przerażona.

— Dostaniesz szczegółowe instrukcje. Generalnie chcemy czegoś dokładnie odwrotnego niż twój Wiedeń.

Schwycił oburącz jej suknię i jednym szarpnięciem rozerwał.

— Austriacy chcą tego, podobnie jak Prusacy. I ci i ci pragną rozwalić Polskę na kawałki, żeby pożreć jakiś ochłap.

Podniósł naga, podszedł do łóżka i rzucił na pościel. Następnie rozebrał się bez pośpiechu i kładąc się obok niej dokończył:

— A my chcemy tego... Nie chcemy jej kawałkować, niech zostanie cała, rządzona przez chrabąszcze, które nizamymy na srebrny sznurek! Warszawa jest już nasza, ale co nam po samej głowie (pocałował ją), to tylko drobna przyjemność, od której trzeba zacząć. Przy rozbiorze Wiedeń i Berlin oddałyby nam jeszcze Litwę i Ukrainę (położył dłonie na jej piersiach), lecz tylko eunucha zadowolą same piersi. Weźmiemy całą (przyciągnął ją do siebie), bez ożenku, by nie drażnić rywali, i będziemy robić tu wszystko to (rozłożył jej nogi), co będzie się nam podobało!

Tak oto pułkownik Igelstróm wypełnił polecenie swoich mocodawców, którzy kazali mu nawiązać romans z panną Lhullier. Jego miłosny „blitzkrieg” okazał się nad wyraz skuteczny i byłby to pełny sukces, gdyby nie okoliczność, że „Dom pod Lalką” sąsiadował przez ścianę z kamienicą lorda Stone'a, którego służący (ludzie Rybaka) byli mistrzami wiercenia dziur w najtwardszej ścianie. Rybak dobrze wiedział, co robi, gdy kilka miesięcy wcześniej zmusił Wilczyńskiego do postawienia Stanisława

Augusta przed alternatywą: ta kamienica lub żadna i wyjeżdżam, a ty sobie znajdź innego doradcę od drzew i ogrodów!

Podczas nieobecności „Alexa” w jego domu również miała miejsce niespodziewana wizyta, która dała do myślenia królowi żebraków. Złożył ją żydowski kupiec Herszl. Może się to wydać dziwne komuś, kto wie, że w XVIII wieku Żydom nie wolno było mieszkać ani kupczyć w stolicy. Ale istniał od tej zasady wyjątek. „Wyjątek stanowiła jedynie pora sejmów. Na dwa tygodnie przed otwarciem każdego sejmku woźny marszałkowski ogłaszał trąbą swobodne prowadzenie handlu i rzemiosł wyznawcom starego zakonu; w dwa tygodnie zaś po sejmie koniec tej swobody” (Wiktor Gomulicki).

Herszl był kupcem, któremu dawały się przypisać znamiona handlowego geniuszu, na co istniał przynajmniej jeden dowód: w ciągu kilkunastu godzin, bez żadnego nakładu pracy, samą tylko głową, przedzierzgnął się z koszernego rzeźnika, mającego puste kieszenie, w człowieka dysponującego sporym kapitałem inwestycyjnym. Przy obecności świadków zawarł z bogatym hurtownikiem zbożowym pisemną umowę, w której zobowiązał się dostarczać przez miesiąc pięć kilogramów wołowiny na dobę w zamian za codziennie podwajaną liczbę ziaren pszenicy. W pierwszym dniu miał otrzymać jedno ziarenko, w drugim dwa, w trzecim cztery i tak dalej, przez trzydzieści dni. Bogacz wrócił do domu uradowany, ale gdy jego syn wziął abakus i obliczył ile ziaren trzeba będzie dać Herszlowi, o mało nie osiwił z przerażenia — była to niewyobrażalna góra zboża (prawie 560 milionów ziaren), przewyższająca wartość stu pięćdziesięciu kilogramów mięsa w sposób grożący hurtownikowi bankructwem. Herszl zgodził się umowę anulować za sowitym odszkodowaniem w złocie i dzięki temu nabył kilka dobrze prosperujących „interesów” w żydowskiej kolonii handlowej Nowa Jerozolima, leżącej poza murami miejskimi Warszawy.

Kochance lorda Stone'a zaproponował kupno bajecznej biżuterii, francuskich perfum i pachnideł oraz sukien i dodatków prosto z Paryża. Na ich widok rozbłysły jej oczy — gdyby mogła się tak ubierać, może dorównałaby w Jego oczach tym wielkim damom, które On spotyka podczas balów i dworskich przyjęć. Czy mogą mieć ładniejsze twarze i lepsze ciała niż ona? Górują nad nią tylko urodzeniem, czego nie można przeskoczyć, lecz co dla prawdziwych mężczyzn jest rzeczą drugorzędną, i strojami, które są o wiele ważniejsze, bo wbrew gadaniu filozofujących głupców suknia zdobi człowieka, tylko trzeba być kobietą, żeby o tym wiedzieć. I trzeba mieć pieniądze, a na stroje, które przyniósł ten Żyd i które mogłaby nosić królowa, ogromne pieniądze, skąd je wziąć?!

Rybak, kiedy powtórzono mu rozmowę Stefki z Żydem, a powtórzono mu tego samego dnia z dokładnością, jakiej wymagał — zwrócił uwagę na jeden jej fragment:

— Ile to może być warte? Te dwie roby, ta kolia i ten pierścionek... i jeszcze te buteleczki... i może ta różowa suknia... Ile pan chce?

— Co ja mogę chcieć? Ja myślę... jakiegoś osiemset dukatów, trzeba policzyć.

— Boże! Nie mam nawet dziesiątej części tej sumy!

— Pani lordowa, ja idę prosić o wybaczenie, ale pani nie masz dziesiąte pojęcie o handel! Kto dzisiaj bierze pieniądze!?! Pani nie myśli o pieniądzu, pani myśli o tym, że Pan Bóg stworzył takie piękne kobiety jak anioły, żeby one pięknie się ubierały i cieszyły oko mężczyzny. Pani wyglądasz jak piękność, ale nawet najpiękniejszy obraz

potrzebuje ramy ze złota, to jemu należy ją dać! Jak kobieta nie ma piękny strój, to jest choroba, a kto się kocha w chorej?

— Ale ja... ja nie mam... to niemożliwe.

— Pani lordowa, ja nie jestem uczony w piśmie, aleja znam handel i mówię panią, że to jest możliwe. Pani podpiszesz weksel, a pan lord zapłaci... Nie, nie! Proszę się nie bać, nie teraz, powiedzmy za rok. Jak on zobaczy taką piękność, to on zapłaci wszystko, chyba żeby oślepl, co może się stać, bo pani zakasujesz słońce! A nie zapłaci, moje ryzyko, ja ten weksel porwę i wszystkie inne, co pani podpiszesz przez ten rok, mnie na to stać, a Przedwieczny policzy mi to za dobre serce! No?...

Wilczyński dowiedział się wszystkiego po powrocie z Mirowa, kiedy spotkał się z Rybakiem. Słuchał zaciskając pięści i nie doczekawszy końca spytał:

— Podpisała?

— Tak, ale nie w domu. Zaprowadził ją do Riaucourta, na Miodową, tam podpisała weksel bankowy. Sprytne, bo banku nie okpisz...

— Jak to na Miodową? Przecież bank Riaucourta jest przy Świętojańskiej.

— A przy Miodowej jest szulernia Riaucourta. Tak czy owak weksel opiewa na dom bankowy, którego dłużnikiem się stałeś.

— Cholera — mruknął Aleksander. — Zupełnie oszalała, po co jej takie drogie rzeczy, do kościoła? Trzeba to jak najszybciej spłacić!

— Przeciwnie, mój drogi. Pochwal jej gust i powiedz, że może odwiedzać jego sklep w Nowej Jerozolimie, zaciągając długi na wekslach do każdej wysokości, bez ograniczeń, a ty kiedyś wszystko zapłacisz. Zobaczymy, ile zdołają uzbierać i czego zażądają, kiedy za rok oświadczysz, że nie masz pieniędzy.

— Myślisz, że o to chodzi?

— A o co? Nie udało się namówić cię po dobrej woli, w karty nie grasz, więc zostaje tylko to, by móc spróbować szantażu. Pamiętasz jak Branicki dał się złapać na weksel?

— Słuchaj, przecież nie mamy pewności, że ten Żyd jest agentem Repnina, może to po prostu szczywany kupiec...

Rybak przyznał jedno oko, dając znać, że bierze te słowa za żart.

— Wiesz, „Wilk” — powiedział, ujmując przyjaciela pod ramię — jest taka żydowska mądrość, która mówi, że jeśli kobieta przyjdzie do rabina, to rabin jest rabinem, ale jeśli rabin przychodzi do kobiety, to rabin nie jest rabinem. Zostaw to mnie.

Posłuchał Rybaka i przez to uczynił swą nałożnicę nieco szczęśliwszą. Sam marzył o miłości równie silnie jak ona, lecz w przeciwieństwie do niej zdawał sobie sprawę, że kiedy szczęście od nieszczęścia dzieli tylko krok, to w odwrotną stronę bywa bardzo daleko. W jego marzeniach miłość miała twarz Natalii Repin, a marzenia stały się gorączkowe, odkąd złożył jej pierwszą wizytę w Pałacu Brühla.

Było wtedy piękne październikowe popołudnie, przynoszące zaszczyt polskiej jesieni. Wkroczywszy do ogrodu ambasady przez ciężką bramę z kutym herbem na kratkach, zatrzymał się olśniony bogactwem flory — przypominało to zachwyty Igelstróma podziwiającego buduar Mile Lhullier. Przesunął wzrok po rzędach lip rozmieszczonych z obu stron chodnika i prowadzących długim szpalerem pod portal wejściowy gmachu. Poszedł tym chodnikiem aż do ścieżki biegnącej w bok ku

krzewom morwy i dereniu, zza których wystawała altana, cała w wyschniętych oplączach winorośli. Na klombach flankujących ścieżkę puszyły się jesienne kwiaty, pierzaste astry i chryzantemy. Dalej, w kierunku parkanu, szły mniejsze dróżki, na które spadały cicho żółtkłe liście kasztanów i ceglaste klonów. Pod wyschniętą cysterną z marmuru, rzeźbioną *à la giallo antico* (w stylu antycznym), krwawiły georginie powiązane pajęczynami. Wszystko to łagodziło zapiekłe bruzdy w sercu tego człowieka, który w naszym stuleciu byłby botanikiem, a w tamtym stał się bandytą udającym arystokratę.

Wędrował po ogrodzie zamyślony, rozsuwając butami stopy złotych liści i poprawiając przekrzywione ławki przy klombach. Gdy spostrzegł ją, wychodzącą mu naprzeciw z bocznych drzwi pałacu, zdała mu się piękniejsza niż na raucie u Prusaków, gdzie smakował każde jej słowo i każdy gest, i potem mógł odtworzyć z pamięci każdy, najdrobniejszy szczegół jej postaci. Miała florencką urodę z renesansowych portretów NMPanny. Czyste, zamyślane oczy, oplecione delikatną przędzą smolistych włosów, zawierały jakąś kocią głębię, pod suknią jędrne piersi poruszały się w rytm oddechu, a na ustach pojawiał się tkliwy uśmiech, gdy jakaś myśl odrywała ją od rzeczywistości.

Uklonił się nim zaczął iść w jej stronę, a ponieważ byli jeszcze daleko od siebie, co dodawało ich oczom odwagi — ich spojrzenia pocałowały się. Stapał wolno, ogarnięty dziwną tremą i nie docierał doń rechot bogów miłości, których bawiła bezzasadność jego obaw. Byłby królem szczęśliwców, gdyby jak oni znał myśli tej kobiety, pozornie chłodnej, a naładowanej potencją tłumionego seksu i nienawidzącej swego męża, za którego wydano ją jak każdą kobietę po to, by mogła w niego wątpić, choć tylko połowa z nich dochodzi na tej drodze do nienawiści lub wzdargy, i tylko jedna trzecia do innego mężczyzny.

Na przyjęciu w ambasadzie pruskiej zafascynowała ją twarz Anglika uchodzącego wśród kobiet za mężczyznę nie do zdobycia, chyba że dałoby się przemienić w piękne drzewo lub rzadki kwiat, a wśród mężczyzn za impotentą, czego nie omieszkał jej powtórzyć książę-małżonek. Była to twarz inteligentna i mająca w sobie coś mroźnego. Niebieskie oczy patrzyły zimno, tnąc spojrzeniem jak stal — takie oczy uwodzą lub zabijają bez dotknięcia. Czoło proste, nos długi, usta zdecydowane w zarysie i posępne, z jakimś stale czającym się w kącikach, wojowniczym półuśmiechem; twarz człowieka, który nienawidzi lęku i gardzi tymi, co się boją; który szanuje każdego, kto patrzy mu prosto w oczy, a ze złością pośle do wszystkich diabłów tchórza; który potrafi być okrutny, bezwzględny i bezlitosny po to, by ukryć wrodzoną czułość i wspaniałomyślną lojalność wobec wszystkiego, co mu przypada do serca. Swoim kobiecym instynktem potrafiła to odczytać i odczytała nawet to, że ten piękny mężczyzna, noszący w sobie jakieś niezagojone cierpienie, może być niewyrozmiały, butny lub niesprawiedliwie stronniczy gdy poniosą go emocje, ale nigdy podły.

Ucałował jej dłoń i wręczył obiecaną „Eneidę”. Ruszyli w obchód parku. Cały ten spacer, którego nie chcę opisywać w szczegółach, miał coś z arkadyjskiego wdzięku pejzaży Lorraina: światło uwięzione w koronach drzew z wolna przędzie złoto, które stanie się osnową zmierzchu, słońce zaczyna padać coraz bardziej ukośnie na przepojony wilgocią grunt, który oślizguje się pod nogami i przywiera do trzewików,

chłodne powietrze podnieca jak wino, atmosfera robi się senna, a rozmowa dotyczy wszystkiego, co jest poza myślą.

Nie zauważyli, że pogoda gwałtownie się zmienia. Nad nimi defilowały brzemienne wodą armie czarnych chmur, uzbrojone w szable błyskawic, które nagle poczęły bić z ogłuszającym grzotem. Przywarła do niego w odruchu przerażenia i pocałowali się ustami. Rozłączyły ich strumienie deszczu. Biegli zawadzając o krzewy, które zerwały jej kokardę, a jemu strąciły kapelusz. W altanie stanęli naprzeciw siebie. Po twarzach spływała im woda, która zlepiała karty „Eneidy” i siekła wszystko wokół, żłobiąc małe dziurki w rozmiękłej glinie ścieżek.

— Kocham cię — powiedział Wilczyński.

— To zabawne... — wyrwało się jej i nie dokończyła, że zabawne jest, iż ona czuje to samo.

— Owszem — przytaknął — to jest zabawne, ale tylko wtedy, gdy mówi się dla zabawy. Ja mówię poważnie.

— Który raz mówisz to poważnie, milordzie?

— Drugi — odpowiedział, zaskoczony pytaniem.

— Kim jest kobieta, której powiedziałeś to po raz pierwszy?

— Nie mogę ci wyjawić, pani, zapłaciłbym za to śmiercią.

— Więc umrzyj.

— To księżna Izabela Czartoryska — odparł bez wahania, tak szybko, że nie zdążyło go powstrzymać przekleństwo Rybaka, mknące z oddali na ostrzach piorunów.

Uśmiechnęła się bezbarwnie.

— Obecna kochanka mego męża... Miałam rację, czyż nie jest zabawne, kiedy dwaj dżentelmeni wymieniają się kobietami? Ale od tego śmierć nie grozi, zwłaszcza gdy się już uszło całym z rąk tej pani. Jednego ze swoich kochanków pożegnała za pomocą psów, które o mało go nie rozszarpały. Słyszałam o tym przed twoim przybyciem do Polski, milordzie. Gdybyś przyjechał wcześniej, zapewne byłabym pierwszą, której powiedziałeś: kocham, chyba że lubisz być gryziony przez psy albo wierzysz, jak mój mąż, że cudzoziemiec ma w tym kraju immunitet od szczucia myśliwską sforą.

W jej oczach była złośliwość pomieszana ze smutkiem. Patrzył na nią, czując jak ogarnia go szal, a kiedy i ona zamilkła, wróciły odgłosy deszczu, który bębnił gradem po dachu altany. Nagle Wilczyński cofnął się o krok i zaczął zdejmować z siebie górną odzież. Nagi do pasa, zerwał z głowy perukę, powoli odlepił brodę i odwrócił się, pokazując plecy. Miał w tej chwili rzeczywiście twarz wilka, mitycznego drapieznika o wściekle wyszczerzonej paszczy, z zimnymi białymi kłami, gotowymi rozedrzeć każde gardło. Było mu obojętne, co stanie się jutro lub pojutrze — zrzucił z siebie ciężar, który go dusił.

Poczuł jej wilgotną dłoń na karku. Przesunęła delikatnie palcem po najgłębszej z blizn i wyszeptwała, pojmując już, na co się zdobył:

— Więc jesteś Polakiem...

Schylił się po swoje rzeczy i zaczął ubierać bez słowa. Zapiął ostatni guzik, włożył byle jak perukę i przyklepił brodę, podniósł swą laskę i wskazując na mokry tomik, rzekł głucho:

— Nie musisz tego zwracać, pani.

Skłonił się i chciał wyjść, lecz zamknęła wyjście swoim ciałem.

— Co ci zrobiłam, że mnie już nie kochasz?... — spytała przez łzy.

Przyciągnął ją ze straszliwą siłą i począł całować na oślep, w usta, oczy, policzki, ale kiedy spróbował posunąć się dalej, wyrwała się i pobiegła w stronę pałacu. W połowie drogi zawróciła i dopadłszy altany krzyknęła, przemagając głosem deszcz:

— Zapomniałam ci powiedzieć, że cię kocham!

I zniknęła, zabierając swoją twarz nieprzytomnie szczęśliwej dziewczynki, po której zaróżowionych policzkach spływały strugi wody ze szczodrego nieba.

Minęło kilka dni nim zaprosiła go ponownie. Wybrała wielki dzień, który Aleksander Kraushar opisał w swoim dziele „Książę Repnin i Polska...”:

„Nadeszła wreszcie groźna, z niepokojem już od początków sejmu 1766 r. wyczekiwana chwila, w której wielki poseł Najjaśniejszej Imperatorowej Katarzyny II miał publicznie narzucić sejmującym stanom prawa równości obywatelskiej i politycznej różnowierców polskich. Musiała Rzeczpospolita wychylić jeszcze i tę czarę goryczy, by z zachowaniem wszelkich pozornych względów dyplomatycznej uprzejmości zaprosić 4 listopada 1766 na publiczną audiencję wielkiego posła rosyjskiego, księcia Repnina, i wysłuchać jego «deklaracji», którą, siedząc na krześle, z nakrytą głową wobec króla, senatu i koła rycerskiego, w języku rosyjskim miał wypowiedzieć, a którą król, senat i koło rycerskie w milczeniu i z uszanowaniem wysłuchać musieli! (...). Gdy karety dygnitarские, senatorskie i ministerialne, tudzież kawalkada kawalerii polskiej z Krakowskiego Przedmieścia, bramą boczną, w dziedziniec większy zamku wjechały, wysiedli z nich posłowie, a jednocześnie zajechała ośmiokonna kareta wioząca posła rosyjskiego (była to karoca króla, wysłana po Repnina do ambasady — przyp. WŁ), z biciem w bębny i odgłosem piszczałek kapeli wojskowej powitana. Wysiadł z niej książę Repnin z towarzyszymi i udał się na salę senatorską, gdzie na jego spotkanie wyszli ku drzwiom marszałkowie koronny i nadworny litewski (...). Z siedzenia swego wygłosił książę Repnin mowę w języku rosyjskim! (następnie przez pana Bułhaka językiem łacińskim powtórzoną, a w redakcji francuskiej na piśmie przedstawioną) i na każde wspomnienie Imperatorowej wstawał z krzesła, uchylał nakrycia głowy i kłaniał się, a wtedy i senatorowie, ministrowie i posłowie unosili się z siedzeń swoich i czynili pokłon...”

„Deklaracja” rosyjska była ordynarnym ultimatum, żądającym absolutnego zrównania innowierców w prawach, co zresztą nikogo nie zaskoczyło. Przestrzegano najdrobniejszych szczegółów ceremoniału, ale oczy większości słuchających nie kłaniały się posłowi. Gdy skończył, odpowiedziała mu cmentarna cisza. Pomyślał, iż po tym aroganckim tekście, który wysmażono w Petersburgu, należy złagodzić ton i wygłosił kilka frazesów o korzyściach dobrosąsiedzkich stosunków między Rosją a Polską, zapewniając, że tak on jak i caryca oraz w ogóle Rosjanie, życzą narodowi polskiemu wszelkiej pomyślności, albowiem „kochają Polskę całym sercem i będą kochać po wsze czasy”!

Następnie zabrał głos kanclerz wielki koronny Jędrzej Zamojski, oświadczając, iż rząd i stany rozpatrzą notę rosyjską i w odpowiednim czasie udzielą stosownej odpowiedzi. Ledwie usiadł, poderwał się ze swego fotela król i łamiąc ustalony ceremoniał dobitnie oświadczył, że „w sprawie religii na krok nie ustąpi!”. Z rzędów, gdzie siedziały psy repninowskie, podniósł się krzyk gniewu, któremu odpowiedziało

złorzeczenie patriotów. Purpurowy na twarzy Repnin wstał i szybkim krokiem opuścił salę.

Po trzech godzinach od chwili wyjazdu z Pałacu Brühla książe ambasador znalazł się z powrotem w domu, zastając lorda Stone'a wertującego z księżną Natalią atlas przyrodniczy i tłumaczącego jej, dlaczego w Polsce nie da się wyhodować słodkich winogron. Przeprosił, że z braku czasu nie może im asystować i poszedł do siebie, myśląc z politowaniem, że gdyby wszyscy mężczyźni byli podobni do tego angielskiego drzewoluba, to ród ludzki wyginałby w ciągu wieku. Niecałe trzy godziny spędzone na Zamku wykończyły go psychicznie, marzył tylko o tym, by odpocząć.

Marzenie lorda Stone'a było w tej samej chwili identyczne, ale jego zmęczenie nosiło odmienny charakter — należało do kręgu w zupełności fizycznego.

Pojawił się w ambasadzie przed trzema godzinami, bezpośrednio po odjeździe orszaku Repnina, toteż zastał ją prawie zupełnie opustoszałą, wszystkie ważne figury pojechały na Zamek. Natalia bezbłędnie wybrała czas i miejsce tego spotkania, co przewidział tylko jeden człowiek, król żebraków. Gdy Kiss zaproponował ułatwienie Wilczyńskiemu i ambasadorowej dyskretnej „rendez-vous”, gdyż tak dom Anglika, jak i Pałac Brühla nie nadają się do tego, Rybak odparł:

— Tylko nie to, żadnych przyspieszeń i pośrednictw, bo wszystko się porwie i stracimy wielką szansę! „Alex” wściekłby się, gdybyśmy się wtrącili proponując jakiś ustronny kącik. Niech ona myśli o tym sama.

— Sądzi pan, że sobie poradzi? — spytał Imre.

— Spokojnie, kapitanie, od tej historii z jabłkiem one zawsze sobie radzą. Kolejny raz nie pomylił się, tego dnia w całej Warszawie nie było bardziej bezpiecznego domu niż ambasada rosyjska.

Wprowadzony do apartamentów księżnej, Wilczyński przywitał się i zabrakło mu dalszych słów, czekał milcząc na to, co ona powie. Kazała mu zostać w saloniku i wejść do jej buduaru po pięciu minutach. Wszedł punktualnie, w półmrok, który czyniły zaciągnięte story. Ujrzał ją na kozetce i zbliżył się. Leżała w całkowicie przezroczystym, rozpiętym na piersiach peniuarze, z zamkniętymi oczami, przyjmując pełną oczekiwania pozę kobiet, charakterystyczną dla tej chwili, kiedy wiedzą, że już nie pora na wstyd i pozwalają ogarniać się żądzy, której chcą dać upust.

W ten sposób książe Mikołaj Wasiliewicz Repnin ostatecznie utracił żonę, co wszakże nie sprawiłoby mu bólu, gdyby o tym wiedział. Ma poważniejsze kłopoty: przegrał sejm 1766 roku. Co prawda umocnił na nim liberum veto, ale poniósł klęskę w sprawie najważniejszej, w kwestii różnowierców, ponieważ sejm odrzucił jednomyślną prawie uchwałą żądania carycy. W miłości nakazanej z Petersburga idzie mu równie źle: wbrew powszechnemu sądowi nie jest kochankiem Izabeli Czartoryskiej, która spotyka się z nim, nakłoniona przez rodzinę, i papple, lecz nie pozwala się dotknąć, kocha króla. A on, wielki poseł największego imperium, musi grać tę żalną komedię, i chociaż wie, że robi z siebie durnia tylko we własnych oczach, jest to nieznośne, gdyż oprócz oczu carycy Katarzyny jego własne oczy liczą się dlań najbardziej na świecie.

Szczęśliwy rywal księcia, nie posiadający mitry książęcej, a będący monarchą, były szlachetka Poniatowski, dla którego księżna Izabela chroni swą cnotę — mało o to dba; on również zapatrzony jest w tamte wielkie oczy znad Newy. Ma po kilka kobiet w jednym czasie, gra „męża wszystkich żon”, ale kocha tylko Tamtą. Nie dlatego, że

uczyniła go królem. Kocha młodą księżniczkę, nieszczęśliwą żonę kabotyńskiego następcy tronu, którą pocieszał w białe noce, kiedy Piotr spijał się ze swymi grenadierami, a która teraz włada cesarstwem patrząc nań ze szczytu lodowej góry jak na małego eskimosa w małym igloo. W pamiętnikach Stanisława Augusta jedno nie pozostawia wątpliwości: iż do końca życia, przez czterdzieści lat od chwili, gdy ujrzeni się po raz pierwszy w Petersburgu, największą jego miłością była caryca Wszech Rosji, Katarzyna. Przez czterdzieści lat kochać kobiety tylko we wspomnieniu! Zadziwiające są kaprysy ludzkich serc.

Zadziwiające są również pokrewieństwa owych kapryśców, które śledzę z górnej platformy Wieży Ptaków. Spostrzegłem, że co najmniej trzech naszych bohaterów żyje tym samym rodzajem miłości, aczkolwiek każde z ich wspomnień należy do odmiennego gatunku. Drugim na tej liście jest królewski paź, Ignacy Turkuł, któremu zły monarcha uwiódł dobrą koronczarkę. Też mi tragedia, powie ktoś, jakby codziennie tysiąc dobrych kobiet nie stawało się tysiącem kobiet złych za sprawą samców-złodziei. To prawda, tysiąc nie znaczy nic, ale jedna znaczy jedno popsute życie pazia, który nikomu nie zrobił krzywdy, a płaci ciężki rachunek za cudze grzechy.

Próbował go uleczyć znawca kobiet, pisarz więzienny, Tomasz Grabkow-ski, który zenił się w swym życiu tyle razy, iż w końcu stwierdził, że najlepsze są kurwy płatne. Zaprowadził Turkuła do najlepszej w stolicy. Była to ruda piękność, dysponująca pysznym ciałem, które dźwigało na sobie pamięć o wielu miłościach; miała tylko jedną wadę — nigdy nie kochała się w niedzielę, dzień święty, twierdząc, że dusza jej znalazłaby się w piekle, czego sobie nie życzyła. Skromnie uśmiechnięta, wykapała paziowi członka w okowicie, żeby dać świadectwo higienie swych usług. Serwowała je w sposób nienaganny, ale więcej do niej nie przyszedł. Zamknął się znowu we wspomnieniach, których główną obsesją jest świadomość, że zdrajczyni nie zasługuje na pamięć. Można kochać ze śmiertelną nienawiścią — oto kolejna aberracja ludzkich serc.

Choroba królewskiego pazia skupia w sobie wszystkie obrazy tego rozdziału „Milczących psów”: jest w niej miłość, nienawiść, wściekłość, marzenie o zemście i niegasnący stos torturowanych, na który posłałby ukradzioną mu kobietę, rajfura Thomatisa, złodzieja Poniatowskiego i wszystkich, którzy nie nienawidzą ludzi tak jak on. Turkuł skazał świat na śmierć, ale myli się sądząc, że wraz z jego szczęściem kończy się nasza era. Czyż nie tak samo sądził lord Stone, równie okrutnie skrzywdzony przez miłość i biorący sobie odwet za pomocą makabrycznych gejzerów z lufy swego garłacza, a przez drugą miłość nawrócony do zdrowia? Sam Rybak zdumiał się słysząc, jak podczas drugiego spotkania z Grabkowskim eks-”Basior” mówi do pisarza:

— Proszę mi wybaczyć, zdaje się, że ostatnio zachowałem się wobec pana niegrzecznie. Byłbym pocieszony, gdybyśmy zostali przyjaciółmi. Co pan na to?

— Cieszę się — rzekł pisarz, podnosząc kielich z winem do ust. — Kapitan Voeres też się ucieszy. Za zgodę!

— Niech pan wypije tylko połowę! — zatrzymał go Wilczyński. — Z pańskim kapitanem to inna sprawa. Jestem gotów pokochać każdego, nawet Czartoryskich, chociaż poszczuli mnie psami, taki mam ostatnio gest, ale przecież muszę zostawić jakiś wyjątek, który by potwierdzał tę miłosną regułę.

— Co pan ma, milordzie, przeciw kapitanowi?... — spytał Grabkowski, przypominając sobie, że niedawno identyczne pytanie zadał mu Rybak a propos księdza Parysa.

— Szczerze mówiąc: nic. Drażni mnie... Proszę nie perswadować, to nieuleczalne. Nie słyszał pan o tym, że człowiek człowiekowi wilkiem? „Homo homini lupus”. Mnie nazywają „Wilk” od mego nazwiska.

— Taaaak... — zmartwił się pisarz. — To mi przypomina, milordzie, historię dziecka, które około połowy czternastego wieku znaleziono w okolicach Hesji. Wykarmiły je wilki. Potem, kiedy dziecko dorosło, mówiło na dworze księcia Henryka, że gdyby to od niego zależało, wolałoby wrócić między wilki niż żyć wśród ludzi.

Turkuł jest jak to dorosłe dziecko; odkąd Natalia Repnin spacyfikowała lorda Stone'a, już tylko on, śliczny paż, został nam jako okaz człowieka rozsyłającego myślami śmierć. Ale Turkuł się myli, bo jeszcze daleko do końca naszej ery; mój ulubiony poeta, Dylan Thomas, przysiągł mi, że śmierć nie uzyska przewagi nad życiem:

„Skręceni na torturach, gdy ścięgnią puszczają,
Łamani na kole, ale się nie złamią”.

A tym bardziej nad miłością:

„Chociażby oszaleli, przy zmysłach zostaną,
Choć się morza zapadną, od nowa powstaną,
Choć kochankowie przepadną, miłość się ocali;
I śmierć nie będzie królowała” (tłum. Florian Śmieja).

Trzeci maniak miłosnych wspomnień, kapitan Imre Kiss alias Voeres, spędza czas miłości zjedną kobietą stałą niby żoną, ale jest w tym coś z mojego pobytu na czarnomorskiej wyspie Neseber, gdzie siedząc na skałach pod wyniosłym murem obronnym bizantyjskiej twierdzy, tak blisko nad wodą, że fale obmywały mi stopy, spędziłem kilka godzin z panią Bovary, choć każdy, kto wówczas przeszedłby obok, ujrzałby mnie samego, z książką w ręku.

Imre Kiss obcuje z kobietą równie niegdyś sławną w Azji, z legendarną żoną gubernatora Dupleixa, Johanną Begoum, którą pamięta z Dupleixfatihabadu w Indiach. Są razem podczas niejednej nocy, ale każdy, kto wszedłby do jego sypialni w taką noc — zobaczyłby go samego. Ich miłość trwała sekundę, była tylko szeptem czasu, który mija — un murmure du temps qui passę — ale który zastyga jako żywe wspomnienie i powraca w snach. Zmrok wyświetla mu pod zamkniętymi powiekami kolorowy film z tą boginią w jedwabnych pantoflach, której każde pojawienie się, gdy służył w gwardii pałacowej jej męża, wywoływało w nim uczucie dziwnego strachu.

Nigdy przedtem nie widział kobiety bardziej uduchowionej. Zdarzało się, że kiedy obejmował wieczorną lub ranną służbę, mijała go, spacerując fortecz-nym gankiem straży, przed nocą lub jeszcze rozgrzana snem. Zatrzymywała się przy strzelnicy, zwiewna, nierealna, niczym anioł z obnażonymi ramionami i włosami uwolnionymi od fryzury, rozrzuconymi szeroko na plecach i powiewającymi na wietrze. Spoglądała

milcząc w ciemne niebo, piękna i niedostępna, a on bladł skamieniały, czując jej bliską obecność, i wyprężony na baczność drżał jak liść.

Poczęła go zauważać. Rzuciła krótkie spojrzenia na nieruchomego żołnierza, jednego z wielu krzepkich dzikusów, którzy służyli w pobliżu jej komnat i byli jej tak samo obojętni jak kolumny krużganka...

Kobiety we Francji, zwłaszcza pewna aktoreczka z Palais Royal, wprowadziły go w arkana każdego bezwstydu nie wynikającego z prostej potrzeby ciała, ale kiedy myślał o Niej, nie ośmielał się wyobrazić sobie niczego więcej jak skierowany do niego uśmiech na jej twarzy, co już było zuchwalstwem, gdyż ona była tak inna, iż żaden z jego kolegów, prócz barbarzyńcy Dzierżanowskiego, nie ośmieliłby się nawet przywoływać jej we śnie.

Kiedyś spotkało go wyróżnienie: skinęła nań dosiadając wierzchowca. Wtedy po raz pierwszy jej dotknął. Pomógł jej wspiąć się na brylantowe siodło i przez chwilę miał przed nosem nogę w rozcięciu sari haftowanej w złote kwiaty, wdychając zapach kolana o barwie dojrzałej brzoskwini. Sądził, że jest bydlakiem, bo pozwolił sobie na brudną myśl.

O tym, że się mylił, miał czas myśleć w kajdanach, pod pokładem statku, który wiozł go na bezludną wyspę. Od owego dnia, kiedy Dzierżanowski uciekł i kiedy Dupleix wydał wyrok na Węgra, trzymano Kissa przez trzy doby w lochu, nagiego, przykutego do sufitu łańcuchem oplecionym wokół przegubów, tak iż ledwo dotykał stopami ubitej gliny. W ostatnią noc przed wsadzeniem go na okręt pojawiła się w celi niczym upiór, co przenika ściany, prawie bezgłośnie, słychać było tylko cichutki szcęk zamka ruszonego ręką zaufanego lub kupionego strażnika i wszystko umilkło. Patrzyła w jego zmęczone oczy koloru starego srebra i w posiniałe wargi pod wąsami, on zaś zbladł śmiertelnie, nie wstydząc się, zapatrzonego w mały krzyżyk w rozchyleniu jej nagich piersi, kiedy zsunęła z siebie sari. Powoli, miękko, łagodnym ruchem wtuliła się w gęstwą włosów porastających go od pachwin po szyję i przyłgnęła doń z zamkniętymi oczami. Słyszał jak w jej piersi wali mu serce. Wchłaniając jego ciało zapadła w omdlenie, a kiedy się ocknął i otworzył oczy, by już sam. Pozostał tylko jej zapach w wilgotnym, wstrętnym wnętrzu i pot, który spływał zeń strugami na martwą glinę.

Wspomnienie Kissa różni się od wspomnień Turkułła tym, że nie boli i nie oddziałują ujemnie na libido. Kapitan mieszka z synem w domu owej piekareczki, która niegdyś została kochanką jego służącego, Stańka, ale Stańko — odkąd z parobka przemienił się w dziesiętnika „kruków” i spaniał — często włóczy się nocami po miejscach nie dla pańienek, w doborowej trójce musz-kieterów seksu, którą uzupełniają Grabkowski i Dzierżanowski, i wraca do domu nad ranem, nieprzyzwoicie skacowany. Igelstróm miał rację: co za służba rodzi się w tym kraju — do tego doszło, że pan musi wyręczać służącego! Tylko że to nie jest miłość i jeśli Imre prędzej niż później nie spotka tej kobiety, która wywołuje nieprzelotny dreszcz, która zastąpi mu wspomnienie i zwolni od obowiązku wyręczania własnego sługi, to boję się, że też zachoruje, jak bowiem mówi tybetańska Księża Łamów: najpoważniejszą z przyczyn ludzkich chorób jest brak miłości. Mam się o co bać — on gra główną rolę w mojej sztuce!

Tak zakończyłem ten rozdział, a Marta, kiedy jej przeczytałem (wyjąwszy dwie pierwsze strony), spytała jaki dam mu tytuł.

— Po prostu „Kobiety” — odparłem.

— Dlaczego?

— Bo to rozdział o kobietach moich bohaterów.

— Nie — uśmiechnęła się pobłaźliwie — to nie jest o kobietach. Tu wcale nie ma kobiet, są tylko pańscy bohaterowie odmalowani na kobiecym tle. Bardzo mi przykro... Zamurowało mnie.

— I jeszcze coś... Wydaje mi się, że w pańskiej sztuce głównej roli nie gra ten Węgier...

A kto?!

— Rybak. Pan nawet nie wspomniał o jego kobiecie...

Z daleka, od pagórków porośniętych krzewami, rozlega się cichy, szyderczy śmiech. Czy to strażnik w ciemnych okularach drwi z mojej niekompetencji, czy tylko wiatr daje złudzenie tego chichotu?... Ona ma rację (od czasu tej historii z jabłkiem one zawsze mają rację), ale jak mogę zaspokoić jej ciekawość, jeśli nie potrafiłem zaspokoić własnej. Wobec niego jestem bezradny, tłumaczyłem to już: widzę Rybaka tylko wtedy, gdy są przy nim Kiss, Turkuł, Wilczyński lub któryś inny z moich bohaterów. Ten człowiek, niedużego wzrostu i zwalistej postaci, masywny jak skała, mogący mieć około pięćdziesiątki, jest uosobieniem tajemnicy, jakiejś zawołowanej epopei, która daje się wyczytać z jego rysów: jakby żelaznym piętrem wycisnęły je gwałty, poniżenia i triumfy, jakby utoczono je z legend o samotnych niebach i straszliwych przestrzeniach, dudniących grzmotach i dzikiej okrutnej ziemi, z mądrości i przebiegłości wieków. Ta twarz, poorana, a właściwie podziurawiona bruzdami i pełna jakiejś brutalnej siły znamionującej przywódców oraz proroków, twarz zawodowego włóczęgi, który pozostaje filozofem, wysadzana dwoma skrzącymi się agatami i ustami sprawiającymi wrażenie blizny — kryje zagadkę nieokreśloną jak cudzy lęk, jak zapach czegoś, co dopiero się zbliża, nieuchwytną jak senne przeczucia o świecie, i doprawdy jest przy tym mało ważne czy Rybak ma kochankę lub żonę. Kochanką jest mu jego Sprawa, a żona? „Żonaty filozof należy do komedii” — stwierdził Nietzsche, zaś główna różnica między moją książką a komedią jest ta, że moja książka do komedii nie należy.

Ciemne okulary przeczą mi z daleka śmiechem, który zamiata krajobraz między wieżą a pagórkami wygiętymi łagodnie jak harfy... Nagle śmiech milknie i od zбочy dobiega tylko żaloszny szum krzewów, którym zgina karki wschodni wiatr. Spadają pierwsze krople z dwóch podkrążonych chmur na bezbronnym niebie tych zarośli. Będzie deszcz...

CIĄG DALSZY TOMU II

— W PUNKTACH:

— Początek roku 1767. Rosjanie przystępują do decydującej rozgrywki, montując wśród magnaterii i szlachty gigantyczną opozycję przeciw królowi i Czartoryskim. Głównym agentem Repnina jest w tej grze referendarz koronny, ksiądz Gabriel Podoski (wkrótce w nagrodę prymas Rzeczypospolitej).

— „Przekazany” Igelstrómowi brat „Alexa”, Damian Wilczynski, staje się carskim agentem. Pilnuje go kochanka podsunięta mu przez Rosjan.

— 4 marca 1767 roku Repnin wykupuje cały teatr, każe w nim wystawić komedię francuską i ogląda ją siedząc na sali tylko z Izabelą Czartoryską oraz z pracownikami swej ambasady, co jest antykatolicką demonstracją i co wzbudza oburzenie w stolicy (4 marca był środą popielcową). Wciąż jednak ambasador nie może rozkochać w sobie Izabeli, nie chce być ona jego metresą.

— Rybak montuje zamach na Repnina, kilkakrotnie przesuwając termin ze względu na mnożące się przeszkody (pierwszym z tych terminów był właśnie 4 marca — miano zabić ambasadora w teatrze).

— Pani Lhullier donosi Igelstrómowi, że król zhardział, gdyż bierze pensję od lorda Stone'a.

— Czerwiec 1767. W Radomiu zawiązuje się z inicjatywy Repnina i pod przewodnictwem uwielbianego przez braci szlachecką Karola Radziwiłła „Panie Kochanku” (którego Rosjanie ściągnęli w tym celu z Drezna) Konfederacja Generalna wymierzona przeciw królowi (żądanie detronizacji) i przeciw stronnictwu reform. Sterroryzowany Stanisław August znowu przechodzi na stronę

Rosjan, stając się bezwolnym sługą Repnina. Do Polski wkraczają nowe kontyngenty wojsk rosyjskich.

— Bracia Wilczyńscy spotykają się w Warszawie. „Alex” przygarnia Damiana, wprowadzając go w krąg ludzi otaczających Rybaka.

— Jesień 1767. Podczas obrad sejmowych dochodzi do ostatecznego starcia między Repninem a opozycją antyrosyjską w sprawie różnowierców. Głównym oponentem ambasadora jest biskup krakowski Kajetan Sołtyk. Po brawurowym antyrosyjskim przemówieniu na forum sejmowym, Sołtyk zostaje nocą (13-X-1767) porwany przez żołdaków Igelstróma i wraz z trzema innymi więźniami wywieziony do Kaługi.

Decyzję o porwaniu Repnin, Igelström i król podejmują w domu pani Lhullier, a pośredniczką między nimi jest Izabela Czartoryska.

— Księżna Izabela, zaniebawiana przez króla, a popychana przez swą rodzinę w ramiona Repnina — zostaje jego kochanką.

— Styczeń 1768 roku. Wilczyński dowiaduje się od Natalii Repnin, iż jej mąż wraz z Izabelą Czartoryska wybiera się na przejażdżkę saniami za miasto. Rybak przygotowuje zamach. Przed uderzeniem zamachowcy wpadają na skutek donosu Damiana Wilczyńskiego. Dochodzi do walki z bojówką Branic-kiego będącą na usługach ambasady rosyjskiej. Ginie kilku „kruków”, ranny Kiss dostaje się w łapy rosyjskie i zostaje ciśnięty do lochu w Pałacu Bruhla. Dzierżanowskiemu udaje się zbiec do Wiednia. Rybak, domyślając się, że jest wśród nich zdrajca, znika z Warszawy i znikają też jego ludzie. Damian Wilczyński nie zostaje zdemaskowany.

— Luty roku 1768. Zniewolony i skorumpowany sejm zatwierdza wszystkie żądania Repnina i uchwała carycę Katarzynę gwarantką ustroju Rzeczypospolitej. Jest to gigantyczny triumf Rosji nad ubezwłasnowolnioną Polską. W odpowiedzi na to antyrosyjskie grupy polskiej szlachty i magnaterii wzniesają powstanie zbrojne: wybucha Konfederacja Barska.

— Marzec 1768. Wilczyński i Rybak, dzięki pomocy Natalii Repninowej, wykradają Kissa z lochu. Ponieważ Rosjanie dowiadują się przy tym, że „lord Stone” jest Polakiem, „Alex” ucieka z Warszawy.

OKRUCHY SZKICÓW AUTORSKICH DO TOMU II

„MILCZĄCE PSY”

„Milczące psy” — zwierzęta:

Były niegdyś takie psy antyprzemytncze (miała je np. austriacka górską straż graniczna w cesarstwie Habsburgów), które tropiąc przemytników nie szczekały, a więc nie ostrzegały ich, że pogoń się zbliża. Wcześniej policja stosowała zwykłe psy, te jednak szczekały przy tropieniu. Słyszac szczekanie przemytnicy wypuszczali z worków koty i czworonożni tropiciele biegli za kotami. Chcąc zaskakiwać przemytników trzeba było znaleźć psy, które nie szczekają. Nazwano je „milczącymi psami”. Takie psy zaatakowały na Żmudzi (w żmudzkich górach) oddział Kissa poszukujący purpurowych srebrników.

„Milczące psy” — ludzie:

Istnieniem swoim zaprzeczają oni zdaniu wyrażonemu przez J.Lubicza-Czerwińskiego w wydanej w roku 1817 książce pt. „Uwagi rozumu i ludzkości nad fałszem i ciemnotą zabobonów, gusłów...”; pisze on, iż nieprawdą jest, „aby diabeł miał moc człeka w psa przemienić, bo jakby dusza ludzka mogła mieszkać w ciele bydłęcym”.

Ano może.

Rodzime ostrzeżenie przed „milczącymi psami” znajdujemy w „Pamiętkach Soplicy” Henryka Rzewuskiego, który tak ostrzegał Polaków w pierwszej połowie XIX stulecia: „Żadnemu takiemu, który by choć rok jeden Moskalowi służył, nie wiercie (...), wypędźcie jego z waszej ziemi, bo nigdy z niego prawy Polak nie będzie”.

Ze strony Rzewuskiego była to typowa mimikra „milczącego psa”, gdyż on sam — straszliwy rusofil, agent Paskiewicza — był klasycznym „milczącym psem”.

Ostrzeżenie łacińskie: Cave tibi a cane muto (strzeż się milczącego psa).

Strofy o „milczących psach”:

„.....i pod tronem siedzą
I krwią handlują i duszą biedactwa,
I sami tylko o swym kłamstwie wiedzą,
I swym bezkrewnym wyszydzą palcem
Człeka, co nie jest trupem — lub padalcem”.

(Juliusz Słowacki).

„A oni? Stoją niemi
na konającej ziemi.
Niech tam potopu fala,
byleby ołtarz ocalał”.

(Edward Hołda).

„Tak. A gdy wymrą psy na pustyni,
Czaszki niech puste się szczyrzą i żebra,
Piasek niech zerwie się, niech się przyczyni
Księżyc zdradziecki, trzydziesty, ze srebra...”.

(Kazimierz Wierzyński).

REPWIN A KRÓL

Repwin straszy króla:

Pośród rozlicznych metod, które stosował Repwin, aby zastraszyć Stanisława Augusta, znajdował się również... balet teatru warszawskiego! Z inspiracji Repwina podczas przedstawień odgrywano zdjęcie króla z tronu. Czytamy o tym raporcie saskiego agenta Jana Kazimierza Heinego (z 23 maja 1767 roku):

„Na obecnych francuskich komediach przedstawiany jest każdego dnia taniec czy też balet przedstawiający detronizację, który to balet dawano także i w czwartek. «Sacra Familia» oraz król jako spektatorowie nie mogą ukryć przerażenia pomimo udanego maskowania się i tylko słabość swoją ukazują”.

Repwin upokarza króla:

Ernest Gonteryn Goltz, eks-szambelan dworu Augusta III, kandydował do stanowiska „sekretarza interesów zagranicznych” dworu Stanisława Augusta, lecz zrezygnował z tego zaszczytu po obejrzeniu sceny, którą potem tak opowiedział:

„Miałem być na czele gabinetu Stanisława Augusta. Na jednym z baletów księcia Repwina, ambasadora rosyjskiego, stanąłem przy kole tańczących kadryla, w którym prowadził drugą parę Repwin z księżną generałową Czar-toryską (...). Król omylił się w figurze; Repwin go zaczął poprawiać, lecz z takim szyderstwem, z tak nieprzystojną poufałością, że gdy nim bez żadnego uszanowania obracał, mruganiem i śmiechem do kobiet chciał, aby widziano, jak go lekko waży. Król czy nie spostrzegł lub był tak zajęty sobą i tańcem i za skinieniem swego mistrza skakał i z teatralną gracją ręce do łańcucha tańczącym podawał. Ten widok w takie mnie oburzenie wprawił, iż rzekłem sobie: «Za żadne skarby świata temu ukoronowanemu trzpiotowi służyć nie będę», (z „Pamiętników” Kajetana Koźmiana).

Repwin opowiada dowcip a propos króla:

Gdy Poniatowski, Igelström i Repwin spotykają się (wieczorem 13 października 1767) w domu pani Lhullier, by omówić „uciszenie” biskupa Sołtyka, piesek gospodyni, bonończyk, wykazuje obojętność wobec króla, natomiast łąsi się do

Igelstróma (choć obaj są kochankami pani L., to jednak Igelstróm odwiedza ją dużo częściej). Widząc to, Repnin kpi na boku z monarchy mówiąc do Igelstróma:

— Nie ma nic niebezpieczniejszego niż mały bonończyk. Hrabia Horn, poseł szwedzki, mówił mi kiedyś, że kobietom, które kochał, ofiarowywał przede wszystkim małego bonończyka, by go uwiadomił swoim zachowaniem w odpowiednim czasie, że ktoś jest tam w większych łaskach. Okazuje się, że jest to dobra zasada!

Repnin kpi z króla:

Gdy pewnego razu, podczas przyjęcia dworskiego, pytano się nawzajem: czym by się kto zajmował dla wyżywienia, gdyby utracił stanowisko, i gdy udzielano sobie różnych odpowiedzi, a król nie wiedział, co powiedzieć, Repnin rzekł:

— Zostań tancmistrzem! (autentyczne).

Repnin kpi z Polaków w obecności króla:

— Nu da, u was, Poliakov, użasnoje, moralnoje rozłożenje. Was nada by wsiech naładit'! (naprawić).

REPNIN — IZABELA

Szkic początków romansu:

Mimo że w ramiona carskiego ambasadora popychał ją jej kochanek król, a także jej rodzina — Izabela Czartoryska dość długo opierała się temu. Gdy Repnin, wykonując rozkaz dany przez Salderna, próbował ją odwiedzić, odpowiadała mu (nie osobiście, lecz przez swą garderobianą), że nie może go przyjąć, gdyż boli ją głowa. Ale wreszcie uległa, a Repnin, gdy już ją posiadał — zakochał się w niej „na śmierć i życie”, oszalał z miłości.

Scenka dialogowa z ich pierwszego spotkania:

Izabela: — Kazano mi oddać ci się, panie.

Repnin: — To ciekawe, pani.

Izabela: — Cóż w tym ciekawego?

Repnin: — Mnie kazano zrobić to samo.

Scenka dialogowa z ich spaceru po Warszawie, przed ich pierwszą nocą:

Izabela: — Warszawa to ciekawe miasto, ale Paryż jest bardziej interesujący. Chciałabym być jedną nogą w Warszawie, a drugą w Paryżu.

Repnin: — A ja chciałbym być wówczas w Erfurcie...

Ich syn:

14 stycznia 1770 roku Izabela urodziła syna, Adama Jerzego Czartoryskiego. Ojcem był Repnin (ówczesna plotka głosiła, że mąż Izabeli, Adam Czartoryski, kazał odesłać noworodka do pałacu Repnina w koszyku przybranym kwiatami). Jedną z osobliwszych złośliwości losu w dziejach Polski jest, iż człowiek-symbol polskiego patriotyzmu i antyrosyjskiego oporu w XIX wieku, długoletni przywódca Wielkiej Emigracji, księżę Adam Czartoryski

— był synem rosyjskiego ambasadora, człowieka, który brutalnie zniewolił Polskę.

Wspomnienia Izabeli:

Zwierzenia Czartoryskiej na temat jej związku z Repninem zanotował w swych pamiętnikach książę Lauzun. Kłamie ona mówiąc, że oddała się Repninowi z wdzięczności, gdy ochronił jej rodzinę przed carskimi represjami (w rzeczywistości oddała się wcześniej); reszta jest prawdą:

„Książę Repnin zakochał się we mnie, ale źle był przyjęty. Zamieszki, które wybuchły w mojej nieszczęśliwej ojczyźnie, dały mu wkrótce sposobność dowieść, jak bardzo byłam mu droga. Moi krewni i mój mąż ściągnęli na siebie straszliwy gniew imperatorowej, sprzeciwiając się nieustannie jej woli. Książę Repnin otrzymał rozkaz, by potraktować ich z największą surowością. Czar-toryscy nie zmienili swego postępowania — a jednak nigdy nie zostali ukarani. Imperatorowa, rozwścieczona, że nie wykonano jej poleceń, nakazała księciu Repninowi uwięzić Czartoryskich i skonfiskować ich dobra. Zapowiedziała mu, że własną głową odpowie, jeśli nie wykona tych rozporządzeń. Książęta Czartoryscy byliby zgubieni, gdyby wspaniałomyślnemu Repninowi zabrakło w tym momencie odwagi — nie spełnił rozkazu. Uważałam, że obowiązkiem moim jest nagrodzić tak wielkie poświęcenie; choć oddawałam się z wdzięczności, sądziłam wówczas, że ulegam porywom serca. Wkrótce stałam się jedynym skarbem, jaki pozostał księciu Repninowi. Utracił stanowisko ambasadora, pensję i łaski imperatorowej, i jemu, który dotąd swą rozrzutnością zadziwiał Polskę, pozostał tylko skromny dochód na utrzymanie”.

Finał:

Zdymisjonowany karnie Repnin, wciąż nieprzytomny z miłości, gania po całej Europie za Izabelą, cierpiąc zazdrość o innych, płacząc, etc. Z potężnego, cynicznego, brutalnego ramienia rosyjskich wpływów w Polsce, z wielkiego i butnego samca, zrobił się roztrzęsiony, nieszczęśliwy, ubezwłasnowolniony przez namiętność, rogoty amant.

Ironia losu: wybudował więzienie dla Polaków i sam się w nim zamknął. Zamknął drzwi od niewłaściwej strony.

BRAT „ALEXA”, DAMIAN

Przyjazd do Warszawy, charakterystyka:

Ponury, przestraszony, prowincjonalny chamek, którego los rzucił do wielkiego miasta, w ogromny, nie zrozumiały dlań chaos, pełen wielkich domów i kościołów; prostak zagubiony bardziej niż w lesie, bo na ulicach instynkt nie podpowiadał, gdzie są strony ziemi; zupełnie różny od swego brata, pielgrzymą spieczonego skwarem wielu dróg, który w zbyt młodym wieku zawędrował zbyt daleko, by bać się największego choćby grodu.

Potem:

Z wolna się przyzwyczajał, naturalną kolejną rzeczą; do wszystkiego, co mu jest w życiu pisane, człowiek się przyzwyczai. Najpierw się przyzwyczaił,

a później polubił miasto, w którym tłum, co najpierw go przerażał, teraz go cieszył, bo zapewniał anonimową dyskrecję. Obecność starszego brata dawała mu poczucie

bezpieczeństwa, jakie daje starej kobiecie w lektyce widok szerokich lokajskich pleców.

RYBAK

Agentka Rybaka:

Krótkotrwałą agentką Rybaka w królewskim łóżku jest baronowa von Schiitler, Greczynka z domu Cumano (jej mąż zostanie w roku 1774 dyrektorem fabryki fajansu w Belwederze).

Ksiądz Parys o Rybaku:

— To człowiek, którego trzeba szanować. Gdyby tacy ludzie jak on zarządzili tym światem, być może inni ludzie cierpieliby mniej, być może nie byliby podzieleni na lepszych i gorszych, tych, którzy przez przypadek urodzenia mają wszystko, od najcenniejszych dóbr po władzę życia i śmierci nad maluczkimi, i tych, którzy na każde skinienie tamtych gną pokornie karki, tych, na których pracują inni i tych, którzy robią to, czego nie lubią robić, lecz muszą, bo nie przyszłoby im do głów, że może być inaczej, tych wszystkich, krwio pijców i pogwałconych, którzy razem wierzą, że Bóg chce, by było tak, jak jest. Rybak to człowiek, który pragnie podnieść człowieka z kolan i z niewolnika uczynić istotą ludzką.

Wilczyński („Alex”) o Rybaku:

— On ma fisia na punkcie sprawiedliwości i marzy, że kiedyś mu się uda wznieść rewolucję golców!

IMRE KISS

Pobyt Kissa w więzieniu — w lochach pałacu Brühla:

Zgrzyt klucza w zamku, opisywany tysiące razy i rzeczywiście wstrząsający — dusza się w tym ryglu przekręca.

„A w ciemną, smutną noc usłyszę
Nie świst słowika tnący ciszę,
Nie szumne pieśni lasów,
Lecz towarzyszy lęk przewlekły,
Dozorców nocnych groźby wściekłe
I wrzask, i zgrzyt zawiasów”.

(Aleksander Puszkina, „O Boże, nie daj mi zwariować”, fragment, tłum. Julian Tuwim).

Krażył po celi. Wilgoć przenikała go do szpiku. Gdzieś za murami ktoś rozpaczliwie wył. Wieczorem małe okienko zgasło. Jego oddech stał się gorący. Chodził tam i z powrotem, uderzając pięścią jednej ręki o otwartą dłoń drugiej. Sześć dużych lub siedem małych kroków i w tył zwrot. Przeklęta czarna pustka, mogliby dać

choć kaganek! Jak długo da się zdzierżyć w tym mroku milczących ścian? Igelstróm obiecał, że nie będzie trzeba długo:

— Powiesimy cię na twoich własnych flakach, gagatku, szkoda naszego sznura!

— Chcesz go zachować dla siebie? — spytał, uśmiechając się Igelstrómowi w twarz.

Nie każdego stać na humor wtedy, gdy inni nie tracąc humoru pragną go powiesić.

Myśl Kissa na temat Wilczyńskiego:

Drażnił go ów fałszywy Anglik, pupil Rybaka, każdym bezczelnym słowem i spojrzeniem. Lecz wiedział, iż Wilczyński to jeden z tych nielicznych facetów, którzy potrafią być twardzi bez pistoletu wymierzonego w czyjś brzuch. A ponieważ sam należał do tej rasy...

Kruk:

„Choroba była czymś czego nie umiał zwymiotować

Rozwijając świat jak kłębek wełny
Znalazł koniec przywiązany do własnego palca.

Zdecydował umrzeć, lecz
Wchodząc w zasadzkę

Wchodził ciągle do własnego ciała.
Gdzie jest ten ktoś kto mną rządzi?...”.

(Ted Hughes, „Kruk choruje”,
tłum. Barbara Wojnicz).

Robert Graves podaje w „Mitach greckich” (mit o Koronis i Apollu), że kruki kiedyś były białe, a czarne stały się za sprawą niewiernej kobiety.

Z listu Van Gogha do brata Theo (25 listopada 1877): „Ucząc się historii starożytnego Rzymu przeczytałem, że jeśli kruk albo orzeł siadał na czyjejs głowie, uważano to za znak albo błogosławieństwo niebios. Dobrze jest znać historię starożytną”.

Zaiste, dobrze. Na mojej głowie usiadł węgierski kruk, który jest orłem nad orłami.

„Albowiem ptaka wieszczego zoczyłem,
od wschodu słońca kruka, zanim jeszcze
nie przepadł w bagien oparach...”.

(Horacy, „Carmina”, księga 3, XXVII,
tłum. Stefan Gołębiowski).

Krażyło podanie wśród Węgrów, że Kissowie po śmierci zamieniają się w kruki (tak jak w Polsce Herburtowie w orły).

„nieznane głosy milcząco nas otaczają,
słyszycie je?
nisko koruje kruk niewidzialny,
widzicie go?”

(Hans Arp, „***”
tłum. Ryszard Krynicki).

Tom trzeci

SREBRNE RUCHO

„Teraz na świat wylewam ten kielich trucizny,
Żrąca jest i paląca mojej gorycz mowy,
Gorycz wyszana ze krwi i z łez mej ojczyzny,
Niech żre i pali, nie was, lecz wasze okowy.

Kto z was podniesie skargę, dla mnie jego skarga
Będzie jak psa szczekanie, który tak się wdroy
Do cierpliwie i długo noszonej obroży,
Że w końcu gotów kasać — rękę, co ją targa”.

(Adam Mickiewicz, „Do przyjaciół Moskali”)

TREŚĆ TOMU III, W PUNKTACH:

— Wiosna 1768. Kiss, Wilczyński, Grabkowski oraz ich podwładni i przyjaciele walczą w konfederackich oddziałach przeciw Rosjanom.

— Repnin, po pierwszych zbliżeniach z Izabelą Czartoryską, zupełnie traci dla niej głowę i zaniedbuje służbowe obowiązki.

— Czerwiec 1768. Podjudzone przez kler prawosławny (na rozkaz Petersburga, który chce osłabić Barszczan), chłopstwo ukraińskie rozpoczyna rzezie polskiej szlachty na Kresach. Kulminacją jest głośna rzeź w Humaniu (18-20 czerwca, 20 tysięcy bestialsko wymordowanych). Książd Parys, który znajduje się akurat w Humaniu, cudem, jako jeden z nielicznych, przeżywa hekatombę.

— Czartoryscy trwają w zaciętym oporze przeciw Rosji, żądając zniesienia służalczych decyzji sejmu. Rozwścieczona caryca każe Repninowi ich ukarać (m. in. zasekwestrować ich majątki), lecz ambasador dokonuje wolty szokującej wszystkich: nieprzytomnie zakochany w Izabeli Czartoryskiej, torpeduje wszystkie wymierzone w książąt rozkazy Petersburga. Za tę samowolę zostaje zdjęty ze stanowiska 10 kwietnia 1769 roku.

— Imre Kiss podczas walk partyzanckich swojego oddziału spotyka owego Cygana, którego już raz spotkał w młodości i wówczas (patrz rozdział 4 tomu I) stara Cyganicha wywróżyła im, że jeśli się spotkają ponownie, to już się nie rozdziela aż do śmierci.

— Rybak, jedna z „szarych eminencji” szefostwa Konfederacji Barskiej, organizuje wyprawę na Żmudź (1772) w celu wykradzenia Rosjanom skarbcza z purpurowym srebrem. Dowódcą grupy poszukiwawczej zostaje Kiss, jego zastępcą starszy Wilczyński. Udział w wyprawie biorą m. in. Grabkowski, Parys, Turkuł, Cygan i Damian Wilczyński. Rybak wraz z nimi nie wyrusza.

— W Nieświeżu poszukiwacze różowych srebrników dowiadują się o pierwszym rozbiórce Polski. Narasta konflikt między Aleksandrem Wilczyńskim a Kissesem, w efekcie obaj Wilczyńscy wycofują się z ekspedycji, a młodszy, Damian, wysyła zdradziecki meldunek do swych rosyjskich mocodawców. Rosjanie uruchamiają grupę pościgową.

— Przez baśniowy świat Żmudzi nasi bohaterowie, którym pościg wciąż depcze po piętach, wędrują trzydzieści kilka lat, przeżywając rozliczne przygody, unikając

zasadzek, napotykać dziwy „nie z tego świata” (zakłete bagna, jeziora i mateczniki, diabelskie zamki, legendarne stwory, duchy i widma) — i nie starzeją się, idą bowiem właściwą, „środkową drogą”, o której wiadomość zdobył stryj Imrego, Arpad (patrz rozdział 4 tomu I). Stąd w tej fazie powieść otrzymuje formę nadrealistyczną, bliską gatunkowi „fantasy”.

— Na surrealistycznym tle opisów (wszystkiego, od przyrody do kolejnych zdarzeń) jedynym elementem realistycznym pozostają coraz częstsze spory światopoglądowe między Grabkowskim a księdzem Parysem.

— W roku 1792 z grona członków wyprawy ubywa ciężko ranny Turkuł.

— U wrót do purpurowego Sezamu Rosjanie atakują grupę poszukiwawczą i eksterminują jej część, a pozostałych członków w trakcie krwawego pościgu. Do Warszawy żywy dociera tylko Imre Kiss w roku 1805, gdy dokonano już wszystkich trzech rozbiory Polski i ta nie istnieje na mapie.

— Kiss zaczyna podejrzewać Rybaka (ostrzegła go przed nim wróżąca wiedźma na Żmudzi), rozpoczyna prywatne śledztwo. W roku 1806 odszukuje w Galicji Wilczyńskiego („Alexa”). Obaj upewniają się kim jest Rybak i jaką pełnił rolę w Polsce.

Rybak był agentem pruskim, robiącym wszystko, by pogłębić rozdzźwięk między Polską a Rosją; współrealizował pruski plan, mający na celu zmuszenie Katarzyny, by porzuciła swą doktrynę (cała Polska pod „protekcją” Rosji) i zgodziła się na kompletny podział Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Jednocześnie pragnął rękami Kissa przejąć purpurowe srebro dla Prus, lub przynajmniej odebrać je Rosjanom, odbierając im tym samym magiczną siłę. To on zamordował Mirosza i Bielińskiego (Krammer był agentem Rybaka).

Kiss i Wilczyński odnajdują Rybaka w Poznaniu i zabijają (garłaczem dziadka Wilczyńskiego), lecz sami giną w walce z ludźmi prowokatora.

OKRUCHY SZKICÓW AUTORSKICH DO TOMU III

WOJNA KONFEDERATÓW BARSKICH

Wstęp:

Z całej Polski wyruszali buńczucznie starzy i młodzi, nienawidzący tego króla z cesarskiego nadania, plwający na rozzuchwalonych „heretyków”, lub tylko głodni dużej bitki, której nie było od tak dawna, wszyscy zwycięzcy, bohaterscy, nie pokonani, w huku kielichów rozpryskujących się za plecami jak najcelniejsze salwy, w rytmie pożegnalnych mazurów, w kropidlanych błogosławieństwach proboszczów, a za okiennicami, na gankach, na schodach i na drogach, zostawały zażawione oczy i furkoczące na wietrze chusteczki tysięcy zaślubionych i nie zaślubionych wdów, z pamięciami przeżytych lat, godzin lub błogimi falami dziewiczych marzeń, a nad nimi gęstniały chmury, które jeszcze nie były klęską, tylko scenografią, złowróżebnym tłem pierwszego z wielu antyrosyjskich powstań Polaków.

Opis bitwy:

...Wstrzymali konie. Z lasu wysypał się tłum Rosjan, pułk piechoty i kilka szwadronów kawaleryjskich. Szeregi żołdatów, niby nieznanne kolorowe owady, przesuwały się z głośnym chrzęstem w nagłych galopadach, jak w balecie

trudnym do pojęcia, którym kieruje sama śmierć. Na koniec wychynął spomiędzy krzaków rój armat. Przeciw tej potędze nie było żadnej szansy.

— Nooo!...— krzyknął pułkownik, dobywając szablę. — Jeśli mam umrzeć głupio, to musi być bardzo głupio, po polsku!

— My wszyscy z tobą, wasza miłość! — odkrzyknął adiutant w imieniu konnej gromady szlachciurów.

Pułkownik uniósł się w strzemionach.

— Dzieci! Widzicie te armaty?

— Tak jest, panie pułkowniku!

— A tych kanonierów?

— Tak jest, panie pułkowniku!

— Armaty mogą zostać, zrozumiano?

— Tak jest!

— No to z Bogiem, w nich!

Poszli przeciw ruskim pułkom i działom jak tajfun, kilkoma luźnymi watahami. Gdy w połowie dystansu pierwszy szereg z bliska już ujrzał, co ich czeka, zadrżał i zawahał się. Lecz powstrzymać konie znaczyłoby dać się zmieść tylnym szeregom. Z przodu śmierć była bardzo prawdopodobna, z tyłu pewna, więc gnali dalej, tylko paru szczęśliwców na flankach odskoczyło w bok. Rosjanie, przyglądając się uciekinierom, bili im brawo. Ciemne sylwetki tchórzy mały na tle szarego widnokregu, aż znikły jak rozwiane cienie.

Wiatr, który hulał od rana, a teraz należał do konfederatów, bo pchał ich w plecy i w zady zwierząt, wzmógł się, lecz grzmot rosyjskich dział zagłuszył go jedną salwą. Na małym skrawku łąki zmieszała się krwawa zupa z ognia, żelaza i ludzkich członków. Dwa dni później, kilka kilometrów od bitewnego pola, do stajni jednego z dworów przybłąkał się ranny koń z pustym siodłem i z jukami wypełnionymi bochenkiem zeschniętego chleba, zmianą bielizny i resztką prochu. Był to wierzchowiec pułkownika.

Ci, co przeżyli, zatrzymali się, kołując wokół trupów. Ujrzeni swego wodza na trawie. Pełził jak szczenna suka, wlokąca po ziemi obolały brzuch. Naraz, ku zdumieniu wszystkich, klęknął i wstał, ukazując się na scenie oblanej krwią, w blaskach zachodzącego słońca, niby dantejski cień, mityczny olbrzym, co się waha, czy wejść, czy wyjść z grobu. Nie było w tej chwili nic bardziej imponującego jak ta bryła zawziętych mięśni, rzucających piekło wyzwanie. Miał obłąkany wzrok, gdy przez zęby zagwizdał fragment jakiegoś hymnu, a potem ryknął:

— Dzieeeci! Wasz komendant umrze tutaj! To warto zobaczyć!

Ruszył ku wrogom i dostał w pierś pocisk z karabinu. Biegł jeszcze przez chwilę, poruszając dziwacznie rękami, jak ptak po ucięciu łebka; zrobił kilka kroków i przewrócił się na wznak z oczami otwartymi szeroko i rozdziawionymi ustami.

Wówczas jegry ruszyły przeciw powstańcom. Tłum żołnierzy biegnących z wyciem i mordem w oczach do ataku jest najbardziej fascynującym widowiskiem ze wszystkich masowych widowisk, jakie stworzył człowiek, odkąd nie posyła się już tłumów dziewic pod kamienne skalpele pogańskich bożków, w ofierze krwawym Priapom i Quelzaqoatlom; najbardziej fascynującym lecz nie dla tych, przeciw którym biega. Konfederackie resztki poczęły uciekać.

Nie było dokąd, za ich plecami stały już inne hordy sołdeckiego wojska, czekając na odwrót „buntowuszczyków”. Rotowy ogień załśnił długą błyskawicą, wyznaczającą linię horyzontu, i poszedł nisko, po nogach koni. Wicher łamał gałęzie drzew, a tamci szli z dwóch stron, równym, niewzruszonym krokiem, z tornistrami na plecach, z osmalonymi pyskami, do wtóru bębnow, posyłając fale gorącego ołowiu w niedobitych, którzy ryczeli od bólu i od strachu, i padali pokotem.

Nocna ciemność i jej przytłaczająca cisza czyniły pobojuwisko, pełne ludzkich i końskich trupów, rozrzuconej broni i ubabranych krwią traw, jeszcze bardziej tragicznym niż kiedy spowijał je dym, huk i szal zabijania.

Epilog Konfederacji Barskiej:

Wracali nie ci sami piękni bohaterowie; wracali przeobrażeni w ponurych bandytów, nielitościwi, bijący żony pogwałcone przez Rosjan, topiąc swe

zdegenerowane dusze w alkoholu i rozpacz, świadomi już, że cały ich wielki wysiłek, całe to poświęcenie, całe samozaparcie, nie znaczyły nic, były niepotrzebne i skazane na klęskę od początku. Wrócili tak bardzo zepsuci, jak psuje przegrana i wszystko mieli w dupie.

ŻMUDŹ

Alibi dla wyprawy na Żmudź:

Organizując wyprawę Kissa na Żmudź po purpurowe srebro, Rybak, który bał się dociekania jej celu przez postronnych, znalazł bardzo dobre fałszywe wytłumaczenie: Kiss i jego ludzie jadą na Żmudź po karły! W ten sam sposób członkowie ekspedycji tłumaczyli jej cel po drodze, w miastach, w mieścinach i wsiach litewskich. Specjalistka od karłów, Bożena Fabiani, pisze w swym dziele:

„Fala mody na karły, która ogarnęła cały świat, wyraźnie wzbiera w okresie renesansu i baroku, kiedy uwagę ludzką przyciągają fenomeny przyrody, jej dziwactwa, wszelkie anomalie. Spotykamy karły na dworach panujących, magnatów i szlachty (...). O karły zaciekle walczono. Popyt był ogromny, podaż — oczywiście ograniczona. Krążono więc po kraju, szukając po wsiach

karzełków. Polska nie pozostawała w tyle. Znajdowano je zwłaszcza na Żmudzi”.

Fragmenty półbaśniowego świata Żmudzi w starych opisach (do wykorzystania przy relacjonowaniu wyprawy):

Góry żmudzkie: Stirb kalnis (Góra Czatownicza), Augstagiris (Wysoka Knieja), Boboskalnas (Babia góra), Apieros Kalnas (Góra Ofiarnicza), Sventkalnis (Święta góra); na te góry i górki, będące miejscami kultu, Żmudzini mówią: „Skopowe góry”. Po górach tych chodzili Szwedzi za czasów najazdu Karola XII, tu rozbijali swe obozy. Jedną z tych gór zwie się Szwedzką górą. Wieść gminna głosi, że Szwedzi wciąż tu są. Czy Szwedzi mieszkają na górze? Nie — mieszkają „w górze”, nawet dzieci wiedzą, że Szwedzi mieszkają wewnątrz góry, ale trudno ich znaleźć. Muszą tam być jakieś lochy perforujące wnętrze góry, bo kościół, który stał na górze, zapadł się w głąb. Specjalne psy są hodowane w ciemnościach, by można było nimi wytropić Szwedów w mrocznym lochu, tylko najpierw trzeba go znaleźć...

Kiss i jego ludzie odnajdują taki loch we wnętrzu góry.

Bagna żmudzkie (paras), sztuczne wyspy na bagnach (crannoges) i rodzaj bagnisk po jeziorach (zarosłe torfem jeziora), erzewitis. Największymi, pomieszanymi z lasami, były trzęsawiska Użwarmskie (na nich rządzi „królowa bagien” — Nimfa Użwarmka). Jedno z tych bagien można przejść (Kiss korzysta z tego) kamienną, brukowaną drogą pod powierzchnią, zwaną Kolgrynda. Jest to wprost podwodna szosa, można nią jechać czwórką koni, ale zboczenie poza krawędź oznacza upadek w topiel bezdenną. Tę drogę zbudowali niegdyś albo Krzyżacy rękami niewolników, albo Szwedzi otoczeni przez Żmudzinów, chcąc wydostać się z matni (dlatego zwie się ją również: *Švedkelis* . — Drogą Szwedzką, lub: *Švedų vieškėlis* — Szwedzkim Gościńcem).

Jeziro powstałe z łez krzyżackich. W roku 1335 żmudzka twierdza Pyllenen została obleżona przez Krzyżaków. Cztery tysiące Żmudzinów (mężczyzn, kobiet i dzieci) odebrało sobie życie, spaliwszy przedtem całe mienie. Wódz Margier odrąbał głowy towarzyszą, by na końcu zabić swoją żonę i siebie. Jedna z kobiet miała zabić stu pobratymców zanim popełniła samobójstwo. Widok tej hekatombi był taką makabrą, że nawet okrutnych Krzyżaków porwał szloch, a z ich łez powstało czarne jezioro.

Serce Żmudzi — wielka puszcza, złączona z puszczą nadniemeńską. Knieja ta ciągnęła się wzdłuż Wenty, przerzucała ku Szeszuwie i Dubissie, ograniczana bagnistą niziną rzeki Jury.

Fragmety szkiców do opisu Żmudzi:

Pole denerwującego spokoju, groźna cisza milczącej ziemi, która zdaje się grozić zmartwiałym sercom jak ocean: wejdziesz, a pochłonę cię bez śladu!...

Góry tworzyły tu zwarty łańcuch i były gęsto, aż po niebo, porośnięte lasem. W każdym calu tej przestrzeni czaiła się tajemnica. Była w ziemi i w mowie drzew, w wąwozach i rozpadlinach, na zboczach wzgórz czerwieniejących od gasnącego słońca i w chłodnym milczeniu gęstwin lasów, w dniu i w nocy, w dzikich żywopłotach...

Wielkie mateczne lasy, otchłanie potrafiące dochować tajemnic, nigdy nie wyjawiające pod czyim mech ugiął się ciężarem, kto za kim szedł trop w trop, z jaką myślą i z jakim godłem na czole, bronią w ręku a nienawiścią w sercu, jaką ułudą czy namiętnością wiedziony...

TURKUŁŁ

Karciaz:

W Konfederacji Barskiej Turkułł nie uczestniczy, zostaje przy dworze królewskim, choć nienawidzi Stanisława Augusta za to, że ten mu uwiódł dziewczynę. Popada w nałóg hazardu — gra, mając od Rybaka duże pieniądze za donosy o intrygach i sekretach królewskich, a potem już za pieniądze z wygranych („Kto nie ma szczęścia w miłości — ma w grze”):

Grał w karty. Z początku słabo, z biegiem czasu lepiej (rutyna zawsze robi swoje), lecz nie musiał grać wybornie, nie musiał znać wszystkich arkanów hazardu, nie musiał ścigać mistrzostwa w tym — za niego grał majątek. Wystarczyło, że znał się na martingale (podwajanie stawki przy każdej przegranej), by nawet szulerzy bali się siadać z nim do stołu. Tylko ten, kto nie boi się przegranej, może swobodnie grać, on zaś nie bał się żadnych przegranych i żadnych długów, gdyż Rybak pokrywał każdy jego dług.

Dalsze losy:

Turkułł bierze udział w wyprawie Kissa na Żmudź. Przed wyjazdem jego kochanka błaga go o wybaczenie, bez skutku, on nie chce z nią nawet rozmawiać. Mimo to ona krzyczy za odjeżdżającym, że będzie czekała na jego powrót. Rzeczywiście czeka przez dwadzieścia lat. Tylko dwadzieścia lat, albowiem Turkułł nie jest z Kissesem do

końca trzydziestokilkuletniej wędrówki Węgra po żmudzkich bezdrożach — w jej dwudziestym piątym roku odnosi ciężką ranę (potyczka z Rosjanami). Konającego wynajęci przez Kissa Litwini odwożą do Warszawy i chcą zanieść na Zamek, lecz on się na to nie zgadza, zostawiają go więc na Starym Mieście, w domu byłej kochanki Turkuła.

Pożegnanie z królem:

Król pragnie odwiedzić swego eks-pazia i przybywa do domu dziewczyny (dziewczyny, gdyż baśniowy czas wyprawy żmudzkiej nie postarza ani o rok żadnego z bohaterów powieści), prosząc o dopuszczenie do łoża umierającego. Turkuł odmawia, mówi dziewczynie:

— Powiedz mu, że nie mogę go przyjąć, gdyż mój powóz jest zaprzężony do odjazdu, ale że wkrótce się zobaczymy, bo i jego karetka szykuje się już do drogi. Powiedz mu, że zobaczymy się na skrzyżowaniu czyścica, i tylko przez chwilę, bo pójdziemy w różne strony.

Śmierć Turkuła:

Dziewczyna nie odstępowała łoża konającego:

Swoją obecnością przy nim walczyła o swoje zaufanie do Boga. On, przywrócony jej po tylu latach, nie mógł umrzeć, to oczywiste. Modlitwami i lekarstwami wydała totalną bitwę temu, co było od niej potężniejsze, ale nie mogła dopuścić myśli o przegranej. Nie po to zamieniła swoje życie w płonąca świecę, żeby teraz ołtarz, przed którym płonęła, zawiódł ją i odebrał jedynego człowieka noszonego w sercu od zawsze. Tkwiła godzinami przy jego wezgiłowiu, uśmierzała mu kaszel wywarami z ziół, które sama parzyła, wkładała w jego usta lekko strawne jedzenie i wybierała spod niego odchody, myjąc go po tym i zmieniając mu pościel. Intymne części jego ciała były jej naturalną własnością, której fizyczną pamięć zachowała w palcach, w dotyku dłoni, bo w wyobraźni nie było jej wolno przez tyle lat spędzonych samotnie. Kiedy lepiej się czuł, czytała mu brewiarz, a on słuchał i patrzył na nią oczyma, które stawały się coraz większe. Mijały dni i noce; w całym świecie tlił się jedynie płomyk jej zwodniczej nadziei. Nie rozumiała, że świat skazał go już na śmierć i drwił z jej wiary. Śmierć musiała nadejść. I nadeszła o pewnym zmierzchu, kiedy dziewczyna siedziała przy nim i mówiła, że po jego wyzdrowieniu odbędą pielgrzymkę do Madonny Ostrobramskiej. Nikłym głosem, jaki jeszcze zdołał z siebie wydobyć, Turkuł poprosił ją, aby mu wybaczyła i zamknął oczy. Nie zdążyła mu nawet powiedzieć, jak bardzo kochała go przez te wszystkie lata. Siedziała przy nim w zupełnej ciemności, trzymając jego stygnącą rękę na swoim policzku. Miała czoło zroszone potem, a biała płócienna opaska ścisnęła ją jak kleszczami. Rano pocałowała go w usta i odeszła przygotować trumnę, zostawiając dwie krople łez na jego chłodnych, zapadniętych policzkach. I już nie było pazia Turkuła, tylko straszliwy ból w sercu jedynej kobiety, która go zapamiętała, bo dla niej, dla młodziutkiej koronczarki z pokoiku na Starym Mieście, nie było nigdy nikogo ważniejszego. Zrozumiała, że dopóki i jej nie zabierze litościwa śmierć, będzie żyła nadal niczym kunsztowne naczynie, w którym po wypiciu wina został tylko wietrzejący osad żalu, iż pewne rzeczy nie zostały między nimi wyjaśnione — nie wypowiedziane słowa, nie ofiarowane zwierzenia, nieobecne, stracone

pocałunki i uściski, jałowe chwile, lata samotności, puste pejzaże, wiatry co kaleczą serce i noce bez szmeru. Bała się, czy znajdzie dość siły, żeby iść dalej ze świadomością tego, iż on już nie istnieje na tej ziemi; bez tych chwil, które — chociaż były puste — zawierały pewność, że oboje żyją i będzie można kiedyś dotknąć jego rąk. Umarła w trzy lata później, nie chorując, bez żadnej przyczyny. I cała ta historia zatrzęsnęła się niczym zabita gwoździami skrzynia, w której pozostał na wieki cień, a może zapach tamtych dni w mojej książce, jakby przepłynęło przez nią bezkształtne widmo z dawno umarłego cmentarza.

WARSZAWA W ROKU 1792

W tym roku umierający Turkuł wraca do Warszawy, stąd jej nowy opis: Znowu w Warszawie. Cóż się zmieniło? Miasto, przedtem jeszcze trochę szorstkie, ucywilizowało się bardzo w stylu rokoko przeszczepionym z Paryża. Nad Sekwaną białe rokokowe róże pokryła już pierwsza rdza, w Warszawie one kwitną, nawet na głowach braci szlacheckiej, które rzadko już podgolone są dawną modą — uzbrojono je w modniejsze fryzury. Zresztą perfumowane róże z porcelany o ileż wyżej stoją od naturalnych — dla tych szkoda nosa. „Fircyk”, niegdyś rzadki i pogardzany przez hreczkosiejów, zwany też „labusiem”, upudrowany od czubka głowy po palce w trzewikach, noszący w szklanych guzikach fraka cały gabinet historii naturalnej, bo widać w nich pod szkłem gąsienice, motyle, żabki, jaszczurki i inne robactwo, urósł w legion i ku powszechnej aprobacie sam zjadliwie gardzi wszystkim, co nie ma stempla zagranicznego i co z wydętą wargą zowie sarmatyzmem. Prześcignął wszystkie mody świata: do wyboru sześćset fryzur, na które pozwala edykt Ludwika XVI. Toalety dam, będące skrzyżowaniem ogrodu, buduaru i malowidła, zasłaniają torturę gorsetu tak zaciśniętego, że piersi podchodzą pod brodę, a cienki stan można prawie objąć jedną dłonią.

Pałace wierne są wciąż przestarzałemu już we Francji dekalogowi wystroju Louis Quinze, ale jest to wierność względna, bo Trianon, Cirey i Saint-Souci zostają w końcu przelicytowane nadwiślańskim super-rokokiem. Oniemiały Francuz, pan de Segur, pisze po wyjeździe stąd: „Polacy mają szalone dochody, więc w ich pałacach znajdziesz wszystko, co tylko wymyślono w świecie eleganckiego i drogiego”. Nawet więcej: hetmanowa Branicka w swej rezydencji w Białymstoku wystawia najkosztowniejsze piece w Europie, tak kosztowne, że nie można w nich palić, więc zimą dama przenosi się do mieszkań oficjalistów. Czartoryscy wkładają w Powązki, swą letnią posiadłość, miliony dukatów, „tapetując” łazienki, dla przykładu, kostkami najcenniejszej saskiej porcelany.

Złoto dukatowe, głównie z berlińskich i petersburskich pensji za zdradę, płynie strumieniami. Joie de vivre granic nie zna. Małżeńska wierność jest grubszą obrazą dobrego tonu niż dwadzieścia lat wcześniej. Pani jeszcze kocha swego męża po tygodniu? Ależ to przystoi modystce, a nie markizie! Jakże mili są ci młodziutcy biskupi, chłopcy z arystokracji, modni i zalotni, a w swoich fioletach jeszcze bardziej podniecający. Nuncjusze papiescy piszą namiętne erotyki do dam. Klasztorne rozmównice służą za ulubione miejsca do schadzek. Moralność kokot staje się moralnością księżniczek. Życie jest wielką zabawą. Tańce, karty, iluminacje,

fajerwerki, poszukiwanie kamienia filozoficznego, posyłanie bielizny do prania nad Sekwanę, teatry amatorskie, szlichtady i kuligi, łoże masońskie i polowania z chartami, festiwale na okwieconych łodziach i bańkach, *journées de campagne*, amor, intryga, rozpusta i bajeczna dekoracja. *Après nous la deluge!*

Cudowny *high life*: nade wszystko cenią rozum, a są mało mądrzy; godziny trawią przy toalecie, a nie lubią czystości i stronią od kąpieli; cyniczni kpiarze — mają łyzy na zawołanie przy lekturze każdej strony głupawych romansów; lubieżni rozpustnicy piszą sentymentalne, pełne księżycowej melancholii wiersze miłosne w stylu Ossjana; materialści i sceptycy — wierzą święcie w szarłatańskie cuda i na ubitą ziemię wyzwą każdego, kto by wątpił, że Cagliostro liczy tysiąc lat życia.

W przeźroczyście poranki, kiedy słońce unosi mgłę, można dojrzeć z Wieży Ptaków każdy kąt i dosłyszeć każde słowo. Przed sklepami na głównych ulicach stoją szeregi pojazdów: karety, fajetony, koczki, bryki i zwykłe wozy drabiniaste, między którymi miotają się spoceni szpicle, usiłując złowić strzępy przyciszonych rozmów. Jest to ciężka praca, wszyscy bowiem rozmawiają de publicis o interesach zawartych w Petersburgu, o cenach zboża i o najnowszej modzie przywiezionej z Paryża, a tylko z nawyku czynią to głosami zniżonymi do szeptu. Mogłoby się zdawać, że to miasto nie ma innych trosk poza terminami płacenia weksli, przedstawiając sobą krystalicznie spokojny obraz najgłębszej prowincji imperium, gdyby nie beznogi skrzypek ze staromiejskiej ulicy grający pod katedrą. Jego cienkie, żalodne melodie niosą się daleko w wąwozach ulic, docierają poprzez bramę w fortyfikacjach na poddasza nowej zabudowy okalającej miasto i w drugą stronę, ku zielonej dżungli królewskiego ogrodu. Czasami ktoś rzuca lichą monetę, która uderza o metalową, pustą miskę leżącą mu u stóp i wywołuje przeciągły warkot werblowy. Spod Zamku dobiega

miarowy stukot butów karmazynowych strażników, którzy przybyli tu zwartymi szeregami zza dalekich rzek. Wówczas grajek odlepia od policzka swoje skrzypce, stawia je pod ścianą i zaczyna kaleczyć spokój miasta krzykiem skierowanym do mijających go pań i panów:

— Wkładajcie do tej miski swoje ukradzione grosze! Wkładajcie tu swoje złodziejstwo, wy złodzieje ze złodziejów! Wspomóżcie żołnierza, który stracił nogi w walce o zdrowie ojczyzny i nie ważcie się być obojętni na cierpienia bohatera! Do was mówię, wy kurwy z kurew, które plugawicie się nocami z carskimi oficerami! Wkładajcie tu resztki swojego wstydu! Uklękajcie przed miską, bo to już ostatni ołtarz, przed którym możecie kupić sobie odrobinę zmiłowania boskiego i balsamu na swe parszywe sumienia.

Na dźwięk tych słów dobrze ubrani mężczyźni, którzy zamienili swe młodzieńcze ideały i rozognione marzenia na wpływy, bankocetle i dochodowe stanowiska, oraz skąpane w pudrach, perfumach i tiulach kobiety, wspierające się na rozzłoconych i rozsrebrzonych epoletami i akselbantami ramionach ogorzałych przybyszów z nad Newy, przyspieszają kroku i kulą głowy bogato przystrojone, tak jakby chcieli zejść z linii świszczącego bata.

Długo obserwowałam tego żebraka, dziwiąc się, że nawet policjanci czują przed nim jakiś dziwny respekt i omijają go niczym zadzumionego. Wydawał mi się nienaruszalny, podobny odbojom, które wrosły w bramy kamienic. Pewnego dnia

zdarzyło się wszakże coś, co usunęło go z pejzażu miasta i sprawiło, że gród i wieża przemawiały do siebie już tylko głęboką ciszą.

Przed katedrą zatrzymała się rzeźbiona karoça, jedna z tych barokowych szkatuł, którymi poruszają się magnaci i w których nawet najbrzydsze kobiece ciało wydaje się drogocenne w luksusowym blasku pereł i szmaragdów rażących głodne oczy. Ilu pierścieni i naszyjników, bransolet i kolii trzeba, by chciało się żreć jak waniliowe ciastko wąsatą wiedźmę z resztką zębów? Wielmożna pani, która porzuciwszy na moment swego towarzysza wysiadła z powozu, miała usta zmęczone w służbie tylu uśmiechów i sprośności, że budziły wstęt miast pożądania. Podeszła do grajka i wbrew jego oczekiwaniu nie rzuciła mu żadnej monety, lecz rozkraczywszy się nad nim i wzięwszy pod boki, ryknęła nań, wyrzucając stek słów tak plugawych, że nie mogłaby iść z nią w zawody najwściekłej z warszawskich przekupek:

— Ach ty obesrańcu i wybuleńcu z gównowa, ojciec spaćkał cię na słomie, kiedy mu w naszym pałacu dupę batem pokrojno, a ty tu przyszedłeś oberdziadu morde drzeć?!...

Ogłuszyła go lawiną zamtuzowych przekleństw, splunęła do miski i odeszła ku drzwiom katedry, mocząc rękawiczkę w wypełnionej wodą święconą dłoni usłużnego kawalera. Tego samego dnia żebrak zniknął i ulice odetchnęły.

TOMASZ GRABKOWSKI

Fragment rozmowy Grabkowskiego z biskupem Sołtykiem:

— Ekscelencjo. Chciałbym tylko wiedzieć, czy Inkwizycję stworzono, aby zalegalizować przyjemność zadawania tortur, czy też...

Kpiny Grabkowskiego wymierzone w księdza Parysa:

Gdy w trakcie wyprawy po skarb „milczących psów” burza niszczy obozowisko:

— Podobno moc Boża przemawia do nas silniej podczas burzy, Parys się na tym zna, ma kontakty w niebie.

Gdy jeden z uczestników wyprawy opłakuje przyjaciela, który zginął:

— Zwróć się do Parysa, on wierzy w martwych zmartwychwstanie i jest w stałym kontakcie z Panem Bogiem, może uda mu się coś przyspieszyć.

Gdy przed ostateczną bitwą u wrót purpurowego sezamu Parys wzdycha ku niebiosom „Niech Bóg ma nas w swojej opiece”:

— Bóg nie sprzyja naszej sprawie, skarbeńku. Wszakże tysiące luda pościło przed konfederacką wojną, leżało krzyżem po kościołach, tarzało się w prochu i popiele, włożyło na kolanach przed relikwiarzami, błagając Stwórcę i wszystkich świętych o pomoc. Ale Pan Bóg i święci byli po stronie Rosjan!

Ucieczka po przegranej:

Ksiądz Parys biegł na końcu, z siłami było u niego kiepsko. Dogoniła go kula i rzuciła na ziemię. Grabkowski zatrzymał się i zawrócił. Usiadł przy księdzu, obandażował mu ranę i otarł pot z czoła, mrużąc:

— Widzisz, Boga nie było. Nie twierdzę, że wcale Go nie ma, teraz wiem, że On istnieje, ale nie było Go z nami. Nie było Go z nami od początku, od tamtej chwili, kiedy wyruszyliśmy, tylko że nie przyszło Mu na myśl, żeby nas o tym powiadomić. O tym, że nas wtedy opuścił.

Pogoń przeszła bokiem, w gąszczu drzew.

— Uciekaj! — jęknął Parys. — Czemuś wrócił do mnie, zamiast biec z innymi?! Tutaj nas znajdują, idź stąd, skryj się!... Na Boga, idź!

— Do cholery, nie jestem gońcem ani pieszym kurierem! — prychnął pisarz. — Nie będę dalej biegł, rozboleły mnie nogi!

Kiss nazajutrz znalazł obu. Zakłuto ich bagnetem. Z ułamanych gałęzi wykonał krzyż. Kopiając grób szablą zastanawiał się, czy Grabkowski ma prawo leżeć pod krzyżem; zastanawiał się do momentu, gdy pamięć podpowiedziała mu, co ksiądz Parys wyrzucił kiedyś Grabkowskiemu: „I tak będziesz zbawiony!”.

Pisarzową kieszeń wyrzuszało puzderko ze srebra. W nim znalazł papier złożony jak list; z wierzchu Grabkowski napisał: „To nie jest moje epitafium, nic mi nie gryzmolić na grobie! To jest moje przedostatnie słowo dla przyjaciół i dla nikogo prócz nich., bo nikomu prócz przyjaciół nie mówię: do zobaczenia, dość się już napatrzyłem”. Rozłożył. Wewnątrz było napisane:

„Wiedziałem, że jeśli pokręcę się dość długo w tym wychodku wszechświata, to doczekam tej chwili. Zapewniam was, że nie jest mi ona przykrą. Odchodzę do krainy milczenia, w której durnie nie miałą ozorami i to jest to, co uważam za zbawienie. Kochałem was, chociaż nie kochałem ludzi i nie oczekiwałem, że ludzie będą mnie kochać. Byłem lepszy niż mogłem być, chociaż kosztowało mnie to trochę wysiłku, ale czego się nie robi dla życia w stadzie. Mniemam, że gdyby złapali mnie ludożercy, mogliby rzec: Ten Grabkowski był nawet niezły, zwłaszcza końcówka była wyborna. I zaprawdę mieliby rację! Całuję was. G.”

ALEKSANDER WILCZYŃSKI

Podejrzliwość Rosjan — test na angielskość:

Rosjanie podejrzewają, że lord Stone to fałszywa figura. Podczas jednego z przyjęć dworskich dokonują testu:

... Igelstróm, stojący w gronie oficerów dwa kroki od króla rozmawiającego z lordem Stonem, warknął głośno:

— Mam w dupie króla Jerzego!

Nie można było „nie usłyszeć”. Wilczyński spojrzał na Rosjanina tak, jakby chciał uderzyć, ale nie uczynił tego i tylko wzrokiem dał królowi znać, że nie pozwala mu na to dobre wychowanie. Później znowu się odwrócił, powoli, bez zdziwienia czy choćby zmarszczenia brwi, z całkowitą obojętnością i brakiem zainteresowania nawet nie ostentacyjnym, kompletnie zimny na twarzy. Kiedy powtórzono zaczepkę, dalej pozostał niewzruszony i tylko w oczach załśniło mu coś na kształt zniecierpliwienia, tak jakby ktoś przerwał mu w pół zdanie uwagą nie na temat lub niechcący wytrącił mu tabakierkę z dłoni.

Później żałował, iż nie uderzył, nie wyzwiał na pojedynek lub choćby nie odwarknął: Ja mam pańską carycę w tym samym miejscu! Bał się, iż to go zdradziło. Bał się

niepotrzebnie Igelstróm i jego kompania wzięli tę reakcję za wyraz zimnej, typowo angielskiej pogardy — pogardy dla ich chamstwa. I zrobiło im się wstyd.

Wilczyński — Stefka:

Zawsze, gdy wychodził nocą z domu, podchodziła doń, całowała lekko w policzek i obrzucała go spojrzeniem od stóp do głów; zatrzymywała wzrok na jego twarzy, którą zdobiło wiecznie szczeniące zawadiactwo podszyte męską dumą, poprawiała króciutkim dotknięciem kołnierzyk, mankiet albo spinkę, lub strzepywała jedyny pyłek, jaki odważył się sięść na jego fraku.

W owe samotne noce, wiedząc już o Natalii, modliła się żarliwie do świętego, klęcząc przed wizerunkiem brodacza, którego głowa zwieńczona była aureolą:

— Opiekunie mój niebieski, miej litość! Oszpec ję, ropy cuchnącej nalej do jej oczu, powlecz jej lica ospą, spraw, by wyrósł jej garb i aby wrzody pokryły jej ciało! Zabierz tej żmiji urodę, uczyn ję starą, wstrętną, ohydną, kulawą, niech jej twarz zmieni się w kawałek próchna pokrytego zmarszczkami, niech jej włosy wypadną, niech serce jej opuszczą uczucia, niech nigdy nie zazna rozkoszy! Weź ję z tego świata na cmentarz, niech robaki tykają jej łono, jej piersi i jej usta! Pomścij mnie słodki mój dobroczyńco, a będę ci paliła świece do końca mego żywota!

Wilczyński — Natalia Repnin:

Ta miłość zmieniła go, odgrywając w jego psychice rolę ziarna piasku w muszli perłowej, ale to nie znaczy, że stracił umiejętność bycia wilkiem w potrzebie i zmienił się w gnuśnego pudła — sprawdźcie jak twarde są prawdziwe perły i jak bije po oczach blask perłowej wykładziny na rękojeści sztyletu. Ona zaś była jedną z tych niespodziewanych fal, które nadają instrumentowi właściwy ton.

Wilczyński — Izabela Czartoryska:

W roku 1806, w czterdzieści lat po ich romansie, na tydzień przed swą śmiercią — Wilczyński spotyka pierwszą miłość, księżnę Izabelę:

...Najbardziej okropne było to, że ubrała się jak młoda dziewczyna. Sztuczne kolory na twarzy budziły litość. Obnażone ramiona wchłaniały bielutki puder we wgłębienia pomarszczonej skóry i zdawały się być źle nadmuchanymi kośćmi, które słońce zbyt wysuszyło. Plecy stękały w ucisku gorsetu (pod nimi był namiot sukien, nad nimi zmięta szyja), z drugiej zaś strony podparty biust z sinymi żyłkami, których nie zakrywał wachlarz balansujący w te i we wte. Patrzył przerażony na zgrubiałe w stawach palce, na obwisłe worki pod brodą i uszami, na policzki pełne muszek i czerwieniejący nos, na brwi pociągnięte farbą i czoło, na którym ślady ospy, niegdyś bez znaczenia, teraz wrzeszczały o szpetocie. Tylko w oczach tej kobiety zostało coś z przyczajonego uroku młodości. Słuchając jej głosu czuł się zmieszany, przenikało go uczucie pustki, lodowaty chłód i żal, że czas jeszcze bardziej paprze wspomnienia niż powinien to robić, i że nawet to nie zostało mu oszczędzone.

Mówiła coś, a on milczał; wciąż patrzył na jej twarz i wydawało mu się, że już gdzieś widział wiele takich twarzy. Były to twarze podróżnych z dyliżansu, które są na miejscu tak długo, jak długo trwa podróż, a potem znikają z życia. Wszystko obce, czoło, włosy, wyraz ust. Kiedyś powiedziała, że bardzo go kocha...

„Lat mijających potok wszystko unosi.
Serce kiedyś także umiera.
Obojętnie obok wroga przechodzisz,
przestajesz pragnąć, dociekać.
Spotkasz tę, którą kiedyś kochałeś
i nie powiesz jej ani słowa...”

(Atanas Dałczew, „Serce kiedyś także umiera”,
tłum. Anna Kamieńska).

Śmierć Wilczyńskiego:

Twarz miał po śmierci piękną jak za życia, lecz zupełnie inną: delikatną, z wyrazem pogodnej radości, jakiej nikt nigdy nie widział u niego, a ręce drobne niczym u kobiety, iż wydawało się rzeczą wprost niewiarygodną, że te dłonie z alabastru mogły miażdżyć z siłą żelaznych kleszczy.

ZAKOŃCZENIE:

„Testament pisać czas.
 Wybieram szczerych ludzi
 Którzy strumieniem pod prąd
 Idą i skoro świt
 Pod wodospadem u skał
 Wędkę rzucają w nurt
 Koło mokrego kamienia.
 Oni, oświadczam, dziedziczą
 Moją dumę, bo są
 Z narodu którego nikt
 Nie uwiódł, Sprawa ni Rząd.
 Nie z niewolników oplutych
 Ani z plwających tyranów (...)

Zostawiam wiarę i dumę
 Szczerym i dzielnym młodzieńcom.
 Niech idą zboczami gór
 I kiedy pęka świat
 Wędkę u skał zarzucają.
 Ja byłem z tego metalu
 Zanim złamało mnie krzesło
 I pokreślony skrypt.

(...) cokolwiek mnie
 Ma spotkać, jakie zło —
 Śmierć przyjaciół i śmierć
 Każdego wdzięcznego oka
 Co zapierało mi dech —
 Są jak obłoki na niebie
 Kiedy horyzont blednie.
 Albo jak senny krzyk ptaka
 Tam gdzie już coraz ciemniej”.

(William Butler Yeats, „Wieża”,
 tłum. Czesław Miłosz).

SPIS TREŚCI

Od Wydawcy.....		5
Tom pierwszy	WILK I KRUK	6
Wstęp		7
Rozdział 1	„A LA MORT”	38
Rozdział 2	DOKTRYNA I SIDŁA	60
Rozdział 3	„BASIOR”	78
Rozdział 5	GNIAZDO „KRUKÓW”	122
Rozdział 6	WIZYTY	145
Rozdział 7	NA TEATRUM	164
Rozdział 8	JAK STALOWA SPREŻYNA	187
Tom drugi	WIECZA	213
Wstęp		214
Rozdział 1	„AQUA TOFANA”	227
Rozdział 2	ROZKOSZE MIŁOŚCI	256
CIĄG DALSZY TOMU II — W PUNKTACH:		280
OKRUCHY SZKICÓW AUTORSKICH DO TOMU II		282
Tom trzeci	SREBRNE RUHO	289
TREŚĆ TOMU III — W PUNKTACH:		290
OKRUCHY SZKICÓW AUTORSKICH DO TOMU III		292
ZAKOŃCZENIE:		303
SPIS TREŚCI		304